

Czy znajdziesz odwagę, by zmierzyć się
z rodzinną tajemnicą?

CLARA SÁNCHEZ

SKRADZIONA

POWIEŚĆ INSPIROWANA PRAWDZIWĄ HISTORIĄ

Clara Sánchez

Skradziona

tlumaczenie
Łukasz Müller

znak *litera*
nova

KRAKÓW 2014

Ta historia rozgrywa się w latach 1987–1994, tak jak wiele innych prawdziwych, długo ukrywanych historii, które zainspirowały życie i świadomość postaci występujących w tej powieści.

„Do wszystkiego można przywyknąć. Gdy nic już nam nie pozostało”.

NATALIA GINZBURG

I. Gdzieś zagubiona

1. VERÓNICA

Na najwyższej półce szafy moich rodziców leżała teczka z krokodylej skóry owinięta w koc, którego nigdy nie używaliśmy. Żeby ją zdjąć, musiałam przynieść z suszarni aluminiową drabinkę i wejść na najwyższy stopień. Ale najpierw musiałam odszukać wśród kolczyków, bransoletek i pierścionków w szkatułce na biżuterię mojej matki kluczyk, którym otwierało się teczkę.

Nigdy nie przywiązywałam do niej większej wagi. Nawet mój ośmioletni brat Ángel wiedział o istnieniu teczki, ale nie kusilo nas, żeby w niej szperać, bo w środku nie było nic ciekawego: akt własności domu, książeczki szczepień, dokumenty ubezpieczenia społecznego, licencja na taksówkę, wyciągi bankowe, rachunki i dyplomy rodziców, a kiedy pójdę do liceum, trafi tam także moje świadectwo. Od czasu do czasu ojciec zdejmował ze stołu w jadalni salaterkę na owoce i otwierał teczkę, która rozkładała się na trzy części i nie mieściła się nigdzie indziej, chyba że na kuchennym, gdyby się wszystko z niego uprzątnęło.

Ojciec poprosił mnie, żebym zbudziła go o piątej z poobiedniej drzemki. Nie ogolił się, na znak, że zaczynają się wakacje. Wstał opuchnięty, przeciągnął się, ziewnął, a potem otworzył szafę i zdjął teczkę: wyglądało na to, że zamierza wykorzystać okazję, żeby przejrzeć papiery. Poszłam za nim korytarzem. Szłam za jego owłosionymi nogami i kąpielówkami w paski sięgającymi do połowy uda. Urósł mu kilkumilimetrowy zarost i przypominał jednego z tych lunatycznych ojców, którzy wychodzili w weekendy z domów szeregowych na naszym osiedlu, mocowali półki w garażu i myli samochód na wpół śpiący i odrętwiali. Mój ojciec zajmował się wtedy myciem taksówki. Prawie wszyscy ojcowie z sąsiedztwa okazywali się bardziej atrakcyjni, gdy szli do pracy i wracali, niż kiedy byli w domu, z tą różnicą, że mój musiał być ponadprzeciętnie przystojny, bo kiedy przychodził po mnie do szkoły, nauczycielki, matki innych dzieci, a nawet same dzieci pytały mnie: „To twój ojciec?”. Jeśli chciałam gdzieś zwrócić na siebie uwagę, musiałam tylko poprosić go, żeby ze mną poszedł. U jego boku nabierałam pewnego blasku. Jednak mój ojciec nie miał za grosz poczucia estetyki i nie uważał się za nikogo specjalnego. Nie zdawał

sobie sprawy, że jest osobą, która podoba się innym, przejmował się tylko pracą.

Poszłam za nim do jadalni, gdzie otworzył na mahoniowym stole teczkę z ważnymi dokumentami, tę świętą teczkę, która podzieliła świat na przed i po, a moich rodziców na tych dawnych i na tych skrywających tajemnicę. Nigdy nie zapomnę tamtego popołudnia. Matka zabrała Ángela na karate i miała wrócić dopiero za półtorej godziny, bo ona także korzystała z okazji, żeby popływać, zanim go odbierze.

Moją matkę, Robertę, wszyscy nazywali Betty. Miała nerwicę i lekarz zalecił jej, żeby dużo ćwiczyła. Biegała, pływała, tańczyła. Ja wcale nie lubiłam, jak tańczyła, bo przychodził taki moment, kiedy zaczynała płakać i nie było wiadomo, czy ze smutku, czy z radości. Lekarz poradził jej również, żeby otoczyła się kwiatami, dzięki czemu dom wydawał się bardzo wesoły. Skrzynki z kwiatami i doniczki stały na werandzie, na parapetach, na meblach, a w miejscach, do których nie docierało światło, umieściła kwiaty z plastiku i z materiału.

Tak więc byliśmy sami, mój ojciec i ja, z otwartą na stole teczką, gdy ktoś do niego zadzwonił. Wszedł rozmawiać do ogrodu przez telefon bezprzewodowy i zaczął od stwierdzenia, że za taką kwotę nawet nie wkłada kluczyka do stacyjki. Ja zostałam w pokoju. Nudziło mi się i nie myślałam o niczym, kiedy pogłodziłam ręką mahoniowy blat stołu i skórzaną powierzchnię teczki. Z zewnątrz dochodził głos ojca. Mówił i mówił. Coś mnie podkusiło, żeby całkiem rozłożyć teczkę, i odkryłam, że składa się z czterech części, nie z trzech, jak mi się dotąd wydawało. Chciałam się przekonać, jaka jest długa, i właśnie wtedy zobaczyłam, że z jednej przegródki wystaje róg czegoś, co wyglądało na fotografię. Wyjęłam ją ostrożnie czubkami palców, jakby parzyła, i obejrzałam dokładnie, nie wiedząc, co o tym myśleć.

Patrzyłam na dziewczynkę podobną do mnie, tylko starszą. Ja miałam prawie dziesięć lat, a ta druga pewnie dwanaście. Miała włosy wpadające w blond, obcięte na wysokości uszu, z grzywką i okrągłą twarz osadzoną na długiej, chudej szyi, przez co sprawiała wrażenie zarozumiałej. Kim była ta dziewczynka? Co robiła w miejscu, gdzie przechowuje się ważne rzeczy? Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki z bluzką włożoną do środka i pantofle, a w rękach trzymała piłkę.

Nagle przestałam słyszeć ojca. Rozłączył się, więc zostawiłam zdjęcie tam, gdzie

było, z wystającym rogiem, a teczkę w takim stanie, w jakim ją zastałam. Miałam wrażenie, że zrobiłam coś złego, dowiedziałam się czegoś, o czym nie powinnam wiedzieć, i za nic na świecie nie chciałam zaniepokoić ojca ani go zmartwić – miał już wystarczająco dużo problemów z pracą – tym, że zajrzałam gdzieś, gdzie nie powinnam zaglądać.

Wyszłam do ogrodu. Ojciec ziewnął jak lew.

– Verónico – powiedział – przynieś mi z lodówki piwo, najzimniejsze, jakie znajdziesz.

Nawet by mi przez myśl nie przeszło, żeby zapytać go, kim jest ta dziewczynka: szósty zmysł ostrzegł mnie, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym jej nie odkryła. Puszka była oszroniona i parzyła mnie w palce, kiedy szłam z kuchni do ogrodu.

Przyglądałam się ojcu, jak pije piwo, mrużąc oczy. Upał ustępował. Ach! – powiedział z zadowoleniem, kiedy skończył przełykać. Otarł kąciki ust palcami i poprawił okulary, żeby na mnie popatrzeć, jakby wreszcie się do końca obudził. Blask z zewnątrz oddalał się od nas niczym fala.

Od tej chwili teczka z krokodylej skóry leżąca pod kocem na najwyższej półce szafy zaczęła wysyłać bardzo silne światło, które docierało do mnie niezależnie od tego, w jakiej części domu byłam. To światło wdzierało mi się do głowy i kazało mi iść do suszarni po aluminiową drabinę, zaciągnąć ją do sypialni rodziców, poszukać kluczyka, wejść na stopnie, zdjąć teczkę, otworzyć ją na łóżku, na kołdrze w duże zielono-niebieskie kwiaty, i jeszcze raz popatrzeć na tamtą fotografię, która mnie hipnotyzowała i którą w końcu znałam na pamięć w najdrobniejszych szczegółach. A kiedy w sypialni zjawiał się mój brat albo przeczuwałam, że rodzice mogą w każdej chwili wrócić, robiłam to wszystko w odwrotnej kolejności. Po zamknięciu teczki solidnie potrząsałam kluczykiem w szkatułce na biżuterię i znów taszczyłam drabinę.

Dziewczynka ze zdjęcia miała na imię Laura. Tak było napisane na kartce charakterem pisma mojej matki. To imię wydawało mi się znajome. W domu nieraz je wymawiano, ale zanim odkryłam zdjęcie, nie zwracałam na nie uwagi. Rodzice, kiedy rozmawiali o swoich sprawach, prawie zawsze wspominali o przyjaciółach, których ja

nie znałam i z pewnością nigdy nie miałam poznać. O kolegach z pracy ojca, o kimś mającym cudzoziemskie imię i o przyjaciółkach matki z czasów panieńskich. W moim domu więcej było ludzi niewidzialnych niż rzeczywistych. Poza tym moja matka nie była zbyt towarzyska i jej przyjaźnie trwały krótko. Najwierniejsza była pewna przyjaciółka o imieniu Ana, która miała kudłatego psa. Mówiliśmy o niej Ana, ta od psa. Oprócz tego, że pożyczyła moim rodzicom pieniądze na spłatę ostatnich rat za taksówkę, wysłuchiwała mojej matki z wielką cierpliwością i przyznawała jej rację we wszystkim. W domu byliśmy jej za to bardzo wdzięczni, bo przez ten czas Betty była normalną kobietą, z normalną przyjaciółką, której opowiadała o swoich sprawach.

Podobał mi się charakterystyczny sposób, w jaki Ana dzwoniła do drzwi, trzema krótkimi dzwonkami, jakby używała szyfru. Pies był bardzo duży i trzeba go było wyprowadzać na werandę, żeby nie zostawiał na wszystkim sierści. Bawiłam się z nim, dawałam mu herbatniki i drażniłam go. Miał czarne błyszczące oczy i różowy język, z którego kapła ślina. Zdarzało się, że Gus, bo tak się wabił, patrzył na mnie uważniej niż jakakolwiek istota ludzka. W końcu oczy to oczy. Oczy psa czy oczy człowieka, ale tak czy inaczej oczy, są stworzone do tego, żeby na siebie patrzeć i się rozumieć.

Co mi chcesz powiedzieć, Gus? – spytałam go, równocześnie widząc przez szybę, jak moja matka otwiera przed Aną teczkę z krokodylej skóry. Mama, żeby zdjąć ją z ostatniej półki, nie musiała przynosić drabinki do sypialni. Wystarczyło, że stanęła na jednym z foteli obitych niebieskim materiałem i wspięła się na palce. Nie była bardzo wysoka, miała metr sześćdziesiąt pięć, ale w butach na obcasach wydawało się, że jest. Rzecz w tym, że nigdy ich nie wkładała. Prawie zawsze nosiła sznurowane botki ukryte pod dżinsami albo pantofle w lecie, a włosy wiązała w koński ogon, żeby nie musiała ich układać. Dzisiaj, ponieważ było gorąco, włożyła szeroką sukienkę, którą Ana przywiozła jej z jednej ze swoich podróży do Tajlandii. Była biała i prześwitująca, z wzorem z kryształków na piersi. Mama nie malowała się, chyba że z okazji mojej komunii i komunii mojego brata, a wtedy zmiana była oszałamiająca. Właśnie dlatego jej przyjaciółka Ana mówiła jej od czasu do czasu, że aby ją kochano, najpierw musi pokochać samą siebie. Ta uwaga wydawała mi się

głupia, bo przecież my kochaliśmy moją matkę, Ángel, ojciec i ja.

Mama wyjęła zdjęcie Laury, którego studiowania ja miałam już dosyć, i rozejrzała się dokoła, żeby sprawdzić, czy mnie nie ma w pobliżu. Ja z kolei udawałam, że głaszczę Gusa po grzbiecie, ale nie spuszczałam oka z jadalni: Ana patrzyła na zdjęcie i na moją matkę z wielką uwagą, bardzo poważnie, bez mrugania, pozwalając, żeby papieros dopalał się jej między palcami. Ana była wysoka, zgrabna, miała krótkie czarne włosy z kilkoma srebrnymi, posiwiałymi przedwcześnie pasemkami i sprawiała wrażenie, jakby zawsze bujała w obłokach. W niczym nie przypominała mojej matki, była niesamowicie rozrywkowa. Paliła jak smok, a popiół zawsze spadał jej na sofę. Nie używała popielniczki. Zaciągała się, aż papieros zmieniał się w popiół, a potem się kruszył, ale jej było wszystko jedno. Wyglądało, że jest przyzwyczajona robić to, na co ma ochotę. Uważaliśmy, że jest bardzo bystra. Doskonale prowadziła, prawie tak samo dobrze jak mój ojciec, po wąskich ulicach z samochodami stojącymi w dwóch rzędach. Potrafiła zaparkować w jakiegokolwiek luce. Czasami wjeżdżała do połowy chodnika i zostawiała samochód niemal oparty o ścianę. Dokładnie znała miasto: zagubione uliczki, bary, restauracje, sklepy, kliniki, zakłady fryzjerskie. Ten świat nie miał przed nią tajemnic.

To było okropne popołudnie, nawet Gus miał się na baczności, strzygąc uszami, jakby w każdej chwili miał przystąpić do działania. Napięcie było wszechobecne. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym nie zwracać uwagi na to, co się działo. Coś niecoś wiedziałam, a zbyt dużo podejrzewałam. Kim była ta dziewczynka? Zgodziłabym się nie chodzić przez rok do kina w zamian za możliwość wysłuchania historii, którą matka opowiadała Anie. Opowiadanie najwyraźniej wcale nie przychodziło jej łatwo, bo chwytła się rękami za głowę, płakała, ponownie sprawdzała, czy nie ma mnie w pobliżu, zapalała następnego papierosa, którego rozgniatała po minucie. Jeszcze raz pokazała fotografię, którą Ana wzięła w palce z obawą. Przyjaciółka pokręciła przecząco głową, jakby mówiąc „to niemożliwe”, a moja matka westchnęła i przeciągnęła grzbietem dłoni po nosie. W końcu zamknęła teczkę kilkoma zdecydowanymi ruchami i zabrała ją z powrotem do sypialni, podczas gdy Ana wpatrywała się w przeciwległą ścianę. Widocznie przyglądała się stolikowi pod telewizor i stojącym wokół książkom. Pewnie była wyczerpana z powodu

melodramatycznej scenki, jaką odegrała przed nią przyjaciółka. Potem podciągnęła nieco rękaw swetra i popatrzyła na zegarek. Wstała. Nagle zaczęło jej się śpieszyć. Chodziła z jednego końca jadalni na drugi, pocierając ręce, jakby zamierzała sobie zedrzeć skórę.

Zanim moja matka wróciła, Ana przyszła na werandę po psa.

– Tutaj jesteś? – zapytała zaniepokojona, widząc mnie z Gusem.

Skupiłam się na tym, żeby wrócić do głaskania kudłatego grzbietu: było jasne, że wolałaby, abym nic nie wiedziała o zdjęciu Laury, więc nie chciałam popełnić gafy.

– Myślałam, że wyszłaś.

– Nie, zostałam, żeby pobawić się z tym dzikusiem. Gdzie mama?

– Chyba w kuchni albo w łazience.

Prawdę mówiąc, krępowало mnie, w jaki sposób Ana mi się przyglądała, bo przecież doskonale wiedziała, że moja matka właśnie chowa teczkę w sypialni. Sprawiała wrażenie, jakby chciała, żebym zniknęła pod wpływem jej wzroku.

– Myślałam, że poszłyście na spacer – powiedziałam, bo przyszło mi do głowy, że to ją uspokoi.

– Nie, rozmawiałyśmy – odpowiedziała już bardziej odprężona, biorąc w palce jeden z moich loków.

Ana zawsze mówiła, że mam śliczne włosy, marzenie każdej dziewczyny. Przypominały włosy mojej matki. Były czarne i kręcone, pełne loków na karku i na skroniach. Ana lubiła ich dotykać, wkładać w nie rękę i trzymać ją tam przez kilka sekund. W tej chwili jednak ulżyło mi, kiedy wreszcie przestałam czuć jej dotyk.

Gdy wieczorem wrócił mój ojciec, zauważył, że coś jest nie w porządku.

– Opowiedziałam jej – stwierdziła matka, gdy tylko wszedł do kuchni.

Ojciec grał na zwłokę, myjąc ręce detergentem do zmywania naczyń. Potarł wilgotnymi dłońmi twarz i w końcu popatrzył na żonę.

Ja odrabiałam lekcje przy dębowym stole kuchennym i ledwie uniosłam głowę znad zeszytu: nie chciałam, żeby zwrócili na mnie uwagę i kazali mi wyjść. Miałam już na sobie pizamę i zjadłam wcześniej kolację z bratem, który teraz oglądał

telewizję.

– Może ona mogłaby nam pomóc.

Ojciec się skrzywił. Twarz mu spochmurniała. Zmienił się w głąz ze smutnymi oczami.

– Można dostać kolację? – zapytał poirytowany.

– Tak – odparła matka, kładąc przed nim z trzaskiem talerz spaghetti.

Na stół spadło kilka kropel sosu pomidorowego. Całe szczęście, że nie był to ten porządny stół z jadalni, bo wtedy naprawdę doszłoby do katastrofy. Na kuchennym można było tańczyć i nic się działo. Ojciec rozłożył dłonie, jakby próbował zatrzymać burzę.

– Miałem ciężki dzień. Mało brakowało, żeby mnie okradli.

Podejrzewałam, że chciał w ten sposób powstrzymać matkę.

Ona też nałożyła sobie makaronu na talerz i oboje zaczęli jeść w milczeniu, nie patrząc na siebie.

Nadeszła chwila, żeby zamknąć zeszyt i pójść pooglądać telewizję z Ángelem. Rozsiadłam się na sofie i patrzyłam na ekran, nie myśląc o tym, co widzę. Ángel miał dużo szczęścia: o niczym nie wiedział, żył w nieświadomości, przejmując się tylko jedzeniem i zabawą. Rozśmieszyło go coś w telewizji i spojrzał na mnie, żeby się przekonać, czy też się śmieję. Bardzo mu zależało na mojej opinii. Zawsze obserwował ukradkiem, czy coś mi się podoba, czy nie, czy bawi mnie to, co powiedział, czy nie, czy podoba mi się to, co rysuje.

Z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy, nawet brzęk talerzy, szklanek czy sztućców, jakby nasi rodzice umarli. Musiało ich kosztować wiele wysiłku przełamanie tak głębokiej ciszy, ciszy podobnej do tej, która panuje w morzu, kiedy się nurkuje i niczego nie słychać.

Ángel nadal siedział z boku, równocześnie obserwując moje ruchy i oglądając telewizję. Był bardziej niż chudy. Nie dało się nic zrobić, żeby jego ramiona i nogi nabrały trochę kształtu, choćby mama nie wiadomo jak często zaprowadzała go na karate. Jego blond włosy robiły się coraz ciemniejsze i gdy dorośnie, chyba całkiem zmieni się w bruneta, więc będzie się wydawał inną osobą. Mój ojciec też był kiedyś

blondynem, a teraz miał włosy prawie kasztanowe, ale oczy niebieskie. Na zdjęciach z dzieciństwa miał pucułowatą twarz, która wyglądała tak, jakby nigdy nie miała zmęźnieć, a jednak zmęźniała do tego stopnia, że widać mu było wszystkie kości twarzy.

– Odrobiłeś lekcje? – spytałam brata, żeby tylko coś powiedzieć.

Jak można się było spodziewać, Ángel nie odpowiedział i wygodniej rozsiadł się na sofie. Siedzieliśmy tak przez kilka sekund, a potem odwróciliśmy twarze w stronę korytarza prowadzącego do kuchni. Dobiegał stamtąd cichy płacz. Mógł to być płacz albo stłumiony śmiech. Być może rodzice zrobili jedną z tych rzeczy, które robią dorośli, obejmując się nagle i przechodząc od smutku do radości. Oby, ale wydawało się to nieprawdopodobne. Byli uparci i nie lubili ustępować, a przede wszystkim trudno im było przełamać głębokie milczenie, jakby od tego przełamywania miał się zawalić świat.

Ángel znów odwrócił twarz w stronę telewizora. Zaniepokojoną twarz dziecka, które nie chciało się niepokoić. Gdyby mnie przy tym nie było, zatkałby sobie uszy. Był płacz, a potem cisza. Teraz kran. Pewnie matka myła sobie twarz. Co robić? Iść czy zostać? Nie chciałam ich widzieć w takim stanie, ale też nie chciałam uciec do swojego pokoju. Postanowiłam zostać z Ángelem. Do salonu zbliżały się kroki czterech bosych stóp. Telewizor zaczął grać głośniej, bo nadawali reklamy.

– Ana jest bardzo bystra, na pewno coś wymyśli – powiedziała mama i opadła nagle na sofę, jakby zamierzała ją połamać. – Jak mam być spokojna, Danielu, jak mam być spokojna?

Mojemu ojcu przesłoniło oczy niewidzialne bielmo i zaczął patrzeć na świat tak, jakby życie nie było warte zachodu. Można było czytać w jego myślach: pracować, znosić kaprysy klientów, siedzieć za kierownicą przez cały dzień, tolerować paru kolegów, na których nie może się patrzeć, troszczyć się o szkołę dzieci, o ich wykształcenie, ich przyszłość, o to, żeby były dobrze ubrane i żeby niczego im nie brakowało, być na bieżąco ze wszystkimi rachunkami, starać się wyciągać Betty z czarnej studni, do której czasami wpadała. Ale to nie wystarczało, nigdy nie wystarczało, bo niezależnie od tego, jak dobrze wszystko się układało, jak dobrze stawiało się czoła życiu, zawsze, absolutnie zawsze była jakaś niezłałatwiona sprawa.

A ja wiedziałam, co to za niezłałatwiona sprawa. Laura. Z dziewczynką ze zdjęcia działało się coś poważnego.

– Ana zaproponowała mi pracę, żebym się rozerwała.

Ojcu zniknęło niewidzialne bielmo z oczu i trochę się ożywił. Życie znów było warte zachodu.

– Znalazłoby się dla mnie miejsce w firmie jednego z jej przyjaciół, sprzedającej po domach ekskluzywne produkty dietetyczne. Mówi, że zanim się człowiek połapie, uciula z tego na pensję.

– Przydałaby się nam – powiedział ojciec, biorąc żonę w ramiona.

Ángel obserwował tę scenę, jakby miał oczy dookoła głowy. Oglądał telewizję oczami na twarzy i równocześnie patrzył na rodziców a to oczami na karku, a to oczami z boku głowy. Był inteligentniejszy, niż się wydawało, dlatego dobrze by było, żeby nie usłyszał imienia dziewczynki i nie zadawał pytań.

– Wygląda na to, że mogę co miesiąc dostawać dla nas kilka buteleczek z multiwitaminami za pół ceny. Działają wzmacniająco.

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę Ángela, a Ángel powiedział, że on nie zamierza łykać tego świństwa.

Postanowiłam, że następnym razem będę dużo miłsza dla Any i dla Gusa, bo dzięki niej moi rodzice wyszli właśnie z piekła, przynajmniej na tę noc.

2. LAURA

Kiedy wyprowadzałyśmy się z naszego dawnego domu w dzielnicy El Olivar, ja miałam dwanaście lat, moja matka była młoda, a moja babcia Lilí nie jeździła na wózku inwalidzkim. Trudno było trafić do tego domu. Stał na końcu pochyłości po prawej stronie, wśród drzew i bluszczu, więc jeśli się nie wiedziało, że mieszkają tam ludzie, można go było przeoczyć. Przychodził tu tylko listonosz i ci, którzy odczytywali liczniki prądu, gazu i wody. A kiedy ktoś miał nas odwiedzić, trzeba mu było tłumaczyć tysiąc razy, jak trafić. Tak było ze wszystkim. Codziennie rano przystanek autobusowy zapełniał się sąsiadami, którzy wyłaniali się z zarośli w garniturach i w butach na obcasie, podobnie jak nasz samochód, który wyjeżdżał z zapalonymi reflektorami w zimie i z opuszczonymi szybami w lecie, żeby wpuścić do środka świeże powietrze i zapach podlanych grządek.

I nagle pewnego dnia musiałyśmy się wyprowadzić, a ja musiałam zmienić szkołę. Lilí i mama powiedziały, że wygodniej jest mieszkać nad sklepem obuwniczym, rodzinnym interesem, we wspianym mieszkaniu i nie musieć przejeżdżać tylu kilometrów. Ale nie potrafiły ukryć, że są rozgniewane, bo wydarzyło się coś, o czym rozmawiały, kiedy mnie nie było, albo wydawało im się, że mnie nie ma. Wiadomość, która wyróciła do góry nogami nasze życie, przyniosła im Ana. Nazywałam ją czasami ciocią, chociaż w rzeczywistości nie była moją ciocią. Zjawiała się u nas pewnego dnia z dość poważną miną, mówiąc, że nigdy nie przyszłoby jej do głowy, iż coś takiego może się zdarzyć, i zaraz kazano mi iść się bawić do ogrodu. Patrzyłam przez szklane drzwi salonu na Anę, która chodziła tam i z powrotem z papierosem w ręku, oraz na Lilí i mamę, które słuchały jej na siedząco. Przeprowadziłyśmy się tydzień później o świcie i umieściłyśmy wszystkie meble w mieszkaniu przy ulicy Goi, nad sklepem obuwniczym. Poprzedniego dnia przez całe popołudnie zbierałam swoje rzeczy, a o piątej rano przyjechali ludzie od przeprowadzki. Byłyśmy poważne, smutne i rozdrażnione. Nie patrzyłyśmy na siebie. Nie pozwoliły mi się pożegnać z przyjaciółmi z sąsiedztwa ani mówić w nowej szkole, gdzie mieszkam. Powiedziały mi, że nikogo nie obchodzi nasze życie i że nie

chcą, aby nowi właściciele willi zawracali nam głowę skargami. Milczenie przychodziło mi bez większego trudu, bo nie miałam w zwyczaju opowiadać o rodzinie. Stałam się jeszcze bardziej dyskretna i zawsze myślałam o tym, co zamierzam powiedzieć, zanim otworzyłam usta. A kiedy zapomniałam o tej zasadzie, czułam, że zdradzam swoją rodzinę i siebie samą i że jestem nieodpowiedzialna.

Każdy lubił Lilí, ale mało kto potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo jest podejrzliwa – jakby kiedyś przytrafiło jej się coś strasznego, o czym nie da się opowiedzieć. Odkąd zaczęłam rozumieć, co się do mnie mówi, słyszałam, jak mi powtarza, żebym nikomu nie ufała i nie rozmawiała z nieznajomymi. Mówiła mi, że ludzie zawsze czegoś chcą, a my rzadko wiemy, o co tak naprawdę im chodzi. Kiedy szłam do szkoły, przypominała mi, żebym uważała i nigdy nikomu nie mówiła, na jakiej ulicy mieszkam ani jak się nazywam. Mówiła też, że nie mam po co rozmawiać z obcymi, i opowiadała mi historie mające związek z dziećmi, które chciano porwać. Nabrałam zwyczaju, który zachowałam do dziś, żeby nie otwierać drzwi od ulicy, nie zapytawszy wcześniej, kto tam.

Oprócz mojej matki Grety i babci Lilí moja rodzina składała się z ciotki Glorii, jej męża Nila i mojej kuzynki Carol, aktorki, oraz kuzynek mojej matki, z których jedna była starą panną, a druga wdową i miała dwie córki, Catalinę i drugą, która zmarła, kiedy miałam dziesięć lat. Miała na imię Sagrario. Sagrario była kobietą tak delikatną i dyskretną, że prawie nikt nie zauważył, że umarła. Ja zapamiętałam ją z tego, że przyglądała mi się uważnie, a potem uśmiechała się do mnie, jakby chciała mi coś zakomunikować myślą albo jakby widziała we mnie coś bardzo dziwnego. Całą uwagę innych skupiała na sobie Catalina, a biedna Sagrario zadowalała się swoją maleńką i krótką rolą w życiu. Młodszy brat Lilí miał na imię Alberto i miał syna, któremu też było na imię Alberto. Alberto I i Alberto II kojarzyli się z uroczystościami. Nic nie było o nich wiadomo do czasu, aż pojawiali się w czarodziejski sposób na urodzinach albo na pogrzebie, jakby nie istnieli w żadnym innym miejscu we wszechświecie. Taka była mniej więcej moja najbliższa rodzina, cała ze strony matki, bo mój ojciec zniknął z pola widzenia, zanim się urodziłam. Do tego stopnia się o nim nie mówiło, iż miałam wrażenie, że nigdy nie istniał i że moja matka i babcia zrobiły mnie własnymi rękami. Najbardziej lubiłam swoją kuzynkę

Carol, dlatego że spędziłyśmy razem wiele wakacji, dlatego że żadna z nas nie miała siostry i dlatego że była tylko trzy lata starsza ode mnie. Podziwiałam ją.

Od dziesiątego do dwunastego roku życia, zasypiając każdej nocy, modliłam się, żeby nikt z mojej rodziny nie umarł, zapominając, że biedna Sagrario już umarła. Chwilowo moje prośby zostały wysłuchane. A skoro tak bardzo chciałam, żeby wszystko pozostało bez zmian, to znaczy, że z pewnością byłam szczęśliwa.

Szczęśliwsza mogłabym być tylko wtedy, gdyby zakochiwano się we mnie tak, jak zakochiwano się w Carol. Nie musiała nic robić, żeby zwracano na nią uwagę. Miała świetną prezencję: gdy wchodziła do jakiegoś pomieszczenia, miało się wrażenie, jakby weszło dwadzieścia dziewcząt. Gdy ściągała gumkę do włosów i potrząsała głową, a powietrze wypełniało się delikatnością, blaskiem i zapachem, patrzyliśmy na nią jak na jakąś wyższą istotę. Ja bałam się, że mogę być taka jak Sagrario, dlatego czasami próbowałam naśladować Carol. Usiłowałam być bardzo sympatyczna, naturalna i spontaniczna, żeby nie przechodzono obok mnie obojętnie, ale nie wywoływałam takiego samego efektu jak ona, a poza tym w końcu strasznie mnie to męczyło. Ja byłam raczej uprzejma i rozsądna, chociaż niewiele miało mi z tego przyjść, skoro nie umiałam rozpoznać i zinterpretować sygnałów, które wysyłało mi życie.

3. CZERWONA SUKIENKA VERÓNIKI

Moja matka podeszła z entuzjazmem do swojej nowej pracy akwizytorki. W firmie wyznaczono jej cele i wracała wieczorami kompletnie wyczerpana. Nie miałam innego wyjścia jak nauczyć się robić spaghetti dla brata i dla siebie, a po kilku dniach przygotowywałam je także dla rodziców. Zostawiałam im je na blacie kuchennym pod przykrywką do sera. Robiłam spaghetti po bolońsku, à la carbonara, z czterema serami. Nie chciałam, żeby moja matka znalazła jakąś wymówkę, aby znów zostawać w domu i pogrążyć się w melancholii. A tak wydawało się, że żyje podobnie jak reszta kobiet na tym świecie. Ángel z czasem tak się przyzwyczaił do mojego jedzenia, że już mu nie smakowało to, co robiła matka. Lubiliśmy spędzać czas we dwoje, sami, odrabiając lekcje w kuchni, kiedy gotował się makaron. Czasami matka nalegała, żebyśmy spróbowali produktów z alg i tofu z jej firmy, a my wyrzucaliśmy je do śmieci, gdy jej nie było, i przykrywaliśmy gazetą. Nie chcieliśmy, żeby miała wątpliwości, iż ludziom smakuje to, co sprzedaje.

Miałam za zadanie odprowadzać brata na karate, ale nasza dwójka zawarła ze sobą umowę, że będzie chodził sam, bardzo ostrożnie, rozglądając się dobrze na prawo i lewo, zanim przejdzie przez ulicę. Wszystkie dzieci w jego wieku tak robiły. Jeździły po całym osiedlu na rowerze. Biegały jak szalone z jednego końca na drugi. Nikt nie był przy nich przez cały czas. Jednak moja matka nie potrafiła dostrzec, że jej dzieci rosną. Nie rozumiała, że życie trzeba odkrywać samemu. Kiedy ja miałam osiem lat jak Ángel, okłamywałam matkę, mówiąc jej, że bawię się u innej dziewczynki i że matka tej dziewczynki odprowadzi mnie wieczorem do domu, podczas gdy w rzeczywistości spędzałam czas na ulicy i wracałam sama, gdy już się ściemniło, przechodząc na światłach, przez przejścia dla pieszych i robiąc wszystko to, co moja matka uważała za zabójcze. Natychmiast zrozumiałam, że obawy mojej matki są przesadne i że trzeba z nimi walczyć przebiegłością. Szło mi jak po grudzie, ale zdołałam prowadzić życie normalnej dziewczynki, a nawet miałam więcej swobody, gdyż matka o niczym nie wiedziała. Zawsze była roztargniona, bo być może myślała o tej innej dziewczynce ze zdjęcia, Laurze, dużo wcześniej, niż ja

dowiedziałam się o jej istnieniu, albo Bóg wie o czym. Gdyby chociaż moja matka miała rodzeństwo, mogłaby dzielić się z nim swoimi obawami, ale była jedynaczką, a jej rodzice, babcia Marita i dziadek Fernando, mieszkali w Alicante. Nieliczna rodzina, zarówno ze strony matki, jak i ze strony ojca, mieszkała daleko, w innych miastach, i widywaliśmy się co najwyżej na Boże Narodzenie. Moja matka nie była osobą rodzinną, nie była sentymentalna i nie wariowała na punkcie wyjazdu do Alicante w odwiedziny do rodziców ani nie chciała, żeby oni przyjeżdżali na kilka dni tutaj. Kiedy ojciec i ja robiliśmy jej czasem wyrzuty, mówiąc, że oni muszą się czuć bardzo samotni tak daleko, odpowiadała nam, że jej rodzice nie mają zielonego pojęcia, co to znaczy czuć się kompletnie samotnym. I w ten sposób uznawało się temat za zamknięty.

Ángel zawsze trzymał się z dala od problemów. Przysłuchiwał się i przypatrywał tym scenom, jakby były małą sztukami teatralnymi pośrodku życia. Wielokrotnie zastanawiałam się, jak będzie wyglądał, gdy dorośnie i włoży garnitur i krawat. Teraz miał włosy koloru miedzi, jak kable elektryczne, gładkie i bardzo cienkie. Włosów, które zostawały na szczotce, prawie nie było widać. Oczy też miał miedziane, a białka niebieskawe. Nogi zaś tak chude, że tańczyły w nogawkach. Był wysmukły, chęlny i skupiony, jakby budował życie swoim umysłem. Nie był tak efektowny jak bracia moich przyjaciółek. A ja musiałam go ciągnąć ze sobą praktycznie wszędzie. Razem chodziliśmy do szkoły i razem wracaliśmy. Zabierałam go do parku ze swoimi przyjaciółmi. Najbardziej przypominał cię. Nie można było powiedzieć, że idziemy razem, tylko że Ángel kroczy za mną, powłócząc nieco nogami. Doskonale wiedział, co mu wolno: odzywać się tylko wtedy, gdy się go o to prosi, słyszeć, widzieć i milczeć. Podobnie jak większość młodszych braci, otaczała go aura powagi. Wydają się lepszymi obserwatorami niż starsi bracia, a ich świat stanowi tajemnicę.

Im więcej moja matka pracowała, tym bardziej była wyczerpana, a im bardziej była wyczerpana, tym więcej swobody mieliśmy ja i Ángel. Zaczęłam dochodzić do wniosku, że dorośli są w gruncie rzeczy potrzebni tylko do przynoszenia pieniędzy. Mój ojciec, Daniel, korzystał z wielkiej aktywności swojej żony, żeby spędzać więcej czasu w taksówce. Życie toczyło się naprzód, a Ángel miał coraz silniejsze łydki

i zdrowszą cerę. Chodził się bawić coraz dalej, więc musiał coraz więcej biegać, żeby dotrzeć do domu przed rodzicami. Ustaliliśmy, że gdyby któregoś dnia przypadkiem zaburzył się Układ Słoneczny, powiem, że brat bawi się w domu kolegi i ojciec tego kolegi odprowadzi go do domu. Uzgodniliśmy, że wróci najpóźniej o dziesiątej.

Jednak tamtego wieczoru, wieczoru zszarganych nerwów, Ángel nie wrócił ani o szóstej, ani o siódmej. Uczyłam się do nauk społecznych, robiąc równocześnie tagliatelle z grzybami. Na ogół najpierw wracał ojciec, koło ósmej, a o wpół do dziewiątej matka. Ojciec brał prysznic i zabierał się do czytania gazety, a czasami przyglądał mi się, jakby próbując dociec, w jakim kierunku zmierza jego rodzina. Mama, ledwie wchodziła przez drzwi, zdejmowała buty i rozrzucała je po przedsiionku. Kładła z głośnym trzaskiem walizeczkę z produktami kosmetycznymi oraz kluczyki do samochodu na marmurowym stoliku i zdejmując po drodze ubranie, szła w stronę sypialni. Brała prysznic, a potem, wracając, wszystko to zbierała.

– O Boże, co za dzień! – mówiła, całując męża.

Później szła do kuchni i przystawała na kilka sekund w progu, przyglądając się, jak uczymy się przy stole.

– Ależ ja mam szczęście. Ale mi się udało! Nikt na świecie nie ma takich dzieci jak moje. W firmie biję rekordy. Ana mówi, że szefowie są ze mnie bardzo zadowoleni. W tym roku pojedziemy na wakacje na cały miesiąc.

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego Ana też tam nie pracuje. Wydawało się, że to dobre zajęcie. Prawdę mówiąc, nie bardzo było wiadomo, czym się zajmuje Ana. Sprawiała wrażenie, jakby nie potrzebowała pieniędzy albo jakby nie musiała pracować, żeby je mieć. W dodatku wydawało się, jakby było całkiem normalną rzeczą, że moi rodzice muszą tyle pracować, a ona nie. Nikt ją o to nie wypytywał. Niektórzy ludzie są bogaci i nie muszą harować dzień za dniem, żeby zdobyć pieniądze. Nie muszą też się z tego tłumaczyć. Jedni rodzą się tacy jak moi rodzice, a inni tacy jak Ana. Co mnie czekało w przyszłości?

Jednak gdy nadszedł wieczór zszarganych nerwów i matka oparła jedną rękę na biodrze, a drugą o framugę drzwi kuchennych, żeby przyjrzeć się swoim cudownym dzieciom, Ángela nie było. Dochodziła dziewiąta. Pobiegł grać w piłkę o piątej, po zjedzeniu podwieczorku i pośpiesznym odrobieniu zadań z matematyki, a ja o ósmej

zaczęłam czuć łaskotanie w żołądku. Bo żołądek służył mi nie tylko do trawienia, ale także do uprzedzania mnie o nieoczekiwanych zmianach i nieszczęściach, jakbym miała tam mózg, do którego spływały dane gromadzone przez drugi mózg, i jakbym mogła przewidzieć, czy to, co się miało wydarzyć, będzie dobre, czy złe. Coś, co się miało wydarzyć teraz, było złe, ewidentnie złe. To łaskotanie prawie przyprawiło mnie o mdłości. Na razie matka nie zadawała pytań: pewnie myślała, że Ángel jest w swoim pokoju. Mózg w jej żołądku o niczym jej nie uprzedził. Zdjęła pokrywkę z półmiska z tagliatelle i podniosła jedną wstążkę do ust, żeby skosztować.

– Kiedy opowiadałam swoim klientkom, jak dobrze gotujesz, choć masz dopiero dziesięć lat, nie chcą wierzyć. Jedna złapała się za głowę, bo jej zdaniem dzieci nie powinny pracować, a ja jej odpowiedziałam, żeby nie mówiła głupstw, że dzieci muszą się nauczyć radzić sobie same.

Minęła dziewięć trzydzieści, zbliżała się za kwadrans dziesiąta. Uśmiechnęłam się do matki.

– Potem oddała mi puszkę alg, którą zamierzała kupić. Można się było spodziewać, że odpłaci mi za to, że tak jej odpowiedziałam – dodała.

Poczęstowała się kolejną wstążką makaronu, podczas gdy ja zbierałam podręczniki. Przeżuwała ją, ni to z powagą, ni to ze zdziwieniem.

– Co z Ángelem?

Udałam, że nie słyszę, i poszłam do swojego pokoju zostawić książki. Usiadłam na brzegu łóżka. Gdzie się podziewasz? Przyjdź już, proszę. Nie rób mi tego.

Wiedziałam, że jeśli nagle nie zadzwoni dzwonek, w ciągu kilku minut rozpęta się burza. Spojrzałam na zegar. Za pięć dziesiąta. W pokoju zjawiła się matka. W oczach miała błysk, który zapowiadał większy błysk, przeraźliwą eksplozję błysku.

– Co z Ángelem?

Delikatnie odsunęłam matkę ręką, żeby pójść do łazienki.

– Jest u kolegi. Jego ojciec za chwilę go przyprowadzi.

Odkręciłam kran. W łazience byłam bezpieczna, a mój brat mógł jeszcze przyjść. Nie powinnam mu była zostawiać tyle swobody. Ángel nie był taki jak ja. Ja nigdy nie doprowadziłabym do tego rodzaju sytuacji. Nigdy nie zablądziłam. Nieraz

wracałam z sercem podchodzącym do gardła od długiego biegu i nieraz myślałam, że dochodząc do bramy, zastanę pod domem samochodu policyjne, pogotowie i wszystkie te błyskające w ciemności światła oznaczające nieszczęście, których tak się bałam. Jednak w końcu moja matka otwierała drzwi i koszmar się kończył. Uznawała za pewnik, że ktoś dorosły odprowadził mnie do domu. Uznawała za pewnik, że jej córka nie miałaby odwagi, żeby oszukiwać ją w taki sposób.

Była już dziesiąta. Zamierzałam poczekać jeszcze kilka minut, myjąc zęby.

Zza drzwi dał się słyszeć głos matki:

– Mówisz, że kto go przyprowadzi?

Udałam głuchą. Jeszcze trochę tortur. To kara za to, że tyle kłamałam, że robiłam wariactwa. Za to, że zostawiłam brata samego. Teraz, kiedy moja matka tak dobrze się czuła i już prawie nie otwierała teczki z krokodylej skóry, musiało się wydarzyć to nieszczęście i ja ponosiłam za nie winę.

Dziesiąta dziesiąć.

Nie było innej rady jak wyjść z łazienki. Przebiegłam po niej wzrokiem, jakby to miał być ostatni raz, jakbym miała umrzeć albo jakby mnie mieli wyrzucić z domu. Flizy imitujące biały marmur z brązowymi żyłkami, podłoga z ciemnoniebieskiego gresu, wanna, sedes i umywalka – białe z napisem „Roca”. Szafka, niebieska jak podłoga, zawieszona na ścianie. Ryby z silikonu przyklejone do mozaiki i gwiazdy imitujące morskie głębiny. Kwiaty z materiału opadające kaskadami z góry niebieskiej szafki. Dzieliłam łazienkę z bratem, ale do niego należała tylko naturalna gąbka, szczoteczka do zębów i płaszcz kąpielowy. Cała reszta była moja. Środek odbarwiający do meszku na nogach i rękach, szminka, prezent od Any, tej od psa, spinki i gumki do włosów, różne szczotki i grzebyki, buteleczki z wodą kolońską, które dostawałam na urodziny i które od czasu do czasu przynosiła mi matka, chcąc mi zrobić niespodziankę, oraz płaszcz kąpielowy z różowego aksamitu z kapturem. Zawsze może się stać coś gorszego, pomyślałam, otwierając drzwi.

– Jest bardzo późno. Daj mi telefon do domu tego jego kolegi.

Udałam, że idę go poszukać.

Ojciec odłożył gazetę i przyciszył telewizor do poziomego szeptu. Wstał. Oboje stali

ze skrzyżowanymi ramionami, poważni. Zły znak. Zachowywali się w ten sposób w trudnych chwilach, kiedy mój brat albo ja byliśmy chorzy, kiedy ojciec nie miał pracy. Dlaczego wreszcie nie przyjdiesz, do diabła? Pomóż mi.

Wróciłam do salonu z pustymi rękami i poważnym wyrazem twarzy, smutna. Ojciec posłał mi pytające spojrzenie. Wystraszone spojrzenie. Matka wkładała dżinsy. Widocznie zareagował jej mózg w żołądku. Kolejny znak, że źle się dzieje: ubieranie się o nietypowej porze.

– Wyszedł się pobawić o piątej i jeszcze nie wrócił.

– To niemożliwe – powiedziała matka, przyglądając mi się uważnie i cedząc słowa, jakby myślała o wszystkich nieszczęściach na świecie, o wszystkich nieszczęściach w naszej rodzinie i o wszystkich nieszczęściach, do których ja potrafiłabym doprowadzić.

Zawsze mnie przerażało, kiedy musiałam zakomunikować coś ważnego rodzicom, zwłaszcza obojgu naraz. Właśnie w takich razach zdawałam sobie sprawę, że przede wszystkim tworzą drużynę, tworzą mur, który trzeba było pokonać.

– Dlaczego pozwoliłaś mu wyjść samemu?! – krzyknął ojciec, który nigdy nie widział nic złego w tym, że Ángel wychodził sam.

– Bo tak robią jego koledzy – powiedziałam, wybuchając płaczem.

– Teraz nie płacz – powiedziała matka, zawiązując sobie czym prędzej adidasy. – Nie czas teraz na łzy. Gdzie się zwykle bawi?

– Wszędzie – odparłam.

– Wszędzie? – zdziwił się ojciec.

– Tak, chodzą w głąb osiedla i wracają, czasem także ulicą na tyłach. Idą na drugą stronę do parku, żeby pograć w piłkę, a potem bawią się w domu któregoś z kolegów.

– Ależ ja byłam ślepa – powiedziała matka, patrząc na mnie z wyrzutem.

Oddałabym wszystko, żeby umrzeć i nie znosić tych katuszy. Już nigdy w życiu nie zaufają mi ponownie. Mogłabym się zabić. Jasne, że mogłabym to zrobić. Wbiłabym sobie nóż do krojenia mięsa na cienkie plasterki. Był tak ostry, że wcale nie musiałabym się wysilać. Albo połknęłabym wszystkie tabletki, które leżały na stolikach nocnych rodziców. Matka opychała się tabletkami na nerwy i ból głowy.

Żeby je kupić, trzeba było mieć receptę i pokazać dowód osobisty. Na pudełkach było napisane: „przechowywać w miejscu niedostępnym dla dzieci”, ale nie miało znaczenia, czy lekarstwa przechowywano w szufladzie, czy w jakimkolwiek innym miejscu. W domu nic nie było dla mnie niedostępne, żaden przedmiot, żaden dokument, żadne spojrzenie, żadne uczucie.

Mama jednym szarpnięciem otworzyła szafę w przedpokoju i wyjęła torebkę.

– Dokąd idziesz? – spytał ojciec.

Mama krztusiła się, mówiąc. Nawet nie mogła płakać. Przez głowę musiały jej przelatywać tysiące potwornych obrazów, które ścisnęły mnie za serce.

– Zaczekaj – powiedział ojciec. – Ja pójdę. Ty zadzwoń na policję.

Spełniała się koszmarna wizja świateł i syren policyjnych koło mojego domu, jakby to, co musiało się przytrafić, właśnie się przytrafiało, ale kiedy indziej i innej osobie.

Było po wpół do jedenastej.

Tato ubrał się szybko. Wrócił biegiem od drzwi, żeby wziąć portfel.

– A jeśli nam go odbiorą? – krzyknęła mama. – A jeśli ktoś go porwał? Mój Boże, to się nie może zdarzyć. Drugi raz nie może się zdarzyć.

– Dzwoń na policję – powiedział ojciec, trzaskając drzwiami.

Patrzyłam na matkę, która chodziła tam i z powrotem. Życie było cudowne jeszcze przed chwilą. A teraz było straszne.

– Mogłabym pójść go poszukać. Wiem, dokąd chodzi – powiedziałam.

– Oszalałaś? Nigdy! Słyszysz, co mówię? Nigdy nigdzie sama nie pójdziesz.

I wtedy zaczął się z niej dobywać bardzo dziwny płacz: właściwie nie był to płacz, lecz głębokie odgłosy udręki.

– Chcesz, żebym ja zadzwoniła na policję? – zapytałam.

Podawała mi telefon.

– Wyjaśnij im, co się stało, a potem ja porozmawiam – powiedziała urywanym głosem. – Teraz nie mogę...

Policja nie mogła nic zrobić. Chłopczyk pewnie się zgubił i błąka się gdzieś w pobliżu. Najlepiej pójść go poszukać, tylko niech ktoś zostanie w domu, na

wypadek, gdyby sam wrócił. Mama wyrwała mi telefon i powiedziała im, że nie mają sumienia i że jeśli jej syn się nie znajdzie, to będzie ich wina. Musieli być przyzwyczajeni do wysłuchiwania takich rzeczy, bo nie za bardzo się przejęli jej słowami.

Minęła godzina, w ciągu której świat stopniowo się walił, cegła po cegle, dziecko za dzieckiem. Komiksy mojego brata, tenisówki na werandzie, spodnie w koszu na rzeczy do prasowania. Aż do tej pory nie zwracałam uwagi na te wszystkie miejsca, w których był Ángel, albo rzeczy Ángela, albo niewidzialne ślady Ángela. Telewizor nadal grał z wyłączonym głosem.

Nagle matka wzięła torebkę i powiedziała, że dłużej tego nie zniesie.

– Idę go poszukać. Ty się stąd nie ruszaj.

Przeszłam się po domu, nie bardzo wiedząc, co robić. Przemierzyłam mieszkanie centymetr po centymetrze, jakbym widziała je po raz ostatni. Weszłam do pokoju Ángela i popatrzyłam na plakaty z motocyklami. Na zeszyty poukładane na biurku i miniatury motocykli na regale, piłkę w rogu, na torbie z rzeczami do karate, i na rozścieloną kapę. Zanosilo się na to, że Ángel będzie tak samo pedantyczny jak nasi rodzice. Żadne z nich trojga nie potrafiło się oprzeć odruchowi porządkowania rzeczy, zbierania tego, co leżało na środku, wieszania ubrań na wieszakach, składania koszul i swetrów i wkładania ich do odpowiednich szuflad. W łazience Ángel trzymał swoje trzy rzeczy na krzyż w idealnym porządku, podczas gdy moje były tak pomieszane, że czasami miałam je przed nosem i nie mogłam ich znaleźć. A jeśli już nie zobaczymy Ángela? Na drzwiach był namalowany księżyc z kraterami. Ángel chciał zostać astronomem, jak dorośnie, a ja zamierzałam mu sprezentować teleskop na urodziny. Po raz pierwszy w trakcie tej tragedii naprawdę myślałam o bracie. Do tej pory cała moja uwaga skupiała się na niepokoju matki, potem ojca, a później na poczuciu winy. Teraz myśl, że mogło mu się przytrafić coś złego, że nigdy nie trafi do domu, że przejechał go samochód, była tak ogromna, że wychodziła z głowy i zajmowała wszystkie pokoje, przyklejała się do tapet, do zabawek mojego brata, do talerzy, do sofy z imitacji skóry, wciskała się we wszystkie kąty i między kartki książek. Nie wiedziałam, czy zdołam znieść coś tak strasznego. Było niemożliwe, żeby przytrafiło się nam to nieszczęście, więc uklękłam, prosząc Boga, by zwrócił

nam Ángela z tymi jego chudziutkimi nóżkami i ochotą, żeby mnie wkurzać. Chciałam, żeby wróciły tamte popołudnia, które spędzaliśmy oboje w kuchni.

Zadzwonił telefon. To była moja matka, która chciała zapytać, czy mały się zjawił, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, rozłączyła się. Mój głos i oddech wszystko jej powiedziały.

Wyjrzałam przez okno. Mogła go zmylić ciemność i to, że znalazł się na zupełnie nieznanymi ulicach. Mógł zacząć iść w odwrotnym kierunku i trafić do innej dzielnicy, bez pieniędzy na telefon. Być może nawet nie natknął się na kabinę. Pewnie się wystraszył, myśląc o zamieszaniu, jakie się szykowało z jego winy. Usiadłam na krześle, wyprostowałam plecy, odetchnęłam głęboko i mocno zacisnęłam oczy. Wyobraziłam sobie Ángela i poprosiłam go, żeby się uspokoił i żeby się nie bał. Poprosiłam go, żeby poszukał stacji metra. Patrz na chodniki po prawej i lewej stronie, szukaj wyjścia z metra. Jak je znajdziesz, wejdź do środka. Na którejś ścianie na pewno będzie mapa. Poszukaj linii numer jednaście. Wydaje mi się, że jest zielona. Zobaczysz na niej nasz przystanek: Mirasierra. Przyjrzyj się dobrze, co musisz zrobić, żeby dojechać. Możesz także zapytać w kasie, jeśli będzie otwarta. Jeśli nie masz przy sobie pieniędzy, prześliznij się pod kołowrotkiem, kiedy nikt nie będzie cię widział, tak jak wtedy, gdy udajesz, że się uczysz, a się nie uczysz. Bądź przebiegły. Wsiądź do pociągu i jeśli się da, usiądź, żeby wyglądało, że nie jedziesz sam. Skup się. Ja czekam na ciebie w domu. Zrobiłam tagliatelle z grzybami. Odgrzeję ci, jak przyjdiesz.

Wstałam z krzesła. Bolał mnie żołądek, czułam ukłucie po prawej stronie. Tylko ja byłam jeszcze w piżamie. W piżamie z krótkimi spodenkami i górą ze Snoopym, która wydawała mi się zbyt dziecięca, ale dostałam ją w prezencie od babci z Alicante, a moja matka mawiała, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Poszłam do pokoju, żeby się przebrać. Włożyłam czerwoną sukienkę na specjalne okazje i przyszykowałam buty, żeby były pod ręką, kiedy będę musiała je włożyć. W kuchni wstawiłam do zlewu talerze po kolacji rodziców, ale nie zdążyłam wyrzucić resztek, bo zadzwonił dzwonek u drzwi. Stałam jak wryta.

Życie było teraz po drugiej stronie drzwi. Kłuło mnie w klatce piersiowej. To mógł być Ángel.

To był ojciec.

Rzucił klucze na stolik. Prawie na mnie nie spojrzał. Nie zapytał, czy jest coś nowego. Życie nie było warte zachodu.

Poszłam się uczesać do łazienki i zawahałam się, czy użyć wody kolońskiej.

Wszystko przeze mnie.

– Byłem wszędzie – powiedział ojciec, widząc, że znów wchodzę do salonu. Był błądy, postarzał się, sprawiał wrażenie chorego. – Pytałem ludzi, ale bez skutku.

– A mama? – zapytałam.

– Straciłem ją z oczu. Widocznie odeszła daleko.

W tym momencie poszłam włożyć buty. Ojciec miał taką minę, jakby płakał, ale nie roniąc ani jednej łzy.

– Podejdę do ogrodzenia, zobaczyć, czy nie idzie. Nie martw się, nie wyjdę na ulicę – powiedziałam.

Nie usłyszałam odpowiedzi ojca i otworzyłam drzwi. Nie zamknęłam ich. Stałam nieruchomo na kamiennych płytkach w wejściu, myśląc, nasłuchując, węsząc. Zmysły mi się wyostrzyły i sięgały bardzo daleko. Coś wyczuwałam. Wyczuwałam zapach Ángela, taki sam jak wtedy, gdy wracał po grze w piłkę. Zapach ulicy, ziemi, potu i gumy balonowej. I usłyszałam gdzieś cichutki szelest. Mógł dochodzić z wgłębienia, które nazywaliśmy dREWUTNIĄ, przylegającego do muru oddzielającego naszą działkę od działki sąsiada. Podeszłam tam, myśląc, że któraś z moich próśb przedstawionych tego wieczoru musi się spełnić, ale ponieważ wiedziałam również, że byłoby normalne, gdyby żadna się nie spełniła, nie odważyłam się prosić, żeby był w dREWUTNI.

Ángel chował się tam od godziny, bo bał się tak późno wrócić do domu. Widząc go leżącego na ziemi, na boku, z jedną ręką pod głową, miałam ochotę krzyknąć, tańczyć i dać mu po twarzy, ale nic nie zrobiłam.

– Czemu się tak ubrałaś? – zapytał Ángel, wstając.

– Cały wieczór cię szukamy. Zamierzałeś tu zostać na zawsze?

Ángelowi zabrali piłkę i poszedł jej szukać. Zgubił się, ale w końcu, pytając tu

i tam, dotarł do domu. Był bliski wślizgnięcia się do metra. Gdy podszedł pod drzwi, usłyszał głosy spierających się rodziców i nie odważył się zadzwonić.

– Teraz wejdź i daj tacie całusa.

Tym razem ojciec naprawdę się rozplakał. Objął Ángela i nie zamierzał go besztać. Za to na mnie popatrzył z całą surowością swojego serca. Potem poszedł poszukać mamy. Gdy wróca, życie powróci do normalności, tragedia się skończy, księżyc wróci na swoje miejsce, a gwiazdy i słońce wzejdą następnego dnia. Piekło odkleiło się od mebli i od całego domu.

Poszłam odgrzać Ángelowi tagliatelle.

– Zobaczysz, palce lizać.

Jadł kolację, wypełniając kuchnię swoim intensywnym zapachem ulicy, kiedy wróciła matka. Była zdyszana i trzymała się ręką za bok. Biegła całą drogę bez zatrzymywania się od miejsca, w którym znalazł ją ojciec. Ocierała pot rękami. Nie chciała całować Ángela, mając spoconą twarz. Bluzkę też miała moką. Wtedy Ángel wstał i przytulił się do niej.

– Bóg mi świadkiem, że nie dałabym rady znieść jeszcze jednego takiego ciosu jak ten z Laurą – powiedziała, zaabsorbowana swoją radością i swoim bólem.

Chociaż bacznie przyglądałam się ogólnej reakcji matki, bez zwracania uwagi na słowa, przestraszyłam się, gdy padło imię Laury, ale zaraz o nim zapomniałam, bo chwila była pełna emocji.

Ojciec odprężył się tak raptownie, że musiał się oprzeć dwiema rękami o blat kuchenny. Ja poszłam pogłośnić telewizor. Życie toczyło się nadal.

– A ty – powiedziała matka, gdy mnie zauważyła – czemu się tak wystroiłaś? Idę szukać twojego brata, a ty korzystasz z okazji, żeby włożyć czerwoną sukienkę. Nie dość już narozrabiałaś?

– Daj jej spokój – wtrącił się ojciec. – Jesteśmy wszyscy razem i tylko to się liczy.

Pewnie już mi nie będą ufali i mama będzie musiała rzucić tę pracę, która tak skutecznie pozwalała jej zapominać o smutku. Pomyślałam, że mam za swoje, bo wcale nie jestem taką dobrą córką, jak im się wydawało. Brat popatrzył na mnie z żalem, ale nic nie powiedział. Tak było lepiej: pozwolić, żeby burza przeszła.

Zaczekać, aż wszystko pójdzie w zapomnienie.

Ostatnio wkładałam czerwoną sukienkę i czarne buty przy ważnych okazjach, a to przecież była ważna okazja. Wydawało mi się, że jeśli przyjedzie policja, powinnam być ubrana jak najlepiej. Ale teraz czerwona sukienka już mi się nie podobała: przypominała mi ten wieczór i klucie po prawej stronie żołądka, i wrażenie, że mam w gardle pestkę brzoskwini. Poszłam do swojego pokoju, zdjęłam ją, poskładałam, jak tylko się dało, aż zrobiła się mała jak chustka, i wcisnęłam pod całą tę gmatwaninę ubrań, które były w szafie. Potem usiadłam na łóżku i bardzo powoli włożyłam piżamę. Rodzice rozmawiali. Ángel prawie się nie odzywał, nie przestawał jeść i streścił to, co mu się przydarzyło, w bardzo niewielu słowach. Najchętniej położyłabym się do łóżka i zabrała się do czytania, ale wyszłam jeszcze raz z pokoju, żeby powiedzieć dobranoc: nie chciałam doprowadzić do żadnych nieporozumień. Potem poczułam ogromną pustkę, jakby wszystko, co ważne, już się wydarzyło.

Ana, ta od psa, bardzo się zdziwiła, że mama chce zrezygnować z pracy.

– Nie mogę ich zostawiać samych – powiedziała, kręcąc głową i próbując przekonać samą siebie.

Nie odważyłam się jej powiedzieć, że nie ma się czym martwić, bo ja już nigdy nie pozwoliłabym bratu wyjść bez opieki, ale nie chciałam nic mówić, żeby nie pogarszać sytuacji.

– To bardzo mną wstrząsnęło, dobrze wiesz dlaczego. Nie umiałabym znieść następnego nieszczęścia z dzieckiem. Wiem, że nie mogę ich uchronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Wiem też, że nie mogę ich chronić przed życiem. One nie są niczemu winne.

– Musisz wziąć się w garść – powiedziała Ana. – Jeśli chcesz, mogę z nimi zostawać po południu w niektóre dni. Mogę tu zaglądać, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Mogłabym odprowadzać Ángela na karate.

Podziwiałam beztroskie życie Any. Nie musiała się zadręczać z powodu dzieci ani z powodu pracy. Jej nic nie wydawało się tragiczne. Jeździła na wakacje trzy czy cztery razy do roku, a nie tylko na piętnaście dni w sierpniu, jak my. Stąpała po dywanie, podczas gdy moja rodzina chodziła po kamieniach. Nie mogłam oderwać od

niej wzroku, kiedy nas odwiedzała, a robiła to coraz częściej. Od jej fryzur, od popiołu długości całego papierosa, od tego, jak krzyżowała swoje długie nogi. Nosiła makijaż, który nie rzucał się w oczy, buty na płaskim obcasie i sukienki dopasowane w talii. Moja matka natomiast miała lekki brzusek po ciąży, chodziła do fryzjera dwa razy w roku, sama farbowała sobie siwe włosy i z byle powodu wpadała w zły nastrój.

Lubiłam Anę, bo troszczyła się o moją matkę i poświęcała mi wiele uwagi. Pytała, jak mi idzie w szkole i z chłopakami, dawała mi w prezencie szminki na przyszłość, bransoletki i różne drobiazgi. Miałam wrażenie, że bardzo jej zależy na mojej przychylności, że chce mnie mieć po swojej stronie. Nie mogłam tylko zrozumieć dlaczego. Oznaki były podobne jak wtedy, gdy jakaś koleżanka z klasy chciała się ze mną zaprzyjaźnić albo gdy któraś chciała się przyłączyć do mojej paczki, żeby być blisko chłopaka, który jej się podobał. Rzecz w tym, że Ana była osobą dorosłą. Może przypominałam jej córkę, której nie miała. Nie wiem, nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby ktoś dorosły chciał mi się przypodobać.

Stopniowo wszystko wracało do normy. Ani Ángel, ani ja nie sprawiliśmy rodzicom już żadnej przykrości. Robiliśmy wszystko, co nam kazano. I to nasi rodzice sami zdecydowali, że Ángel może wychodzić bawić się z kolegami w określonej odległości od domu, ale nie wolno mu się bardziej oddalać, nawet gdyby robili to inni. Kazali mu przysiąc, że się do tego zastosuje, i grozili mu wszystkim, co im przyszło do głowy, jeśli nie dotrzyma słowa. Robili to, żeby zaczął panować nad swoim otoczeniem i nad swoim życiem. Nasz ojciec powiedział, że lepiej nauczyć się pływać, niż nigdy nie pójść się kąpać, a mama przytaknęła skinieniem głowy. Podjęli tę decyzję tam, gdzie podejmowali wszystkie – w łóżku. To tam rozmawiali po cichu o wszystkich ważnych sprawach. Tak więc już nie ja byłam odpowiedzialna za to, co się będzie działo z Ángelem, i czułam się wolna. Mama gotowa była mi znów zaufać i od czasu do czasu mówiła, że to, czego się nie ma, sprawia większy ból niż to, co się ma. Ale właściwie czego nie miała? Matka nigdy niczego nie mówiła ot tak sobie. Mówiła rzeczy, które zadreślałyby ją, gdyby ich nie wypowiedziała. Nie miały innego wyjścia, jak wymknąć się jej przez usta. Moja matka żyła w innym świecie niż reszta ludzi. Była w nim tylko ona. I tylko jej myśli i jej słowa, chociaż miała

rodziców, męża i dzieci.

4. LAURO, WEŻ SWOJE RZECZY

Moja pierwsza szkoła nazywała się Esfera, ale kiedy wyprowadziłyśmy się z domu w El Olivar do mieszkania nad sklepem obuwniczym, zapisały mnie do innej, prowadzonej przez zakonnice.

W połowie lekcji geografii do klasy wszedł dyrektor szkoły. Nauczyciel znieruchomiał i patrzył na niego z kredą w ręku. To była niespodziewana wizyta, jedna z tych, do których dochodziło tylko wtedy, gdy stało się coś niezwykłego, takiego jak śmierć kogoś z rodziny lub alarm bombowy. Podszedł do dyrektora z wystraszoną miną. Rozmawiali po cichu, a w miarę jak rozmawiali, nauczycielowi prostowały się ramiona: nie chodziło o nic poważnego. Popatrzył na nas spod krzaczastych brwi, a potem przeszedł przez klasę i utkwiał we mnie swoje czarne, nieobecne spojrzenie.

– Lauro – powiedział – weź swoje rzeczy. Ktoś po ciebie przyszedł.

Trzydzieści głów odwróciło się w moją stronę. Nie zareagowałam. Wszyscy oczekiwali, że coś powiem, o coś zapytam. Chcieli się dowiedzieć, o co chodzi.

– Lauro, czekają na ciebie – powtórzył nauczyciel, który zawsze nosił sztruksowe spodnie i kamizelkę do kompletu, pokrywające się w końcu białym pyłem.

Zrobiłam to, czego się po mnie spodziewano, zawstydzona, że jestem jedyną osobą, która to robi. Zamknęłam książkę i włożyłam ją do plecaka, tak samo jak zeszyty i piórniki z długopisami i ołówkami. Nie wymieniając choćby przelotnego spojrzenia z kimkolwiek ze swoich kolegów, wyprostowałam się na wysokość trzeciego guzika kamizelki nauczyciela.

– Idź do dyrekcji – powiedział i wrócił do tablicy.

Nie uznał za konieczne powiedzieć mi nic więcej. Byłam dwunastolatką, która musiała akceptować życie takim, jakie jest. Dopóki nie dorosnę, nie będę mogła narzekać ani protestować.

Z plecakiem na plecach skierowałam się do tego przerażającego gabinetu. Miałam na sobie dzinsy ze srebrzystymi gwiazdkami na kieszeniach i czerwoną bluzę, ubranie, które przynosiło mi szczęście. Włosy sięgały mi do połowy pleców. Były

gładkie, koloru blond, bo Lilí rozjaśniała mi je rumiankiem. Tak mniej więcej wyglądałam, kiedy zobaczyłam swoją babcię siedzącą naprzeciwko dyrektora.

– W porządku, już jest – powiedział, wstając z fotela. – Bardzo mi przykro, że musi nas opuścić. Jest wzorową uczennicą.

Moja babcia też wstała, uśmiechając się najbardziej czarująco, jak potrafiła. Miała na sobie biały wełniany płaszcz, który sprawiał, że wydawała się wyższa. Przechyliła na bok głowę, żeby coś mu powiedzieć.

– To wspaniała szkoła – zmrużyła oczy – bo kieruje nią wyjątkowy dyrektor.

Pocałował ją w rękę i odprowadził nas korytarzem.

– Mam nadzieję, że będzie mogła nas pani kiedyś odwiedzić – powiedział.

Moja babcia zaśmiała się tym swoim śmiechem, który przeszywał człowieka do szpiku kości.

– Jak to miło z pana strony, jak miło.

Gdy wsiadłyśmy do samochodu, Lilí zmieniła wyraz twarzy. Już nie musiała być czarująca. Teraz myślała intensywnie i nie można jej było rozpraszać.

Ja wcale nie byłam wzorową uczennicą. Po powrocie ze szkoły musiałam poświęcać cztery godziny dziennie na balet i ledwie dawałam radę odrobić lekcje. Prawie nie miałam czasu się uczyć. Rano zaczynał mnie boleć żołądek, gdy tylko zbliżałam się do ogrodzenia szkoły i widziałam na fasadzie nazwę – Esfera. Błagałam wiatr i słońce, żeby żadnemu nauczycielowi nie przyszło do głowy mnie zapytać.

Najbardziej podobały mi się treningi koszykówki na dziedzińcu. Mieliśmy je dwa razy w tygodniu i to były jedyne chwile, kiedy nie myślałam o niczym, kiedy biegałam, skakałam i poszturchiwałam się z koleżankami. Unosiłam się w powietrzu i czułam się szczęśliwa.

– Jutro pójdziemy odwiedzić twoją nową szkołę.

Rozpłakałam się. Nie chciałam zmieniać szkoły, bo szkoła to szkoła, a tę przynajmniej znałam. Nie czułam się na siłach, żeby zaczynać od zera. Lilí powiedziała, żebym płakała, ile zechcę, żebym sobie ulżyła.

Płakałam więc, wchodząc do nowego mieszkania nad sklepem obuwniczym. Mama była w Tajlandii i Lilí narzekała, że wszystko musi robić sama. Płakałam

w łazience i w swoim pokoju. Nie wiem, ile litrów łez wylałam. Początkowo wypływały z oczu, ale potem podchodziły do góry od żołądka, jakby żołądek był jeziorem. Lilí powiedziała, że ta szkoła jest bliżej domu i że będę zadowolona ze zmiany, bo jest tam kilka bardzo miłych siostrzyczek zakonnych.

5. BABCIA VERÓNIKI

Kiedy ktoś przychodził do nas w gości, zbieraliśmy wszystko ze stolika stojącego na środku salonu i stawialiśmy na nim talerz z serem pociętym w trójkąty, z oliwkami i migdałami oraz piwo, wino i coca-colę. Jeśli była ładna pogoda, to samo robiło się na werandzie i natychmiast atmosfera się ożywiała. Moja matka zapominała o troskach, a ojciec nabierał ochoty, żeby opowiadać zabawne historyjki z taksówki. Ángel i ja czuliśmy się ogromnie szczęśliwi.

Latem przychodzili na obiad lub na podwieczorek koledzy ojca, taksówkarze, zwłaszcza jeden, z żoną i z dziećmi, który miał na imię Osvaldo. Był Wenezuelczykiem i puszczał salsę, dzięki czemu w taki dzień nasz dom wydawał się najweselszy z całego osiedla. Rodzice mojego ojca mieszkali na Wyspach Kanaryjskich i przyjechali nas odwiedzić tylko kilka razy. W dodatku wynajmowali pokój w hotelu w centrum, żeby móc spacerować po Madrycie i dlatego że moja matka nie okazywała im zbyt wielkiej życzliwości. Zapraszali nas na kolację do jakiejś drogiej restauracji i mój ojciec był wtedy w siódmym niebie, ale matka niemal nie kosztowała jedzenia. Byli wysocy, szczupli, wyglądali na cudzoziemców i nadal nie mieściło im się w głowie, że mój ojciec jest zwykłym taksówkarzem, że nie zaszedł dalej, jakby jego żona i dzieci przerwały mu drogę do sławy. Ja natomiast nigdy nie słyszałam, żeby ojciec na cokolwiek się skarżył. Sprawiał wrażenie, jakby osiągnął wszystko, czego chciał.

Także nasi dziadkowie ze strony matki, Marita i Fernando, byli dla Ángela i dla mnie niemal obcymi ludźmi. Od czasu do czasu pisaliśmy do nich pocztówkę, a między sobą nazywaliśmy Maritę babunią, bo była taka malutka. Gdy siedziała, nie sięgała stopami do podłogi. Moja matka była podobna do swojego ojca, przystojnego wojskowego, który wpadł w szpony tej kobietki pragnącej jedynie wylegiwać się przez całe życie w łóżku i nic nie robić. Tak twierdziła mama. W domu wszystkim zajmował się on. Zakupami, gotowaniem, praniem, prasowaniem, prowadzeniem rachunków i spełnianiem wszelkich zachcianek swojej żony. Babunia miała maleńkie oczy i nosiła okulary grubości denka od butelki, przez co tym większej wagi nabierał

fakt, że mój dziadek się w niej zakochał. Życzenia Marity były dla niego rozkazem. Najwyraźniej miała w sobie jakiś szczególny magnetyzm, dzięki któremu wszyscy w końcu robili to, czego chciała. Bardzo mnie intrygowała. Byłam zadowolona, że ta brzydka kobieta o zagadkowym uroku jest moją babcią. A równocześnie, ze względu na solidarność z matką, nie byłam zadowolona. Mama była chyba jedyną osobą, która przeciwstawiała się zachciankom mojej babci i na wszystko, o co ją prosiła, odpowiadała kategorycznym „nie”. Mówiła jej, żeby sobie poszukała innego frajera. Zważywszy, że moja matka była jedynaczką, ta stanowczość wobec babci była zdumiewająca.

Pewnego gorącego, bezchmurnego czerwcowego popołudnia Ángel przyszedł do domu podniecony, mówiąc, że wydaje mu się, iż babunia idzie pod górę, ciągnąc walizkę większą od siebie. Wysłałam na dwór i rzeczywiście: jakaś kobieta w białych butach na obcasie zbliżała się, ciągnąc walizkę i niosąc torebkę, także białą, przewieszoną przez pierś. Miała na sobie czarną sukienkę w białe kropki. Moja matka odwiedzała klientów, a ojciec jeździł taksówką. Ja próbowałam się uczyć w swoim pokoju.

Ángel i ja zeszliśmy, żeby jej pomóc. Ostatni raz widzieliśmy ją podczas pierwszej komunii Ángela, a potem telefonowała od czasu do czasu, żeby nam pogratulować tego czy tamtego albo żeby sprawdzić, czy jeszcze żyjemy. Jak dla nas, istniała, ale nie do końca. Nie tak jak drzewa naprzeciwko, które widzieliśmy w każdej chwili, огоłocone z liści albo całkowicie nimi pokryte, tak jak teraz.

Na nasz widok puściła walizkę i mocno nas wycelowowała, ale przedtem była chwila na rozpoznanie. Czy to rzeczywiście my? Ależ urosiliśmy. Ja jestem kobietą, a za Ángelem na pewno szaleją dziewczynki. Powiedzieliśmy jej, że Ángel zobaczył ją przez przypadek i że nasi rodzice są w pracy. Powiedzieliśmy też, że nigdy by nam nie przyszło do głowy, że zobaczymy, jak idzie w stronę naszego domu w normalny, powszedni dzień.

Cieszyłam się, że mojej matki nie było w domu, gdy przyjechała Marita, bo dzięki temu powitanie było łatwiejsze. Dała nam upominki. Nie były drogie – widać było, że nie ma dużo pieniędzy. Z pewnością emerytura, którą dostawał dziadek, była taka sobie. On został w domu, żeby opiekować się kotką i ogrodem. Babunia poskarżyła

się, że bolą ją stopy od chodzenia w butach na obcasie, więc nalałam jej do miednicy wody z solami. Powiedziała mi, że czuje się cudownie. Walizka, po wyjęciu upominków, została na środku salonu, otwarta. Zamknęłam ją i zaniiosłam do swojego pokoju. Mogłam umieścić babunię w pokoju gościnnym, ale wolałam wysunąć dodatkowy materac ze swojego łóżka i mieć ją blisko siebie.

– Miałam ochotę was zobaczyć – powiedziała, głaszcząc mnie po głowie, gdy masowałam jej stopy w miednicy. – Dlatego nie zadzwoniłam do twojej matki: robiłaby mi trudności, a tymczasem wy rośnięcie.

– Wracają trochę późno. Dużo pracują.

– Nieważne. Ugotujemy kolację i zrobimy im niespodziankę.

Ángel poszedł na karate, a ja wybierałam się do kina z koleżankami, ale odwołałam spotkanie. Marita miała w sobie coś takiego, że lubiłam z nią przebywać. Może chodziło o to, że rozpoznawałam w niej niektóre swoje cechy. Obie miałyśmy skórę tak białą, że bardzo wyraźnie było widać pod nią żyłki, jakby miały pęknąć przy najmniejszym potarciu, a patrząc na jej ręce, zobaczyłam, że moje pokryją się przedwcześnie zmarszczkami, jakbyśmy miały mało warstw skóry i jakby nasi przodkowie pochodzili z kraju, w którym rzadko świeci słońce.

Była bardzo łagodna. Od czasu do czasu dawała mi całusa. Dawno jej nie widziałam, ale była moją babcią i miała prawo mnie całować. Zrobiłyśmy empanadillas, sałatkę i smażoną rybę. A raczej ja zrobiłam, a ona przyglądała się spod swoich okularów o sile tysiąca dioptrii. Pomiędzy okularami a kolczykami prawie nie widać jej było twarzy. Nie mówiła dużo, więcej myślała, niż mówiła. Pewnie dlatego mój dziadek oszalał na jej punkcie. Opowiedziałam jej za jednym zamachem o swoim życiu nastolatki, a ona poradziła mi, żebym uważała z chłopakami. Mówiła mi o mojej matce z czasów, kiedy była mała. Bardzo lubiła zwierzęta. W domu były psy, koty, papuga i rybki w akwarium. Wymagało to mnóstwa pracy i musieli się stopniowo pozbywać tego zoo, bo Betty jako dziecko bardzo się litowała nad porzuconymi zwierzętami i trzeba było ją powstrzymać od przygarniania ich. Ja byłam do niej podobna, z oczu, włosów i nosa. Kiedy babcia na mnie patrzyła, wydawało jej się, że widzi Betty. Bardzo mi się podobało, że mówi o mnie. Wieczorem, kiedy położymy się do łóżka, zapytam ją, jak poznała dziadka. To było

dziwne uczucie znaleźć się z powrotem w małej, ciepłej jaskini z całym swoim plemieniem.

O wpół do dziesiątej zadzwonił dzwonek u drzwi. Nakryłyśmy już do stołu, rozkładając obrus, który moja matka trzymała na specjalne okazje. To ona wróciła pierwsza. Babunia siedziała na sofie. Słyszając, że drzwi się otwierają, odwróciła się bokiem. Mama stanęła jak wryta w progu salonu. Zamarła.

– Cóż za niespodzianka! – powiedziała.

Babunia wstała i poszła ją ucałować. Miała na nogach moje kapcie z psimi mordkami i prawie nie mogła w nich chodzić. Dałam jej te kapcie, bo były miękkie, a ona miała bąble. Moja matka spojrzała na nie. Najwyraźniej nie spodobało jej się, że nosi moje kapcie, a to znaczyło, że nie podoba jej się, że jej matka tu jest. Obie miały takie same wystające pośladki i na tym podobieństwo się kończyło.

– Nie gorąco ci w tym? – zapytała.

– Przyjechałam się z wami zobaczyć.

Moja matka zdjęła buty oraz bluzkę i została w staniku. To była pierwsza rzecz, jaką robiła, zanim wzięła prysznic. Idąc do łazienki, rzuciła okiem na stół.

– A więc mamy święto.

– Tak – odpowiedziałam – jak tylko wróci tato i Ángel, zjemy kolację.

Nie powiedziała nic więcej. Strumień wody z prysznicą było słychać bardziej niż zwykle. Marita wyszła na werandę. Robiło się coraz chłodniej i widać było małe światełka z innych werand.

– Całkiem tu przyjemnie jak na Madryt – powiedziała.

O dziesiątej dziesięć jedliśmy kolację. Atmosfera przy stole była ożywiona. Wszyscy, oprócz mojej matki, cieszyli się z obecności jeszcze jednej osoby z rodziny. Przez otwarte okno wpadał czarnoniebieski wietrzyk. Pozwolono nam wypić troszkę wina. Mój ojciec powiedział Maricie, że jeśli będzie potrzebowała gdzieś pojechać, zawiezie ją taksówką. Mama zapytała ją, dlaczego nie zadzwoniła, żeby uprzedzić nas o swoim przyjeździe, bo ona ma dużo pracy i nie będzie mogła się nią zajmować. Odpowiedziała, żeby się nie martwiła, że przyjechała pomóc, a nie bardziej się naprzykrzać.

– Twoja pomoc nadchodzi trochę późno, nie sądzisz? – powiedziała z wściekłością w oczach. Mogło się wydawać, że były aż tak błyszczące i czarne z powodu wina, ale to było przez babunię.

W tamtym momencie Ángel wykazał się wyczuciem, włączając telewizor, i wszyscy popatrzyliśmy w stronę ekranu. Podróżowaliśmy po ciemnym niebie, a Ángel, jakby czytając w moich myślach, powiedział, że teraz krążymy z ogromną prędkością wokół Słońca.

– Chce zostać astronomem – wyjaśnił ojciec.

Marita była u nas przez tydzień i w końcu ojciec zawiózł ją taksówką na dworzec. Tamtego wieczoru, kiedy moja matka wróciła do domu, powiedziała, że wreszcie znów jesteśmy w rodzinie i że będziemy jeść kolację normalnie.

– Nawet nie umie gotować – dodała, co nie było zgodne z prawdą.

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedział ojciec bardzo poirytowany. – Nie przyszło ci do głowy, że może źle ją osądzasz?

– To była jej wina. Wina ich obojga. Zostawili mnie samą. Samą! I nie mogłam się bronić. Jedno warte drugiego. Są moimi rodzicami tylko z nazwy, żeby przyjeżdżać tu i dodawać mi pracy, żeby wtrącać się w nasze życie. Już ich nie potrzebuję.

– Kochanie – powiedział ojciec łagodniejszym tonem – nie wiem, co mam zrobić, żebyś przestała się zadręczać. Musimy żyć. Wiesz, co to znaczy? Żyć!

Wtedy moja matka się rozplakała i co chwilę wycierała nos w chusteczkę.

Miała na sobie ubranie, w którym była w mieście. Luźną sukienkę na ramiączkach, która zacierała jej kształty, oraz sandały na klinie i wisiołek z ametystem sięgający jej poniżej piersi, który bardzo mi się podobał, kiedy byłam mała.

– Myślałam, że ją znalazłam. Myślałam, że już ją mam – powiedziała, siedząc na brzegu sofy i mnąc chusteczkę w rękach.

Ojciec stał. Pokręcił głową. Czuł się bezsilny.

– Byłam w pewnym domu, sprzedając kosmetyki, przekonana, że to jej dom. Wydawało się, że to całkowicie pewny trop. Ale była tam tylko kobieta na wózku

inwalidzkim. Zapytałam ją, czy mieszka z nią ktoś w wieku szkolnym, kogo mogłoby zainteresować łykanie jakiegoś suplementu diety na poprawienie pamięci, ale powiedziała, że nie. Rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam tylko porządne meble i ciemne obrazy jak z muzeum. Nie było żadnych zdjęć w ramkach.

Ojciec szybko się zorientował, że Ángel i ja słuchamy, więc zabrał ją do kuchni.

– Rozchorujesz się – powiedział.

Następnego dnia, gdy tylko zostałam sama, znów otworzyłam teczkę z krokodylej skóry. Jeśli nastąpiłby jakiś postęp w tej sprawie, dowód schowałiby tutaj. Ale nie było niczego, a ja nie ośmieliłam się zajrzeć do torebki mamy, bo to oznaczałoby przekroczenie granicy szacunku.

Niewiele brakowało, żeby któregoś dnia z moich ust padło imię Laury. Mogło mi się wymknąć w każdej chwili. Ángel nie palnąłby takiej gafy, bo słyszał je tak, jak się słyszy brzęczenie muchy. Laura. Nie wiedziałam, kim dokładnie jest, ale to jasne, że była prawdziwa i w pewnym sensie żyła wśród nas.

6. LAURO, MNIE NIE OSZUKASZ

Moja nowa szkoła nazywała się Santa Marta, a dyrektorka – siostra Esperanza. Była taka tęga, taka pewna siebie i tak dobrze kontrolowała całe swoje otoczenie, że czułyśmy się przy niej mało ważne. Lubiła powtarzać przy każdej okazji, że przyszłyśmy tutaj, żeby ukształtować się jako kobiety. Szkołę znalazły wspólnie moja babcia i Ana, bo w tamtych dniach mama koncentrowała się na intensywnym kursie jogi i powiedziała, że pozna dyrektorkę i nauczycielki, kiedy będzie mogła po mnie przyjść. Pierwszy dzień w szkole zrobił na mnie wielkie wrażenie, bo boisko było otoczone pięciometrowym murem. Wyglądało to na klasztor i pomyślałam, że w przyszłości może zostać zakonnicą.

Babcia zawsze przyjeżdżała po mnie swoim mercedesem, czasami odbierała mnie matka, ale kiedy skończyłam szesnaście lat, powiedziałam im, że chcę wracać do domu autobusem, jak wszystkie moje koleżanki. Chociaż początkowo Lilí nie spodobał się ten pomysł, bo twierdziła, że będę tracić zbyt dużo czasu na dojazdy ze szkodą dla nauki, moja matka przysłała mi z pomocą, mówiąc jej, że skoro do tej pory nic się nie stało, nie ma powodu, żeby miało się stać w przyszłości. To zdanie wbiło mi się w pamięć, bo wydawało się, że znaczy coś więcej, niż znaczyło. Przede wszystkim dlatego, że było niemal niemożliwe, żeby coś nam się stało. Zakonnice, które sprzątały i przygotowywały posiłki, dbały także o nas i kontrolowały co do milimetra wszystko, co się działo w szkole. W pewnym sensie wydawało mi się rzeczą normalną, że jestem nieustannie pilnowana, że wciąż mam wlepiony w kark wzrok zakonnicy i Lilí. Nabrałam przekonania, że Lilí jest szpiegiem Pana Boga i że wie o mnie wszystko, wie, co robię w każdej chwili, co myślę, i że nie da się jej oszukać.

7. BANANA SPLIT DLA VERÓNIKI

Ana przyszła do nas z Gusem, zanim moja matka wróciła z pracy. Zapowiedziała się swoimi trzema krótkimi, ostrymi dzwonkami. Przywiozła nam upominek z Tajlandii: regionalne lalki. Bardzo lubiła podróżować, wyjeżdżać gdzieś daleko, latać samolotami. Onieśmiało mnie, że była kobietą światową, że poznała tylu ludzi i tyle rzeczy, bo przez to my wychodziliśmy na prostaków. Czasami w głębi duszy odczuwałam lęk, że moja matka chce być taka jak ona, ale nie może i dlatego czuje się sfrustrowana.

Powiedziałam jej, że dla zabicia czasu możemy pójść do parku, żeby Gus sobie pobiegał, a ona odparła, kładąc ręce na piersi, że to fantastyczny, wspaniały pomysł. Nigdy nie wymigiwała się od pochwał ani od okazywania entuzjazmu. To była pierwsza rzecz, jakiej należało się nauczyć, jeśli chciało się być taką jak ona: nie czekać, aż coś nas olśni albo aż nam szybciej zabije serce, żeby wpaść w zachwyty. Odpięła smycz Gusowi, który zaczął biegać jak szalony, i podeszła do kiosku z napojami. My nigdy tam nie siadaliśmy, bo moi rodzice nie kierowali się zachciankami i nie robili tego, na co im przyszła ochota w danym momencie.

Wybrałyśmy lody z karty, banana split dla mnie. Miałam na sobie krótkie spodenki, a Ana czerwoną jedwabną sukienkę rozciętą po bokach do połowy uda. Zamówiła dla siebie gin z tonikiem, zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę, wyjęła długopis z torebki, rozłożyła na stoliku kilka pocztówek i zapatrzyła się w niebo. Wszystko wydawało się bardzo radosne, ludzie przechadzający się tam i z powrotem, ogromne gałki lodów truskawkowych, śmietankowych i czekoladowych, posypane cukiereczkami, z wbitą na górze miniaturową parasolką. Jadłam je, nabierając na łyżeczkę maleńkie kawałeczki, podczas gdy ona pisała, paliła i piła.

– Dobre lody? – zapytała, nie przestając pisać.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Jak ci idzie w szkole?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak sobie – odpowiedziałam. – Nie rozumiem matematyki.

Zaśmiała się krótko.

– Nie jesteś jedyna. Jak dorośniesz, zrozumiesz.

Właśnie wtedy podjęłam decyzję i wyrwałam się z tym:

– Wiesz, kto to jest Laura?

Rzuciła na ziemię papierosa, chyba już trzeciego, i przydeptała go swoim płaskim butem baletnicy. Po raz pierwszy naprawdę zwróciła na mnie uwagę.

– Dziewczynka z krótkimi włosami, w dżinsowych ogrodniczkach. Moja matka ma jej zdjęcie w teczce z krokodylej skóry.

– Nie wiem, o czym mówisz. Dziewczynka?

– Musisz pamiętać, bo któregoś dnia ci je pokazała. Ja byłam na werandzie z Gusem i widziałam, jak wyciąga zdjęcie z teczki i ci je pokazuje. Kim jest ta dziewczynka?

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Twoja matka jest kobietą bardzo delikatną, czasami wpada w obsesję na punkcie pewnych rzeczy, które ją przygnębiają. Musisz o nią dbać. Jest bardzo dobra.

Spuściłam głowę. Może nie zajmowałam się swoją matką tak, jak powinnam. Przez jakiś czas chodziła do psychiatry. Przepisał jej tabletki, które łykała wieczorami, popijając szklanką mleka. To on zalecił jej, żeby otaczała się kwiatami i dużo ćwiczyła.

Ana nie pasowała do naszego domu ani do mojej matki. Zawsze kiedy widziałam ją w naszym salonie, sprawiała wrażenie, jakby weszła tam przez pomyłkę. Z pewnością miała inne przyjaciółki, z klasą i bez obsesji, z którymi chodziła się napić do klubów albo umawiała się na tenisa. A jednak zawsze ją widywałam. Znałam ją przez całe życie. Ana, ta od psa, była przyjaciółką mojej matki, zanim się urodziłam. Gdzie ją poznała? W jakimś momencie były pewnie podobne do siebie, podobały im się tego samego rodzaju ubrania i fryzury, a potem stały się całkiem inne. Czy ja i moja przyjaciółka Rosana też przestaniemy być do siebie podobne?

– Niedawno prawie znalazła dom tej dziewczynki.

Ana założyła nogę na nogę i zapaliła następnego papierosa. Jej nogi sięgały do połowy skwerku.

- A ty skąd wiesz?
- Stąd że z płaczem powiedziała to mojemu ojcu.
- Ale nie znalazła jej.
- Nie. Uważa, że pomyliła dom.

Poruszyła nogą założoną na drugą. Wydawało się, jakby but sam unosił się w powietrzu. Ależ była elegancka.

- A co na to Daniel?
- Że nie możemy tak dłużej żyć.

But zsunął jej się nieco z pięty. Odchyliła się bardziej na krześle.

– Musimy pomóc twojej mamie, żeby nie myślała o dziwnych rzeczach. Twój tato bardzo ją kocha.

- Ale ona nie kocha mojej babci.

– Ach tak? Cóż, przejdzie jej. To są sprawy między matkami a córkami, które nie mają większego znaczenia.

Sposób, w jaki Ana paliła papierosy i pisała pocztówki, działał na mnie uspokajająco. Nic się nie działo. Bez przerwy musiały się wydarzać różne rzeczy, ale to nie oznaczało, że działy się naprawdę.

8. LAURO, JEDZIEMY NA PLAŻĘ

Bardzo chciałam umieć palić tak jak Ana. To był jeden z jej licznych talentów. Nie było w niej nic, co by stanowiło dysonans, ani jeden gest, ani buty, ani apaszka, ani perfumy. Dobrze jej było z pomalowanymi paznokciami i z niepomalowanymi tak samo. Wydawało się, że nawet Gus urodził się tylko po to, żeby jego pani bardziej rzucała się w oczy, a obroża i smycz Gusa zostały wykonane ręcznie na jej obraz i podobieństwo. Świat Any był najbardziej idealnym światem, jaki miałam i jaki prawdopodobnie kiedykolwiek będę miała przed oczami.

Mniej mi się podobało, że tak często zabierała mamę do Tajlandii. Przez romanse Greta i jej podróże z Aną spędzałam więcej czasu z Lilí niż z własną matką. Lilí mówiła, że mama jest postrzelona i że powinnam robić wszystko, co się da, żeby się do niej nie upodobnić. Może dlatego nawet zakonnice ze szkoły zarzucały mi, że jestem zbyt poważna.

Mama uwielbiała życie poza domem i uwielbiała mieć kochanków. Kiedy o nich wspominała, nie nazywała ich narzeczonymi ani przyjaciółmi, tylko właśnie kochankami. Mężczyźni dzielili się na dobrych i złych kochanków i jeśli trafiała na dobrego, była bezgranicznie szczęśliwa. No i naturalnie wyglądało na to, że bawiła się znacznie lepiej niż zamężne matki moich koleżanek. Mnie jednak martwiło, że jesteśmy inne, a jej przyjaciółka Ana była częścią tej odmienności. Lilí mawiała, że Ana jest złem koniecznym w naszym życiu (co zawsze wydawało mi się przesadą) i że winy za to, iż Greta zostaje w domu co najwyżej po to, by odzyskać siły, nie ponosi Ana, bo ona bądź co bądź korzysta z tych wyjazdów, żeby zarabiać pieniądze (co niewątpliwie znów było przesadą, bo z tego co wiedziałyśmy, Ana nie miała żadnej firmy takiej jak nasza), podczas gdy Greta, niestety, chce tylko korzystać z życia. Lilí tęskniła za czasami, kiedy jej córka przynajmniej próbowała być malarką, ale nawet przy tym nie wytrwała.

Ja nie mogłam zawieść Lilí tak jak mama, musiałam jej to wynagrodzić za nas obie. Musiałam być poważna i odpowiedzialna. Musiałam ją zadawałać za nas obie.

Przynajmniej tego lata robiłyśmy plany we trzy, a raczej we cztery, bo Ana

zawiozła nas samochodem do Alicante. Zamierzała spędzić z nami dwa dni, a potem wyjechać, bo miała inne plany, w których najwyraźniej nie uwzględniła mamy. Ja pragnęłam, żeby zostawiła nas same, bo jej obecność zawsze kazała mi myśleć, że gdzie indziej jest jakieś wspaniałe życie. Po przyjeździe nie przyszłoby nam do głowy, że wrócimy także we cztery, z Gusem.

Myślę, że wszystko zaczęło się od tego, że zgubiłam na plaży czapeczkę, którą mama przywiozła mi z Nowego Jorku. Widać było, że jest autentycznie amerykańska, i bardzo mi się podobała. Chociaż prawdę mówiąc, nie tyle ją zgubiłam, ile ktoś mi ją zabrał. Zostawiłam ją na ręczniku, kiedy szłam się kąpać, i z wody zobaczyłam, że bierze ją jakaś kobieta i odchodzi z nią. Wybiegłam na brzeg, ale kiedy znalazłam się na piasku, już jej nie widziałam. Powiedziałam o tym Lilí, która leżała pod parasolem i niczego nie zauważyła. Mama i Ana bez przerwy chodziły po piasku, żeby sobie modelować nogi.

Nie martw się, kupimy inną, powiedziała i znów zamknęła oczy.

Od tego momentu poszukiwanie takiej samej czapeczki zmieniło się w wymówkę, żeby popołudniami Lilí mogła się zatrzymywać przy wszystkich straganach z podrabianymi torebkami, okularami, koszulami i czapeczkami, które wysocy, szczupli murzyńscy chłopcy rozkładali na ziemi. To było nie do zniesienia, bo musiałam jej towarzyszyć, podczas gdy Ana i mama siadały na jakimś tarasie, żeby na nas zaczekać. Wypytywała o ceny i o wszelkiego rodzaju szczegóły, byle nie ruszać się z miejsca. Myślałam, że nigdy nie znajdziemy takiej samej czapeczki, i było mi wszystko jedno, kiedy zobaczyłam przebiegającego obok nas Gusa, a po kilku sekundach Anę. Nie ośmieliłam się pójść za nimi i zostawić Lilí samą, więc weszłam na ławkę i dojrzałam Gusa z grupą osób, a wśród nich dziewczynkę, która się z nim bawiła. Ana wróciła po chwili. Mama dołączyła do nas już wcześniej.

– Spotkałam przyjaciół – powiedziała bardzo poważnym tonem, jakby byli raczej wrogami niż przyjaciółmi – i muszę zjeść z nimi kolację.

Moja matka i Lilí patrzyły przez kilka minut z zatroskanymi minami, jak odchodzi, a potem mama powiedziała z rozdrażnieniem, że to się nigdy nie skończy.

– To wszystko było dla twojego dobra – zganiała ją Lilí.

– I znowu dochodzimy do mojego dobra – powiedziała mama, przestępując z nogi na nogę, ubrana w białą sukienkę do ziemi kupioną poprzedniego dnia na ryneczku. – Przypominam ci, że ja nie chciałam się w to pakować. Ale zostałam wpakowana. Powiedziałyście mi, że nie będzie żadnego problemu, że to absolutnie bezpieczne. I co? Już zmieniliśmy mieszkanie, a teraz zmieniamy plażę. Co będzie dalej?

– Wydaje mi się, że czapeczka będzie musiała poczekać. Nie podobają mi się te, które tu widzę – powiedziała Lili, odwracając się do mamy plecami i przyciskając mnie do piersi.

Nazajutrz rano wyjechałyśmy w takim samym składzie, w jakim przyjechałyśmy. Lili powiedziała, że z powodu nadmorskiej wilgoci bardzo ją bolą kolana. Mama powiedziała, że nie ma już ochoty na rodzinne wczasy i że jeśli Ana znajdzie dla niej miejsce, pojedzie z nią, ale Ana odpowiedziała, że jej zobowiązania również mają charakter rodzinny i wtedy w samochodzie zapadła głęboka cisza, bo ona nigdy nie wspominała o swojej rodzinie, przynajmniej nie przy mnie. Zawsze widziałam ją samą albo z Gusem i niemal uznałam za pewnik, że przyszła na świat taka jak teraz, ubrana i z psem na smyczy.

9. VERÓNICA I CUDOWNE ŻYCIE

Została mi matka na wrzesień, ale to nie miało większego znaczenia, bo tamtego lata w pierwszych dniach wakacji życie było cudowne. Dziadkowie z Alicante zostawili nam mieszkanie, które wynajmowali od czasu do czasu cudzoziemcom, i było akurat wolne. Przygotowali je jak na wojnę, wyposażając w mocne meble, które wytrzymałyby tornado. Te, których nie zrobiono z solidnego drewna sosnowego, były z niezniszczalnego plastiku, a roślin doniczkowych nie trzeba było nawet podlewać. To jest życie, mówił mój ojciec, zgniatając puszkę po piwie, torebkę po frytkach i serwetkę z restauracji.

Moja matka wraz z przygotowaniami do podróży zmieniła się w normalną matkę. Zamierzaliśmy spędzić tam miesiąc, więc musiała wykorzystać promocje, żeby pokupować nam stroje kąpielowe i krótkie spodenki. Mojemu ojcu kupiła bermudy do kolan i koszulki polo w różnych kolorach, a sobie dwa kostiumy bikini i pareo. Kupiła też przenośną lodówkę, bo mieszkanie było dość daleko od plaży, słomiany koszyk do noszenia ręczników oraz cztery duże ręczniki z materiału przypominającego aksamit: bordowy, zielony, niebieski i żółty, najlepsze, jakie kiedykolwiek mieliśmy. Po południu, po dniu spędzonym na plaży, moja matka stroiła się i szliśmy na nadmorską promenadę na lody, a potem na kolację. Oczy jej pojaśniały, a skóra pociemniała i mój ojciec często ją całował. Wyglądała pięknie w białej sukience na ramiączkach i z rozpuszczonymi włosami.

Na plaży spędziliśmy czas na leniuchowaniu. Wbijaliśmy parasol o dziesiątej rano i nie schodziliśmy przed trzecią. W lodówce były napoje chłodzące, przekąski i piwo. Mój brat i ja żyliśmy między falami a piaskiem, a nasi rodzice czytali pod parasolem i zmieniali się na długich spacerach, żeby nie zostawiać nas samych. Mama była przekonana, że jeśli będzie chodziła po piasku przez dwie czy trzy godziny bez przerwy, po miesiącu będzie miała nogi jak modelka, a ojciec szedł pływać gdzieś, gdzie nie było ludzi. Pływał bardzo dobrze, a także jeździł na nartach. Zawsze mówił, że kiedyś nas nauczy, mojego brata i mnie. Tymczasem jego sprzęt narciarski wychodził z mody w rupieciarni i czasami Ángel wkładał te ogromne buty, żeby

odgrywać supermena.

W wieku ośmiu lat Ángel już się zamyślał: po przyniesieniu wiaderka z piaskiem przez dłuższy czas stał z rękami opartymi na biodrach, przyglądając się morzu. Nad czym tak dumał? Czy równie dobrze jak ja zdawał sobie sprawę ze zmian nastroju naszej matki? Tamtego ranka jej przechadzka była krótsza. Wróciła koło pierwszej wzburzona, zmieniona na twarzy, ściskając w ręku czapkę z daszkiem. Cały mój mózg, moje oczy i uszy skupiły się na matce.

Potrząsała czapeczką i rozkładała ręce przed moim ojcem. Mówiła do niego tak, jakby go błagała, chodziła przed nim tam i z powrotem. Ojciec słuchał jej wystraszony, a potem powiedział: „Uspokój się, proszę”. Minęło trochę czasu, zanim wstał z bordowego aksamitnego ręcznika i wziął ją za ramię. Moja matka odtrąciła jego rękę.

– Jestem pewna, że to ona. Jeśli pójdziesz... może jeszcze nie odeszły – powiedziała, niemal się dławiąc.

– Nie możemy zostawić dzieci samych.

Matka spojrzała na mnie. Siedziałam na brzegu, przysypując sobie nogi piaskiem, a ona nie była w stanie pojąć, że w tym momencie zmieniałam się w nadludzką istotę, która słyszała ich i widziała, jakby była tuż koło nich.

– Wrócę tam. Porozmawiam z nią.

– Ale czy nie rozumiesz, że to zbyt duży zbieg okoliczności, żeby spośród wszystkich plaż w tym kraju była akurat na tej samej co my? Na Boga, myśl rozsądnie.

– Nie mogę. Wiem, co widziałam.

Włożyła czapkę do słomianego koszyka i odeszła szybkim krokiem. Musieliśmy na nią czekać do wpół do czwartej. Ángel narzekał, że jest głodny, ale ja wcale nie czułam głodu. Bez przerwy patrzyłam w kierunku dźwigów, które stały w odległości jakichś pięciu kilometrów w blasku słońca, mając nadzieję, że zobaczę, jak nadchodzi.

– Co się stało mamie? Dlaczego poszła? – spytałam ojca, który przeszedł drogę od szczęścia do obojętności.

- Chce wykorzystać czas na jeszcze jeden spacer.
- A ta czapka? – powiedziałam, zerkając na koszyk.
- Znalazła ją.
- Mogę ją włożyć?
- Nie. Wyobraź sobie, że będzie tędy przechodzić jej właścicielka i ją rozpozna.

To by było bardzo kłopotliwe.

Mówił mechanicznie, bez entuzjazmu. Potem położył się na ręczniku i przeciągnął rękami po czole.

Nie powiedziałam nic więcej. Wiedziałam, że sytuacja nie jest normalna, choćby ojciec miał na wszystko odpowiedź. Cudowne życie dobiegło końca.

Moja matka przysłała, wytarła Ángela i mnie zapiaszczonym ręcznikiem, a potem strzepnęła wszystkie, wzbijając tuman kurzu, wcisnęła je do koszyka obok czapki i założyła pareo. Ojciec obserwował ją z ukosa, składając parasol. Nie odzywali się do siebie. Nogi mojej matki były coraz piękniejsze i cztery godziny temu na pewno by jej o tym powiedział. Teraz było to nie na miejscu.

Tego popołudnia matka nie wystroiła się jak co dzień. Uczesała się, nie patrząc w lustro, nie pomalowała ust. Włożyła dzinsy i bluzkę (biała sukienka musiała się jej wydać zbyt odświętna), a tymczasem wychodził z niej wielki cień i nasuwał się nad nasze głowy, jakby miała się rozpętać burza. Gdy jedliśmy kolację we włoskiej restauracji, którą polubiliśmy za podawane tam spaghetti, ojciec zapytał: „Widziałaś ją ponownie?”. A ona pokręciła przecząco głową. On potrząsnął swoją w zamyśleniu.

Czapka zniknęła z koszyka i z mojego życia. Mogłam jej poszukać w mieszkaniu i w bagażu, ale nie chciałam: pojawiła się wraz z cieniem i z cieniem powinna odejść. Nigdy więcej o niej nie wspomniałam ani nie myślałam. Przede wszystkim dlatego, że wydarzyło się coś, co zdjęło zły urok, który został właśnie rzucony na cudowne życie.

Nagle, po tej historii z czapką, kiedy tak jak każdego popołudnia kupowaliśmy lody, które potem jedliśmy na nadmorskiej promenadzie w oczekiwaniu na kolację, zobaczyliśmy Anę, tę od psa. Nigdy się tak nie ucieszyłam na czyjś widok. Najpierw zobaczyliśmy psa, potem Anę, jakby miała za zadanie pojawiać się w naszym życiu niczym błyskawica, niezależnie od tego, gdzie się znajdowaliśmy.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała moja matka rozradowana. – Czy to nie pies Any? Gus! – zawołała na niego.

Gus zbliżył się do nas, ni to biegnąc, ni to merdając ogonem, ni to się ciesząc. Z pewnością był równie zdziwiony jak my, spotykając nas poza naszym światem. Rzuciliśmy się na niego całą rodziną. Potrzebowaliśmy go. Był jak trąba morska z rześką wodą niezbędną nam do picia i z powietrzem do oddychania. Cień, który miał nas przytłaczać do końca wakacji, właśnie się rozdarł.

– Gdzie twoja pani? – zapytała matka.

Gus odwrócił się i zaczął węszyć dokoła, jak my. Nie było ani śladu Any, ale nie pozwoliliśmy, żeby pies sobie poszedł, bo wiedzieliśmy, że jeśli będzie z nami, ona przyjdzie. Potrzebowaliśmy towarzystwa wielu ludzi, którzy rozmawialiby z nami i rozproszyli nasze myśli.

Ana zjawiała się po chwili i Gus zdołał się nam jakoś wymknąć, żeby skoczyć w jej stronę.

– Gamoniu, wszędzie cię szukałam – powiedziała, patrząc na nas z niedowierzaniem. – Ależ niespodzianka. To naprawdę jest niespodzianka.

Okazywaliśmy przesadną radość. W normalnej sytuacji nie zachowalibyśmy się w taki sposób. Nawet Ángel był rozpromieniony. Poprosiliśmy ją, żeby została z nami na kolacji. Powiedziała, że jest z przyjaciółmi i że będzie musiała ich zawiadomić. W innych okolicznościach powiedziałaoby się jej, żeby nie zmieniała planów, ale tym razem musieliśmy myśleć o swoim przetrwaniu. Mój ojciec poprosił ją, żeby została.

Zamieniliśmy włoską restaurację na znacznie lepszą, gdzie podawano ostrygi i langusty. Dorośli pili do kolacji szampana. To i tak była niewielka cena za powrót do życia. Następnego dnia Ana wyjechała. Powiedziała, że czeka na nią bardzo szczególny przyjaciel i być może pewnego dnia nam go przedstawi. Dodała, że jest bardzo bogatym człowiekiem, którego poznała w Tajlandii, i kiedy będą ze sobą bardziej na poważnie, zaprosi całą naszą rodzinę do swojego domu. Zanim odeszła, zdjęła biało-czerwoną apaszkę, którą nosiła na szyi, i dała mi. Widniało na niej słowo „miłość” w wielu językach, ale zrozumiałam tylko „amor” i „love”.

Od tego momentu spora część rozmów moich rodziców obracała się wokół

bogatego Tajlandczyka i postrzelonej Any. W głębi duszy moja matka ją podziwiała, bo nigdy w życiu nie przytrafiło się jej nic złego ani nie miała w sobie żadnego cienia. No i gdyby jej samej nie przydarzyło się to coś z Laurą, być może również ona byłaby po trosze taka, podobnie jak te matki, które nie patrzą przez cały czas, co robisz, które nie widzą niebezpieczeństwa i palą sobie papierosa z przymkniętymi oczami, podczas gdy ich dzieci mogłyby wpaść pod samochód, ale na skutek zrzędzenia losu nic im się przytrafia i kończą dwadzieścia lat zdrowe, silne, spontaniczne i stanowcze. Dom Tajlandczyka był w Bangkoku i wyobrażałam sobie, że ma ogromny dach, a w ogrodzie są sadzawki pełne nenufarów i posągi Buddy. Moja matka mówiła, że taka podróż kosztowałaby nas fortunę, ale że to okazja, aby poznać świat. Mówiła też, że trzeba dobrze znać życie, aby móc być z mężczyzną o skośnych oczach, innych zwyczajach i doskonałych manierach. Mój ojciec powiedział, że mężczyzna to mężczyzna, czy tutaj, czy w Chinach.

Ángel i ja próbowaliśmy jeść ryż pałeczkami, żeby się nie wygłupić, kiedy będziemy w Tajlandii. Dziękuję, Ano, że wprowadziłaś do naszego życia odległy Orient, choćby tylko po to, żeby posłużył nam do udanego zakończenia tamtych wakacji. A kiedy nasza wymarzona podróż odeszła w zapomnienie, moja matka powiedziała, że romans z przedstawicielem Wschodu najwyraźniej się nie udał i że na pewno nie ona przypomni Anie o tej uczuciowej porażce.

II. Las cieni i kwiatów

10. OJCIEC VERÓNIKI

Zanim nasza matka zachorowała, Ángel zmienił się w całkiem fajnego chłopca, niemal przystojnego. Miał piętnaście lat, a ja siedemnaście. Byliśmy już przygotowani na to, że gdy po raz ostatni wystrzeli w górę, bardzo się zmieni, zrobi się masywniejszy, sygnie mu się zarost, spojrzenie się wyostrzy i przestanie mówić dziewczęcym głosem.

Tamtego roku w ostatniej chwili zdałam egzaminy wstępne i rozważałam możliwość pójścia na uniwersytet w następnym roku akademickim. Chciałam studiować medycynę. Za kilka miesięcy miałam być pełnoletnia. Miałam mieć prawo głosu. Nie było powodu, żebym musiała znosić życie innych, życie swojej matki. Dorastałam, borykając się z uczuciami, których nie rozumiałam, i miałam tego dość. Łudziłam się, że znajdę pracę, gdy zacznę studia, i że będę dzieliła mieszkanie z kolegami z uczelni, których na pewno poznam. Byłoby wspaniale mieć własne życie. Oczywiście byłoby mi trudno opuścić rodzinę mieszkającą w tym lesie cieni i kwiatów, którym był nasz dom. Na szczęście Ángel nadal by tam mieszkał, reprezentując nas oboje, żeby nasza matka nie rozmyślała za dużo, a przy okazji także mój ojciec, który skarżył się gorzko, że benzyna kosztuje krocie i że nie ma klientów. Czasami spędzał beczynn timer całe godziny na postoju albo krążył po okolicy i zakrawało na cud, jeśli zatrzymał go ktoś z walizkami, sprawiający wrażenie, jakby wybierał się na lotnisko: ludzie woleli jeździć metrem. Tak więc z tych i innych powodów jego żona przynosiła do domu więcej pieniędzy niż on i to go gnębiło. Jednak nagle wszystko się zmieniło.

Do tamtego momentu, do chwili, gdy moja matka przestała jeść, najważniejsze dla rodziny były moje przyszłe studia. Nawet matka chyba spuściła z tonu, jeśli chodzi o swoją chorobliwą obsesję na punkcie tej Laury ze zdjęcia. Ostatnio miało się wrażenie, że Ángel i ja jesteśmy bardziej realni, że Laura istnieje tylko wewnątrz teczki i że w tym nowym świecie każdy zajmuje swoje prawdziwe miejsce. Szkoda, że pewnego dnia moja matka straciła apetyt i zaczęła chudnąć.

Początkowo nikt się nie zorientował, nawet ona sama, aż w końcu to wieczne

zmęczenie nie pozwalające jej się podnieść z łóżka, co przypisywaliśmy temu, że pracuje bez wytchnienia, zaczęło być dziwne. Zmusiliśmy ją, żeby poszła do lekarza, a lekarz powiedział, że ma przewlekłą anemię i arytmie serca, więc nic dziwnego, że pada ze zmęczenia. Powiedział również, że ma bardzo uszkodzone, słabe serce i że podda ją intensywnemu leczeniu, ale nie wyklucza operacji. Przyjęto ją do szpitala. Babcia Marita, gdy się dowiedziała, chciała przyjechać ją odwiedzić, ale moja matka stanowczo się temu sprzeciwiła. Zgodziła się tylko, żeby mój brat spędził z dziadkami resztę lata, aż zaczną się lekcje w liceum. Niech chociaż raz w życiu ta leniwa kobieta zrobi coś pożytecznego, powiedziała matka, która nigdy nie udawała, że czuje do babci coś, czego nie czuła. Ja poczułam z tego powodu wielką ulgę, bo w tej sytuacji przynajmniej nie musiałam się nim zajmować ani martwić się, czy dobrze się odżywia. Mój ojciec zawsze jadł tanie posiłki w mieście, a ja zadowalałam się byle czym.

Teraz rzeczywiście życie zmieniło się niespodziewanie, bardziej niż kiedykolwiek. Przynajmniej byłam starsza i mogłam się zająć rodziną. Mój ojciec nie mógł się otrząsnąć z oszołomienia. Wpadały mu włosy. Czasem wracał do domu, za bardzo śmierdząc piwem, i musiałam mu mówić, że może stracić prawo jazdy i licencję na taksówkę. Było mu wszystko jedno, jego świat się walił. Ja dzieliłam czas między szpital a nasz las cieni i kwiatów, jak nazywałam dom. Teraz był także lasem ciszy. Moja matka mówiła mi dziwnym głosem, który zdawał się dobywać wprost z osłabionego, zatartego serca, że czuje się dobrze, i prosiła mnie, żebym pilnowała Ángela, i dzwoniła do niego do Alicante co drugi dzień. Twój ojciec ma już dość zmartwień z taksówką, mówiła. Dzięki Bogu, nie jesteście już dziećmi, jesteście sprytni, nie mogą was tak łatwo oszukać, dodawała.

Chcąc ją uspokoić, powiedziałam jej, że choć Ángel pozornie nie ma o niczym pojęcia, w rzeczywistości świetnie się orientuje. Ma bardzo rozwinięty szósty zmysł i nic się przed nim nie ukryje. Umie się bronić. Powiedziałam, żeby sobie przypomniała, jak się kiedyś zgubił na ulicy, ale w końcu umiał znaleźć drogę do domu. Wtedy chwyciła mnie za ramię kościstą, zbyt bladą ręką. Bolał mnie jej uścisk. To nie było normalne, że moja matka ma nagle rękę dwustulatki.

– Chcę, żebyś wiedziała, że to głupota starać się, aby wszystko było takie, jak

powinno być. Marnuje się życie, usiłując to osiągnąć.

Co miała na myśli? Życie w ogóle? Coś, co zostało jej do zrobienia? Niewyrównane rachunki? Przyszło mi do głowy imię Laury, ale powstrzymałam się, bo przecież nigdy mi o niej nie mówiła. Przede wszystkim nie chciałam, żeby jej się pogorszyło. Nie chciałam, żeby wysilała się w jakikolwiek sposób.

– Jeśli nie mówiłam ci o pewnych sprawach, to dlatego, żeby cię tym nie obarczać. Dlatego, że dla ciebie nie powinny mieć znaczenia – powiedziała, otwierając drogę dla niezliczonych podejrzeń.

Przerwała na chwilę, oczekując chyba, że ją o coś zapytam, ale nie zapytałam. W tym momencie bardziej interesowała mnie ona niż jej wyznania.

– W kieszeni futra z norek jest woreczek z pieniędzmi. Twój ojciec o niczym nie wie. To są drobne oszczędności. Na wypadek, gdybyśmy mieli kłopoty. Chciałam mu zrobić niespodziankę.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, żeby moja matka była zdolna do czegoś takiego, do ukrywania części pieniędzy przed mężem.

– Co chcesz, żebym z nimi zrobiła?

– Chcę, żebyś wiedziała, że tam są, na wypadek gdyby coś się stało.

– Dobrze, zostawię je tam, aż wyjdiesz.

Zamknęła oczy. Po co jej były te pieniądze? Nie bardzo wierzyłam, że chciała zrobić niespodziankę mojemu ojcu. Mówili sobie o wszystkim i zawsze wspólnie robili rachunki. Jedno naprzeciwko drugiego, z kalkulatorem słonecznym pośrodku, skierowanym w stronę okna, żeby padało na niego światło. Ojciec poczułby wielką ulgę, gdyby wiedział, że mogą liczyć na milion peset rezerwy, a jednak moja matka miała czelność patrzeć, jak się zamartwia, nie dzieląc się z nim tą dobrą wiadomością. Chciała mieć te pieniądze na coś, co uważała za ważniejsze niż chwilowy spokój mojego ojca.

Któregoś z tamtych dni, pewnego dnia na początku września, kiedy nie było już tak gorąco, lecz drzewa, które rosły wokół szpitala, zachowały głęboką zieleń, a ptaki śpiewały wesoło, jakby choroba i zło nie istniały, wystraszyłam się. Byłam sama w obliczu samotności swojej matki. Jej sekrety zmieniły się w niszczycielską

samotność, która sączyła się ze szpitalnego pokoju 407 i spadała na świat niczym zaćmienie słońca. Spowijała zieleń drzew, śpiew ptaków, hałas samochodów i blask okien, wszystko to zmieniając. Spowijała także moje płuca, żyły i myśli. Bałam się, że matka umrze. A gdyby rzeczywiście umarła? Przynajmniej powinna odejść z przeświadczeniem, że jej życie nie było kompletną porażką i że coś w końcu było takie, jakie miało być. Nie chciałam, żeby ludzie stojący pod wiatą autobusową widzieli, że płaczę z powodu czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło, więc włożyłam okulary przeciwsłoneczne i próbowałam myśleć o studiach, a wtedy dopadło mnie zwątpienie, ogromne zwątpienie, bo nie załatwiłam na czas formalności wpisowych na uniwersytecie.

Powiedziałam sobie, że mogłabym się uczyć samodzielnie, a w następnym roku akademickim zaliczyć pierwszy i niektóre zajęcia z drugiego. Moja matka bardzo się cieszyła, że będę studentką, i opowiadała o tym lekarzom i pielęgniarkom. Była coraz bardziej wycieńczona i lekarze czekali z przeprowadzeniem operacji, aż podniesie jej się poziom żelaza i ustąpi infekcja.

Poprosiłam ojca, żeby starał się codziennie zaglądać na chwilę do szpitala, ale odpowiedział, że nie może zostawić taksówki i że teraz będziemy potrzebowali więcej pieniędzy na powrót mojej matki do zdrowia, na lekarstwa. To były wymówki, żeby nie przechodzić koszmaru oglądania jej jako staruszki ważącej czterdzieści kilogramów.

– Ma inne spojrzenie – powiedział kompletnie zdruzgotany.

Siedział przed telewizorem, a ja postawiłam przed nim talerz z kawałkiem lasagne, który właśnie podgrzałam. Już nie lubiłam gotować, przyrządzać smacznych potraw, żeby żywić niewdzięczne ciała, które chorują. Moja matka nie grymasiła, a ostatnio zażywała witaminowe suplementy diety, które sprzedawała. Nie było powodu, żeby coś jej się stało. Ojciec jadł bez apetytu. Poruszał widelcem, jakby walczył z powietrzem.

– Ty ją zrobiłaś? – zapytał, patrząc w telewizor.

– Jest mrożona.

– Tak mi się wydawało.

Przeżuwał powoli, przelykał ze smutkiem, a oprawki jego okularów odbijały blask jak witryna sklepowa.

– Tato, pieniądze to nie problem.

Odwrócił się w moją stronę z uniesionym widelcem.

– Ależ ty jesteś naiwna.

Wypuściłam ścierkę, którą podczas rozmowy wycierałam sobie ręce, aż dłonie zrobiły mi się całkiem czerwone. Widziałam, jak krew krąży w nich z największą prędkością. Przeszłam korytarzem do pokoju rodziców. Wyjęłam ojcu czystą piżamę z komody, a potem otworzyłam szafę, poszukałam pokrowca z białej tkaniny, którym były przykryte norki, uniosłam go i włożyłam rękę do kieszeni. W jednej z nich coś było: woreczek z brązowego jedwabiu, takiego samego jak podszewka futra. Wewnątrz był milion peset w banknotach po pięć tysięcy. Przeliczyłam je szybko, zerkając w stronę drzwi. Policzyłam jeszcze raz. Gdybym je teraz pokazała ojcu, nie miałby wymówki, żeby nie odwiedzać codziennie swojej żony, żeby nie słuchać z ust lekarzy informacji o jej ciężkim stanie ani żeby zostawiać wszystko na mojej głowie. Jednak wręczenie ich ojcu oznaczałoby utratę nadziei, że moja matka znów będzie panią swoich tajemnic. Ale przecież tajemnicę Laury dzieliła z mężem, a nawet z Aną, tą od psa. Włożyłam jedwabny woreczek z pieniędzmi z powrotem do kieszeni futra, nakryłam je pokrowcem, a potem weszłam na fotel obity jasnoniebieskim aksamitem i wyciągnęłam spod koca teczkę z krokodylej skóry.

Rozłożyłam ją na mahoniowym stole w jadalni. Ojciec nadal siedział z widelcem w ręku, nie jedząc i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w telewizor. Miał na sobie krótkie spodenki i podkoszulek z reklamą ośrodka sportowego. Nie był świadomy swojego wyglądu, bo nigdy nie zależało mu na niczym więcej niż na życiu, które prowadził, na pracy i na rodzinie, ale miał niebieskie oczy, które chętnie bym po nim odziedziczyła, i uśmiech, dzięki któremu pozwalano mu się wkręcać do kolejek w supermarkecie czy u lekarza, i może dlatego wydawało mi się, że to takie dramatyczne być świadkiem, jak traci włosy i chodzi przygarbiony.

Moja matka mogła być zazdrosną kobietą, ale nie była. Prawie na niego nie patrzyła. W jego obecności nie starała się być ani tak sympatyczna, ani błyskotliwa jak inne: miała na głowie ważniejsze rzeczy niż nieodparty urok swojego męża. On

zaś w towarzystwie żony zmieniał się w zwykłego mężczyznę, przeciętnego i cichego.

Zawahałam się i musiałam przełknąć ślinę, zanim włączyłam światło i zwróciłam na siebie jego uwagę. Przekraczałam pewną granicę, o której przekroczenie nikt mnie nie prosił. Proszono mnie, żebym się opiekowała swoim otumanionym bratem i w pewnym sensie swoim ojcem. Rozmawianie z lekarzami i dotrzymywanie towarzystwa matce narzuciłam sobie sama, bo nie miałam zaufania do wciąż oszołomionego ojca. To, co miało nastąpić później, wiadomość, która wiązała się ze zdjęciem Laury, było nowym zobowiązaniem, które brałam na swoje barki.

– Tato.

Odwrócił się w moją stronę. Spojrzał pytająco zza szkieł, w których odbijała się jadalnia z oprawioną w ramki litografią Miró.

– Tato – powtórzyłam.

Jego spojrzenie ześlizgnęło się z mojej twarzy na otwartą teczkę, a potem popatrzył, jak wydaję zdjęcie Laury, co było kwestią sekund, które wydawały się godzinami.

Pokazałam mu je.

– Na litość boską! – powiedział, usiłując wstać, jakby był młody na zewnątrz, lecz stary w środku. – Czy nigdy nie skończymy z tą historią?

Wzruszyłam ramionami.

– Co ono znaczy?

W odpowiedzi wyrwał mi fotografię z ręki.

– To był nasz koszmar. To jest nasz koszmar. A ty nie powinnaś się do tego wtrącać.

– Znalazłam je przez przypadek.

– Przez przypadek, na szafie, pod kocem? Mówiłem twojej matce, że potrzebny nam sejf.

Zaczął mi się przyglądać, jakby właśnie zdał sobie sprawę, jaka jestem naprawdę.

– Od kie...?

Przerwałam mu.

– Odkąd miałam dziesięć lat.

Przeciągnął po głowie ręką, w której nie trzymał zdjęcia. Był człowiekiem uwikłanym w życie, które nie przypominało jego życia, ale zbliżał się do niego coraz szybciej.

– Przepraszam – powiedział. – Nie spodziewałem się tego. Sądziłem, że z czasem wszystko się ułoży.

– Jeśli upływ czasu tego nie zrobi, będziemy to musieli zrobić my. Kim jest ta dziewczynka?

Odsunął jedno z krzeseł, które stały przy stole, i usiadł, a potem dosunął je tak, że krawędź blatu wpiła mu się w brzuch. Dom bez mojej matki sprawiał wrażenie pustego, wydawało się, że w każdej chwili jesteśmy gotowi się wyprowadzić. Jej kroki, zanim zdjęła buty, a potem jej kroki bez butów, ciężkie, ale bezgłośnie. Ochrypli głos, bo w młodości dużo paliła. Jej zapach – pachniała żelem, który sama sobie robiła, wlewając olejek różany, który Ana przywiozła jej ze Stambułu, do mydła z supermarketu. Jej sposób zdejmowania stanika, kiedy była ubrana – rozpiniała go z tyłu, a następnie wsadzała rękę do rękawa, pociągała za ramiączko i wysuwała tamtędy, jakby był luźnymi wnętrzościami, ale jej to nie przeszkadzało. Tego wszystkiego brakowało.

Oboje patrzyliśmy na dziewczynkę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. To wszystko są przypuszczenia, chociaż, zdaje się, Betty one wystarczają.

Powiedział o niej Betty, a nie twoja matka, jak zwykle, co oznaczało, że wkraczamy na obcy, niezbadany dotąd teren.

– Tu jest napisane, że ma na imię Laura.

Ojciec dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że ja zawsze miałam oczy i uszy.

– Kurwa! Mogłaś coś powiedzieć. Nie wiem, jak mogłaś milczeć.

– A nie byłoby gorzej?

– Na pewno. Tak miałaś tylko podejrzenia.

– Jakie podejrzenia?

– Nie domyślasz się?

– Nie.

– Jeśli się nie domyślasz, to dlatego, że nie chcesz. Jesteś bardzo bystra.

– Skoro wcześniej się nie domyśliłam, nie będę się domyślała teraz – powiedziałam, kładąc mu zdjęcie przed nosem.

Ojciec spuścił głowę.

– Napiłbym się piwa.

Już miałam mu powiedzieć, że piwo się skończyło, bo nie podobało mi się, że tyle pije, ale zrozumiałam, że nadszedł moment, kiedy mój ojciec i ja razem napijemy się piwa. Cierpliwie wystawiłam dwa kufle Heinekena i otworzyłam puszki. Wcześniej upewniłam się, że są wystarczająco zimne, bo, koniec końców, skoro przez kilka lat zmagalam się z nieświadomością, mogłam wytrzymać jeszcze pięć minut. W każdej innej sytuacji wznieslibyśmy toast, lecz teraz byliśmy smutni. Wypiliśmy po długim łyku, potem po następnym. Moja matka była w pokoju 407 i nie miała o niczym pojęcia.

– Betty uważa, że ta dziewczynka jest jej córką, twoją siostrą.

Nie powiem, że nie przyszło mi to kiedyś do głowy, ale gdy to usłyszałam, zrobiło mi się niedobrze. Nie jadłam kolacji, napiłam się piwa i poznawałam prawdę. Wstałam z krzesła i usiadłam na sofie, myśląc, że stąd przynajmniej nie spadnę.

– A ty, jak myślisz?

– Myślę, że dzisiaj położymy się późno i będziemy mało spali.

Poszedł po dwa następne piwa, ale ja nie otworzyłam swojego.

– Wybacz – powiedział ojciec, pociągając jeden długi łyk za drugim i nie zwracając uwagi na kufel – bardzo chce mi się pić. Dwa lata przed twoim urodzeniem mieliśmy córkę, która urodziła się martwa.

– No dobrze – powiedziałam, myśląc o tym wiecznie zamyślonym wyrazie twarzy matki, który przyprawiał mnie o mdłości – coś o tym wiedziałam, ale sądziłam, że chodziło o poronienie.

– Nie, dziewczynka przyszła na świat we właściwym miesiącu, ale w ostatniej chwili nastąpiły jakieś komplikacje i gdy się urodziła, nie oddychała.

Mój mózg pracował bardzo powoli i miałam trudności z powiązaniem jednego

z drugim. Ojciec przesiadł się na sofę obok mnie. Poprawił sobie palcem okulary.

– Jeszcze nie byliśmy małżeństwem, a mnie poród zaskoczył w podróży.

Zdjął okulary. Bez nich jego oczy wydawały się bardzo odległe, gdzieś zagubione.

– Taksówką?

Znów je włożył i znów pociągnął długi łyk z puszki. Pokręcił przecząco głową, jakby miał osiem lat i coś rozbił.

– Moi rodzice nalegali, żebym pojechał z nimi do Rzymu. Chcieli zobaczyć Watykan. Bardzo cieszyli się na myśl, że zobaczymy go w czwórkę, oni, Rafa i ja.

Mój ojciec, który gdy tylko wyjeżdżał poza granice naszej wspólnoty autonomicznej, opowiadał nam o swoich podróżach ze wszelkimi szczegółami, nigdy nie wspominał o tej. Musiała mu przywozić na myśl przykre wspomnienia o nieżyjącej córce, a także o kuzynie Rafaelu, podobno wspaniałym człowieku, który nie umiał się uwolnić od narkotyków i zapewne żył nędznie, schorowany, w jakimś zakątku świata.

– To był prezent, który chcieli mi zrobić rodzice, i zabrali także Rafę, żebym się lepiej bawił. Niestety nie mogli wybrać gorszej daty. Zamieszkaliśmy w pobliżu fontanny di Trevi, jadaliliśmy obiady i kolacje w trattoriach, potem zawsze oglądaliśmy jakieś przedstawienie, a po przedstawieniu Rafa i ja szliśmy potańczyć. Prawie zapomniałem o Betty, nie miałem nawet czasu, żeby do niej zadzwonić. Nie chciałem korzystać z telefonu w pokoju, bo w hotelach oszukują cię na rozmowach, a jak wychodziłem na ulicę, albo nie znajdowałem budki telefonicznej, albo coś innego odwracało moją uwagę. Nie bałem się, rozumiesz? Nie widziałem niebezpieczeństw, których nie było widać. Życie było wesołe i myślałem, że kiedy wrócę z tej podróży, a była to prawdziwa okazja, bo mój ojciec naprawdę sięgnął głęboko do kieszeni i mogłem zaszaleć, więc kiedy wrócę, Betty pójdzie rodzić, przyjdzie na świat dziewczynka, pobierzemy się i wszystko potoczy się dalej swoim rytmem, rozumiesz?

Nie odpowiedziałam. Rozumiałam, co do mnie mówi, ale nie rozumiałam, co się stało. Według niego, moja matka zaczęła rodzić, kiedy on był w Rzymie. Ponieważ miała bóle i skurcze, trudno jej było go zlokalizować. Moi dziadkowie od strony

matki mieszkali w Alicante i nie dotarli na czas. Została sama. Moja matka musiała w samotności znieść cios, jakim była wiadomość, że jej córka nie żyje. Przyjęto ją do kliniki o wpół do piątej nad ranem, a urodziła o jedenastej przed południem.

– Kiedy przyjechałem dwa dni później, było już po wszystkim. Była tak przygnębiona, tak zdruzgotana, że nie chciała do mnie zadzwonić. Powiedziała, że już jej wszystko jedno. Uparłem się, żebyśmy się czym prędzej pobrali i mniej więcej po dwóch latach urodziłaś się ty. Tym razem byłem przy niej przez cały czas, modląc się, żeby nie było jakichkolwiek niespodzianek, żeby wydarzyło się to, co się powinno wydarzyć.

Jak przepowiedział mój ojciec, prawie nie spałam. O czwartej skończył otwierać puszki z piwem i opowiadać mi nieszczęsną historię mojej matki i jej nieżyjącej córki. Matka po moich narodzinach zaczęła sobie łamać głowę i zadawać lekarzom pytania, z jakich przyczyn dziecko może umrzeć podczas porodu, i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ze mną wszystko poszło doskonale, a z Laurą tak fatalnie, skoro obie ciąży przebiegały zupełnie prawidłowo i badania oraz USG wypadły dobrze. Najwyraźniej, gdy usłyszała mój płacz, przypomniał jej się płacz Laury, co wydawało się mało prawdopodobne, ponieważ dostała środki uspokajające podczas ostatniego etapu porodu. Mimo to była pewna, że go słyszała. Może w snach, ale słyszała. Poza tym nigdy nie widziała ciała dziecka, bo nie chciano jej go pokazać, żeby nie wywołać u niej traumy. Mówiła, że wystarczyło jej spojrzeć na mnie, by wiedzieć, że jej druga córka żyje i została jej skradziona, jakby była samochodem, portfelem z pieniędzmi, klejnotem. Tak więc, w miarę jak dorastałam, umacniało się w niej przekonanie, że Laura nie umarła. Narodziny mojego brata poszły jak po maśle. Lekarz, który odbierał ten poród i poprzedni, powiedział, że moja matka ma świetne warunki, żeby mieć więcej dzieci, jeśli zechce, że jej ciąży przebiegały bardzo dobrze i że musiał się wydarzyć jakiś nieszczęśliwy, niezwykle wypadek podczas narodzin Laury.

Kiedy zbudziłam się o dziewiątej, z korytarza dochodziło pochrapywanie ojca. Od dziesiątej lekarze robili obchód pokoi. Staralam się tam wtedy być, żeby mi powiedzieli, co z anemią mojej matki. Czasami pragnęłam z całego serca, żeby była już w stanie poddać się operacji i żeby skończył się ten koszmar, ale kiedy indziej

chciałam, żeby to jeszcze trochę potrwało, żeby nie zabrano jej na salę operacyjną, bo tak jak teraz było jej dobrze, czuwano nad nią, a przede wszystkim żyła.

Nie zbudziłam go. Zasłużył na odpoczynek. Najwyraźniej przyniosło mu ulgę, że podzielił się ze mną wielką rodzinną tajemnicą, a przynajmniej, że nie musiał jej przede mną ukrywać. Teraz już wiedziałam, że zabieranie ze sobą tajemnic do grobu rujnuje nerwy. Zdjęcie Laury tak bardzo mnie zaintrygowało, że odkąd je odkryłam, świat zrobił się bardziej podstępny, mniej godny zaufania, jakby za każdą rzeczą zawsze była jakaś inna i inna, i inna. Odkryłam, że za moimi rodzicami kryli się inna Betty i inny Daniel. Możliwe, że i za mną kryje się inna Verónica, która pojawi się w jakimś momencie. Nawet Ángel na pewno tworzył już innych Ángelów, którzy dadzą mu impuls do życia. Mogłam teraz rozmawiać z ojcem o nieżyjącej siostrze, ale nie odważyłam się nic powiedzieć matce. Nie wiedziałam, jak by to przyjęła. Mogłabym jej powiedzieć: nie bój się, tato o wszystkim mi opowiedział. I cóż bym w ten sposób osiągnęła? Moja matka była przyzwyczajona wierzyć, że nie mam o niczym pojęcia.

Zjadłam śniadanie, przyglądając się zdjęciu zjawy z tego domu, zamkniętej w płaskim świetle teczki z krokodylej skóry. Jeśli istniała, jeśli była prawdziwa, czy w jakiś sposób wpłynęła na nią niepokój, który odczuwali moi rodzice i który pośrednio odczuwałam ja, a jeszcze bardziej pośrednio Ángel? Czy zdołała poczuć bicie naszych serc w postaci odległej wibracji we wszechświecie? A może o niczym nie wiedziała? Jeśli była do kogoś podobna, to do mojego ojca, chociaż nie dało się dostrzec, czy miała brązowe oczy jak moja matka, Ángel i ja, czy niebieskie jak ojciec. Laura na zdjęciu mrużyła je przed słońcem. Wydawała się ni to szczęśliwa, ni to smutna, jakby akurat podejmowała decyzję, jakiego rodzaju osobą będzie w przyszłości. Jej włosy były jasnokasztanowe i sprawiały wrażenie cienkich i delikatnych.

Przynajmniej udało mi się wyciągnąć od ojca, że matka, wbrew jego opinii, zatrudniła detektywa i zdołała zlokalizować szkołę, do której chodziła Laura. Zdjęcie zrobiono podczas przerwy, na dziedzińcu, ale śledztwo zostało w tym miejscu przerwane, bo rodzice nie mieli pieniędzy, żeby je kontynuować. To była agencja detektywistyczna z naszej dzielnicy. Mieściła się kilka ulic od nas i żeby ją odnaleźć,

trzeba było iść, przyglądając się fasadom na wysokości drugiego piętra. Już wiedziałam, gdzie to było. Wiele razy przyglądałam się temu sztyldowi, który wydawał mi się czymś obcym dla tej ulicy i dla przechodzących tamtędy ludzi takich jak ja. Okazuje się, że moja matka weszła do tego budynku, wspięła się na drugie piętro i z dołu można było zobaczyć jej głowę, podczas gdy opowiadała komuś nieznanemu najsmutniejszą historię na świecie. Właśnie zdałam sobie sprawę, że być może zaoszczędziła ten milion ukryty w kieszeni futra z norek, żeby dać go detektywowi na dalsze poszukiwania. Z całą pewnością sama też próbowała szukać, gdy ojciec pracował, a my byliśmy w szkole, a potem, zajmując się sprzedażą od drzwi do drzwi, miała doskonałą sposobność, żeby wchodzić do domów. Nie wiedziałam natomiast, jak daleko dotarła, i chyba mój ojciec też nie wiedział. Teraz przypominały mi się różne dziwne sytuacje.

Zimowe popołudnie. Miałam dziesięć lat. W tym wieku, o ile nie byłam zamysłona, widziałam wszystko, a wszystko, co widziałam, odciskało mi się w mózgu, jakby był zrobiony z miękkiej gliny. Wtedy nie wiedziałam, co widzę, wtedy nawet się nie zatrzymałam, żeby przeanalizować sytuację. Teraz tak. Chociaż zazwyczaj ja i Ángel sami wracaliśmy do domu, bo szkoła była na końcu ulicy, czasami moja matka wpadała w ponury nastrój i upierała się, żeby po nas przyjść. Mówiła, że nie chce mnie obarczać odpowiedzialnością za brata, ale teraz rozumiałam, iż musiała mieć trudności z pokonaniem lęku, że ktoś uprowadzi jej syna i córkę. Tamtego konkretnego popołudnia czekała na nas przy drzwiach, gdy wychodziliśmy. Powiedziała, że wybierzemy się na spacer. Pojechaliśmy metrem. Ángel był zmęczony i usiadł na podłodze, na plecaku. Ja lubiłam metro. Chłopak z końskim ogonem grał na gitarze przy metalowych schodach i w jednej chwili mogłam zobaczyć, jak się ubiera ze dwieście starszych dziewczyn. Najmniej mnie obchodziło, co moja matka ma do roboty tak daleko od domu. W tamtych czasach, podczas tego długiego dzieciństwa, kiedy sytuacja bardzo się zmieniała z roku na rok, a nawet z miesiąca na miesiąc, zawsze się bała, że coś nam się stanie.

Mój brat miał na sobie granatowy skafander z kapturem, a ja płaszcz w dużą biało-czarną kratę. Nasza matka była otulona puchową kurtką sięgającą jej do kolan, przez co wydawała się grubsza niż w rzeczywistości. Jechała na stojąco, trzymając się

poręczy, a jej ręka znajdowała się kilka milimetrów od ręki kobiety w beżowym płaszczu z brązowym paskiem i podniesionymi klapami, w rękawiczkach z tak cienkiej skóry, że widać jej było żyły. Podobałoby mi się, gdybym była taka elegancka jak ona i gdybym nie włożyła tej wełnianej czapki sprzed pięciu lat, która za nic nie chciała się podrzeć. Podobałoby mi się, gdyby moja matka wzbudzała czyjeś zainteresowanie, tak jak ta pani w beżowym płaszczu wzbudzała moje. Kierowała spojrzenie na ciemność, która przyłgnęła do okien.

Nie wiem, gdzie wysiedliśmy. Było to jakieś zimne i ciemne miejsce, z drzewami i ze światłami w oknach oraz nielicznymi latarniami. Mój brat powiedział, że jest głodny, a matka nagle przypomniała sobie, że wrzuciła do torebki kanapki. Ángel wziął jedną i odwinął srebrną folię, ale ja nie chciałam wyciągać rąk z kieszeni. Nie byłam na tyle głodna. Doszliśmy do miejsca, które wyglądało na teren szkoły. Weszliśmy i przystanęliśmy przed boiskiem do koszykówki, na którym grały dziewczynki trochę starsze ode mnie. Matka powiedziała, żebyśmy usiedli na ławce, bo ona musi przekazać komuś wiadomość. Weszła do budynku i wyszła, a potem zaczęła się przyglądać grze. Gdy popatrzyłam na nią zdziwiona, wyjaśniła mi, że musi porozmawiać z kimś stąd. Ángel skończył kanapkę, siedząc na ławce, a potem rzucił się na ziemię, żeby się bawić. Uwielbiał się tarzać i nie czuł wstrętu do niczego, na co mógłby natrafić na ziemi w takim miejscu lub na brudnej posadzce supermarketu. Albo biegał tam i z powrotem, albo rzucał się na ziemię.

– Na co patrzysz? – zapytałam matkę, trochę zniecierpliwiona, bo chciałam już stamtąd iść. – Muszę odrobić lekcje.

– Odrób je na ławce. Zaraz idziemy.

Nie czułam się na siłach, żeby wyciągnąć tam książki. Wyciągałam je tylko na poobijanym dębowym stole w kuchni. Nie znosiłam robić niczego, co nie pasowało do miejsca ani do sytuacji, a to nie pasowało. Moja matka nie pasowała do reszty ludzi, którzy przyglądali się temu, co działo się na boisku, chuchając w dłonie, ale nie zamierzała się oderwać od żelaznej poręczy.

– Bardzo was proszę o trochę cierpliwości! – powiedziała zirytowana, kiedy mój brat podszedł do niej, popłakując, bo się nudził, ale nie oderwała wzroku od tego, co się działo na oświetlonym terenie.

Światło padało na skaczące i biegające dziewczynki oraz na sędziego, który zachowywał się tak, jakby chodziło o mecz NBA.

Ponieważ nie chciałam, żeby moja matka się gniewała, powiedziałam Ángelowi, że pobawimy się w zgadywanke. Strasznie to było nudne. Wreszcie matka odwróciła się w naszą stronę, popatrzyła na nas takim wzrokiem jak wtedy, gdy mówiła nam, że kocha nas najbardziej na świecie, i powiedziała, że idziemy. Ángel pobiegł przodem, a ona zdjęła czapkę i mocno potrząsnęła włosami we mgle nasyconej aromatem sosen.

– Zlecono mi przekazanie wiadomości komuś, kto nie przyszedł. Straciliśmy przez to popołudnie. Żeby wam to wynagrodzić, pójdziemy do Burger Kinga na hamburgery.

Ángel bardzo się z tego ucieszył, bo do hamburgera zawsze dawali małeńki samochodzik z plastiku. Wzięłam matkę za rękę, a ona mnie uścisnęła i potem, trzymając się za ręce, machaliśmy nimi w przód i w tył, aż doszliśmy do metra.

Gdy wreszcie wylądowaliśmy w domu, ojciec otworzył drzwi, zanim matka zdążyła włożyć klucz do zamka. Był zaniepokojony, ale kiedy zobaczył, że jesteśmy tacy ożywieni, uniósł nieco okulary czubkiem palca i powiedział, że w tym domu wszyscy robią, co im się podoba. Przyjrzał się mojej matce kątem oka. Miała zaczerwienioną twarz, błyszczące oczy i włosy pociemniałe od zimna. Kiedy zdjęła czarną puchową kurtkę, ukazał się niebieski, przylegający do ciała sweter, w którym była dziesięć razy ładniejsza. Już nie wyglądała na oszołomioną kobietę z metra, lecz na Betty. Podeszła do mojego ojca i pocałowała go w usta.

– My już jedliśmy kolację – powiedziała.

– Hamburgery – wyjaśnił Ángel.

– Bardzo się cieszę, a ja jestem na czczo – powiedział ojciec, z pozoru poważny, ale w duchu bardzo zadowolony, dzięki czemu ta sytuacja była dwa razy przyjemniejsza.

Być może tamtego popołudnia widzieliśmy Laurę, nie wiedząc o tym. Nie przyjrzałam się żadnej dziewczynce w szczególności, bardziej zwracałam uwagę na matkę, na Ángela i na niezwykłość sytuacji. Byliśmy jak te przedmioty znajdujące

przez archeologów, które pojawiają się w niewłaściwym czasie: żarówka w paleolicie, skamieniała siekiera z drewna i żelaza sprzed dwustu tysięcy lat, Ángel, moja matka i ja w szkole, do której nie chodziliśmy.

11. MATKA VERÓNIKI, CZYLI BETTY W MUSZLI ŚLIMAKA

Moją matkę posadzono na fotelu, na białym prześcieradle z niebieskimi lamówkami. Widać jej było kostki i wychudzone nogi. Uśmiechnęła się na mój widok. Nawet żeby się uśmiechnąć, musiała zdobyć się na wielki wysiłek. Miała zbyt duże oczy.

Nigdy nie była szczupłą. Ja byłam do niej podobna. Byłyśmy szerokie w biodrach, ani niskie, ani wysokie i sprawiałyśmy wrażenie silnych. Ludzie nigdy nie oferowali nam pomocy, bo wydawało się, że niczego nie potrzebujemy. Włosy, kiedy nie wiązała ich w koński ogon, czesała z przedziałkiem po lewej stronie, a na prawą opadała jej czarna, kręcona grzywa. Teraz nawet jej się nie kręciły, a odkąd farbowała sobie ślady siwizny, nie były ani jasne, ani ciemne. Miała czterdzieści dwa lata.

Mój ojciec nigdy nie zwracał uwagi na kobiety, które mogłyby ulecieć z wiatrem, choćby były supermodelkami. Podobały mu się takie z konkretną wagą i należało przypuszczać, że kiedy się poznali, moja matka była wesoła, sympatyczna, śmiała. On ją podziwiał, bo kiedy zaszła w ciążę z Laurą, w żadnym momencie nie pomyślała o małżeństwie ani o sformalizowaniu czegokolwiek. Nie bała się przyszłości i dlatego mój ojciec nigdy nie spojrzął na żadną inną kobietę, mimo że jego rodzice upierali się, iż zasługuje na coś lepszego. Kiedy ojciec zwierzył mi się z tego poprzedniej nocy, bez żalu i bez żadnych specjalnych emocji, z powagą i z piwem w rękę, przyszły mi do głowy te chwile, kiedy moja matka śpiewała na całe gardło albo śmiała się z czegoś, albo chwytła mojego małego braciszka za ręce i obracała się, dzięki czemu fruwał w powietrzu, kiedy biegała z nami po plaży i kiedy pozwalała, żebyśmy ją zakopali w piasku i usypali jej na wierzchu ogromne piersi z ogromnymi sutkami, kiedy łaskotała ojca, aż płakał ze śmiechu, kiedy zapominała, że nie jest normalną kobietą, kiedy zapominała, że przytrafiła jej się jedna z tych rzeczy, które przytrafiają się tylko osobom tragicznym. Kiedy kupowała sobie nową sukienkę i rozpuszczała włosy, i malowała się, i wychodziła z mężem, mężem najprzystojniejszym ze wszystkich mężów, do kina albo gdzieś na kolację. Kiedy udawało jej się schudnąć kilka kilogramów i dzinsy robiły się na nią za luźne, i szłyśmy obie na zakupy. Byłam

wtedy szczęśliwa, niemal bezgranicznie szczęśliwa, nie wiedząc, że zawsze powinno było tak być, że mogło tak być, gdyby tamto dziecko żyło.

Usiadłam na skraju łóżka i popatrzyłam intensywnie na matkę, starając się ją nakłonić, żeby mi odpowiedziała bez pytania. Powiedz mi wszystko, co wiesz o Laurze. Do cholery, ty nie jesteś temu winna, ani my, tym bardziej ona, a wszystkim nam życie dało w dupę. Kiedy wyzdrowiejesz, poszukamy jej razem i znajdziemy ją. Zamieszka z nami albo przynajmniej będziesz spokojna, widząc, że dobrze się ma i że jej nie straciłaś. To będzie moim celem.

– Nic ci nie jest? Zapisalaś się na uniwersytet? Ángel dobrze się czuje? – zapytała, prostując się nieco w fotelu.

Potaknęłam skinieniem głowy.

– O wyniki nie musisz się martwić. Oni wiedzą, co robią.

Miała na myśli lekarzy. Byłam teraz świadoma fałszywych kroków, które robiła moja matka, ukrywając tajemnicę Laury. Prawie jej nie ukrywała, lecz ja nie umiałam tego w pełni zrozumieć, bo nigdy nie chciałam być przedmiotem w niewłaściwym czasie i miejscu. Wzięłam ją za dwustuletnią rękę. Oddałabym cokolwiek, żeby zrozumiała, że wiem o wszystkim i że nie jest mi to obojętne, że uważam to za zrządzenie losu i że będę za nią walczyła.

– Przynajmniej wsadzili mnie tutaj, zanim się zaczął rok akademicki. Nie chcę, żebyś straciła ani jednego dnia zajęć.

– Nie martw się. Wtedy na pewno już będziesz w domu.

Lekarze powiedzieli, że przeprowadzenie operacji jeszcze nie byłoby rozsądne, co w gruncie rzeczy oznaczało ulgę. Było trochę więcej czasu.

Zeszłam na dół, żeby kupić jej czasopisma, i po godzinie poszłam. Powiedziałam jej, że muszę wypożyczyć kilka książek z biblioteki i posprzątać w domu. Były to rzeczy, które uważała za nieuniknione. Poprosiła mnie, żebym przyniosła jej notes z adresami klientów: nie chciała zostawić na lodzie ani firmy, ani Any, bo tak bardzo jej ufali. Wtedy dotarło do mnie, że Ana nie ma pojęcia, iż ona jest w szpitalu, i może powinnam jej o tym powiedzieć. Przyszłaby ją odwiedzić i podnieść na duchu.

Co do mnie, zamierzałam znaleźć Laurę i przyprowadzić ją do swojej matki, do

szpitalnego pokoju, bo chociaż prawdopodobnie nie przyniosłoby to takiego samego efektu jak nowa zastawka, to jej umysł by się wyciszył, uspokoił i po dwudziestu latach udreka dobiegłaby końca. Siedząc w autobusie, przygotowywałam coś, co uważałam za plan działania.

Od przystanku do domu szłam powoli, okrążając ośrodek sportowy. Słychać było uderzenia rakiet, ptaki, wrzaski chłopaków. Rozchodził się zapach skoszonej trawy. Ludzie szli ulicą bez pośpiechu, a drzewa plamiły nas swoim cieniem. Mogłam dać się ponieść i być szczęśliwa w tamtym momencie. Dom zwałił mi się na głowę. Otworzyłam wszystkie okna, które mama zwykle zostawiała uchylone, z opuszczonymi żaluzjami, i włączyłam muzykę w radiu. Nuciłam najgłośniej, jak umiałam, podczas gdy wyciągałam z szuflad biurka notes, o który mnie prosiła, teczki i stosy różnych dokumentów. Zaniosłam je na mahoniowy stół i zaczęłam przeglądać. Był tam wykaz produktów, które musiała systematycznie dostarczać do kilku domów. Miała osobną listę niezdecydowanych. Były zamówienia, oferty, jakieś zwroty. Wszystko było mniej więcej uporządkowane, chociaż do niektórych zapisków, dat i kółek tylko ona miała klucz.

Mamo, pomóż mi. Od czego mam zacząć? Od psychiatrii? Czy to, że otworzyłam notes na M i natknęłam się na niego niespodziewanie, coś oznaczało? Doktor Montalvo. Również psychiatra mógł mieć wpływ na uszczuplenie naszych finansów, zwłaszcza w okresie, kiedy moja matka nie pracowała. Od czegoś trzeba było zacząć. W ten sposób dowiedziałabym się z ust osoby kompetentnej, czy dobrze byłoby znaleźć moją siostrę, o ile żyje, czy lepsza jest postawa mojego ojca.

Wydaje mi się, że moja matka chodziła do psychiatrii przez dwa lata. Początkowo chodziła częściej, potem raz w miesiącu, zawsze w czwartki po południu, kiedy wracaliśmy ze szkoły. Czasami pilnowała nas wtedy córka sąsiada, która była ode mnie starsza o dwa czy trzy lata. Mama ubierała się elegancko i przed wyjściem z domu po raz ostatni przeglądała się w lustrze, jakby przypominała sobie całe to zło, o którym musiała opowiedzieć doktorowi, i zmieniała się na twarzy.

Nie zastanawiając się dwa razy, zadzwoniłam do gabinetu z nadzieją, z błaganiem, żeby wrócił z wakacji. Wrócił, ale nie miał wolnego terminu wcześniej

niż za dwa miesiące i nie było sposobu, aby przekonać bezduszną recepcjonistkę, że chodzi o bardzo pilną sprawę. Dwa miesiące. Normalnie jest to krótki termin, ale w wypadku mojej matki mógł oznaczać całe życie. Nie zamierzałam pozwolić, żeby ktoś narzucał mi swój rytm. Moja matka mawiała o doktorze Montalvo, że to człowiek, który wie, czym jest życie, aż w pewnym momencie przestała do niego chodzić, pewnie z powodu problemów finansowych, i już nigdy więcej o nim nie wspomniała.

Zjawiłam się tam tego samego popołudnia, o czwartej, zanim zaczęli przychodzić pacjenci. W tamtym momencie na niebie świeciło błyszczące, gorące słońce. Gabinet mieścił się przy ulicy generała Díaza Porliera, w mieszkaniu z ciągnącym się bez końca lakierowanym parkietem, który skrzypiał pod stopami. Nie słychać było żadnych odgłosów, ani jednego oddechu, tylko szelest stron czasopisma, które czytała recepcjonistka. Powiedziałam jej, że muszę przekazać doktorowi pilną wiadomość, a ona popatrzyła na mnie szyderczo: czegoż to ludzie nie wymyślą, żeby z nim porozmawiać bez umawiania się na wizytę. Powiedziałam jej, że chciałam się umówić, ale że absolutnie nie mogę czekać dwa miesiące. Wpadało jej to jednym uchem, a wypadało drugim. Była przyzwyczajona, że ludzie są zdesperowani, ale ja musiałam jechać autobusem, a potem metrem z dwiema przesiadkami i nie zamierzałam odejść z kwitkiem.

– Przynajmniej mogłaby mu pani powiedzieć, że przyszłam. Jestem córką Roberty Morales.

Nazwisko mojej matki zupełnie nic jej nie mówiło, a nawet gdyby mówiło, byłoby jej wszystko jedno.

– Doktora jeszcze nie ma, a kiedy przyjdzie, nie będzie mógł pani przyjąć. W listopadzie tak.

– W porządku – powiedziałam. – Wobec tego proszę mi wyznaczyć termin.

– Pod koniec miesiąca.

– Świetnie – zgodziłam się, uśmiechając się najładniej, jak umiałam, kiedy wręczyła mi wizytówkę. – Gdzie jest toaleta?

– W głębi.

Korytarz, oprócz tego, że trzeszczał, jakby pękał pod moimi stopami, był bardzo długi, z zakrętami i narożnikami, więc toaleta musiała być przy następnej przecznicy. Kiedy odeszłam wystarczająco daleko, żeby recepcjonistka nie nabrała podejrzeń, wróciłam tą samą drogą i czekałam w pobliżu recepcji, aż mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna z jesiennym kapeluszem w ręku i siwymi wąsami przywitał się i został powitany przez tę bezduszną istotę.

– Co słyhać, doktorze? Jest pan przygotowany na długie popołudnie?

– Jak co dzień, Judit. Daj mi dziesięć minut i może wejść pierwszy.

– Karty są na biurku.

Wślizgnęłam się za nim do gabinetu.

– Przepraszam, Judit mi powiedziała, że mogę wejść.

– Ale ja nawet nie zdążyłem włożyć fartucha – powiedział, chwytając za telefon.

– Proszę poczekać, to zajmie dwie minuty. Może pan włożyć fartuch przy mnie.

Proszę posłuchać, nie wiem, czy przypomina pan sobie moją matkę. Nazywa się Roberta Morales.

Zauważyłam, że ją pamięta.

– Co się z nią dzieje? Przerwała wizyty niespodziewanie.

Został w koszuli w różowo-białe prążki i w fioletowym krawacie. Gdy włożył fartuch, było widać tylko krawat. Usiadł za biurkiem i odchylił się w fotelu.

– Moja matka zawsze mówiła, że aby dowiedzieć się, czym jest życie, trzeba porozmawiać z panem.

Lekki półuśmiech, który ściągnął mięśnie wokół ust, pokazał, że pochlebstwo sprawiło mu przyjemność. Czekał, aż powiem coś jeszcze.

– Niedawno dowiedziałam się o tragedii, która dotknęła moją matkę. Nie wiem, czy pan sobie przypomina. Chodzi o zmarłą córkę, która jej zdaniem żyje. Teraz moja matka jest chora, w szpitalu, w ciężkim stanie, ale do tego momentu bez przerwy jej szukała.

W miarę jak mówiłam, on nadymał się wewnątrz fartucha. Była to kwestia sekund, lecz wydawało się, że trwało więcej niż kilka minut, wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak jego twarz zmienia kolor.

– I znalazła ją?

Pokręciłam przecząco głową, a wtedy uderzył otwartą dłońią w blat.

– Powiedziałem jej, żeby zostawiła tę sprawę w spokoju. Powiedziałem to nawet twojemu ojcu. Czyśmy poszaleli? W przypadkach takich jak twojej matki to jest najgorsze, co można zrobić. Pacjent zamyka się w sobie jak ślimak i wówczas bardzo trudno jest mu pomóc. Nie rozumiem, dlaczego mnie nie posłuchała. Musisz ją przekonać, żeby to zostawiła. Jeśli jej powiedziano, że dziecko zmarło, to dlatego, że zmarło, cała reszta nie ma sensu. Jest nielogiczna.

– Czy pana zdaniem przekonanie, że dziewczynka żyje, to wytwór fantazji?

– Ależ oczywiście, że wytwór fantazji. Nieumiejętność radzenia sobie z przeciwnościami losu jest oznaką niedojrzałości.

Doktor poczerwieniał na twarzy i mówił podniesionym głosem. Przynajmniej martwił się o moją matkę, dlatego żałowałam, że przerwała wizyty: może gdyby kontynuowała leczenie, zdołałaby być szczęśliwsza. Właśnie miałam mu powiedzieć, że chyba zastosuję się do jego rady, kiedy weszła Judit, całkowicie wyprowadzona z równowagi.

– Wiedziałam – powiedziała, patrząc na mnie z nienawiścią. – Widząc, że nie wraca z toalety, domyśliłam się, co się święci. Wkręciła się, doktorze.

– Nieważne. Lepiej, że tak się stało.

Podziękowałam mu, wzięłam plecak, którego używałam w charakterze torebki, i skierowałam się do wyjścia, myśląc, że mój ojciec i doktor Montalvo są tego samego zdania, lecz głos Judit sprawił, że się cofnęłam. Wołała mnie.

– Wizyta kosztuje...

Przyniosę pieniądze w listopadzie, powiedziałam jej, oddalając się w kierunku drzwi i schodząc szybko po schodach. Mojej matce przytrafiło się w życiu coś bardzo bolesnego, a wszyscy wyciągali od niej pieniądze, wykorzystując jej ból. Wyobraziłam sobie złość Judit. Wyobraziłam sobie, jak idzie, wywołując skrzypienie parkietu, do gabinetu doktora i rzuca obelgi pod moim adresem. Wyobraziłam sobie także doktora, słuchającego, lecz nieprzywiązującego wagi do jej słów, rozumiejącego sytuację mojej rodziny. Nie był jednym z tych niewzruszonych

psychiatrów z filmów. W pewnym sensie on również czuł cierpienie swoich pacjentów.

Z tego, co mówił doktor, lepiej, żebym nie przyznała się matce, że znam jej tajemnicę, bo to byłoby tak, jakbym sama też wcisnęła się do jej muszli ślimaka. Chociaż prawdę mówiąc, ja już byłam w muszli ślimaka, nie potrafiłam odłożyć tej sprawy ad acta, dowiadywałam się coraz więcej. Jeśli moja siostra żyje, znajdę ją. Gdy szłam w stronę centrum, szukając ocienionych chodników, patrząc na wystawy, właściwie ich nie widząc, gdy życie wdzierало się we mnie wszystkimi porami ciała i nie mogłam nic na to poradzić, próbowałam sobie przypomnieć drogę, którą przebyliśmy: moja matka, brat i ja, tamtego zimowego popołudnia, kiedy poszliśmy zobaczyć, jak jakieś dziewczynki grają w piłkę na boisku do koszykówki.

Przypomniałam jej to zdarzenie następnego dnia, kiedy poszłam ją odwiedzić.

– Zapomnij o tym – powiedziała. – To było głupstwo. Mówiono mi o tej szkole i chciałam zobaczyć, jak wygląda.

Spytałam ją o nazwę i adres, ale ona oparła się o poduszkę – była zmęczona.

– Już nie pamiętam, Verónico. To było dawno.

Powiedziała, że to było dawno, w sposób tak niewyraźny, jakby chodziło o coś utraconego i zapomnianego, więc przyszło mi nagle do głowy, że to może już nie ma dla niej znaczenia, że wyszła z muszli ślimaka i że to, co zamierzam zrobić, jest bez sensu. A jednak nie mogłam się powstrzymać, żeby jeszcze trochę nie popytać.

Poprosiła mnie, żebym zadzwoniła do kilku klientów i porozwoziła zamówione produkty, które były w domu. Denerwowało mnie, że zachorowała akurat teraz, kiedy miała tę pracę, która mogła konkurować z jej obsesją na punkcie Laury.

Powiedziałam, że mogę nadal obsługiwać jej klientów, aż złączą się zajęcia na uczelni. Nagle przypomniałam sobie o swoim nieszczęsnym życiu. Nie chciałam okłamywać matki i udawać, że jestem studentką, skoro nią nie byłam, ale prawda by ją przygnębiła. Stąd się biorą kłamstwa i kłamcy.

Wyjaśniła mi, co mam robić. Byłam wzruszona, widząc, że jest tak ożywiona i myśli, że wszystko toczy się naprzód tak, jak powinno. Wskazała mi numery telefonów, na które będę musiała zadzwonić, i błagała, abym była bardzo uważna

i nie popełniała błędów, żeby klienci nie protestowali, a w firmie nie zauważono zmiany. Ta praca była dla niej bardzo ważna i dobrze ją sobie zorganizowała. Miała dużo wiary w siebie i wiedziała, że tego, co robi, nie da się zrobić lepiej. Była smutna, zdenerwowana, ale nie zaniepokojona. Oddała mi notes.

– Tutaj jest wszystko. Bardzo na niego uważaj. Nie zgub go za nic na świecie. Nigdy nie noś go w rękę, tylko w torebce, w plecaku, w tym, co zazwyczaj nosisz ze sobą i natychmiast zauważyłabyś brak, gdybyś gdzieś tego zapomniała.

Moja matka nigdy niczego nie zapominała, nawet kluczy do domu czy książki na stoliku w kawiarni. Wszystko miała w głowie. Nie była zapominalska ani roztargniona. Nie wiem, dlaczego w nią wątpiłam.

– Mamo, pamiętasz tamtego psychiatrę, do którego chodziłaś, kiedy byłam mała? Zapytała mnie wzrokiem, dlaczego zadaję jej to pytanie.

– Dlaczego zdecydowałaś się do niego pójść? Po co ci to było potrzebne?

Może i jej ręce miały dwieście lat, ale oczy cofnęły się do pięciu. Wszystko, na co patrzyły, było pokryte warstwą niewinności.

– Sprawy życiowe. Lepiej pójść do psychiatry, niż zatruwać życie ludziom, których kochasz.

– A dlaczego zrezygnowałaś?

– Z braku czasu i pieniędzy i dlatego, że przestałam mu ufać.

– Są jak spowiednicy. Rozmowa zawsze pomaga.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Chodziło o jego nastawienie. Nie pomagało mi.

– Może nie mówił ci tego, co chciałaś usłyszeć.

– Też mi to przyszło do głowy, jednak jeśli słuchałam jego rad, niepokój narastał, więc postanowiłam przerwać. – Jej pięcioletnie oczy uśmiechnęły się do mnie. – Tobie to niepotrzebne.

– Pytałam z czystej ciekawości – powiedziałam.

Odchyliła się do tyłu i pozwoliła, żeby głowa poruszyła się jej na oparciu w poszukiwaniu wygodnej pozycji.

– Nie wiem, co się stało z tamtym człowiekiem, zawsze z tym swoim kapeluszem w rękę.

Pocałowałam ją na pożegnanie. Ostatnio całowałam ją w czoło, żeby nie zarazić jej jakąś bakterią.

Nie byłam w stanie odwiedzić nawet w połowie tylu klientów, ilu odwiedzała moja matka, bo musiałam korzystać z komunikacji publicznej. Obym chociaż wzięła się solidnie do robienia prawa jazdy i zdała egzamin. Jak dotąd nie chciałam myśleć o swojej przyszłości, tylko o jej. Prawie wszystkich klientów łączył swego rodzaju młodzieńczy wygląd i ciekawość nowinek, niezależnie od wieku i miejsca zamieszkania. Jeździłam z północy na południe i ze wschodu na zachód, od superluksusowych willi po pięćdziesięciometrowe mieszkania, od dwudziestoletnich sportowców po osiemdziesięcioletnich weteranów. Wielu klientów to były kobiety w średnim wieku, które mówiły mi, że znalazły w mojej matce przyjaciółkę, przewodniczkę po świecie alg i soi. Początkowo nie pozwalały mi wejść za próg, odbierały zamówienie i podpisywały pokwitowanie z miną wyrażającą rozczarowanie, że nie widzą Betty. Jednak kiedy im mówiłam, że jestem jej córką i (jak poradziła mi matka) że przywożę im nową linię kosmetyków na bazie herbaty, prosiły, żebym przeszła do salonu, a ja wyjaśniałam im, że Betty robi specjalistyczny kurs w Japonii i że muszą się wykazać odrobiną cierpliwości, bo kiedy wróci, ich życie się zmieni. Mówiły wtedy: „Jak cudownie!”, gładząc sobie ręką skórę.

Zważywszy na wszystkie te salony, które widziałam, mogłabym napisać książkę o sofach, ławach, telewizorach, sprzęcie grającym, książkach albo braku książek, zasłonach, żaluzjach i zapachach, które ulatniają się po otwarciu słoiczka z esencjami każdego ogniska domowego. Mogłabym też napisać inną książkę: o tym, co się nosi po domu. Począwszy od mężczyzn i kobiet ubranych tak, jakby w każdej chwili mieli do nich przyjść książęta i księżniczki, po tych, którzy przyjmowali mnie praktycznie nago, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Moja matka знаła ich na wylot. Była zachwycona, że opowiadam jej wszystkie szczegóły swoich wizyt. Dom Horrorów, Wampirzyca, Szklany Pałac, Warownia, Poddasze, Brudas. Byłyśmy bardziej żyte niż kiedykolwiek. Ja byłam teraz jej życiem za murami szpitala, jej oczami i jej językiem. Udzielała mi wskazówek na temat bajerów, jakie miałam wstawiać klientom, żeby byli usatysfakcjonowani.

Produkty to tylko połowa tego, co kupują, mówiła. Druga połowa to lepsze życie i poczucie przynależności do grupy uprzywilejowanych. Nikt nie chce należeć do zgrai prostaków. Trzeba im mówić o tym, co się ostatnio pojawiło, o tym, czego jeszcze nie da się dostać w Hiszpanii, ale za to już od dłuższego czasu cieszy się dużą popularnością w Emiratach Arabskich.

Lekarze ze szpitala mówili mi, że poprawia jej się bardzo powoli i że do poprawy w połowie przyczynia się stan ducha oraz nadzieja.

Prawdę mówiąc, połowa życia, połowa zdrowia, kremów z ekstraktów z dna morskiego, piękna, radości i rozpaczy, połowa wszystkiego nie była rzeczywista, była czystą iluzją, niczym dym z pałeczek kadzidła, które dawała w prezencie, gdy wartość zakupu przekraczała sto tysięcy peset.

Ostrzegała mnie także przed niezdolnymi klientami – w ich wypadku nie warto było nalegać. Niektórzy byli znudzeni i pozwalali, żebyś ich odwiedzała, bo chcieli się rozerwać. Tak było z Gretą Valero, Złodziejką. Mama nie chciała mi wyjaśnić, co Greta ukradła. Powiedziała, że to bez znaczenia. Trzymaj się od niej z daleka. Powinnam ją była wykreślić z notesu, ale zapomniałam. Zamawia najdroższe rzeczy i nie płaci. Za nic w świecie nie chcę, żebyś tam poszła, powiedziała. Moja matka otoczyła ją czerwonym kółkiem, poprawiając je kilka razy, grubym kółkiem, które przebijało na drugą stronę kartki, dzięki czemu miałam sobie natychmiast przypomnieć, że ta klientka nas nie interesuje.

12. LAURA I MADAME NICOLETTA

Tamtego dnia w południe, już trzy lata temu, gdy wyszliśmy z egzaminu, czekała na nas madame Nicoletta w letniej sukience do ziemi, w niezwykle długim szalu chroniącym przed wszelkimi przeciągami i w chustce owiniętej wokół głowy. Do tego dochodziły różne naszyjniki, bransoletki i pierścionki. Z tym wszystkim, co miała na sobie, mogłaby otworzyć kram z rękodziełem. My, cztery jej uczennice, stawiliśmy się na egzamin wymagany do rozpoczęcia nauki w kuźni talentów Baletu Narodowego. Ja byłam najstarsza z nas wszystkich, bo Nicoletta czekała, aż uzna, że jestem gotowa, ale ten moment właściwie nigdy nie nadszedł. Jeśli w końcu mnie zgłosiła, zrobiła to na żądanie Lilí, która miała wątpliwości, czy nauczycielka traktuje mnie sprawiedliwie. Lilí umierała z niecierpliwości, żeby powiedzieć swoim przyjaciółom, klientom sklepu obuwniczego i każdemu, kto zechciałby jej wysłuchać, że jej wnuczka kształci się, żeby zostać tancerką Baletu Narodowego.

Zniosłam to naprawdę źle, a Nicoletta, jak się domyślam, jeszcze gorzej. Wyszłam pobladła od bezsensownego wysiłku po występie przed komisją, która odprawiła mnie przed czasem. Byłam bliska rzucić ręcznik w połowie ćwiczenia, bo wiedziałam, że moje koleżanki poradziły sobie znacznie lepiej i że nie mam żadnych szans. Nicoletta starała się nie patrzeć mi w oczy.

– No dobrze, już po wszystkim – powiedziała naszej czwórce, chociaż wiedziałam, że prawdziwy sens tego zdania odnosi się do mnie.

Moja babcia przybiegła zirytowana, bo nie mogła wyjść wcześniej ze sklepu i od początku wczuć się w nastrój. Oczy jej błyszczały. Pierwszą rzeczą, na którą popatrzyła, był medalik. Uparła się, żebym go założyła, bo ona nosiła go w dzieciństwie. Przytuliła mnie do swojej białej bluzki. Sięgałam jej do ramienia i poczułam perfumy, którymi zawsze skrapiała sobie szyję. Zrobiło mi się niedobrze i miałam ochotę się rozplakać. Co za katastrofa. Chciałam jej powiedzieć, żeby sobie poszła, żeby nie była świadkiem upokorzenia, które miałyśmy lada moment przeżyć.

– Jak poszło? – zapytała nauczycielkę z taką radością, że miałam ochotę umrzeć.

– Dobrze – odparła oschle madame Nicoletta. Potem wzięła mnie za ramiona

i wsadziła między swoje chusty i bransoletki, gdzie przez chwilę poczułam się bezpieczna i spokojna. – Liczą się wysiłki, które podejmowały przez te wszystkie lata. Będą z korzyścią dla nich i to właśnie tak naprawdę zostanie im na całe życie.

Lilí skrzywiła się i odwróciła wzrok, a jej oczy i policzki straciły blask. Wyjęła chusteczkę i otarła pot leciutkimi pacnięciami, żeby nie rozmazać makijażu. Zaczynała przeczuwać, że jej marzenia legną za chwilę w gruzach.

Zachowała powagę i stała ze skrzyżowanymi ramionami, aż wywieszono informację na drzwiach sali. Lilí, Nicoletta, pozostałe dziewczynki i ich matki podeszły tam. Moje nazwisko było jedynym, którego brakowało.

Babcia była zdruzgotana. Nie patrzyła na nikogo. Nie mogłam pogratulować koleżankom, bo poszłam za nią. Nauczycielka odprowadzała mnie wzrokiem, przysłuchując się rozpromienionym matkom znakomitych baletnic.

– To dlatego nie chciała cię zgłosić – powiedziała Lilí, gdy zapinałyśmy pasy bezpieczeństwa w samochodzie. – Żeby wkręcić swoje ulubienice.

– One są lepsze, babciu. Są bardziej giętkie i mają lepsze poczucie rytmu.

– Nigdy więcej tak nie mów, słyszysz? To była intryga. – Prowadziła, nie zwracając uwagi na drogę. – Tyle lat poświęceń, przywożenia cię i odwożenia, wszystkich tych tutu, baletek i nadziei, a teraz to.

– Babciu, proszę... Spróbuję w przyszłym roku.

– Jesteś już za duża. Nie pozwolą ci. Wypadłaś z gry, to koniec. I nie nazywaj mnie babcią – powiedziała, odwracając głowę w moją stronę w taki sposób, iż zapragnęłam, żebyśmy uderzyły w drzewo i żeby ta udręka skończyła się raz na zawsze.

13. VERÓNICA I WAMPIRZYCA

Już nieraz przychodziło mi do głowy, żeby zadzwonić do Any, tej od psa, opowiedzieć jej, co się dzieje z moją matką, i poprosić, żeby ją kiedyś odwiedziła, bo to sprawiłoby mamie przyjemność. Byłby to sposób, żeby rozdzielić naszą połowę odpowiedzialności za jej poprawę pomiędzy Anę, mojego ojca i mnie, bo moi dziadkowie nie wchodzili w grę. Matka nie chciała ich widzieć. Jednak nie było potrzeby, żebym się wysilała: pewnego wieczoru, koło jedenastej, kiedy ojciec i ja zbieraliśmy talerze ze stojącego na środku stolika, przy którym jedliśmy kolację, patrząc na ekran z ogromnym natężeniem, jakbyśmy chcieli go rozbić, zadzwoniła Ana. To były najgorsze chwile dnia, bo co my robiliśmy tutaj, a moja matka w szpitalu, skoro normalnie byłaby z nami, siedziała obok mojego ojca, rozmawiała i wstawiała co chwilę? Czasami składała wysuszoną bieliznę, oglądając jakiś serial, i burczała na ojca, że zrzuca okruszki na dywan. Pierwszą rzeczą, jaką robiła po powrocie do domu, było przebranie się. W zimie wkładała stare dżinsy i podkoszulek i wiązała włosy w koński ogon, a w lecie krótkie spodenki, inny podkoszulek i także wiązała włosy. I to było wszystko – w niczym nie przypominała Wampirzycy, która otwierała mi drzwi w jedwabnym szlafroku w pawie, który ześlizgiwał jej się z ramienia, z nóg, gdy siadała, z całego nagiego ciała, które groziło obnażeniem się w każdej chwili. Zawsze, niezależnie od pory dnia, sprawiała wrażenie, jakby właśnie zostawiła kogoś w łóżku, żeby wyjść i otworzyć drzwi. Czasami słychać było jakieś odgłosy spoza tak zwanego salonu, w którym stała klatka z papugą wśród mebli pokrytych czarną laką. Staralam się pośpieszyć z przekazaniem jej informacji, żeby mogła wrócić do swoich zajęć, ale ona nie zwracała uwagi na te odgłosy. Któregoś razu nalegała nawet, żebyśmy się napiły herbaty. Przyniosła ją na tacy również pokrytej czarną laką i musiałam uczestniczyć w ceremonii serwowania napoju, narażona na widok ześlizgującego się co chwilę szlafroka. Moja matka zdążyła mnie uprzedzić, że Wampirzyca jest wyjątkową klientką. Nie patrzyła na cenę ani nie robiła obliczeń. Zapełniałam jej stół kosmetykami, na których zużycie potrzebowałyby dziesięciu lat i które musiała gdzieś trzymać razem z tonami pałeczek kadzidła dawanych jej w prezencie przez moją matkę, a teraz także przeze mnie. Pewnego

dnia, kiedy zsunął jej się szlafrok, zobaczyłam, że ma na plecach siniaka. Natychmiast odwróciłam wzrok – może to nie było to, na co wyglądało. Z głębi domu dobiegło chrząknięcie sprawiające wrażenie męskiego, ale jej się nie śpieszyło. Zapytała mnie, jak mojej matce idzie na kursie. Bardzo chciała, żeby opowiedziała jej o Japonii. Byłam bliska wyznania jej prawdy, co było absurdalnym pomysłem, bo nikomu na nic by się to nie zdało, a ja zdradziłabym zaufanie matki, więc ugryzłam się w język, pozbierałam swoje rzeczy i wyszłam. Na zewnątrz blask słońca raptownie zamknął mi oczy. Nikt nie jest całkiem bezpieczny, powiedział mi blask w języku blasków.

Słyszając głos Any, poczułam ulgę. Zapytała mnie o matkę, więc wyjaśniłam jej sytuację ze wszelkimi szczegółami. Gadałam jak najęta, a ona słuchała w milczeniu. Przerwała mi tylko raz, żeby powiedzieć Gusowi, żeby się zamknął. Powiedziałam jej, że zastępuję matkę w pracy i mam nadzieję, że firmie nie sprawi to różnicy, zważywszy, że sytuacja jest tymczasowa, a poza tym niektórzy klienci jeszcze nie wrócili z wakacji. Dowiedziała się też ode mnie, że Ángel wyjechał na pewien czas do dziadków, że mój ojciec jest zagubiony, a ja zapomniałam się zapisać na uniwersytet.

– Nie martw się – powiedziała. – Nie muszą o niczym wiedzieć. W firmie liczą się tylko wyniki, a Betty jest jednym z najlepszych sprzedawców.

Jej głos brzmiał szorstko i sprawiał wrażenie, jakby się postarzała, jakby miała więcej lat, niż wskazywałby jej wygląd, jakby się zagapiła i przestała go kontrolować.

– Pójdę ją odwiedzić i zajrzę także do ciebie. Dzwon do mnie w każdej sprawie.

Podziękowałam jej i kiedy odkładałam słuchawkę, pożałowałam, że się nie powstrzymałam. W gruncie rzeczy potrzebowaliśmy pociechy, ale nie pomocy. Dawaliśmy sobie radę, a moja matka nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z tym, że jest w rękach lekarzy.

Ana dotrzymała słowa. Następnego dnia, gdy poszłam do szpitala, matka powiedziała mi, że Ana była u niej. Nie wiem, gdzie zostawiła psa, powiedziała. Jest bardzo samotna. Nie wydaje ci się, że jest bardzo samotna? Powiedziałam jej, żeby wyszła zapalić, bo zobaczyłam, że jest zdenerwowana. Przejęła się moim stanem.

Odkąd moja matka była w szpitalu, nie złościła się tak jak wcześniej i współczuła

innym. Doszła do takiego punktu, w którym jej własny ból związany z chorobą równoważył ból z powodu utraty Laury. Właśnie wtedy pomyślałam, że byłoby dobrze porozmawiać z Aną o tym, czy uznać sprawę Laury za zakończoną, czy nie, poznać trzecią opinię oprócz opinii ojca i doktora Montalvo. Ona przynajmniej wiedziała, że ja wiem, i nie musiałabym jej wyjaśniać absolutnie niczego.

Oczywiście Ana była lepszą przyjaciółką mojej matki, niż to sobie wyobrażałam: nie tylko dotrzymała jej towarzystwa w szpitalu, ale, gdy wróciłam wieczorem do domu, zastałam, po wejściu do salonu, nakryty mahoniowy stół z dwoma talerzami, półmiskiem z sałatką i dwoma hamburgerami. Była także butelka wina, nie nasza. Z kuchni dochodziły głosy kobiety i mężczyzny. Mojego ojca i kogoś jeszcze. Mojego ojca i Any o młodym głosie, a nie głosie z zardzewiałego żelaza, którym rozmawiała ze mną przez telefon. Przeszłam przez korytarz i weszłam do kuchni. Mój ojciec siedział, opierając się łokciami o dębowy stół, a Ana kończyła zmywać naczynia. Nie zdjęła złotej bransoletki z maleńkimi wisiorkami przynoszącymi szczęście, z których kapłała piana, ani pierścionków z małego palca i z serdecznego, dzięki czemu zmywak w jej ręku nie wyglądał na zmywak.

– Zrobiłam wam coś na kolację – powiedziała, gdy tylko mnie zobaczyła. – Przez te przykrości na pewno nie pamiętacie o jedzeniu.

Miała na sobie beżową zamszową spódnicę do kolan, która dopasowywała jej się do pośladków i ud niczym rękawiczka. Nosila także jasnoniebieską bluzkę związaną w pasie. Była boso – widocznie zostawiła buty w przedpokoju – przez co spowijała ją aura całkowitej nagości. Włosy trochę jej urosły i opadały na czoło i na uszy. Srebrzyste pasemka we fluorescencyjnym świetle kuchennym sprawiały wrażenie siateczki ze szczerzego srebra. Usta umalowała matową czerwienią, którą stosowały dawne aktorki, zanim wynaleziono połysk w szminkach. Miało się ochotę być podobną do niej.

Poprosiliśmy, żeby została z nami, bo przecież też musiała zjeść kolację, ale odrzuciła zaproszenie: zostawiła Gusa samego, no i przede wszystkim widać było, że chce nas zostawić samych, żebyśmy mogli porozmawiać o naszych sprawach bez obecności intruza. Wyprostowana, nie pochylając w ogóle pleców, wsunęła stopy do butów, wzięła torebkę i postawiła sobie kołnierz koszuli, dzięki czemu zrobiła się

wyższa, smuklejsza i bardziej elegancka. Patrzyliśmy z ojcem, jak otwiera drzwi i wychodzi.

Usiedliśmy do kolacji. Ojciec przyniósł sobie z kuchni piwo i żadne z nas nie wykonało najmniejszego gestu, żeby otworzyć butelkę wina przyniesioną przez Anę. Ojciec spojrzał na etykietkę, zacisnął usta, co było oznaką uznania, i schował wino do kredensu.

– Otworzymy ją, jak Betty wyjdzie.

Potem wyraziliśmy opinię, że Ana jest bardzo dobrą osobą, i przeżuwaliliśmy powoli, bez apetytu, chociaż należało przyznać, że sałatka była pyszna, a hamburgery delikatne i smaczne. Ana przyniosła specjalny ocet winny w bardzo ładnej butelce, z gałązką tymianku w środku, i zostawiła go w kuchni, co wywołało we mnie kwaśnosłodkie uczucie.

Zwykle chodziłam odwiedzać matkę w południe, kiedy klienci jedli w domu lub w biurze, w zależności od tego, gdzie spędzali życie, albo wstępowałam do szpitala wcześniej rano, żeby porozmawiać z lekarzami. Dni mijały mi na wchodzeniu i schodzeniu po schodach w metrze i wjeżdżaniu i zjeżdżaniu windami. Matka powiedziała, że wyszczuplałam i wyładniałam. Wszystko idzie dobrze, mamo, odpowiadałam. Czemu jej mówiłam, że wszystko idzie dobrze? Wszystko szło, jak szło, i tyle. Mój ojciec widywał się z nią, gdy kończył pracę, czasami o ósmej, czasami o dziewiątej. Uznaliśmy, że w ten sposób może się spodziewać mniej więcej dwóch wizyt dziennie. Teraz z Aną byłaby nas trójka. Jednak nie powiedzieliśmy Ani, jaki plan ustaliliśmy, i dwa czy trzy dni po tym, jak przygotowała nam kolację, mój ojciec i ona zjawili się w szpitalu o tej samej porze, a potem wrócili razem taksówką do domu. Kiedy przyszłam, ojciec pił aperitif na werandzie, a Ana przyprawiała sałatkę tym dobrym octem winnym i nakładała na talerze spaghetti, które cudownie pachniało, czymś, czego moja matka nigdy nie dodawała do spaghetti. Nabierała je designerskimi szczypcami, których nigdy nie widziałam w naszej kuchni.

– Przychodzisz w samą porę – powiedziała Ana. – Betty się polepszyło, nie wydaje ci się?

Nie wydawało mi się. Była taka jak zawsze, ale ja, zamiast mówić o matce,

zapytałam Anę o Gusa. Gus był jedyną żywą istotą, którą można było z nią powiązać. Nie miała dzieci, nie miała męża, kiedyś wspominała o bracie, który mieszkał w Indonezji. Tak chyba powiedziała.

– Nie mogę go zabierać do szpitala. Wezmę go na spacer, jak wrócę do domu.

Nie było potrzeby zachęcać jej, żeby została: dzisiaj było to coś, co rozumiało się samo przez się. Przyniosła kolejną butelkę wina, którą otworzyła, nie dając nam czasu, żeby ją od tego odwieść. Ojciec i ja popatrzyliśmy na siebie ze smutkiem. Gdyby ojciec otworzył sobie dwie czy trzy puszki piwa, to byłoby zrozumiałe, ale całkiem czym innym wydawało się wypicie butelki markowego wina do kolacji, podczas gdy moja matka...

– Dajcie spokój – powiedziała, dostrzegając nasze spojrzenia i zastygając z butelką w powietrzu. – Makaron trzeba podlać odrobiną wina, bo jeśli popija się wodą, robi się kula w żołądku. Betty przyznałaby mi rację.

Zaczęła nalewać do kieliszków. Wzięła te z kredensu, zarezerwowane na wielkie okazje. Uniosła swój na wysokość oczu, żeby przyjrzeć się lepiej, jaki kolor ma wino, i skosztowała. Odczekała kilka sekund i skinęła głową.

– Posłuchajcie – powiedziała – czy będziemy pić wodę, czy wino, echokardiogram Betty się nie zmieni.

Ja nie spróbowałam wina, a ojciec zamoczył usta przez grzeczność. Nie odzywaliśmy się. Ana naląła sobie drugi kieliszek. Spaghetti było tak dobre, że miałam wyrzuty sumienia, kiedy go kosztowałam. Poza tym przestaliśmy jadać kolację na werandzie, odkąd moja matka zachorowała. Nawet nie przyszło nam do głowy, żeby szukać świeżego powietrza, księżycy, gwiazd, zapachu wilgoci z osiedlowych ogrodów.

Ojciec i ja uparliśmy się, że pozbieramy talerze, podczas gdy ona paliła papierosa, oparta o jeden z filarów werandy. Chciałam, żeby już sobie poszła, bo zakończyłoby się przyjemne życie bez mojej matki, ale z drugiej strony pragnęłam, żeby nie zostawiała nas samych, mojego ojca i mnie, z całą naszą samotnością.

Gdy ojciec robił bałagan w kuchni i wkładał naczynia do zmywarki, skorzystałam z okazji, żeby oprzeć się o inny filar. Poprosiłam Anę o papierosa.

- Nie wiedziałam, że palisz.
- Tylko czasami, kiedy jestem zdenerwowana.
- Cóż, to normalne w tych okolicznościach, ale uważaj, palenie trudno rzucić.
- Jestem zdenerwowana, bo chcę cię o coś spytać i muszę to zrobić szybko, bo nie chcę, żeby mój ojciec usłyszał.

Obie popatrzyłyśmy w stronę korytarza.

- Znałaś moją matkę, jeszcze zanim się urodziłam, i muszę wiedzieć, co naprawdę, ale to naprawdę myślisz. Czy moja siostra żyje? Umarła czy nie umarła przy narodzinach?

Przeciągnęła po włosach ręką z pierścionkami. Włosy miała obcięte w taki sposób, żeby można było przeciągnąć po nich ręką, żeby wpadał w nie wiatr, żeby nie trzeba było ich czesać. Kiedy ją cofnęła, na czoło opadło jej kilka małych kosmyków.

- Nie zadrećzaj się. Umarła. Ja to wiem. Betty miała zupełnie nieuzasadnioną nadzieję. Zapomnij o tym. Teraz liczy się tylko to, żeby wyzdrowiała.

Położyła mi na ramieniu tę samą rękę, którą wcześniej przeciągnęła po włosach. Spojrzałam na nią. Miała bardzo zadbaną skórę, a pierścionki lekko ją rozświetlały.

- Nie trać czasu. Nie popełnij tego samego błędu co Betty. Życie każdemu przynosi i radość, i troski. Absolutnie każdemu.

- Niedawno poszłam się zobaczyć z doktorem Montalvo, psychiatrą, który ją leczył, i powiedział mi to samo co ty.

Powiedziałam to w zamyśleniu, zastanawiając się nad owym zdarzeniem w tym samym czasie, kiedy mówiłam. Ana stanęła dokładnie naprzeciw mnie i wydało mi się, że jest bardzo wysoka, a ja niższa, niż sądziłam. Czułam, że jest wyniosła, beztraska, niezależna, wolna, bogata. Ujęła mnie pod brodę opuszkami swoich doskonałych palców.

- Jesteś bardzo młoda. Musisz żyć własnym życiem.
- Masz rację – powiedział mój ojciec, strasząc nas obie.

Podszedł do nas bezszelestnie, boso, tak jak cała nasza rodzina miała zwyczaj chodzić po domu w lecie.

- To nieszczęście jej nie dotyczy – dodał ojciec, który najwyraźniej usłyszał tylko

ostatnie zdanie rozmowy. – Powinna się spotykać z przyjaciółkami, umawiać się z chłopakami.

Oboje popatrzyli na mnie ze współczuciem, z tego swojego świata czterdziestokilkulatków. Gdy Ana poszła, powiedziałam ojcu, żeby się o mnie nie martwił, bo wszyscy są jeszcze na wakacjach i nie ma nikogo, z kim mogłabym się umówić.

Po egzaminach wstępnych w czerwcu nastąpił powszechny, natychmiastowy exodus i nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby wrócić do normalnego życia przed październikiem.

W środę moja matka była zniechęcona: nie miała jeszcze operacji, a nie chciała tam tkwić w zamknięciu. Wtedy, nie wiem czemu, opowiedziałam jej o siniaku Wampirzycy oraz o wszystkich moich domysłach i to oderwało ją od własnych zmartwień poprawiło jej nastrój. Nigdy nie rozumiałam Wampirzycy, ale teraz zaczynało do mnie docierać, że jedyną rzeczą, której chciała ta kobieta, była rozmowa. Rozmowa o naparach, kremach, o czymkolwiek, byle nie wracać do środka, do pokoi na piętrze. Biedaczka. Była kimś, kogo w tym momencie mnie i mojej matce było bardziej żal niż nas samych, kimś, kto potrafił wzbudzić naszą litość, chociaż wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, dlatego podziękowałam Wampirzycy z całego serca, że istnieje, że pojawiła się w naszym życiu i że jest tak bardzo nieszczęśliwa, bo składała się na pięćdziesiąt procent naszej nadziei.

Tamtego wieczoru wróciłam do domu o ósmej. Mój ojciec właśnie wziął prysznic. Dotrzymywał towarzystwa mojej matce, aż przyniesiono jej tacę z kolacją i zaczęło się ściemniać. Wtedy powiedziała mu, żeby już poszedł, bo musi odpocząć i ona także. Żadne z nas nie wspomniało o Anie, gdyż nie chcieliśmy, żeby stała się niezbędną w naszym życiu, a jednak od czasu do czasu rzucaliśmy okiem na przedsionek, jakby miała przejść przez drzwi, i odczekaliśmy bez sensu chwilę, zanim siedliśmy do kolacji. Toteż kiedy zadzwonił telefon, rzuciliśmy się w jego stronę, może nie biegnąc, ale jednak szybkim krokiem. Na szczęście ja dotarłam pierwsza, bo telefon był do mnie. Dzwoniła Judit, asystentka doktora Montalvo. Musiała powtórzyć nazwisko. Trudno mi było dopasować gabinet przy ulicy generała Díaza

Porliera, dwadzieścia kilometrów stąd, do naszego osiedla i głupią Judit do mojego domu, do miejsca przed półkami z całą kolekcją klasyków. Musiałam także dopasować uderzenie doktora dłonią w stół, a tymczasem ojciec patrzył na mnie zza błyszczących szkieł okularów. Pomachałam mu ręką na znak, że to nie Ana ani szpital, ani nic, co powinno go interesować. Poszedł do pokoju Ángela. Odkąd mój brat był w Alicante u dziadków, ojciec spał tam, bo w małżeńskim łóżku miał koszmary, nie mógł znieść, że było takie duże. Oczywiście nie zamierzałam informować Ángela o tym szczególe, bo przyszłoby mu do głowy wszystko, co ukrywał w zakamarkach u siebie, i martwiłby się, że ojciec mógłby to znaleźć, podczas gdy w rzeczywistości ojciec był tak oszołomiony, że potrafiłby dostrzec tylko plakaty z motocyklami.

Nie umiałam sobie wyobrazić, co zamierzał mi powiedzieć doktor Montalvo, dopóki nie przypomniały mi się niezapłacone pieniądze za wizytę i wszystko stało się jasne. Zaczekałam kilka sekund, aż podejrzenie miła Judit, która nie wspomniała o pieniądzach, zniknie z linii i pojawi się głos doktora, głos, który oddzielony od jego ciała, okazał się bardziej męski i głęboki.

– Dobry wieczór, Verónico. Wybacz, że dzwonię tak późno, ale dopiero teraz skończyłem przyjmować pacjentów.

Bąknęłam, że nic nie szkodzi, ale też nie chciałam go zachęcać.

– Jak się czuje Betty? Bardzo mnie zaniepokoiłaś tamtego dnia.

Było mi miło, że interesuje się moją matką, i opowiedziałam mu, jak posuwają się sprawy, czyli bardzo powoli.

– Może znam kogoś z zespołu kardiologii w tym szpitalu i mógłbym z nim porozmawiać.

Podziękowałam mu. Chociaż przypadek mojej matki wydawał się dość jasny, może nie zaszkodziłoby, gdyby zatroszczył się o nią inny lekarz.

– Chciałem ci też powiedzieć, że możesz się do mnie zwrócić, kiedy tylko zechcesz. Musisz tylko uprzedzić Judit.

Milczałam.

– Nie policzyłaby ci za wizytę – dodał natychmiast – bo to nie byłaby wizyta,

tylko odwiedziny.

Podziękowałam mu bardzo szczerze i już zamierzałam odłożyć słuchawkę, kiedy jego głos, nieco poważniejszy niż wcześniej, mnie powstrzymał.

– Jeszcze jedno: to nie jest dobry pomysł, żebyś przejęła obsesję swojej matki na punkcie odnalezienia tej dziewczynki. To nie wyjdzie na dobre ani tobie, ani jej. Uwierz mi, ona w końcu by się zorientowała, wymknęłaby ci się jakaś uwaga. Jest bardzo czuła na tym punkcie i odkryłaby, że o tym wiesz. Zaniepokoiłaby się i jej stan by się pogorszył. Musisz poczekać, aż wyzdrowieje, robić wszystko, żeby podnieść ją na duchu, a kiedy poczuje się lepiej, wrócimy do rozmowy. Proszę, nie rób niczego bez konsultacji ze mną.

Jeszcze raz mu podziękowałam i powiedziałam, żeby się nie martwił, że bardzo dobrze go rozumiałam.

Zanim odłożyłam słuchawkę, ojciec zdążył ugotować jajka. Ani on, ani ja nie mieliśmy głowy, żeby kupić coś więcej. W gruncie rzeczy liczyliśmy na wyśmienite potrawy Any. Ojciec był przekonany, że rozmawiałam z jakąś klientką, i powiedział, że nie muszę tyle pracować, że nie umieramy z głodu.

Zjedliśmy jajka na werandzie, popijając resztką wina sprzed dwóch dni. Wydawało się, iż dzięki Anie przewyciężamy skrupuły, że żyjemy. Musiałam znaleźć w kuchni miejsce dla octu winnego i wykwintnych szczypiec do spaghetti, a ojciec zabrał się do czytania gazety, czego od dawna nie robił. Martwiło go zadłużenie kraju. Gospodarka znajdowała się w katastrofalnym stanie. Politycy byli pasożytami. Świat czekało bankructwo.

– Nie wiem, ile to potrwa – powiedział, składając gazetę i upuszczając ją na stół. W oczach miał łzy.

Tamtej nocy śniła mi się dziewczynka ze zdjęcia, taka, jaką ją widziałam za pierwszym razem. Miała proste, rozpuszczone włosy przycięte na wysokości uszu. Kiedy odwracała głowę, wydawało się, że złamie jej się szyja. Przypominała nogę lampy z alabastru stojącej w salonie obok telefonu. Była bardzo szczupła i wątła. Przyglądałam się, jak bierze szare bawełniane spodnie z oparcia krzesła i wkłada je na siebie. Następnie wyjęła z szuflady szafy ściennej podkoszulek z twarzą Madonny

i włożyła go przez głowę. Potem popatrzyła na mnie swymi dużymi szarymi oczami i próbowała mi powiedzieć coś, czego nie byłam w stanie zrozumieć. Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że zbudziłam się z przyśpieszonym biciem serca, jakbym biegła. Był to nie tyle sen, ile wizja, i mój umysł musiał dokonać wielkiego wysiłku, żeby wypadła tak realistycznie. Doktor Montalvo powiedziała, że matka przekazała mi swoją obsesję i że ta dziewczynka zamieszkała w mojej wyobraźni, jakby była prawdziwa.

Wstałam, żeby napić się wody, i ojciec zapytał, czy nic mi nie jest. Żyliśmy w niepewności w dzień i w nocy. Poprosiłam go, żeby się przespał, bo jeśli nie będziemy spali, oszalejemy. Doktor miał rację. Nie powinnam szukać Laury wśród żyjących, bo rozsądniej było myśleć, że zmarła przy narodzinach i że to właśnie spowodowało poważne zaburzenia u mojej matki. A zatem dla jej dobra, i dla swojego, powinnam znaleźć dowody, że nie żyje. Już nie musiałam przyprowadzić matce żywej Laury, jako prezentu od losu, ale dostarczyć jej rozstrzygających dowodów nieszczęścia. Postanowiłam, że pierwszą rzeczą, jaką zrobię następnego dnia, będzie odszukanie Any, bo była jedyną osobą, której mogłam opowiedzieć o pewnych rzeczach bez obawy, że uzna, iż wszyscy oszaleliśmy.

Zabrałam się do dzieła, żeby zlokalizować Anę. Musiałam z nią porozmawiać o telefonie od doktora Montalvo i dowiedzieć się, co o nim sądzi, czy uważa, że dobrze się zajął problemem mojej matki, chociaż niewykluczone, że chodziło mi o coś innego. Może chciałam, żeby z naszego życia nie zniknęła jedna z nielicznych osób, które dobrze znały moją matkę. Nie wiedziałam, gdzie Ana mieszka, ani nie wydawało mi się, żeby moja matka kiedykolwiek była w jej domu. Gdyby była, wspomniałaby chociaż raz, jak się urządziła, czy był duży, czy mały, czy znajdował się w dobrej dzielnicy. Z pewnością pełno w nim było drobiazgów w rodzaju szczypców do nabierania spaghetti, które nam przyniosła, i moja matka zwróciłaby na nie uwagę, wspomniałaby o nich. Ale nie. Prawie nic o niej nie wiedzieliśmy. Materializowała się w naszym życiu, ale my w jej życiu nigdy, jakby w momencie, w którym zniknęła nam z oczu, Ana i jej świat rozwiewały się w próżni. Wzięłam notes, żeby znaleźć jej numer, i znów pojawiły się czerwone kółka, jak to, które

otaczało nazwisko Greta Valero, klientki, do której miałam się nie zbliżać. Przy innych nazwiskach widniały kwadraty, strzałki, kropki, co oznaczało zrealizowane zamówienie, zamówienie w toku, brak zainteresowania, zapłacone, niezapłacone, ale w niektórych wypadkach znaczenie było nie do rozszyfrowania.

Przy numerze telefonu Any nie było żadnego znaczka. Zadzwoiłam i odpowiedział mi młody kobiecy głos, należący zapewne do gosposi, a potem odezwała się ona, głosem z zardzewiałego żelaza, takim samym jak poprzednio, jakby podczas rozmowy przez telefon zmieniała się w rurę do połowy zatopioną w bagnie. Zapytałam ją, czy u niej wszystko w porządku, bo nie była u nas od kilku dni. Odparła, że miała dużo pracy, że musiała wyjechać. Spytała mnie o mamę. Bez zmian, odpowiedziałam. Po południu zamierzała ją odwiedzić, a potem wpaść do nas. Powiedziałam jej, że jeśli w tym momencie nie byłoby w domu ani mojego ojca, ani mnie, może poprosić o klucz sąsiada, ale ledwie to powiedziałam, pożałowałam, bo nie wiedziałam, czy mojej matce spodobałoby się, że Ana będzie sama w naszym domu. Musiałam się postarać, żeby się nie dowiedziała.

14. LAURA, DO PRACY!

Dwa lata temu oblałam egzaminy wstępne na studia, ale mogłam do nich podejść jeszcze raz we wrześniu. Prawdę mówiąc, maturę zdałam z największym trudem, bo przez balet miałam bardzo mało czasu na naukę do chwili, kiedy oblałam egzamin do kuźni talentów Baletu Narodowego. Wtedy Lilí straciła zainteresowanie tą sprawą i mogłam robić, co chciałam, ale było już za późno i nie zdołałam nadrobić zaległości. Madame Nicoletta zobowiązała mnie do ukończenia nauki w konserwatorium, żebym mogła ją zastąpić, kiedy odejdzie. Podobno zawsze byłam jej ulubioną uczennicą, bo ze wszystkich, które przewinęły się przez jej zajęcia, ja najbardziej kochałam taniec i ludzi, a kształcenie baletnic było dużo ciekawsze i mogło trwać znacznie dłużej niż występy na scenie. Miała wielką ochotę wrócić do swojego rodzinnego kraju, Rumunii, i czekała już tylko, aż będzie mogła pobierać emeryturę. Nie chciała jednak zostawiać swojej klasy w rękach pierwszej lepszej osoby i nie pozwoliła, żebym się wahała, straciła zapał, zerwała z tańcem. Gdy widziała, że się zniechęcam, mówiła, że bardzo ważne jest umieć w życiu coś robić dobrze: gotować, tańczyć, śpiewać, obcinać włosy, układać cegły. Ktoś, kto umie coś robić dobrze, nie umrze z głodu, zapewniam cię, mawiała.

Prawie w tym samym czasie, kiedy oblałam egzaminy wstępne, wręczono mi w konserwatorium dyplom z tańca klasycznego. Gdy pokazałam go Lilí, niemal na niego nie spojrzała. Co więcej, sprawiło jej przykrość, że przypominam jej o swojej porażce w Balecie Narodowym.

– Greta i ja myślałyśmy o twojej przyszłości – powiedziała. – Masz już siedemnaście lat i musisz nabierać doświadczenia w pracy. Gdybyś zdała egzaminy wstępne, nawet by nam to nie przyszło do głowy, jednak w tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli zaczniesz się oswajać ze sklepem. Chcę, żebyś się nim zajmowała, kiedy twoja matka podróżuje. Ja nie mam tyle siły co dawniej, potrzebuję pomocy.

Już wielokrotnie pomagałam babci w Boże Narodzenie, w lecie i w weekendy. Może dlatego przyjaciółki oddalały się ode mnie, bo zawsze miałam coś do zrobienia i nie mogłam tracić czasu jak większość osób w moim wieku.

– Madame Nicoletta zaproponowała mi swoją posadę w konserwatorium.

– To nie jest praca. Jako rozrywka, w porządku, ale to nie jest prawdziwa praca. Zaczynasz jutro o dziewiątej. Zejdiesz na dół i Paloma wyjaśni ci, co trzeba zrobić, zanim otworzymy o dziesiątej.

Nie przystąpiłam do egzaminów we wrześniu. Byłam pochłonięta pracą w sklepie obuwniczym i Nicoletcie zrobiło się przykro, kiedy powiedziałam, że mogę się zajmować jej uczennicami tylko od ósmej do dziesiątej wieczorem i w niektóre niedziele rano. Każda inna osoba posłałaby mnie do diabła, ale ona porozmawiała z dyrektorką i przekonała ją, żeby przystała na moje warunki.

– Nie pozwól, żeby ktoś ci to odebrał. To, co umiesz robić, nie jest łatwe.

Wierzyłam nauczycielce, miałam do niej zaufanie. Wiedziałam, że robi to wszystko dla mojego dobra, jakby znała moje życie lepiej ode mnie i jakby interesowało ją bardziej niż mnie samą.

Nie mogłam narzekać: mama i Lilí dały mi możliwość studiowania, ale ja tego nie doceniłam, a teraz oferowały mi rodzinny interes, żeby ułatwić mi start. Tak, nie mogłam narzekać.

15. VERÓNICA I OJCIEC JUANITY

Zaniosłam matce jedną z jej podomek. Była bawełniana, w kwiaty i miała długi pasek z tego samego materiału. Zawiązałam na nim kokardę, żeby nie ciągnęła go po ziemi, siadając w fotelu. Próbowałam przespacerować się z nią po korytarzu, ale się męczyła. Wobec tego uczesałam ją i jakby mimochodem zapytałam, czy była kiedyś w domu Any. Nie była, powiedziała niemal zdziwiona tym, że nie była, i tym, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Chociaż miała pewną wymówkę. Ana dość często zmieniała mieszkania i zerwała nie wiadomo ile związków. Moja matka straciła rachubę. Jej przyjaciółka była niestała, nie chciała mieć zobowiązań. Ostatnio trudno było się zorientować, gdzie się podziewa. To ona przychodziła do naszego domu i moją matkę zawsze dziwiło, że Ana o niej nie zapomniła, jak wiele innych osób, które po prostu z upływem czasu, z powodu odległości, zmiany sytuacji, choć zachowywały dobre wspomnienia, oddalały się coraz bardziej i znikaly. Ale nie Ana. Ana dawała znaki życia co najmniej na Boże Narodzenie, na urodziny i kiedy ogarniała ją tęsknota za przeszłością i za przyjaźnią. Poznały się, gdy obie pracowały w centrum handlowym, sprzedając ubrania. Kiedy robiły porządek na ladach i składały ubrania, które rozrzucały klientki – jędze, jak je nazywały – rozmawiały o swoich sprawach. Dla Any było to coś wyłącznie tymczasowego. Lubiała podróżować i poznawać świat, więc gdy tylko zaoszczędziła wystarczająco dużo, rzuciła sklep w cholerę i wyjechała do Tajlandii, co było jej największym marzeniem. Kilka miesięcy później moja matka zaszła w ciążę... I na tym urwała się rozmowa o Anie. Mamie zabrakło słów. Epizod, gdy była w ciąży z Laurą, i wszystko, co się później wydarzyło, było zamknięte w sejfie, którego ja nie mogłam jeszcze otworzyć. Gdybym nie wiedziała tego, co wiedziałam, zapytałabym ją, ale mając świadomość sytuacji, człowiek robi się bardzo dyskretny, cierpliwy, milczący.

– Krótko mówiąc – powiedziała – Ana nigdy nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Cóż za życie prowadzi.

Prawdę powiedziawszy, do tej pory podobało mi się, że tak było. Ana pojawiała się ni stąd, ni zowąd ze swoimi światowymi manierami, wchodziła do naszego domu

tak jak wtedy, gdy otwiera się drzwi i wpada jakiś liść, jakiś papier albo pudełko sąsiada, a potem odchodziła. Czy to nie wystarczyło?

– Parę razy zrobiła nam kolację.

To zdziwiło moją matkę. Otworzyła oczy nieco szerzej niż zwykle i uniosła brwi.

– Nie powiedziała mi... Nie chce, żebym jej cokolwiek zawdzięczała. Jak gotuje?

– Całkiem nieźle.

– Nic jej nie powiem, żeby nie poczuła się skrępowana. Jestem spokojniejsza, wiedząc, że zagląda do was ktoś dorosły i zmusza was do jedzenia. Schudłaś. Twój brat pewnie je przynajmniej te okropne paelle twojej babci.

Zawsze mówiła: „twoja babcia”, prawie nigdy „moja matka” albo „mama”. Nie mówiła również „tato”. Traktowała ich bardziej jak dalekich krewnych niż prawdziwych rodziców, a w naszym domu najczęściej mówiła do nich po imieniu: Marita i Fernando.

– Ángel dzwoni?

– Od czasu do czasu. Babcia mówi, że jest czarny jak smoła.

Pokiwała głową i zamknęła na sekundę oczy.

– Chyba byłam dla niej bardzo surowa.

Doskonale wiedziałam, że to z powodu czegoś, co miało związek z Laurą, czegoś, czego nie mogła wybaczyć swojej matce.

– Myślę, że chętnie przyjechałaby cię odwiedzić.

– Cóż, porozmawiamy o tym innym razem. Ważne, że Ángel jest w dobrych rękach i dzięki temu nie musisz go mieć na głowie.

Chociaż próbowałam dotrzeć do domu przed Aną, nic z tego nie wyszło. Sąsiad powiedział mi, że dwie godziny wcześniej dał klucze pewnej wysokiej, szczupłej damie, sympatycznej, choć bez przesady, eleganckiej i bardzo ładnie pachnącej, a to właśnie rozumiał pod pojęciem damy. Ma na imię Ana, powiedziałam mu.

– To imię do niej nie pasuje – odparł. – Powinna się nazywać Penelopa. Przyszła z psem.

To znaczyło, że jej się nie śpieszy.

Zdziwiło mnie, że przez cały ten czas nie przygotowała nic na kolację. Nie wiem dlaczego, gdy sąsiad powiedział mi o tych dwóch godzinach, wyobraziłam sobie, że wchodząc do domu, zanurzę się w cudowny zapach pieczeni. Nie chodziło o to, że byłam głodna albo miałam na nią ochotę, lecz o to, że nie wiedziałam, po co przyszła tak wcześnie, skoro nie zrobiła tego w tym celu.

Kiedy otworzyłam drzwi, Gus rzucił się na mnie. Ana nie zamknęła drzwi od ogrodu i zauważyłam, że jego łapy zarysowały parkiet. Gdy głaskałam go po grzbiecie i pozwalałam się lizać, w korytarzu zjawiała się Ana. Szła z głębi domu, gdzie były nasze sypialnie i łazienki.

– Wracam z łazienki – powiedziała, chociaż jej nie pytałam. –Gus, wynoś się do ogrodu.

Zdjęłam buty, zawiesiłam torebkę w szafce przy wejściu, rozpięłam spodnie i idąc w stronę swojego pokoju, zawołałam:

– Sąsiad mówi, że powinnaś mieć na imię Penelopa.

– Ależ spostrzegawczy – powiedziała. – Przepraszam, że przyszedłam tak wcześnie. Źle obliczyłam czas.

Wzięłam szybki prysznic, mając nadzieję, że po wyjściu zastanę nakryty stół. Ale wszystko było po staremu, nawet nie weszła do kuchni. Nie widziała honorowego miejsca, na którym umieściłam szczypcę do spaghetti i ocet winny.

– Dzisiaj – powiedziała – przygotowałam dla was niespodziankę. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Niespodzianka polegała na zjedzeniu kolacji w mieście. Jeden z jej przyjaciół miał restaurację z dwiema gwiazdkami Michelin i Ana chciała nas tam zaprosić. Było wygodniej i zdrowiej zmienić na chwilę otoczenie.

Mój ojciec powiedział, że jest zmęczony, że większość klientów prosi o włączenie klimatyzacji i trochę go boli gardło.

– Musisz się rozerwać. Od tego, że będziemy tkwili zamknięci tutaj, stan Betty się nie polepszy, ale jeśli idąc ją odwiedzić, będziemy w dobrym humorze i zadowoleni, ona się ożywi. Zarezerwowałam stolik. O jedenastej będziemy z powrotem.

Mój ojciec wziął prysznic, przebrał się, a kiedy wrócił do salonu, Ana

zareagowała na jego widok tak samo jak sąsiadki, nauczycielki i matki moich koleżanek z klasy: nie mogły nic na to poradzić. Trwało to kilka sekund. Mój ojciec nie zdawał sobie z niczego sprawy. Po prostu się wykąpał i włożył dżinsy oraz białą koszulę. Żeby oderwać od niego wzrok, Ana spojrzała na mnie.

– Jesteś bardziej podobna do Betty.

Podczas całej kolacji mój ojciec i ja czuliśmy, że zdradzamy moją biedną matkę. Właściciel restauracji był przyjacielem Any i robił wszystko, żeby nam dogodzić. Ona zaś była w swoim żywiole: zapomniała o swojej przyjaciółce, o tym, że my nie byliśmy w nastroju do świętowania, że im wspanialsze były dania, tym bardziej nas to gnębiło, i że nie potrafiliśmy się tym wszystkim cieszyć. Sama wypijała całą butelkę francuskiego szampana i przyglądała się mojemu ojcu, wcale się z tym nie kryjąc i patrząc mu prosto w oczy, jakby byli sami. Wreszcie za kwadrans jedenasta ojciec powiedział, że punktualnie o jedenastej musimy być w domu. Przyjechaliśmy jej samochodem, lecz w drodze powrotnej prowadził mój ojciec. Przez grzeczność nalegał, że odwiezie ją do domu, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że on też pił i że jeśli go przyłapią, zabiorą mu licencję, podczas gdy ona czuje się doskonale i że po przyjeździe zadzwoni, żeby nas uspokoić. Mój ojciec usiadł i czekał na telefon, mając wyrzuty sumienia, że pozwolił jej pojechać w takim stanie, ja natomiast bez żadnych wyrzutów sumienia poszłam włożyć coś, co nazywaliśmy piżamą, czyli krótkie spodenki i podkoszulek. Podkoszulek miał swoje miejsce na oparciu fotela, który kupiła mi matka, żeby mi się nie skrzywił kręgosłup. Był biurowy i można go było regulować na wszystkie strony. Teraz służył mi głównie do wieszania podkoszulka. I właśnie kiedy go zdejmowałam, odniosłam wrażenie, że książki na moim biurku nie leżą tak, jak powinny. Ktoś je ruszał. Pomoc domowa miała przyjść dopiero za piętnaście dni – rzeczywiście w kątach zebrał się brud – a mojemu ojcu nie przyszłoby do głowy, żeby wejść do mojego pokoju. Co do mnie, odkąd zdałam egzaminy, nie dotykałam biurka nawet po to, żeby zetrzeć kurz, i dokładnie pamiętałam, że podręcznik do filozofii leżał na książce do francuskiego po lewej stronie, po prawej zaś notatki z hiszpańskiego, z historii sztuki i z łaciny, a na nich powieść Galdósa. Teraz kolejność się zmieniła, a szuflady były idealnie dosunięte, podczas gdy ja zawsze zostawiałam je otwarte na szerokość kilku milimetrów, żeby kartki nie

zsuwały się w głąb.

Nie wyobrażałam sobie Any robiącej coś takiego. To do niej nie pasowało. Nie pasowało do jej zamszowych spódnic, bluzek z postawionym kołnierzykiem, do pierścionków. Być może wiatr zwiął notatki, a ona je pozbierała i próbowała wszystko zostawić w jak najlepszym porządku. Snułam się po domu w milczeniu, w milczeniu cięższym od powietrza, jak woda w basenie. W takim stanie, kiedy wydaje się, że jakieś ręce uciskają cię leciutko, lepiej się myśli, lepiej się widzi i lepiej się zgaduje. Poszłam do sypialni rodziców. Nie sprawdzała szuflad komody tak dokładnie jak moich, ale również odniosłam wrażenie, że ich dotykano, a skarpetki ojca były poodwracane. W szkatułce na biżuterię niczego nie brakowało. Niczego nie zabrała. W szafie, gdy ją otworzyłam, wydało mi się, że czuję delikatne perfumy Any, a wieszaki nie były w idealnym porządku, w jakim moi pedantyczni rodzice je umieścili, blisko siebie, lecz tak, żeby się nie stykały. W tym momencie żołądek podszedł mi do gardła. Zdenerwowana uniosłam pokrowiec z białej tkaniny wiszący na futrze z nerek i włożyłam rękę do kieszeni, w której schowałam satynowy woreczek z pieniędzmi. Nie było go tam. Był w drugiej. Otworzyłam go i przeliczyłam je. Nic nie brakowało. Mogłabym jednak przysiąc, że nie zostawiłam pieniędzy w tej kieszeni.

Z drugiej strony, nie byłam pewna na sto procent. Czasami postępuje się w sposób automatyczny i robi się jedną rzecz, myśląc, że robi się coś innego. Ana musiała myszkować po domu i dlatego wynagrodziła nam to wspaniałą kolacją. Nie podobało mi się, że nadużyła zaufania swojej przyjaciółki, ale przecież niczego nie zabrała. Ludzie nie są doskonali, wciąż sprawiamy zawód jedni drugim. Dzisiaj moja matka nie miała innej przyjaciółki, która by się o nią troszczyła. Skupiła się nadmiernie na rodzinie i na swoich obsesjach, zapominając, że gdzie indziej też toczy się życie. Nie oddałabym matce żadnej przysługi, robiąc się wymagająca wobec wszystkich dokoła. To nie był odpowiedni moment, żeby wymagać, ale żeby robić wszystko jak najlepiej, a Ana starała się uprzyjemnić nam życie. Niemal pożałowałam, że nie czerpałam przyjemności z tej wspaniałej kolacji. Głupie wyrzeczenia nie pomagały mojej matce ani nikomu innemu. A mimo to nadal nie podobało mi się, że Ana przetrząsnęła nasz dom.

Nie powiedziałam o tym ojcu, który zawołał: „Wreszcie!”, kiedy zadzwonił telefon i mógł się położyć, ale w miarę jak mijały minuty, coraz gorzej się czułam, myśląc o zachowaniu Any. Wyrzuciłam do śmieci luksusowy ocet winny oraz designerskie szczypce do spaghetti i pomyślałam, że gdybym musiała podać jakieś wytłumaczenie, powiedziałabym, że nie mogę ich znaleźć, no ale dlaczego miałabym się tłumaczyć Anie w swoim własnym domu?

Kiedy Ana i mój ojciec ponownie się zobaczyli, mnie przy tym nie było. Spotkali się przypadkiem w szpitalu i potem poszli się czegoś napić w okolicy. Ojciec prawie nie miał ochoty jeść kolacji, bo do piwa podano im zakąski.

– Ana zawsze musi postawić na swoim – powiedział. – Przysięgam ci, że nie miałem ochoty tam iść.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, bo byłam świadkiem, jak się upierała, żebyśmy się rozerwali.

– Jutro zamierzam odwiedzić detektywa. Myślisz, że mi coś policzy? – powiedziałam, jakby chodziło o rzecz najzwyczajszą na świecie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał, poprawiając okulary.

Nie było potrzeby odpowiadać, bo doskonale wiedział, że będziemy rozmawiać o jego żonie, mojej matce, kobiecie ze szpitala, i prawdopodobnie o jej nieżyjącej córce.

– Nie wiem, co się stało z tą dziewczynką, tato, i chcę się dowiedzieć. Muszę doprowadzić do tego, żeby mama mogła spać ze spokojnym sumieniem. Nie ma znaczenia, czy ona się myli, czy nie. Cierpi i zachorowała dlatego, że nie wie.

Miałam wątpliwości, czy nie wplątuję się w obsesję swojej matki, żeby zapomnieć o jej chorobie. Ta Verónica, która kryła się za mną, której nie było widać na pierwszy rzut oka, teraz przystępowała do działania. Ojciec się zdenerwował i wyjął z kredensu butelkę whisky. Nalał sobie do szklanki na trzy palce, a potem jeszcze na dwa. Powiedział mi, nie podnosząc wzroku znad szklanki, że przeszedł już przez to z moją matką i że on też jest człowiekiem, że też ma coś do powiedzenia i wobec tego mówi, że jeśli Laura rzeczywiście nie umarła przy narodzinach,

z pewnością żyje własnym życiem i być może nie będzie chciała wiedzieć tego, co jej mamy do powiedzenia. Co zamierzałam zrobić? Komu chciałam w ten sposób pomóc? Wydarzyło się nieszczęście i nie było wyjścia. Żadne wyjście nie było dobre w takiej sytuacji.

Powiedziałam mu, żeby nie pił tyle, bo w końcu upodobni się do ojca Juanity.

Ojciec popatrzył na mnie urażony i gwałtownie odstawił puszkę piwa na stół. Nasza rodzina była rozbita. Albo się powstrzymywaliśmy i nie mówiliśmy tego, co czujemy, albo mówiliśmy i sprawialiśmy sobie ból.

– Do ojca Juanity? Kto to jest ojciec Juanity?

Ponieważ mój ojciec zawsze gdzieś jeździł taksówką, nie miał okazji przyjrzeć się mojej przyjaciółce Juanicie. Chodziłyśmy do tej samej klasy, byłyśmy sąsiadkami, kiedy się śmiała, robiły jej się dołeczki obok ust, których bardzo jej zazdrościłam, i udawałam, że nie znam jej ojca, gdy widziałyśmy, jak wychodzi, zataczając się, z barów w centrum handlowym.

16. LAURO, SCHOWAJ TO ZDJĘCIE

Nagle na jednym ze stolików w salonie pojawiło się moje zdjęcie zrobione całe wieki temu, w czasach kiedy chodziłam do swojej pierwszej podstawówki, Esfery. Miałam dwanaście lat, a teraz dziewiętnaście. W tamtej szkole nie nosiliśmy mundurków jak u zakonnic z Santa Marta i mieliśmy trenera koszykówki, któremu było na imię Olof. Pamiętałam jego twarz ze wszystkim szczegółami, jakbym patrzyła na niego w tej chwili. Im się jest młodszym, tym bardziej osobliwe wydają się twarze, piegi, rzęsy, jakaś mała brodawka, kształt palców: dostrzega się je w sposób niezwykle wyraźny i precyzyjny. Z tamtego okresu na całe życie utkwiły mi w pamięci zapachy moich kolegów, głosy nauczycieli, dziury na boisku... Ale nie pamiętałam, żeby ktoś mi zrobił zdjęcie. To zdjęcie. Nie widziałam go również w albumach. Stanowiło całkowitą nowość.

Było wpół do jedenastej i właśnie wróciłam z konserwatorium. Lilí już była ubrana w tę swoją białą jedwabną piżamę, która podkreślała kształt jej piersi i ud, jakby była posągiem, a mama szykowała się do wyjścia na spotkanie z przyjaciółmi. Ja o tej porze lubiałam jeść kolację, oglądając telewizję, i równocześnie słuchać odgłosów ruchu ulicznego dochodzących z dołu, ze świata, za którym na dziś właśnie zamknęłam drzwi. Już mnie nie obchodziły klaksony ani pisk hamulców, ani dźwięki salsy wymykające się z okna jakiegoś samochodu.

– Skąd wytrzasnęłyście to zdjęcie?

Pamiętałam, że ogrodniczki, które nosiłam na zdjęciu, oddałyśmy, razem z innymi ubraniami, które zrobiły się na mnie za małe, do parafii na rogu. Piłka była pewnie w rupieciarni. Dwanaście lat od dziewiętnastu dzieli tysiąclecie.

– Proszę, Ana zostawiła to dla ciebie – powiedziała mama, dając mi puderniczkę od Diora. – Mówi, że ten puder jest w tonacji twojej skóry i że zakryje pryszcze, które ci wychodzą, jak masz okres.

Była prawie pełna, a na wieczku miała lusterko.

– To ona przyniosła zdjęcie?

– Musiała je znaleźć u siebie. Schowaj je gdzieś tutaj.

Położyłam się wcześniej, ale najpierw zrobiłam Lili masaż stóp i obejrzałam serial, w którym występowała moja kuzynka Carol. Babcia przyglądała się jej tak, jakby to ona sama grała i było jej mało, kiedy odcinek się kończył, a kiedy Carol pojawiała się najwyżej na pięć minut, obruszała się i szła do łóżka wściekła.

– Nie doceniają jej talentu – mówiła. – To jak rzucanie pereł przed wieprze.

17. VERÓNICA CHCE WIEDZIEĆ

Biuro było małe, ze ściankami działowymi z gipsowych płyt, pomalowane na szaro i biało. Na biurku sekretarki stała gwiazda betlejemska na ceramicznym talerzu z odrobiną wody. Na dodatkowym stoliku ekspres do kawy i filiżanki. Z boku metalowa szafa na akta zamykana na klucz, a na szafie kilka fotografii samej sekretarki. Szef biura detektywistycznego nazywał się Martunis i trudno byłoby mi się z nim zobaczyć bez umówionego spotkania. Zapytałam kobiety, czy jest jego sekretarką. Odparła, że jest asystentką Martunisa i ma na imię María.

Dodała, że mogę jej powiedzieć, o co chodzi, to do mnie zadzwonią.

Powiedziałam jej, że mam na imię Verónica, jestem córką Roberty Morales i chciałam tylko pozdrowić detektywa. Słuchała mnie, nie przestając pisać na klawiaturze komputera dużymi, silnymi dłońmi. Może sprawdzała kartę mojej matki.

– Pozdrowić go?

– Tak, chętnie bym go poznała.

Po raz pierwszy spojrzała wprost na mnie, oczami, które nie wiadomo, czy były szare, zielone, czy niebieskie. Nie były brzydkie, ale też nie odważyłabym się powiedzieć, że ładne.

– Dobrze, usiądź tam na chwilę – powiedziała, wskazując parę szarych fotelików pod ścianą. – Zobaczę, co będę mogła zrobić.

Przed fotelikami stał niski stolik z czasopismami, co oznaczało, że klienci musieli czasami czekać i być może czuliby się skępowani, gdyby spotkali kogoś znajomego w takim miejscu. Na drugim fotelu siedział mężczyzna z dwiema kępkami włosów po obu stronach głowy. Był ubrany w kasztanową koszulkę polo, z której rękawów wystawały grubawe białe ramiona, niemal pozbawione owłosienia. Miał zegarek wielki jak pięść, a dzinsy wskazywały, że dzisiejszy dzień był dla niego dniem wolnym od pracy. Nosił obrączkę. Czasopisma były tak nieaktualne, że nawet moja matka mogła je kartkować lata temu, rozmyślając o tym, co powie jej detektyw albo jego asystentka.

Zadzwoniła do kogoś i rozmawiała tak cicho, że nie sposób było usłyszeć, co

mówi. Nie musiała sobie zasłaniać ust ręką. Gdy odłożyła słuchawkę, wyszła zza biurka i ruszyła w moją stronę. Miała na sobie buty z posrebrzanych pasków, na cienkich obcasach, które zapadały się w wykładzinie dywanowej, obcisłe elastyczne dzinsy, a na górze coś czerwonego, do połowy rozciętego na plecach, na boku i na piersi. Szła bardzo wyprostowana i wyglądała na zachwyconą tym, że gdy idzie, długie, czarne, gładkie włosy opadają jej na jedno ramię, na twarz, zaplatają się w ramiączko stanika. Jakby walczyła z tą siłą natury, która była częścią jej samej.

Zdaje się, że siedząc na szarym foteliku, wodziłam za nią wzrokiem z otwartymi ustami i czasopismem w ręku, aż znalazła się tuż przy mnie. Przyglądała mi się, stojąc na rozstawionych nogach na posrebrzanych obcasach, jakby zamierzała mnie zastrzelić. Z pewnością jej duże ręce trzymały niejedną pistolet i umiała strzelać, no i z pewnością pamiętała moją matkę.

– Będzie tu za pół godziny. Możesz wrócić później.

– Myślę, że zaczekam – powiedziałam.

Zebrała włosy na prawą stronę i zrobiła z nich jedwabisty węzeł. Lepiej jej było w rozpuszczonych niż w związanych. Sprawiały, że twarz wydawała się mniejsza i trochę zakrywały jej szczękę.

– Być może to potrwa dłużej niż pół godziny – dodała. – Będziesz się nudziła.

– Mam wiele rzeczy do przemyślenia – powiedziałam szczerze.

Potrzebowałam miejsca, które niczego by mi nie przypominało i w którym mój umysł mógłby pracować niczym nierozpraspany.

– Jak chcesz – powiedziała i wróciła za biurko, rozwiązując węzeł i pozwalając, żeby włosy spłynęły na plecy.

Była dumna ze swojego ciała i mogłabym przysiąc, że gdy nie siedziała tutaj, ćwiczyła na siłowni albo przeglądała się w lustrze.

Moi rodzice poznali się przez przypadek na plaży, nigdy wcześniej się nie widzieli. Ich życie nie miało ze sobą nic wspólnego. Ojciec studiował turystykę, a matka była ekspedientką w domu towarowym. Ich rodziny pochodziły z bardzo różnych miejsc. Rodzina ojca z Wysp Kanaryjskich, a matki ze wschodu Hiszpanii. Ileż rzeczy musiało się dopasować we wszechświecie, żeby zaistnieli, a potem się

spotkali i żebyśmy się urodzili my: mój brat i ja. Ileż milionów oczu, ust, kości, komórek, ile miliardów osób potrzeba było, żebyśmy przyszli na świat, a przed nimi ileż miliardów zwierząt, bakterii, lat, mroku... i oczekiwania, aż się pojawimy. Jaki sens mogła wobec tego mieć śmierć Laury?

Dość dygresji. Doszłam do wniosku, że mając taką asystentkę i nazywając się Martunis, detektyw okaże się silnym mężczyzną ze wschodnim akcentem i wytatuowanymi ramionami. Nigdy nie rozmawiałam z kimś takim, więc uznałam, że powinnam się wyrażać precyzyjnie. Krótkie, jasne zdania, żadnego mieszania tragedii i cierpienia czy własnych uczuć z obiektywnymi informacjami. Mężczyzna, który czekał obok mnie, wstał.

– Obiecałem dzieciom, że zabiorę je do zoo. Zrobiło się późno. Wrócę jutro – powiedział, przyglądając sobie rękami kępkę włosów.

Gdy tylko wyszedł, Maria dała mi znak i przeszliśmy na drugą stronę ścianki działowej, gdzie najwyraźniej był gabinet szefa. Nie znoszę zazdrosnych mężczyzn, powiedziała i poprosiła mnie, żebym rozmawiała z nią tak, jakby była Martuniszem we własnej osobie, bo on wróci dopiero za dwa tygodnie.

– Myślę, że moja matka wynajęła was do szukania mojej siostry.

Splotła dłonie, co znamionowało siłę i pewność siebie. Dłonie były duszą jej ciała, tak jak u innych oczy lub usta.

– Mojej siostry Laury – dodałam.

– Wydaje mi się, że twoja matka nie wie, że tu przyszłaś.

Kiwnęłam głową, potwierdzając jej podejrzenie. Maria miała na twarzy solidną warstwę makijażu, zakrywającą ślady po dawnych wypryskach.

– Chciałam tylko zapytać, czy moja siostra umarła przy narodzinach, czy żyje. Czy pan Martunis to wie?

– Czemu nie spytasz matki?

– Ona myśli, że ja o niczym nie wiem. Odkryłam to przez przypadek. Z tego, co się orientuję, dzisiaj tylko ona, bo nawet nie mój ojciec, jest przekonana, że moja siostra żyje i że została jej odebrana po urodzeniu.

– To jest sprawa rodzinna, kwestia zaufania między rodzicami i dziećmi, między

mężem i żoną. Nie mogę się do tego mieszać. Nasze zadanie polega na zbieraniu i przekazywaniu informacji.

– Przekazaliście mojej matce zdjęcie pewnej dwunastoletniej dziewczynki trzymającej piłkę?

Zaczynała się niecierpliwić.

– Moja matka jest w szpitalu. Będzie miała operację serca, której może nie przeżyć. Muszę jej pomóc. Jeśli jej córka umarła, chciałabym jej otworzyć oczy, przedstawiając jakiś dowód, żeby poszła na salę operacyjną spokojna.

– Trzeba zachować wielką ostrożność – powiedziała. – Intuicja matki jest niemal obiektywną informacją i ja na podstawie tego, co wiem, powiedziałabym, że Laura raczej żyje, niż umarła. Niestety nie mogliśmy kontynuować dochodzenia. Gospodarowaliśmy pieniędzmi, jak tylko mogliśmy, ale to jest interes. I kiedy mówię: „interes”, nie mam na myśli wielkich dochodów. Wystarczają nam w sam raz. Nie mogę tego potwierdzić z całą pewnością, ale wydaje mi się, że udało nam się znaleźć szkołę domniemanej Laury.

– I zrobiliście jej zdjęcie.

– Nie, zrobiła je twoja matka. Snuła się przez cały dzień po szkole, obserwując ją na przerwach, wypytyując nauczycieli, aż ktoś podniósł alarm i dziewczynkę zabrano stamtąd z dnia na dzień, co utwierdziło nas w przekonaniu, że nie byliśmy na złym tropie. Mogliśmy nadal prowadzić dochodzenie, ale twoja matka poprosiła, żebyśmy przestali, bo nie była w stanie pokryć kosztów, a poza tym była emocjonalnie wykończona, jakby nie wiedziała, co zrobić z prawdą.

– Jak się nazywa ta szkoła? – zapytałam z obawą.

Podniosła wzrok na sufit, szukając odpowiedzi.

– Nie pamiętam. Trzeba by przeczytać w aktach.

Wstała i popatrzyła na swój przegub, na maleńki zegarek z bardzo cienką złotą bransoletką. Potrząsnęła głową. Było później, niż myślała.

Podziękowałam jej, czując w gardle pestkę brzoskwini.

– Wiecie o mojej matce więcej niż ja. Wydaje mi się, że mieliście do niej większe zaufanie niż mój własny ojciec.

– Niech cię to nie zmyli. Wiem niesamowite rzeczy o wielu ludziach. Rzeczy, jakich nie potrafiłabyś sobie wyobrazić, ale poznanie jakiejś osoby jest znacznie trudniejsze. Poznaje się, co ma w sercu, ale nie to, co w głowie – powiedziała, siadając na swoim miejscu asystentki.

Byłam jej wdzięczna za szczerość i za to że była nieco sentymentalna. Musiałam pójść do toalety zrobić siku, ochłodzić sobie twarz i przejrzeć się w lustrze, żeby jakoś wrócić do siebie. Obeszłam jej biurko w drodze do wyjścia. Rozmawiała przez telefon, więc pokiwałam jej ręką na pożegnanie, ale wtedy wyciągnęła swoją i złapała mnie za nadgarstek, nie przestając rozmawiać. Przekonałam się, jaką ma siłę w rękach.

Dała chwilę wytchnienia komuś, kto był na drugim końcu linii.

– Szkoła nazywa się Esfera. Tu jest adres.

I kontynuowała rozmowę.

Już mnie nie słuchała, gdy jej dziękowałam.

Esfera musiała być tą szkołą, do której matka zaprowadziła nas tamtego zimowego popołudnia, prawdopodobnie w styczniu, siedem lat temu. Ani Ángel, ani ja nie wiedzieliśmy, co tam robimy. Matka przez godzinę obserwowała boisko do koszykówki, jakby była w transie. To było dziwne popołudnie, jedna z tych sytuacji, które na zawsze zapadają w pamięć, bo nie przypominają żadnej innej. Szaleństwo, które teraz jak najbardziej nabrało sensu. Ileż jest szaleństw i iluż szaleńców, którzy po jednym prostym wyjaśnieniu okazaliby się normalni. Poszukałam ulicy na mapie. Znajdowała się za parkiem San Juan Bautista, a więc niewątpliwie mogła być ulicą z tamtego popołudnia. Wtedy nie zwracałam uwagi na drogę, wyłącznie na to, że ją przebyliśmy, że weszliśmy do metra, gdy zapadał zmrok i że wyszliśmy po ciemku. Od stacji metra do szkoły matka szła owładnięta pewną idée fixe, a my maszerowaliśmy po obu stronach jak dwoje maleńkich żołnierzyków. W tych wspomnieniach spowijał nas chłód.

Teraz mieliśmy wrzesień, dni mijały, a temperatura była bardzo przyjemna. Wieczorami robiło się chłodno, ale to było nic w porównaniu z lodowatym wiatrem wiejącym tamtego odległego wieczoru. Na samo wspomnienie mogłam znów poczuć

ów ponury ziąb, który przenika do drobnych dziecięcych kości niczym woda, chociaż teraz miałabym grubszą skórę i mogłabym go zwalczyć dzięki warstwie tłuszczu i mięśni. Przed wyruszeniem w tę podróż do przeszłości włożyłam skórzaną kurtkę, którą rodzice podarowali mi ostatnio na Trzech Króli. Była brązowa, postarzana, ze sprzączką i zamkami błyskawicznymi na rękawach, które po rozsunięciu odsłaniały ręce lub rękawy koszuli, którą miałam pod spodem. Wkładałam ją do adidasów i starałam się nie używać zbyt często, żeby jej nie zniszczyć. To była fantastyczna niespodzianka, bo dość dużo kosztowała. Matka powiedziała, że to coś, co do mnie pasuje. W tamte święta pracowałam, pakując prezenty w El Corte Inglés i za zarobione pieniądze kupiłam wszystkim prezenty. Flakon Chanel No 5 dla matki, pasek dla ojca i serię książek przygodowych dla Ángela. Matka powiedziała, że nie chce się przyzwyczajać do tak drogich perfum, ale przekonała się, że stanowią dobrą wizytówkę podczas rozmów z klientkami, dlatego zawsze ich używała przed wyjściem. Mimo to jeszcze się nie skończyły.

Czy Ángel przypomniaby sobie tamto popołudnie? Jeszcze nie chciałam mu o niczym mówić. Po co komplikować mu pamięć i życie? Już i tak był dość dziwnym chłopcem, choć nie wiedział o tej historii. Zdawało mi się, że widzę go w oknie metra, a także siebie i matkę, ze spojrzeniem zagubionym w ciemnościach tunelu, ale nie byłam sobie w stanie wyobrazić, że wiele lat później będę szukała tego obrazu w podobnym wagonie. Jechałam z przesiadką, którą niejasno rozpoznałam we wspomnieniach. Prawie bieглиśmy za matką, zwłaszcza Ángel, tym swoim zmęczonym truchtem, bo zawsze bolały go nogi.

Na dobre czy na złe, dzieciństwo mnie opuściło i czułam jego brak, w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek. Wczasy letnie w Alicante, bieganie, gdzie oczy poniosą tylko dlatego, że umie się biegać, śmiech i płacz dla czystej przyjemności śmiania się i płakania. Może już nigdy nie będę żyła terazniejszością i tylko terazniejszością. Teraz dużo myślałam o przyszłości, przyszłości swojej matki, swojej rodziny i o tym, że stracę rok na uniwersytecie. Czy spotkam na swojej drodze wielką miłość? Moje przyjaciółki uwielbiały filmy romantyczne. Ja nie, bo wychodziłam z kina bardzo smutna. Pocałunki i namiętne spojrzenia, które wymieniali ze sobą aktorzy, sprawiały mi wielką przykrość, jakby mnie pozbawiano ich na całe życie.

Kiedy zostały mi jeszcze do przejechania dwa przystanki, podszedł do mnie jakiś chłopak i wręczył mi zaproszenie na koncert, który dawał jego zespół w pewnym lokalu. Zespół nazywał się BJ3436, tak jak niedawno odkryta planeta. Chłopak przyglądał mi się bez mrugnięcia okiem, wcale się z tym nie kryjąc, i powiedział, że bardzo by chciał mnie tam zobaczyć, a także chciałby mi przez chwilę towarzyszyć, gdziekolwiek jechałam w tej chwili. Powiedziałam, że akurat ta podróż jest bardzo szczególna i wolałabym ją odbyć sama, ale jeśli będę mogła, przyjdę posłuchać, jak gra.

– Nie przyjdiesz – powiedział, nie odrywając wzroku od moich oczu.

– Dlaczego?

– Dlatego że jeśli teraz, podczas nudnego przejazdu metrem, nie chcesz nic o mnie wiedzieć, nie przyjdiesz na jakieś zadupie, żeby mnie zobaczyć. Zapomnisz. Weź mój numer – powiedział, biorąc długopis i moją rękę i zapisując mi go na grzbiecie dłoni.

Wysiadł na moim przystanku.

– Jeśli przyjdiesz, zadzwoń do mnie, żebym odszukał cię po koncercie. Jeśli nie przyjdiesz, też zadzwoń.

– Nie pytasz o pozwolenie pisania na rękach?

– Kiedy nie ma czasu, nie.

Obok numeru było napisane Mateo. Cóż za nieodpowiednia chwila. W innym momencie mojego życia spodobałoby mi się, że jest taki bezpośredni i że zjawił się akurat wtedy, gdy myślałam o niemożliwej miłości. Miał włosy prawie tak długie jak ja, rozczochrane, nie nosił kolczyków w uszach, ale za to sygnet z kobrą na serdecznym palcu prawej ręki, duży, z pociemniałego srebra. Czarny podkoszulek był wypuszczony na dzinsy rurki. Niezbyt mi się podobała kozia bródka, ale to było coś, co dałoby się naprawić. Najbardziej niepokojące były oczy, oczy poety, trochę zaspane, migdałowe, pod powiekami, które sprawiały wrażenie, jakby chciały się zamknąć. Nigdy nie byłam z artystą, ale to nie była odpowiednia chwila, żeby o tym myśleć.

Szłam powoli skrajem parku, tak jak tamtego dnia, tyle że w słońcu.

Niewykluczone, że zapachy były takie same, lecz ja byłam całkiem inna i wszystko się we mnie zmieniło. Tamtego wieczoru każdy zapach, każdy odgłos był większy ode mnie. Teraz natomiast ja byłam olbrzymem, który szedł w stronę przeszłości w butach rozmiaru 38, metrowymi krokami. Coś mi jednak mówiło, że to jest to miejsce, że to jest ogrodzenie przy wejściu do szkoły. Było to wrażenie pojawiające się w pamięci, złożone z masy drobnych szczegółów. Na ceglanej fasadzie pojawiła się nazwa placówki wykonana z czarnych prętów. Nad boiskami zachodziło słońce i, tak jak wtedy, byli tam chłopcy i dziewczynki grający w koszykówkę i w tenisa. Poręcz, o którą opierała się moja matka, żeby popatrzeć, była taka sama jak w moich wspomnieniach, chociaż nie pamiętałam dobrze koloru. Ta była zielona.

Usiadłam na kamiennej ławce. Grupa dziewczynek, które włożyły spodnie od dresu na krótkie spodenki do koszykówki, wciągnęły przez głowę koszulki i zawiesiły na ramieniu sportowe torby, przedefilowała przede mną ze śmiechem. Ja też byłam pewnego razu całkowicie szczęśliwa. Jednego z tych razów, kiedy udało mi się o wszystkim zapomnieć. Przecięłam czerwone cementowe boisko i weszłam do głównego budynku: w sekretariacie jeszcze ktoś się krzątał.

Mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta z farbowanymi na platynowo włosami i długą grzywką opadającą na prawą stronę okularów z pozłacanych drucików była bardzo zajęta chowaniem tekturowych teczek do szafy zamykanej na klucz. Już wychodziła. Przypominała mi moją nauczycielkę biologii, która wzięła na siebie obowiązki dyrektorskie i była nimi tak przytłoczona, że pewnego dnia zaczęła wszystko drzeć i musieli ją zabrać do kliniki.

Gdy się do niej odezwałam, wystraszona odwróciła głowę w moją stronę, myśląc, że nie uda jej się zamknąć i pójść do domu.

Powiedziałam, że szukam dawnej uczennicy, sprzed siedmiu czy ośmiu lat, i że to sprawa życia i śmierci, bo jej matka jest bardzo chora i nie może jej odnaleźć. Skrzywiła się zrozpaczona. I musiałam jej szukać akurat teraz, kiedy ona już wychodzi do domu?

– Pracownicy administracji przychodzą o dziewiątej rano. Powiem im, żeby ci pomogli. Ja jestem sekretarką szkoły. Osiem lat temu jeszcze tu nie pracowałam.

Wróciłam tą samą drogą i chociaż szłam szybkim krokiem, podróż metrem

ciągnęła się w nieskończoność. Wracałam do terażniejszości.

Wstąpiłam do matki. Powiedziałam jej, że mam dużo pracy, że na wydziale medycyny już się zaczęły zajęcia i nie miałam czasu, żeby ją wcześniej odwiedzić. Popatrzyła na mnie rozradowanymi oczami. Cieszyła się na myśl, że układałam sobie życie. Uniosła dwustuletnią rękę i odgarnęła mi włosy z twarzy.

– Ależ jesteś ładna.

Nigdy nie przywiązywałam wagi do tego, że zdaniem mojej matki jestem ładna. Była moją matką, a ja jej córką, krwią z jej krwi. Ale dzisiaj było tak, jakby patrząc na mnie, oświetlała mnie nieprzeniknionym, tajemniczym światłem. Błogosławiła mnie, dawała mi dar. Sprawiała, że byłam ładna i dokładnie taka, jak pragnęła.

– Jak ci idzie na uniwersytecie? Jest trudno?

Opowiedziałam jej o tym, co, jak sobie wyobrażałam, przytrafiłoby mi się, gdybym naprawdę chodziła na zajęcia. Mówiłam jej o kolegach, o wykładowcach i o zajęciach z biologii. Było mi wstyd. Udawanie i okłamywanie jej sprawiało mi przykrość, ale nie miałam innego wyjścia. Prawda była rozczarowująca, a ja nie chciałam jej martwić swoją osobą. Kiedyś zrobię to, co powinnam robić teraz; po prostu uprzedzałam wydarzenia.

– Jestem bardzo zadowolona, mam. Wszystko będzie dobrze.

Westchnęła. Część jej wysiłków, ja, została skierowana na właściwe tory. W sobotę wieczorem powiedziałam ojcu, że idę na koncert i wrócę późno. Odparł, że on pójdzie zjeść kolację z Betty i zostanie z nią, aż przyniosą jej sok o jedenastej, a w niedzielę spędzi tam całe przedpołudnie, czytając z nią gazety i dodatki niedzielne. Zanieś jej także czasopisma i parę powieści w wydaniu kieszonkowym. Był spokojniejszy, kiedy odwiedzał ją w szpitalu, niż kiedy siedział tutaj na sofie, zastanawiając się, jak się czuje, i łamiąc sobie głowę. Mnie też uspokajała myśl, że ojciec będzie z matką. Jeśli był przy niej, patrzył na nią, rozmawiał z nią, nie mogło się stać nic złego.

Ubrałam się tak samo jak wtedy, gdy Mateo spotkał mnie w metrze, kiedy byłam w drodze do szkoły Esfera. Włożyłam także minikolczyk do nosa, pomalowałam oczy kohlem i wykorzystałam jeden z tych używanych tuszów do rzęs od Diora, które

dawała mi Ana. Można było powiedzieć, że wystroiłam się w to, co miałam najlepszego.

Żeby dotrzeć do lokalu, w którym miał występować BJ3436, trzeba było przejechać przez cały Madryt. Zajęło mi to mniej więcej godzinę. Przy drzwiach kłębili się ludzie podobni do mnie i inni, o wyglądzie radykalnych punków. W powietrzu unosił się zapach marihuany. Chłopak z czarnymi paznokciami przedarł mi wejściówkę. Możesz zamówić jedną puszkę piwa, powiedział. Poprosiłam o nią przy ladzie obitej blachą, ocierając się o ramiona i barki spocone bardziej, niż można by się spodziewać. Na scenie Mateo ćwiczył akordy z trzema innymi muzykami. Miał na sobie ten sam co wcześniej podkoszulek, w którym było mu bardzo do twarzy. Za którymś razem, kiedy popatrzył przed siebie, wydawało mi się, że mnie zobaczył, ale zaraz przeniósł wzrok na swoją gitarę. Lokal wypełniał się irokezami, wytatuowanymi plecami i innymi, bardziej klasycznymi osobnikami. Moja matka żyła w innym świecie, ojciec też. Żeby tu dotrzeć, przemierzyłam nie tylko miasto, ale cały nasz świat. Usiadłam, czekając, aż zaczną grać. Nieźle im szło. Grali własne kawałki. Przy drugim Mateo zdjął podkoszulek i stracił trochę uroku, ale zaśpiewał dość ładną piosenkę o miłości. Wokół mnie prawie wszyscy się znali. Musieli być stałymi bywalcami tych koncertów, przyjaciółmi zespołu. Dlaczego byłam starsza od nich wszystkich? Nie umiałam całkowicie się zachwycić, nie umiałam zapomnieć o wszystkim. Zrobili przerwę, więc wyszłam zapalić. Ktoś podał mi jointa. Dla kogo przyszłaś? – spytał. Był to wysoki chłopak, chudy jak tyczka. Dla Matea, odpowiedziałam.

– Ach! – powiedział. – Ja też.

Sztachnęliśmy się jeszcze kilka razy. Poczułam się lepiej.

– Trzeba go wspierać za wszelką cenę – dodał.

Wciąż jeszcze miałam jego numer telefonu i imię wypisane na grzbiecie dłoni, chociaż tusz wyblakł i wyglądał jak tatuaż.

Skośne oczy chłopaka powędrowały w tamtą stronę.

– Od kiedy go znasz?

Ponownie zaciągnęłam się jointem i weszłam do środka. Zignorowałam jego

pytanie. Nie miałam ochoty się tłumaczyć.

Kiedy Mateo i pozostali wrócili na scenę, przywitaliśmy ich oklaskami, gwizdami i okrzykami, żeby poczuli się pewnie. Ta druga część trochę mi się dłużyła. W pewnym momencie obejrzałam się do tyłu i zobaczyłam, że Tyczka obserwuje mnie w półmroku. Miał długie włosy rozdzielone przedziałkiem pośrodku i widać mu było tylko częściowo oczy, nos i usta, ale wiedziałam, że patrzy na mnie. Ciekawiło go, kim jestem. Po ostatnich oklaskach, gwizdach i okrzykach zespół zszedł ze sceny i skierował się do baru, przechodząc między swoimi fanami. Ja też poszłam w tamtą stronę i już podchodziłam do Matea, gdy drogę zastąpiła mi jakaś księżniczka punk. Miała śliczne blond włosy, krótkie, zakończone niewielkim irokezem. Jej skóra była półprzeźroczysta, a oczy niebieskie, jakby właśnie wyszła z probówki, jakby nigdy nie dotknął jej promień słońca, jakby była istotą ukształtowaną w jakiejś macicy ze złota. Długie nogi były obleczone w czarne legginsy, które znikwały w wojskowych butach. Jedna noga Księżniczki owinęła się wokół nogi Matea, a on pocałował ją w usta zrobione z truskawek. Pomimo takiego widowiska nie wycofałam się. Podeszłam tak blisko, że niemal dotykałam czubków jego butów swoimi zniszczonymi adidasami. Nawet nie popatrzyłam na Księżniczkę. To on zaczął mnie w metrze, on mnie zaprosił i on namówił mnie, żebym przyjechała aż tutaj i straciła dwie godziny na słuchanie jego niedojrzałej muzyki.

Zastygł bez ruchu. Czyżby mnie nie poznał?

– Przyszłaś – powiedział.

– Fajnie graliście – powiedziałam – i przyszło dużo ludzi.

Wyplątał się z objęć Księżniczki i wskazał na nią.

– To jest Patricia – powiedział.

– Verónica – przedstawiłam się, bo nie pamiętałam, żebym mu powiedziała, jak mam na imię.

Patricia i ja nie miałyśmy najmniejszej ochoty się poznać. Ona jeszcze bardziej przysunęła się do Matea i objęła go w pasie. Księżniczka ze złotym irokezem pokazywała mi, najlepiej jak umiała, drogę do wyjścia.

– Posłuchaj – powiedziałam, żeby dobrze usłyszała – nie sądzę, żebyś zaczął

mnie wtedy w wagonie metra, powiedział mi, że poszedłbyś ze mną na koniec świata i zaprosił mnie tutaj, żeby teraz kazać mi stać i gapić się, jak robisz minę kretyna.

Ona popatrzyła na niego, potem na mnie. Ja patrzyłam tylko na niego, on patrzył tylko na mnie.

– Myślałem, że do mnie zadzwonisz – powiedział, unosząc do ust puszkę piwa.

– Zadzwonić do ciebie, przyjść, porozmawiać z tobą... Dużo ode mnie wymagasz, co?

Wtedy skinął głową i wziął mnie za rękę.

– Chodź ze mną.

Nie zawahałam się, bo w tych okolicznościach było lepiej, żeby wydarzyło się coś niż nic. Tyczka i ludzie, których nie znałam, przyglądali się, jak wychodzimy na ulicę.

– Zaczekaj – powiedział – zostawiłem prochowiec.

– Nie mogę czekać. Prochowiec albo ja.

Zawahał się przez sekundę i podszedł szybko do motoru. Wyjął dwa kaski i wsiedliśmy bez słowa. Jechał przez mniej więcej dziesięć minut i zatrzymał się koło baru na jakimś raczej brzydkim placu. Zdjęłam kask i zanim zdążyłam zareagować, pocałował mnie. Nagle zetknęłam się z delikatnością jego ust, jego języka. Czulałam jego ciało, klamrę pasa z metalową czaszką na żołądku, jego ręce pod kurtką. Staliśmy tak, aż plac zaczął bardzo powoli wirować po wszechświecie. A kiedy Mateo zaproponował, żebyśmy weszli do baru czegoś się napić, wszystko zdążyło się już zmienić, my się zmieniliśmy. Obejmował mnie ramieniem, a ja mu powiedziałam, że czułam, iż marznie na motorze, bo nie pozwoliłam mu wrócić po prochowiec. Wyznał mi, że ten prochowiec jest jedną z niewielu pamiątek, jakie zostały mu po ojcu, i że nosi go niemal jak talizman, więc mogę sobie wyobrazić, jak bardzo mu na mnie zależy, skoro zaryzykował, że go straci. W barze było bardzo mocne światło, więc usiedliśmy przy oszklonych drzwiach, skąd widać było plac pogrążony w półmroku. Nasz mrok, nasz plac, nasz bar. Kelner powiedział, że zamyka za pół godziny. Zamówiliśmy dwa kufle piwa, nie przestając na siebie patrzeć.

– Któregoś dnia będę mógł ci powiedzieć o wszystkim, co przy tobie czuję, teraz

nie potrafię – wyznał, odgarniając mi kosmyk włosów z twarzy, tak jak to zwykle robiła moja matka.

Rozumiałam go. Ja też nie umiałam mu powiedzieć, jak bardzo lubię z nim być. Zaledwie godzinę temu jeszcze tego nie wiedziałam ani sobie nie wyobrażałam, jeszcze nie istniał świat nas dwojga.

– Czemu mnie przywiozłeś w to miejsce?

– Nie wiem – powiedział. – Chciałem na ciebie popatrzeć. Nie mogłem czekać.

Wypiliśmy jeszcze jedno piwo i musieliśmy iść. Kelner powiedział nam na pożegnanie: „Dziękuję, zakochani”.

Gdy znaleźliśmy się w drzwiach, próbowaliśmy wypatrzeć inny otwarty lokal, ale żadnego nie było. Nie chciałam wracać do domu. Nie, jeszcze nie.

– Przy tobie czuję się, jakbym był pijany. Na niczym mi nie zależy.

Musiał mieć na myśli Księżniczkę, prochowiec, koncert i to wszystko, czego o nim nie wiedziałam.

– Ja tak samo.

Znów wsiedliśmy na motor, szukając jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy nadal na siebie patrzeć i całować się. Zatrzymaliśmy się przy jakichś zielonych światłach. Był to pub przeznaczony głównie dla mężczyzn. Wypiliśmy kolejne dwa piwa, obojętni na wszystko.

– Gdybyś dzisiaj odeszła, życie nadal toczyłoby się tak samo.

– A gdybyś ty nie podszedł do mnie w metrze, nie bylibyśmy tutaj, w tym przedziwnym miejscu.

Rozmowa prawie bez przerwy obracała się wokół nas, od chwili kiedy się poznaliśmy. To, co było przedtem, już się nie liczyło. Jakbyśmy przyszli na świat w tamtym wagonie metra i jakbyśmy żyli tylko od tamtego momentu do teraz.

– Kiedy będziemy się mogli zobaczyć?

– Zadzwoń do ciebie – powiedziałam. – Tym razem zadzwonię.

Uparł się, że odwiezie mnie do domu na motorze, chociaż wyjaśniłam mu, jak daleko mieszkam.

– Ale przecież zmarzniesz na śmierć – zaprotestowałam, czując się coraz bardziej

jak idiotka, że nie pozwoliłam mu wrócić po prochowiec.

– Nieważne – powiedział, zabierając z jakiegoś oparcia granatową marynarkę z guzikami z kotwicą. – Jeśli stać go na te drinki, może sobie kupić drugą – stwierdził w drzwiach.

Była na niego o wiele za duża, ale dzięki niej mogłam mnie zawieźć do domu, jadąc naszą nocą, między cieniami drzew a bladą poświatą księżyca. Ja, przytulona do jego pleców, czułam zapach marynarki tej innej osoby, tęgiego mężczyzny, który nieświadomie pomógł nam być razem trochę dłużej.

Zsiedliśmy z motoru i trudno nam się było rozstać. Baliśmy się, że następny raz już nie będzie taki sam, że czar pryśnie. Patrzył na mnie nieco wystraszony, okutany w wielką marynarkę.

– Teraz jesteś moją dziewczyną. Nie pozwolę ci uciec.

Nic nie powiedziałam. Milczałam, bo już byłam koło swojego domu. Ojciec już na pewno wrócił ze szpitala, a życie sprzed wagonu metra znów miażdżyło mnie jak czołg. Nie powiedziałam mu, że nie mam czasu, żeby być czyjąkolwiek dziewczyną, że nie będę mogła jeździć za nim na koncerty ani czekać, aż do mnie zadzwoni. Próbowalabym, ale z góry wiedziałam, że nie mogłabym sprostać temu zadaniu.

Nie przestawałam o nim myśleć ani na jawie, ani we śnie. Jego obecność przylgnęła do mnie niczym druga skóra, niczym drugi cień, niczym drugie życie. Nawet nie musiałam o nim myśleć, był ze mną, kiedy piłam kawę w barze, i kiedy szłam się zobaczyć z klientami. Pomyślałam, że bardzo by mi się przydał motor taki jak Matea: wszystko przychodziłoby mi łatwiej i mogłabym robić mnóstwo rzeczy, a nawet być jego dziewczyną, ale wiedziałam, że nie mogłabym nawet o tym wspomnieć. Moja matka była absolutnie przeciwna, żebyśmy się zmotoryzowali, mój brat i ja, a ojciec nie wybaczyłby sobie, gdyby działał za jej plecami i coś by mi się stało, kiedy ona była w takim stanie jak teraz. Tak więc nie miałam innego wyjścia jak chodzić obciążona produktami kosmetycznymi i dzielić wizyty geograficznie. Dzisiaj trafiło mi się luksusowe osiedle, dzielnica wysokich ogrodzeń, wściekłych psów i cichych uliczek. Domy sprawiały wrażenie klasztorów za murami, zza których wystawały czubki sosen. Na koniec zawsze zostawiałam sobie Wampirycę, bo

gwarantowała pewną sprzedaż, była jak dobry deser po zwyczajnym obiedzie.

Nie sprawiała zawodu. Zapytała przez wideodomofon, kim jestem, i otworzyła mi. Zastałam drzwi wejściowe otwarte. Zostawiłam w przedsionku, na marmurowych płytkach, walizeczkę z produktami, które nie były przeznaczone dla niej, i poszukałam salonu, niosąc drugą walizeczkę. Z przedsionka prowadziły na górę schody, również marmurowe, jakie widziałam tylko w domach z filmów z lat czterdziestych. Spojrzałam w górę: były tam pokoje ciągnące się wzdłuż balustrady z takiego samego mahoniu jak stół w naszej jadalni. Podeszłam nieśmiało do przodu w poszukiwaniu salonu. Za nic na świecie nie chciałam otworzyć niewłaściwych drzwi i zobaczyć czegoś, czego nie chciałam zobaczyć.

W końcu usłyszałam jej głos.

– Wejdz, proszę.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją ubraną, bez tych jedwabnych szlafroków, które wszędzie jej się zsuwały. Mówiła cicho i paliła papierosa.

– Co mi dzisiaj przyniosłaś? Nie spodziewałam się ciebie.

– Jeśli pani chce, przyjdę kiedy indziej. Nie chcę przeszkadzać.

– Ależ jesteś ładniutka – powiedziała. – Twoja matka musi być bardzo zadowolona.

Wyjęłam krem z drobinkami złota, który kosztował fortunę. Wzięła go ręką z francuskim manicure'em. Musiała mieć między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat, ale wyglądała najwyżej na czterdzieści. Sześćdziesiąt lat masaży, kremów i marmurowych posadzek.

– Kiedy byłam w twoim wieku, nie robiłam niczego pożytecznego. Nie uczyłam się, nie pracowałam. Lubiałabym być fryzjerką albo zajmować się kosmetykami jak ty. Bardzo tego żałuję. Nie umiem nic robić.

Nie uznałam za stosowne zapytać ją, jak finansuje swój styl życia.

– Albo modą – dodała – to wymaga dobrego gustu, stylu.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem, który pamiętał niejedną gorzką chwilę.

– Wezmę go.

– Jego głównym składnikiem jest złoto...

– W porządku. Tego mi trzeba. Co jeszcze masz?

W ciągu pięciu minut sprzedałam jej kosmetyki za pięćset tysięcy peset.

– Zaczekaj. Pójdę po pieniądze.

Zgasła papierosa w srebrnej popielniczce, tak czystej i lśniącej, że aż bolało, jakby go rozgniatała na czyimś ramieniu. Nigdy nie widziałam jej bez szlafroka i teraz jej kształty rysowały się wyraźniej pod spodniami i bluzką. Była szczupła, ale zaokrąglona gdzie trzeba. Uda, piersi, tyłek. Może pływała albo chodziła na siłownię. Nie śpieszyła się z powrotem. Początkowo niepokoiłam się, że nie znajdzie pieniędzy, żeby mi zapłacić, bo matka ostrzegła mnie, żebym nie przyjmowała weksli. Po kwadransie moją uwagę zwróciły jakieś odgłosy, jakby jęk mężczyzny. Czy byłby to ten sam mężczyzna co zawsze? Potem uderzenia o meble, jakby rzucano szufladami o podłogę. Chodziłam niespokojnie z kąta w kąt ogromnego salonu po perskich dywanach, które żal było deptać. Był tam barek z niezliczonymi butelkami i kieliszkami. Były stoliki pod ścianami, zastawione kryształowymi wazonami z prawdziwymi kwiatami. Było dużo oprawionych w ramki fotografii na gzymsie kominka, prawie wszystkie przedstawiające Wampirzycę oraz jakąś dziewczynkę, którą może była ona sama. Były żaluzje w oknach, dość nisko opuszczone, a przez szczeliny widać było zielen ogrodu. Do utrzymania porządku w tym domu musiała być potrzebna armia pracowników, zwłaszcza że nie było najmniejszych śladów na tak wielu kryształach, a jednak nie widziało się nikogo.

Przyszła nieco spocona i zapaliła papierosa roztrzęsionymi rękami. Na ramionach nie dało się dostrzec żadnego sińca. Nosila bluzkę bez rękawów z niewielkim dekoltem. Zaciągnęła się, a następnie wypuściła dym, zataczając koło trzymanym w ręku papierosem. Wyjęła pieniądze z kieszeni spodni i usiadła.

– Przepraszam, nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie włożyłam pieniądze.

Zapłaciła mi banknotami po dwa tysiące. Wypisałam jej stosowną fakturę.

– Dzięki takiej partii zakupów jest pani zaopatrzona na jakiś czas.

Nie usłyszała, co do niej mówiłam. Myślała o czymś innym. Wskazała papierosem na fakturę.

– Wpisz godzinę sprzedaży. Dzięki temu twoi szefowie będą wiedzieli, że nie

tracisz czasu.

To, o co mnie prosiła, nie miało sensu, bo firmę interesowało tylko wystawianie faktur i było jej wszystko jedno, czy uda mi się to zrobić w dziesięć minut, czy w dziesięć godzin. W związku z tym nie miałam zamiaru wpisywać godziny, dopóki nie zobaczyłam jej oczu utkwionych w fakturze. W fakturze i we mnie, we mnie i w fakturze. Napisałam: godzina sprzedaży 12.00. Odetchnęła z ulgą. Dałam jej jeden egzemplarz, który złożyła i schowała do torebki. Zwróciło moją uwagę, że nie włożyła faktury do szuflady.

– Jadę do centrum – powiedziała. – Nie przyjechałaś samochodem, prawda? Chcesz, żebym cię podwoziła? Mogę cię zostawić, gdzie zechcesz. Uwielbiam prowadzić.

Wszystko w Wampirzycy wydawało mi się chaotyczne, mętne. Miałam wrażenie, że wplątuje mnie w jakąś intrygę, ale żeby dotrzeć do szkoły Esfera, musiałabym jechać co najmniej godzinę, obciążona walizeczkami.

Podaliśmy jej adres.

– Muszę coś załatwić w tej szkole.

Wampirzyca rzuciła na tylne siedzenie zakiet, który wyjęła z niewidzialnej szafy w przedsiionku. Włączyła muzykę. Miała mercedesa z beżową skórzaną tapicerką. Nigdy nie widziałam jej tak odprężonej. Teraz dłonie oparte na kierownicy już jej nie drżały. Wyprostowała nad nimi mocne ramiona. Były jedwabiste. Z pewnością posmarowała je kremem z perłowym proszkiem. Był tak drogi, że na ogół stosowało się go na noc poślubną.

– Nie powinnaś dźwigać takich ciężarów – powiedziała. – Uszkodzisz sobie plecy.

– To nie potrwa długo – odpowiedziałam. – Za trzy miesiące skończę osiemnaście lat i będę mogła prowadzić.

– Jesteś urocza. Ja nawet nie miałam dzieci. Tylko mężczyzn.

Matka powiedziała mi, że klientki zawsze mają ochotę się wygadać i że powinnam słuchać, ale nie odzywać się, nawet gdyby mnie też się zachciało mówić.

– Masz chłopaka? – zapytała.

– Coś w tym stylu. Nie wiem. Byłam z nim tylko raz.

– Teraz wy, młodzi, umiecie korzystać z życia. Za moich czasów miłość była kłamstwem.

Przyjrzałam jej się uważnie. Nie zrobiła sobie liftingu twarzy. Dzięki naszym produktom skórę miała delikatną i aksamitną.

– Nigdy się pani nie zakochała? – zapytałam, łamiąc zasadę każdej dobrej sprzedawczynie.

– Byłam niewolnicą miłości. Teraz – powiedziała, pogłówniając muzykę – czuję się wolna. Skończyło się.

Zaskoczył mnie jej sposób mówienia, jej spokój, jej zadowolenie. Nie miała nic wspólnego z kobietą od szlafroków.

– Jest pani zamężna?

– Nie, ślicznotko. Żyłam w grzechu przez całe życie.

Ucieszyłam się, że dojechałyśmy do szkoły i że przestanę ją wypytywać. Co takiego się wydarzyło przed chwilą w pokojach na górze?

Powiedziała, że może na mnie zaczekać. Była umówiona na obiad o wpół do trzeciej i do tego czasu nie miała nic do roboty.

– Kiedy będę na ciebie czekać, przynajmniej nie wydam pieniędzy – powiedziała.

To było cudowne uczucie: nie musieć taszczyć walizeczek i móc przyjrzeć się szkole w pełnym świetle dnia. Wydawała się większa i nowsza. Na boisku do koszykówki w niektórych miejscach błyszczała czerwona nawierzchnia. Przecięłam dziedziniec i weszłam do głównego budynku. Dzieci były w klasach, oprócz tych nielicznych, które błąkały się tu i tam jak ogłupiałe. Szkoła przypominała mi zasadniczo moje liceum i dlatego życie Laury nie musiało się tak bardzo różnić od mojego. Co za różnica, czy mieszkała z jedną, czy z drugą rodziną – życie w gruncie rzeczy byłoby takie samo. Pójść do szkoły, podstawówki czy liceum, wrócić do domu, jeść, spać, rozmawiać z rodzicami, oszukiwać ich w tym, co ważne, kochać ich, marzyć i nie marzyć. Jakaś tragedia, czasami nuda, czasami rozrywka. Jednak mojej matce nie było wszystko jedno i z pewnością również mojemu ojcu, chociaż chciałby zapomnieć o przeszłości.

Zapytałam pracownika administracji o sekretariat. Powiedziałam mu, że rozmawiałam z sekretarką szkoły i opowiedziałam mu to samo co jej: że chora matka szuka córki. Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc i nie chcąc zrozumieć. Dodałam, że ma na imię Laura i chodziła do tej szkoły do dwunastego roku życia, siedem lat temu.

– Nie mamy skomputeryzowanych danych sprzed siedmiu lat. A bez nazwiska to zupełnie niemożliwe.

Miał obojętne spojrzenie i rysy twarzy bez wyrazu, nieprzykuwające uwagi. Uznał, że nie chce sobie komplikować życia problemami innych. Chciał mieć porządek w aktach, w papierkach, zrobić swoje i po wyjściu stąd wybrać się gdzieś z przyjaciółmi albo ze swoją dziewczyną i żyć prawdziwym życiem. To tutaj to nie było prawdziwe życie, a ja stanowiłam jego część.

– Może jest jakiś nauczyciel z tamtego okresu i nie musielibyśmy wyciągać akt. Na pewno któryś sobie przypomni.

Uśmiechnął się nieznacznie, broniąc się przed jakimkolwiek rodzajem empatii.

– Nie wiem, kto został z tamtych czasów.

– Na pewno są nowi nauczyciele i starzy. Chętnie porozmawiałabym z którymś ze starych.

– To nie takie proste. Nie mogę ci udzielić takiej informacji.

Podziękowałam mu. Nie chciałam go mieć przeciwko sobie, chociaż łatwość, z jaką się mnie pozbył, wprawiła go w niebezpieczny stan podejrzliwości. Udałam, że wychodzę, i gdy tylko pochylił głowę, poszłam dalej korytarzem w poszukiwaniu pokoju nauczycielskiego. Otworzyłam drzwi i powiedziałam „dzień dobry”. Dwie głowy: jedna mężczyzny, druga kobiety, podniosły się równocześnie znad stosu kartek, żeby na mnie popatrzeć. Chociaż zwróciłam się do obojga, bardziej skupiłam się na mężczyźnie, bo był starszy. Miał gęste, niedbale uczesane siwe włosy, bujne wąsy, nosił niemodne okulary i niemodne ubranie. Mogłam go sobie wyobrazić siedzącego w tym samym miejscu siedem lat temu.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Sekretarka pozwoliła mi wejść i zapytać państwa, czy dziesięć lat temu znaliście dziewięcioletnią dziewczynkę o imieniu

Laura. Chodziła tutaj do wieku dwunastu lat.

– Skądże! – powiedziała młoda nauczycielka, tak jak się spodziewałam. – Dziesięć lat temu jeszcze nawet nie skończyłam studiów. Mam lekcję, do widzenia.

Wyszła, ściskając kartki. Miała na sobie płaskie buty i marszczoną spódnicę, która sięgała jej do połowy łydki. Była chudziutka jak laleczka.

– Laura? – zapytał nauczyciel. – Coś mi świta. Co się z nią stało?

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Po opuszczeniu tej szkoły na skutek szeregu okoliczności, które nie mają nic do rzeczy, rozdzielono ją z matką. Teraz jej matka jest na granicy życia i śmierci i jej szuka. Musi się z nią pożegnać.

Podczas gdy mu to mówiłam, nauczyciel szperał w pamięci. Ależ pamięć miewają nauczyciele, którzy potrafią sobie przypomnieć najbardziej niesamowite szczegóły.

– Miała babcię o bardzo silnej osobowości i białoniebieskawych włosach?

Nie mogłam mu powiedzieć, że nie wiem, więc przytaknęłam.

– Jak się nazywała? – zapytał samego siebie. – Kiedy przychodziła się ze mną zobaczyć, musiałem sobie dobrze przytrzymywać spodnie.

– Właśnie ta babcia rozdzieliła ją z matką. Problemy prawne, sprawy rodzinne...

– Chyba pamiętam, że odeszła przed końcem roku szkolnego.

– Czy mogłabym poznać jej adres? Jest już dorosła i ma prawo poznać pewne aspekty swojego życia.

Przyjrzał mi się uważnie. Tak samo jak ja widziałam w swoim życiu wielu nauczycieli takich jak on, on widział w swoim wiele uczennic takich jak ja. W pewnym sensie byliśmy starymi znajomymi. Właśnie miał zamiar zapytać, kim jestem.

– Opiekuję się jej matką. Dużo wycierpiała, tracąc ją i szukając. Zasługuje na to, żeby móc ją pocałować. Jest dobrym człowiekiem, proszę mi wierzyć.

– Na udzielenie tej informacji musiałby wyrazić zgodę dyrektor. Domyślasz się chyba, że nie jestem upoważniony do ujawniania danych uczniów.

– Oboje wiemy, że dyrektor odmówi. Nie będzie chciał komplikować sobie życia. Nikt nie chce i dlatego na świecie jest tyle niesprawiedliwości.

Teraz miał zamiar zapytać, jak się nazywam.

– Mam na imię Verónica. Pamięta pan, jak się nazywała Laura?

W oczach pogrzebanych pod krzaczastymi brwiami pojawił się niepokój.

– Nie znasz jej nazwiska?

– Z pewnością jest fałszywe.

– Na Boga! Posłuchaj, widywałem różne dziwne rzeczy... Wystarczy, że muszę się użerać z tymi tępakami.

Dotarliśmy do momentu, kiedy naciskanie go wywarłoby skutek odwrotny do zamierzonego. Wstałam z krzesła, na którym bezwiednie usiadłam w jakimś momencie rozmowy, i podałam mu rękę. Zignorował ją, ograniczając się do popatrzenia na mnie uważnie, i wzruszył ramionami.

– Daj mi swój telefon. Zadzwoń do ciebie, jak będę coś wiedział.

Pojawił się promyk nadziei mimo wrażenia, że stara się mnie pozbyć. Prawie zapomniałam, że czeka na mnie Wampirzyca, i pośpiesznie przeszłam przez przedsionek i dziedziniec.

Wysiadła z mercedesa i paliła papierosa. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne i wyglądała jak jakaś zapomniana aktorka. Nie odezwała się do mnie, ale się nie gniewała. Wcześniej chyba płakała. Może miała czas, żeby zastanowić się nad swoim życiem.

– Przepraszam – powiedziałam. – Ta sprawa zajęła mi więcej czasu, niż myślałam.

– Co to za miejsce? Nic nie rozumiem.

Mówiła do siebie, mówiła o sobie, a ja się dziwiłam, że tak dobrze ją rozumiem.

– Wszystko ma związek z miłością. Miłość jest naszym przekleństwem. Uszczęśliwia nas, zniewala, demoralizuje, uczy nas nienawidzić. Wszystko się robi albo nic się nie robi z miłości. Wydaje się czymś dobrym, ale naprawdę, mówię ci: gdyby miłość nie istniała, nie byłoby wojen.

Idealnie polakierowanym paznokciem usunęła sobie łzę spod okularów.

Teraz, i owszem, zastosowałam się do wskazówek matki i nic nie powiedziałam. Zostawiła mnie w centrum z dwiema walizeczkami i zza czarnych okularów powiedziała mi do widzenia przez okno samochodu. Poczułam w środku coś

dziwnego, jakbym znała ją całe życie i miała już nigdy jej nie zobaczyć.

– Przykro mi, że cię zostawiam – powiedziała – ale o drugiej mam umówioną wizytę u fryzjera.

Najpierw powiedziała mi, że jest umówiona na obiad, a teraz, że do fryzjera. Dokąd się wybierała? W żadne ważne miejsce. Pewnie zaparkuje samochód koło jakiegoś centrum handlowego i poświęci czas na robienie zakupów oraz zapomnienie o tym, o czym musiała zapomnieć.

Zamarłam przed teczką z krokodylej skóry. To niemożliwe. Nie było zdjęcia Laury. Wielokrotnie wkładałam rękę we wszystkie zakamarki, potem wróciłam do szafy i wyjęłam koc, w który była zawinięta teczka. Potrząsnęłam nim nad narzutą w kwiaty i przesunęłam po niej dłonią, sprawdzając, czy nie ukryło się między płatkami i liśćmi. Miałam ochotę się rozplakać, w gardle miałam pestkę brzoskwini, która nie pozwalała mi przełknąć śliny. Co się stało ze zdjęciem Laury? Poszłam po drabinkę, żeby móc wsadzić głowę na ostatnią półkę szafy. Potem miałam nadzieję, że spadło tam, gdzie były schowane buty. Wyjęłam wszystkie i skorzystałam z okazji, żeby wytrzeć ścierką dno szafy, a potem włożyłam je z powrotem. Byłam wykończona, bo spędziłam prawie godzinę, klęcząc na podłodze wśród butów na płaskiej podeszwie, na obcasie, na półobcasie, botków, mokasynów ojca, sznurowanych, sportowych, i myślałam o matce przy białych, czarnych i tych ostatnich, które sobie kupiła: czerwonych. Moja matka niczego nie wyrzucała, a tym bardziej butów, które zatrzymywała praktycznie nowe, zakładając, że te staroświeckie znów będą kiedyś modne. Wstałam, chwiejąc się. Nie miałam siły dalej szukać. Właśnie mi przyszło do głowy, że może zdjęcie wylądowało pod łóżkiem, ale gdybym się schyliła, chcąc tam zajrzeć, już nie dałabym sobie rady, bo byłam zbyt zmęczona, żeby odsunąć ciężkie pudła z książkami i ubraniami, a potem znów je tam umieścić. Wobec tego tylko uniosłam trochę narzutę i rzuciłam okiem koło nóg łóżka. Nic tam nie było i położyłam się, żeby odpocząć na tym kwietniku z płatków i liści. Brakowało tylko, żeby pachniał. Poczułam ogromny spokój. Spod poduszki dochodził zapach koszuli nocnej mojej matki. Piękne życie było bardzo niesprawiedliwe. Przymknęłam oczy. Jak dobrze mi tu było. Oddychałam głęboko i czułam spokój

w tym momencie mojego wyjątkowego życia. Oczy mi się powoli zamknęły i miałam wrażenie, że zapadam się w materac z liści. Chociaż było bardzo przyjemnie pozwolić sobie na opadanie bez żadnego oporu i bez przeszkód, sam fakt, że się zapadałam, nie wydał mi się dobrym sygnałem. Było w moim śnie coś, co mnie przed tym przestrzegało, dlatego zbudziłam się, żeby już nie spadać.

Spojrzałam na zegarek stojący na stoliku. Minęła prawie godzina, odkąd zasnęłam, i pamiętałam tylko, że pode mną nie było stelaża ani pudeł z książkami i ubraniami, ani podłogi, tylko ciemność wszechświata, która unosiła mnie w jakieś miejsce. Byłam zimna, jakbym była martwa, a musiałam pójść odwiedzić matkę. Musiałam przejść na drugą stronę świata, musiałam wejść do szpitalnego holu, podejść do wind w głębi, wsiąść do jednej z nich, wcisnąć przycisk czwartego piętra, wysiąść i pójść korytarzem w prawo do pokoju. Przejść przez zapach antybiotyków i środków odkażających, przejść przez spojrzenia ludzi czekających w korytarzu, przejść przez ich niecierpliwość i ich niepokój. I właśnie w tym momencie, dokładnie w tym momencie, w którym postawiłam stopy na zimnej podłodze i zobaczyłam jak na filmie Anę, tę od psa, szukającą teczki z krokodylej skóry tamtego popołudnia, gdy miała cały dom tylko dla siebie, w momencie, w którym zobaczyłam, jak staje na palcach, przesuwając ręką po ostatniej półce i ciągnąc koc w swoją stronę, w tym momencie zadzwonił telefon. To był Mateo.

– Wciąż myślę o tobie i o tamtej nocy. Nie mogłem czekać, aż do mnie zadzwonisz.

Poczułam ogromną radość i wyrzuty sumienia, że ją czuję, i wydukałam kilka słów, będących kompletnym rozczarowaniem dla niego i dla mnie samej.

– Co się z tobą dzieje? Żałujesz, że za mną szalejesz?

Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jaka byłam naiwna i zwyczajna. Uważał, że skoro nosi czaszkę na sprzączce i kobrę na palcu, skoro zadaje się ze złotowłosą księżniczką na koncertach, skoro dobrze całuje, skoro jest ode mnie starszy i skoro ja dosłownie rzuciłam mu się w objęcia, może być mnie pewny.

– Muszę się z tobą zobaczyć.

Wiele razy, budząc się rano, zostawałam jeszcze chwilę w łóżku z rękami pod

głową, patrząc w sufit i wyobrażając sobie, że jakiś chłopak, taki jak Mateo, mówi mi to, co on mi mówił teraz. Było to coś, co się zdarzało wielu dziewczynom, zwłaszcza w filmach, i co mogło się zdarzyć któregoś dnia także mnie, i ten dzień właśnie nadszedł, ale w złym momencie.

– Bardzo mi się podobało, że odwiozłeś mnie do domu na motorze i... wszystko inne. Oddałeś marynarke?

– Zapomnij o marynarce. Wyrzuciłem ją do kontenera na śmieci. Miałem ją zatrzymać na pamiątkę, ale zajęłaby mi całą szafę.

Zaśmiałam się trochę głupawo.

– Co będziesz teraz robiła?

– Mam pracę. Właśnie miałam tam iść.

– A jutro?

– Zadzwonię do ciebie. Obiecuję.

Zamilkłam na sekundę, pragnąc mu powiedzieć, że jeszcze nie mogę uwierzyć w to, co mi się z nim przydarzyło, i gdyby to ode mnie zależało, nie oderwałabym się od jego czarnego podkoszulka nawet na minutę. Jeździłabym za nim na koncerty i obejmowałabym go, gdy bylibyśmy w grupie, wszyscy razem, tak jak to wcześniej robiła Księżniczka, i że nie myślałabym o niczym innym, tylko o patrzeniu na niego raz za razem, jeszcze i jeszcze, aż do znużenia. Powiedziałabym mu, że podoba mi się w nim nawet to, co mi się nie podoba, na przykład kozia bródka.

– Coś ci jest? – zapytał.

– Nic, po prostu się śpieszę. Im wcześniej skończę, tym wcześniej będę mogła do ciebie zadzwonić. – Ściszyłam trochę głos. – Bardzo chcę, żebyśmy się zobaczyli.

Nie powiedziałam: chcę cię zobaczyć, tylko żebyśmy się zobaczyli. Wydało mi się to mniej zobowiązujące.

Odłożyłam słuchawkę, mając wrażenie, że byłam zbyt chłodna i że wszystko popsulałam. Powiedziałabym mu cokolwiek, tylko nie to, że idę teraz do szpitala odwiedzić matkę i że szukam swojej urojonej siostry. Mnie Mateo kojarzył się z muzyką, z chłopakami ze swojego zespołu, z motorem, z ochotą całowania się z taką dziewczyną jak ja na ciemnym placu, a ja chciałam mu się kojarzyć

z marzeniami, które być może snuł na mój temat. Nie chciałam go z nich tak szybko wyrwać. Nie chciałam mu przekazać, jakby chodziło o jointa, problemów swojego życia, bo wtedy już nie traktowałyby mnie tak samo i już nie mogłabym odczuwać radości, którą czułam teraz, idąc do pokoju 407. Muszę się z tobą zobaczyć, powiedział. Miał głos niemal słodki, niemal szorstki i być może właśnie to brzmienie sprawiło, że zapragnąłem śpiewać.

Gdy znalazłam się pod drzwiami, usłyszałam znajome głosy. Ucieszyłam się, a równocześnie poczułam niechęć. Należały do mojego ojca i do Any, tej od psa. Nie wiedziałam, czy będę w stanie spojrzeć jej w twarz w związku ze swoimi podejrzeniami dotyczącymi jej i teczki z krokodylej skóry.

Rzuciłam się, żeby pocałować matkę, żeby nie musieć przywitać się z Aną. Nachyliłam się nad nią i zastygłam tak na niekończące się minuty, aż w końcu ojciec odwrócił moją uwagę.

– Jest tu Ana.

Czy mój ojciec był idiotą? Kogo obchodziła Ana? Liczyła się tylko moja matka.

– Aha – powiedziałam, nie potrafiąc ukryć niezadowolenia i niemal na nią nie patrząc.

– Cóż, muszę już iść – powiedziała Ana. – Cieszę się, że czujesz się lepiej.

Zauważyłam jej zakłopotane spojrzenie. Może zastanawiała się, czy już odkryłam, że w teczce nie ma zdjęcia Laury. Ojciec powiedział, że skoro przyszedł, on też idzie, i wyszedł za Aną. Za zieloną sukienką z dzianiny idealnie dopasowaną do jej figury. Lekko dotknął jej pleców, żeby pomóc jej wyjść, taki rycerski gest bez większego sensu, jaki robią mężczyźni. Ona miała długą fioletową apaszkę zwieszającą się z ramienia i torebkę w tym samym kolorze. Wyglądała, jakby ją wycięto z żurnala. W tym momencie moja głowa nakazała mi wyjść na korytarz.

– Ano! – Odwróciła się. – Co z Gusem? Gdzie go zostawiłaś?

Uśmiechnęła się z ulgą. A może tak mi się tylko zdawało.

Z pewnością nie ma na świecie dziecka, które choć raz nie pomyślałoby, że jego rodzice nie są zbyt rozgarnięci, że mogą się mylić i źle oceniać sytuację, a to właśnie przytrafiło mi się z moim ojcem. Zaczął mnie irytować, dlatego że nie wierzył

w historię mojej matki, i rozczarowywać, bo nie miał pojęcia o niczym. Chciał tylko, żeby wszystko było normalnie, żeby jego żona nie była chora, żeby Laura była złudzeniem, żeby Ángel zmężniał w Alicante i żebym ja dojrzewała spokojnie. Ja jednak nie potrafiłam zapomnieć o wizji, w której Ana kradła zdjęcie Laury. Stawałam się podejrzliwa. Nie potrafiłam wyrzucić z głowy zielonej dopasowanej sukienki na jej prostych plecach i ręki mojego ojca, która się tam znalazła, kiedy wychodzili ze szpitalnego pokoju. Tak więc tego samego wieczoru po powrocie do domu powiedziałam mu, że zdjęcie zniknęło i że podejrzewam Anę, bo była u nas sama przez całe popołudnie i jest jedyną osobą, która mogła je zabrać.

Jedliśmy kolację przed włączonym telewizorem. Nie byłam głodna. Kupiłam kilka gotowych krokietów i kanapek, żeby nie iść prosto do łóżka i przynajmniej zachować rytuał wspólnej kolacji, ale przede wszystkim, żeby wyjaśnić mu, co odkryłam. Ojciec przyniósł zgrzewkę piwa z marketu na rogu. Ja nie chciałam. On już i tak pił za nas dwoje.

– Nie do wiary, że myślisz coś takiego o Anie. Jest jedną z nielicznych osób, które są dla nas oparciem. Betty bardzo się cieszy na jej widok. Dzisiaj była strasznie zadowolona.

Cóż za mętlik myśli. Dobro, zło, podejrzenia, rzeczywistość, prawda, kłamstwo.

– Tato, nie ma innego wyjaśnienia.

Zaczynał się denerwować. Życie już nie było takie, jak chciał.

– Pewnie wypadło. Nie mogę sobie wyobrazić Any – wskazał ręką środek salonu – tej Any przeszukującej dom. Po co by jej było to zdjęcie?

– Nie mam pojęcia, ale to ona.

– Mam dość tego cholernego zdjęcia. Robi mi się niedobrze na myśl, że zmarnowaliśmy sobie życie dlatego, że pewnego dnia wydarzyło się coś, nad czym nie mogliśmy zapanować wtedy i nie możemy zapanować teraz.

– Wszystkim przytrafiają się rzeczy, których woleliby uniknąć. Nie jesteśmy wyjątkiem i lepiej stawić im czoła, żeby przestały nas prześladować. Proszę cię tylko, żebyś uważał na Anę. O niczym jej nie mów. Nie ufaj jej.

– Akurat dzisiaj Betty prosiła ją, żeby o nas nie zapomniała. Poprosiła ją, żeby ci

pomagała i żeby zabrała mnie od czasu do czasu do kina.

Głos mu drżał i musiał pociągnąć łyk z puszki, żeby móc mówić. Włożyłam mu kanapkę do ręki.

– Masz, zjedz. Nie idź do łóżka z pustym żołądkiem.

– Ana do niczego nie potrzebuje tego zdjęcia. Zawsze wiedziała o majakach Betty, że Laura żyje. Zawsze знаła tę historię.

– Ale nie wiedziała, że mama ma zdjęcie, aż to tego dnia, kiedy je jej pokazała. Widziałam, jak otwiera przy niej teczkę.

– Popadniesz w obłąd. Co zamierzasz? Ciągnąć to dalej czy pomóc swojej matce?

– Chcę jej pomóc – powiedziałam, czując w gardle pestkę brzoskwini.

– Bardzo jej pomagasz, zastępując ją w pracy, żeby nie straciła posady. Bardzo się z tego cieszy. Ale nie pomagasz jej, próbując nas poróżnić z jej najlepszą przyjaciółką.

Zostałam jeszcze chwilę przed telewizorem, patrząc na przesuwające się obrazy. Księżyc za oknem też się przesuwiał. Mimo że ojciec nie chciał tego przyjąć do wiadomości, Ana wzięła zdjęcie. Nie można jej było ufać, chociaż jeszcze nie wiedziałam dlaczego. W każdym razie postanowiłam jeszcze raz sprawdzić sypialnię rodziców i obym to ja się myliła, oby się okazało, że próbowałam być za sprytna, obym znów uwierzyła, że mój ojciec jest wspaniałym opiekunem.

Mój ojciec. Wśród niezliczonych milionów mężczyzn jeden był moim ojcem. A ponieważ był moim ojcem, uznawałam za pewnik, że musi być szlachetny, inteligentny, odważny, wielkoduszny, uczciwy, silny, opiekuńczy, sympatyczny. Brakowało mu energii i zapału, denerwował się w krytycznych momentach. Ana zadzwoniła do niego w południe, żeby zawiózł ją do Santander. Mogła wziąć jakąkolwiek taksówkę, ale wolała jemu zapewnić tak intratny kurs. Potrzebowaliśmy tych pieniędzy, bo nie wiedzieliśmy, jakiej opieki będzie wymagała moja matka. Trzeba przyznać, że Ana dużo dla nas robiła, że zawsze o nas myślała. Znalazła mojej matce pracę i jeśli musiała jechać taksówką do Santander, dzwoniła do mojego ojca. Mojej matce podobało się wszystko, co robiła Ana. To ja, wyłącznie ja, byłam tą osobą, która nie mogła nic na to poradzić, że widzi ją w taksówce u boku mojego

ojca, w zielonej sukience, z idealnymi kolanami, jak zapala dla niego papierosa i wkłada mu do ust. Tylko ja dostrzegłam w jej oczach błysk, który się pojawiał, gdy na niego patrzyła, całkiem inny od normalnego błysku w jej oczach. Wesoły i zachłanny błysk, jakby znalazła na ulicy milion peset. W dodatku ten błysk miał dużo, dużo więcej watów niż energia, którą nam poświęcała. Staralam się nie myśleć o niej i o tym, że spędzi w Santander noc z moim ojcem, który był mężem jej przyjaciółki Betty leżącej w szpitalu i myślącej o zaginionej córce. Uważałam teraz, że jest zdolna do wszystkiego, a równocześnie całą duszą pragnęłam, żeby mój ojciec miał rację.

Następnego dnia czekały mnie cztery wizyty u klientów, które nie wymagały, żebym była w bardzo dobrej formie: wystarczyłyby mi trzy czy cztery godziny snu. Wobec tego wzięłam prysznic i zadzwoniłam do Matea. Była ósma wieczorem. Mogłam pojechać i zobaczyć, jak ćwiczy, a potem moglibyśmy pojechać na nasz plac. Dzisiaj mi się nie śpieszyło. Miałam dla siebie cały czas i cały dom. Mogłabym mu powiedzieć, żeby wstąpił na chwilę. Serce mi kołatało, tak samo jak czasami, kiedy zbliżałam się do szpitala. Tyle że teraz kołatało mi z radości, ze szczęścia i miałam wyrzuty sumienia, że czuję coś takiego w tak bolesnym momencie. Mateo był jeszcze jedną rzeczą niepasującą do czasu i miejsca, dlatego nie sposób go było dopasować do mojej matki i do tajemnicy Laury. W miarę jak wybierałam numer, głowa wypełniała mi się jego głosem i ten urojony głos, ni to delikatny, ni to szorstki, sprawiał, że miałam ochotę biegać i unosić się w powietrzu. Odczekałam chwilę, jeden dzwonek, dwa, trzy, cztery, pięć... i odłożyłam słuchawkę. Może był pod prysznicem, więc zadzwoniłam ponownie i... nic. Nic.

Potraktowałam go zbyt chłodno, dlatego stracił złudzenia i zapomniał o mnie.

Przez chwilę słońce mnie oświetlało i ogrzewało, a w następnej chwili ostygło i zgasło. Niech to diabli.

Ubrałam się błyskawicznie, żeby zrobić kilka kółek po parku szybkim krokiem. Chciałam poczuć chłodne powietrze na twarzy i pozbyć się melancholii, smutku i wściekłości przed pójściem spać. Jednak gdy znalazłam się na ulicy, zamiast skierować się do parku, poszłam w stronę metra. Zeszłam na peron i zorientowałam się, że zmierzam do lokalu, w którym Mateo robił próby. Wydawało się najbardziej

prawdopodobne, że tam będzie. i najbardziej prawdopodobne, że ucieszy się na mój widok. Koniec końców tego właśnie chciał: żebyśmy byli razem i żebym jeździła za nim z koncertu na koncert.

Widziałam swoje odbicie w oknach wagonu i dziwiłam się, że odruchowo ubrałam się tak samo jak wtedy, gdy poznałam Matea w metrze. Spotykając się z klientkami, zwykle nosiłam bardziej klasyczny, biurowy ubiór: bluzki, koszule, spodnie od kostiumu, spódnice. Mateo nie poznałby mnie w takim stroju. Teraz byłam ubrana w kurtkę, obcisłe spodnie, adidasy i miałam rozpuszczone włosy. Z pewnością w żadnym momencie nie zrezygnowałam z pomysłu zobaczenia się z nim.

Tyczka i jakiś drugi chłopak podpierali drzwi, pałac. Popatrzyli na mnie jak na zjawę, ale nie z jakiegoś szczególnego powodu, tylko dlatego, że byli oszołomieni.

Powiedziałam „cześć” i weszłam.

Zabrzmiało kilka akordów i czyjś głos. Nie należał do Matea. Nie było go na scenie. Może chodziło o inny zespół. Przystanąłam i niektórzy z siedzących zerknęli na mnie, a potem wrócili do swoich spraw. Było mało ludzi, głównie przyjaciele i dziewczyny muzyków. Gdzie był Mateo? Postanowiłam spytać o to Tyczkę, więc skierowałam się do wyjścia, gdy drogę przecięła mi złota błyskawica.

– Cześć – powiedziała. – Szukasz Matea?

– Gdzie jest?

Stała przede mną Księżniczka. Była wyższa ode mnie. Mierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, niebieskimi oczami, tak niebieskimi, że wydawały się nierzeczywiste.

– Już od kilku dni tu nie przychodzi.

– A ty – powiedziała, nie zamierzając odejść – wcale nie wiesz, co się z nim dzieje?

– Nie sądzę, żeby chciał się znów z tobą zobaczyć.

Poczułam, że żołądek opada mi do pięt. Musiałam włożyć ręce do kieszeni, żeby się czegoś przytrzymać.

– Dlaczego?

– Jeśli ci o tym nie powiedział, to widocznie nie jesteś zbyt dobrą przyjaciółką.

– Niezupełnie jestem jego przyjaciółką. Dlaczego mi to mówisz?

Widywałam już ten szczególny błysk w innych oczach. Nawet w półmroku panującym w lokalu dosięgło mnie to spojrzenie, jakby powstało krótkie spięcie w mózgu i jakbym została schwytana w jego rozbłyski.

Pogłaskała się po brzuchu.

– Coś się zmieniło. Mateo zostanie ojcem. Kupimy sobie przyczepę kempingową, żeby zamieszkać razem. On nadal będzie się poświęcał muzyce i wykonywał prace zlecane dla swojego ojca. Ja będę mu pomagała, jestem bardzo dobra w posługiwaniu się programami komputerowymi. Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała, rozkładając ręce. – Może się pobierzemy. Nie sędzę, żeby Mateo miał głowę, żeby z tobą rozmawiać. Przyszłam po jego prochowiec. Zostawił go tutaj któregoś wieczoru.

Nie przestawałam się jej przyglądać. Ich dzieci z pewnością byłyby piękne, jak aniołki.

Wydawało mi się bez sensu prosić ją o adres Matea. Nigdy by mi go nie dała.

– W każdym razie ucieszyłabym się, gdybyś mu przekazała, że przyszłam się z nim zobaczyć i że chciałabym z nim porozmawiać.

– Jasne – powiedziała.

Wyszłam, mając w środku pustkę. Po południu czułam wiele rzeczy, teraz natomiast nie czułam absolutnie nic. Najważniejsza była moja matka i jutrzejsza praca, a ta długa droga powrotna do domu okazała się zupełnie absurdalna. Wlokła się bez końca. Otworzyłam drzwi, wyczerpana. Oddaliłam od siebie myśl sprzed kilku godzin o przyjściu tu w towarzystwie tego dawnego Matea, o napiciu się z nim piwa, a nawet whisky z lustrzanego barku stojącego w salonie. Zobaczyłam, że odlatuje, ta myśl, niczym mucha, i zrobiłam sobie coś na kolację.

Ojciec zadzwonił z Santander, ale ja wolałabym go nie słyszeć ani nie słyszeć Any, mówiącej w tle nie wiadomo co. Nadal przeżuwałam bez apetytu, ale za to z całej siły, rozcierając sałatę, oliwki i jajko na twardo, jakbym miała zęby z kamienia.

Czy ktoś wie, jak wyłączyć świadomość i nie musieć przy tym umrzeć?

Położyłam się do łóżka z jedną z tych książek, z których powinnam się uczyć. Była bardzo ciekawa, a moje życie mogłoby zapowiadać piękną przyszłość.

Nie musiałam myśleć o miłości ani o Mateo. Po rozczarowaniu, które przeżyłam tamtego wieczoru, Mateo znalazł się poza moim życiem. Było tak, jakbym zaledwie zmoczyła sobie stopy nad brzegiem morza najpłytszą częścią fali. Nie oczekiwałam, że jeszcze o nim usłyszę. Niech będzie bardzo szczęśliwy w swoim nowym życiu w przyczepie kempingowej. A kiedy w chwili roztargnienia przychodził mi do głowy, przychodziła również złota księżniczka i całkowicie go przesłaniała. Wpięłam w uszy kolczyki z perłami należące do matki i związałam włosy. Wybrałam białą bluzkę i nałożyłam sobie nieco kremu z mikrocząsteczkami masy perłowej. Przekonałam się, że kiedy wyglądałam schludnie i zdrowo, kupowano ode mnie znacznie więcej. Zawsze mówiłam klientce, że użyłam kremu, który miałyśmy przed sobą, i prawie zawsze połykała haczyk. Ułożyłam produkty w walizczkach i przejrzałam notes. Z planem miasta w ręku uporządkowałam adresy, zostawiając sobie na koniec miejsce najbliżej szpitala. Starłam się przychodzić po południu, udając, że przedpołudnia spędzam na uniwersytecie, ale dzisiaj zamierzałam powiedzieć matce, że zaczynam w południe obchód klientów.

Właśnie miałam wyjść, gdy zadzwonił telefon. Tego telefonu spodziewałabym się nawet mniej niż od Matea.

Dzwonił nauczyciel ze szkoły Laury.

Zaczął od tego, że nie wie, dlaczego mnie posłuchał, i że szkoła jest zobowiązana chronić prywatność uczniów i ich rodzin, dlatego zawsze będzie zaprzeczał, że informacja, którą zamierza mi przekazać, wyszła od niego i ze szkoły. Byłoby to jego słowo przeciwko mojemu.

Dziewczynka nazywała się Laura Valero Rivera. Siedem lat temu mieszkała przy ulicy Los Ríos 24, w madryckiej dzielnicy El Olivar. Dał mi także numer telefonu. El Olivar była dość drogą dzielnicą willową, mniej więcej piętnaście kilometrów na północ. Rozbudowywano ją wokół podmiejskiego osiedla zamieszkanego przez pięćset osób i z czasem tamtejsze wille z basenami przestały być wykorzystywane tylko w weekendy, zmieniając się w stałe miejsce pobytu.

Poprosił, żebym zrobiła dobry użytek z tej informacji.

– Pracuję w oświacie czterdzieści lat i myślę, że potrafię odróżnić złych ludzi od dobrych. Sądzę, że zasługujesz na moje zaufanie.

Próbowałam go uspokoić i podziękowałam mu. Prawdę mówiąc, nie wydawało mi się, że aż tak bardzo ryzykuje, udostępniając mi te szczegóły.

Czym prędzej zadzwoniłam pod numer, który mi podał.

– Laura Valero?

– Co takiego? Już tu nie mieszka – odpowiedziała kobieta w średnim wieku. – Tak się nazywali dawni lokatorzy. Wyprowadzili się z tego domu siedem lat temu i wtedy ja go wynajęłam.

Dość długo przychodziła do nich korespondencja na ten adres. Od czasu do czasu przyjeżdżali po listy, ale potem przestali, więc oddawała je listonoszowi. Nie wiedziała nic więcej. Nie wiedziała, gdzie teraz mieszkają.

Kobieta miała ochotę porozmawiać i koniecznie chciała zaspokoić ciekawość, pytając mnie, czego chcę od tej rodziny. Powiedziałam jej, że jestem koleżanką Laury z podstawówki i że bardzo mi zależy, żeby ją odnaleźć.

– Może właścicielka domu będzie coś wiedziała.

Przez dobrą chwilę trzymała mnie na linii, ale w końcu dała mi telefon i nazwisko.

Całe to moralizowanie ze strony nauczyciela poszło na marne. Ta droga na niewiele mi się przydała, ale przynajmniej coś miałam. Tak łatwo byłoby zapytać moją matkę, co wie o Laurze, i zacząć od miejsca, w którym ona przerwała...

Właścicielka dawnego domu Laury przy ulicy Los Ríos była na wpół głucha i bardzo trudno się było z nią porozumieć. Zapytałam, czy mogłabym ją odwiedzić. Zgodziła się zachwycona. Wyglądało na to, że mieszkańcy El Olivar bardzo chętnie odbierali telefony i otwierali drzwi. Mieszkała w tej samej okolicy, w willi, którą ona sama nazwała dużą, a w dalszej części rozmowy rezydencją, żebym się nie zgubiła.

Nie wzięłam ze sobą walizeczek, tylko notatnik. Szkoda, że nie miałam zdjęcia Laury, żeby jej pokazać. Plany uległy kompletnej zmianie. Postanowiłam najpierw odwiedzić mamę, potem coś zjeść i stamtąd pojechać na dworzec Chamartín. Do El Olivar dotarłabym około wpół do piątej, czyli o rozsądnej porze do składania wizyt.

Ledwie wysiadłam z kolejki podmiejskiej, zapanowała cisza. Musiało nie być ludzi albo spali. Słyszeć było tylko ptaki i jeden czy drugi zraszacz do trawy. Za murami i metalowymi bramami kryły się domy za szpalerami sosen. Bardzo trudno było cokolwiek dojrzeć, jedyne, co wydostawało się na wąskie uliczki, to kiście zwisających kwiatów i zapach mokrej ziemi zapowiadający odległy deszcz, czyli tak jakby ktoś pachniał perfumami na kilka godzin przedtem, zanim się nimi skropił.

Właścicielka mieszkała przy Rododendro numer trzy i rzeczywiście, prawie nic nie przesadziła, mówiąc mi, że mieszka w rezydencji, bo kamienny różowy mur ciągnął się aż do połowy ulicy. Przez bramę mogłaby przejść cała armia ze słoniami. Ledwie się do niej zbliżyłam, pies pilnujący domu i pozostałe z sąsiedztwa rzuciły się równocześnie do drzwi. Osiedle zadrzało.

– Proszę wejść. Nic nie zrobią – powiedziała służąca w uniformie w różową kratkę.

Psom, dwóm czarnym dobermanom, ślina kapiała z kłów. Ale zaraz zrozumiały, że nic mnie nie obchodzą. One były na swoim miejscu, a ja na swoim. Moja matka zawsze mówiła, że wystarczy jej to, co już ma na głowie, i nie będzie dodatkowo wyprowadzała psa, żeby się odsikał, więc nigdy żadnego nie mieliśmy. Ograniczałam się do zabawy z takim czy innym psem w parku, do głaskania psów sąsiadów, Gusa, i tyle.

– Będziemy się szanować – powiedziałam im.

Kobieta w różowej kratce rzuciła na mnie okiem, a oba psy szły tuż koło mnie, cicho warcząc.

– Przecież mówiłam, że nic ci nie zrobią – powiedziała.

Na chwilę wyobraziłam sobie, że poczciwa kobiecina miała przesrane z tymi dwoma psami do czasu, aż się do niej przyzwyczyli i coś w duszy kazało jej sprawdzać, czy reszta śmiertelników znosi to tak samo.

– Gdyby teraz zachciało im się kogoś zaatakować, to nie byłabym ja. Wiedzą, że nie życzę im źle i że się ich nie boję.

– A więc rozmawiasz ze zwierzętami?

W jej głosie zabrzmiała ironia i lekkie rozgoryczenie.

– Nie ma potrzeby. One, zamiast widzieć oczy, usta i uszy, widzą strach, tchórzostwo, odwagę, dobroć, złośliwość. Mają inny mózg.

Miała ochotę dodać jeszcze coś z tego, co ją zżerało od środka, ale już wyszła nam na spotkanie pani domu w robionym na szydełku szalu na plecach, który całkowicie ją okrywał. Miała na twarzy sporo różu, jakby malowała się po ciemku.

– Ty jesteś...

– Tak – powiedziałam. – Rozmawialiśmy przez telefon...

– Naturalnie. Wejdz. – Spojrzała na psy. – Przeszkadzają ci?

– Proszę się nie przejmować. Nie przerażają mnie.

– A powinny. Po to są.

Mówiła bardzo głośno i zmuszała mnie, żebym też tak mówiła. Nasze głosy dudniły pod łukowatym sklepieniem przedsionka. Powiedziałam jej, że ma bardzo ładny dom.

– Przecież go nie widziałas – odparła i zrozumiałam, że przy tej kobiecie będę się musiała wyrażać bardzo precyzyjnie, niemal naukowo, mówiąc o swoich spostrzeżeniach.

Weszliśmy do salonu, który wychodził na jedną część ogrodu z tak dużym trawnikiem i taką ilością liści, że dywany, wazony i meble wydawały się przy nim nieco zielone. Był bardzo miły, bardzo piękny i bardzo ustronny. Usiadliśmy na sofie z miękkiej skóry, która praktycznie mnie wessała. Gdyby nie donośny głos kobiety i chłód panujący w tych murach, chyba bym zasnęła.

Miała bardzo ciemne włosy nastroszone na czubku głowy. Przyglądałam się jej ospała. Psy tak samo.

– Ta tutaj – powiedziała, wskazując na kominek – to ja, gdy byłam młoda, piękna i silna.

Nad kominkiem z zielonkawego marmuru wisiał ogromny portret tancerki baletu klasycznego.

Powiedziałam, że rzeczywiście była młoda, piękna i silna, nie chcąc zgrzeszyć ani niedostatkiem, ani nadmiarem pochlebstw. Przytaknęła i odwróciła głowę w stronę drzwi.

– Mari! – krzyknęła w taki sposób, że nas obudziła, mnie i psy.

Mari przyszła po chwili ze srebrną tacą, srebrnym serwisem do herbaty i porcelanowymi filiżankami. Widać było, że cały serwis strasznie dużo waży i kiedy go postawiła na stole, odetchnęła z ulgą.

Myślałam, że najbardziej wystawny salon, jaki w życiu widziałam, był u Wampirzycy, ale w porównaniu z tym jej wydawał się meliną. Wkurzyło mnie, że zostawiłam w domu kremy. Byłam pewna, że mogłabym jej sprzedać ten z diamentami i ten ze złotem.

– Powinna pani sobie nawilżyć i odżywić skórę – powiedziałam, ryzykując, że mnie wyrzuci ze swojej samotni.

Ale nie. Przeciągnęła dłonią po twarzy i powiedziała, że przychodzi taki wiek, kiedy z lepszą czy gorszą skórą i tak nie przestanie się być stara.

Skorzystałam z tego, że padło słowo „stara”, żeby wspomnieć o babci Laury.

– Tak, domek, który im wynajęłam, jest o trzy ulice stąd. Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat. Dziewczynki za dobrze nie pamiętam, była normalnym dzieckiem, skromniutka, nie rozrabiała. Babcia była gruba, miała bardzo białą skórę i niebieskawe włosy. Wtedy wiele starszych pań takie nosiło, albo różowe. Matka dziewczynki przyszła tylko raz. Była jedną z tych hipisek. Spalona słońcem, z długimi, splątanymi włosami. Straszydło.

– I nie wie pani, gdzie mogą teraz mieszkać?

Pokręciła przecząco głową. W salonie było zimno i poczciwa kobieta poprawiała sobie duży czarny, błyszczący szal, który sięgał jej niemal do stóp, ale ja nie chciałam wykonać żadnego gestu, z którego mogłaby wywnioskować, że chcę już iść.

Pogłaskała jednego psa po głowie.

– Płaciły skrupulatnie. Zwykle przychodziła babcia z wnuczką i dawała mi pieniądze do ręki. Bardzo mi to odpowiadało, bo dzięki temu nie musiałam podejmować ich z banku. Pewnego dnia się wyniosły i już nie wróciły.

– Nie pamiętam imienia babci ani matki – powiedziałam, jakbym próbowała sobie przypomnieć.

– Babcia miała na imię Lilí, doña Lilí. Co ty na to? A matka dziewczynki tak jak

pewna dawna aktorka. Czasami wspominała o niej, używając tego imienia aktorki, ale nie mogę go sobie przypomnieć.

– A ojciec? Nigdy go pani nie widziała?

Spojrzała na mnie podejrzliwie. To pytanie nie mieściło się w wyobrażeniu, jakiego o mnie nabrała.

– Żadne dziecko nie lubi różnić się od innych, a hipiska była samotną matką. To akurat pamiętam.

Wyszłam od niej zadowolona. Coś miałam: niebieskie włosy, jedno imię i nadzieję na drugie. Przeszłam trzy ulice dalej w poszukiwaniu wynajmowanego domku, jak go nazwała dama w szalu z długimi frędzlami. Ponieważ nie dźwigałam walizeczek z produktami kosmetycznymi, czułam się lekka jak piórko. Robiłam coś, o co nikt mnie nie prosił, ale co musiałam zrobić. W głębi duszy bałam się, że moja matka ma rację i że Laura gdzieś tu jest, gdzieś zagubiona. Tej możliwości musiał się bardzo obawiać mój ojciec, moi dziadkowie, Ana i wszyscy ci, którzy przez cały czas się od niej oddalali.

Łupkowy dach, pięciometrowe drzewa, altanka, basen, kamienny grill. Było to coś pośredniego między rezydencją a domkiem. Pies też był, tym razem brązowy i niesforny.

Otworzył mi zmęczony mężczyzna z dwudniowym zarostem i zaprowadził mnie do swojej żony, do oszklonej części werandy skąpanej w słońcu.

Była drobna i miała na sobie różowy dres z porowatego materiału. Na palcach nosiła złote pierścionki, a na szyi cienkie łańcuszki. Włosy miała niemal tak krótkie jak zarost swojego męża. Przewracała powoli strony „Hola”.

Jej, i owszem, spodobało się, kiedy powiedziałam, że ma ładny dom. Chociaż odczuwała brak fontanny między ogrodzeniem a werandą, przez co całość, zdaje się, traciła dla niej urok.

– Przynieś dziewczynie coś do picia – powiedziała do męża.

Poprosiłam, żeby tego nie robił. Powiedziałam jej, że właśnie byłam w rezydencji właścicielki i wypiałam kilka filiżanek herbaty.

– Niesympatyczna kobieta, ale była baletnicą i ma... – Wykonała palcami gest

oznaczający dużo pieniędzy.

– Chciałam tylko podziękować, że wysłuchała mnie pani przez telefon.

– Nie przejmuj się. Tutaj dni bardzo się dłużą, na wszystko jest czas.

Była energiczną, bezpośrednią kobietą. Jej mąż snuł się w pobliżu niczym bezbarwna zjawa.

– Posłuchaj, znalazłam parę rzeczy, które zostawiła tu tamta rodzina, kiedy się wprowadziliśmy.

Wstała bez ociągania, początkowo utykała przez chwilę, ale potem niemal fruwała między meblami.

Wróciła z czerwonym pudełkiem pokrytym łuskami z papier mâché. Po wykończeniu można było poznać rękę dziecka. W środku widniał napis: „dla mojej mamy”.

– Jakoś nie miałam serca go wyrzucić. Jeśli chcesz, weź je. Dasz jej, jak ją zobaczysz. Na pewno się ucieszy. Rzeczy z dzieciństwa zawsze sprawiają radość.

– Pamięta pani, na jakie nazwisko przychodziły listy?

– Och! To było dawno i wydaje mi się, że prawie wszystkie były ze szkoły, skierowane do rodziców Laury. Nazwisko brzmiało...

– Może Valero?

– Tak, coś takiego.

– I nigdy nie wspominali, gdzie mieszkają?

Pokręciła przecząco głową.

– Gdzieś w centrum. Pamiętam, że babcia narzekała, jak trudno wyjechać z centrum Madrytu samochodem.

– Wydaje mi się, że matka dziewczynki miała imię po dawnej aktorce... powiedziała.

– To naprawdę były bardzo krótkie wizyty.

Stamtąd też wyszłam zadowolona, z czerwonym pudełkiem w ręku, zrobionym być może przez moją siostrę Laurę, a może przez jakieś inne dziecko, kto wie. Pod pretekstem, że był bardzo ładny, przeszłam się po ogrodzie, w którym mogła się

bawić Laura, i rozejrzałam się, czy na jakimś pniu nie ma wrytego imienia. Nie dziwiło mnie, że mój ojciec nie chciał się włączyć do tej gry polegającej na robieniu sobie nadziei. Była niezdrowa i łatwo można było sobie wyobrazić niepokojący obraz mojej matki posuwającej się, tak jak ja teraz, od złudzenia do złudzenia, od rozczarowania do rozczarowania.

Zamierzałam postawić pudełko w swoim pokoju. Było już późno. Musiałam czekać na pociąg podmiejski ponad pół godziny i w końcu zrobiła się prawie dziewiąta. Dzięki Bogu nie było telefonów na automatycznej sekretarce, co oznaczało, że w szpitalu nic się nie zmieniło. Na stole kuchennym zwracały uwagę dwie szklanki z resztkami wina. Widać było, że odsuwano krzesła, a ktoś postawił na rogu stołu popielniczkę przyniesioną z salonu. W kuchni nigdy nie było popielniczki, żeby nie mieszać dymu papierosowego z zapachem jedzenia. Na popielniczce trzymał się, nierozkruszony, popiół z jednego papierosa. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że, jak podejrzewałam, była tu Ana, chociaż przynajmniej był także mój ojciec, więc na pewno nie mogła się zająć rewidowaniem domu. Pili wino, a ojciec zgłupiał na punkcie Any, choć mojej matce pewnie by to nie przeszkadzało, bo podobało jej się wszystko, co robi jej przyjaciółka.

Wyrzuciłam popiół i wymyłam szklanki.

Na mahoniowym stole w salonie była wiadomość napisana charakterem mojego ojca. Idę się przejść z Aną, nie czekaj na mnie z kolacją. Nagle, wiedzona jakimś impulsem, poszłam do sypialni. Otworzyłam szafę i stwierdziłam, że włożył najładniejszą marynarkę, jaką miał, taką granatową z czegoś pomiędzy sztruksem a aksamitem, w której bardzo mu było do twarzy. Moja matka podarowała mu ją na urodziny i trzymał ją na specjalne okazje. Czułam przygnębienie, myśląc o ojcu w tej marynarce i o dwustuletniej ręce matki. Życie było głównym złożonym z mniejszych głów, które chciałam wyrzucić ze swojej głowy.

Całe szczęście, że zadzwonił Ángel i się uspokołam. Jego obecność gasiła każdy pożar. Wydawało się, że przyszedł na ten świat, żeby obserwować i zrozumieć Ziemię, a potem zabrać na swoją planetę raport sporządzony bez uprzedzeń i nieporozumień. Jak można było być kimś takim? Ogromnie go podziwiałam. Nie był podobny do nikogo.

Ángel nie przejął się tą historią z Aną. Powiedział, że to lepiej, jak tato się rozerwie, bo dzięki temu będzie lepiej spał i nie będzie roztargniony w taksówce. Oczywiście on nic nie wiedział o zdjęciu ani o Laurze, nie wiedział, że sposób bycia naszej matki nie wynikał z jej charakteru, lecz ze zgryzoty. Musiałam się ugryźć w język, żeby nic mu nie powiedzieć, bo byłam pewna, że wiedziałby, jak te problemy i cuchnące drobiazgi, które gniły w mojej głowie, dopasować do ludzkiej duszy w ogóle i do mojego serca w szczególności.

– Chciałbyś mieć kiedyś psa, z tych brązowych z błyszczącą sierścią? – zapytałam go.

Mój ojciec jak zawsze wstał o świcie. Usłyszałam w oddali ekspres do kawy i odgłos lejącej się wody dochodzący z łazienki. Kiedy wyliczyłam, że już się ubrał i pewnie je śniadanie, poszłam do kuchni.

Zapytałam go o Anę. Odpowiedział lakonicznie, wymijająco. Nie spodziewał się, że zobaczy mnie tak wcześnie i będzie się przede mną tłumaczył.

– Przyszła zrobić nam kolację, a ponieważ nie wracałaś, poszliśmy na spacer.

Nie miałam odwagi powiedzieć mu, że kiedy się położyłam, jeszcze nie wrócił. Jak mogłam zapytać swojego ojca, czy ma romans z Aną? Jak mogłam pomyśleć o czymś tak perwersyjnym? Jakim prawem chciałam przenieść na ojca najbardziej zepsute z moich myśli?

– Ana zaprosiła mnie na kieliszek, a potem poszedłem się przewietrzyć tu w okolicy, sam. Dwa razy obszedłem park. Betty i Ana kilka razy podróżowały razem. To niesamowite, że prowadzą tak różny tryb życia. Gdyby nie natknęła się na mnie na swojej drodze, gdybyśmy się nie pobrali, żyłaby inaczej i nie znalazłaby się w szpitalu.

– Gdyby mama była Aną, nie byłoby mnie ani Ángela, ani... Laury.

– Nie zaczynajmy znów – powiedział. – Postaram się spędzić popołudnie w szpitalu i mam nadzieję, że twoja matka nie wyskoczy z jakimś tekstem o uniwersytecie, bo dużo mnie kosztuje podtrzymywanie tego kłamstwa.

Ależ się ucieszyłam, że nie powiedziałam ojcu żadnego głupstwa. Kochał moją matkę, kochał nas, a Ana była zaginionym ogniwem w naszym życiu. Już nie

wróciłam do łóżka. Włożyłam legginsy i słuchawki i poszłam pobiegać po parku.

Zobaczyłam słońce wyłaniające się spomiędzy drzew, pierwsze dzieci idące do szkoły i nie mogłam powstrzymać radości, która była poza mną i która mną zawładnęła. Nie mogłam przestać jej czuć, tak jak nie mogłam uniknąć promieni, które padały mi na twarz z nieba. Z błękitnego nieba. Jak to wyjaśnić komuś, kto nigdy tego nie widział? Nie czułam zmęczenia i zrobiłam jeszcze kilka okrążeń. Przebiegłam obok krzewów bzu i huśtawek dla dzieci, przy których moja matka spędziła wiele nudnych godzin, obserwując nas i pilnując. Prawie nigdy nie zostawiała nas pod opieką kogoś innego, jak to robiły inne matki, które zmieniały się, żeby mieć więcej swobody. Zawsze mówiła, że nikomu nie będzie zależało na jej dzieciach bardziej niż jej. Teraz rozumiałam, dlaczego miała taką obsesję na punkcie naszego bezpieczeństwa. Pachniało mokrą ziemią i zielenią.

Kiedy brałam prysznic, wydało mi się, że słyszę telefon, i wystawiłam głowę przez plastikową zasłonę. Natychmiast pomyślałam o szpitalu. Wyskoczyłam z wanny i wybiegłam z łazienki, ślizgając się i zostawiając ślady mokrych stóp w całym korytarzu i w salonie. Woda z włosów spływała mi po plecach. Dzwonił doktor Montalvo, żeby zapytać mnie o matkę, więc poczułam ogromną ulgę: oznaczało to, że mojej matce nie przydarzyło się nic nienormalnego, a zatem życie nie zmierzało ku gorszemu. Potem spytał, czy wywietrzały mi już z głowy te głupoty, bo za nic na świecie nie chciałby, żebym zapadła na tę samą chorobę, co Betty. Obsesja jest muszlą ślimaka, powtórzył to samo co pierwszego dnia, i jeśli nie będzie się jej leczyło, może się zdarzyć, że nigdy nie znajdziesz wyjścia, ostrzegł mnie, naprawdę zaniepokojony. Ja natomiast powiedziałam mu, że nie jestem pewna, czy chodzi wyłącznie o obsesję, i że kiedy zgromadzę wystarczające dowody, iż moja siostra wciąż żyje, przyjdę go odwiedzić. Poczułam dreszcze. Montalvo powiedział: „Ach!”, i odłożył słuchawkę.

Nie byłam zadowolona z tej rozmowy, a raczej byłam niespokojna. Czyżbym wariowała? Może to było dziedziczne, taka rodzinna anomalia i on ją rozpoznał? Doktor Montalvo mógł mnie znać lepiej niż ja sama. Był pierwszym psychiatrą, z którym rozmawiałam, i nie miałam zielonego pojęcia, czy oni zawsze tak się niepokoją o pacjentów, czy może tylko o tych, którym grozi niebezpieczeństwo.

Znów weszłam pod prysznic, żeby się rozgrzać. Zauważyłam, że mam nogi twarde od biegania, i postanowiłam, że nie zrezygnuję z codziennych biegów, niezależnie od tego, co by się działo, bo muszę być silna i gotowa na wszystko. Wszyscy mnie potrzebowali, nawet ojciec.

Chociaż dni szybko mijały, gdy nie przychodziło mi do głowy, jak kontynuować poszukiwanie Laury, wydawało się, że ziemia zastyga w bezruchu, że życie zastyga w mojej biednej matce. Wobec tego musiałam posuwać się naprzód w taki czy inny sposób, najczęściej stąpając po omacku. Dlatego bez umówionego spotkania ani żadnego określonego pomysłu, co mam mu powiedzieć, poszłam zobaczyć się z detektywem. Była jedenasta rano, a ja taszczyłam jedną z walizeczek tylko z tym, co najpotrzebniejsze, żeby odwiedzić trzy klientki, ale i tak ciążyła mi jak diabli. Wiedziałam, że Martunis, o ile uda mi się w końcu z nim zobaczyć, nie przyjmie mnie życzliwie, bo go nie zatrudniłam, jednak miałam nadzieję, że wymknie mu się jakaś wskazówka, jakaś rada. Przede wszystkim musiałam porozmawiać z kimś, kto mnie zrozumie, komu nie będę musiała opowiadać całej tej historii, kto się nie zdziwi, nie pomyśli, że to chińszczyzna, z kimś, kto będzie wiedział z doświadczenia, że na tym świecie są ludzie zdolni do wszystkiego. Asystentce Martunisa nie wydawało się absurdem, że mojej matce skradziono córkę. Była przyzwyczajona do wszelkiego rodzaju dziwnych rzeczy i do tego, że coś najbardziej niewiarygodnego jest normalne.

Ledwie weszłam, natknęłam się na nią, na jej wielkie ręce i jej nerwową czuprynę. Właśnie weszła z ulicy i upuściła torebkę na krzesło na kółkach stojące po drugiej stronie biurka. Torebka wydała taki odgłos, jakby nosiła w niej złom. Kobieta usiadła, opierając jedno udo na biurku, a pod dżinsowym materiałem odznaczały się wydłużone mięśnie i inne, bardziej zaokrąglone. Gdy odwróciła głowę, długie włosy opadły jej na lewą pierś. Miała na sobie czarny sweter z golfem, ściśle przylegający do skóry. Przy niej czułam się bezpieczna, znacznie bardziej niż w towarzystwie swojego ojca, który był wysokim, silnym mężczyzną. Była jak chirurdzy, jak psychiatrzy, jak astronomowie, którzy widzą rzeczy, jakich normalni ludzie nie oglądają w swoim codziennym życiu.

– Zrobiłaś jakieś postępy? – zapytała tonem nauczycielki.

– Nie wiem, dlatego chciałabym porozmawiać z panem Martunisem.

Klęknęła na biurku i wyciągnęła szyję nad ścianką działową. Mogłabym spędzić cały dzień, obserwując ją. Od absolutnie dopasowanych spodni i obcasów jak wykałaczkki, po proste, wąskie plecy. Gdy podniosła głowę, kaskada włosów ruszyła w moją stronę.

– Nie wiem, kiedy przyjdzie – powiedziała i opadła na swoje krzesło, zsuwając się z biurka i z miejsca zaczęła pisać na komputerze z największą prędkością, jakby klawisze myślały same za siebie.

– Umiesz strzelać? – spytałam ją, zaskoczona tym, co mówię.

Podniosła nieco wzrok, a jej odpowiedź wprawiła mnie w zakłopotanie.

– Nie wierz we wszystko, co ci mówią.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że nikt mi nic nie mówi i na tym właśnie polega problem.

– Jesteś z tym sama, prawda? Uważaj, nie ufaj nikomu, nie wiesz, jakiego rodzaju ludzi spotkasz po drodze. Ludzie, którzy zrobili coś, czego nie powinni byli zrobić, i którzy mogą zostać zdemaskowani, mają przewagę.

– Kiedy byłam mała, moja matka wielokrotnie mi powtarzała, żebym nikomu nie ufała – powiedziałam, opadając na fotelik, który stał przed jej biurkiem.

– Jak sądzisz, dlaczego ci to mówiła?

– Wtedy myślałam, że to są obawy osoby dorosłej. Teraz wydaje mi się, że mówiła mi to ze względu na moją... ze względu na Laurę. Jeśli to prawda, że ukradziono jej córkę, to oczywiste, że nie powinno się nikomu ufać.

– Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić tego wszystkiego, co widziałam, siedząc na tym krześle – powiedziała, wyjmując sobie kolczyk z prawego ucha. Grube, pozłacane kółko musiało jej przeszkadzać podczas rozmawiania przez telefon. – Ludzie są zdolni do wszystkiego, po pierwsze dla pieniędzy, następnie z nienawiści i na koniec z miłości, ale czasami, chociaż wydaje nam się, że jesteśmy bardzo nieufni, nie jesteśmy wystarczająco nieufni. W tych nielicznych razach, gdy twoja matka tu przychodziła, wydawała mi się kobietą mającą bardzo głęboką ranę, ale także trochę naiwną. W gruncie rzeczy bała się okrucieństwa. Odkryła, że istnieje, ale

nie to, gdzie jest.

Szczerze mówiąc, spodobałoby mi się, gdyby mnie objęła i powiedziała, że wszystkim się zajmie, tym, czego ja nie umiałam zrobić, tym, czego moja matka nie mogła zrobić, tym, co jej zrobiono, połączeniem luźnych wątków naszego życia, tym, żeby świat dobrze funkcjonował. Gdzieś przecież muszą istnieć ludzie, którzy potrafią wszystko naprawić.

– I co ja mam zrobić?

– Ty nie jesteś swoją matką. Ciebie nie zaślepia cierpienie.

– Chętnie pokazałabym panu Martunisowi informacje, które stopniowo gromadzę. Może powiedziałyby mi, jak pójść na skróty i wcześniej dotrzeć do prawdy.

– Ach, prawda, prawda – powiedziała, przykładając sobie słuchawkę do ucha bez kolczyka. – Jeszcze się przekonasz, że nadejdzie taka chwila, kiedy elementy układanki same zaczną się do siebie dopasowywać, bez naciskania z twojej strony. Woda zawsze znajdzie ujście, choćby było mikroskopijne. Im więcej informacji będziesz miała, tym lepiej, bo nadejdzie taka chwila, kiedy każda z nich poszuka swojego miejsca i je znajdzie. To właśnie robimy tutaj, pozwalamy, żeby szczegóły zajęły przynależne im miejsce i żeby woda doprowadziła nas do otworu. Za dużo myślisz. Powiem mu, że tu byłaś.

To była strata czasu. Nic mi się nie rozjaśniło: Maria ograniczała się do usuwania mnie w bardzo grzeczny sposób z drogi swojego szefa. Czemu by nie wręczyć im miliona peset i pozwolić, żeby znalezieniem Laury zajęli się profesjonaliści? Dziwiło mnie, że moja matka zerwała z detektywem, mając tak duże oszczędności, co oznaczało, że chciała przeznaczyć te pieniądze na coś innego.

Snułam się przez jakiś czas, kierując się w stronę metra. W naszej dzielnicy zostało jeszcze kilka małych sklepików, które nadawały jej swojskiego charakteru: sklep mięsny, sklep z owocami i papierniczy. Na wystawie były bardzo ładne pióra. Przypomniało mi się pewne popołudnie, kiedy miałam dziewięć lat i po wyjściu ze szkoły ojciec i ja kupiliśmy mojej matce pocztówkę, z której po otworzeniu wysuwał się bukiet róż, bardzo naperfumowany. Potem ekspedientka ze sklepu papierniczego, ilekroć wchodziłam, żeby coś kupić, pytała mnie o ojca.

Nie zesłałam do metra. Nadal posuwałam się przed siebie, aż natrafiłam na jakiś bar i opadłam na krzesło z litego drewna, które wrzynało mi się w plecy, ale pozwoliło odpocząć od walizeczki. Do kawy z mlekiem dodano kilka ciasteczek. Byłam tam jedyną klientką. Co pięć minut kelner pytał mnie, czy życzę sobie czegoś jeszcze. Naprzeciwko był mały placyk z drzewami, a obok ławek ustawiono rowery do ćwiczeń. Pedalowało na nich dwóch starszków, a ptaki wyfruwały z gałęzi drzew, jakby pęd powietrza, w jednej sekundzie, zerwał tysiące liści. Nie wiedziałam, co robić. Może szukałam swojej urojonej siostry, żeby zapomnieć o prawdziwym problemie: życiu mojej matki wiszącym na włosku. Najpotworniejsze z tego wszystkiego było to, że potrafiłam korzystać z życia, pedałujący starszkwowie również. To właśnie było najdziwniejsze. Weszła jakaś kobieta z wózkiem na zakupy, podśpiewując. Życie bywało cudowne.

Wyczułam przed sobą obecność kelnera. Dlaczego to właśnie Ana, jedyna znana mi osoba, która była w Tajlandii, miałaby zabrać zdjęcie Laury z teczki z krokodylej skóry?

– Czy podać coś jeszcze? Dobrze się pani czuje?

Mógł to zrobić mój ojciec. Miał dość tego, że ktoś, kto nie istnieje, zatruwa nam życie. Pewnie winił biedną Laurę za to, że moja matka zachorowała. Obwinianie kogoś o to, co nam się przydarzyło, przynosiło ulgę, a ojciec mógł uważać, że częściowo winne jest temu to cholerne zdjęcie. Dlatego on nie wątpił w Anę.

Zamówiłam jeszcze jedną kawę. Wykończyła mnie praca, którą przez ten czas wykonywał mój mózg. Kelner musiał przez chwilę myśleć, że jestem ćpunką albo jakąś dziwną facetką. Postawiłam sobie walizczkę między nogami na podłodze, tak jak mi radziła matka. Kiedy jedziesz metrem, kiedy pijesz kawę, kiedy przystajesz, żeby z kimś porozmawiać, nie trać kontaktu z walizczką, bo jeśli ci ją ukradną, ukradną ci pół miliona peset. Dlatego kelnerowi wydawałam się ospała, trochę zbzikowana, no i przytrzymywałam walizczkę między nogami. Chociaż nie wyglądałam na niebezpieczną, dziwiłam go. Pragnął, żebym się wyniosła.

Zapłaciłam i poszłam odwiedzić trzech klientów, którzy już mnie znali i dla których się wystroiłam. Sprzedałam lecytynę sojową, wiesiołek w kapsułkach, jeden krem z drobinami złota i kilka słoiczków, które były ciężkie jak cholera. Zjadłam

kanapkę w pokoju matki. Powiedziałam jej, że dzisiaj nie miałam zajęć i że lepiej wygląda, ale to nie była prawda. Była wyniszczona.

– Twój ojciec schudł.

Powiedziałam jej, żeby się nie martwiła, bo dobrze się odżywia.

– Teraz tylko ty się liczysz – powiedziałam. – Nikt inny się nie liczy. My wszyscy – i tu włączyłam także Laurę, chociaż matka o tym nie wiedziała – czujemy się dobrze.

Popatrzyła na mnie oczami niezwykle powiększonymi przez to, że wychudła.

– Tak uważasz?

– Jestem pewna. To, że nie widzisz w każdej sekundzie, że czujemy się dobrze, nie znaczy, że tak nie jest.

Powiedziałam to z pełnym przekonaniem, starając się, żeby to zdanie podziało jak zastrzyk, który dotrze aż do środka jej obsesji na punkcie Laury. Chciałam, żeby zrozumiała, że Laura też się dobrze czuje.

– Tak – powiedziała – może to moja wina. To moje pragnienie, żeby kontrolować, żeby wiedzieć. – Wyglądało na to, że się odprężyła. – Masz dużo racji. Życie toczy się swoim torem i to nie dzięki mnie funkcjonuje. Nigdy nie wiadomo, co jest dla kogoś lepsze. Twój ojciec też nie ponosi winy za to, że ja nie wiem o wszystkim.

Przytaknęłam i poprawiłam jej pościel. Moja matka zaczynała myśleć, że być może jej urojona córka ma udane życie gdzieś poza naszą rodziną.

– Kto wie – dodała.

Nie możemy czuć się odpowiedzialni za to, czego nie jesteśmy w stanie zrobić. Człowiek robi, co może, powiedziałam, starając się przekonać także siebie samą.

Wyjęłam z walizeczki jeden z kremów i używając go, zrobiłam jej masaż twarzy. Zostały z niej tylko skóra i kości.

– To ten z diamentami?

Zostawiłam jej krem w szufladce stolika.

– Sprzedaję go jak ciepłe bułeczki.

Uśmiechnęła się. Była ze mnie dumna. Uśmiechała się nadal, aż wyszłam za drzwi. Nie wiem, czy potem uśmiechała się jeszcze trochę.

To było straszne, ale zaczynałam się przyzwyczajać do tego jeżdżenia tu i tam, do swojego nowego życia, do domu bez matki. Nie byłam szczęśliwa, ale dawałam sobie radę i rozumiałam, że nie zdołam się wydostać z tego więzienia, o ile nie odzyskam spokoju. Dlatego kiedy w niedzielę rano ktoś zadzwonił do drzwi, nie zemdlałam, widząc, że to Mateo.

Mój ojciec właśnie skończył jeść śniadanie i wybierał się do szpitala. Był to już drugi weekend, podczas którego postępował według tego samego planu. W szpitalnym kiosku kupi gazety i czasopisma i spędzi cały dzień, czytając ze swoją żoną. Kiedy on tam był, czułam się spokojna i na jakiś czas zapomniałam o wszystkim. Nastawiając pralkę, planowałam, że pójde pobiegać do parku, przebiegnę jakieś piętnaście kilometrów albo i więcej, aż nogi się pode mną ugną. Wtedy zadzwonił dzwonek. Ojciec chował akurat portfel do kieszeni spodni, gdy otworzył drzwi. Zamarłam w pomieszczeniu z pralką, słysząc ten głos, który natychmiast przysporzył mi miliona wrażeń. W duchu rzuciłam na siebie okiem. Byłam ubrana w krótkie spodenki oraz podkoszulek i miałam warkocz zrobiony bez patrzenia. Usłyszałam kroki ojca.

– Mówi, że jest przyjacielem, niejakim...

– Dobrze wiem, kto to. Powiedz mu, żeby zaczekał w salonie.

Kiedy ojciec wyszedł, zamknęłam drzwi do kuchni, w której wszystko było pewnie porzucane, bo Mateo musiał nieuchronnie przejść obok nich, żeby dotrzeć do tak zwanego salonu. Uznałam, że jest bardzo bezczelny, zjawiając się tak ni stąd, ni zowąd w moim domu. Ja przecież nie byłam u niego. Nie wiedziałam nawet, gdzie mieszka. Poprawiłam włosy, jak umiałam, przeglądając się w aluminiowej tacy, i zmieniłam podkoszulek na inny, wyciągnięty z kosza na czystą bieliznę. Umyłam twarz. I po co zadawałam sobie tyle trudu?

Wchodząc do salonu, zobaczyłam, że przygląda się kolekcji klasyków na regałach. Był w tym samym stroju co zawsze: w czarnym podkoszulku, a w ręku trzymał prochowiec do jazdy na motorze, będący pamiątką po ojcu.

– Cześć – powiedziałam.

Gdy się odwrócił, miałam ochotę się uśmiechnąć, zmięknąć. Cieszyłam się, że go

widzę, ale się powstrzymałam. Odkąd sprzedawałam kosmetyki i produkty dietetyczne, wiedziałam, że nie jest dobrze dać się ponieść i że nie wolno tracić z oczu celów, choćby klienci wydawali się bardzo mili.

– To był twój ojciec? – zapytał z podziwem, jak każdy, kto go widział po raz pierwszy. – A twoja matka?

– Nie ma jej w tym momencie.

Podszedł do mnie i ujął moją twarz w dłonie. Poczułam chłód sygnetu. Pocałował mnie. Zamknęłam oczy, żeby się zdawało, że jest noc, jak za pierwszym razem, ale nawet jeśli zamknie się oczy, zawsze dociera trochę światła przez powieki. Nie było tak samo, byliśmy w moim domu i nie mogłam nie myśleć o niczym.

– Dziwię się, że przyszedłeś. Nie wiem, co ci powiedzieć – stwierdziłam, gdy tymczasem stygła ślina, którą zostawił mi na wargach.

– Musiałem się z tobą zobaczyć. Zamierzałem zadzwonić, ale nagle wskoczyłem na motor, no i jestem. Chcesz, żebyśmy się przejechali po okolicy?

– No dobrze. Przebiorę się. Proszę, nie idź za mną.

Nie zniosłabym jego widoku w swoim pokoju, chociaż w gruncie rzeczy chętnie poszłabym z nim do łóżka.

Pojechaliśmy na motorze aż do Casa de Campo i zatrzymaliśmy się nad brzegiem jeziora. Był pochmurny poranek i zanosilo się na deszcz. Było mało ludzi. Kajaki ślizgały się po wodzie i wydawało się, że siedzący w nich ludzie mają tylko tułów, a ogródki restauracji sprawiały wrażenie dekadentkich, jakby sezon już się skończył. Bliskość Matea, jego zapach sprawiały, że czułam się ogromnie szczęśliwa. W tym momencie życie było i równocześnie nie było cudowne.

Usiedliśmy możliwie najbliżej wody, na kamieniach. Tyczka powiedział mi, że kilka dni temu przyszedłam do lokalu.

– Byłem bardzo chory. Miałem ostre zapalenie oskrzeli. Myślę, że złapałem je, gdy odwoziłem cię do domu bez prochowca.

Powiedziałam mu, co mi mówiła Księżniczka.

– Zamierzacie zamieszkać w przyczepie kempingowej.

Odparł, że ona ma bujną wyobraźnię i że zanim mnie poznał, może by to zrobił,

ale teraz wszystko się zmieniło.

– Patricia jest intrygantką – powiedział zirytowany. – Prawie mi popsowała najlepszą rzecz, jaka mi się ostatnio przytrafiła.

– Ale co z dzieckiem? Powiedziała mi, że jest w ciąży.

– W ogóle jej nie wierz. Jest zdolna do wszystkiego, żeby mnie zatrzymać. Mam tego dość.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałowaliśmy się. Już było tak jak tamtej nocy, na tamtym placyku. Było tak, jakbyśmy pieczętowali jedno miejsce za drugim. Jego język, jego wargi, jego ręce na moim ciele. Zbyt cudownie.

– Jak może mówić coś takiego, jeśli to nieprawda?

– Lubi zmyślać. Od wieków opowiada o tej przyczepie. Gdzie mielibyśmy ustawić przyczepę? Chcę, żebyśmy spędzili ze sobą cały dzień. Dzisiaj nie mam próby.

– Możemy zjeść gdzieś tutaj obiad, jeśli chcesz, i trochę pospacerować. Potem moglibyśmy pójść do kina.

Widać było stamtąd odległe budynki przy Plaza de España przypominające skamieliny.

– Czemu nie pójdziemy do ciebie, do twojego pokoju? – powiedział, zbliżając swoją głowę do mojej, płacząc swoje włosy z moimi.

– Mój brat jest w domu – skłamałam, myśląc, że Ángel coraz bardziej zadomawia się w Alicante.

– Możemy zamknąć drzwi na zasuwkę.

Wstałam. Kamień wpijał mi się w tyłek.

– Chciałabym, bardzo bym chciała być z tobą, ale w moim pokoju nie ma zasuwki.

– To przez Patricię.

Powiedziałam, że nie, ale w końcu się pokłóciliśmy. Poprosiłam go, żeby odwiózł mnie do domu. Zaczynało mżyć.

Pożałowałam, że nie zaciągnęłam Matea do swojego łóżka, gdy tylko zobaczyłam, że uruchamia motor i stawia kołnierz prochowca. Zaczynało mżyć i po chwili już go

nie było widać. Żałowałam podczas dwóch okrążeń, które przebiegłam po parku, i kiedy otwierałam furtkę i drzwi do domu, i kiedy wyciągałam rzeczy z pralki i je rozwieszałam. Dlaczego? Dlaczego nie pozwoliłam sobie samej cieszyć się tą chwilą?

Nie mogłam przestać tęsknić do tego, jak ogromnie szczęśliwa mogłam być z Mateem, chłopakiem, który podobał mi się najbardziej od czasów przedszkola.

Nie wiedziałam, jak rozładować wściekłość, którą czułam na sobie samą, i zabrałam się do gotowania. Dzięki temu będziemy mieć dobre jedzenie na cały tydzień. Wystarczy, że się rozmrozi mrożonki lub zdejmie przykrywkę z plastikowych pojemników. Pulpety w sosie, makaron z piekarnika. Poszłam do supermarketu poszukać składników do dorsza z rodzynkami, do jarzyn z wody, gulaszu, krokietów. Gdy już się zmęczyłam, nadal nie byłam wystarczająco zmęczona i zamówiłam produkty kosmetyczne do walizeczek. Zrobiłam sumiennie rachunki i przepisałam je na czysto. Posprzątałam w swojej szafie tak, jak nigdy wcześniej, odkąd ta szafa istniała, a ponieważ nie udawało mi się na tyle zmęczyć, żebym mogła się wyciągnąć na sofie i odpocząć, wzięłam prysznic i ubrałam się tak jak wtedy, gdy poznałam Matea w metrze, i wyruszyłam w drogę prowadzącą do lokalu, w którym odbywały się próby.

Lepiej to sobie przemyślałam i teraz jednak chciałam być z nim. Jeśli już nie mogło do tego dojść w moim pokoju, poszukamy innego miejsca. Na przykład u niego.

Dotarłam do sali koło jedenastej. Zapomniałam zjeść kolację, ale zamiast zmęczenia po całej tej pracy, którą wykonałam, czułam lekkość, jakbym się unosiła w powietrzu między ludźmi stojącymi pod drzwiami i między cieniami w środku. Grała muzyka i wydawało się, że to cały czas ta sama piosenka. Tyczka przyniósł mi piwo. Widziałem cię na zewnątrz, powiedział. Ja nie patrzyłam na nikogo, żeby nie czuć się obserwowana. Chętnie stałabym się niewidzialna dla wszystkich z wyjątkiem Matea. Zapytałam go, kiedy Mateo skończy grać.

– Powiedział mi, żebyś na niego zaczekała.

– Naprawdę?

Dziwiło mnie, że już zdążyli o mnie porozmawiać. Piwo wywracało mi żołądek

na lewą stronę.

– Powiedz mu, że czekam na niego na zewnątrz.

Odeszłam kawałek, żeby nie czuć intensywnego zapachu jointów unoszącego się przy wejściu. Brakowało sekund, żebym zwymiotowała. Gdy znalazłam się kilka metrów dalej, nocny chłód dobrze mi zrobił. Odszukałam motor Matea i usiadłam. Oparłam ręce na kierownicy i położyłam na nich głowę. Miałam mnóstwo rzeczy w głowie i nic w żołądku. Była w niej moja matka, gwiazdy, Mateo, księżniczka w ciąży, mój ojciec, studia, których nie podjęłam, i wykładowcy, których nie miałam, Wampirzyca z siniakiem na ramieniu i jej wystawne życie. Było tam wszystko, najmniej niepokoiłam się o Ángela. I była Laura, pępek świata. Był księżyc między obłokami dymu.

Poczułam czyjąś rękę na ramieniu.

– Cześć – powiedziała złota księżniczka.

Nie zsiadłam z motoru. Miałam po dziurki w nosie jej i jej szlochów, jej intryg. Była tego rodzaju dziewczyną, której wydaje się, że ma większe od innych prawo zatrzymać dla siebie to, co jej się podoba.

– Czekam na Matea.

– Wiem i już mnie to nie obchodzi. Nie będziemy mieszkać w przyczepie.

– A to dlaczego?

– On chce mieszkać w normalnym domu.

Zapatrzyłam się w głąb jej niebieskich oczu. Były tam ryby i zamki, zaginione statki i koralowce.

– W jakim normalnym domu?

– W tym, który dają nam moi rodzice, pięćdziesiąt kilometrów stąd. Będziemy mogli trzymać psy i konia.

– Wiedzą o dziecku?

– Są zachwyceni, ale ja nie wiem, czy chcę je mieć.

– Dlaczego? W tym domu będzie bardzo szczęśliwe.

– Zobaczymy – powiedziała.

Poprawiłam się na siodełku. Nie zamierzałam się wycofać.

– Mateo prędzej czy później wyrządzi ci krzywdę, wierz mi. – Postawiła but na błotniku. – Może się okazać bardzo samolubny.

Już jej miałam powiedzieć, że właśnie dzisiaj przyszedł do mnie do domu, ale udało mi się nie podjąć jej gry.

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się? – Uśmiechnęła się. – Nie wydaje ci się. Jesteś małodatą, mimo że wyglądasz na dorosłą babkę.

Zawsze wydawałam się starsza niż w rzeczywistości. Kiedy byłam w ostatniej klasie podstawówki, ludzie myśleli, że jestem w szkole średniej, a w szkole średniej, że już studiuje. Teraz mogłabym mieć dzieci i prawie trzydzieści lat. Jednak ona wyglądała na znacznie mniej lat, niż miała pod błękitem oczu i przeźroczystą skórą. Nie była naiwna, nie była łagodna jak baranek.

– Myślę, że jest samolubny przy tobie, nie przy mnie. Myślę, że cię nie kocha.

Nigdy, przenigdy nie sądziłam, że jestem zdolna do wyrwania się z czymś takim.

– Ciebie też nie – powiedziała urażona, zdejmując stopę z motoru.

Ciekawe, czym się zajmowała, oprócz tego, że prześladowała Matea? Studiowała?

– Ty też zajmujesz się muzyką? – zapytałam, naprawdę zainteresowana.

Pokręciła przecząco głową. Delikatne kosmyki z jej irokeza poruszyły się niczym trawa na łące.

– Co studiujesz?

Odeszła. Kiedy chciałam zapytać, czy gdzieś pracuje, już jej nie było. Poszła, stawiając długie kroki, co było jej sposobem na przełamanie swojej naturalnej elegancji. Zaczęłam podejrzewać, że może nic nie robi, że jej rola polega na tym, żeby być zakochaną w Mateo, i dlatego poświęci na to zadanie wszystkie swoje siły, a ja nigdy nie będę mogła z nią rywalizować. Gdy tak czekałam na Matea, zaczęłam się czuć coraz bardziej śmieszna i dopadło mnie wielkie znużenie. Pocieszało mnie tylko to, że wcześniej on po mnie przyjechał i że miałam straszną ochotę go zobaczyć.

Gdy zesłam z siodelka, żeby czym prędzej stamtąd uciec, pojawił się, idąc szybko w moją stronę. W ciemności podobał mi się nieskończenie bardziej. W ciemności był wszystkim tym, co kochałam.

Nie dał mi czasu, żebym się odezwała.

– Jedźmy stąd! – powiedział, uruchamiając motor.

Przytuliłam się do jego pleców. Dobrze zrobiłam, że przyszłam. Gdybym się nie zdecydowała, teraz nie miałabym tego.

Nie myślałam o niczym. Nie jechaliśmy w kierunku mojego domu i nie miałam powodu się martwić. Zatrzymaliśmy się obok jakiejś bramy z drzwiami z aluminiowych prętów. Nie było windy i weszliśmy w milczeniu na trzecie piętro, oddychając coraz ciężiej. Mateo zakaszłał. Palił dużo trawki.

– To jest mieszkanie przyjaciela, tego drażala, który zawsze stoi przy drzwiach.

Starałam się nie myśleć o drażalu, który dla mnie był Tyczką, ani o tym, że zostawił mu mieszkanie. Starałam się nie przyglądać pościeli. Skoncentrowałam się na Mateo i wolałam widzieć go po raz pierwszy nago w ciemności. Byłam zadowolona, że Kochamy się nocą, w nieznanym domu, w łóżku, które później będę widziała tylko w swoich wspomnieniach. Miałam wrażenie, jakby to się nie działo naprawdę, jak wszystko, co się podoba i wydaje się snem. Nawet gdyby świeciło się światło, nie byłoby tak jak rano, było to pragnienie, które się spełniało. Wolałam wrócić do domu taksówką, a i Mateo nie nalegał, żeby mnie odwieźć.

Podczas jazdy, gdy nocne cienie pieściły moją drogę, nie potrafiłam oderwać oczu od sygnetu, który Mateo wyjął z kieszeni prochowca. Najwyraźniej pojechał do mojego domu z zamiarem podarowania mi go, ale potem, kiedy się pokłóciliśmy, odeszła mu ochota. To była kopia tej kobry, którą nosił. Ponieważ był na mnie trochę za luźny, włożyłam go na środkowy palec.

Tęskniłam za Mateem, zwłaszcza kiedy szłam odwiedzić matkę. Gdy byłam z nią, zapomniałam o nim, ale po wyjściu znów pojawiał się w mojej głowie. Oznaczał cudowne życie. Nie widziałam go już od tygodnia i nie miałam od niego żadnej wiadomości, a kiedy kuśilo mnie, żeby wybrać się do tamtego lokalu, dochodziłam do wniosku, że nie powinnam, bo to pragnienie już się spełniło i nie należało niczego robić na siłę. Jeśli życie zechce, żebyśmy się spotkali, to się spotkamy. Chciałam, żeby chociaż raz los zajął się trochę mną, a nie zawsze ja losem. W taki sam sposób, w jaki obdarzył mnie urojoną siostrą, mógł mnie obdarzyć Mateem, chociaż

wiedziała, jakimś cudem wiedziała, że Mateo nie przetrwa w moich innych wersjach życia, niezależnie od tego, jakie się okażą te, których teraz nie mogłam mieć.

18. LAURO, PARYŻ CIĘ WZYWA

Z rozrzewnieniem wspominałam tamtą zimę, kiedy to, jakby chodziło o najzwyczajniejszą rzecz na świecie, kupiłam sobie bilet na samolot do Paryża za pieniądze, które odkładałam z tego, co dawała mi Lili za pomoc w sklepie obuwniczym. Dostawałam niewiele, ale ja nie byłam ekspedientką, byłam przyszłą właścicielką firmy i byłoby absurdem, gdybym pozbawiała pieniędzy samą siebie. Zresztą nie miałam wielu wydatków. Czasem kino, czasem restauracja, czasem dyskoteka. Ubrania finansowała mi Lili i nie zważała na koszty, bo chciała, żeby jej wnuczka była dobrze ubrana zarówno w sklepie, jak i poza nim. Buty i dodatki brała stamtąd, a resztę wybierałyśmy, babcia i ja, gdy szłyśmy na zakupy. Mamę pociągało to, co hippisowskie, orientalne, etniczne, odmienne, więc nam nie towarzyszyła.

Na lotnisku czekał na mnie Pascual. Poprosił o wolne w laboratorium, żeby po mnie pojechać. Dotarcie do jego mieszkania zajęło nam aż dwie godziny, bo znajdowało się w Montreuil, dzielnicy leżącej na peryferiach. Może i było trochę daleko od centrum, ale metro było szybkie, a miasto cudowne. Bardzo mi się podobało, jak Pascual rozmawiał z ludźmi po francusku, i podobał mi się widok nas siedzących na jednym z tych tarasów w dzielnicy Le Marais kojarzącej się z cyganerią. Wyobrażałam sobie, że opuszczam własne ciało, żeby poprzyglądać się tej parze narzeczonych. On, starszy od niej, dwadzieścia osiem lat, w płaszczu z granatowego sukna i ogromnym szaliku, który owijał sobie cztery razy wokół szyi albo pozwalał, żeby mu zwisał do stóp. Z bardzo ciemną czupryną i brodą, jakby już próbował być starym uczonym. Opowiadał z entuzjazmem o życiu i o swojej pracy, równocześnie skręcając sobie papierosa. Ona czuła się bardzo dobrze, oparta o niego, z twarzą zanurzoną w szalik, wdychając zapach lawendy z wody kolońskiej, której zawsze używał Pascual. On, gdy już skończył robić skręta, obejmował ją lewym ramieniem, a prawą ręką unosił raz po raz papierosa do ust, zaciągając się głęboko.

Poznałam go na przyjęciu urodzinowym u koleżanki ze szkoły. Był bratem jej chłopaka, a ona powiedziała mi, że gdy tylko zobaczyła nas razem, wiedziała, że będziemy się świetnie rozumieli. Chciała przez to powiedzieć, że ja prawie się nie

umawiałam z chłopakami, a on z dziewczynami. Ja dlatego, że zawsze byłam z Lilí, a on dlatego, że był bardzo nieśmiały, i dlatego, że przede wszystkim przejmował się swoją przyszłością. Od razu zaczęliśmy ze sobą chodzić. Przychodził po mnie do sklepu albo ja szłam po niego na uczelnię, do czasu aż przyznano mu stypendium w Instytucie Pasteura. Byłam bardzo dumna ze wszystkiego, co robił Pascual, i z tego, że mam chłopaka, który jest naukowcem, a nie byle kim. Ani Lilí, ani mama nie robiły żadnych uwag, ale gdy wyjechał, Lilí chyba się ucieszyła. Powiedziała mi, że ja też powinnam zadbać o swoją przyszłość.

Jednak w Paryżu było zupełnie inaczej. Czułam się całkowicie wolna. Prawie nie pamiętałam o sklepie ani o swojej rodzinie, a kiedy sobie przypomiinałam, miałam wyrzuty sumienia, że tak szybko o nich zapomniałam, i wydawało mi się, że jestem potworem pozbawionym uczuć, szczęśliwym potworem. Nie przeszkadzały mi niekończące się dojazdy ani to, że mieszkanie było takie małe i ciemne, dlatego że wszystko działo się w ramach przygody, mojej przygody. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że żyjemy bardzo skromnie. Przyjaciele Pascuala obiecali poszukać mi lekcji baletu, a ja sama zaczęłam proponować swoje usługi nauczycielki w ośrodkach kultury w naszej dzielnicy. Dziwiłam się, jak łatwo jest zostawić coś za sobą, jak łatwo byłoby mi zamieszkać tutaj i nigdy nie wrócić. Zaczęłam się już nawet zastanawiać, jak zakomunikować Lilí i mamie, że zostanę na jakiś czas, żeby się nauczyć francuskiego, kiedy dostałam telefon, który przerwał najfantastyczniejszy projekt mojego życia.

Dzwoniła mama, żeby mi powiedzieć, że muszę wrócić, bo Lilí się przewróciła. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa i była w szpitalu. Mama nie mogła się zajmować sklepem i opiekować się Lilí, nie mogła radzić sobie ze wszystkim i powiedziała mi, żebym pilnie wróciła. Nie poprosiła mnie o to, rozkazała mi. Nie było alternatywy.

Gdy Pascual wrócił tamtego wieczoru do domu, zastał mnie przy pakowaniu walizki. Jeden z jego przyjaciół znalazł dla mnie w centrum lekcje po dwie godziny, trzy razy w tygodniu, a to był dopiero początek. Nie chciałam słuchać dalej, nie chciałam sobie wyobrazić swojego cudownego życia w Paryżu. Upadek Lilí pozbawił mnie przygody.

Zaledwie dwa dni później byłam z powrotem w Madrycie. Moja babcia już

wyszła ze szpitala i czekała na mnie przykuta do wózka inwalidzkiego. Przywitała mnie płaczem. Łzy spływały jej po białej twarzy, po jej okrągłej twarzy. Mnie nie zbierało się na płacz. Byłam żołnierzem, który miał spełnić swój obowiązek. Dwadzieścia dni spędzonych w Paryżu było jak całe życie, które mogłam przeżyć.

Znów zajęłam się sklepem, a mama po kilku dniach wyjechała w podróż. Powiedziała, że już dłużej nie wytrzyma, że musi się wyłączyć. Ja byłam młoda, miałam więcej siły, rozumiałam to, nie mogłam zrobić nic innego, nie mogłam być tak nieodpowiedzialna jak ona.

19. VERÓNICA ODKRYWA PRAWDĘ

Wstałam otumaniona. Zaparzyłam sobie kawę i odruchowo zrobiłam to, co zwykle robiłam rano. Ojciec już o siódmej wyszedł do pracy. Ja też zbudziłam się o tej porze, ale zamknęłam oczy, nie ruszając się i pozwalając, żeby głowa myślała tak, jakby była oddzielona od mojego ciała i mojej duszy. Odkąd María, asystentka detektywa Martunisa, powiedziała mi, że pewnego dnia elementy układanki same się do siebie dopasują i że powinnam się zajmować tylko ich zbieraniem, budziłam się z nadzieją, że wyraźnie zobaczę dziewiętnastoletnią Laurę, jej dom, jej rodzinę. Szkoda, że jeszcze mi brakowało tych elementów. Ale co będzie, jeśli nie okaże się tak inteligentna, jak zakładała María? A jeśli elementy nie zdołają się poprawnie ułożyć w moim nierozgarniętym mózgu? No i co to były za elementy? Przynajmniej poznałam już ludzi, którzy widzieli Laurę na własne oczy, kiedy była dzieckiem. Wiedziałam, że ma babcię, do której zwracano się doña Lilí, i matkę noszącą imię aktorki, no i kiedyś miałam w ręku jej zdjęcie. Zdjęcie. Zdjęcie było kluczowym elementem, chociaż na jego podstawie nie potrafiłabym rozpoznać dzisiejszej Laury. Nie mogłabym jej rozpoznać na ulicy tylko dlatego, że widziałam to zdjęcie. Mogła być bardzo wysoka i bardzo gruba albo bardzo szczupła, a włosy mogły jej pociemnieć. Nie miała w twarzy nic charakterystycznego, co pomogłoby ją zidentyfikować. Ona jednak, gdyby udało się ją odnaleźć, z pewnością rozpoznałaby się na tym zdjęciu. No i przede wszystkim to było tak, jakby się miało coś należącego do Laury, związanego z jej istnieniem, coś z jej rzeczywistości.

Dom już się wystarczająco wywietrzył, więc zamknęłam okna przed kłębowiskiem niskich, szarych chmur zapowiadających nadejście jesieni. Najpierw te w salonie, potem w kuchni, następnie w pokojach, przy czym okno u rodziców na samym końcu. Ojciec był tak miły, że zostawiał łóżko pościelone, odkąd zdecydował się stawić czoła sytuacji, wracając do sypialni małżeńskiej. Nie zaścielał go zbyt porządnie, ale zostawiał je w takim stanie, w jakim musiało się znaleźć, bo to był świat moich rodziców i tylko oni powinni go dotykać. Szafa była uchylona, więc podeszłam, żeby ją zamknąć. Włożyłam rękę do zewnętrznych i wewnętrznych

kieszeni granatowej marynarki ojca, tej, którą wkładał na specjalne okazje zaznaczone na kuchennym kalendarzu. Był to duży kalendarz, który bank dawał klientom w prezencie na Boże Narodzenie i na którym zapisywało się wizyty u lekarza, u dentysty, terminy płatności rachunków, datę odczytu licznika gazu, a także wyjścia w granatowej marynarce: kolacje z przyjaciółmi ojca, teatr, czasem musical, śluby.

Nie zdając sobie z tego sprawy, szukałam zdjęcia Laury, które pewnego dnia zniknęło z teczki z krokodylej skóry. Początkowo podejrzewałam Anę, ale potem zaczęłam nie dowierzać ojcu, bo o ile go znałam, na pewno obwiniał mętną sprawę Laury o to, co się stało jego Betty. Z pewnością nie odważyłby się podrzeć zdjęcia, moja matka nigdy by mu tego nie wybaczyła, jednak mógłby je symbolicznie ukryć, mógłby je symbolicznie usunąć z drogi mojej matki. Nigdy nie odważyłam się zadać sobie pytania, czy mój ojciec nie kocha swojej córki Laury, bądź co bądź córki takiej jak ja. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nigdy jej nie widział, że naprawdę wierzył, że nie żyje, i że nie chciał, aby coś, co poszło źle, popsuło wszystko inne. A jednak popsuło wszystko i właśnie dlatego pilnie szukałam w kieszeniach jego marynarek (od tej eleganckiej granatowej przeszłam do zwykłej brązowej i do szarej przejściowej) zdjęcia dziewczynki, która mogła być moją siostrą. Okoliczności nie pozwoliły nam być normalną rodziną, chociaż o niczym innym nie marzyliśmy. Ja nie dążyłam do tego, żeby być dziwna, jak księżniczka punk, moja matka mogła zostać autentyczną sprzedawczynią produktów dietetycznych i kosmetyków, mój ojciec może byłby właścicielem floty taksówek, a Ángel... Są ludzie, którzy starają się nie być zwyczajni, a inni, tacy jak my, oddaliby wszystko, żeby jednak być. Choćbym nawet odnalazła Laurę i Laura okazałaby się moją siostrą, a moja matka mogłaby ją przytulić, my już i tak przekroczyliśmy granice normalności. O Boże! Nie mogłam znaleźć zdjęcia. Wysunęłam szufladę komody i wyjęłam teczki z dokumentami z pracy ojca. Otworzyłam je z obawą: nie chciałam, żeby jakaś kartka wypadła mi na podłogę. Nie obejrzałam ich dokładnie, ale na pierwszy rzut oka tutaj też nie było zdjęcia. Może między chusteczkami i skarpetkami. Też nie. Zostały jeszcze inne miejsca do przeszukania. Nie mogłam sprawdzić absolutnie wszystkiego. Jeśli rzeczywiście schował zdjęcie, trudno byłoby je znaleźć. Wobec tego zrezygnowałam i postanowiłam jeszcze raz zbadać teczkę z krokodylej skóry. Rozłożyłam koc

i teczka była tam tak samo jak pierwszego dnia, kiedy zobaczyłam ją wiele lat temu, tamtego popołudnia, gdy zaczęłam rozumieć, dlaczego nie jesteśmy normalną rodziną.

Zabrałam ją na stół w jadalni. Odkąd moja matka była w szpitalu, czasami bezwiednie stawiałam tam filiżankę z kawą, a ojciec puszkę piwa, i bardzo się martwiłam, jak zdołam usunąć kółka, które zostawiliśmy na mahoniowym blacie. Moja matka chciała, żeby ten stół i krzesła do kompletu były jednymi z tych porządných mebli, które dzieci dziedziczą po rodzicach.

Rozłożyłam teczkę i potrząsnęłam nią, żeby wypadło z niej cokolwiek, co mogło się schować między zakładkami. Nic. Potem zbadalam ją sumiennie. Tajemnica zdjęcia Laury naprawdę była tajemnicą. Czułam się tak, jakbym była ślepa. Nie widziałam, jak znikalo, a jeśli gdzieś bylo, tez nie umiałam go dostrzec. Stopniowo zacierało mi się w pamięci, do tego stopnia, że zaczynałam wątpić, czy kiedykolwiek widziałam twarz Laury. Tysiąc razy zaglądałam pod stół, pod sofę, pod kredens. Może wiatr wywiał je na werandę. Szukałam również pod fotelami na werandzie. Może wyfrunęło przez okno. Poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie drugą kawę, i powoli umyłam jedną z białych filiżanek w kształcie cylindra, z których lubiłam ją pić. Nie wiedziałam, dlaczego lepiej mi smakowała z tej filiżanki. Była to mania, do której stopniowo dochodziły inne, tak jak u wszystkich dorosłych, których znałam. Z filiżanką w ręku wróciłam do stołu w jadalni i znów bezwiednie postawiłam ją na blacie. Kolejne kółko. Wytarłam je szybko rękawem bluzki i poszłam po szmatę. Tym razem katastrofa nie była totalna. Bardzo się niepokoiłam, myśląc o tym, co robimy ze stołem mojej matki. Postawiłam filiżankę na szmacie. Wszystko, co porządne, jest takie delikatne. Nie spuszczałam oka z teczki. Może mogłabym się podzielić z Mateem tym, co mnie spotkało, i on by mi pomógł. Co dwie pary oczu, to nie jedna. Nie powiedziałby o tym nikomu, nawet nie znał mojej matki. Tyle że wtedy nie mogłabym liczyć na chwilę wytchnienia, nie miałabym innego życia.

Wazon w salonie był duży, z grubego szkła i z wyjątkiem bukietu z dwóch tuzinów róż, który mój ojciec dawał mojej matce na urodziny, zawsze stał w nim jeden gigantyczny, z kwiatów z materiału we wszystkich kolorach, i cieszył oko. Przeciagnałam palcem po złożonych literach na jedwabnej podszewce jednej z klap

teczki. Zawsze zakładałam, że ktoś ją podarował mojemu ojcu, bo ani on, ani moja matka nie wydaliby pieniędzy na coś tak drogiego, co w gruncie rzeczy niczemu nie służyło. Galanteria Skórzana Valero. Zawsze to widziałam i nigdy nie przywiązywałam do tego wagi. Adres był madrycki, mieściła się przy ulicy Goi. Nie miało znaczenia, gdzie kupiono teczkę, liczyło się tylko zdjęcie. Ale może zdjęcie nie pozwoliło mi dostrzec innych rzeczy. Jeśli miałabym posłuchać Marii, asystentki Martunisa, najlepsze, co mogłam zrobić, to znaleźć elementy układanki i nie myśleć tyle, nie roztrząsać raz po raz tych rzeczy, bo to prowadziło do ich zniekształcenia. Gdybym nie wstała, myśląc o Marii, być może nie przesunęłabym ręką po etykietce teczek.

Złą stroną okłamywania matki w sprawie studiów było to, że do popołudnia, kiedy rzekomo już byłam po zajęciach, nie mogłam iść do szpitala oraz że musiałam się starać jak najmniej przeczytać samej sobie, co wymagało ode mnie niesamowitego wysiłku, bo łatwo jest oszukiwać, ale nie pamiętać wszystkie szczegóły, z których konstruuje się kłamstwo. Ci, którym udaje się uwierzyć we własne kłamstwa, popełniają znacznie mniej pomyłek. Już nie pamiętałam, czy powiedziałam jej, że mam egzamin, ani z czego miałam go zdawać. Rozumiało się samo przez się, że produkty kosmetyczne sprzedawałam po wizytach u niej, w wolnych chwilach, w przerwach między zajęciami. Ona prawdopodobnie nie chciała zdać sobie sprawy z rzeczywistości, z tego, że nie mogłam mieć czasu na wszystko, że przecież nie jeździłam samochodem, a jej klienci mieszkali daleko jedni od drugich.

Dzisiaj byłam zmęczona i chciałam załatwić dzień jedną solidną sprzedażą, dlatego zaryzykowałam wyprawę do domu Wampirzycy. Wiedziałam, że stracę połowę przedpołudnia w komunikacji miejskiej, ale się opłaci. Gdyby zostawiła sobie partię kremów z diamentami i drugą ze złotem, mogłabym wrócić do centrum taksówką. W każdym razie coś mi mówiło, że sytuacja uległa zmianie. W chwili gdy zdjęła jedwabny szlafrok, ubrała się normalnie i wyszła ze mną na ulicę, odniosłam wrażenie, jakby właśnie zerwała ze swoim światem.

Nacisnęłam dzwonek. Przy wejściu obok furtki była mozaika z numerem czternaście, która wydawała mi się już teraz znajoma. Przez mur przelewał się bluszcz

w kępkach wymagających przycięcia. Ciszę pogłębiało pewne wrażenie zaniedbania. Zadzwoiłam jeszcze kilka razy i spróbowałam dojrzeć coś przez szpary w metalowej bramie. Jest cisza i cisza, a tę było wręcz widać: w basenie, na werandzie, w oknach.

– Przepraszam, szuka pani kogoś?

Odwróciłam się speszona. Przyłapano mnie na szpiegowaniu.

– Jestem umówiona z panią z tego domu, ale nie otwierają...

To była para sześćdziesięciolatek. On miał na sobie niebieski kombinezon roboczy, ona džinsy i szarą bluzę. W ręku trzymała klucz, który włożyła do zamka. Widocznie pracowali u Wampirzycy. On pewnie się zajmował ogrodem, ona domem.

– Przyniosłam jej produkty biologiczne, które zamówiła.

– No jasne! – wykrzyknęła kobieta. – W domu ma pełno tych mazideł.

– Cóż – powiedziałam, unikając dalszej rozmowy. – Jeśli to możliwe, proszę jej powiedzieć, że byłam i że wrócę, jak tylko będę mogła. To dla mnie bardzo daleko.

– Nie przyjechałaś samochodem? – zapytał mężczyzna, rozglądając się dokoła.

Pokręciłam przecząco głową i podniosłam walizeczkę.

– Na dojazd tutaj i na powrót schodzi mi całe przedpołudnie – powiedziałam, przeczuwając, że trzeba ich wziąć na litość.

– Prawdę mówiąc, była bardzo szczęśliwa dzięki tym rzeczom. W zasadzie niewiele jej było potrzeba do szczęścia.

– Była? – zapytałam wystraszona.

– Była, jest. Nie martw się, nie umarła. Tylko że... nie wiemy, kiedy wróci. Nie jest powiedziane, że będziesz jej mogła jeszcze coś sprzedać – powiedział mężczyzna.

– Ostatnim razem podwoziła mnie mercedesem, żebym mogła załatwić kilka spraw. Jest dla mnie kimś znacznie więcej niż klientką. Jest chora? Gdzie ją mogę znaleźć?

Kobieta przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Gestem zaprosiła mnie do środka. Widok był melancholijny, jak z końca epoki. Zeschłe i zielone liście na krzesłach i na wodzie w basenie, smugi ziemi na płytkach w kolorze cielistym. Wydawało się, że od momentu, kiedy pożegnała się ze mną przez okno samochodu, do teraz minęło kilka lat ze wszystkimi porami roku.

– Nie wiemy, czy nam zapłaci, ale naszym obowiązkiem jest trochę tu posprzątać.

Nie ruszyliśmy się od wejścia. Fasada przed nami wyglądała jak porzucona dekoracja do jakiegoś filmu.

– Sąsiadom nie podoba się to, co się tu wydarzyło. Jeśli wróci, odwróć się do niej plecami – powiedziała kobieta, robiąc kilka kroków do przodu po dróżce pokrytej opadłymi liśćmi.

Ruszyłam za nią i zatrzymałam się, gdy przystanęła. Mężczyzna zaczął się przyglądać roślinom i łamać gałęzie swoimi szorstkimi palcami.

Było oczywiste, że ma ochotę opowiedzieć, co zaszło, więc nie zapytałam, nie zdradziłam się ze swoją nadmierną ciekawością.

– Jest w więzieniu Alcalá Meco. Pewnego popołudnia, kiedy wróciła samochodem, czekała na nią policja.

Całe moje ciało odgadło natychmiast, że chodzi o ten ostatni dzień, kiedy ją widziałam, o dzień, w którym towarzyszyła mi do szkoły i tak dziwnie się zachowywała. Kobieta musiała zauważyć, że zbladłam, i usadziła mnie na ławeczce pokrytej mozaikami.

– Tak – powiedziała, stojąc przede mną. – Jesteśmy bardzo poruszeni, chociaż zanosilo się na to od dawna. Ta kobieta nie miała zahamowań. Nic jej nie wystarczało.

Spojrzała na okna na piętrze.

– Widocznie zamierzała go zabić, ale tylko pozbawiła go przytomności i zostawiła z imponującą raną na głowie, a kiedy wróciła, żeby się pozbyć ciała, czekała na nią policja. On jest w szpitalu, w dość ciężkim stanie. Nie wiemy, czy są małżeństwem, chociaż przypuszczamy, że to on jest właścicielem domu. Za kilka dni pójdziemy go odwiedzić, bo nie przyszli do niego ani przyjaciele, ani rodzina, nikt.

Na pożegnanie zamierzałam jej sprezentować kilka próbek z linii kosmetyków z proszkiem perłowym, ale ponieważ nie spodobało mi się to, co powiedziała o Wampirzycy, rozmyślałam się. Tylko podziękowałam.

Już nie zamówiłam taksówki. Nie zależało mi. Ta wiadomość tak mnie wzburzyła, że potrzebowałam ruchu, musiałam się pozbyć adrenaliny. Wampirzyca była zdolna

do tego, żeby zabić, potem zabrać mnie samochodem, włączyć muzykę, czekać na mnie przez dłuższy czas, trochę popłakać, kłamać bez ładu i składu, a później wrócić do domu, gdzie miały leżeć zwłoki jej męża, czy kim był ten facet, który jej robił siniaki, żeby zastanowić się, jak usunąć ciało. Możliwe, że rozmyślała o tym, gdy czekała na mnie pod bramą szkoły. Gdy tamtego promiennego dnia paliła na słońcu, pewnie przyszło jej do głowy kilka sposobów pozbycia się nieboszczyka z domu. Mogłaby go nawet zakopać w ogrodzie. Z tego, co powiedziała pomoc domowa, on chyba nie miał wielu przyjaciół ani krewnych. Przynajmniej przez kilka godzin cieszyła się cudownym uczuciem wolności.

Chciałam pojechać do szpitala, żeby opowiedzieć o tym matce, i byłam wdzięczna Wampirzycy, że podarowała jej tę chwilę rozrywki, która pozwoli jej zapomnieć o własnych zmartwieniach i cierpieniu, tak samo jak pozwoliła zapomnieć mnie samej, dlatego że przez moment historia Wampirzycy wydawała się niemal bardziej okropna od naszej.

Matka zapisała mi, co powinnam kupić, żeby doszyć długi pasek do walizeczki i nosić ją przewieszoną przez pierś. Dzięki temu będzie mi mniej ciężka. Przymknęła oczy i powiedziała, że dostaje szału, nie mogąc stąd wyjść i kontynuować pracy. Wiele rzeczy się zmieni, począwszy od teraz, dodała, bo nie będziemy wiecznie żyli obciążeni przeszłością. Pocałowałam ją i otworzyłam walizeczkę, w której była seria produktów ze złotem i druga z diamentami oraz dwa opakowania alg nori i kilka fiolek z magnezem. Powiedziałam jej, że nie udało mi się zostawić zamówionych rzeczy w domu Wampirzycy i że pojechałam do niej rano, bo dzisiaj mam zajęcia po południu. Matka rozejrzała się trochę wystraszona po pokoju w poszukiwaniu książek. Za nic na świecie nie chciała sobie uświadomić, że ją oszukuję, nie chciała, żebym opuściła jej sen o córce idealnej.

– Dzisiaj wypadają ćwiczenia. Nawet nie muszę robić notatek. To najzabawniejsze ze wszystkiego.

Jej spojrzenie wróciło do normalnego stanu. Była gotowa przymknąć oko, jeśli tylko dostarczyło jej się odpowiednią wymówkę.

– Więc nie odebrała zamówień?

Pokręciłam przecząco głową i usiadłam obok niej na łóżku.

– Widzisz, okazuje się, że kiedy dotarłam pod dom...

– Niesamowite! – powiedziała moja matka.

Wyprostowała się trochę na łóżku. Alcalá Meco mogło być nawet gorsze od szpitala. Zabicie kogoś było najgorszą rzeczą, jaką człowiek może zrobić w życiu.

– Jak dasz radę, pojedź ją odwiedzić. Mogłabym przysiąc, że to dobra osoba i pewnie znajdzie się jakieś wytłumaczenie.

Ja też tak myślałam. Lubiłam ją bardziej od innych, którym nigdy by nie przyszło do głowy kogoś zabić. Fakt, że być może próbowała zabić swojego męża, nie przekreślał tych wspaniałych chwil, kiedy kupowała ode mnie kremy za pół miliona, ani tego, że była dla mnie miła.

Wieczorem opowiedziałam o tym także ojcu, ale nie słuchał mnie zbyt uważnie. Był roztargniony, zdenerwowany. Jadł kolację z prawdziwym zapamiętaniem, aż musiałam mu powiedzieć, żeby przestał, jeśli chce, żebyśmy mieli co włożyć do ust przez resztę tygodnia.

Zapytałam go o Anę. Ostatnio to on się z nią widywał, bo przychodzili o tej samej porze do szpitala, albo dlatego, że się spotykali, żeby mój ojciec się rozerwał, bo ona była najlepszą przyjaciółką mojej matki, albo... Zastanawiałam się, czy nie zakochał się w Anie – podczas gdy jego żona była chora – traktując to jako psychiczną ucieczkę od sytuacji. Ale gdyby tak było, nie objadałby się w ten sposób. Czy nie mówi się, że miłość odbiera apetyt? Może chodziło o zmartwienia w pracy albo o sytuację samą w sobie, która była przecież przytłaczająca i bolesna. Ja przynajmniej szukałam swojej siostry.

– Ana? Zjawi się prędzej czy później – powiedział, upijając łyk z kieliszka wina z jednej z tych butelek, które nam przynosiła.

Przestaliśmy się krygować. Byliśmy w takiej sytuacji, w jakiej byliśmy, i robiliśmy, co się dało, żeby nie znaleźć się w gorszej i móc trzymać fason.

– Słuchaj, tato, kto ci podarował tę teczkę z krokodylej skóry? Musiała kosztować kupę forsy.

– Betty. Pewnego dnia zjawiała się w domu dość zmieszana i z tą teczką. Nie były

to nawet moje urodziny. Nie było żadnej okazji. Zostawiła ją tutaj, a ja bardzo jej podziękowałem, ale nie chcę wozić w taksówce czegoś tak porządnego i tak drogiego. Jeśli ci się podoba, możesz jej używać.

Podarowała mu ją mniej więcej siedem lat temu. Było to w zimie, pod koniec stycznia. Pewnie skorzystała z przeceny. Zresztą, co za różnica.

Tego dnia rano nie zamierzałam próbować nic sprzedać. Na automatycznej sekretarce dwóch klientów zostawiło kilka intratnych zamówień, w rodzaju tych, przy których moja matka zwykle zacierała ręce. Poza tym dzwonili do niej z firmy, dla której pracowała. Uznałam, że wystarczy, jak poproszę ją o instrukcje po południu, bo teraz postanowiłam się wybrać na zakupy. Nie ma to jak wstać rano z jakimś celem, choćby nieistotnym, i wypaść z domu w poszukiwaniu odpowiedzi. Nie ma to jak czuć, że życie ci pomoże. Dzieci idą do szkoły, rodzice do pracy, ludzie jadą samochodami, idą, kupują, rozmawiają, śnią na jawie albo kogoś zabijają, jak Wampirzyca, byleby się nie zatrzymywać. Na sekretarce były też trzy wiadomości od moich najlepszych przyjaciółek. Chciały się ze mną zobaczyć i opowiedzieć mi, jak im idzie na uniwersytecie. Marga, Carmen i Rosana. Wiodły cudowne życie, co można było poznać po ich głosie. Wszystkie trzy miały ochotę porozmawiać, wszystkie trzy mówiły, że za mną tęsknią. Dwie z nich zaczęły studiować prawo, trzecia dziennikarstwo. Jedna nadal chodziła z chłopakiem z liceum, a pozostałe to rozumiały. Byłyby zachwycone, gdybym im opowiedziała o swojej przygodzie z Mateem, o spotkaniu w metrze, motorze, nocy, pocałunkach, mieszkaniu Tyczki i o nas w jego łóżku. Nie chciałam jednak sprawiać fałszywego wrażenia, że jestem szczęśliwa. Moje życie nie było romantyczne, nie chciałam również, żeby już się dowiedziały o chorobie mojej matki ani o tym, że mam urojoną siostrę, bo nic by mi z tego nie przyszło. Nie mogłyby mi pomóc, a poza tym straciłabym przez nie czas. One i ja żyłyśmy w równoległych rzeczywistościach i chwilowo nie byłam w stanie wrócić do ich świata.

Pojechałam autobusem, który zawiózł mnie z Mirasierry do Moncloa, a potem metrem na ulicę Goi. W sumie zajęło mi to prawie godzinę. Któż nie czułby ogromnej ciekawości, żeby dowiedzieć się, dlaczego jego matka, która była najbardziej

oszczędną kobietą na świecie, pozwoliła sobie na tak przesadny wydatek, kupując teczkę z prawdziwej skóry krokodyla? Jeśli chciała mieć coś luksusowego, co moglibyśmy kiedyś odziedziczyć, byłoby rzeczą normalną, gdyby wybrała torebkę, z którą mogłaby się pokazywać przy tych okazjach, kiedy mój ojciec wkładał granatową marynarkę. Za takie pieniądze mogła podarować tacie kilka garniturów i markowych krawatów. Każdemu przysłoby do głowy tysiąc bardziej pożytecznych i ładniejszych rzeczy.

To prawda, że kiedy było tam zdjęcie Laury, teczka nie miała żadnego znaczenia. Teraz natomiast zmieniła się w tajemnicę. Odkąd wpadłam do świata tajemnic, wszystko było tajemnicze, wszystko oznaczało coś innego. I choćbym próbowała nie myśleć, jak mi poradziła Maria, nagle odzywał się gdzieś tutaj alarm, a gdzie indziej następny. Teczka wysyłała sygnał alarmowy. Galanteria Skórzana Valero była eleganckim sklepem. Wystawa skręcała za róg, a najtańsza para butów kosztowała ponad pięćdziesiąt tysięcy peset. Sklep dawał poczucie wysokiej jakości i klasy. Ana, ta od psa, z pewnością robiła zakupy w miejscach takich jak to. Moja matka zadawała się butami za mniej niż połowę; nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do wyglądu. Ja byłam bardziej lekkomyślna i od razu moją uwagę zwróciły botki z wężowej skóry na wystawie. Były to najpiękniejsze buty, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyglądały, jakby zrobiono je specjalnie dla mnie. Nie podano ceny, co było pewnie sposobem, żeby skłaniać ludzi do wejścia i zapytania. W każdym razie wiedziałam, że niezależnie od tego, ile kosztowały, nie było mnie na nie stać.

Pchnęłam ciężkie szklane drzwi z naklejkami MasterCard i American Express, żeby sprawdzić, dlaczego pewnego dnia weszła tu moja matka, tak jak ja teraz. W sklepie były wszelkiego rodzaju dodatki skórzane, a także walizki i torby podróżne. Chuda kobieta w długiej spódnicy, z szerokim brązowym paskiem, który bardzo stylowo opadał jej na spódnicę na wysokości bioder, słuchała klientki ze znudzoną miną. Gestykulowała powoli kościstymi rękami, zachęcając ją, żeby poszukała wokół siebie czegoś, co jej się spodoba, i już nie zwracała głowy. Była bardzo śniada, jakby miała w domu plażę, i najwyraźniej nie zamierzała rezygnować z noszenia długich czerwonych włosów, mimo że ani włosy, ani ona nie miały już dwudziestu lat, ani trzydziestu, ani czterdziestu, ani pięćdziesięciu.

Za ladą dziewczyna o jasnokasztanowych włosach z blond kosmykami przeglądała jakieś dokumenty. Była mniej więcej w moim wieku, może starsza, bo ja zawsze wyglądałam na trzy lata więcej, niż rzeczywiście miałam. Podeszłam do niej i opisałam teczkę z krokodylej skóry, którą podarowano mojemu ojcu kilka lat temu, ale się zniszczyła. Powiedziałam jej, że chcę kupić drugą taką samą. Oczy dziewczyny były jasne, ni to niebieskie, ni to szare, wargi dość grube, nos prosty, a twarz pełna, nieco zaokrąglona, chociaż sylwetkę miała bardzo szczupłą.

Wyszła z za lady. Ubierała się raczej klasycznie, w tonacji musztardowej. Spódnica do kolan, długi rozpinany sweter, szpilki, które nadawały kształt jej łydkom i jedwabna apaszka Loewe na szyi. Sprawiała wrażenie, jakby się przebrała za kogoś starszego.

– Mamo! – zwróciła się do kobiety przebranej za młodą dziewczynę. – Pamiętasz teczkę z krokodylej skóry, które mieliśmy kilka lat temu?...

– Idę się napić kawy – stwierdziła matka w odpowiedzi.

– Przykro mi, kilka lat temu chodziłam jeszcze do szkoły i rzadko zaglądałam do sklepu. Mogłabym zapytać swojej babci. Ona – powiedziała z uśmiechem – nie zapomina absolutnie niczego, panuje nad wszystkim.

Czyżby elementy układanki zaczynały do siebie pasować? Zamurowało mnie do tego stopnia, że dziewczyna przestała się mną interesować i podeszła do innych klientów, zostawiając po sobie bardzo przyjemny zapach. Babcia, córka i wnuczka, bardzo ze sobą żyte. Nie było w tym nic dziwnego, że miała babcię, ja też miałam, ale nie tworzyłyśmy wspólnoty.

Przez jakiś czas obserwowałam ją z zewnątrz, przez okno wystawowe, przenikając półki z butami i niesamowitymi torebkami, połysk skóry i złożonych nitów. Czy to mogła być ona? Słońce grzało mnie w plecy. Osłabiało mnie, rozleniwiło. Boże święty! Gdyby to była Laura, mama już dawno by o tym wiedziała. Bądź co bądź ja szłam po jej śladach i odkrywałam to, co ona odkryła już wcześniej. Zaczęłam iść na północ bez określonego celu. Minęłam pub połączony z kawiarnią, w którym można było dostrzec kobietę przebraną za młodą dziewczynę. Unosiła powoli filiżankę do ust i rozmawiała z kelnerem.

Nie wiedziałam, co mam zrobić z tym, co, zdaje się, odkryłam. To mogła być ona i jeśli to rzeczywiście była ona, nie musiałam już szukać aktów zgonu ani wypytywać na cmentarzu. Gdyby to była ona, oznaczałoby to, że wykonałam astronomiczny skok w stronę prawdy. Prawie jakbym pofrunęła z domu na ulicę Goi, jakby kilka aniołów albo orłów przeniosło mnie na swoich skrzydłach do sklepu z galanterią skórzaną. Gdybym się wcześniej przyjrzała samej teczce i zastanowiła się nad sensem pojawienia się u nas tego przedmiotu niepasującego do naszego domu, zaoszczędziłabym sobie wielu przejazdów. Ja jednak widywałam ten przedmiot, przeniesiony z planety udręki mojej matki, odkąd miałam dziesięć lat. Świadomość, że jest schowany pod kocem, była czymś tak zwyczajnym jak widok szkatułki z biżuterią na komodzie lub kwiatów z materiału w łazience. Tak zwyczajnym jak widok morza z plaży. Tak zwyczajnym jak samochody przejeżdżające ulicą czy słońce wschodzące o świcie. Jednak moja matka musiała przejść męki, zanim znalazła ten sklep i być może ostateczny trop. Gdy na niego natrafiła, pewnie tak się zdenerwowała, że kupiła teczkę, żeby cokolwiek kupić, żeby móc zostać tyle czasu, ile chciała, żeby móc porozmawiać. W tamtym momencie było jej zapewne wszystko jedno i pieniądze nie miały dla niej znaczenia. W każdym razie trzeba było wziąć pod uwagę, że droga, którą szłam, była tą samą drogą, którą wcześniej przeszła moja matka, i że kierowałam się jej wskazówkami. Wobec tego jeśli ona się pomyliła, ja również się myliłam.

Pytanie, czy miałam postawić wszystko na tę kartę. Sklep był najpewniejszą kartą i nie mogłam się doczekać wieczoru, żeby porozmawiać z ojcem, dlatego zawróciłam do metra i pojechałam w kierunku restauracji, o której często opowiadał, bo miała nadzwyczajny jadłospis obiadowy. Chociaż żołądek skurczył mi się z emocji i nie przełknęłabym nawet łyżki zupy, chętnie pozwoliłabym mu się zaprosić na obiad.

Taksówka stała zaparkowana przed wejściem. Było to audi. Jeśli nie pracował, zostawiał ją z otwartymi drzwiami w garażu, żeby wyschła tapicerka i dywaniki, bo nie znosił żadnych plam ani nieprzyjemnego zapachu. Była raczej zbroją niż samochodem i teraz, gdy zobaczyłam ją na ulicy, tak błyszcząca, ucieszyłam się, że nie jechałam na darmo.

To była jedna z tych restauracji, do których wchodzi się z przyjemnością. Miała

małe drewniane drzwi i kartę umieszczoną w niszy pomalowanej na zielono. Byłam spokojniejsza, wiedząc, że tato dobrze się odżywia i nie rezygnuje ze swoich zwyczajów. Im mniej zdeorganizowalibyśmy sobie życie, tym szybciej moglibyśmy je odtworzyć.

Obchodziło się ladę, za którą widać było białe czepki kucharek, żeby wejść do bardzo miłej sali jadalnej z nielicznymi stolikami. Przy żadnym z nich nie było mojego ojca, a ja byłam tak zaabsorbowana szukaniem go, że dopiero po kilku sekundach dostrzegłam siedzącą pod ścianą Anę. Studiowała kartę z wielką powagą, trzymając ją między złotymi pierścionkami. Nosila po jednym na każdym małym i serdecznym palcu. Inne dłonie byłyby przeciążone, ale jej znosiły wszystko i nie traciły swej gołębiej lekkości.

Miałam dwie możliwości: podejść albo czym prędzej wyjść. Czułam się skrupowana tym, że mój ojciec i Ana umawiają się na obiad w tak przytulnej restauracji, podczas gdy jego żona, a jej przyjaciółka leży w szpitalu. Oni też czuliby się bardzo skrupowani, gdybym pojawiła się niespodziewanie. Nikt nie uwierzyłby, że to przypadek, że nie miałam żadnego interesu, zaskakując ich. Ja też nie uwierzyłabym, że spotkali się niechcący. Gdybym wyszła, do wątpliwości, które już miałam, doszłyby kolejne i zrobiłoby się ich za dużo.

Kelner przebiegł koło mnie z tacą pełną szklanek. Z pewnością ojciec chciał z kimś porozmawiać o ciężkim stanie mojej matki, nie musząc martwić swoich dzieci. Ale i tak nie mogłam się zdecydować, żeby podejść. Posuwałam się stopniowo, drobnymi kroczkami, aż znalazłam się w rogu. Mój ojciec wrócił do stolika i przeciągnął dłońmi po włosach tym tak typowym dla siebie gestem po umyciu rąk. Ona rozpromieniła się i wstała, również kierując się do toalety, z pustymi rękami. Wtedy automatycznie ruszyłam naprzód. Ojciec patrzył z otwartymi ustami, jak siadam na miejscu Any.

– Tato, musimy porozmawiać – powiedziałam, otwierając przed jego nosem torebkę Any.

Ojciec usiłował zrozumieć, co robię. Szukałam zdjęcia Laury. Jeżeli faktycznie je ukradła, mogło być w torebce.

– Natychmiast to zostaw – powiedział.

Od czasu do czasu podnosiłam wzrok, zerkając w kierunku toalet. Wiedziałam, że gdyby mnie przyłapała, byłoby okropnie. Zaryzykowałam do granic możliwości, przetrząsnęłam torebkę najdokładniej, jak mogłam, i odłożyłam. Podniosłam się automatycznie.

– Porozmawiamy dziś wieczorem. Nic nie mów Anie – powiedziałam i wybiegłam.

Przystanąłam w rogu, widząc, że wychodzi z toalety, wraca do stolika i przesuwa ręką po ramieniu mojego ojca. Ojciec popatrzył na jej rękę, nie wiedząc, co ma o tym myśleć. Był powolny we wszystkim. Potem usiadła i przełożyła torebkę, wieszając ją na oparciu krzesła dokładnie tak, jak to zrobiła wcześniej, przez co nabrałam wątpliwości, czy przypadkiem mnie nie obserwowała.

Wieczorem, jak można się było spodziewać, ojciec otworzył drzwi i zdjął marynarkę z dość poważną miną. Rozmroziłam cannelloni, które zostało z tego dnia, kiedy rzuciłam się do gotowania, żeby nie myśleć o Mateo. Gdy nakrywałam do stołu, otworzył sobie piwo. Każde z nas czekało, aż to drugie przełamie lody.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że spotkam tam Anę.

Ojciec nie odpowiedział. Pociągnął następny łyk.

– Musiałam z tobą pilnie porozmawiać o tym, co odkryłam, i przypomniałam sobie restaurację, w której lubisz jeść obiad.

Słuchał mnie tak nieuważnie jak dźwięków radia grającego w tle.

– I poczułam ulgę, kiedy nie znalazłam w jej torebce zdjęcia Laury, którego brakuje w teczce z krokodylej skóry.

Po raz pierwszy popatrzył wprost na mnie. Był nie tyle poważny, ile smutny.

– Odsyłają mamę do domu. Lekarze poinformowali mnie o tym dzisiaj – powiedział.

Upuściłam sztućce na stół. Zabrzmiało to jak kataklizm.

– Uważają, że operacja byłaby niewskazana. Nie mają odwagi. Przynajmniej tu będzie w swoim domu, z nami.

Skinęłam głową. Miałam w gardle pestkę brzoskwini. Gdybym nie płakała,

pękłyby mi oczy. Odwróciłam się do mikrofalówki i pozwoliłam, żeby popłynęło kilka łez i odciążyło jezioro łez, które przeleje się, kiedy będę sama.

– Ana mówi, że mógłby ją zbadać ktoś jeszcze. Ona zna mnóstwo ludzi. Załatwi parę spraw i zadzwoni do mnie.

Ojciec zabrał się do dzielenia cannelloni.

– Na pewno nic nie jadłaś – powiedział, nakładając mi większą część.

Nie mogłam zaprotestować, nie mogłam mówić. Przełknęłam jakoś kilka kęsów, które musiały walczyć z pestką brzoskwini.

– Damy sobie radę – powiedział. – Betty jest bardzo silna.

Wcześniej była silna, teraz już nie. Teraz była przeźroczysta i nie wiedziałam, czy będę umiała się nią dobrze opiekować.

– Jak tylko znajdzie się we własnym łóżku, zacznie nabierać otuchy.

Musiałam pójść do łazienki, wysikać się i kilka razy głęboko odetchnąć, żeby wrócić i móc zapytać bardzo powoli:

– Czy mama wie, że zrezygnowali z operowania jej?

– Lekarze i ja powiedzieliśmy jej, że spróbują innego sposobu leczenia, w domu.

– I co?

– Powiedziała, że ja muszę pracować, a ty nie możesz stracić roku, i że musimy coś wymyślić.

Spuścił nisko głowę, jakby mu przeszkadzała.

– Powiem jej, że przeniosłam się do innej grupy i że koledzy pożyczają mi notatki.

– Dobrze – powiedział.

Wyszorowałam pokój z góry na dół. Umyłam szafy w środku, tapety, okna, lampy i zmieniłam pościel na taką, która najbardziej jej się podobała. Wyjęłam jej ulubioną koszulę nocną i dokupiłam najróżniejsze kwiaty. Mogła jeść wszystko w pewnych granicach, więc opracowałam listę z jadłospisem na każdy dzień, chociaż podejrzewałam, że nie będzie łatwo nakłonić ją do jedzenia. Przywieźli ją karetką i zanieśli na noszach wprost do łóżka. Założyli jej kroplówkę z lekarstwem i pokazali

mi, jak je zmieniać. Wszyscy odgrywali radosne przedstawienie.

– Ale masz córkę, Betty, miło popatrzeć.

– Tym młodym nie trzeba nic wyjaśniać. Wszystko łapią w mig.

– Teraz, z córką, będzie ci cudownie, Betty, nie to co z takimi czarownicami jak my.

I dalej w tym stylu.

Byłam gotowa błagać ich na kolanach, żeby nie odchodzili, żeby zostali na zawsze, podtrzymując nas na duchu dzień i noc.

Kupiłam jej także tony wszelkiego rodzaju czasopism: o modzie, dekoracji wnętrz, ogrodnictwie, plotkarskich. Zainstalowaliśmy telewizor naprzeciwko łóżka, więc po obiedzie kładłam się koło niej i oglądałyśmy razem wiadomości, a potem szłam do pracy, chociaż ona sądziła, że mam zajęcia. Ojciec zaczął pracować na pół etatu, więc się zmienialiśmy. Kilka razy pojechał na nocną zmianę, żeby podreperować finanse i – mnie nie mógł zmylić – żeby zagłuszyć myśli. Ja mniej więcej z tego samego powodu codziennie po południu wychodziłam do pracy i ciągle chodziłam na targ. Każda nowość była mile widziana, dlatego byliśmy wdzięczni Anie, że po tym jak przeszukałam jej torebkę, nie obraziła się i przychodziła odwiedzać mamę, bo coś mi mówiło – w głębi duszy wiedziałam – że Ana widziała mnie w restauracji: zbyt długo nie wychodziła, zważywszy, że nawet nie umalowała sobie ust, i wróciła natychmiast, gdy ja odeszłam od stolika. Oczywiście nic nie powiedziałyby mojemu ojcu, nie chciałyby go wprawiać w zakłopotanie ani kojarzyć mu się z czymś nieprzyjemnym. Ana chciała, żeby ją lubił, i być może chciała mu się podobać nie tylko jako przyjaciółka Betty. Teraz jednak mój ojciec nie zdawał sobie z niczego sprawy, był przygnębiony i czuł się ofiarą losu. Oczekiwał od Any tylko tego, żeby przysłała z dobrymi wiadomościami od swoich znajomych. Jeszcze miał nadzieję, że pojawi się jakiś lekarz, który w cudowny sposób dojrzy szansę dla jego żony.

Po południu piątego dnia pobytu w domu, kiedy miałam zamiar się położyć, żeby obejrzeć z mamą dziennik, wyprostowała się na łóżku na tyle, na ile mogła, i poprosiła mnie o coś, o co, jak się obawiałam, w jakimś momencie miała mnie

poprosić.

– Verónico – powiedziała, wskazując na szafę. – Na ostatniej półce leży złożony jasnoniebieski kocyk z czasów, kiedy byłaś małą. Wyjmij go, tylko ostrożnie, bo w środku jest teczka z krokodylej skóry. Przynies mi ją.

Jeśli kiedyś zostałamby matką, postarałabym się nie być tak ślepa wobec swoich dzieci. Postarałabym się przypomnieć sobie tę chwilę i wszystkie te lata, podczas których wiedziałam o istnieniu zdjęcia Laury. Nie mogłam pozwolić, żeby dowiedziała się o zniknięciu zdjęcia, więc powiedziałam jej, że teraz nie mam czasu.

– Zdejmę ją po powrocie. Teraz masz wszystkie te czasopisma i powieści – powiedziałam.

Problem był z ojcem. Gdyby poprosiła go o teczkę, nawet by sobie nie przypomniał, że nie ma w niej zdjęcia. Nie przywiązywał wagi do tej sprawy, zawadzała mu.

– Wiesz co? – powiedziała mama z większym ożywieniem. – Nie chcę, żebyś ją zdejmowała, ani teraz, ani nigdy. Chcę przestać spłacać dług wobec przeszłości. Myślę, że czasami żyłam tylko po to, żeby płacić i płacić.

Uśmiechnęła się, włożyła okulary do czytania, wzięła do ręki *Annę Kareninę* i poprawiła się na poduszce.

– Będzie ci wygodnie do przyjścia taty? Powinien wrócić najdalej za dziesięć minut.

Dała mi znak ręką, żebym szła, i westchnęła.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy opuszczać żadnych zajęć. Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała.

Rzeczywiście tak się czuła; mówiła prawdę, rzeczywiście była szczęśliwa. Musiała się otrząsnąć, pozbyć się poczucia winy i bezsilności, żeby życie stało się takie, jakie być powinno, a choroba jej w tym pomogła.

Ja również wyszłam na ulicę szczęśliwa. Prawdziwa Betty była właśnie taka. Gdyby Laurze nie przytrafiło się nic dziwnego, mama zawsze byłaby taka. Troskliwa, zadowolona i powiedziałabym, że bardziej zamyślona, bardziej rozmarzona. I co ja teraz miałam zrobić, skoro już postawiłam stopę w świecie Laury, gdy tymczasem

moja matka chciała przestać, jak to nazwała, spłacać dług wobec przeszłości? Miałam o wszystkim zapomnieć?

W dniu spotkania w restauracji, kiedy po powrocie do domu ojciec poinformował mnie, że lekarze nie wiedzą, co zrobić z mamą, wszystko, co wiązało się z Laurą: zuchwałe przeszukanie torebki Any, bieganie tu i tam w poszukiwaniu zjawy, wydało mi się szaleństwem i głupotą, stratą czasu i utratą rozsądku.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co zrobić z czasem. W zeszłym roku chodziłam do liceum, a poza tym siedziałam w domu albo spotykałam się z przyjaciółkami. Teraz ściany mojego świata runęły i byłam wdzięczna, że moja matka jest już w domu, bo przynajmniej jedna ściana nadal stała. Gdy układałam produkty kosmetyczne w walizeczce, zadzwonił telefon. Nie rzuciłam się biegiem, żeby odebrać, bo nie mogła to być żadna zła wiadomość: mama była tutaj. Dlatego odezwałam się normalnym głosem, gdyż cały strach był wewnątrz domu, nie na zewnątrz. Nic, co pochodziło z zewnątrz, nie mogło mnie wystraszyć ani zranić.

Musiałam się trochę postarać, żeby dopasować Matea do swojej nowej sytuacji.

– Dzwonię z baru naprzeciwko. Mogę przyjść? Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie – powiedziałam szorstko. – Już idę.

Skończyłam porządkować walizeczkę i wyszłam.

Był taki jak zawsze, z tą różnicą, że zrobił sobie tatuaż na szyi. Powiedziałam mu, że wolałabym wyjechać ze swojej dzielnicy, więc wsiedliśmy na motor. Obejmowałam go, ale nie potrafiłam mu przekazać wszystkich swoich myśli, swoich pragnień, całej swojej romantyczności. Nie mogłam być całkowicie romantyczna, podobnie jak moja matka nie mogła być do tej pory całkowicie szczęśliwa.

Doszyłam do walizeczki długi pasek i zawiesiłam ją sobie na piersi, dlatego gdy pocałował mnie po zejściu z motoru, nasze ciała nie mogły się zetknąć. Zaparkował na tym małym placu z naszej pierwszej nocy, co chyba miało jakieś znaczenie. Było chłodno, więc poszukaliśmy miejsca w słońcu.

– Chcesz, żebyśmy poszli na kawę?

Pokręciłam przecząco głową. Lepiej było rozmawiać, nie mając niczego w rękach: ani filiżanek, ani papierowych serwetek, które można by mieć w razie

zdenerwowania.

– Żenię się.

– Aha – powiedziałam, dając niechęć do zrozumienia, że to zawsze było dla mnie oczywiste.

– Okazuje się, że Patricia jest w ciąży.

– Więc jednak to była prawda...

– Nie, wtedy to nie była prawda, ale teraz jest.

Jeśli była na tym świecie jakaś osoba z jasno wyznaczonym celem, była nią Patricia.

– Cóż, wygląda na to, że bardzo cię kocha. Gratuluję. Gdzie umieścicie przyczepę kempingową?

– Żadnej przyczepy, jej rodzice odstępują nam dom na wsi, z psami i koniem. Będziemy mogli robić próby dzień i noc, a ty będziesz mogła przyjechać, jeśli zechcesz.

Zdjął rękawicę i pogłaskał mnie po twarzy. Przytrzymałam przez chwilę jego rękę, a potem ją odsunęłam. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością. Mateo dał mi moje własne życie, moje własne uczucia. Był prezentem, który podarowało mi metro tamtego wieczoru, gdy jechałam w poszukiwaniu nierozliczonej przeszłości swojej matki.

– Będę to miała na uwadze. Teraz chciałabym, żebyś mnie zawiózł w jedno miejsce.

Definitywne zerwanie ze mną okazało się tak mało dramatyczne, tak przyjemne, wręcz piękne, że nie robił trudności. zaproponował nawet, że zaczeka i odwiezie mnie z powrotem.

W Alcalá Meco zobaczenie się z Wampirzycą okazało się bardzo skomplikowane, ale w końcu mi się udało, bo przyszłam w porze odwiedzin.

Prawie jej nie poznałam. Szła w moją stronę w tanich dżinsach, adidasach i niewyprasowanej koszuli, z włosami związanymi w koński ogon starą różową gumką. Na mój widok zamarła na kilka sekund. Jej też trudno mnie było rozpoznać

w tym miejscu. Spuściła głowę zawstydzona i usiadła. Żeby przełamać lody, powiedziałam jej, że przywiózł mnie chłopak, który podobał mi się jak żaden do tej pory, ale żeni się z inną. A ponieważ miał wyrzuty sumienia, że wystawił mnie do wiatru, wykorzystałam okazję i poprosiłam go, żeby przywiózł mnie tutaj na motorze. Odpęrzyła się i zaśmiała, chyba trochę przesadnie.

– Tym gorzej dla tej innej. Jesteś za młoda, żeby się z kimkolwiek wiązać, wierz mi.

Nie powiedziałam jej, żeby nie palnąć gafy, że bez jedwabnego szlafroka, bez tej tak gładkiej fryzury, bez francuskiego manicure i butów na obcasie wygląda znacznie ładniej i wydaje się młodsza. Opuchnięte dłonie przywodziły na myśl zmywanie naczyń w zimnej wodzie.

– Żałuję, że się dowiedziałaś, ale cieszę się, że przyszłaś.

– Ogrodnicy opiekują się domem. Pojechałam pokazać ci nową linię produktów i powiedzieli mi, że tu jesteś.

– Nienawidzę tego domu. Nigdy tam nie wrócę. Wolę zostać tutaj.

Popatrzyła na swoje ręce i przykryła jedną dłoń drugą. Mogłabym się wszystkiego w życiu spodziewać, ale nie tego, że zobaczę Wampirzycę z takimi rękami i tak zniszczonymi paznokciami.

– On... mężczyzna, którego ty... jest w szpitalu. Ogrodnicy zamierzają go odwiedzić.

Nie zmieniła wyrazu twarzy, jej spojrzenie też się nie zmieniło, a źrenice nadal były wielkości główki od szpilki. W stanie naturalnym miała oczy mniejsze, niż przypuszczałam, lśniące od nieustannego płaczu.

– Są rzeczy, o których nie powinnaś wiedzieć ani ich żałować. Zapomnij o tym wszystkim. To nie twoja sprawa.

– Moja matka mi powiedziała, żebym pojechała cię odwiedzić, bo może czegoś potrzebujesz.

– Więc twoja matka też wie?

Była przygnębiona, ale się opanowała.

– Interesują mnie produkty z tej nowej linii. Przyniosłaś je? Nie pozwolili mi

zabrać nawet kremów – powiedziała, kręcąc ze smutkiem głową. – Chciałabym też coś podarować dziewczynom. Zostaw funkcjonariuszce o imieniu Bea wszystko, co nosisz w tej walizeczce, którą zawsze taszczysz ze sobą, i podaj mi swój numer konta. Zlecę, żeby zrobili ci przelew.

Zaufałam jej i odszukałam Beę, niską kobietę o złośliwym wyrazie twarzy. Nie zdziwiła się, słysząc o tym zleceniu. Zostawiłam jej trzy komplety z nowej linii o wartości trzystu tysięcy peset. Zakładałam, że będzie mogła mi zapłacić, ale jeśli nie będzie mogła? Z więzieniem jest tak, że gdy zaczynasz wychodzić z krat i w pewnym momencie znajdziesz się na zewnątrz, cholernie trudno jest wejść ponownie. Już nie mogłam się cofnąć. Jednak musiałam zaufać Wampirzycy i Bei.

Mateo czekał na mnie przed zakładem karnym, paląc jointa. Najwyraźniej podniecało go, że robił to w pobliżu takiego miejsca.

Przydeptał niedopałek butem i ruszyliśmy. Była to prawdopodobnie moja ostatnia przejażdżka z nim, pewnie po raz ostatni jechałam przytulona do jego pleców, ale nie umiałam myśleć o niczym innym, tylko o trzystu tysiącach peset. To był kompletny absurd przyjechać do więzienia, żeby sprzedać kremy Wampirzycy. Jeszcze większym absurdem było to, że ona się zgodziła.

Powstrzymałam się od opowiedzenia czegokolwiek mamie, bo wówczas spytałaby mnie o zajęcia, a nie miałam ochoty jeszcze bardziej się plątać. Zamierzałam zostawić to na następny dzień, na sobotę. Rozerwiemy się wtedy, zastanawiając się nad życiem Wampirzycy. Zasnęłam, myśląc o Mateo w domu w stylu szalasu, z końmi i psami, które okazały się tak niezbędne dla niego i Księżniczki.

Początek weekendu zawsze był w naszym domu dość wesoły. Byłam wściekła na myśl, jak ogromnie szczęśliwi mogliśmy być bez ducha Laury. Mój ojciec był skromnym człowiekiem i cieszył się byle czym, choćby powietrzem, którym oddychał. Świetnie się bawił, przygotowując w soboty ogromne śniadanie i wywracając przy okazji kuchnię do góry nogami, a potem wprowadzając jeszcze większy chaos, kiedy próbował ją posprzątać. Później wyjmował skrzynkę z pastami

do butów i szczotkami, ustawiał buty w rzędzie, nawet te, których już nie nosiliśmy, i czyścił je, aż lśniły jak lakierowane.

Przygotowywał bardzo chrupiący boczek, smażone jajka, grzanki z masłem, kawę, gorącą czekoladę, tosty, frytki i sok pomarańczowy. Włączał muzykę i otwierał okna, żeby wypuścić dym i wpuścić ćwierkanie ptaków, wrzaski dzieci, zgiełk samochodów, życia. Nawet kolacja wigilijna nie mogła się równać z tymi śniadaniem.

Ojciec przyszykował mojej matce fotel z uszami, który był bardzo wygodny. Ułożył poduszki i postawił stołeczek, żeby wyciągnęła sobie nogi. Dzięki temu, kiedy się zmęczyła, mogła siedzieć, patrząc na ulicę. Teraz posiłki robiliśmy tam, na stole z piecykiem, żeby nie niszczyć stołu z mahoni. Była zachwycona swoimi meblami, swoim domem i nie zamieniłaby go nawet na pałac.

Po zjedzeniu śniadania i pozbieraniu ze stołu pomogłam matce doprowadzić się do porządku i popędziłam do sklepu obuwniczego. Koło dwunastej już tam byłam. To był chyba najlepszy moment, żeby zobaczyć domniemaną Laurę, bo przecież każda normalna dziewczyna chciałaby mieć wolne popołudnie. Na szczęście było na tyle dużo klientów, że nie rzucałam się w oczy. Kilku Japończyków kupowało torebki, tak drogie, że leżały w gablotce zamykanej na klucz, dla swoich żon, które czekały na nich w Japonii. Były też studentki ze Stanów Zjednoczonych szukające najtańszych artykułów. Córka zajmowała się dziewczętami, a matka Japończykami, co było łatwizną.

Matka miała na sobie wysokie postarzone brązowe buty i długą spódnicę podobną do tej z poprzedniego dnia, ale jasnoniebieską, oraz brązowy pulower z bardzo delikatnej wełny. Córka była ubrana mniej więcej tak jak ostatnio i miała bardzo eleganckie buty na wysokim obcasie. Amerykanki chciały przymierzyć takie same jak jej. Ja snułam się po sklepie, przysięgając sobie, że nigdy nie ulegnę pokusie, żeby przebrać się za bogatą kobietę. Córka wymawiała słowa, wydając dźwięki tak perfekcyjne jak artykuły, które ją otaczały. Miała miły, dźwięczny głos jak dziewczyny w moim wieku, które nigdy nie paliły, nie piły ani nie krzyczały. Mnie struny głosowe stwardniały od głośnych rozmów na dyskotekach. Ani moje przyjaciółki, ani ja nie umiałyśmy mówić cicho. Miałam za sobą okres przekleństw,

miałam za sobą okres, kiedy musiałam przekrzykiwać bandę dzikusów, kiedy spotykaliśmy się w parku, okres, kiedy nie przestawałam palić ciemnego tytoniu i jointów oraz pić. To należało już do przeszłości, ale na pamiątkę został mi niski, nieco ochrypły głos, coś, czego Księżniczka Matea nigdy nie zdołałaby osiągnąć, bo nie miała tego we krwi, choćby sobie zapałała nie wiadomo jakiego irokeza. Rzekoma Laura też nie robiła nic z tych rzeczy. Sprawiała wrażenie, jakby przez całe życie chodziła po jedwabnej tkaninie w butach za sto tysięcy peset. Jeśli naprawdę była moją siostrą, cieszyłabym się, że ma cudowne życie. A moja matka, nasza matka, zasługiwałyby na to, żeby o tym wiedzieć.

I właśnie wtedy, kiedy obserwowałam ją kątem oka, jej białą skórę, włosy, które wymykały jej się spod szylkretowej przepaski, perły w uszach, zwróciła się do niej matka, która mówiła z niesprecyzowanym akcentem półcudzoziemki.

– Lauro – powiedziała – pamiętasz cenę tej torebki?

Czy dobrze słyszałam? Laura? Wiele osób ma na imię Laura. Być może wcześniej przeszła przez to moja matka, a teraz ja cierpiałam na to samo urojenie.

Ponieważ Laura odwróciła nieznacznie głowę w jej stronę, ale nie odpowiadała, matka znów zawołała:

– Laura!

– Przepraszam – zwróciła się do klientki, którą obsługiwała, i podeszła do matki.

– Pokaż – powiedziała, zaglądając do torebki. – Tutaj masz metkę.

– No cóż, ja jej nie widziałam – odparła matka, nie rozchylając zanadto ust, zapewne, żeby nie widać jej było zębów.

Laura wróciła na swoje miejsce. Była sprytna: wcisnęła trzy pary butów studentkom, które od tej pory będą się musiały żywić pizzą.

Matka wołała ją jeszcze kilka razy. Miała także problemy z przeciąganiem kart płatniczych. Kolejne próby kosztowały ją tyle nerwów, że najwyraźniej ją to wykończyło, toteż po obsłużeniu Japończyków powiedziała, że idzie na kawę. Dłużej nie wytrzymała, dodała, zrzucając na ramiona najładniejszy prochowiec, jaki kiedykolwiek widziałam. Spódnica zafalowała jej wesoło wokół butów, gdy pchnęła drzwi prowadzące na ulicę.

Po drugiej stronie czekał na nią chłopak ze trzydzieści lat młodszy od niej. Miał na sobie liliowe spodnie i buty na grubej podeszwie, które pewnie ona mu podarowała. Na marynarkę opadała mu duża torba na ramię, którą zapamiętałam z poprzedniej wizyty w sklepie. Na szyi nosił apaszkę, a nad apaszką czarujący dwudniowy zarost. Ona objęła go w pasie, a on ją za ramię i pocałowali się w usta. Wyglądała na całkowicie szczęśliwą. Szli, kołysząc biodrami.

Laura zdmuchnęła sobie kosmyk, który opadał jej na niebieskie oczy, gdy sprawdzała rachunki. Z jednym z nich w rękę podeszła, żeby spojrzeć na model torebki, którą sprzedawała jej matka. Pokręciła głową z rozpaczą. Wyglądało na to, że matka wszystko robiła źle. Obok komputera cisnęła na ziemię długopis z całą złością, na jaką pozwalały jej maniere, a potem rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś to widział. Ja udawałam, że oglądam walizki od Louisa Vuittona, podobne do tych, jakie widywałam na bazarach.

W żadnym momencie mnie nie zauważyła. Była zbyt zajęta sklepem i matką, która, zdaje się, żyła w innym świecie, co zgadzało się z tym, czego dowiedziałam się w El Olivar od baletnicy i kobiety w różowym dresie. Nie było żadnego ojca Laury. Jej matka była pewnie wesołą wdową, wesołą rozwódką albo wesołą panną. W każdym razie wesołą. Myślałam o tym z zazdrością, bo gdyby moja matka korzystała z życia, byłoby bez znaczenia, że ma romans z dwudziestolatkiem i przejmuje się tylko sobą. Może dzięki temu by nie zachorowała. Chociaż prawdę mówiąc, wcale by mnie nie bawiło, gdyby nie była zakochana w moim ojcu i zamieniła go na kogoś, kto mógłby być moim chłopakiem. Dlatego zazdrościłam Laurze także naturalności, z jaką podchodziła do tej sytuacji. Pragnęła chyba tylko tego, żeby jej matce trochę bardziej zależało na sklepie i, co za tym idzie, na wszystkim innym, tak samo jak ja pragnęłam, odkąd skończyłam cztery lata, żeby mojej zależało na wszystkim trochę mniej.

Córka nie była podobna do matki absolutnie pod żadnym względem, może dlatego, że odrzucała jej sposób bycia. Z wyglądu również nie miały ze sobą nic wspólnego. Twarz matki była koścista, kanciasta i pokryta piegami – pamiątką, sądząc po tym, co się widziało na dekolcie i ramionach, po niekończących się dniach spędzonych na słońcu. Kobieta miała szeroki, wydatny nos lwicy, a spojrzenie wesołe

i nieco błędne. W przeciwieństwie do niej, Laura miała okrągłą twarz i niebieskie oczy, które otwierała szeroko, jakby trochę przestraszona tym, co widziała. I to było okropne, bo, chociaż nie chciałam tego przyznać, przypominały mi nieco oczy mojego ojca.

Mogłam ją zapytać, czy już poradziła się swojej babci w sprawie teczki z krokodylej skóry, ale wtedy by mnie zapamiętała i nie mogłabym się snuć po sklepie. Musiałam usłyszeć więcej, więcej się dowiedzieć, musiałam mieć dużo danych, żeby zaczęły do siebie pasować. No i przede wszystkim umierałam z ciekawości, żeby zobaczyć tę babcię, która w jakimś momencie musiała wpaść do sklepu.

Rześkie powietrze ulicy pomogło mi wrócić do mojego świata i zostawić za sobą Laurę chodzącą tu i tam w swych fantastycznych butach na obcasie. Była bardzo szczupła i miała taką samą wysmukłą sylwetkę jak Ángel. Zastanawiałam się, co powiedzą moje przyjaciółki, kiedy im opowiem historię o urojonej siostrze i przedstawię im Laurę, chociaż to było bardzo mało prawdopodobne, bo jeszcze nierealne. Znałam ten sklep dlatego, że moja matka kupiła tu teczkę, gdy szukała swojej zaginionej córki. Mogła wejść pewnego dnia przez przypadek i nabrać złudnego przekonania, że ta Laura jest jej córką, a ja teraz powtarzałam tę samą sytuację. Gdybym była Marią, asystentką Martunisa, pomyślałabym, że nie mam obiektywnych danych, żeby powiązać tę dziewczynę ze swoją rodziną.

Przechodząc w drodze do metra obok tej samej kawiarni co kiedyś, zobaczyłam matkę Laury i młodzieńca. Mieli splecione dłonie, a ona patrzyła na niego kompletnie zauroczona. Weszłam i zamówiłam kawę, a gdy piłam, stojąc przy barze, zadzwoniłam do Rosany. To było tak, jakbym dzwoniła do przeszłości. Ledwie wybrałam numer, zapragnęłam, żeby nie odebrała, a ledwie usłyszałam jej głos, pożałowałam, że zadzwoniłam.

Podskoczyła z radości, bo miała mi mnóstwo do opowiedzenia. Wyszłam z kawiarni, gdy matka Laury brała w dłonie twarz chłopaka i całowała go. Kelner zerkał na nich ukosa. Ja też. Czuliśmy coś w rodzaju zazdrości, bo nas nikt nie wprawiał w taką euforię.

Rosana umówiła się ze mną na swoim wydziale. Studiowała dziennikarstwo, była starościnią roku i brała udział w wielu zebraniach. Teraz ni stąd, ni zowąd bardzo się interesowała polityką i znała nazwiska wszystkich ministrów. Miała donośny głos, jak ja, więc kelner z kafejki słyszał ją ponad głosami wszystkich innych osób stojących w kilku rzędach przed barem. Nie wiedziałam, czy to ona zaraziła mnie takim sposobem radzenia sobie w grupie, czy ja ją. Faktem jest, że nikt nas nie onieśmiał.

Dobra strona tego, że miała tyle rzeczy do opowiedzenia, była taka, że ja nie musiałam się odzywać. Chodziła często do filmoteki, sama, i sama coś piła, czytając książkę, zanim zaczynał się film. Podobało jej się wszystko, co teraz robiła. Zawsze uczyła się w bibliotece i przyłączyła się do grupy bardzo aktywnych młodych ludzi. Powiedziała, że to wszystko, co jej się przydarzyło w tak krótkim czasie, jest niesamowite. W lecie wybierała się z pewną organizacją pozarządową do Kenii. Zmieniła zabarwione soczewki na okulary z szerokimi zausznikami i już nie farbowała sobie włosów tak bardzo na blond. Pamiętałam, że w liceum na lekcjach filozofii niczego nie rozumiała. Śmiertelnie się nudziła przy tamtym nauczycielu, który mówił nam, że wszystko, co nas czeka w przyszłości, będzie coraz lepsze, jeśli my sami będziemy lepsi. Ja lubiłam słuchać, jak opowiadał nam o życiu, ale nie miał racji: to teraz nie było dla mnie lepsze, chociaż dla Rosany najwyraźniej tak. Może dlatego, że ona była lepsza niż wcześniej, a ja nie.

A co u mnie? Co jej miałam powiedzieć? Spojrzałam na zegarek. Musiałam już iść. Wszystko dobrze, tylko mniej zamieszania niż u niej. Jaki miałam rozkład zajęć? Któregoś dnia chciała przyjść spotkać się ze mną na moim wydziale. Mogłybyśmy się razem pouczyć. Nie powiedziałam jej, że nie zapisałam się na studia, bo gdyby kiedyś zadzwoniła do mnie do domu i porozmawiała z moją matką, mogłaby palnąć gafę. Poza tym nie chciałam tak bardzo się od niej różnić, skoro zawsze byłyśmy do siebie podobne. Po południu nie miała zajęć, więc mogłybyśmy pójść do kina. Powiedziałam jej, że może innym razem. Nie widziałam siebie tracącej dwie godziny w ciemnej sali, podczas gdy miałam matkę w domu, Laurę w sklepie obuwniczym i problem do rozwiązania. Nasze drogi się rozeszły bardziej, niż mogłaby to sobie wyobrazić.

Byłam pewna, że Laura nie mogła jeszcze opuścić sklepu obuwniczego. Nie wyglądało na to, żeby jej rozrywkowa matka była gotowa tracić czas na obsługiwanie grup Japończyków. Bądź co bądź jej córka była młoda i miała przed sobą całe życie na przeżywanie romansów bez końca. Dla niej natomiast ten mógł być ostatni, mógł być jej ostatnią młodością, jej ostatnią okazją, jej ostatnią rozrywką. Musiała mieć koło sześćdziesiątki, może mniej, może więcej, bo nie było pewne, czy dobrze się trzyma jak na swój wiek, czy wręcz przeciwnie. Faktem jest, że poruszała się zgrabnie, stawiając takie same długie kroki jak jej chłopak. Założyłam się sama ze sobą, że coś sobie kupię, jeśli miałam rację, że Laura jeszcze jest w sklepie.

No i była, zwarta i gotowa. Pomagała jej ekspedientka, która nie pracowała przed południem, więc nie mogła mnie rozpoznać. Było wpół do szóstej, a ja chodziłam tam i z powrotem po ulicy, czekając, aż do sklepu wejdzie więcej osób. Weszłam, gdy były bardziej zajęte, i znów snułam się w pobliżu walizek od Vuittona. Już prawie znałam na pamięć artykuły i zaczęłam się oswajać z markami i seriami. Około wpół do siódmej moja cierpliwość została nagrodzona. Właśnie wtedy odtworzyły się drzwi od ulicy, właśnie wtedy ekspedientka odwróciła głowę w tamtą stronę, właśnie wtedy wydało się, że sklep wypełniła jakaś dziwna energia. I właśnie wtedy Laura wyszła zza lady i rzuciła się do drzwi, żeby je przytrzymać, aby mogła wjechać tamta pani na wózku inwalidzkim. Pchał go silny chłopak w koszulce z krótkim rękawem, który musiał się chyba urodzić na biegunie północnym.

Popędziłam w okolice torebek.

– Cześć, babciu – powiedziała Laura. – W końcu się zdecydowałaś.

Była to gruba kobieta o skórze bielszej niż włosy, które miały niebieskawy odcień, o miłej twarzy i śpiewnym głosie. Wszystko to sprawiało, że miało się ochotę ją ucałować.

– Nudzę się tam sama. – Rozejrzała się wokół. – Co z Gretą?

Magiczne słowo.

Kobieta w różowym dresie z El Olivar powiedziała mi, że matka miała na imię tak jak dawna aktorka. Greta Garbo. To nie mógł być zbieg okoliczności.

Pasowało do niej to imię.

– Wyszła się przejść i jeszcze nie wróciła, no wiesz.

– Tak, wiem – powiedziała babcia ni to ze zrozumieniem, ni to z powagą.

Ujęła jej dłonie w swoje, a Laura pochyliła się, żeby znów ją pocałować.

– Jadłaś coś? – zapytała ją babcia tym swoim głosem, który przenikał do szpiku kości.

Jak miło musiało się mieszkać z kimś takim, być kołysaną w tych ramionach tym czułym, łagodnym głosem. Niełatwo go było opisać. Wydawało się, że dobywa się z ciała wraz z muzyką i wielką miłością. Miało się ochotę być jej wnuczką.

– Zjadłam kanapkę.

Chłopak, który pchał wózek, stał z boku ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie mów tylko, że wyszła z tym...

– Nie wiem – odparła Laura, chroniąc matkę.

– Całe szczęście, że mam ciebie – powiedziała babcia, wypełniając sklep czułością.

Była ubrana na biało. W spodnie, bluzkę i wełniany szal, który spuściła na oparcie wózka, unosząc ramiona. Nosila kolczyki, które wyglądały tak, jakby wyciągnięto je z uszu Liz Taylor albo Giny Lollobrigidy, zrobione ze szmaragdów otoczonych diamentami. Miała duży nos, jak Greta, i małe oczy. Rozejrzała się po sklepie, ale mnie nie zauważyła albo uznała, że składam się na całokształt.

– No dobrze, wszyscy do swoich zajęć. Petre, zostaw mnie przy kasie i wróć za dwie godziny.

– Jak pani sobie życzy, doña Lilí. Naprawdę mnie pani nie potrzebuje?

– Nie, synu. Idź pograć w piłkę.

Ekspedientka, przechodząc obok staruszki, uśmiechnęła się do niej.

– Widziała pani najnowszą linię Ferragamo, doña Lilí?

Wszyscy chcieli się przypodobać doñi Lilí, nikomu nie przeszkadzał jej przesadnie duży wózek. Doña Lilí wzięła torebkę, która wisiała na oparciu, wyjęła okulary do czytania i zawiesiła je sobie na bluzce. Przysunęła się jeszcze bliżej kasy i zaczęła sprawdzać obroty. Nie mogła mieszkać zbyt daleko, bo wtedy przyjechałaby cieplej ubrana.

Laura była blada i miała nieco podkrążone oczy. Przydałaby się jej trochę większa pomoc. Począwszy od tej chwili, coraz częściej zerknęła w stronę drzwi i na zegarek. Tak jak podejrzewałam, umówiła się z przyjaciółmi lub z chłopakiem. Jeśli miała rodzeństwo, nie przykładało ręki do interesów. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że nie ma rodzeństwa, nie miała również dziadka i wydawało się pewne, że nigdy nie miała ojca.

– Jeśli mama nie wróci, dziś mogłybyśmy zamknąć o siódmej. Mam bilety do kina – powiedziała Laura do babci, obejmując ją za szyję.

Ta zmarszczyła czoło, ale w jej głosie zamiast zdenerwowania zabrzmiała skarga:

– To jest ostateczność, przecież wiesz. Któraś z nas musiałaby umrzeć, żebyśmy zamknęły przed czasem. Pójdiesz do kina kiedy indziej.

Któraś. Skoro powiedziała „któraś”, mężczyźni byli wykluczeni.

– Tkwię tu przez cały dzień – powiedziała Laura, wyraźnie zmęczona.

– I co możemy zrobić? – odparła doña Lilí takim tonem, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem albo śmiechem. – Paulina nie daje rady, a ja... Sama widzisz. Gdybym tylko miała zdrowe kolana. Trzeba wytrzymać do ósmej. Czasami w ostatniej minucie pojawia się okazja na najlepszą sprzedaż.

Paulina podeszła z pudełkiem butów i kartą Visa klienta w ręku. Babcia zręcznie przeciągnęła kartę przez czytnik i dała jej paragon, a Paulina wyciągnęła skądś atlasową torbę i włożyła do środka pudełko.

Nie miałam innego wyjścia, jak wynieść się stamtąd, zanim znajdę się w niezręcznym położeniu i będę musiała coś kupić.

Doszłam na piechotę najdalej, jak mogłam, aż w końcu musiałam wsiąść do autobusu. Po drodze kupiłam ciastka do herbaty, bez cukru, takie, jakie mogła jeść mama. Wiedziałam, że to ją ucieszy. Każdy miły drobiazg sprawiał jej radość. Teraz, gdy natrafiłam na solidny trop, wydawało się, że moja matka spłaca dług przeszłości. Być może już wyrzuciła ze swojego życia zainteresowanie Laurą, być może, gdybym zdołała przyprowadzić Laurę do fotela z uszami, jedyną rzeczą, jaką bym osiągnęła, byłoby poruszenie na nowo tego, co zatruwało jej życie, co nie pozwalało jej żyć. Choroba pomogła jej zasklepić tę ranę, a wtedy zjawiłabym się ja i znów bym ją

otworzyła. Możliwe, że mój ojciec widział to wyraźniej niż my wszyscy, możliwe, że mój ojciec zawsze miał rację.

Kiedy już miałam włożyć klucz do zamka, coś mnie wystraszyło: nie słychać było telewizora ani radia. Panowała tak głęboka cisza, że ugięły się pode mną kolana. Jak dotąd wszystkie złe chwile w moim życiu były bardzo hałaśliwe albo bardzo ciche. Znowu szpital, pomyślałam. Jednak gdy otworzyłam drzwi, pojawiło się odbicie światła z głębi korytarza. Pewnie w pośpiechu zostawili zapaloną lampę w sypialni. Tato? Mamo? Nikt nie odpowiedział. Poszłam ostrożnie w stronę światła, sama nie wiem dlaczego. A kiedy doszłam, okazało się, że drzwi pokoju rodziców są uchylone, bardziej otwarte niż zamknięte, choć na tyle przymknięte, że nie widziało się łóżka. Pchnęłam je powoli, jakby to, co miałam odkryć, było bardzo niebezpieczne. Omal nie krzyknęłam – nie spodziewałam się nikogo zobaczyć.

Głowy rodziców odwróciły się w moją stronę. Rozluźnione, beztroskie twarze: właśnie przenieśliśmy się wiele miesięcy w przeszłość, kiedy wracali z kina i ojciec pomagał jej rozpiąć sukienkę z tyłu. Akurat zdjął jej stanik i wkładał jej rękawy koszuli nocnej.

– Przyniosłam ciastka – powiedziałam, pokazując pudełko przewiązane niebieską bawełnianą wstążką.

Ależ miałam dobry pomysł, bo oni wyszli na spacer i coś tam skubnęli, a ciastka ze szklanką mleka były dokładnie tym, czego brakowało.

Nawet w najśmielszych snach nie odważyłabym się zobaczyć swojej matki spacerującej po ulicy, bo to było niemożliwe. Tańczyłabym z radości, objęłabym ją, ale w godzinie prawdy zdołałam tylko powiedzieć: a więc już jedliście kolację.

– W lodówce jest gotowana szynka i jajka, zrób sobie tortillę – powiedziała matka, wstając z trudem.

Już przejęła stery w domu. Orientowała się, jak stoimy z artykułami żywnościowymi, i pewnie wiedziała, czy trzeba nastawić pranie. Jednak nie dawała po sobie poznać, że wie, iż w teczce nie ma zdjęcia Laury. Sama nie odważyłaby się wejść na krzesło, żeby ją zdjąć. Nie miała na to dość siły i mogło jej się zakręcić w głowie. Nie ośmieliłaby się poprosić ojca, a ja rzekomo nic nie wiedziałam

o Laurze. Możliwe również, że już zamknęła ten rozdział.

Bardzo ją wzruszyło wyjście na spacer z mężem. Któż by powiedział jeszcze niedawno, że coś tak prostego będzie dla niej tyle znaczyło. Ojciec oznajmił, że w niedzielę kupi dwa bilety do kina, a ona przyznała, że w szpitalu bardzo tęskniła za wyjściem do kina, chociaż w rzeczywistości chodziła raczej rzadko. Otóż teraz to się skończy, powiedział ojciec. Gdy wyzdrowiejesz, będziemy pracowali przed południem, ty ze swoimi kremami, ja w taksówce, a po południu będziemy korzystać z życia, przestaniemy oszczędzać.

Matka powiedziała, żeby nie przesadzał i że teraz woli zostać w łóżku. Ty idź obejrzeć mecz, poradziła mu.

Odgłosy meczu w telewizji dodatkowo składały się na atmosferę normalności. Słysząc było, jak ojciec otwiera puszkę piwa. Ja nalałam matce szklankę mleka i drugą sobie, a potem otworzyłam pudełko z ciastkami. Usiadłam przy niej na łóżku i opowiedziałam jej, że poszłam odwiedzić Wampirzycę w więzieniu Alcalá Meco, tak jakbym to zrobiła tego samego popołudnia, i że kupiła ode mnie trzy zestawy kosmetyków z linii Diamenty, Złoto i Masa Perłowa. Nie wspomniałam o trzystu tysiącach peset, których mi nie zapłaciła, i przysięgłam sobie, że nasze życie się uporządkuje i będę mogła zawsze mówić prawdę.

Zanim zasnęła, snułyśmy domysły, co mógł Wampirzycy zrobić mężczyzna, który leżał teraz w szpitalu, i czy dom należał do niego, czy nie. Nie wyglądało na to, żeby byli małżeństwem, chodziło pewnie o kłótnię kochanków. On musiał być wstrętnym zazdrośnikiem, który nie pozwalał jej wychodzić z domu ani rozmawiać z innymi mężczyznami, szaleńcem, który z byle powodu robił jej siniaki widoczne na plecach. Mieszkał przypuszczalnie ze swoją prawdziwą rodziną i nigdy nie mógł być do końca pewien, czy ona jest mu całkowicie wierna, więc choćby biedaczka była nie wiadomo jak wierna i spędzała czas w zamknięciu, on od czasu do czasu dostawał ataku podejrzliwości i ją maltretował, a ona to znosiła, bo przecież płacił jej rachunki, finansował kremy i jedwabne szlafroki.

Dobrze zrobiła.

– Ona nie chce wrócić do tego domu za żadne skarby świata – powiedziałam, gdy mama już zasypiała.

– Teraz będzie wolna – powiedziała powoli, przez sen.

Położyłam się na swoim łóżku w ubraniu. Nie dało się jej opowiedzieć nic z tego, co właśnie odkryłam na temat osoby, która mogła ją najbardziej zainteresować. Wiedziałam już, jak mają na imię matka i babcia Laury, brakowało mi tylko informacji, gdzie mieszkają. Leżałam z oczami otwartymi najszerszej, jak się dało, i patrzyłam w sufit. Usłyszałam kroki ojca w korytarzu: pewnie szedł sprawdzić, czy moja matka śpi. Usłyszałam go ponownie, gdy wracał do salonu. Prawie całkiem ściszył telewizor. Przypomniało mi się to imię: Greta. Wskoczyłam z łóżka. Wzięłam służbowy notes matki i poszukałam adresów, pod które nigdy nie miałam chodzić, bo klienci byli bezczelni i nie płacili. Imię Grety zostało przekreślone na czerwono i wzięte w kółko. Był też telefon. A zatem wykorzystwała sprzedaż po domach, żeby dostać się do domu Laury. Zamknęłam notes wystraszona. Drugie życie mojej matki. Oto, co robiła, gdy wychodziła po południu i wracała zamyślona, sprawiając wrażenie, jakby przychodziła z innego świata. Oddała Laurze coś, czego ona nawet nie mogła sobie wyobrazić: czas, uwagę, poświęcenie i swoje szczęście.

Teraz byłam całkiem pewna, że moja matka zna sklep, dom i te kobiety, a także wie o jeszcze wielu rzeczach, które mi umykają. Przemierzyłyśmy odmienne kręte ścieżki, żeby dotrzeć do serca Laury.

20. LAURA I DZIEWCZYNA Z KOBRA

– Chciałabym przymierzyć te botki z wężowej skóry.

To była dziewczyna o czarnych, kręconych włosach do ramion, jasnej, bladej cerze, ciemnobrązowych oczach, ubrana w skórzaną kurtkę wytartą na szwach, z klamrą, która tańczyła jej na dżinsach. Dało się zauważyć, że jest silna i twarda, a całemu jej ubraniu brakowało milimetra, żeby było na nią za ciasne. Podobał mi się jej styl. Nosiła także sygnet z kobra, który sięgał jej do przegubu prawego palca środkowego.

– Świetnie na tobie leżą – powiedziałam, podczas gdy klientka przechadzała się w nich po sklepie.

Włożyła je na spodnie i wyglądały ładniej niż na wystawie. Dziewczyna wydała mi się znajoma, widziałam ją już wcześniej. Szerokie czoło, grube brwi. Gdzie ją mogłam widzieć? Może występowała w telewizji?

– Chyba je wezmę – powiedziała dziewczyna, siadając ponownie i wbijając wzrok w noski, jakby z nimi rozmawiała.

Już sobie przypomniałam. Widziałam ją w sklepie. Przyszła nie po raz pierwszy. Była jedną z tych osób, które zapadają ci w pamięć, nawet jeśli prawie na nie nie patrzysz. W wypadku jednych musisz dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby przypomnieć sobie twarz lub nazwisko, a w wypadku innych wydaje ci się, że znałeś ich w innym, bardziej intensywnym życiu. Właściwie nie była ładna, ale też nie brzydka, jednak wszystko w niej było bardzo wyraziste: blask oczu, połysk włosów, kość nosowa, kości policzkowe, róż warg, gęsty cień rzęs, ramiona, ręce, uda rozpychające dżinsy na wszystkie strony, nosowy głos jak u murzyńskiej śpiewaczki. Energia, która z niej emanowała, była tak gęsta, że można ją było zobaczyć i dotknąć jej.

– Kupowałaś tu kiedyś? Byłaś naszą klientką? – zapytałam, pomagając jej zdjąć buty.

Dziewczyna nie poruszyła się, w dalszym ciągu zaabsorbowana łuskami skóry, które przechodziły od koloru niebieskawoszarego do ciemnoszarego i świetnie by jej

pasowały do każdego rodzaju stroju i na każdą okazję. Moja babcia nigdy nie wierzyła, że tak drogie i ekstrawaganckie buty znajdą nabywcę, ale cóż, właśnie zostały sprzedane i miałam ochotę jej to powiedzieć.

– Weszłam tu kiedyś.

– Tak mi się wydawało.

Dziewczyna po raz pierwszy popatrzyła wprost na mnie. Miała bardzo błyszczące oczy, niemal jakby była bliska płaczu. Wyjęła z przewieszzonego przez ramię plecaka kartę płatniczą i zapłaciła.

Gdy już kierowała się do drzwi, zawróciła.

– Jeśli w domu zmienię zdanie, będę mogła je oddać, prawda?

Potem zatrzymała się, żeby pooglądać torebki, przecenione portmonetki Chanel, kolejne buty. Śledziłam ją kątem oka, równocześnie sprawdzając półki, żeby poukładać to, co ona poprzestawiała. Nie przeszkadzało mi to. Było to stosunkowo spokojne przedpołudnie. Dziewczyna, zanim opuściła sklep, jeszcze raz do mnie podeszła.

– Do zobaczenia – powiedziała.

Ależ jej się nie chce wychodzić na ulicę, pomyślałam.

Miała to być najdonioślejsza chwila w moim życiu. Do tej pory wydawało mi się, że ważne chwile na takie właśnie wyglądają, że są głośne jak grzmoty i czerwone jak słońce, wzniosłe. Nie zawsze tak jest, czasami jakieś głupstwo, zupełnie zwyczajne wydarzenie, oznacza przed i po. Na dobre czy na złe, to się wie dopiero później, gdy życie już się zmieniło w górę, której nie da się rozebrać. Tak więc w chwilę po wyjściu dziewczyny z kobrą już o niej nie myślałam, bo jeszcze nie rozumiałam, co oznaczała ta wizyta. Musiałam natychmiast obsłużyć przerośniętą nastolatkę z rozmiarem stopy czterdzieści trzy. Jaj matka była gotowa wydać, ile będzie trzeba, byle jej córka nie nabawiła się kompleksów. Matka sięgała dziewczynce do ramienia i miała wielką fryzurę blond oraz długie, kwadratowe paznokcie. Na podstawie olśniewającego zegarka z brylantami na nadgarstku i wzrostu jej córki domyśliłam się, że może być żoną jakiegoś sławnego koszykarza. Do naszego sklepu obuwniczego przychodziły urzędniczki pracujące w okolicznych ministerstwach,

dyrektorki banków i towarzystw ubezpieczeniowych, które korzystały z przerwy obiadowej, żeby pójść na siłownię albo coś sobie kupić, oraz żony piłkarzy i tenisistów, które miały cały dzień na to, żeby się stroić. Kobieta z blond fryzurą popatrzyła na mnie z takim niepokojem, błagając, żebym wydobyła spod ziemi piękne buty rozmiaru czterdzieści trzy, że zeszłam do magazynu, licząc na cud, ale rzeczywistość była, jaka była, jak mawiała przy każdej okazji moja babcia, więc wróciłam z pustymi rękami i musiałam patrzeć, jak wychodzą ze sklepu i jak matka bierze córkę za rękę, gdy wydawało się, że nagły poryw wiatru poderwie je z ziemi.

Poczułam lekki żal, widząc je razem, może dlatego, że byłam już za duża, żeby moja matka wzięła mnie za rękę, albo dlatego, że nie pamiętałam, by moja matka kiedykolwiek patrzyła na mnie tak, jak kobieta z blond fryzurą na swoją córkę, chociaż prawdopodobnie nie było to konieczne, skoro nie miałam rozmiaru stopy czterdzieści trzy. Czas mijał, dzieciństwo minęło, wczesna młodość też i miałam teraz dziewiętnaście lat, moja matka sześćdziesiąt dwa, chociaż mówiła, że pięćdziesiąt, a babcia o dwadzieścia więcej.

Czasami w sklepie słychać było skrzypienie wózka inwalidzkiego piętro wyżej. Mieszkałyśmy tam we trzy, nad sklepem obuwniczym, w dużym, staromodnym mieszkaniu, któremu przydałby się generalny remont, żeby do środka wpadało więcej światła. Misja niewykonalna: babcia uważała, że jej dywany, lampy i ciemne meble są nietykalne, jak eksponaty w muzeum. Ostatnio musiałam się bardzo wysilać, żeby nie popadać w przygnębienie, gdy wchodziłam do mieszkania i widziałam wszystkie te starocie oraz swoją babcię na wózku w korytarzu. Była grubokościstą kobietą, dlatego pomaganie jej przy ubieraniu się i wstawaniu wymagało ode mnie wielkiego wysiłku. Miała artretyzm kolan oraz dolegliwości związane z wiekiem i kochała mnie do przesady. Wyjście na spacer po ulicy sprawiało jej trudności, jeśli nie była ze mną. Nie chciała się kłaść do łóżka, zanim nie wróciłam. Nie chciała, żebym się wyprowadziła i zamieszkała sama, zanim ona umrze, bo nie zniósłaby tego, że mnie codziennie nie widzi. „Umrzeć” to było jedno ze słów, których najczęściej używała, odkąd zaczęły się dolegliwości, a ja nieustannie się starałam, żeby ją podnieść na duchu i przepędzić te myśli z jej białej głowy.

Oddałabym wszystko, żeby babcia cofnęła się w czasie i była taka jak wtedy, gdy

odbierała mnie ze szkoły, sprawnie się poruszała i rozmawiała z nauczycielkami tym samym słodkim głosem, którym mówiła do mnie: „No, dalej, Lauro, uczesz mnie, idziemy na spacer”.

Nikt nie potrafił się oprzeć temu głosowi. Wydawało się, że śpiewa. Dlaczego wydawał się tak miły? Był miękki, nieco melodyjny, czarujący, nawet gdy na zewnątrz babcia wyglądała na poważną lub zagniewaną. Taki dar. W czasach gdy to ona prowadziła sklep obuwniczy, sprzedaż była podwójna, bo potrafiła sprawić, że klient wierzył, iż tylko do niego mówi w ten sposób. Mniej więcej wtedy w zakładzie fryzjerskim zaczęto nadawać niebieskawy odcień jej bujnej białej fryzurze, która w końcu przypominała sierpniową chmurę. Nosiła zwykle białe spodnie do białych bluzek, ubierała się na biało, żeby nikt nie mógł rzucić na nią uroku ani zrobić jej krzywdy. Przyzwyczaiałam się do tego, że jest białą postacią. Jedynym kolorowym akcentem była biżuteria: kolczyki, pierścionki, naszyjniki ze szmaragdów, brylantów, złota, które kiedyś odziedziczę, bo jej córka, moja matka, uznawała tylko srebro. Później, chyba jakiś rok temu, zachorowała i my zajęłyśmy się interesami: moja matka i ja. Chociaż, jeśli mam być szczerą, cały ciężar spoczywał na mnie.

Wszyscy nazywali ją Lilí, nawet my, jej córka i jej wnuczka. Do jej głosu dołączył teraz także wózek i odgłos kół, toteż niezależnie od tego, gdzie się znajdowała, nie pozostawała niezauważona: zawsze gromadziła wokół siebie paru oddanych zwolenników, którzy niemal nie zwracali uwagi na mamę czy na mnie. Mama już się do tego przyzwyczaiała i udawało jej się żyć w innym świecie, w którym Lilí nie istniała.

O siódmej pomachałam matce na pożegnanie. Nie chciałam się spóźnić do konserwatorium. Obsługiwała niechętnie jakąś parę, która bez przerwy mierzyła kolejne modele. Wykorzystałam ten moment, żeby pójść szybko do pokoiku na zapleczu i wziąć torebkę. Nie chciałam skrzyżować z nią żadnego bezpośredniego spojrzenia, żeby mnie nie prosiła o zostanie jeszcze przez chwilę. Matka nie znosiła sklepu, a zwłaszcza niezdecydowanych, nieznośnych klientów. Pewnie miała ochotę zapalić sobie marlboro w pokoiku albo na ulicy. Lilí mówiła mi, że przyjdzie taki moment, kiedy sama będę się zajmowała sklepem, bo jej córka jest bezużyteczna. Czasami raziło mnie, że Lilí jest tak surowa dla swojej córki. Zapominała, że ona jest

moją matką i że winna jej jestem szacunek bardziej niż komukolwiek innemu. W drzwiach zaczerpnęłam głęboko powietrza przesyconego zapachem mokrej ziemi pochodzącym z bardzo daleka. Przynosił go wiatr. Był tak silny, że niemal mnie przewracał. Wszyscy chodzili przechyleni na bok, przytrzymując wszystko, co mogło odlecieć, a białe markizy z tarasów potęgowały go, jakby domy miały poszybować w górę. Słysząc było, jak powietrze przepływa między wieżowcami, wyjąc, łkając i gwizdząc. Pomyślałam, że dzisiaj zrobię swoim uczennicom test sprawdzający poziom. Udzielałam lekcji baletu dziewczynkom w wieku od sześciu do dwunastu lat i wszystkie swoje nadzieje nauczycielki wiązałam z Samanthą, najstarszą z nich.

21. VERÓNICO, TE BUTY SĄ DO CHODZENIA

W niedzielę przyjechał bez uprzedzenia Ángel. Trochę przytył i bardzo się zdziwił, widząc, że nasza matka jest tak wychudzona, ale zaraz się zreflektował i zaczął opowiadać, jak kiepsko gotuje babcia Marita. Powiedział, że chodzi z dziadkiem na ryby i do lasu, zbierać drewno na zimę. Zdobył przyjaciół i grał z nimi w piłkę na plaży. Ponieważ wielu mieszkańców osiedla przyjeżdżało tylko na lato, niektórzy chłopcy czuli się tak samo zagubieni jak on, więc spotykali się, żeby robić razem różne rzeczy, ale we wrześniu o tej porze miesiąca zostało raptem dwóch czy trzech.

Dziadkowie powiedzieli mu, że powinien pojechać nas odwiedzić.

– Co oni tam wiedzą! – powiedziała mama, wkurzona. – Jechałeś na darmo.

– Tam ci jest najlepiej – wyjaśnił ojciec. – Gdy zaczniesz rok szkolny, wszystko zdąży już wrócić do normy.

Prawdę mówiąc, może i dobrze zrobili, zmuszając go do przyjazdu, bo nasza matka mogła zobaczyć, że zdrowo wygląda, ma opaloną skórę i roziskrzone oczy, jak ktoś zadurzony. Wracał następnego dnia w południe, bo miał mecz, więc z kina nic nie wyszło. Rodzice powiedzieli, że kino może poczekać, i spędziliśmy dzień, grając w pokera, oglądając telewizję i jedząc.

Bardzo mi odpowiadało, że w poniedziałek Ángel zostanie w domu z naszą matką, bo mogłam wrócić do sklepu Laury. Zdjęłam kurtkę z wieszaka i wcisnęłam się w nią jak w zbroję, która miała mi pomóc dokończyć to, co zaczęła moja matka. Być może ona nigdy się o tym nie dowie, bo nie powiedziałabym jej nic, czego już nie chciała słuchać, ale ja musiałam wiedzieć. Przez całą noc zastanawiałam się, czy powinnam dać sobie spokój. Nic nie czułam do tej Laury, nigdy nie mogłabym jej uważać za siostrę, więc gdyby rzeczywiście się nią okazała, byłoby rzeczą bardzo nieludzką nie móc uważać jej choćby odrobinę za kogoś takiego jak Ángel. Poza tym ona nas nie potrzebowała. Miała udane życie. Nowoczesną matkę, idealną babcie, świetny interes, który prawdopodobnie odziedziczy. Nosiła ubranie, które kosztowało tyle, co ubranie nas wszystkich razem wziętych, z futrem z norek mojej matki

i granatową marynarką z alpaki mojego ojca włącznie. Po co wdzierać się w jej życie i się jej naprzykrzać? Po co obarczać się osobą, którą powinniśmy kochać, nie kochając jej? Nawet moja matka jej nie kochała. Kochała tamtą nowo narodzoną dziewczynkę, która zmarła albo została porwana, lecz nie mogła kochać tej blondynki, której nie widziała przez dziewiętnaście lat, która była przyzwyczajona do stylu życia znacznie wykraczającego poza nasze możliwości i która nie identyfikowałaby się z nami pod żadnym względem. Jej życie i nasze już się ułożyło i nie można było tego cofnąć. A jednak przewracało mi się w żołądku na myśl, że ta dziewczyna nigdy nie dowie się wszystkiego o sobie samej, jeśli ja to przemilczę. Nie wiedziałam, jak daleko dotarła moja matka, być może wiedziała już z całą pewnością, że Laura jest jej córką, i wahała się, czy wtrącać się w jej życie, czy nie, lecz nie ulegało wątpliwości, że zachowała się jak matka i walczyła, żeby poznać prawdę. Pewnego dnia Laura powinna się o tym dowiedzieć.

Wystraszyłam się. Obserwowałam Gretę przez okno wystawowe. Tamtego dnia zaskakiwała nas bardzo szerokimi spodniami z ciemnobrązowej krepy, które falowały wokół jej nóg, i zieloną bluzką, od której odcinały się jej rude włosy. Twarz lśniła jej tak, jakby użyła naszego zestawu perłowego. Chodziła tam i z powrotem bardzo wyprostowana, powiewając spodniami i patrząc na zegarek ze złością, pewnie dlatego, że musiała czekać jeszcze całą wieczność na spotkanie ze swoim chłopakiem. Weszło paru klientów, których obsłużyła ekspedientka. Musiała przerwać układanie pudełek i zająć się nimi, bo Greta zadzwoniła gdzieś w najważniejszym momencie. Skoncentrowała się na rozmowie telefonicznej. Mówiła, słuchała, śmiała się i odwróciła się plecami, żeby się pożegnać. Telefon wprowadził ją w radosny nastrój. Zaczęła rozmawiać z ekspedientką, która bez przerwy przekładała pudełka z jednej strony na drugą. Greta chodziła za nią, coś jej opowiadając. Musiała się z kimś podzielić tak wielkim szczęściem, ale nie wzięła ani jednego pudełka. Greta mnie zadziwiła: być może mieszkając z tak dorosłą matką jak moja, nigdy bym sobie nie umiała wyobrazić, że kobiecie w tak zaawansowanym wieku uda się mieć piętnaście lat.

Czy mogę pani w czymś pomóc? – usłyszałam za swoimi plecami. Był to głos spikerki telewizyjnej należący do Laury. Zobaczyłam ją w szybie, nałożoną na

sylwetkę swojej matki i na luksusowe torby od Prady. Odwrócenie się do niej zajęło mi tysiąc lat, albo i więcej, tyle, ile zajęło ludzkości doprowadzenie do tego, że ona i ja istniałyśmy i spotkałyśmy się ze sobą. Potrzeba było milionów kasztanowych oczu, milionów błękitnych oczu, milionów oczu kasztanowych i błękitnych zakochujących się w sobie, milionów marzeń, milionów rozczarowań. Milionów Betty i milionów Gret.

– Chciałabym przymierzyć te botki ze skóry pytona.

Przytrzymała mi drzwi, żebym weszła. Miała na sobie granatową sukienkę dopasowaną do figury i zapiętą pod samą szyję oraz biały żakiet. Zostawiła żakiet, idealnie złożony, i torebkę za ladą, podeszła na wysokich obcasach do wystawy i zdjęła z niej botki. To były te same, które wpadły mi w oko w dniu, w którym odkryłam sklep, ale teraz wpatrywałam się bardziej w Laurę niż w buty. Była smutna. Uśmiechała się niechętnie. Pomogła mi je włożyć. Dotknęła moich nóg delikatnymi dłońmi, w których mogła płynąć ta sama krew co we mnie, miliony lat krzyżowania się genów. Czułam na sobie palce córki mojej matki i nie słyszałam za dobrze, co do mnie mówi.

– Wyglądają, jakby zostały zrobione specjalnie dla ciebie. Nie wiem, dlaczego zostawiłam sobie jedną parę. Z jakiegoś powodu je zatrzymałam, bo wiedziałam, że pewnego dnia zjawi się ktoś taki jak ty.

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Znów pojawiła się pestka brzoskwini. Jej ręce przypominały mi ręce Ángela, zanim wyjechał do Alicante i zaczął nabierać sił. Nie była piegowata jak Greta. Gdy do mnie mówiła, nie rozumiałam, co mi chce powiedzieć. Mogła mi mówić, że słońce spada i że została nam minuta życia, a ja nie byłabym w stanie przetworzyć tej informacji. Zablokowały mi się uszy i umysł. Widziałam botki i widziałam ją. Przymierzyłam je i chodziłam tam i z powrotem, nie zastanawiając się, czy leżą na mnie dobrze, czy źle. Ona patrzyła na mnie, myśląc o czymś innym. Usiadła na pufie z kremowej skóry, oparła łokieć na kolanie i twarz na dłoni, z niechęcią, jakby w chwilach przygnębienia nie widziała sensu w swoim życiu, a to musiała być chwila przygnębienia. Zanim zdałam sobie sprawę, co robię, płaciłam przy kasie, wyczyszczając niemal do zera swoje nadwyrężone konto. Potem ona rozłożyła fioletowy jedwabny papier, który zaszeleścił delikatnie.

– Mam nadzieję, że będą ci dobrze służyły i zaprowadzą cię w wiele miejsc. Są zrobione dla ciebie – powiedziała, wręczając mi atlasową torbę, której nigdy nie wyobrażałam sobie w swoim ręku.

Dlaczego moja matka nie zrobiła jej zdjęcia, kiedy już była dorosła, i zadowolila się skradzioną fotografią przechowywaną w teczce z krokodylej skóry? Odkryła sklep, gdy Laura miała mniej więcej dwanaście lat, tyle, ile na ukradzionym zdjęciu, co oznaczało, że porzuciła tę drogę, być może dlatego, że sprawdziła, iż Laura do niego nie przychodzi. Przede wszystkim jednak udało jej się wejść do ich domu w charakterze akwizytorki sprzedającej produkty, które według wszelkiego prawdopodobieństwa spodobałyby się Grecie. Związek mojej matki z tym domem stanowił tajemnicę. Jego numer telefonu został otoczony czerwonym kółkiem i przekreślony z pewną zaciekłością, kilkakrotnie zamazany długopisem. Zabroniła mi tam chodzić, co miałoby sens, gdyby tamta rodzina miała się na baczności. Zakładałam, że babcia i matka nie chcą, żeby Laura się o czymkolwiek dowiedziała. Być może mama powinna była podejść do tego problemu stanowczo i otwarcie. Jeśli można było coś powiedzieć o Grecie, to chyba to, że jest nowoczesna i otwarta, a co do doñi Lilí, byłam pewna, że zrozumiałyby sytuację. Bądź co bądź była biedną inwalidką, którą wszyscy uwielbiali. Gdyby mama opowiedziała im, jak kobieta kobiecie, o swoich podejrzeniach, początkowo sprawiłyby im przykrość, ale jako matki zrozumiałyby jej udrękę i wszystko by się wyjaśniło. Być może moglibyśmy się nawet stać jedną wielką rodziną. Dlaczego to nie mogło być takie łatwe? Moja matka na pewno znała częściowo odpowiedź na to pytanie. Wystarczyło, żebym podeszła do fotela czy do łóżka i ją zapytała, co byłoby równoznaczne z wykończeniem jej w ciągu kilku minut.

W autobusie włożyłam botki, a sportowe buty, czarne adidas, schowałam do pudełka. Pudełko i torba były tak ładne, że szkoda mi było je wyrzucić. Do pudełka mogłabym wkładać używane rajstopy, a torba posłuży do czegokolwiek. Schowam je do swojej szafy, żeby mama ich nie zobaczyła i nie rozpoznała nazwy sklepu.

Zaraz po powrocie miałam zamiar zadzwonić pod jakimś pretekstem na numer Grety, a późnym południem, w porze zamykania sklepu, wrócić tam i zobaczyć, gdzie

Laura idzie po pracy. Z pewnością szła na spacer gdzieś w pobliżu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i się odprężyć, a potem wracała do domu. Ależ miała życie. Wcale jej nie zazdrościłam.

Gdy wróciłam do domu, Ángela już nie było. Znów pojechał do Alicante, a ojciec jeszcze nie dotarł. Zza szyb werandy przyglądał mi się zaśliniony Gus. Zaszczekał i pomerdał ogonem. Za każdym razem robił to mniej żwawo, ale z taką samą radością. Zostawiłam torbę obok sofy i rzuciłam się, żeby otworzyć szklane drzwi i dać mu się polizać. Ana zawsze dbała, żeby był bardzo czysty, więc ręka tonęła w jego sierści jak w wacie. Ponownie zamknęłam drzwi, żeby nie zapaskudził wszystkiego śliną i kłakami. Słysząc było, że moja matka coś mówi. Jeszcze nie wstała po poobiedniej drzemce, chciała być wypoczęta, żeby wreszcie pójść do kina. Ana słuchała. Umiała bardzo dobrze słuchać, nie należała do tych osób, które natychmiast muszą wtrącić swoje trzy grosze i skierować rozmowę na temat samych siebie. Sprawiała wrażenie, jakby jej nigdy nie przytrafiało się nic nieprzyjemnego, straszego, nienormalnego. Nigdy nie tyła ani nie chudła, nigdy nie chorowała. Jediną rzeczą, o której opowiadała, były jej podróże do Tajlandii i bogaty mężczyzna, czekający tam na nią. Nie poszłam prosto do pokoju rodziców: Ana bardzo dobrze umiała ją zabawić i kiedy wychodziła, mama była jak nowa.

Podgrzałam sobie dwie chochelki soczewicy, którą zrobiłam w niedzielę, i zjadłam ją powoli, widząc w oddali pysk Gusa. Obserwował mnie ze swojego psiego świata, świata znakomitego węchu, słuchu, subtelnych uczuć i umiejętności komunikowania się z istotami ludzkimi. Psy wynalazły merdanie ogonem, żebyśmy wiedzieli, że są zadowolone, i warczenie, żeby trzymać nas na dystans. Widziałam także żakiet i torebkę Any na krześle obok mahoniowego stołu. To była inna torebka, nie ta, którą przeszukałam w restauracji, kiedy Ana jadła obiad z moim ojcem. Możliwe, że zdjęcie było w tej, a może włożyła je do kieszeni tego długiego żakietu z wiotkiego materiału. Problem polegał na tym, że gdybym zbliżyła się do krzesła i dotknęła jej rzeczy, Gus zacząłby szczeleć jak szalony, bo psy muszą okazywać głupkowatą wierność, żeby żyć na koszt właściciela. Tak czy inaczej, trzeba było spróbować. Dopóki moja matka mówiła, Ana na pewno słuchała. Wobec tego zaniósłam talerz do zlewu, odkręciłam na chwilę kran, żeby resztki nie zaschły na

brzegach, napiłam się wody, umyłam ręce i powoli skierowałam się w stronę tego przedmiotu w barwach ochry i czerni, który spodobałby się Laurze. Nie wymyśliłam żadnej wymówki na wypadek, gdyby mnie przyłapała.

Wsunęłam rękę do kieszeni zakietu. Miała jedwabną podszewkę. Wyczułam monety i kilka papierków, które sprawiały wrażenie paragonów. Gus patrzył, co robię, nic nie rozumiejąc, aż instynkt podpowiedział mu, że moje ruchy są podejrzane, i zaszczekał. Uniósł włochate brwi niczym profesor, który przyłapał ucznia na ściąganiu. Wyjęłam typowe paragony ze sklepów i bez patrzenia włożyłam je do kieszeni spodni, żeby tylko coś wziąć, żeby nie mieć poczucia, że ryzykowałam na darmo. Nie odważyłam się sprawdzić drugiej kieszeni ani torebki i dobrze zrobiłam, bo Gus zaszczekał głośniej i już nie wiedziałam, czy moja matka nadal mówi, a w korytarzu pojawiła się Ana, bosy, jakby położyła się obok mamy, żeby czuć się wygodniej. Na samą myśl, że leżała na łóżku moich rodziców i pewnie zostawiła na nim swój perfumowany zapach, zacisnęłam usta, tak jak wtedy, gdy coś mi nie smakowało.

Ledwie zdążyłam się oddalić od stołu. Niewykluczone, że widziała, jak się oddalam, ale nie jak sprawdzam kieszeń. Podejrzewanie jej było niedorzeczne i haniebne, bo zniknięcie zdjęcia musiało mieć inne, racjonalne i wiarygodne, wytłumaczenie, a jednak jakiś impuls pochodzący z żołądka, a może z serca, kazał mi jej nie dowierzać.

– Cześć, Verónico – powiedziała, stając na rozstawionych nogach, zapierając się bosymi stopami o podłogę i biorąc się pod boki. Miała lekko umięśnione ramiona od ćwiczenia na siłowni.

– Zobaczyłam, że jesteś, i skorzystałam z okazji, żeby coś zjeść – powiedziałam, przysiadając na poręczu sofy.

Rzuciła okiem na swoje rzeczy, potem na mnie, a następnie na torbę ze sklepu obuwniczego stojącą obok sofy i widoczną tylko do połowy.

– Już idę – powiedziała, otwierając torebkę i wyjmując bilety do kina. – Weź. Daniel prosił mnie, żebym je kupiła na dzisiejszy wieczór. Nic mnie nie kosztowało przynieść je i przy okazji zobaczyć się z Betty. – Ściszyła głos. – Chyba czuje się lepiej, prawda?

– Ma ochotę wyjść z domu. Bardzo dziękuję, Ano – powiedziałam, czując się jak nędzny szczur.

Znów było słyhać, że moja matka coś mówi, i po dwóch minutach pojawiła się Ana z butami w ręku. Upuściła je na podłogę i wsunęła stopy, włożyła zakiet, lekki i luźny, który wisiał na niej niedbale, jakby nie zależało jej na wyglądzie. Zanim wyszła, znów otworzyła torebkę i wyjęła szminkę od Diora.

– Użyłam jej tylko raz, nie do twarzy mi w tym kolorze.

Podziękowałam jej i jak tylko poszła, wyrzuciłam szminkę do kosza. Ana upierała się, żeby wciąż traktować mnie, jakbym miała czternaście lat.

Wytarłam krople śliny Gusa z werandy i dokończyłam sprzątanie w kuchni, zanim poszłam do pokoju rodziców, bo chciałam spokojnie zająć się ubieraniem matki, żeby po powrocie ojca mogli pójść do kina.

Zauważyłam to, ledwie weszłam do pokoju. Gdyby pozwolono mi wybierać, nie chciałabym być taka drobiazgowa, wolałabym zauważać tylko to, co ważne, co może mieć wpływ na losy naszej planety i gwiazd, na wielkie postępy ludzkości. Jednak okoliczności, ciemna strona księżycy i inny świat mojej matki przygotowały mnie na zwracanie uwagi na drobiazgi i z pewnością nie można już było nic na to poradzić. Zanosilo się na to, że będę przewrażliwioną kobietą, a później dociekliwą i podejrzliwą staruszką.

Drzwi szafy nie były dokładnie zamknięte. Matka właśnie zdejmowała bluzę, w której drzemała po obiedzie. Pomogłam jej. Powiedziałam, że Ana przyniosła bilety do kina i spytałam, czy ma ochotę pójść. Miała. Ana podgrzała jej szklankę mleka. Była aniołem. Tajlandzki kochanek nie zasługiwał na nią, chociaż na szczęście Ana nie była taka jak Wampirzyca, była odważna i nie pozwoliłaby się nikomu tknąć. Szkoda, że nie miała dzieci, bo te dzieci miałyby matkę, która bardzo dobrze by je chroniła. Musiałam się ugryźć w język, żeby nic nie powiedzieć. Bolało mnie, że moja matka uważa Anę za lepszą od siebie.

– Tego nigdy nie będziemy wiedzieć, mamó.

A potem spytałam ją z roztargnieniem, kto otwierał szafę. Zaskoczyło ją to pytanie.

– Poprosiłam Anę, żeby czegoś poszukała.

– I znalazła to? – zapytałam tym samym roztargnionym tonem.

– Nie. Straszna z niej niezgara. Chociaż dokładnie mówiłam jej, gdzie ma szukać, nie mogła tego znaleźć.

– Chcesz, żebym ja poszukała?

– Nie, nie. To nic takiego. Głupstwo.

Jakbym to widziała: matka poprosiła ją, żeby poszukała teczki, a Ana nie chciała jej znaleźć, bo to ona zabrała zdjęcie. Nie wiedziałam, czy to było właściwe wyjaśnienie, ale niewątpliwie elementy układanki pasowały do siebie.

Kiedy ojciec wrócił do domu, matka była już ubrana. Włożyłam jej futro z norek, bo chociaż był wrzesień, dni zrobiły się chłodne i nie mogliśmy ryzykować, że się przeziębą. Tymczasowo umieściłam pieniądze, które chowała w kieszeni, w jednej z jej szuflad, pod stosem rajstop.

– Po co trzymasz te pieniądze, mamo?

– Na nieprzewidziane wydatki.

Zanim zaprowadziłam ją do salonu, włożyłam torbę ze sklepu obuwniczego pod swoje łóżko.

Uczesałam matkę z przedziałkiem z boku i pofalowałam jej bardziej włosy za pomocą nakładki na suszarkę. Zrobiłam jej bardzo delikatny makijaż, malując usta na kolor podobny do tego rózu, który Wampirzyca nazywała pąsowym. Kolczyki z trzech złotych kuleczek dodawały jej blasku. Gdy była skupiona na swojej twarzy, na policzkach i ustach, na jasnych plamkach przypominających wyspy na czarnych wodach oczu, spojrzała na mnie z uwielbieniem, w taki sposób, że nie mogłaby mi tego odebrać żadna Laura ani nikt z tego świata. Pod futrem miała moje dżinsy z czasów, kiedy nosiłam rozmiar trzydzieści sześć, i cienki sweterek z krótkim rękawem.

Ojciec popatrzył na nią z zachwytem. Wydawało mi się niemożliwe, żeby kochanek Any mógł ją tak podziwiać, jak mój ojciec podziwiał moją matkę.

Prowadził żonę pod rękę, niemal unosząc ją w powietrzu.

Zanim wyszli, matka powiedziała: „Ucz się najpilniej, jak potrafisz”. A potem

wbiła wzrok w moje botki.

– Ładnie się prezentują. Przypomnij mi, żebyś ci za nie oddała. Traktuj je jako prezent ode mnie – powiedziała.

Uszczęśliwiona pojechałam do sklepu. Trasa wydawała mi się coraz krótsza. Pokonywałam ją prawie na ślepo. Wzięłam ze sobą podręcznik akademicki, żeby czytać po drodze i żeby nadzieje, które pokładała we mnie moja biedna matka, nie były aż tak bezpodstawne. Być może wbrew prognozom lekarzy wyzdrowieje i będę mogła zrobić jej najwspanialszy prezent, jaki w życiu dostała: zabrać ją do utraconej córki, żeby spadł jej ciężar z serca i żebyśmy mogli być szczęśliwi, o ile można być szczęśliwym przez dłuższy czas.

W autobusie obejrzałam paragony sklepowe, które były w kieszeniach zakietu Any. Kilka z nich pochodziło ze sklepów z Milla de Oro, ale był też maleńki kwitek z supermarketu znajdującego się przy ulicy Alcalá, naprzeciw parku Retiro. Kupiła tam mleko, jogurty, nescafé i papier toaletowy. Musiała mieszkać gdzieś w pobliżu. Nikt nie oddała się zanadto od swojego domu, żeby kupić podstawowe produkty. Zmiałam paragony, zamierzając je wyrzucić do jakiegoś kosza, który zobaczę po drodze, ale się rozmyśliłam i ponownie włożyłam je do kieszeni spodni.

Całe szczęście, że dotarłam przed czasem, bo zobaczyłam, jak Laura oddała się od sklepu bardzo szybkim krokiem. Nie miała na sobie butów na obcasie. Ja jeszcze się nie przyzwyczaiałam do botków i próbowałam za nią nadążyć, jak mogłam. Nie widziała mnie, szła, patrząc w chodnik, i nie interesowało ją nic wokół niej. Dręczyły ją własne myśli. To, co miała w głowie, było znacznie ważniejsze od wszystkiego, co znajdowało się na zewnątrz. Obeszliśmy dość opustoszały park, w którym tylko od czasu do czasu z mroku wyłaniał się jakiś pies ze swoim panem. Ściemniało się. Zza wysokich gałęzi drzew stopniowo wynurzał się księżyc. W tamtym momencie każde żywe stworzenie, każda istota ludzka coś czuła. Nie da się przestać czuć, tak jakbyśmy przyszli na świat, żeby zapełnić go uczuciami. Ja czułam teraz, że jestem pierwotną kobietą, z górnego paleolitu, która wyruszyła na łowy i śledziła tę drugą kobietę zmierzającą w jakieś nieznane mi miejsce. Z pewnością na tej praktycznie odludnej planecie my, istoty ludzkie, byliśmy bardzo ważne jedne dla drugich, bo te

drugie zawsze mogły nas nauczyć czegoś, co uratuje nam życie. Tysiące lat później wciąż oświeślał nas ten sam księżyc. Czy tamci ludzie też kłamali tyle co my dzisiaj? Czy mieli poczucie honoru? Byli nieobliczalni czy ich więzy społeczne opierały się na zaufaniu? Mając za sobą tysiące lat, staliśmy się nieufni, a za następne kilka tysięcy będzie nam bardzo trudno wzajemnie się oszukiwać.

Zatrzymała się przed Miejskim Konserwatorium Tańca i Muzyki. Miało ogród przy wejściu i duże, bardzo błyszczące okna, przez które sączyła się muzyka. Weszłam i śledziłam ją wzrokiem. Szła korytarzem, rozpinając żakiet. Zatrzymała się przed jakąś dziewczynką, którą matka prowadziła za rękę. Ręka dziewczynki znalazła się teraz w jej dłoni. Zabrała ją do sali, na której widniał napis: „Od sześciu do dwunastu lat”. Umierałam z ciekawości. Czyżby to ona była nauczycielką? Mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka ubrana w różowe tutu wybiegła do toalety znajdującej się naprzeciwko. Przystanęłam w pobliżu i kiedy dziewczynka wróciła z toalety i otworzyła drzwi, mogłam zobaczyć Laurę odwróconą plecami, ubraną w czarny trykot i getry. A więc tym się zajmowała po wyjściu z pracy. Dawała lekcje baletu.

Już miałam odejść spod klasy, gdy nie wiadomo skąd wyszła jakaś pani w białym fartuchu, z idealną fryzurą prosto od fryzjera i zapytała mnie z całą nieufnością odziedziczoną po naszych przodkach, czy kogoś szukam albo na kogoś czekam.

Powiedziałam jej, że słyszałam bardzo pochlebne opinie o tym konserwatorium i chciałabym zapisać swoją siostrę na balet klasyczny.

– Wobec tego powinna się pani oczywiście skierować do recepcji. Tutaj, jak się pani przekona, nikt pani nie pomoże – powiedziała, nie mrugnawszy nawet okiem i nie uwierzywszy w moje wyjaśnienia, jasno dając mi do zrozumienia, że niejedno już w życiu widziała i że nie jest głupia.

W recepcji opowiedziałam tę samą historyjkę, dodając, że słyszałam bardzo pochlebne opinie o nauczycielce Laurze Valero. Recepcjonistka skwitowała moje słowa potakującym skinieniem głowy.

– Wszyscy nauczyciele w tym ośrodku są świetni, ale Laura jest zupełnie wyjątkowa. Ma podania, które trafiły na listę oczekujących na kilka lat. Przykro mi.

Poczułam wielką, irracjonalną dumę. Jeśli gdzieś istniała moja siostra Laura, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby to ona nią była.

Gdy znalazłam się na zewnątrz, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić: czy zaczekać i pójść za nią do domu, żeby raz na zawsze przekonać się, gdzie mieszka, czy odłożyć to na inny dzień, bo ryzykowałam, że ktoś przyjedzie po nią samochodem albo że nie wróci prosto do siebie. Był bardzo przyjemny chłód. Mogłam poszukać wejścia do metra i spacerować się po centrum, wstąpić do jakiegoś baru, jednego z tych, do których chodziłam kiedyś z przyjaciółmi. Na pewno kogoś bym spotkała.

Rano ucieszyłam się, że ojciec wyszedł wcześniej niż zwykle i nie widział, że jestem skacowana, chociaż coś jednak musiał zauważyć, to pewne. Kiedy wróciłam do domu, oboje spali już od kilku godzin. On chrapał, a ona była pod wpływem środka uspokajającego, który zażywała na noc. Wcześniej zadzwoniłam, mówiąc, że spotkałam przyjaciół i żeby się nie martwili. Usłyszałam, jak ojciec mówi do matki: „Nie martw się, Verónica umie o siebie zadbać”. Jeśli o to chodzi, mama była o mnie spokojna, odkąd dwa lata wcześniej, kiedy świat – chociaż w tamtym momencie tak nie myślałam – był bardziej dla nas przychylny, musiałam wymierzyć pewnemu facetowi kopniaka w jaja.

Były styczniowe wyprzedaże i poszłyśmy na zakupy. Gdy byłyśmy już wykończone, usiadłyśmy w jakiejś kawiarni, otoczone pakunkami. Sukienka dla mnie, dwa dresy dla Ángela, swetry i piżama dla ojca, buty dla niej. Mama przewiesiła futro z nerek przez oparcie krzesła. Siedziałyśmy w milczeniu, wpatrując się w swoje kawy, zadowolone z życia, bo w takich chwilach nie myślałyśmy o niczym, pozwalając, żeby nasz umysł był czysty, jak czysty, ciepły piasek na plaży. I właśnie wtedy ten osobnik przeszedł obok naszego stolika, krzesła i pakunków, zerwał norki z oparcia i wybiegł. To futro podarował matce mój ojciec, kiedy wygrał w totka. Nie było tego dużo, ale sam fakt, że coś nam się trafiło, zmienił nas w bogaczy i przez kilka wieczorów rodzice pili szampana do kolacji. Za nasz fart, mawiał ojciec, ilekroć podnosił do ust wąski, wysoki kieliszek. I kupił mojej matce norki, które od nie wiem jak dawna oglądała na wystawie w centrum handlowym. Pojawienie się futra w domu było świętem. Matka zdejmowała je, a ono opadało,

falując i mieniając się w połowie na brązowo, w połowie na złoto, i leżało na sofie, jakby było ogromnym kotem. Sprawiała wrażenie tak zadowolonej, że byłam wdzięczna tym biednym norkom za ich poświęcenie. Mówiła, że kiedy je wkłada, idąc sprzedawać produkty kosmetyczne, kupują od niej dwa razy więcej. Mówiła, że w nim czuje się na swoim miejscu. Mówiła, że nie chce już żadnych futer, że to jest jedyne, którego pragnęła i będzie pragnąć w życiu. Kiedy wieszala je w szafie, nakrywała je pokrowcem z białej tkaniny, który sama uszyła. A teraz jakiś skurwysyn wyrwał nam norki jakby nigdy nic, tak po prostu, bo tak mu się podobało.

Wybiegłam za nim. Tamtej zimy nosiłam buty do chodzenia po górach, które bardzo mi się wtedy przydały. On miał na sobie adidas. Musiały mu już służyć do wielu uciezek takich jak ta. Zauważyłam go kątem oka i odgadłam jego zamiary, zanim całe wydarzenie się rozegrało, ale czułam to głupie szczęście, które sprawia, że opuszcza się gardę, czułam miłe ciepło pomieszczenia po zimnie panującym na zewnątrz i wolałam nie zdawać sobie sprawy, że zdałam sobie sprawę i dalej dumać nad kawą. Zakupy nas oszołomiły i nie chciałam się ocknąć.

Matka mnie wołała. Wybiegła za mną, nie zastanawiając się dwa razy i zostawiając nasze rzeczy bez opieki, także torebki. Potem jej to wypomniałam, ale rozczarowałyby mnie, gdyby postąpiła inaczej. Nie mogła nas dogonić. Ja nie zamierzałam się zatrzymać. On co chwila oglądał się za siebie. Zawadzało mu futro, a mnie nic nie przeszkadzało i miałam wielką ochotę to zrobić. Biegając, czułam, że to jest coś, czego pragnę najbardziej na świecie, zemścić się za to, czego nas pozbawiono, za wszystkie te chwile jak ta, tamtego popołudnia, które nam zrabowały zjawy, za te chwile, kiedy można było nie myśleć o niczym, którymi nie pozwoliły nam się cieszyć. Zjawy zmuszały nas do zachowania czujności, tymczasem, kto by pomyślał, on nie był zjawą, a ja czułam wielką wściekłość i miałam wielką ochotę go dopaść. Możliwe, że poczuł moją furję, bo potknął się o futro i upadł, a wtedy poszybowałam, pomknęłam jak strzała, jak kamień rzucony z dużą siłą, i dobiegłam na czas, zanim zdążył się podnieść. Miał jedno kolano na ziemi i wyciągnął składany nóż. Pokazał mi go, a wtedy kopnęłam go w twarz z całej siły, jaką dał mi rozpęd oraz wielka ochota, żeby to zrobić. Kiedy wstał i podniósł wolną rękę do twarzy, wymierzyłam mu drugiego kopniaka, w jaja, więc nie miał wyjścia i upuścił nóż.

Kopnęłam także ten gówniany nóż i już miałam powiedzieć: „Zobacz, co robię z twoim nożem i z twoją twarzą”, lecz nie miałam ochoty się odzywać. Złamałam mu nos, ale było mi wszystko jedno. On by mnie zadźgał i wcale by się tym nie przejął.

Szłam, otrzepując futro z kurzu, gdy zobaczyłam, że pojawiła się moja matka. Przystanęła, żeby zaczerpnąć tchu. Jaka szkoda, że futro upadło na ziemię.

– Czyś ty oszalała? – powiedziała, krztusząc się. – Co ci przyszło do głowy, żeby mierzyć się z tym nieszczęśnikiem? Przecież mógł cię zabić.

– Nie mógł – odparłam, podając jej futro.

– Jak to nie mógł? A może jednak?

– To ćpun, nie ma siły. Ale ja faktycznie mogłabym go zabić.

Spojrzała na mnie trochę wystraszona i objęła mnie.

– Nie ma niczego, absolutnie niczego, co byłoby warte narażania życia.

A ktoś? Czy był ktoś wart narażania życia nas wszystkich? Uwolniłam się z objęć i spojrzałam jej w twarz. Jej piękne czarne oczy, jak czarne gwiazdy, chciały mnie zrozumieć. O coś błagały. Matka była najbardziej wystraszoną kobietą, jaką w życiu widziałam. Ja natomiast nie chciałam bać się nikogo, przynajmniej, jeśli był z krwi i kości i mogłam rozwalić mu mordę.

Ledwie weszłyśmy do kawiarni, otworzyłyśmy torebki i policzyłyśmy pakunki. Nikt nie ośmielił się niczego nam zabrać.

Kelner powiedział, że za kawy nic się nie należy i że chętnie poda nam następną, ale my czułyśmy się skrępowane, że wszyscy na nas patrzą z podziwem, więc wyszłyśmy. No i nic nie powiedziałyśmy Ángelowi, żeby nie brał ze mnie przykładu.

Teraz to się powtórzyło. Gdy wieczorem zrezygnowałam z czekania, aż Laura wyjdzie z konserwatorium, i zapuściłam się w okolice, gdzie były bary, do których chodziłam w ostatnim roku szkolnym, w młodości, w poprzednim życiu, nie spotkałam nikogo, kto by mnie zainteresował. Nie było Rosany ani innych moich przyjaciółek, ani kolegów, na których zwykle wpadałam, ilekroć tam przychodziłam. Z jednej strony byłam zadowolona z postępów w sprawie Laury, a z drugiej niezadowolona ze wszystkiego innego. Chciałam się spotkać z ludźmi i równocześnie nie chciałam towarzystwa ludzi, niepokoiłam się o matkę i nie chciałam wracać

wcześniej do domu. Tak się pechowo złożyło, że akurat wtedy zobaczyłam nauczyciela filozofii z liceum, tego, który zawsze mówił, że to, co najlepsze, dopiero nadejdzie i czytał nam Epikura oraz *Dialogi* Platona. Był sam. Był wstawiony, nie pijany, w stanie, w którym człowiekowi wydaje się, że jest genialny. Zapytał, na jakie studia się zapisałam. Poczuliśmy ulgę, że nie muszę kłamać, i powiedziałam mu prawdę: że moja matka zachorowała i że przegapiłam termin zapisów. Wymówki, powiedział. Z taką postawą nigdy do niczego w życiu nie dojdę. Uparł się, żebym napiła się z nim piwa. Zapytałam go, dlaczego jest sam. Z tego, co widzę, ty też, powiedział. Tym lepiej, dodał, dzięki temu możesz zostać chwilę ze mną. Powiedziałam, że przykro mi, ale muszę iść, że moi przyjaciele zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i że spływam. Skoro tu weszłaś i przywitałaś się ze mną, to widocznie nie bez powodu. Zamówił mi jeszcze jedno małe piwo, nie pytając mnie o zdanie. Chciało mi się pić. Pierwsze wypiałam dwoma łykami, to trzema. Powiedz mi, zapytał, dlaczego się ze mną przywitałaś? Oczy mu błyszczały i mówiąc do mnie, nachylał się bardzo blisko. Był pan moim ulubionym nauczycielem. Opowiadał nam pan o życiu i mówił interesujące rzeczy. Wyjaśniał pan nam, że to, co najlepsze, dopiero nadejdzie. Trochę się uśmieł. Pamiętasz najgłupszą rzecz, jaką zdarzyło mi się wam powiedzieć. Sam nie mogłem w to uwierzyć, kiedy się słuchałem. Chcesz, żebym ci powiedział coś naprawdę ciekawego? – spytał, chwytając mnie za ramię. Nie, nie chcę, żeby pan mi powiedział nic więcej. Podobały mi się pana lekcje i pomyślałam, że ucieszy pana ta wiadomość. Puścił mnie. Wargi błyszczały mu od wina.

– Potrzebuję coś zjeść, a ty potrzebujesz mądrości. Chodźmy – powiedział, znów biorąc mnie za ramię. Zostawił banknot za napoje i odebrał resztę. Był ożywiony.

– Byłaś moją najlepszą uczennicą. Pamiętam, z jaką uwagą słuchałaś.

– No dobrze, muszę już iść – powiedziałam. – Cieszę się, że pana spotkałam.

Mocniej ścisnął mnie za ramię.

– Słuchałaś, ale niczego nie rozumiałaś. Nic a nic. To zdanie wcale tak nie brzmiało. Chcesz usłyszeć, jak dokładnie brzmiało?

– Przykro mi – powiedziałam, próbując uwolnić ramię z jego uścisku – nie mogę dłużej zostać.

– Przykro ci, przykro ci. Najlepsze nadejdzie jutro, ale jutro to przyszłość, a przyszłość jest niczym, jest pustką. Tak brzmiało to zdanie – stwierdził, przyciągając mnie do siebie z niezwykłą siłą.

Jego błyszczące wargi zbliżały się do mojej twarzy, prawie ją muskały.

– Panie profesorze, to boli.

Jak się nazywał? Właśnie zapomniałam. W tym momencie nie mogłam myśleć ani pamiętać. Już nie mogłam słyszeć.

– Nie chcę, żebyś mnie podziwiała ani żebyś mnie pamiętała. Chcę tylko, żebyś poszła ze mną na kolację.

Idąc i zatrzymując się raz po raz, dotarliśmy do ulicy, przy której znajdowały się restauracje z obrusami w kratę i świecami. Chociaż było zimno, obcokrajowcy jedli kolację w małych ogródkach urządzonych przy wejściu i oddzielonych od ulicy skrzynkami z kwiatami. Ponieważ nauczyciel był bardzo silny, popychał mnie do środka jednego z tych ogródków, zawadzając o stoliki. Było mi strasznie wstyd i chętnie zapadłabym się pod ziemię, żeby mnie nie widzieli ci zagraniczni turyści. Nie chciałam brać udziału w tej scenie rodzajowej, więc nie miałam innego wyjścia, jak kopnąć go w goleń już na samym progu restauracji.

– Nie chcę wchodzić – powiedziałam i uciekłam.

W klasie nigdy nie wydawał mi się ani tak wysoki, ani tak silny. Ciemnobrązowa marynarka, którą miał na sobie, sprawiała, że wyglądał na tęgiego i groźnego.

Popędził za mną wielkimi susami. Biegłam. On też. Nagle zatrzymałam się gwałtownie i podeszłam do niego.

– Wiedziałem – mruknął.

Wymierzyłam mu następnego kopniaka w nogę i pociągnęłam go za włosy. Podrapałam go po twarzy, a kiedy chwycił mnie od tyłu za ramiona, nadepnęłam mu na stopę z całej siły, jaka we mnie narastała, aż krzyknął z bólu. Zdzieliłam go pięścią w szyję, a na koniec złapałam stołek z jednego z ogródków i cisnęłam w jego głowę. Wydawało mi się, że się zachwiał. Pobiegłam przed siebie. Pociłam się i musiałam przystanąć, żeby odetchnąć, a wtedy z jakiegoś baru ktoś pomachał do mnie ręką. Był to jeden z moich dawnych przyjaciół.

Zawahałam się, czy iść dalej, czy spróbować zapomnieć o nauczycielu. Wybór został dokonany. Mój przyjaciel wyszedł z lokalu, żeby na mnie zaczekać. Nazywaliśmy go Kłapouchy, nietrudno zgadnąć dlaczego, i nigdy nie myślałam, że tak bardzo się ucieszę na jego widok. Objęłam go i tak dalej. Wypiłam jeszcze kilka piw z nim i jego paczką, ludźmi, którzy nigdy by nie podejrzewali, że przed chwilą dałam wycisk typowi mierzącemu metr osiemdziesiąt parę.

W drodze do autobusu błagałam niebo, żeby to, co się stało tego wieczoru, wcale się nie wydarzyło, albo przynajmniej, żebym nie spotkała nauczyciela, tylko kogoś do niego podobnego, jego sobowtóra.

Wstałam z łóżka, niepokojąc się, czy nie zraniłam go poważnie tym stołkiem. Najgorsze ze wszystkiego było to, że lubiłam czuć wściekłość. Gdy byłam wściekła, pozbywałam się nieśmiałości i wrażenia, że się ośmieszam. Wściekłość pozwalała mi być sobą. Zostało mi jeszcze trochę czasu do zobaczenia się po południu z Laurą i porozmawiania z nią. Musiałam się pozbyć wątpliwości. Być może moja matka w końcu odkryła, że ta Laura nie jest jej Laurą, że nadaremnie się trudziła i dlatego zachorowała. A może nie miała dość odwagi, żeby podjąć decyzję, którą ja zamierałam podjąć. Bójka z nauczycielem sprawiła, że nabrałam ochoty na więcej. A skoro ja nie miałam niestety innego wyjścia, jak dowiedzieć się o istnieniu Laury, nadszedł już czas, żeby i ona dowiedziała się o moim. Jeśli się myliłam, tym lepiej dla niej, w jej życiu nic się nie zmieniało. Ja też nie byłam niczemu winna.

Mniej więcej w południe ktoś zadzwonił do drzwi. Na szczęście tato wracał koło czwartej, akurat po zakończeniu telenoweli. Zamierałam wyjść zaraz po jego przyjściu.

Popatrzyłam przez wizjer i zobaczyłam białe kwiaty, w kolorze przyjaźni i niewinności. Były to dwa tuziny róż z bilecikiem przypiętym do celofanu. Bilecikiem od nauczyciela. Prosił mnie o wybaczenie, było mu bardzo wstyd, stracił głowę i miał nadzieję, że będziemy się mogli spotkać w normalnych okolicznościach. Następnym razem będzie znacznie lepiej. Podarłam bilecik na bardzo małe kawałeczki i wrzuciłam je do ubikacji. Róże wyglądały bardzo ładnie i nie były niczemu winne, więc zaniiosłam je matce. Powiedziałam jej, że przyniosłam je w nocy. Wydało jej się to dziwne, ale udała, że to normalne, iż zjawiam się z wielkimi

bukietami kwiatów. Umieściłam je w dużym wazonie na mahoniowym stole i kiedy wstała i usiadła na fotelu, rozejrzała się dokoła i powiedziała, że faktycznie białe róże pasują do stołu i że mamy bardzo ładny dom. Niebo było szare i kilka kropel deszczu rozprysło się o szyby, za którymi była tylko melancholia. Gdy pościeliłam łóżka i trochę ogarnęłam dom, położyłam się obok mamy na sofie, z podręcznikiem akademickim, który sobie kupiłam.

– Czemu nie przyprowadzasz swoich kolegów z uczelni? Moglibyście się uczyć tutaj.

– Jeszcze nie mam przyjaciół. Na pierwszym roku jesteśmy bardzo zdezorientowani.

– To nie powinno się było zdarzyć. Powinnaś się skoncentrować na swoich sprawach, zamiast jeździć po mieście i sprzedawać kosmetyki.

– Jest czas na wszystko. Twoje kremy uszczęśliwiają wiele osób.

I wtedy przypomniało mi się o Wampirzycy i o trzystu tysiącach peset, które mi była winna i o tym, że jeśli jeszcze ich nie przelała na moje konto, znów będę musiała pojechać do Alcalá Meco. Dałam się omotać, zaufałam kobiecie, która próbowała zabić swojego męża. No i teraz nie miałam wystarczającego asortymentu, żeby realizować zamówienia. Przebiegałam wzrokiem po stronie podręcznika, niczego nie rozumiejąc. Gdyby matka się dowiedziała, bardzo by się zaniepokoiła. Trzysta tysięcy peset. Ostatnią deską ratunku był mój ojciec. Nie pogniwałby się na mnie, tylko powiedziałaby, żebym przestała robić głupstwa.

Przykro mi, Lauro, pomyślałam, czekając przed sklepem, aż wyjdzie. W środku była Greta ze swoim ukochanym, a Laura włożyła powoli żakiet, patrząc to na jedno, to na drugie, na kasę, do której jej matka zbyt często sięgała, na bardzo drogie artykuły wokół siebie, z obawą, bo Greta mogłaby w ciągu pięciu minut doprowadzić ich interes do ruiny, tym bardziej kiedy jej kochanek wszędzie za nią chodził. Ona bez przerwy głaskała go po twarzy, przytulała się do niego, nadstawiała szyję, żeby ją pocałował, a on nie miał nic przeciwko temu. Całe szczęście, że zanim Laura zostawiła ich samych, zjawiała się doña Lilí na wózku pchanym przez żwawego cudzoziemskiego chłopaka, tego samego, co kiedyś. Gretę zirytował widok matki, ale

kochanek pochylił się nad jej niebieskawymi włosami, żeby ją pocałować: już zrozumiał, że trzeba kochać doñę Lilí. Pocałował także Laurę. Jediną osobą, która nie całowała Lilí, była Greta. Prawdę mówiąc, nie wiem, na co czekała Laura, żeby wybiec stamtąd na lekcje baletu. Wydawało się, jakby była przyklejona klejem do pragnień swojej babci.

Wiedziałam, którądy pójdzie. Była osobą wierną swoim przyzwyczajeniom. Przejdzie na światłach, ani sekundę wcześniej, zanim zapali się czerwone i wszystkie samochody się zatrzymają, a i tak rozejrzy się na prawo i lewo. Wszystkich nas kiedyś uczono przechodzić w ten sposób przez ulicę i nie robić tysiąca rzeczy, które mogłyby nam zaszkodzić, ale potem człowiek stopniowo przystosowuje niebezpieczeństwo do swoich potrzeb. Laura nie zrobiła tego kroku. Oparłam się o drzwi Zary, naprzeciw sklepu obuwniczego. Ona szła, patrząc w ziemię, więc musiałam coś zrobić, żeby mnie zobaczyła.

Początkowo mnie nie poznała. To normalne. Klientkę rozpoznaje się w sklepie, nie tutaj, na środku ulicy.

Pokazałam jej botek, żeby sobie przypomniała.

22. LAURO, ALE KIM JEST TA DZIEWCZYNA Z KOBRA?

Klienci nie zdawali sobie z tego sprawy, ale ja owszem, słyszałam od czasu do czasu wózek inwalidzki Lilí nad głową. Wyczuwałam, że przejeżdża nim przez korytarz mieszkania i krąży po salonie, a potem po pokojach, tak więc obecność mojej babci była nieustanna, przenikała przez sufit sklepu i wszystko pochłaniała. Przenikała moją czaszkę. Znikała tylko podczas lekcji w konserwatorium. Ale po ich zakończeniu jej obraz wracał i zostawał aż do następnej lekcji. Nie zdając sobie z tego sprawy, czekałam na ten moment, w którym, że tak powiem, wyłączyłam Lilí.

Tak więc o siódmej wyszłam ze sklepu. Wiał bardzo przyjemny wiatr, niespodziewanie chłodniejszy niż zwykle, taka mieszanka lata i zimy, bardzo mile widziana, bo dodawała nutę pewnej dzikości parkowi, przez który przechodziłam w drodze do konserwatorium i który służył do oddzielenia lekcji od sklepu. O tym właśnie rozmyślałam, gdy ją zobaczyłam.

Stała oparta o drzwi Zary, naprzeciw naszego sklepu, i prawie się o nią potknęłam, bo gdy przechodziłam, wysunęła nogę i poruszała czubkiem buta ze skóry pytona. Poznałam botek, a potem popatrzyłam na nią. Przez kilka sekund nie wiedziałam, o co chodzi.

– Pamiętasz mnie? – spytała, podchodząc bliżej.

– Dziewczyna z kobra.

Popatrzyła na prawo i lewo.

– Czekałam na przyjaciela, ale chyba wystawił mnie do wiatru.

– A to dopiero! – powiedziałam. – Jak botki? Wygodne?

– Nie są zbyt wygodne, ale bardzo mi się podobają. Odkąd je założyłam, jeszcze ich nie zdjęłam.

– Cieszę się. Cóż, mam nadzieję, że przyjdiesz jeszcze do sklepu.

– Pewnie – powiedziała, zajmując miejsce obok mnie i zaczynając iść razem ze mną. – Jak tylko je zobaczyłam na wystawie, powiedziałam sobie, że są dla mnie.

Była ubrana mniej więcej tak jak poprzednio, na rockowo. Gdyby Lilí ją zobaczyła, włosy stanęłyby jej dęba.

– Twój sygnet jest odjazdowy.

– Podoba ci się? Jeśli chcesz, możesz go zatrzymać – powiedziała, zdejmując go z palca.

– Podoba mi się na tobie, nie na mnie – odpowiedziałam stanowczo.

Nie znałyśmy się, nie wydawało mi się normalne, że chce mi go dać.

Wtedy zamilkła na chwilę i wzięła mnie za ramię, może trochę za mocno. Popatrzyłyśmy sobie w oczy. Nie wiem, jaki mogłam mieć wyraz twarzy. Pewnie poirytowany i zaskoczony.

– Nie przejmuj się – powiedziała, nie puszczając mnie – nie jestem wariatką. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

Potrząsnęłam ręką, żeby się uwolnić.

– To wcale nie jest zabawne. Zapomnij o mnie.

– Co ja bym dała, żebyś o mnie zapomniała. Co ja bym dała, żebyś nie istniała.

– Nie jesteś chyba jedną z tych psychopatek...

– Przepraszam cię – powiedziała. – Zaczęłam bardzo źle. Dyplomacja nigdy nie była moją mocną stroną. Nigdy nie umiałam mówić ważnych rzeczy.

– Posłuchaj – powiedziałam – nie nudź mnie. Zostawmy to tak, jak jest. Ty pójdziesz w swoją stronę, ja w swoją.

Popatrzyła na mnie, bliska płaczu. Nie wyglądała na dziewczynę, która płacze, bo nosiła sygnet z kobra, bo miała wydatne kości policzkowe, na których łzy by się rozproszyły i zniknęły. Przeciągnęła ręką z sygnetem po czarnych kręconych włosach sięgających jej do kołnierza kurtki.

– Musimy porozmawiać. Gdybym tylko nie musiała tego robić, ale nie mam innego wyjścia. Nie możemy tego tak zostawić, jakby nic się nie stało.

Gdy znalazłyśmy się blisko drzwi konserwatorium, krzyknęłam do niej:

– Nic nie rozumiem!

– Mogę ci to wyjaśnić w pół godziny.

– Nie dzisiaj. Skończmy z tym.

– Miałam napisać do ciebie list – powiedziała z oczami zaczerwienionymi od wiatru albo od łez. – Dla mnie tak byłoby wygodniej, ale wydaje mi się, że to

niewłaściwe.

Przyśpieszyłam kroku, chcąc się wreszcie znaleźć w konserwatorium. Zobaczyłam kątem oka, że nie idzie za mną, nie było słycać botków blisko mnie. Oddaliła się w przeciwnym kierunku.

Nie mogłam się skupić. Co chwilę widziałam dziewczynę z kobrą. Była już ciemna noc i w szybach odbijały się światła z okolicznych okien. Z kimś mnie pomyliła, nie było innego wytłumaczenia. Może powinnam jej była dać okazję, żeby mi opowiedziała, czego ode mnie chce, za kogo mnie bierze. Byłoby lepiej dla nas obu wyjaśnić to nieporozumienie. Uważałam za oczywiste, że jest niespełna rozumu, ale teraz, tak czy inaczej, nie potrafiłam przestać o niej myśleć. Ponieważ doszłam do wniosku, że ma nierówno pod sufitem, uznałam, że nie jest dobrze przedłużać z nią kontakt. Czy to była ostrożność, czy tchórzostwo? Dziewczyna potrzebowała pomocy, ale ja nie zaoferowałam jej pomocy po prostu dlatego, żeby się nie narażać.

Wróciłam do domu o dziesiątej. Lilí oglądała telewizję, a moja matka była na swoich włościach, siedząc na kilku poduszkach w pozycji lotosu. Zostawiły mi na talerzu tortillę z ziemniaków i sałatkę.

– Zjedz kolację – powiedziała Lilí, nie odrywając wzroku od telewizora.

Podziobałam trochę sałatkę i usiadłam obok niej. Zawsze czułam przygnębienie, widząc ją przed telewizorem, dlatego korzystałam z okazji, żeby wziąć prysznic albo trochę posprzątać w pokoju. Jednak dzisiaj musiałam komuś opowiedzieć, co mi się przytrafiło. Początkowo mnie nie słuchała, bo czekała, aż w serialu pojawi się Carol, ale potem zawołała mamę, która przyszła niechętnie. Lilí przyciszyła telewizor.

– Więc mówisz, że prawie się rozplakała? – spytała mama.

Przytaknęłam.

– Myślę, że potrzebuje porozmawiać. Czuje się samotna – powiedziałam.

– Jak tylko znów się pojawi w sklepie, daj mi znać. A jeśli będzie na ciebie czekała na ulicy albo gdzie indziej, zawołaj nas. Może być niebezpieczna – orzekła Lilí, posyłając mamie jedno z tych spojrzeń, które czasami ze sobą wymieniały, kiedy była z nimi Ana.

– Właśnie – powiedziała moja matka niezwykle zaciętym głosem. – Więcej z nią

nie rozmawiaj, słyszysz?

Być może wszystkie trochę przesadzałyśmy. Przede wszystkim ja, opowiadając im to głupstwo, coś bez znaczenia. Byłam rozpieszczonym dzieckiem. Przyzwyczaiałam się do tego, że babcia i matka są nadopiekuńcze i uważają, że ktoś zaminował cały świat z myślą o mnie. Nie do wiary, że wiedząc, jakie one są, opowiedziałam im tę głupią historię. Teraz Lilí będzie mnie zanudzać, a w sobotę nie pozwolą mi zostać całą noc poza domem.

– Uważam, że nie powinnaś się pokazywać w sklepie przez kilka dni – powiedziała Lilí, jakby nagle zmieniła się w silną kobietę, gotową na wszystko, żeby oszczędzić mi jakiegokolwiek przeciwności losu lub kłopotliwej sytuacji.

– Wie, gdzie mieszkasz, wie, gdzie udzielasz lekcji?

Pokręciłam przecząco głową.

– Jesteś pewna? – powtórzyła z tą surowością w spojrzeniu, która niepokojąco ją postarzała. – Nie schodź jutro do sklepu.

Gdy Lilí mówiła w taki sposób, oznaczało to, że niemal odchodzi od zmysłów i lepiej było jej posłuchać albo udawać posłuszeństwo. Lepiej było przegrać bitwę już na samym początku, żeby się uspokoiła.

– Pójdę tylko do konserwatorium po południu. Nie martwcie się.

Lilí zaczęła mi się przyglądać, próbując przeniknąć moje myśli i odkryć, czy ją oszukuję. Gdy tak się koncentrowała, oczy jej się zmniejszały i bałam się, że naprawdę widzi mnie od wewnątrz i odkryje, że zamierzam ją oszukać.

– Ludzie są źli – powiedziała – nie zapominaj o tym. Źli i fałszywi. Dla pieniędzy ludzie są zdolni do wszystkiego. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– W porządku, już dobrze – powiedziała mama. – To zostało powiedziane już wystarczająco jasno.

– Nie. Chcę, żebyś mi przysięgła, że zrobisz to, co powiedziałaś.

Lilí coraz bardziej wychodziła z siebie. Czy odważę się złożyć fałszywą przysięgę?

– Przysięgnąć? – zapytałam, żeby zyskać na czasie.

– Lilí! – krzyknęła mama.

– Żadne Lilí ani takie tam, Greto. Historia z tą dziewczyną nie jest normalna.

– Nie denerwujcie się. Przysięgam. Przysięgam, na co chcecie.

Nie byłam ani pobożna, ani niepobożna, chociaż chodziłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice, jednak niedochowanie przysięgi oznaczało coś takiego, jakby było się najbardziej obłudną osobą na świecie, a ja nie chciałam taka być. Chciałam być uczciwa i najszczerza jak to możliwe. Dlaczego? Nie wiem, ale tak wolałam.

– A teraz skończ kolację. Carol pojawi się za moment – powiedziała Lilí, rozsiadając się na sofie i stopniowo wracając do swojej prawdziwej natury, niczym lew, który po polowaniu i zjedzeniu ofiary zaczyna drzemać.

Wzięłam talerz z sałatką, żeby już przestały mnie zanudzać, i usiadłam obok babci, chcąc zobaczyć swoją kuzynkę. Występowała przez kilka minut, a ja po raz pierwszy nie skupiałam na niej wszystkich pięciu zmysłów. A nawet pół zmysłu. Zamiast jej twarzy widziałam twarz dziewczyny z kobrą i ten przedziwny sposób, w jaki na mnie patrzyła.

23. OBIETNICA VERÓNIKI

Laurze podobał się mój sygnet, a to, że jej się podobał, przypomniało mi o Mateo. Jednak teraz Mateo był wspomnieniem z bardzo odległej przeszłości, która nie miała nic wspólnego z Laurą ani z moją chorą matką. Ojciec prawie się nie zbliżał do taksówki. Powiedział matce, że bierze sobie część urlopu, z którego nie skorzystał w lecie, i że szpital wykończył również jego. Uznałam to za zły znak, że stara się stale dotrzymać jej towarzystwa. Wydawało się, że nie chce jej ponownie zawieść, w innym krytycznym momencie jej życia. Co do mnie, zakładało się, że chodzę na uczelnię, więc sprzedawałam tyle produktów, ile mogłam, i zacieśniałam krąg wokół Laury. Teraz albo nigdy. Nie chciałam więcej cieni w naszym życiu i liczyłam, że może uda mi się raz na zawsze rozjaśnić życie swojej matki.

Ana przychodziła nas czasem odwiedzić, co w tej sytuacji było miłe, ale wydało mi się przesadą, kiedy spotkałam ją wzburzoną, niespokojną i zmienioną na twarzy przy furtce wejściowej, gdy wychodziłam, żeby po raz drugi zagadnąć Laurę. Chciałam na nią zaczekać przed sklepem, żeby odprowadzić ją do konserwatorium, a gdybym jej nie zobaczyła, czekałabym na nią, aż wyjdzie po zakończeniu lekcji. Czułam, że machina została wprawiona w ruch i jeśli się zatrzyma, to już na zawsze.

Ana nie przyjechała z Gusem. Nie zaparkowała co do milimetra, jak to miała w zwyczaju. Wszystko to razem, gdyby nie fakt, że przed chwilą widziałam matkę pochłoniętą oglądaniem telenoweli u boku ojca, bardzo by mnie zaniepokoiło.

– Cześć, kochanie – powiedziała, całując mnie. – Dokąd się tak śpieszysz?

– Mama czuje się dobrze – stwierdziłam, zamiast jej odpowiedzieć.

Wzięła mnie za ramię.

– A może zawrócisz i zrobimy herbatę? Betty ucieszyłaby się, widząc nas wszystkich razem.

– Nie mogę, umówiłam się z chłopakiem

– Nie sądzisz, że teraz na pierwszym miejscu jest Betty?

Patrzyłyśmy na siebie bez litości. Nie rozumiałam, dlaczego nalega, żebym została w domu.

– Nie chciałabym, żebyś w tych chwilach traciła czas na rzeczy bez znaczenia, a potem tego żałowała. Poczucie winy jest najgorszą rzeczą, jaką człowiek może odczuwać.

Jej słowa sprawiły, że przez chwilę się wahałam i czułam się winna, że nie spędzam całego czasu z matką i nie mogę dotrzymać obietnicy, którą jej złożyłam, chociaż ona o tym nie wiedziała.

– Do widzenia, Ano. Dziękuję, że przyszłaś. Mama bardzo cię lubi.

24. LAURA MA WRAŻENIE, ŻE FRUWA

Następnego dnia mama była w złym humorze, bo musiała wziąć na siebie ciężar zajmowania się sklepem. Ja powiedziałam, że pójdę do konserwatorium wcześniej, żeby uporządkować papiery i zrobić wszystko to, czego normalnie nie mogę zrobić.

– Przy okazji powiedz dyrektorce, żeby ci dała podwyżkę – rzuciła Lilí, manewrując wózkiem w drodze do łazienki.

Łazienki obawiałam się najbardziej, bo pomaganie Lilí przy przesiadaniu się z wózka na sedes oznaczało katusze. Całe szczęście, że zatrudniła Petra na dwie godziny dziennie, żeby robił z nią gimnastykę, pomagał jej przy kąpieli i zwoził ją do sklepu. Mimo to nie dało się uniknąć, żebym nadwyrężała sobie kręgosłup. Lilí cierpiała, wiedząc, jak bardzo się męczę, ale cóż mogłyśmy na to poradzić.

Gdy w końcu byłam wolna, około wpół do szóstej, zbiegłam na dół, przeskakując po dwa stopnie, a na ostatnim odcinku schodów przeskoczyłam pięć czy sześć. Miałam wrażenie, że fruвам. Dozorca pokręcił głową, widząc, co robię. Miałam na nogach adidas i zamierzałam zrobić sobie spacer życia po parku, nie myśląc o nieprawidłowościach, które będę musiała wyprostować, gdy wrócę do sklepu. To było jak dzień wakacji, a zawdzięczałam go dziewczynie z kobrą.

Nie pal, nie pij, uważaj z chłopakami, nie wracaj późno, nie bierz narkotyków. Na Boga, Lilí mówiła, żeby mówić, nie da się brać pod uwagę wszystkiego, co ci wbijają do głowy. Przechodziłam przez park w drodze do konserwatorium, myśląc, że wszystko, co widzę, zostało tam umieszczone specjalnie dla mnie, żebym ja to podziwiała, żebym ja się tym cieszyła. Począwszy od drewnianych ławek, po drzewa i niebo, i czerwony asfalt, nad którym fruwały moje buty. Moja kuzynka Carol była aktorką i już występowała w serialu telewizyjnym, ja natomiast nie miałam przyszłości, ale co zrobić. Dzisiaj miałam zamiar powiedzieć Samancie, że już czas zaprezentować ją na próbach Baletu Narodowego.

– Cześć – odezwał się jakiś głos obok mnie.

Przestraszyłam się przez tę swoją manię maksymalnego koncentrowania się na swoich myślach.

– Ależ niespodzianka – powiedziałam. – To znowu ty. Co tu robisz?

Była to dziewczyna z kobrą, z włosami rozczochranymi przez wiatr. Udałam, że jestem bardziej zdziwiona, niż faktycznie byłam, bo kiedy ją zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że liczyłam, iż w jakimś momencie się pojawi.

– To był przypadek. Zapraszam cię na kawę – powiedziała. – Zajmę ci tylko dziesięć minut. Na rogu jest bar, ale jeśli nie masz ochoty, pójdę sobie. Nie martw się.

Przyjrzałam się jej, nie wątpiąc ani przez chwilę, że pójdę z nią na kawę. Nie zniosłabym powrotu do domu, nie dowiedziawszy się, czego ode mnie chciała. A poza tym, co mogła mi zrobić? Przy dziewczynie z kobrą ja wydawałam się bardzo klasyczna. Ona była tego rodzaju dziewczyną, która idzie przez życie przebojem, która nie boi się niczego. Z pewnością była obłąkana.

Bar był staroświecki, z aluminiowymi stolikami i ladą z witryną na przekąski, więc trzeba było wysoko podnosić ręce, żeby sięgnąć po filiżanki z kawą. Do stolika przyniosła je ona, a potem wyjęła paczkę papierosów. Wzięłam od niej jednego. Zapaliła oba zapalniczką Zippo, która wydzieliała zapach benzyny. Zdjęłam żakiet i złożyłam go podszewką do góry na krześle. Ona przez cały czas obserwowała tę operację i natychmiast zorientowała się, jakiego rodzaju dziewczyną jestem.

W tamtym miejscu tamtego popołudnia miało się zmienić moje życie. Za oknami baru przesuwiał się firmament z milionami gwiazd. Dziewczyna z kobrą odsunęła kawę i zamówiła sobie piwo. Widać było, że jest zdenerwowana. Siedziała, opierając się kolanami o stół.

Moje życie zmieniło się, choć o tym nie wiedziałam, już tamtego popołudnia, kiedy ta dziewczyna po raz pierwszy weszła do sklepu. Są dni przeładowane dziwnymi przecuciami, kiedy człowiek wie, że zdarzy się coś niecodziennego. Są i inne, kiedy czuje się ukłucie szczęścia zupełnie nie w porę. Wokół nas jest tyle rzeczy, których nie dostrzegamy, a które przeszywają nas niczym igły z delikatnego kryształu. Odkąd dziewczyna z kobrą weszła w moje życie... pojawiły się przecucia. Nie czułam, że ma się zdarzyć coś strasznego i definitywnego jak wypadek samochodowy, śmierć, trzęsienie ziemi. Nie były to igły zwiastujące nieszczęście, raczej jakbym poszła się przebadać, jakby czekała mnie jakaś nieprzyjemna

niespodzianka.

Ja miałam dziewiętnaście lat. Ona wydawała się pięćdziesiąt lat starsza.

Zawsze miałam łatwe życie. Łatwe? Nie pamiętałam, żeby moje życie było łatwe. Przez całe dzieciństwo starałam się nie sprawiać przykrości Lili ani mamie, myśląc raczej o nich niż o sobie, próbując nie wywołać zniechęconego zdania: „Ty nie wiesz, co ja dla ciebie zrobiłam”, ale też nie wiedziałam, jak wygląda życie innych. Najpewniej życie było takie dla wszystkich.

– Dzisiaj wyszłaś wcześniej.

Wzruszyłam ramionami. Nie musiałam się tłumaczyć. Delektowałam się papierosem. Nie strząsnęłam popiołu, naśladując Anę, co zwróciło uwagę dziewczyny. Irytowało ją to tak samo jak mnie, gdy widziałam słupek popiołu między palcami Any.

– Nie myśl, że bez przerwy cię śledzę – powiedziała. – Po prostu poszłam do sklepu obuwniczego, a skoro cię nie zobaczyłam, założyłam, że będziesz tutaj.

– To przypadek – stwierdziłam. – Nie masz żadnego powodu, żeby tak zakładać. Nic nie wiesz o moim życiu.

– Przypadki nie istnieją. Na wszystko jest wytłumaczenie, rzecz w tym, że prawie nigdy nie umiemy go dostrzec.

– A jakie jest wytłumaczenie, że ty tu jesteś? Że mnie śledzisz? Że nie chcesz mnie zostawić w spokoju?

– Jeśli ci przeszkadzam, pójdę sobie. Nie chcę, żebyś się mnie bała. Ile masz lat?

– Dziewiętnaście – odparłam.

– Tak myślałam. Ja siedemnaście i mam na imię Verónica. – Patrzyła na mnie z nieprzyjemnym uporem. – W gruncie rzeczy jest mi bardzo przykro z powodu tego, co za chwilę zrobię. Uważam, że masz własne życie i że jesteś dobrą dziewczyną. Nie wiem, czy mam prawo wyrywać cię z twojego życia. Wszystko zależy od tego, na ile boisz się prawdy. Jeszcze możesz wybrać, daję ci taką możliwość.

– Ale co wybrać?

– Prawdę albo kłamstwo. Czasami odrobina prawdy łączy się z odrobiną kłamstwa i prawie się od siebie nie różnią, ale kiedy indziej może być tylko prawda

albo kłamstwo – powiedziała i zamówiła następne piwo, unosząc prawą rękę, rękę, na której nosiła sygnet i w której trzymała papierosa. Druga zwisała z oparcia krzesła.

Ja siedziałam sztywno, ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi ułożonymi wokół filiżanki albo podpierającymi brodę. Ona była zdenerwowana, ale zachowywała się swobodnie. Ja byłam spokojna, wyczekująca, ale trochę skrępowana. Nie siedziałabym tutaj, gdybym podejrzewała, że kiedy będę siedziała na tym krześle, przy tym stoliku coś wybuchnie mi nad głową. Tymczasem to mój świat miał wybuchnąć, a ja byłam spokojna.

– Co o mnie wiesz, Verónico?

Słyszając, że zwracam się do niej po imieniu, objęła kolana ramionami.

– Niewiele i szkoda, że nie wiem mniej. To, co o tobie wiem, dręczyło mnie przez całe życie.

Zdecydowanie miałam do czynienia z wariatką. Nawet imię do niej pasowało, Verónica szalona, i dodawało jej skrzydeł, dlatego była obawa, że sytuacja się pogorszy i dojdzie do tego, że Lilí o wszystkim się dowie, a wtedy zarzuci mi, że złamałam słowo. Wypomni mi to tysiąc razy. Ale ja też miałam dosyć jej przewrażliwienia na punkcie ludzi, którzy do mnie podchodzą. Przyznawałam, że poświęcała się dla mnie w najwyższym stopniu, bo musiała pracować bez wytchnienia w sklepie i zajmować się moimi kapryсами, jak wtedy, gdy nie chciałam zostawać w szkolnej stołówce. Tak źle to znosiłam, że postanowiła się poświęcić i przyjeżdżać po mnie w południe, dawać mi jeść i znów mnie odwozić. Nie wszystkie babcie na świecie robią coś takiego. Poza tym byłam chorowitym dzieckiem, które łąpało wszystkie wirusy, jakie się wokół mnie kręciły. Co chwila dostawałam gorączki i musiałam zostawać w łóżku. Moja mama nie mogła mnie karmić piersią, bo miała mleko złej jakości, i musiała się uciekać do butelek ze smoczkiem. Myślę, że Lilí zawsze się obwiniała o to, że nie nabrałam wystarczającej odporności. Dlatego było rzeczą normalną, że nadal traktowała mnie jak dziecko. Nie zdążyła się zmienić w tym samym czasie, kiedy ja się zmieniałam. Wciąż mnie ostrzegała, że nie można nikomu ufać, i raz za razem powtarzała, że osobami, które najbardziej mnie kochają i nigdy mnie nie zawiodą, choćby nie wiadomo co się działo, są one: Lilí i mama. Nie uświadamiała sobie, że mnie zdręcza, czasami

doprowadzając mnie do szału. Wolałabym, żeby mniej się dla mnie poświęcała i dała mi spokój, ale ją rozumiałam, a moim obowiązkiem było oddzielać to, co ważne, od tego, co wyolbrzymione. Najgorsze w babciach i matkach jest to, że nie możesz ich wyrzucić z serca.

– Ja na twoim miejscu myślałabym o mnie najdziwniejsze rzeczy. Dziwię się, że mnie posłuchałaś i przyszłaś ze mną do tego baru.

Mówiła zdaniami, które miały podwójne znaczenie. Jedno, które zrozumiałby każdy, i drugie, które rozumiałam ja. To ostatnie znaczyło: przyszłaś aż do tego baru i przyszłaś aż do mnie.

Prawdę mówiąc, ta dziwna Verónica stanowiła nowość w moim życiu. Intrygowała mnie i bawiła. Była w tym jakaś tajemnica, że tak bardzo się mną interesowała, że coś o mnie wiedziała. Nie byłoby nienormalne, gdyby łążyła za Carol, która prawie co tydzień występowała w telewizji i miała swój fanklub. To mogłabym zrozumieć. A jednak Carol mogła być kluczem do tej tajemnicy. Prawdopodobnie Verónica dowiedziała się, że jestem kuzynką aktorki i uznała mnie za doskonałą drogę dotarcia do niej.

– Znasz Carol Larios? – zapytałam nagle.

– Carol jaką? – odpowiedziała, przeciągając rękami po twarzy, jakby usiłowała zdjąć z niej zasłonę i sobie przypomnieć.

Co by sobie pomyślała, co by zrobiła jakakolwiek inna osoba na moim miejscu? Nie da się wiedzieć, nie wiedząc, tylko się domyślać, wyobrażać sobie. Zawsze mi mówiono, że mam wielką wyobraźnię, bo wymyślałam historyjki i dość dobrze rysowałam, chociaż mówiono mi również, że mam talent do tańca. Gdybym naprawdę miała wielką wyobraźnię, powinnam była skojarzyć to z Carol. Moja wielka wyobraźnia musiałaby odgadnąć, jakie są intencje Veróniki, po co do mnie przyszła.

– Nie wiem, kim jest ta Carol – powiedziała.

– Występuje w serialu telewizyjnym. Jest zatytułowany *Wrogowie*, a ona gra Úrsulę, rudowłosą dziewczynę, która zawsze nosi buty do konnej jazdy.

– A co ona ma wspólnego z nami?

– Nad tym się właśnie zastanawiam.

Moja odpowiedź zbiła ją z tropu i przez chwilę obie byliśmy w tej samej sytuacji.

– W porządku – powiedziała. – Jeśli masz chwilę, opowiem ci pewną historię.

Zapaliła następnego papierosa i zamówiła następne piwo. Odbiło jej się i kelner zerknął na nią przelotnie.

– Jestem zdenerwowana. Na pewno zauważyłaś.

– Nie znam cię – odpowiedziałam – i nie wiem, jaka jesteś przez resztę czasu.

Uniosła butelkę, jakby spodobała jej się moja odpowiedź albo jakby sobie ze mnie żartowała lub wznosiła za coś toast. Było coś irytującego w jej sposobie picia, palenia, czkania i dawania mi do zrozumienia, że uważa się za lepszą ode mnie. Zrobiłam gest, jakbym chciała wstać, bo wszystko ma swoje granice, ale w głębi duszy, na samym dnie, tam gdzie kryją się pragnienia, nie chciałam iść.

– Była sobie raz... – zaczęła bełkotać urywanym głosem. – Była sobie raz – powtórzyła – dziewczyna, która szukała swojej siostry. Siostra zaginęła, a ona jej szukała.

Siedziałam w milczeniu. Głębokim milczeniu. Ona wbiła oczy w moje, ale w końcu musiała odwrócić wzrok w stronę ulicy. Ja nawet nie mrugnęłam. Chciałam się dowiedzieć, co się kryje za tym twardym, zgnębionym spojrzeniem, jakie czasem stosowała Carol w serialu.

– Nie jesteś przypadkiem aktorką jak Carol? Czy to czasem nie jest kawał, który razem mi robicie?

Przyszła mi nagle do głowy taka ewentualność. Słyszałam, jak Carol mówiła, że czasem wciela się w inne osoby w ramach ćwiczenia. Wchodziła w rolę sekretarki, studentki, pielęgniarki. Verónica mogła robić to samo. Carol i ona uknuły ten plan, żeby się przekonać, jak daleko można się posunąć, i wybrały mnie, bo Carol dobrze mnie znała i wiedziała, że prowadzę nudne życie.

– Pudło. Szukam zaginionej siostry i chcę się dowiedzieć, czy tą siostrą jesteś ty.

Ubawiłam się. Ależ historię wykombinowały!

– Powiedz mojej kuzynce, że prawie się nabrałam.

– Ale to prawda. Wiem, kim jest twoja kuzynka i twoja babcia, i twoja matka. Lilí i Greta. Wiem, gdzie pracujesz. Teraz chciałabym się tylko upewnić, czyja jesteś

naprawdę.

Mało brakowało, żebym wybuchnęła śmiechem, ale zobaczyłam wyraz twarzy Veróniki. Smutne oczy, zaciśnięte usta. Zdjęła sygnet z palca i ścisnęła go w garści.

Popielniczka pełna niedopałków i puste butelki po piwie kojarzyły się ze zmarnowanym czasem. Czarne strzępy, które przesuwwały się za szybą, stopniowo wycofywały się gdzie indziej. Verónica zdjęła kurtkę i zawiesiła ją na boku krzesła. Miała na sobie bluzkę, która była bardzo znoszona albo na taką wyglądała. Nie wyobrażałam jej sobie wkładającej nowe, wyprasowane ubranie, jak ja. Podobało jej się wszystko, co było zmalretowane przez życie. Coś mi nie pozwalało wrócić do domu, do mojego bezsensownego życia. W gruncie rzeczy nie miałam nic ciekawszego do roboty niż przeciągać jeszcze trochę tę grę. Moje przyjaciółki były dziewczynami w moim stylu i nawet Carol, która była aktorką i można było przypuszczać, że powinna prowadzić życie cyganerii, w niczym nie przypominała Veróniki. Carol miała słabość do eleganckich strojów, asymetrycznych fryzur i włosów w kolorze kalifornijski blond. Trzymała dietę, doprowadzając się do wycieńczenia, i nigdy by nie wychyliła pięciu piw naraz. Utrzymywała tak szczupłą sylwetkę jak w wieku dwunastu lat i stosowała botoks, choć jeszcze nie miała zmarszczek. Verónica przeciwnie. Było jej wszystko jedno, że nie jest idealna i że rękaw kurtki wlecze się po ziemi. Zdecydowanie nie była aktorką, w każdym razie nie taką aktorką jak Carol.

Carol zawsze wiedziała, kim będzie. Jako mała dziewczynka była praktycznie taka jak teraz. Nie znaczy to, że zatrzymała się w rozwoju i pozostała dzieckiem, ale że miała przyszłość skompresowaną w swojej małej głowie, w swoich małych nogach, swoich małych uszach. Podnosiła głowę, bo nie była zbyt wysoka, dzięki czemu sprawiała wrażenie wyniosłej i dlatego w serialu grała córkę właściciela ziemskiego. Oddałaby wszystko, żeby mieć niebieskie lub zielone oczy, ale jej były pospolite i to zmuszało ją do utrzymywania szczupłej sylwetki i do jak najwyższej samooceny.

– A kim ty jesteś? Skąd się wzięłaś? – zapytałam, wpatrując się w jej wargi, nieco posiniałe, najprawdopodobniej na skutek złego krążenia.

– Już ci mówiłam, szukam ciebie.

– Tego już za wiele. Idę.

– Boisz się – powiedziała, przyciskając do piersi mój żakiet złożony w kostkę. – Ale już nie można się cofnąć. Za dużo już wiesz.

Wyrwałam jej żakiet jednym szarpnięciem i położyłam go koło siebie.

– Chcesz powiedzieć, że po urodzeniu moja matka oddała cię do adopcji?

– Nie. Chcę powiedzieć, że to ty zostałeś adoptowana.

Na zewnątrz noc była ciemna i aksamitna. Błyszczały światła okien z mieszkań naprzeciwko. O tej porze Lilí jadła pewnie kolację, a mama prawdopodobnie gdzieś wyszła.

– Co ci jest? Dlaczego nie odpowiadasz? – spytała zaniepokojona Verónica.

– Myślałam o czymś innym.

Oparła klatkę piersiową o stół i pochyliła głowę w moją stronę.

– Czy przez te wszystkie lata nic nie wydało ci się dziwne? Nie usłyszałaś jakiejś niezwyklej uwagi? Czegoś, co wyrzyło ci się w pamięci?

Pokręciłam przecząco głową.

– Urodziłam się 12 lipca 1975 roku w klinice Los Milagros o jedenastej rano i ważyłam trzy kilogramy i siedemset gramów. Przykro mi, że straciłaś siostrę, ale pomyliłaś się co do osoby. Mam nagrania wideo ze swoją matką w ciąży i ze mną zaraz po urodzeniu.

– A masz jakieś nagranie albo zdjęcie z sali w klinice?

– Nie zwróciłam uwagi. Może tak, może nie. To bez znaczenia. Są setki zdjęć.

– Także takie, na których matka karmi cię piersią? – Verónica skrzywiła się, jakby coś ją zabolalo. Mogła to być również mina wyrażająca odrazę. – Wybacz – powiedziała. – Za bardzo cię naciskam.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś moją siostrą, twoja matka jest moją matką, a twój ojciec moim ojcem?

– I mój brat twoim bratem – dodała. – Ale dopóki nie zrobimy testów, nie będziemy mieli pewności. Wszystko zależy od tego, co ty postanowisz.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Odkąd miałam dziesięć lat. Wyobraź sobie, co za koszmar.

Verónica mnie niepokoiła i przyprawiała o szybsze bicie serca, ale równocześnie było mi jej żal.

– Nie jestem osobą, za którą mnie bierzesz, ale nie chciałabym się znaleźć w twojej skórze i pomogę ci w miarę możliwości.

– To mi wystarczy – powiedziała, wkładając kurtkę. – I na twoim miejscu na razie nic bym nie mówiła rodzinie. Lepiej, żebyś się upewniła.

I wtedy wyjęła z plecaka plastikową siatkę, a z siatki czerwone pudełko pokryte łuskami z papier *mâché*, które mnie wzruszyło. Może wzruszenie nie jest odpowiednim słowem: wyróciło do góry nogami całe moje życie. Był to przedmiot towarzyszący mi przez dużą część dzieciństwa. Potem przestałam go widywać i zapomniałam o nim. Sama go zrobiłam na lekcji prac ręcznych. Pogłaskałam nierówne, niezdarnie wykonane łuski.

– Skąd to wzięłaś?

Wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia.

Wyszłam, wkładając żakiet.

– Gdzie mogę cię znaleźć?

Powiedziała, że na razie to ona zlokalizuje mnie.

– Dobrze wiem – dodała – że to nie w porządku, ale czasami życie jest do dupy.

Widziałam, jak odchodzi. Miała chód sportsmenki. Biedna dziewczyna, pomyślałam. Na jej widok nikomu nie przysłoby do głowy, że nosi w sobie tragedię.

Chociaż ani przez moment nie wątpiłam, że ta historia nie ma nic wspólnego ze mną, od tamtego popołudnia nic już nie było takie samo. Wchodząc do konserwatorium, żeby poprowadzić lekcje, czułam się tak, jakbym właśnie wróciła z długiej podróży. Dlaczego Verónica była tak bardzo przekonana, że to ja jestem jej siostrą? Nie zapytałam jej o to i teraz ogarnęły mnie wątpliwości. Dlaczego ja?

Zajmowałam się uczennicami, przeklinając się za to, że nie zadałam tego zasadniczego pytania. A jeśli się już więcej nie pojawi? Pozwoliłam jej odejść, nie biorąc od niej numeru telefonu. Ona wiedziała, gdzie mieszkam i kim są członkowie mojej rodziny, a ja nie wiedziałam nic. W dodatku poprosiła mnie, żebym o niczym

nie mówiła w domu. Oczywiście, że nie opowiem o naszym spotkaniu – Lilí mogłaby dostać zawału – przede wszystkim po tym, jak nalegały, żebym trzymała się z daleka od tej osoby.

Wieczorem po wyjściu z konserwatorium matka Samantha pomachała mi z samochodu na pożegnanie, a ja zostałam na przystanku, czekając na autobus.

Gdy wróciłam do domu, Lilí oglądała film. Robiła to w półmroku, żeby móc powoli zasypiać. Przywitałam się z nią i poszłam do kuchni coś skubnąć. Mamy nie było. Lilí zawołała, wyciągając szyję:

– Widziałaś znowu tę wariatkę?

Powiedziałam, że nie słyszę, co mówi, że porozmawiamy później. Może nadejdzie taka chwila, kiedy będę jej musiała powiedzieć prawdę, ale teraz lepiej było milczeć. Nie wchodziło w rachubę, żeby przed pójściem spać wyskakiwać z czymś tak okropnym, że nie pozwoliliby nam zasnąć przez całą noc. Zdjęłam pokrywkę z talerza, który zwykle zostawiały mi na blacie kuchennym. Były na nim smażone sardele i sałatka. Zjadłam trzy czy cztery, nie siadając, oparta o zlew. Nie byłam głodna.

Minęłam salon w drodze do swojego pokoju. Nie miałam ochoty na oglądanie telewizji z babcią.

– Idę do łóżka, poczytam trochę.

– Nie słyszałaś, co mówiłam? – nalegała Lilí. – Pytałam, czy widziałaś znów tę dziewczynę.

– Nie myśl o niej więcej – powiedziałam. – Już nawet nie pamiętam, co się stało.

W mojej szkole była adoptowana dziewczynka. Miała na imię Isabel i była Murzynką. Jej rodzice pojechali po nią chyba do Mali, kiedy miała trzy czy cztery lata. Była bardzo szczęśliwa. Przez cały czas nuciła. Miała bardzo urocze warkoczyki i nosiła dzinsy z haftami na kieszeniach. Wyglądała jak lalka. W niektóre wakacje rodzice zabierali ją do jej kraju rodzinnego, żeby zobaczyła, gdzie się urodziła, i nie zatraciła swoich korzeni, ale dla niej to była kara, bo wolałaby pojechać na obóz ze swoją klasą. Mówiła, że nikogo tam nie zna i że nie smakowało jej jedzenie. Zniknęła z mojego życia, kiedy miałam dwanaście lat i zmieniliśmy mieszkanie. Aż do tej

chwili nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zadać sobie pytanie, co się mogło z nią stać, czy teraz, kiedy miała dwadzieścia lat, rok więcej ode mnie, bo zaczęła naukę z opóźnieniem, zżerała ją ciekawość, jaka jest jej biologiczna rodzina. Z pewnością, dorastając, stopniowo uświadamiała sobie, że żyje w dwóch światach, z których zna tylko jeden. Zawsze unikałam wspomnienia o tym w domu, bo Lilí natychmiast uciniała rozmowę, mówiąc, że nas nic nie obchodzi życie tych ludzi.

Rodzice Isabel chcieli dać jej braciszka, więc adoptowali trzyletniego chińskiego chłopczyka, po którego musiała przychodzić do przedszkola po zakończeniu lekcji po południu. Była zmuszona zabierać go ze sobą na lekcje baletu, a potem bawić się z nim na placu zabaw, aż przychodził po nich ojciec lub matka, bo oboje pracowali w szpitalu i wciąż mieli dyżury i zmiany. Czasami przychodził także ich dziadek, który zawsze nosił garnitur i krawat, nawet gdy było bardzo gorąco. Isabel i jej brat rzucali się biegiem w jego stronę, jak tylko go zobaczyli. Radość była tak wielka, że nawet ja się cieszyłam, chociaż nie był moim dziadkiem ani nie próbowałam do niego podejść.

25. VERÓNICA PONA WIA ATAK

Czekałam na nią na rogu. Gdy tylko Laura wyszła, zobaczyła mnie i podeszła. Musiała jeszcze wpaść do domu po szal dla babci: w sklepie ze względu na ciągłe otwieranie i zamykanie drzwi od ulicy panowały przeciągi. Oparłam się o ścianę, gotowa czekać nadal, a wtedy ona powiedziała: „Chodź ze mną, jeśli chcesz”.

Nadarzała się wyjątkowa okazja poznania domu mojej ewentualnej siostry. Serce zabiło mi trochę szybciej, jakby moje serce wiedziało coś więcej niż ja. To była brama tuż obok sklepu.

– Nie ma ani mojej babci, ani matki. Właśnie zeszły do sklepu –powiedziała, żeby mnie uspokoić i żeby uspokoić siebie.

– Poza tym nie znają mnie – powiedziałam. – Mogłabym być jedną z twoich przyjaciółek. Chyba masz przyjaciółki, co?

Była to elegancka kamienica zbudowana w zamierzonych czasach, z ogromną bramą, żeby mogły wjeżdżać powozy. W głębi znajdował się ogród.

– Pójdź przodem i powiedz dozorczy, że idziesz do przychodni dentystycznej. Wejdz na pierwsze piętro, ja zaraz przyjdę.

Spotkałyśmy się na podeście z czarno-białą marmurową posadzką i oknem, przez które w słoneczne dni musiało wpadać bardzo przyjemne światło. W mieszkaniu unosił się zapach kadzidelka. Kadzidelko trafiło tam zapewne za sprawą Grety, a meble, które wyglądały na bardzo porządne, jej babci. Były bliskimi kuzynami mahoniowego stołu z naszej jadalni. Było ich za dużo: dwa stoły w jadalni, dwa stoły na środku, mnóstwo krzeseł i foteli. Pewnie musiały znaleźć miejsce dla mebli z domu na osiedlu El Olivar, kiedy się z niego wyprowadziły.

– Jest nad sklepem. Kiedy nie ma zbyt wielu klientów, słychać wózek Lili.

Mieszkanie było bardzo duże, ze stiukowymi kwiatami na suficie, z rozsuwanym drzwiami, z kryształowymi żyrandolami. Szłam za Laurą przez niekończący się korytarz aż do pokoju jej babci, gdzie wszystko było białe: kapa, zasłony, ściany. Otworzyła garderobę i wzięła jeden z białych szali wiszących według rozmiaru.

– A gdzie jest twój pokój?

– Za zakrętem w prawo. Tutaj są włości mamy – powiedziała, wskazując salonik z kilimami wiszącymi na ścianach i z etnicznymi poduszkami.

– Ale ładne! – zawołałam od wejścia.

– Ma salonik do przyjmowania swoich gości, sypialnię – powiedziała, przepuszczając mnie – i łazienkę. Ona lubi takie rzeczy. Wszystko, co tu widzisz, przywiozła z Maroka. Obrazy maluje sama.

Wyglądały jak namalowane przez dziecko, ale przynajmniej kolory były wesołe. Rozejrzałam się i wyobraziłam ją sobie, jak leży na tych poduszkach w swojej długiej spódnicy. Zobaczyłam kilka bardzo ładnych niskich rzeźbionych stolików i właśnie wtedy odkryłam coś, co wydało mi się znajome. Cały popiół z papierosa, niemal nieprzełamany, na popielniczce z grawerowanego srebra. Coś takiego widywałam tylko u siebie w domu, kiedy odwiedzała nas Ana.

– Twoja matka pali?

Laura ruszyła bardzo szybkim krokiem.

– Spóźnię się do konserwatorium – powiedziała.

– Popiół na tej popielniczce zostawiła twoja matka?

– W domu mama wypala tylko od czasu do czasu skręta z Larrym. Moją babcię diabli wtedy biorą.

– Czy ktoś dzisiaj odwiedził twoją matkę?

– Nie wiem – odparła, gdy przechodziłyśmy przez główny salon, zagracony ciemnymi meblami. – To mogła być Ana. Ana pali Marlboro Light.

Ana paliła Marlboro Light. Czyżby to był zbieg okoliczności? Skąd się tu wzięła Ana?

Zeszłam po schodach otumaniona. Jeśli to była ta sama Ana, nie mogło chodzić o zbieg okoliczności. Przeszłam na drugą stronę ulicy i zaczekałam, aż Laura da babci szal. Potem podbiegła do mnie i ruszyłyśmy w kierunku konserwatorium. Zaczęła mi opowiadać o swoich uczennicach. Pokładała wielkie nadzieje w jednej z nich, która miała na imię Samantha i była niewiarygodnie elegancka, świeża, doskonała.

– A ty? Dlaczego nie zostałam baletnicą?

– Próbowałam, ale ja jestem przeciętna, nie taka jak Samantha.

Zatrzymałam się, żeby na nią spojrzeć. Była dwa czy trzy centymetry niższa ode mnie, a ponieważ miałam na sobie botki, przewyższałam ją prawie o pół głowy.

– Ktoś ci to powiedział?

– Nie było takiej potrzeby. Człowiek sam zdaje sobie z tego sprawę. Tancerz doskonale wie, czego mu brakuje.

Będę musiała o tym pomyśleć w jakimś momencie swojego życia. Do tej pory nigdy nie patrzyłam na sprawy z tego punktu widzenia. Nigdy się nie zastanawiałam, czy jestem do czegoś idealna i sądziłam, że inni są równie ciemni jak ja.

– Czy ta Ana, przyjaciółka twojej matki, ma psa, który wabi się Gus?

– Wydaje mi się, że ma psa, ale nigdy go nie przyprowadza, bo moja babcia tego nie lubi.

– Jest wysoka, zgrabna, ciemnowłosa, z pasemkami siwizny, które wyglądają jak namalowane celowo, i ma kochanka w Tajlandii?

– Ta sama. Mama i ona wielokrotnie jeździły do tego kraju. Są nim zachwycone. Będę musiała pojechać autobusem, bo zrobiło się późno, a nie chcę dawać uczennicom złego przykładu.

Zostawiłam ją na przystanku obok parku, pośród ciemności rozpraszanej przez księżyc wyglądający zza wysokich koron drzew i przez światła kilku latarni.

– Zaczekaj! – zawołała za mną, gdy przeszłam już z dziesięć metrów. – Skąd znasz Anę?

Nie zatrzymałam się. Im mniej wiedziała Laura, tym lepiej. Nie byłam pewna, do jakiego stopnia jest w stanie milczeć i kłamać. Niepokoiło mnie, że nie będzie umiała udawać i oszukiwać swojej uwielbianej babci. Zamknęły jej głowę złotym kluczem. Nikt nie mógł jej rozczarować, bo do wszystkich się dostosowywała.

Teraz elementy układanki zaczynały do siebie pasować i pewnego dnia utworzą pełny obraz prawdy. Gdybym opowiedziała o tym mamie, замуrowałoby ją. Ana знаła Laurę zapewne od bardzo dawna i była do tego stopnia zaprzyjaźniona z jej matką, że razem podróżowały do Tajlandii. Mama nie zdołała się tego dowiedzieć, ufała Anie i opowiadała jej o swoich postępach w poszukiwaniu Laury. Teraz byłam już pewna, że Ana ukradła zdjęcie Laury z teczki z krokodylej skóry, żebyśmy nie

mogli mieć żadnego dowodu na jej istnienie. Powinnam była wymóc na Laurze, żeby nie opowiadała absolutnie niczego o mnie ani o moich podejrzeniach. Powinnam była ją przestrzec, żeby była stanowcza wobec swojej babci i nie dała się ujarzmić jej głosowi. Wyglądała mi na kogoś, kto w każdej chwili może coś niechcący chlapnąć, a wtedy przekonają ją, żeby mnie nie słuchała, że jestem wariatką i na tym się wszystko skończy.

26. BĄDŹ PODEJRZLIWA, LAURO

Albumy stały ułożone w porządku chronologicznym na mahoniowym regale obok telewizora. Miały skórzane okładki, a na grzbiecie wytłoczono zakres dat, z których pochodziły zdjęcia. W jakimś niewinnym momencie wzięłabym je, żeby przejrzeć fotografie, podczas gdy oglądałybyśmy film, ale teraz moje ręce nie były niewinne, na pewno by się zdradziły, dlatego zaczekałam, aż zgaszą światło i pójdą spać, żeby zabrać albumy. Mimo że mój pokój był najbardziej oddalony od pokoju babci i że pół godziny po tym, jak się położyła, dało się słyszeć odgłosy jej pochrapywania, które wznosiło się i opadało niczym martwa fala, i tak odwracałam strony powoli. Wydawało mi się, że jestem bardzo przewrotna, postępując w ten sposób, czułam się godna pogardy, lecz nie mogłam się powstrzymać. Musiałam mieć pewność, że Verónica się myli, a jeśli od razu nie wykluczyłam tej myśli, to dlatego, że z mroku wyłaniały się wszystkie te dwuznaczne zdania, które sobie przypominałam, a może i inne, które jeszcze sobie przypomnę.

Przewracałam kartki delikatnie, bo byłam pewna, że choćbym je wyczyściła rękawem piżamy, Lilí i tak zdoła odkryć moje ślady.

Irytowała mnie Verónica, taka nieskrępowana, tak mocno stąpająca po ziemi, sprawiająca wrażenie wolnej i dająca do zrozumienia, że wycierpiała więcej ode mnie. Zaczęłam od najstarszego albumu. Moja matka w ciąży, w sukience w kwiaty, w domu w El Olivar, w ogrodzie. Sądząc po dacie, musiała być w siódmym miesiącu. Widać było, że jest opalona, szczęśliwa, uśmiechnięta i mruży oczy z powodu słońca. Niebo było błękitne, a stół nakryty obrusem, jakby miały jeść obiad albo już zjadły. W ręku babci widać było szklanekę z czerwonym winem z wodą sodową. Wyrwałam to zdjęcie z albumu i jeszcze jedno, na którym byłam ja zaraz po urodzeniu, w ramionach mamy. Patrzyłam na wszystko tak szeroko otwartymi oczami, że niemal wychodziły mi z orbit. Jeśli Verónica nadal będzie mi się naprzykrzała, pokażę jej te zdjęcia, a jeśli mojej matce będzie ich brakowało, powiem, że mam ochotę nosić je w torebce.

Ana pojawiała się na zdjęciach dość często, odkąd się urodziłam do czasu, gdy

miałam dwanaście lat. Potem najwyraźniej już nie korzystała z okazji, żeby się z nami fotografować.

Na zdjęciach pojawiali się Alberto I i Alberto II, Ana, Carol i jej rodzice, a na jednym już nieżyjąca Sagrario i ja. Pamiętam, jakby to było dosłownie teraz, że w tamtej chwili Sagrario wzięła mnie za ramiona i wydawało się, że chce mi coś powiedzieć. Trwało to sekundę, a ja podświadomie jej przeszkodziłam. Co takiego wiedziałam sama o sobie albo o swojej rodzinie, czego nie chciałam wiedzieć? Całkiem o tym zapomniałam i cokolwiek to było, zagubiło się wśród słów, dni, złudzeń, pośpiesznych myśli. Aż zjawiała się Verónica i zmusiła mnie, żebym cofnęła się do świata cieni, do tego, co jest przed światłem, przed wspomnieniem. Zamknęłam oczy, ale to było beznadziejne. Amnezja jest beznadziejna.

Obejrzałam dwa albumy i zobaczyłam to, co zawsze, chociaż teraz to, co zawsze, skłaniało mnie do myślenia. Łatwo było mieć wątpliwości. Znacznie trudniej było zachować chłodny umysł i mieć na uwadze dowody, i tylko dowody. Moje życie było moim życiem, a Verónica albo była obłąkana, albo pomyliła się co do osoby.

27. LAURO, CHCESZ WIEDZIEĆ?

Verónica kazała na siebie czekać. Umówiliśmy się pod konserwatorium po zakończeniu lekcji i już od dobrej chwili stałam przy ogrodzeniu. Przyjechała taksówką i przez kilka minut rozmawiała z taksówkarzem. Był wysokim, szczupłym mężczyzną w okularach w cienkich metalowych oprawkach. Pomimo chłodu stał w samej koszuli, gdy coś mówił Verónice. W pewnej chwili spojrzał w moją stronę, chociaż nie popatrzył wprost na mnie, po prostu wodził wzrokiem, gdy rozmawiali. Jednak gdybym wiedziała, że jest ojcem Veróniki i moim rzekomym ojcem, lepiej bym mu się przyjrzała, albo może jego obecność tak by mnie onieśmieliła, że nie byłabym w stanie na niego patrzeć.

– To był mój ojciec – powiedziała Verónica. – Poprosiłam, żeby mnie przywiózł taksówką. Chciałam, żebyś go zobaczyła.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Może nie chciałam go widzieć.

– Właśnie dlatego ci nie powiedziałam, a poza tym nie byłam pewna, czy będzie mógł mnie przywieźć. Na imię mu Daniel i ma czterdzieści osiem lat.

– Jest dość młody – powiedziałam, myśląc o tym, o ile starsze są moja matka i Lili.

– Mniej więcej w normie – odparła. – Jest taksówkarzem. Taksówka należy do nas.

Ruszyliśmy przez park, kierując się do domu.

– Powiedziałaś mu, kim jestem?

– Nie. Z nim jest to samo co z tobą. Nie chce zaakceptować rzeczywistości.

Gdy doszliśmy do ulicy Goi, powiedziała, że ojciec obiecał, że zaczeka na nią na postoju taksówek na placu Kolumba, żeby odwieźć ją do domu. Zatrzymałyśmy się przed bramą, obok wystawy Zary. Już miałyśmy się pocałować na pożegnanie, jakbyśmy były przyjaciółkami, ale się powstrzymałyśmy, bo tak naprawdę nie byłyśmy przyjaciółkami. Weszłam w intensywne światło bramy i poczułam, że mnie wchłania.

III. Wejdź w moje życie

28. VERÓNICA I CAŁA SIŁA DUCHA

Skremowaliśmy ciało mojej matki pewnego ranka pod koniec września, gdy ptaki śpiewały na całe gardło. Słońce świeciło jaśniej niż kiedykolwiek, gałęzie drzew zabarwiły powietrze na zielono i żółto, a z niektórych zaczęły opadać liście. Moi przyjaciele chodzili na zajęcia na uniwersytecie, inni pomagali rodzicom w rodzinnych firmach lub szukali pracy. Życie zmieniło się dla wszystkich, ale dla mnie się skończyło. Ángel był równocześnie dzieckiem i mężczyzną. Nasi dziadkowie przywieźli go z Alicante. Miał na sobie ciemne ubranie, tak jak oni. Marynarka i spodnie były na niego za duże i dawał się prowadzić niczym szmaciany pajacyk. Nie chciał sobie uświadomić, co tu robi, wydawało się, że jest nieobecny. Patrzył na chmury, na drzewa i na coś, co w oddali przykuwało jego uwagę. Nie patrzył na trumnę ani na nas, ani na księdza. Nie chciał wiedzieć o niczym z tego, co tam się działo. Ojciec trzymał go za ramiona i płakał. Ana objęła mojego ojca, a mnie pocałowała i zapytała nas, czy czegoś potrzebujemy. Byliśmy otepiali i nie odpowiedzieliśmy. Wszystko odbyło się szybko i wolno zarazem. Fakt, że to dobiegło końca, nie oznaczał, że wróciliśmy do normalności. Ludzie się z nami żegnali. Powiało zimmem. Ktoś powiedział cicho, że teraz pogoda zaczyna się psuć. Wszystko było jak w balecie. Babunia, stając w drzwiach domu, powiedziała, że jej córce nie spodobałoby się, gdyby tu zostali, więc pojechali z powrotem do Alicante. Dziadek jak zwykle nic nie powiedział. Kiedy zobaczyliśmy, że zostaliśmy w salonie tylko we troje, objęliśmy się. Ojciec pocałował nas w głowę. Ja zrobiłam omlety, ale ich nie zjedliśmy. Otworzyłam ojcu piwo, lecz go nie wypił. Miał tak mocno zaciśnięte szczęki, że wydawało się, iż pękną. Ja także. Zdjęłam Ángelowi marynarkę, bo nie był w stanie nic zrobić.

– No dalej, zdejmij też te spodnie – powiedziałam mu, zdziwiona, że słyszę swój głos.

Zadzwonił telefon, ale nie odebraliśmy. Już nie mogli dzwonić ze szpitala ani z żadnego innego miejsca, które by nas interesowało.

– Spakuj do torby piżamy i rzeczy, których potrzebujecie. Tej nocy będziemy

spali w hotelu.

Wtedy Ángel wstał. Myślałam, że zamierza w końcu zdjąć te za duże spodnie, ale nie. Zapuścił się w ciemny korytarz i po chwili wrócił z trzema śpiworami i karimatami, a potem w kuchni napełnił trzy butelki wodą, nie otwierając ust. Ojciec i ja patrzyliśmy, co robi.

Pojechaliśmy samochodem pod las i ułożyliśmy się do snu na ziemi, pod gwiazdami. Księżyc był prawie w pełni, a wszystkie cienie przynosiły wiadomość od mojej matki, wszystkie zwierzęta, które tam były, przynosiły wiadomość od mojej matki. Czułam z absolutną pewnością, tak jak wtedy, gdy człowiek się zakochuje, jak wtedy, gdy nienawidzi, że moja matka tam jest. Przestałam płakać i obserwowałam świat wokół siebie, pozwoliłam mu się otulić, pozwoliłam się zanieść pośród czarnego aksamitu i diamentów do bardzo odległych, niezwykłych miejsc. Ledwie mogłam zrozumieć, co widzę, ale się nie bałam, bo strach był zbędny. Najbardziej przypominało to jazdę kolejką górską w wesołym miasteczku. Gdy już się wsiądzie, nie da się nic zrobić, już się nie ma na siebie wpływu. Nie ma sensu się przeciwstawiać. Może moja matka to właśnie mi chciała powiedzieć. Jeśli nie będę się przeciwstawiała, jeśli nie będę myślała wbrew temu, co widzę, wszystko okaże się łatwiejsze, bardziej zrozumiałe. Powinnam wsiąść do kolejki górskiej i ufać, że jestem dobrze przypięta.

Przesunęłam się w śpiworze, bo jakieś kamyczki wbijały mi się w bok. Poprosiłam wówczas matkę, aby dała mi choć jeden znak, że tam jest. Zamierzałam ją prosić o to tylko raz, potem zostawiłabym ją w spokoju. Przez pewien czas obserwowałam cienie drzew i księżyc, aż zasnęłam. Zbudziło mnie słońce. Świeciło mi prosto w głowę i byłam spocona. Obok nas przeszło kilku alpinistów, starając się nas nie nadepnąć. Ángel nadal leżał w śpiworze, przykryty z głową, nieświadomy niczego, ale ojciec chodził tam i z powrotem, popijając wodę z butelki.

– Czy wczoraj wieczorem nie rósł tutaj sosnowy las?

Odparłam, że mnie też się tak wydawało.

– Jest zapach, ale nie ma sosen – powiedział.

Weszłam na kilka kamieni.

– Popatrz, jest tam, trochę wyżej.

Sosnowy zapach stawał się coraz wilgotniejszy: w każdej chwili mogło zacząć padać.

– Gdy przyjechaliśmy, całkiem wyraźnie widziałem pnie. Samochód nie mógł pojechać dalej właśnie z powodu drzew. Ty ich nie widziałaś?

– Cóż, to musiało być złudzenie optyczne. Było ciemno, a my byliśmy wiadomo w jakim stanie.

– Tak. Nie wiem, co mam teraz zrobić – powiedział.

Wzięłam swoją butelkę i napiłam się. Woda była chłodna, pełna życia. Żadne z nas nie próbowało zbudzić Ángela: niech śpi, ile tylko może. Gdy spał, przynajmniej nie cierpiał.

Ojciec popatrzył na niego z ogromną troską lub miłością. Był rozdarty w środku i wszystko, co z niego wychodziło, też było rozdarte.

– Gdyby jeszcze trochę zaczekała.

– Tato – powiedziałam mu – mama jest w tym powietrzu, którym oddychamy, nie może do nas przemówić, ale może robić inne rzeczy.

Spojrzał na mnie z tą samą troską, smutkiem czy miłością, z jaką przed chwilą patrzył na Ángela. Zacisnął usta, co miało znaczyć, że już nic się nie da zrobić, wszystko skończone, spadło na nas nieszczęście, i położył mi rękę za ramieniem.

– Cieszę się, że tak myślisz.

Nigdy nie będę się mogła podzielić z ojcem wspaniałym znakiem, który wysłała mi matka, przenosząc sosnowy las w inne miejsce. Musiała w to włożyć całą siłę swego ducha. Gdybym mu o tym opowiedziała, pomyślałby, że pomieszało mi się w głowie, a nie chciałam go jeszcze bardziej martwić. Jednak było mi przykro, że nie potrafił doznać ulgi, jakiej ja doznałam, i zrozumieć, że chociaż nie może jej zobaczyć ani dotknąć, może ją czuć, myśleć o niej, rozmawiać z nią.

Nie opowiedziałam o tym również Ángelowi, bo on miał własny sposób, żeby sobie pomóc. Niewiele mówił, a raczej bardzo mało, ponieważ dużo myślał. Posiadał przedziwną mądrość, którą stopniowo rozwijał od czasu, gdy zgubił się na ulicy, kiedy miał osiem lat. Nie płakał, zamknął się w swoim pokoju i posprzątał w szafie,

ułożył książki, skarpetki, pisaki. Wyrzucił świńskie czasopisma. Włożył do pralki pościel ze swojego łóżka i nastawił pranie. Potem ją zawiesił, a gdy wyschła, znów pościelił łóżko. Sprawdził, czego brakuje w lodówce, i poszedł na zakupy. Położył na swoim biurku rzeczy ze stolika, których będzie potrzebował mój ojciec. Na krześle rozwiesił spodnie i koszulę, żeby ojciec przebrał się następnego dnia, a wieczorem, po jego powrocie z pracy, powiedział mu, żeby spał u niego. Sam zamierzał spać w małym pokoju gościnnym do czasu, aż nasz ojciec zacznie wracać do życia.

29. LAURO, BĄDŹ OSTROŻNA

Miałam w torebce zdjęcia wyrwane z albumu, gdy po pięciu dniach od wieczoru objawienia ponownie spotkałam się z Verónicą.

Gwałtowniej zabiło mi serce. Roztrwoniłam te dni, czekając, aż się pojawi w pobliżu sklepu lub konserwatorium. Żeby wrócić do normalności, musiałam usłyszeć od niej, że się pomyliła i że chce mnie przeprosić. Czułam się nie na miejscu, niewygodnie, jakbym miała kamyk w bucie, a to dlatego, że gdy tamtego popołudnia w barze naprzeciwko konserwatorium nieznajoma dziewczyna wyjawiała mi coś tak intymnego, gdy odważyła się dotknąć tego, co najświętsze, a ja tego wysłuchałam i przemyślałam z całych sił, na jakie było mnie stać, wkroczyłam na niebezpieczną ścieżkę.

Nigdy nie uważałam, że jestem odważna, ale i nie tchórzliwa. „Przezorna” było właściwym słowem, ostrożna, może za bardzo. Nie przychodziło mi do głowy, żeby zwieszać się z poręczy i huścić się nad przepaścią, jak to robiła moja przyjaciółka Hermi, która zawsze ryzykowała życiem, w każdym momencie i w każdej sytuacji. Gdy jechałyśmy na narty, zjeżdżała z wytyczonej trasy. Na rowerze pędziła w dół z taką prędkością, że nie mogłam zrozumieć, jakim cudem się o coś nie roztrzaskała. Jeśli jechałyśmy samochodem, wychylała się do połowy przez okno. Jeśli szłyśmy się wykąpać w jakimś zbiorniku wodnym, skakała na główkę, nie sprawdzając, co tam jest. Jeśli zaczepiał nas jakiś chuligan, ona stawiała mu czoła. Robiła to w taki sposób, że tamten uciekał. Strasznie jej zazdrościłam. Jeśli musiałyśmy przejść przez nieoświetlony teren, zachwycała się panującym tam spokojem, a cienie nie robiły na niej żadnego wrażenia, te cienie, które pojawiają się znenacka i pełzają po ziemi. Nawet nie zwracała na nie uwagi. W tych chwilach, gdy przez zwykły cień lub odgłos kroków serce podchodziło mi do gardła, nienawidziłam Lilí i mamy za to, że zrobiły ze mnie taką delikatniśnię. Odwaga Hermi ratowała nas z wszelkich opresji, z nią poszłabym na koniec mrocznego i mroźnego świata, pod warunkiem że nie zmuszałaby mnie do robienia tego, co sama robiła. Z radością poleciałabym z Hermi na Księżyc, bo dla niej Księżyc to byłaby bułka z masłem.

Aż pewnego dnia miała głupi wypadek. Pośliznęła się w szkole na schodach. Pośliznęła się, bo chwilę wcześniej były zmywane. Stłukła sobie kość ogonową, uszkodziła nadgarstek i skręciła kostkę. Jak mawiała Lili, nigdy nie wiadomo, gdzie czyha niebezpieczeństwo, chociaż ona mówiła to czasami dlatego, żebym nie przysparzała jej zmartwień, a kiedy indziej, żebym została w domu i dotrzymywała jej towarzystwa. Oczywiście nigdy jej nie opowiadałam o szalonych wybrykach Hermi, bo zatruwałyby mi życie, nie pozwalając z nią wychodzić. W każdym razie musieli zabrać Hermi do szpitala, a dyrektorka, siostra Esperanza, poprosiła o zrobienie jej kompletnych badań, żeby się upewnić, że nie ma poważniejszych uszkodzeń ciała, i żeby później nie mogła im wytoczyć procesu, chociaż fakt, iż schody były świeżo zmywane, stawiał siostry w kłopotliwej sytuacji, bo nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego sprzątaczką nie ustawiono znaku z zakazem przejścia. A może usunęła go sama Hermi, żeby nie czekać, aż podłoga wyschnie?

W szpitalu trzymali ją przez półtora dnia. Włożyli jej w gips stopę oraz nadgarstek i prześwietlili żebra, ale dyrektorka uparła się, żeby zrobiono jej również tomografię głowy, chociaż Hermi zapewniała, że nie uderzyła się w baniak, jak mawiała. Przypadek sprawił, jeśli przypadkiem można nazwać coś, co ona sama nieświadomie sprowokowała, że koniec końców odkryto, co miała w tym swoim baniaku.

Rzeczywiście coś miała: małą, prawie niedostrzegalną rysę w ciele migdałowatym, która uniemożliwiała jej odczuwanie strachu. Lekarze powiedzieli, że nie mogła sobie tego zrobić, upadając na schodach. Być może pęknięcie nastąpiło podczas porodu, ewentualnie było dziedziczne. Wyjaśnili jej również, że w każdym razie można to łatwo ustalić, jeśli im powie, od kiedy nie odczuwa strachu. Jednak Hermi nie umiała odpowiedzieć, bo nie miała pojęcia, co to jest strach. A ponieważ nie wiedziała także, co to jest wstyd, w szkole wszystkim o tym opowiedziała. Aż do teraz nie przyszło mi do głowy, że wstyd także jest strachem, strachem, że nie będą cię lubić, że nie będziesz się podobać. Mała rysa u Hermi uczyniła z niej dzikiego żrebaka, kogoś zupełnie wolnego. Teraz patrzyłam na nią innymi oczami i cieszyłam się, że nie próbowałam być taka jak ona, nie będąc taką.

– Co czujesz, kiedy się boisz? – zapytała mnie w przerwie między lekcjami.

– Są rzeczy, które mnie paraliżują. To tak, jakby jakaś ręka odpychała mnie do

tyłu. Jakbym miała robaki w żołądku, jakbym była chora i nie miała siły rozmawiać z kimś, kogo się boję, lub przejść przez jakieś miejsce, którego się boję.

– Wygląda na to, że bardzo trudno jest się bać – powiedziała z szeroko otwartymi oczami, jak absolutna bohaterka.

– Strachu nie można się nauczyć. Albo się boisz, albo nie.

– Lekarz mówi, że strach jest formą obrony, ochrony, pozwala przeżyć. Pomyśl, co ze mną będzie, jeśli nie nauczę się bać.

– Przypomina również sytuację – powiedziałam – gdy jesteś bardzo zmęczona. Gdy jesteś bardzo zmęczona, nie możesz gwałtownie wstać, choćbyś chciała, i nie możesz nagle wybiec. Ale przede wszystkim przypomina stan, kiedy jesteś pijana. Pamiętasz, jak się upiłaś w domu Toniego, jak zrobiło ci się niedobrze i nie wiedziałaś, gdzie są drzwi? Więc to jest coś takiego. Nie myślisz jasno, jakbyś była pijana.

– Wobec tego jak może być formą obrony?

– Poza tym pocisz się, a serce bije ci bardzo szybko.

– A czy to nie jest miłość?

– Rzeczywiście, człowiek czuje się tak samo, gdy się zakocha.

Wszystko na nic. Choćbym nie wiem jak jej to wyjaśniała, nie potrafiła tego zrozumieć, zanim ją zoperowali. Jaka była Hermi bez tej rasy? Nigdy się nie dowiedziałam, bo po zabiegu nie wróciła do szkoły ani nie odbierała telefonu. Może nagle nie była w stanie znieść swojej dawnej osobowości albo się przeprowadzili, albo operacja się nie udała. Na pewno nie było łatwo czuć coś, czego nigdy wcześniej się nie czuło.

Dla mnie również było nowością to uczucie polegające na tym, że nie wiedziałam, kim mogę być w rzeczywistości, chociaż gdybym musiała to komuś wyjaśnić, powiedziałabym, że przypomina strach. Strach przed własnym życiem.

– Skąd tu się wzięło to pudełko? – zapytała Lili, trzymając w ręku pudełko z papier *mâché*, które dała mi Verónica. – Od wieków go nie widziałam. Zdaje się, że zrobiłaś je na Dzień Matki, kiedy miałaś sześć lat?

Dlaczego wciąż węszyła w moim pokoju? Dawniej uznawałam to za normalne,

ale teraz zaczynało mi przeszkadzać. Verónica na pewno nie pozwoliłaby, żeby babcia rewidowała jej rzeczy.

– Znalazłam je w graciarni i chcę, żeby stało na moim biurku.

– Ale wypadałoby, żeby miała je raczej Greta. To był prezent dla niej.

– Było w rupieciarni, babciu, nie sądzę, żeby za nim tęskniła.

– Rupieciarni nie da się otworzyć, zgubiłyśmy klucz. Jak tobie udało się do niej dostać?

Przerażająca Lilí patrzyła na mnie, oczekując odpowiedzi. Być może ludzie starali jej się przypodobać nie dlatego, że była dobroduszna, miła i łagodna, ale dlatego, że się jej bali.

– Babciu – powtórzyłam, żeby jej dokuczyć – nie mam na myśli dużej rupieciarni na dole, lecz pawlacz w swojej szafie. Daję tam wszystko, czego nie używam, a nie chcę wyrzucić.

Zrobiła wózką półobrót i odjechała do swojego pokoju. Czekala na Petra, żeby pomógł jej się wykapać.

30. VERÓNICO, JUŻ NIC SIĘ NIE LICZY

Teraz rzeczywiście musiałam porozmawiać z firmą i powiedzieć im, że moja matka nie żyje, a ja zastępuję ją już od pewnego czasu i chciałabym to robić nadal. Firma mieściła się w parku przemysłowym na południowy wschód od Madrytu i miałam trudności z trafieniem do odpowiedniego budynku. Był ze szkła i stali i akurat wyładowano przed nim skrzynie z ciężarówki. Na górze mieściły się biura i dziewczyna w moim wieku powiedziała mi, że bardzo jej przykro z powodu mojej matki, bo była bardzo sympatyczną kobietą oraz pierwszorzędnym sprzedawcą, i że lepiej, żebym porozmawiała z kierowniczką. Do tej pory nie słyszałam siebie rozmawiającej o swojej matce z nieznanymi. Nie słyszałam, jak mówię: „Moja matka nie żyje”.

Kierowniczka zaprosiła mnie do swojego gabinetu. Nosiła biały fartuch i warkocz, który wyglądał jak powróż. Nie bardzo wiedziała, jak ma mnie traktować. Teraz nie byłam już normalną osobą, przekroczyłam granicę tragedii i kierowniczka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, usiłując dostrzec, co jest po drugiej stronie.

– A czy ta praca nie przeszkodzi ci w studiach? Betty mówiła, że jesteś bardzo inteligentna i że chce, żebyś miała własną klinikę. Mówiła, że wszystko, co tutaj zarabia, jest przeznaczone na ten cel. Nie wiem, czy jej by się to spodobało.

Mogłabym jej powiedzieć, że nawet się nie zapisałam na studia, ale to by było tak, jakbym zdradziła obraz samej siebie, który moja matka chciała przekazać innym.

– Mogę to pogodzić, naprawdę. Potrzebujemy tych pieniędzy.

– Okej, na tych samych warunkach co Betty. Będzie nam jej brakowało – powiedziała, nie zatrzymując wzroku w żadnym miejscu i wspominając moją matkę.

– Była taka silna... nie potrzebowała nikogo do pomocy przy znoszeniu pudeł. Sprzedawała, co tylko chciała. Bardzo ją przypominasz, chociaż myślałam, że jesteś wyższa. Twój brat jest bardziej podobny do ojca, prawda? Ależ się uśmialiśmy, gdy nam opowiedziała, że zniknął, a potem się okazało, że schował się w drewni.

Powiedziałam im, że wezmę kosmetyki i pół tuzina suplementów diety. Kierowniczka nie wiedziała, że nie mam jeszcze prawa jazdy i będę musiała taszczyć

puddo przez cały park przemysłowy, a potem wieźć je autobusem i metrem. W przyszłości będę prosić ojca o podwiezienie taksówką, ale chwilowo musiałam sobie jakoś poradzić.

Ledwie mogłam objąć puddo rękami, no i ważyło swoje. Przesunęłam torebkę do tyłu, na nerki, a słońce przeszywało mi czaszkę, gdy rozmyślałam, jakie to zdumiewające, że ci ludzie tyle wiedzą o mojej rodzinie, my natomiast nawet nie wiedzieliśmy o ich istnieniu. Matka nigdy nam nie opowiadała o kierowniczce ani o tej drugiej dziewczynie, ani nawet o tym miejscu. Dla niej nie miały znaczenia. Więc co miało znaczenie? My mieliśmy, tego byłam pewna, i oczywiście Laura. Żałowałam, że nie zaczęłam jej szukać, kiedy jeszcze był czas. Żałowałam, że posłuchałam doktora Montalvo, Any, swojego ojca. Żałowałam, iż dałam się kilka razy przekonać, że moja matka nie ma racji, że to były urojenia. Omal się nie załamalam, gdy dowiedziałam się, że ten milion peset oszczędzała na moją przyszłą klinikę.

Babcia Marita powiedziała mi przez telefon, że powinnam pozbierać ubrania matki i przekazać je jakiejś parafii. Ja jednak nie miałam zamiaru tego zrobić, bo być może z czasem jej rzeczy nie będą mi już przypominały tragicznego momentu, w którym odeszła, lecz wszystkie te chwile, kiedy ze mną była. Pewnego dnia będę miała dzieci, może córkę, która zechce mieć coś, co należało do jej babci. Dlatego postanowiłam zatrzymać jej sukienki, buty, torebki, płaszcze, chustki, a nawet bieliznę, zawinąć każdą rzecz z osobna w jedwabny papier, zapakować do pudeł i zanieść do rupieciarni w garażu. Myślałam również o tym, żeby przerobić dużą małżeńską sypialnię na pracownię z dwoma stołami i półkami na książki, gdzie Ángel i ja moglibyśmy się uczyć, i z sofą, na wypadek, gdyby ktoś został na noc. Moglibyśmy tam trzymać wszystkie dokumenty, więc w sypialniach zrobiłoby się luźniej. Tato zostałby w pokoju Ángela, a Ángel przeprowadziłby się do gościnnego. Było to pomieszczenie najmniej z całego domu otwarte na zewnątrz, które moja matka, chcąc to zrekompensować, ozdobiła tapetami w kwiaty, narzutą w kwiaty, zasłonami w kwiaty i dywanem w stokrotki. Wszyscy lubiliśmy się tam kłaść od czasu do czasu, żeby poczytać, bo czuliśmy się jak na łące lub w ogrodzie. W lecie

było to najchłodniejsze miejsce w domu i jedyne, które do nikogo nie należało. Panował w nim ogromny spokój. W lecie słońce drżało za oknem, a powiew powietrza wydymał zasłonkę do środka pokoju, zalewając wszystko zielonymi liśćmi, czerwonymi makami, niebieskimi dzwoneczkami. W zimie zapominaliśmy o jego istnieniu, mama nawet wyłączała kaloryfer i zamykała drzwi, a jeśli przez przypadek je otwierałeś, dostawałeś lodowaty policzek. Na wiosnę zaczynaliśmy otwierać okno, żeby ten maleńki sztuczny ogród się rozmroził.

Poprosiłam babcię, żeby przyjechała mi pomóc, a ona zaczęła wycierać nos, jakby płakała. Już dawno zorientowałam się, że w szlochaniu Marity więcej jest smarkania niż łez. Nie wiesz, co bym dała, żeby wam pomóc, ale nie mogę się sprzeniewierzyć pragnieniom swojej córki. Jej nie spodobałoby się, gdybym przyjechała, a ja nie mogę spać po nocach, myśląc, że jesteście sami i że moje miejsce jest przy was. To nie do zniesienia – wytarła głośno nos – siedzieć tutaj z założonymi rękami. Ponoszę karę za to, że nie stanęłam na wysokości zadania, gdy moja córka mnie potrzebowała.

Już ledwie mogłam zrozumieć jej słowa i usłyszałam, jak mój dziadek mówi jej, żeby się uspokoiła.

Nie martw się, damy sobie radę, powiedziałam jej, też chcąc ją uspokoić, i odłożyłam słuchawkę. Jeśli dla mojej matki Marita się nie liczyła, czemu miałyby się liczyć dla mnie?

Zapomniałam o Laurze. Już nie miała znaczenia. Całkowicie przestała istnieć dla mnie, dla Ángela, a nawet dla mojego ojca, który nigdy nie znalazł dla niej miejsca w swoim życiu. Laurze nie żyło się źle i była już, jaka była. Choćby się dowiedziała, kim jest w rzeczywistości, jej życie by się nie zmieniło.

31. VERÓNICA I JESZCZE KTOŚ W RODZINIE

Wkładając klucz do zamka, usłyszałam szczekanie psa i sądziłam, że jest u nas Ana, co przyprawiło mnie o skurcz żołądka. Trudno było mi patrzeć jej normalnie w oczy, bo wydawało mi się niemożliwe, żeby nie dostrzegła odrazy, jaką we mnie wywoływała. Cała ona, od czubka głowy po buty, budziła we mnie wrogość, o którą nigdy bym się nie podejrzewała w stosunku do nikogo. Wyrzuciłam wszystkie rzeczy, które przez lata dawała mi w prezencie i które kiedyś mnie zachwyciły, gdy byłam małą dziewczynką, a świat był niewinny. Ana знаła rodzinę Laury i oszukiwała moją matkę, a to było odrażające. Ja miałam tę przewagę, że nie darzyłam Any takim uczuciem jak moja matka i wyobrażałam sobie, że jest zdolna do wielu podłości. Poza tym, kiedy przypominałam je sobie razem, musiałam przyznać, że to moja matka lgnęła do Any, to ona potrzebowała, żeby Ana jej wysłuchiwała, to ona potrzebowała się z nią spotykać, ona potrzebowała nazywać Anę swoją przyjaciółką, być może dlatego, że tylko przed nią mogła się wyzalić, opowiadając o swojej urojonej córce, tylko na niej ta historia nie robiła wrażenia.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i postanowiłam skupić się na głaskaniu Gusa, żeby nie musieć za dużo udawać przed Aną. Nie czułam się na siłach, ale też nie chciałam szczerze oświadczyć, że jej nie znoszę, przede wszystkim dlatego, że musiałam przyznać, iż potrafiła wyrwać mojego ojca z melancholii. Niespodzianka polegała na tym, że to nie Gus szczekał, lecz kwadratowy pies o długiej sierści i wysokich łapach, który, jak podejrzewałam, choć niewiele wiem na ten temat, był mieszanką różnych ras. Czyżby nowy pies Any? Nie był w jej stylu, i w dodatku nie był zbyt czysty. Tymczasem Ana nigdy się nie pocila ani brzydko nie pachniała, a jej tajemniczy dom z pewnością odpychał każdy pyłek kurzu, każdą grudkę błota i wszelki brud. Poza tym obecność Any natychmiast się wyczuwało.

– Ángel! – krzyknęłam.

– Co? – dało się słyszeć z daleka, zza drzwi łazienki.

Pies przyglądał mi się, strzygąc uszami. Musiał pochodzić z niezbyt agresywnego środowiska.

– Czy to coś czarnego i kudłatego należy od ciebie?!

Zamknęłam drzwi do kuchni, żeby zwierzak do niej nie wszedł i nie wylizał talerzy, patelni, blatu i nóg od stołu, a potem ruszyłam korytarzem. Uznałam, że ojciec jeszcze nie wrócił, bo telewizor nie był włączony, ale gdy mijałam pokój Ángela, gdzie tato sypiał od śmierci mamy, dotarł do mnie lekki odór piwa.

– Tato – wetknęłam głowę do środka. – Dobrze się czujesz?

– Trochę wypilem z kolegami i mi zaszkodziło.

Zapytałam go, czy chce, żebym mu zaparzyła rumianek albo zrobiła omlet, ale przykrył sobie głowę prześcieradłem.

– Zostaw go – powiedział Ángel za moimi plecami, zapinając sobie spodnie.

Zobaczył przerażenie na mojej twarzy. Zobaczył w moich źrenicach ojca Juanity. Nie wydawał się zaniepokojony. Pies podbiegł do nas truchtem.

– Nie martw się, powiedział mi, że nigdy więcej tego nie robi.

– I ty mu wierzysz? – zapytałam, niemal rwąc sobie włosy z głowy.

– Tak, lepiej mu wierzyć, niż nie wierzyć. Dorośli bardzo się boją. Trzeba pozwolić, żeby mu przeszło – odparł, głaszcząc psa.

Nigdy bym tego nie powiedziała bratu, ale słysząc, jak mówi w ten sposób, uspokoiliam się.

– A ten psiak? Nie chcesz chyba, żeby tu spał?

– To pies kolegi, obiecałem się nim zająć przez dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie! Oszalałeś? Jest szczepiony? Czemu nie nosi obroży?

W ramach rekompensaty Ángel zrobił spaghetti, że palce lizać.

Pies wabił się London, ale ja wolałam wołać na niego Don, bo tak mi było łatwiej. Gdy otwierałam drzwi i słyszałam, jak szczeka, nie miałam wrażenia, że dom wali mi się na głowę. Ojciec, ledwie wracał, zakładał mu smycz i zabierał go na spacer po parku, a czasami przychodził wcześniej, bo mówił, iż nie dowierza, że Ángel albo ja wyprowadzamy go, żeby się załatwił i odetchnął świeżym powietrzem. Prawdę mówiąc, ja też go wyprowadzałam, i Ángel. Na całym osiedlu nie było psa, który spędzałby więcej czasu na dworze niż on. Po trzech dniach miał swoją gumową kość

oraz kilka ładnych misek na jedzenie i na wodę. A także koc, szampon i szczotkę do sierści.

No i poznał Laurę. Obwąchał ją, zamerdał ogonem i razem odprowadziliśmy ją do konserwatorium przez środek parku, nie skrajem jak zawsze, bo teraz chronił nas Don. Cienie nie były groźne, a księżyc się uśmiechał.

Po tygodniu nabrałam zwyczaju przychodzenia po Laurę z Donem. Na ogół czekałam w okolicy Zary, czyli naprzeciwko jej sklepu, i kiedy znajdowała się na naszej wysokości, stopniowo do niej dołączaliśmy. Potem zaczynałyśmy rozmawiać, a Laura pozwalała, żeby Don lizał ją po rękach i po twarzy. Była bardzo dobrą dziewczyną i chciała, żeby świat nie był skomplikowany ani dziwny. Pod tym względem przypominała tatę. Nie mogłam oczekiwać, że zrobi wielkie postępy na własną rękę, musiałam sama je prowokować i dzisiaj miał być właśnie taki dzień, kiedy sytuacja trochę bardziej się wyklaruje. Po drodze powiedziałam jej, że zaczekam na koniec lekcji w barze na rogu, sto metrów od konserwatorium. Chciałam jej zrobić niespodziankę. Nie zamierzałam zająć jej dużo czasu. Pogłaskała Dona i weszła. Koński ogon kołysał jej się na idealnie prostych plecach baletnicy.

32. LAURA I GODZINA PRAWDY

Don był przywiązany do drzewa przy drzwiach baru. Siedział na tylnych łapach i zauważyłam, że patrzy, jak przechodzę, chociaż nie odwrócił głowy. Nie był typowym psem, na którego ludzie rzucają się, żeby go pogłaskać. Miał kanciastą sylwetkę, długie łapy, obwisłą sierść. Nie urzekał na pierwszy rzut oka. Pewnie przypominał jedną z tych osób, z którymi trzeba długo przestawać, żeby ci się spodobały albo żebyś je polubił. Gdy mieszkaliśmy w domu w El Olivar, któryś z naszych sąsiadów miał białego pieska bez sierści, z różowym pyszczkiem i krótkimi łapkami. Zwierzak wyglądał jak świnka i wszyscy, którzy go mijali, nachylali się, chcąc pogłaskać go po głowie, a on przystawał, żeby odebrać te pieścizny. Don niczego nie oczekiwał. Wypełniał swój obowiązek polegający na tym, że czekał, przywiązany do drzewa, aż jego pani wyjdzie.

Ledwie weszłam, zrobiłam krok w tył. Obok Veróniki siedział chłopak mający mniej więcej piętnaście lat. To było instynktowne. Wiedziałam, że nie mogę uciec, oni by mi na to nie pozwolili i ja sama też bym sobie nie pozwoliła.

Verónica podeszła do mnie. Wskazała na stolik i krzesła z litego drewna, na których siedzieli. Gdy tylko ktoś odsuwał jedno z nich, wydawało się, że cały lokal się wali.

– Obiecałam ci niespodziankę i oto ona – powiedziała, biorąc chłopaka pod ramię i zmuszając do wstania.

Nie chciał na mnie spojrzeć, nie chciał się ze mną przywitać. Nie chciał tam być, dawał się sterować Verónice niczym pajacyk. Wziął skafander z krzesła. Nosił dzinsy i sweter w biało-czarne paski. Miał odstające uszy i piękne, niewinne oczy, jakby nagle przeskoczył z wieku trzech lat do piętnastu. Dla Veróniki zatrzymał się na trzech. Wyrwała mu skafander z ręki.

– Dokąd się wybierasz? Siadaj. To jest Laura, a to jest Ángel. Aniołek – powiedziała i klepnęła go pieścizliwie po karku.

Ángel nadal na mnie nie patrzył, za to Verónica utkwiała wzrok w moich oczach. Jej oczy wydawały się zaspane.

– Ángel jest twoim bratem. Nadeszła godzina prawdy.

33. LAURO, NIE MÓW TYLE

Dzięki jednemu z tych testów mogłabym raz na zawsze dowiedzieć się, kim jestem, jakbym była zaledwie workiem komórek. Na dobre czy na złe, byłam już, kim byłam, ale zżerała mnie ciekawość. Gdyby Verónica naprawdę była moją siostrą, a chudziutki chłopak moim bratem, moje życie byłoby inne, z pewnością nie trzymano by mnie aż tak pod kloszem. Verónica powiedziała mi, że oni prawie nie widują swoich dziadków. Miałabym ojca, postać, którą widywałam jedynie w domach przyjaciółek. Nie wyobrażałam sobie, jak to jest mieszkać w domu z mężczyzną. Lilí zabroniła mamie sprowadzać tu swoich kochanków i dlatego od czasu do czasu mieszkała poza domem. Zdarzało się, że wyjeżdżała ze swoją przyjaciółką malować do Tajlandii. Lilí mawiała, że mama jest rozrzutna i że doprowadza sklep do ruiny. Całe szczęście, że mam ciebie, mówiła mi. Nie zdawała sobie sprawy, że dla mnie na pierwszym miejscu zawsze będzie mama i niezależnie od tego, co zrobi, stanę po jej stronie.

W każdym razie już nie patrzyłam na swoją rodzinę tymi samymi oczami. Nie dostrzegałam w sobie tego, co się nazywa podobieństwem rodzinnym. Należało przypuszczać, że jestem podobna do swojego ojca, który miał pewnie niebieskie oczy i włosy wpadające w blond. Zanim zobaczyłam go w drzwiach taksówki, kiedy przywiózł Verónicę pod konserwatorium, ojciec był dla mnie czymś w rodzaju ducha, który zapłodnił moją matkę, ulotną istotą, meteorytem, który zdeponował życie w tym domu i ruszył dalej w swoją drogę. Nigdy tego nie roztrząsałam, zaakceptowałam rzeczy takimi, jakie były. Teraz już nie wystarczyło mi to, co wiedziałam, w głowie mi kipiało i mogłam zacząć od swojego ojca. Carol miała ojca i matkę, Alberto II miał Alberta I i znał swoją matkę. Nigdy nie czułam się taka obca w rodzinie jak na weselu Alberta II.

Ślub był dla nas całkowitą niespodzianką. Lilí i ja skorzystałyśmy z okazji, żeby kupić sobie ekskluzywne sukienki, a mama założyła śliczny szal z Manili. Alberto II był bardzo skryty i choć mało mówił, dużo myślał. Było prawie niemożliwe, żeby palnął jakieś głupstwo. Zawsze budził we mnie szacunek. Od dziesięciu lat robił

doktorat z matematyki. Miał kręcone, niesforne włosy jak ojciec, prosty, cienki nos jak ojciec, okrągłe oczy jak ojciec, długie, szczupłe nogi jak ojciec i wydawało się, że potrzebował tylko ojca, żeby żyć, dlatego stanowiło wielką zagadkę, skąd nagle okazał się na tyle rozmowny, że podbił serce tak zuchwałej dziewczyny jak jego świeżo poślubiona żona, zdolna wyrwać mikrofon soliście orkiestry, którą zamówili, żeby samej pośpiewać. Początkowo bardzo ją oklaskiwaliśmy, bo szło jej całkiem nieźle, ale potem bylibyśmy wdzięczni, mogąc posłuchać zawodowego piosenkarza, a przede wszystkim odprężyć się i nie musieć bić wściekle brawo. Ktoś nawet powiedział, że wyszła za męża, żeby móc zaśpiewać na swoim weselu. Tymczasem wszystkie tańczyliśmy z Albertem II, żeby go zabawić, a kiedy nie tańczył, pił i obserwował oczarowany swoją żonę, która czuła coraz większe natchnienie i zawładnęła estradą.

– Jest niesamowita – powiedziałam mu, siadając obok niego i obserwując ją wraz z nim.

Miał więcej zmarszczek, niż zawsze u niego widziałam, i przesadnie błyszczące oczy, a na brodzie zaczął mu się pojawiać zarost, jakby minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd powiedział sakramentalne tak.

– Nie sądzę, żebym potrafił ją uszczęśliwić. Spójrz na nią.

Przyjrzałam jej się uważniej. Śpiewała meksykańską piosenkę ludową, a oficjalny śpiewak tańczył z druhnami.

– Jest szczęśliwa, nie widzisz? I ty też, a poza tym zrobiliście ważny krok, pobraliście się. Kiedy ludzie biorą ślub, muszą mieć jakiś powód. Weź na przykład moich rodziców. Nie udało im się pobrać.

– A ty skąd wiesz?

Zaśmiałam się, a jemu wyśliznął się z ręki kieliszek szampana. Złapałam go w locie.

– Wszyscy wiedzą, że moja mama jest samotną matką.

– Ta druga też? – zapytał.

– Jak to, czy ta druga też? Kto to jest ta druga?

Przyglądał mi się, jakby coś obliczał. Jego kręcona czupryna, którą fryzjerka

zdołała okiełznać na ceremonię, teraz unosiła się gwałtowniej niż kiedykolwiek.

– Nie widzisz, że jestem pijany? O nic mnie nie pytaj.

Wstał, a ja złapałam go za rękaw. Prawie go pociągnęłam.

– Znałeś mojego ojca?

– Nie! – odpowiedział.

Żeby uwolnić się od mojego uścisku, próbował ode mnie uciec, ale ja szłam za nim, prawie biegnąc.

– Nigdy go nie widziałeś?

Wymykał mi się, robiąc nagłe zwroty, aż zderzył się z kelnerem i strącił całą tacę z kieliszkami, więc nie miałam innego wyjścia, jak dać mu spokój.

Mama i Lilí tańczyły i piły beztróska. Były wśród rodziny, wśród swoich. Lilí wirowała na wózku jak szalona, ale kiedy Alberto I zdołał ją usadzić na fotelu, żeby nie zajmowała sama całego parkietu i nikogo nie potrąciła, wózek przywłaszczyły sobie dzieci i było niemal jeszcze gorzej.

Po wysiłku, jakiego wymagało przesadzenie Lilí na fotel, wuj Alberto był zmuszony wyjść do ogrodu, żeby odetchnąć. Wzięłam dwa kieliszki szampana i podałam mu jeden z nich.

Pogłaskał mnie po głowie.

– Dziękuję – powiedział. – Jest ktoś, kto pamięta o ojcu chrzestnym.

– Wesele jest niesamowite.

– Tak, niesamowite. Nie trzeba być jasnowidzem – powiedział, wskazując pannę młodą – żeby zobaczyć katastrofę.

– No cóż, jeśli zdobyli się na ten krok, to znaczy, że wierzą w swoją przyszłość.

Wysmukły Alberto, we fraku i z siwymi lokami sterczącymi na pół metra w górę, wyglądał jak dyrygent. Skrzywił się, co miało znaczyć, już się stało i cóż możemy poradzić.

– Mnie by się podobało – powiedziałam – gdyby moi rodzice się pobrali i gdybym przynajmniej poznała swojego ojca. Jaki był?

– Tego naprawdę się nie spodziewałem – mruknął do siebie. – Chcesz jeszcze jednego?

Już nie wrócił. Czekałam na niego, widząc z zewnątrz, że rozmawia z tymi i z tamtymi, że tańczy. Wuj Alberto był miły, dowcipny i zawsze miał dobry humor, chociaż trzeba przyznać, że widywałam go tylko na tego rodzaju przyjęciach. Jego dobry humor, wiek i okulary w niklowanych oprawkach były tym, co odróżniało go od syna.

Weszłam do sali i zatańczyłam z nim.

– Nadal mam ochotę się dowiedzieć, czy znałeś mojego ojca.

Powiedziałam to tak poważnie, że zorientował się, iż łatwo się mnie nie pozbędzie.

– Nie chcę cię okłamywać, nie znam go.

Pozwoliłam mu odejść. Ja też piłam za dużo i zapytałam także matkę Carol, czy znała mojego ojca.

Carol włożyła na wesele kreację, którą pożyczył jej pewien dom mody haute couture. Nie musiała kupować sobie zbyt wielu sukienek, bo, jako że była aktorką i grała w bardzo znanym serialu telewizyjnym, pożyczano jej śliczne sukienki, które później zwracała. Ta była różowa, w całości zrobiona z maleńkich pączków. Carol miała rozpuszczone włosy i gdy się obracała w tańcu, tworzyły jedwabną zasłonę wokół jej twarzy. Nie mogła przyjść do kościoła, bo akurat miała zdjęcia i wszyscy to zrozumieli. Była gwiazdą rodziny i wesela. Do tej pory nie udało nam się zamienić nawet dwóch zdań, więc kiedy zobaczyłam, że podchodzi do mnie z dwoma kieliszkami szampana, tak jak ja wcześniej do Alberta I w ogrodzie, bardzo się ucieszyłam.

Powiedziała mi, że bardzo ładnie wyglądam, chociaż mnie u fryzjera zebrano włosy i przypominałam lalkę. Ona natomiast nawet sukienkę z różowych pączków nosiła ze swobodą i naturalnością. Budziła we mnie głęboki podziw.

– Już dawno nigdzie razem nie byliśmy ani nie rozmawialiśmy – powiedziała.

Przypominałam jej, że ostatni raz poszłam po nią do telewizji i że dla mnie oznaczało to przygodę, bo poznałam prawie wszystkich aktorów występujących w serialu i gawędziłam z nimi podczas poczęstunku. Powiedziałam jej, że jest najładniejsza ze wszystkich aktorek i że gra najlepiej. Wzięła mnie za rękę i uściśniła

ją. Poczułam, że jesteśmy żyte i że właśnie dlatego tamtym razem, kiedy przydarzyło jej się to, czego nie można było nazwać po imieniu nawet w myślach, zwróciła się do mnie. Wtedy powiedziała mi, że jestem jedyną osobą w rodzinie, która nie jest taką gadułą jak reszta, i umiem trzymać buzię na kłódkę. Gdy miałam piętnaście lat, poszłam z nią na zabieg przerwania ciąży do pewnego mieszkania, w którym był pokój z noszami. Nigdy nie widziałam tyle krwi i nigdy tak bardzo się nie bałam, ale przysięgłam jej, że wytrzymam, i wytrzymałam, aż udało im się zatamować krwotok. Była tak słaba, że nie mogłyśmy stamtąd wyjść. Musiałam zadzwonić do niej do domu i powiedzieć, że jest ze mną u przyjaciółek i że zostaniemy na noc. Ja uchodziłam za poważną i odpowiedzialną, więc mi uwierzyli. Następnego dnia, gdy wróciła do domu, powiedziała, że spała w śpiworze i że się przeziębila, dlatego mogła spędzić cały dzień w łóżku. Nigdy więcej o tym nie rozmawiałyśmy, chciałyśmy, żeby było tak, jakby to się wcale nie wydarzyło.

Pociągnęła łyk ze swojego kieliszka i ściszyła głos.

– Przestań już wypytywać o swojego ojca. Dzisiaj wszyscy za dużo wypiliśmy. Zostaw to na inny dzień.

– Dlaczego?

– Posłuchaj mnie. Proszę, posłuchaj mnie. Nie rozumiem, co cię naszło z tym twoim ojcem.

– Dlaczego nie rozumiesz?

– Do tej pory cię to nie obchodziło.

– Gdybyś była na moim miejscu, robiłabyś to samo co ja.

Kiedy zorientowała się, że jej twarz zrobiła się zagniewana, nawet bardzo zagniewana, zmieniła ją, jakby była z gumy, bo właśnie dlatego była jedną z najlepiej opłacanych aktorek w serialu. Teraz była wesoła i tym, którzy na nas patrzyli, mogłoby się wydawać, że rozmawiamy o chłopakach.

– Ja nic nie wiem, ale nie jestem głupia i ty też nie powinnaś być. Staraj się nie dać niczego po sobie poznać. Pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłam, zaczynając grać w serialu, było ukrywanie ciekawości i ochoty nauczenia się czegoś nowego. Nikt nie lubi spryciarzy.

Ja zawsze byłam w sklepie, nigdy nie musiałam walczyć z kolegami z pracy, z nikim nie rywalizowałam. Nie znałam życia, a najstraszniejszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła, była właśnie ta nieszczęsna aborcja Carol. Drugim w kolejności najbardziej niepokojącym wydarzeniem było pojawienie się w moim życiu Veróniki i otchłani podejrzeń, w którą spadałam. Kogo powinnam posłuchać? Nieznajomej Veróniki czy swojej kochanej Carol, którą znałam od dziecka. Carol chciała mojego dobra, Verónica sama nie wiedziała, czego ode mnie chce. Wiedziałam tylko tyle, że do tej pory moja rodzina była normalną rodziną.

34. LAURO, USPOKÓJ SIĘ

Powiedziały mi, że jestem zbyt nerwowa i że w sklepie zdarzają mi się pomyłki. Ja nie pamiętałam żadnej, no ale właśnie dlatego pomyłki są pomyłkami, że człowiek nie zdaje sobie sprawy, iż je popełnia. Ana stwierdziła, że w takich wypadkach najlepiej zwrócić się do specjalisty. Znała pewnego psychiatrę cieszącego się wielkim poważaniem, doktora Montalvo, który miał mi pomóc pogodzić się z moim położeniem córki wychowywanej przez samotną matkę.

Protesty na nic by się nie zdały, bo one były trzy, a ja jedna, a w dodatku już się przyzwyczaiłam, że dawałam się pokonać babci. Nie było najmniejszego sensu się z nią kłócić. Wolałam tysiąc razy przegrać, niż znosić jej smętne miny. Wszyscy uważali, że jest czarująca. I rzeczywiście była, potrafiła być czarująca bardziej, niż można by się spodziewać, ale nie zawsze. Potrafiła się także złościć bardziej, niż można by się spodziewać, a ja, odkąd zaczęłam używać rozumu, wybierałam jej miłszą stronę. Tak więc któregoś dnia po południu zadzwoniłam do konserwatorium, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność, i po wyjściu ze sklepu obuwniczego poszliśmy się zobaczyć z doktorem Montalvo. Ponieważ nie mogłam uprzedzić Veróniki, zobaczyłam, że czeka na mnie z Donem na chodniku. Na szczęście połapała się w sytuacji i usunęła się z widoku, ale szła za nami aż do drzwi gabinetu, przez co jeszcze bardziej się denerwowałam, bojąc się, że Lilí się zorientuje. Niezależnie od tego, czy była moją siostrą, czy nie, nigdy bym jej tego nie wybaczyła. Gdy doktor Montalvo się ze mną przywitał, trzęsły mi się ręce. Przytrzymał jedną z nich w swoich dłoniach i uśmiechał się do mnie. Jego uśmiech działał bardzo uspokajająco. Poprosił mnie, żebym usiadła, i przybliżył wózek Lilí do swojego biurka.

– Bardzo łatwo jest wpaść w obsesję i znaleźć się w muszli ślimaka, rozumiesz? – powiedział, zwracając się do mnie. – Bardzo dobrze zrobiłaś, przyprowadzając ją teraz, kiedy jeszcze mamy czas ją z tego wyciągnąć – dodał, zwracając się do mojej babci. – Nie ma powodu do zmartwienia.

Potem poprosił o rozmowę sam na sam ze mną. Doktor Montalvo i ja przeszliśmy

do innego gabinetu, zamiast wyprosić Lilí.

Powiedział mi, że liczy się tylko teraźniejszość, a tamta przeszłość, której nie mogę już naprawić, przedłużyć ani się nią cieszyć, nie jest rzeczywista. Nie mogłam znów być małą dziewczynką i mieć ojca, bo to było niemożliwe. W rzeczywistości miałam natomiast babcię i matkę i właśnie dzięki temu byłam szczęśliwa i stałam się piękną kobietą, którą jestem teraz. Jego słowa, zamiast mnie podnieść na duchu, podziały przygnębiająco.

– Wyrzuc te zjawy ze swojej głowy, bo w końcu oszalejesz. Korzystaj z życia i patrz w przyszłość, ponieważ na przeszłość nie da się nic poradzić. I uważaj, z kim zawierasz znajomości, bo osoba nie zrównowazona ma tendencję do przekazywania swoim bliskim czy przyjaciołom własnych zaburzeń.

Przez trzy kwadransy wiercił mi dziurę w mózgu swoimi słowami, w mózgu, w którym byli Verónica, Ángel, Don i rzekomi rodzice, których jeszcze nie znałam. Z tym że oni nie należeli do przeszłości, tylko raczej do przyszłości.

Zapisał mi jakieś witaminy i tabletki na głęboki sen, bo choćbym uważała, że dobrze sypiam, widać było po moich oczach, że nie dochodzę do fazy REM. Lilí zabrała recepty i powiedziała, iż dopilnuje, żebym zażywała lekarstwa.

35. VERÓNICA NAD TOBĄ CZUWA

Laura zwlekała z wyjściem dłużej niż zwykle i nie szła sama. Popychała wózek inwalidzki i patrzyła przed siebie, dając mi do zrozumienia, że dzisiaj nie będę mogła odprowadzić jej do konserwatorium. Musiałam przytrzymać Dona, żeby się na nią nie rzucił. Odwróciłam się, patrząc na okna wystawowe, kiedy zaszczekał. Wszelkie siły, których Lilí brakowało w nogach, miała w głowie i połapała się we wszystkim. Musiała się zajmować córką bujającą w obłokach i porwaną lub kupioną wnuczką. To ją zmuszało do nieopuszczania gardy i zachowywania ciągłej czujności. Kilka osób podeszło, żeby ją pozdrowić, a wtedy robiła dobroduszną minę i popisывała się swoim dzieciinnym głosem, żalonym i śpiewnym. Szłam za nimi w pewnej odległości.

Laura zrezygnowała z obcasów i miała na sobie buty na solidnej gumowej podeszwie, tak jak wtedy, gdy musiała iść przez pół godziny do konserwatorium, ale wyglądało na to, że dzisiaj opuszcza lekcje baletu. Od czasu do czasu pochyłała się nad niebieskawymi włosami babci, żeby zamienić z nią kilka słów, a czasami zatrzymywały się przed jakąś wystawą, na ogół przed sklepami z galanterią skórzaną i obuwniczymi, które chciały porównać z własnym sklepem. Parę razy pracownicy tych sklepów rozpoznawali doinę Lilí i wychodzili, żeby ją pozdrowić. Zeszły do ulicy Serrano, a potem poszły pod górę do ulicy Juana Bravo. Byłam pewna, iż Laura czuje, że jesteśmy gdzieś z tyłu, w odległości kilku metrów. Musiała raz na jakiś czas słyszeć szcęknięcie Dona i w jakiś sposób także moje kroki, wyczuwać moją obecność. Wypiły kawę, którą Lilí zagryzła ciastkiem, i poszły dalej swoją drogą aż do ulicy generała Díaza Porliera, aż do bramy, która wydała mi się znajoma. Laura zobaczyła nas kątem oka.

Dobrze znałam to miejsce. Mieścił się tam, na czwartym piętrze, gabinet doktora Montalvo. Nie było wątpliwości. Mógł to być przypadek, mogły przyjść w odwiedziny do kogoś innego. Jednak tak duży zbieg okoliczności był chyba niemożliwy. Szły do tego samego gabinetu, do którego chodziła moja matka. Nie podobało mi się to. Kto był pacjentką? Doña Lilí czy Laura? Nie wiem, dlaczego

wyobrażałam sobie, jak doktor Montalvo wstawia Laurze gadkę o tym, że lepiej nie chcieć zbyt dużo wiedzieć i że brzydko jest podejrzewać, zwłaszcza osoby, które najbardziej cię kochają, które się o ciebie troszczyły i pomogły ci się stać tym, kim jesteś. Nie zdziwiłabym się, gdyby doktor powiedział jej, że wykazuje objawy obłądu.

Nie mogłam zostać do ich wyjścia. Ojciec czekał na nas na postoju taksówek na placu Kolumba, żeby zawieźć Dona do domu. Dlatego ruszyłam w tamtym kierunku i też pojechałam z nimi. Tym razem Don musiał się zadowolić jazdą na tylnym siedzeniu.

– Tato, dlaczego mama poszła do psychiatry?

– Miała problemy. Przecież wiesz, tę swoją obsesję.

– Tak, wiem, ale dlaczego do tego psychiatry, do doktora Montalvo?

– Jest bardzo dobry, polecono nam go. Ale ona była uparta. Po trzech czy czterech sesjach nie chciała już chodzić. Wolała nadal rozmyślać o tym samym.

– Kto wam go polecił? Lekarz rodzinny?

Poprawił okulary, wbijając je sobie w nasadę nosa.

– Teraz już nic z tych rzeczy się nie liczy. Wtedy liczyło się za bardzo. Zezłościłem się, dlatego że przestała chodzić, i nadal się złościę. Jestem pewien, że Betty zachorowała, bo za dużo rozmyślała, bo tak się gryzła. Cierpienie atakuje serce. Gdyby trzymała się doktora Montalvo, gdyby go posłuchała, być może...

Był coraz bardziej załamany, nawet się nie zorientował, że powinien wyłączyć długie światła.

– Nie sędzę, tato. A poza tym mama była bardziej niezależna niż wiele innych osób. Nawet ten cholerny doktor Montalvo nie mógł sobie z nią poradzić.

Przyglądał mi się tak długo, że musiałam pokazać mu ręką, żeby patrzył na drogę.

– Wydaje mi się, że to Ana ją zaprowadziła. Trzeba było próbować wszystkiego – powiedział.

W którymś momencie będę musiała pójść zobaczyć się z Marią, asystentką detektywa Martunisa, i powiedzieć jej, że moim zdaniem elementy układanki zaczynają się przyciągać, jakby miały magnes, i że miała rację: pewnego dnia dopasują się do siebie i każda gwiazda będzie na swoim miejscu, każda planeta ze

swoimi księżycami i każdy ojciec i każda matka ze swoimi dziećmi, a każde dziecko z tymi, którzy najbardziej je kochają.

36. LAURA W BŁĘKITNYM POKOJU

Odkąd zaczęłam się źle czuć, Lili i mama uznały, że najlepiej zrobią, przenosząc mnie do błękitnego pokoju w głębi mieszkania. Będę tam miała więcej spokoju, nie będę słyszała wózka inwalidzkiego ani odkurzacza, ani odgłosów dochodzących z kuchni. Miały uprzedzić gospozię, żeby nie przyszło jej do głowy zaglądać do tego pokoju. Babcia powiedziała mi, że przeżywam bardzo dziwny okres, że za bardzo niepokoję się historią ze swoim ojcem i że ten niepokój może się stać chroniczny. Mnie wydawało się czymś najzupełniej normalnym i naturalnym, że jestem ciekawa, kto jest moim ojcem, ale rzeczywiście nie chodziło tylko o to, liczyło się również wszystko, co opowiadała mi Verónica o moim prawdziwym pochodzeniu. Wątpliwości zatruwały mi życie, musiałam poznać prawdę i czasami myślałam, żeby wziąć byka za rogi i zapytać o to wprost Lili i mamę, ale też nie chciałam ich poniżyć. Gdyby się dowiedziały, że podejrzewam coś takiego, już nic nie byłoby takie samo i nigdy nie zdołałabym odzyskać ich miłości. Zapytałyby mnie, co mi zrobiły, że uwierzyłam raczej jakiejś nieznanym niż im, chociaż one mnie wychowały, oddały ode mnie niebezpieczeństwa i opiekowały się mną, gdy miałam gorączkę. Nie były sobie w stanie wyobrazić ładunku emocjonalnego, który znosiłam, kochając je tak, jak zawsze je kochałam, a równocześnie widząc w nich kompletnie nieznanymi osoby.

Był to pokój przeznaczony dla gości, który Lili wykorzystywała w lecie, żeby przespać się po obiedzie, bo było w nim najchłodniej w całym domu. Miał ściany pomalowane na kolor indygo, a zasłonki były białe, więc kiedy wydymał je powiew powietrza, wyglądały jak chmury na niebie. Był bardzo miły. Postanowiły przenieść tam moje biurko, ubrania, krzesła z aksamitnym obiciem i książki. Miałam przejść kurację przepisaną przez doktora Montalvo, żeby wrócić do zdrowia. Praca w sklepie, lekcje w konserwatorium i zmartwienia szargały mi nerwy. Lili powiedziała mi, że robię dziwne rzeczy, na przykład noszę w torebce zdjęcia wyrwane z albumu. Po co chciałam mieć te zdjęcia? Jeśli były w albumie, to dlatego, żebyśmy mogły je oglądać, ilekroć zechcemy, a nie żeby się gdzieś tam poniewierały. I rzeczywiście, musiała mieć rację, bo z każdym dniem czułam się bardziej otumaniona, słabsza. Nie

chciałam zrzucić na nikogo winy, ale Verónica i jej domysły wykończyły mnie nerwowo.

37. VERÓNICA I DOSKONAŁE ŻYCIE

Już nie pamiętałam, o jakiej przyszłości marzyłam. Jaka była? Chciałam zostać lekarką? Leczyć ludzi? Moja matka miała być ze mnie dumna? Poza tym nigdy nie wyobrażałam sobie, że przeszłość mogła być tak cudowna. Zawsze uważałam, że nie byliśmy wystarczająco szczęśliwi z powodu problemów mojej matki, z powodu urojonej siostry, dlatego, że czegoś nam brakowało, że nie byliśmy tacy jak inni. A teraz, gdy ta przeszłość definitywnie zabrała mi matkę, czułam, że nie mogła być inna, że jakakolwiek inna przeszłość nie byłaby lepsza. Czułam również, że miałam dużo szczęścia, mogąc ją przeżyć. Teraźniejszość natomiast była pusta, była zimna i ciemna, jak zimowa noc, którą widziałam za oknem autobusu, gdy jechałam do domu. I dlatego, kiedy pojawił się dawny Mateo na swoim motorze, kiedy wyłonił się z cudownej przeszłości, w której jeszcze żyła moja matka, jakby wychodził z gęstego obłoku kurzu, ja już nie byłam taka sama. Już nie musiałam zapomnieć ani się wykręcać, ani udawać, że nie mam chorej matki, już w nic nie grałam. Wszystko było absolutnie rzeczywiste.

Zobaczyłam go, gdy zdjęłam słuchawkę wideodomofonu przy wejściu. Początkowo myślałam, że to listonosz, który przyniósł jakiś list polecony. Stał z boku i patrzył w dół. Jego rozczochrane włosy zajmowały maleńki ekran domofonu.

– Możesz wyjść?

Nie przedstawił się. Z góry zakładał, że wciąż mam go w oczach. Była dziesiąta rano. Zakładał również, że nie zrywam się o świcie. Piłam właśnie kawę i ścieliłam łóżka, rozmyślając o zamówieniach, które musiałam zrealizować, i o znalezieniu Laury, byle tylko nie myśleć o matce. Czasami łudziłam się, że nadal leży w szpitalu, bo jeszcze nie mogłam w to wszystko uwierzyć i Ana poradziła mi, żebym umówiła się na wizytę do doktora Montalvo. Powiedziałam jej, że kto wie, a tymczasem wyobrażałam ją sobie rozpartą na etnicznych poduszkach w saloniku Grety. Tak samo jak pewnego dnia odnalazłam Ángela w drewnitni, teraz powinnam odnaleźć Laurę. Chociaż nikt mi nie narzucił tego obowiązku, nawet moja matka, przeznaczenie podsunęło mi pod nos tę cholerną teczkę z krokodylej skóry i fotografię jakiejś

dziewczynki, więc nie mogłam się już cofnąć, nie mogłam tego tak zostawić ani nie miałam nic ważniejszego na głowie.

– Wejdz, jeśli chcesz – powiedziałam.

Wyglądałam okropnie, w grubym swetrze włożonym na piżamę. Jeszcze nie włączyłam ogrzewania i dom się wietrzył. Tak samo robiła moja matka, która czasami wietrzyła aż do południa. Białe kwiaty podarowane mi pewnego odległego dnia przez nauczyciela filozofii w ramach rekompensaty za przykre chwile, które przeżyłam z jego powodu, już dawno zwiędły i pomarszczyły się na środku mahoniowego stołu i jeszcze teraz od czasu do czasu opadał jakiś płatek. Nie uczesałam się, nic nie zrobiłam, świat się zmienił.

Mateo natomiast był w stu procentach taki sam, bez żadnej skazy. Włosy, wiecznie kielkująca broda, prochowiec po ojcu, spodnie rurki, głęboka powaga, z którą tak mu było do twarzy. Nie wzięłam prysznic, więc możliwe, że trochę brzydko pachniałam, kiedy mnie pocałował. Wetknął usta i nos między moją twarz a rozczochrane włosy i zauważyłam, że wdycha coś mojego. Nie spodobało mi się, że wydziera mi to bez pozwolenia, choćby chodziło o odrobinę brzydkiego zapachu.

– Chcesz kawy? – spytałam, przepuszczając go do kuchni.

Miałam świadomość, że otoczenie nie było najgościnniejsze na świecie. Sterta brudnych ubrań, które prędzej czy później trzeba będzie włożyć do pralki, patelnia i talerze w zlewie, szklanki na blacie.

– Nie wiedziałem, czy zastanę cię w domu.

– Ani ja, że wstajesz tak wcześnie.

Uśmiechnął się w duchu. Nigdy nie śmiał się otwarcie, bo tracił całą tajemniczość i zmieniał się w dobrego, wesołego chłopaka, całkowicie pospolitego.

Wzięłam filiżankę na chybił trafił, nie z tych ładnych, z szafki, i nalałam mu kawy z ekspresu i mleka z lodówki, a potem wstawiłam filiżankę z tą mieszanką do mikrofalówki. Pokazałam mu krzesło, ale wolał usiąść na stołku. Nie zdjął prochowca. Włożyłam gumowe rękawiczki i zabrałam się do mycia patelni.

Mateo dmuchał na kawę z mlekiem. Popijał ją małymi łyčzkami, równocześnie patrząc na mnie i na łyse drzewa za oknem.

– To chyba bardzo spokojne miejsce – powiedział.

– Jak widzisz – powiedziałam ja.

– A twoja matka? Pracuje poza domem?

– Nie ma jej – odparłam, zdejmując jednym pociągnięciem rękawiczki i wrzucając je do zlewu.

Patrzył, co robię, nie wiedząc, co myśleć, albo nic nie myślał. Byłam za bardzo przyzwyczajona do tego, że ludzie, którzy na mnie patrzą, myślą o mnie, a tymczasem bywa, że między jednym a drugim nie ma żadnego związku.

I nie myliłam się. Był pochłonięty swoimi sprawami. Rozpiął prochowiec. Pod spodem nosił czarny sweter, to był jego ulubiony kolor. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę.

– To zaproszenie na ślub.

Nie ruszyłam palcem, żeby je wziąć. Stałam oparta o blat kuchenny i schyliłam się, żeby włożyć ubrania do pralki. On nadal pił kawę. Po wlaniu płynu zmiękczającego podeszłam do stołu i wzięłam kopertę, która była z papieru bardzo dobrej jakości, przypominającego tkaninę. Tak samo w środku. Chcieli uniknąć klasycznego kiczu, ale zaproszenie na ślub to zaproszenie na ślub. Patrzył na mnie trochę wystraszony.

– Nie sądzę, żebym dała radę przyjść. To bardzo daleko.

– Bardzo byśmy się ucieszyli. Patricia nalegała, żebym cię zaprosił.

Wyobrażałam sobie Księżniczkę spełniającą swoje marzenie pod moim nosem.

– Idę wziąć prysznic, zaczekaj tu na mnie.

Wzięłam prysznic i ubrałam się. Wyrzuciłam do śmieci zwiędłe kwiaty z salonu i przetałam ścierką stół kuchenny. Zostawiłam zaproszenie na półce i powiedziałam mu, że mam coś pilnego do zrobienia, a on musi mi w tym pomóc.

– Ale ładnie pachniesz – powiedział, gdy objęłam go, siadając na motorze. Na prochowiec włożył gruby skafander.

W Alcalá Meco zapytałam o Beę, strażniczkę zaprzyjaźnioną z Wampirzycą. Powiedziałam jej, że wiem, iż to nie jest pora odwiedzin, ale muszę porozmawiać ze

swoją przyjaciółką o nowej linii kosmetyków. To świetny interes, który może nam się wymknąć w ciągu kilku godzin. Skóra Bei nosiła lśniące ślady odżywki perłowej, którą zostawiłam jej podczas poprzednich odwiedzin. Nie wspomniałam o pieniądzach, które powinna mi była przelać.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedziała.

Przeszłam przez odpowiednie punkty kontrolne i po upływie godziny zobaczyłam, że Wampirzyca pojawiła się w sali odwiedzin. Miała dłuższe włosy i przytyła. Już nie wyglądała jak modelka czy aktorka i miała niewiele wspólnego z wytworną kobietą w czarnych okularach od Diora, która czekała na mnie w swoim mercedesie koło szkoły Esfera.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytałam, gdy tylko ją zobaczyłam. – Tenisówek, czegoś do ubrania?

– Im starsze będzie to, co noszę, tym lepiej – odparła. – Dzięki temu nie wzbudzam zawiści. Dużo się tutaj uczę.

Patrzyłam na zmarszczki, których jej przybywało, a ona spojrzała na mnie pytająco, dziwiąc się, co tu znowu robię.

– Widzę, że już nie stosujesz kremów.

– Nie potrzebuję ich do twarzy, potrzebuję ich, żeby lepiej mi się żyło.

– Aha – powiedziałam – Bei, strażniczce, najwyraźniej służą bardzo dobrze.

– Pozwól jej się nimi cieszyć.

– Rzecz w tym, że mamy zaległe trzysta tysięcy peset.

Otworzyła szeroko oczy i w końcu sobie przypomniała.

– Tutaj myśli się o innych sprawach. Przepraszam. Teraz rozumiem, dlaczego znów przyszłaś. Byłam strasznie skołowana. Nie wiem, co Betty sobie o mnie pomyśli. Mogę ci zaufać?

Pestka brzoskwini utknęła mi w gardle i prawie nie mogłam mówić. Zrobiłam tyle rzeczy, o których moja matka się nie dowiedziała...

– Teraz moja matka... jest duchem.

Widziałam ją niewyraźnie, jakby jedna z nas była pod wodą.

Wzięła mnie za rękę.

– Przykro mi, bardzo mi przykro, biedna Betty.

Rękę miała lodowatą i czerwoną.

Ukryłam twarz w rękawie kurtki i rozplakałam się. Czekala, siedząc naprzeciw mnie i trzymając jedną rękę na drugiej. Gdy podniosłam głowę i otarłam łzy, powiedziała mi bardzo cicho:

– Zapamiętaj te cyfry i idź do tego urzędu pocztowego, otwórz skrytkę, w środku jest kilka kopert, weź trzysta tysięcy peset z jednej z nich i zamknij skrytkę z powrotem. Nikomu o tym nie opowiadaj.

– Ale tobie chcę coś opowiedzieć – powiedziałam, wycierając rękami tę wielką ilość łez, które wypływały same, jakby odkręcił się kran.

To było niesamowite, że o najważniejszych rzeczach we własnym życiu opowiedziałam nie swojej przyjaciółce Rosanie, ale nieznamomej, która próbowała zamordować swojego kochanka.

Gdy wyszłam, Mateo już pojechał, nie zjechał na mnie, ale było mi wszystko jedno. Miałam wiele rzeczy do przemyślenia. Przeszłam się kawałek do stacji i wróciłam pociągiem, przypominając sobie słowa Wampirzyca. Nie zdziwiło ją to, co przytrafiło się mojej matce z Laurą. Biedna Betty, powtórzyła. Nie wydawało jej się niemożliwe, że pojawiła się moja urojona siostra, ale zamyśliła się, kiedy jej powiedziałam, że od kilku dni jej nie widuję, że to bardzo dziwne, że nie przyszła się ze mną spotkać, i boję się, że jej babcia i jej matka odkryły moją obecność, zorientowały się, że Laura je podejrzewa, i coś wykombinowały, żeby wysłać ją w podróż lub gdzieś ją przetrzymać. Mogło się również zdarzyć, że zachorowała albo ona, albo jej babcia.

Wampirzyca kręciła głową w prawo i w lewo. Wszystko zależało od tego, co odkryła Laura. Mogła być w niebezpieczeństwie. Jeśli Laura się buntowała, nie tylko mogły ją utracić, ale ona mogła je zadenuncjować.

Jak tylko wyszłam, zapisałam na dłoni numer, który podała mi Wampirzyca. Urząd pocztowy nie był zbyt daleko od centrum, więc poszłam pieszo od dworca, zastanawiając się, jakie kroki podjąć w sprawie Laury. Postanowiłam wyjąć pieniądze, a potem pójść do sklepu obuwniczego w nadziei, że zobaczę, jak obsługuje

klientów, i nie będę zmuszona zrobić niczego nadzwyczajnego.

Poczułam wielką ulgę, mając trzysta tysięcy peset do swojej dyspozycji. Odszukałam skrytkę numer pięćdziesiąt dziewięć, wystukałam szyfr na klawiaturze, wyjęłam jedną z kopert i zamknęłam się w toalecie pobliskiego baru. Schowałam pieniądze i po jakimś czasie, kiedy na poczcie był większy ruch, wróciłam, żeby zostawić kopertę. Teraz mogłam kupić więcej produktów i nadal prowadzić ten interes, do czasu aż naprawdę zapiszę się na studia w następnym roku akademickim. Najważniejsze było nie to, że oszukałam matkę, ale żebym w końcu robiła coś, co według niej robiłam: żebym studiowała. Przez dwadzieścia minut nie spuszczałam z oka wnętrza sklepu obuwniczego, ale Laury nigdzie nie było widać. Były tylko ekspedientka i doña Lilí przy kasie, cała w kolorze złamanej bieli, w swetrze z golfem i spodniach. Greta była pewnie w mieszkaniu albo z kochankiem. A Laura? To dziwne, że ktoś tak młody chorował dłużej niż cztery dni, chyba że chodziło o jakiś wypadek albo coś naprawdę poważnego. Ponieważ tak bardzo szukałam wzrokiem Laury, nie zdałam sobie sprawy z czegoś zdumiewającego: wózek inwalidzki stał w rogu i dlatego doña Lilí siedziała na krześle, ale szczeka mi opadła dopiero wtedy, gdy zobaczyłam, jak wstaje i całkiem normalnie podchodzi do półki, żeby sprawdzić cenę jakiejś torebki. Była dość wysoka i gruba, lecz nie zgarbiona ani nie zdeformowana. Ekspedientka podbiegła, żeby zarzucić jej szal na ramiona. Doña Lilí nie była całkowicie niedołączna, chodziła.

Wcale mi się nie podobało, że spaceruję po mieście z taką forszą w kieszeniach, a tym bardziej nie uśmiechało mi się okrążyć park, wzdłuż którego szło się do konserwatorium, gdzie Laura udzielała lekcji, więc wróciłam do domu i skończyłam robić porządki. Przyjrzałam się uważniej zaproszeniu na ślub Matea: było piękne, zwłaszcza papier. Zachowałam kopertę, żeby wykorzystać ją, gdy będę chciała zrobić na kimś wrażenie. Zaproszenie podałam i wyrzuciłam do śmieci. Już zbyt wiele niepotrzebnych rzeczy zbierało kurz w domu. Pieniądze włożyłam do szuflady swojego biurka, pod notatki z zeszłego roku. Potem weszłam do pokoju rodziców. Wreszcie nie poczułam pestki brzoskwini w gardle i strasznej ochoty, żeby umrzeć. Wreszcie mogłam patrzeć na futro z norek, a świat nie rozpadał się na kawałki. Pogłaskałam ten niezrównany włos, jak mówiła mama, i włożyłam je. Poczułam

ogromny spokój, jakby obejmowały mnie wszystkie puszyste chmury z nieba. Wyjęłam z kieszeni pieniądze i schowałam pod notatki razem z trzystoma tysiącami i, jakby popchnięta czyjąś ręką, padłam na swoje łóżko, i spałam tak długo, aż Ángel otworzył drzwi i zaczął robić taki raban, jakby łamały się nogi mebli, jakby się tłukły naczynia. Zapomniałam zjeść obiad.

– Co robisz w takim stroju? – zapytał, widząc, że zjawiam się w futrze.

– Wydaje mi się, że porwały Laurę, jej matka i jej babcia.

– W pierwszej chwili wyglądałaś mi na mamę.

– No i? Słyszałeś, co powiedziałam?

– Dziś po południu gram w kosza i nie zamierzam iść z tobą, żeby ją uwolnić.

Ángel tak szybko się pozbierał po śmierci naszej matki, że czasami mnie niepokoił.

– Czemu taki jesteś, Ángel?

Wzruszył ramionami i otworzył lodówkę. Wyjął karton mleka i podniósł go do ust. Wyrwałam mu go jednym machnięciem ręki.

Myślę, że zrobił to, żeby mnie sprowokować, bo była to jedna z rzeczy, które najbardziej mnie doprowadzały do szału. Myślę, że starał się, żebyśmy żyli własnym życiem.

Recepcjonistka z konserwatorium, jak można się było spodziewać, nie poznała mnie. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów z zadowoleniem. Wyglądało na to, że nie zdając sobie z tego sprawy, lubiła ludzi przy forsie.

– Szukam Laury Valero, nauczycielki tańca.

– Och! Mamy problem z Laurą. Kilka dni temu zadzwoniła, mówiąc, że złamała stopę i nie wie, kiedy wróci do pracy. Przenosimy jej uczennice do innych klas.

– No tak! – powiedziałam. – To rzeczywiście problem. Czy zadzwoniła osobiście? Pokręciła głową z zakłopotaniem, próbując sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że tak. Ona albo jej matka. Możliwe, że to była jej matka.

Być może Ángel nie powiedział nic głupiego i rzeczywiście powinniśmy uwolnić Laurę. Oby ta historia ze stopą była prawdziwa. Musiałam tylko pójść do jej domu.

Gdybym się pośpieszyła, gdybym pojechała autobusem, mogłabym jeszcze zdążyć, zanim zamkną sklep obuwniczy. Zawsze nosiłam w plecaku próbki kremów i mogłam powiedzieć, że przysyła mnie firma, żebym pokazała im nowe produkty i dała darmowe próbki.

Nie wiedziałam, czy nadal czekać na przystanku, czy przebiec przez park. Pociłam się w norkach, więc zdjęłam futro, nie byłam przyzwyczajona do tak ciepłego ubrania. Nie mogłam wrócić do domu z tą niepewnością, nie mogłabym spać, podczas gdy Bóg wie co się działo z Laurą. A wszystko przeze mnie. Oczywiście już bym nie zdążyła, idąc pieszo. W oddali zamajaczyły dwa wysoko umieszczone światła, które mogły należeć do autobusu, ale nie chciałam ryzykować. Zatrzymałam taksówkę, która jakimś cudem przejeżdżała przez tę praktycznie odludną okolicę. Trafialiśmy na zielone światło, więc dojechałam na dziesięć minut przed zamknięciem sklepu.

Weszłam do bramy kamienicy, w której mieszkały, i powiedziałam dozorczy, że idę do dentysty. Choć trudno w to uwierzyć, miałam wrażenie, że mnie zapamiętał z poprzedniego razu, bo machnął ręką, pozwalając mi przejść. Zdjęłam futro i poszłam po schodach, gdyż winda była staroświecka, z dwojgiem drzwi – najpierw krata z kutego żelaza, a potem drugie, drewniane – i trzeba było czekać w nieskończoność, aż ruszy. Miała nawet ławeczkę do siedzenia, nie pierwszy raz taką widziałam. Pod drzwiami włożyłam norki, żeby sprawić lepsze wrażenie, i nacisnęłam dzwonek. Zaczekałam. Zadzwoiłam ponownie. Nic. Nie było słyhać żadnych odgłosów. Zadzwoiłam jeszcze raz. Jeśli Laura miała nogę w gipsie, nie mogła się poruszać, ale byłoby słyhać muzykę, telewizję, jakieś oznaki życia. Odważyłam się schylić i zawołać pod drzwiami: „Laura!”. Nie było żadnej odpowiedzi, a nie chciałam, żeby zaskoczył mnie przy tym jakiś sąsiad. Natychmiast doniesiono by doñi Lilí, bo wszyscy chcieli jej się przypodobać. Na podstawie tego, co wiedziałam o tym mieszkaniu, obliczyłam mniej więcej, na którą stronę wychodził pokój Laury. Gdybym stanęła naprzeciwko kamienicy, może by mnie zobaczyła.

Właśnie miałam zejść na dół, kiedy wjechała winda wypełniona białą masą, jaką tworzyła babcia Laury, więc weszłam kilka schodów wyżej, na palcach – te przekłete stukające botki – i zaczęłam nasłuchiwać przy balustradzie. Otwieranie i zamykanie

drzwi windy swoje trwało, a wyciąganie dońi Lili na wózku jeszcze dłużej.

– Przygnębia mnie ta historia z wózkiem. Czy to konieczne? – powiedziała Greta, matka Laury.

– Bolą mnie kolana, przecież wiesz. Przestań narzekać.

– Nie myśl, że zostanę w domu. Jem kolację z Larrym.

– Jesteś nieznośna. Nigdy nie brałaś za nic odpowiedzialności; ani za nikogo. Gdyby nie ja, to dziecko by sobie nie poradziło.

– To ty się uparłaś. Mnie nie jest potrzebna.

– Jak to nie jest ci potrzebna? Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku.

– Nigdy nie będę taka jak ty – powiedziała Greta z dziecinną nienawiścią, otwierając drzwi do mieszkania i popychając wózek. – Gdybyś nie była taka uparta... – dodała.

Zamknęły drzwi, a ja usiadłam ciężko na stopniu. Odgarnęłam ręką włosy i powachlowałam się. Gdybym wyszła na ulicę, nie mogłabym wejść ponownie, bo portier mnie sobie zapamiętał. Gdyby udało mi się wejść do mieszkania, może byłoby gorzej dla Laury, jednak nic innego nie przychodziło mi do głowy. Podeszłam pod drzwi. Wokół wycieraczki czuć było perfumy Grety. Zawiesiłam sobie plecak w taki sposób, że wyglądał jak torebka. W rękę trzymałam próbki ekstraktu z jedwabiu, z kawioru i kilka innych.

Na szczęście otworzyła mi Greta, która nie onieśmiała mnie aż tak bardzo jak Lili, ale to dlatego, że nigdy nie patrzyłam na nią z bliska, twarzą w twarz, z odległości kilkunastu centymetrów. Jej spojrzenie dotarło do mnie z krainy lodu i skał. Miała oczy pomalowane dokoła zieloną kreską, ale nie były zielone, nie miały w sobie niczego, co mogło omamić Larry'ego. Niechętnie porównywałam je z oczami mojej matki, które były usiane maleńkimi punkcikami, złocistymi, gdy świeciło na nie słońce, i szarymi, gdy padał deszcz. Greta musiała być śliczna w dzieciństwie, ładna w młodości, a teraz była niemal brzydka.

Zapytałam o Gretę Valero, jakbym jej nie znała. Powiedziałam jej, że doręczamy dawnym najwytworniejszym klientkom próbki naszych nowych kosmetyków w promocji.

Twarz jej się rozjaśniła na tyle, na ile ta zwiędła twarz mogła się rozjaśnić.

– Bardzo mi brakowało waszych produktów, ale akwizytorka, która do mnie przychodziła, bardzo miła pani, zniknęła pewnego dnia. Co się z nią stało?

Powiedziałam jej, że jestem nowa i nie mam pojęcia. Przeciągnęła ręką po futrze, nie prosząc mnie o pozwolenie. Przez chwilę bałam się, że je rozpoznała.

Podaliśmy jej pierwszą próbkę i zaczęłam wyjaśniać, jak powinna ją stosować. Patrzyła to na mnie, to do środka. Nie wiedziała, czy ma mnie wpuścić, czy nie, aż w końcu się zdecydowała.

– Więc mówisz, że mam się przykryć gazą? – zapytała, prowadząc mnie do swoich etnicznych włości, jak je nazywała Laura.

Poprosiła, żebym usiadła na poduszkach, a sama przymknęła drzwi. Zapaliła lampę solną i usiadła w pozycji lotosu. Nie zdjęłam futra. Wyjaśniałam jej cudowne właściwości kremów, a potem zaproponowałam, że zrobię jej masaż z użyciem tego z kawiozem. Rzuciła okiem na moje botki.

Zachwycił ją pomysł masażu i przyniosła mi płatki kosmetyczne oraz tonik. Zwilżyłam dwa płatki i położyłam jej na powiekach. Zza drzwi dochodził odgłos wózka inwalidzkiego jeżdżącego tam i z powrotem oraz słodki głos Lilí strofującej Laurę.

– Musisz zjeść kolację!

– Domknij drzwi – poleciła mi Greta.

– Proszę się odprężyć – powiedziałam, ignorując ją. – Ta chwila należy wyłącznie do pani. Proszę sobie wyobrazić, że otwiera pani skrzynię, wieko jest bardzo ciężkie, ale w końcu udaje się ją otworzyć i wkłada pani do środka wszystko to, czego pani nie lubi, przykrości z całego dnia. Proszę je wkładać po kolei, a na koniec zatrzasać wieko skrzyni z całej siły. Już nie musi się pani niczym martwić. Proszę myśleć tylko o przyjemnych rzeczach.

Westchnęła, a ja zaczęłam masować jej twarz, nie spuszczać wzroku z drzwi, aż w końcu zobaczyłam przechodzącą Laurę. Zakaszlałam raz i drugi. Laura niechętnie pchnęła drzwi. Początkowo mnie nie poznała, ale po dwóch minutach otworzyła usta. Przytknęłam palec do warg.

– Kto tu jest? – zapytała Greta.

– To ja – odpowiedziała Laura.

– Jestem teraz zajęta – powiedziała Greta.

Laura miała na sobie rozpięty szlafrok włożony na pluszową piżamę oraz pantofle podobne do tych, które ja nosiłam po domu. Ziewnęła i przeciągnęła pięścią po oczach.

– Zaraz kończymy – powiedziałam, dając Laurze znak, ale nie wiem, czy go zrozumiała. Bądź co bądź ja sama też go nie rozumiałam, był to tylko sposób, żeby dać jej do zrozumienia, że jestem tu ze względu na nią.

Laura spojrzała w prawo i poszła w lewo, tam, skąd przyszła, lekkim krokiem, a po chwili pojawiły się czarne koła wózka Lilí.

– Co tu się dzieje?

– Na Boga, czy już nie mogę zrobić sobie masażu. Mamo, zamknij drzwi i idź sobie.

Lilí mnie przerażała. Przerażał mnie sposób, w jaki na mnie popatrzyła. Miałam wrażenie, że wszystkiego się domyśliła. Nie wydawało jej się normalne, że tam jestem.

– A jutro najlepiej zastosować dla odmiany żel z alg. Gdyby przypadkiem zainteresował panią któryś z produktów, wystarczy go u mnie zamówić.

– Daj mi swój telefon. Zadzwoń do ciebie – powiedziała Greta, zdejmując płatki kosmetyczne. – Co za delikatność! Pewnie nie uwierzysz, ale bardzo mi ulżyłaś.

Lilí przez cały czas była przy drzwiach, przyglądając mi się, łamiąc sobie głowę, próbując odgadnąć, co robię w tej całej historii.

– Pani dobrze by zrobiła maseczka z gliny na tłustą cerę – powiedziałam, zwracając się do niej.

Nie odpowiedziała, rozmyślała. Przypominała generała oceniającego strategię nieprzyjaciela. Wyprowadzała mnie z równowagi, bardziej niż tamten typek, który ukradł futro mojej matce, bardziej niż profesor filozofii. Nie wiedziałam, jak stawić czoło tym kobietom. Może mogłabym zawołać Laurę i poprosić ją, żeby poszła ze mną, ale nie miałam pewności, w jakim była punkcie, nie znałam prawdziwego

obrazu sytuacji i mogłabym się znaleźć w niezręcznym położeniu.

– No dobrze, gotowe – powiedziałam, zawieszając sobie plecak na ramieniu.

Lilí nie odsunęła się od drzwi. Czekałam na stojąco, aż pozwoli mi przejść. Wózek był jak czołg. Za moimi plecami stała Greta. Zauważyłam, że wymieniają ze sobą jedno z tych spojrzeń, o których mówi się, że są inteligentne, bo znaczą tyle, co godzina rozmowy. Przez kilka sekund nie zmieniłyśmy pozycji. Greta przybliżyła się trochę bardziej i nie mogłam powstrzymać drżenia, gdy poczułam jej rękę na plecach. Przeciągnęła nią w górę i w dół, jakby próbowała coś sobie przypomnieć.

– Nie lubię futer – powiedziała. – Zawsze wyobrażam sobie martwe zwierzę.

– Ja też nie bardzo. To prezent – wyjaśniłam.

– A darowanemu koniowi... – powiedziała Lilí, odsuwając się od drzwi.

Laura więcej się nie pokazała. Myślę, że wystraszyła się na mój widok, i nie chciała mnie narazić na niebezpieczeństwo. Poza tym na pewno nie czuła się na tyle swobodnie, żeby stawić czoło tej sytuacji, bo nigdy w życiu nie spodziewałaby się zastać mnie w swoim domu. Była blada i miała rozczochrane włosy, jakby właśnie wstała z łóżka. Może naprawdę była chora, na przykład na gripę, ale z całą pewnością jej stopa była w idealnym stanie. Czasami kłamie się, mówiąc półprawdy, żeby nie trzeba było za wiele wyjaśniać, jednak w tym wypadku złamana stopa oznaczała, w związku z lekcjami baletu, że Laura miała dość długo pozostać zamknięta w domu.

Idąc w kierunku drzwi, próbowałam odzyskać zimną krew, żeby zorientować się, czy Laura zostawiła dla mnie jakikolwiek znak mający mi dać do zrozumienia: czuję się dobrze albo czuję się źle. Jakby to było takie proste: obmyślić w takiej chwili całą strategię porozumiewania się. Wózek babci deptał mi po piętach. Z kuchni dobiegł niespodziewany dźwięk, brzęk garnków. Czyżby to był ten znak?

Po wyjściu i zamknięciu drzwi przyjrzałam się uważnie podłodze i odsunęłam nogą wycieraczkę, na wypadek gdyby Laura włożyła pod nią jakąś wiadomość. Zrobiłam to bardzo dyskretnie, bo czułam na sobie spojrzenie Lilí przez wizjer.

Nie zdołałam przejść niezauważona obok dozorca. Też poczułam łaskotanie jego spojrzenia rzuconego kątem oka. Na ulicy podniosłam kołnierz futra najbardziej, jak

się dało, i przemierzyłam chodnik w poszukiwaniu jakiejś kartki, którą Laura mogła wyrzucić przez okno swojego pokoju. Rozglądałam się dyskretnie, bo już wiedziałam, że Lilí jak najbardziej była w stanie podnieść się z wózka i wyrzucić przez okno. Nie zauważyłam żadnej kartki i wyobrażałam sobie rozpacz Laury, o ile rzeczywiście coś wyrzuciła, żebym to zobaczyła.

Poszłam do domu z ciężkim sercem, bo czułam, że nie powinnam była zostawić tam Laury. Miałam straszne przeczucie, że już więcej jej nie zobaczę, dlatego kiedy zobaczyłam swojego ojca z dwudniowym zarostem wpatzonego w telewizor i wspominającego moją matkę, chciałam go poprosić o pomoc, opowiedzieć mu, co odkryłam i w jakiej sytuacji znajduje się jego urojona córka. Uważałam, że w tym momencie był całkowicie zdolny do tego, żeby wsiąść do taksówki, pojechać tam, wziąć Laurę za ramię i przywieźć ją do nas. Mój ojciec nie był już taki nieufny jak wcześniej. Problem w tym, że to nie miało być takie proste. Lilí musiała mieć parę rzeczy wymyślonych na taką ewentualność. Dowiedziała się, że rodzina szuka dziewczyny, i nie zamierzała pozwolić, żebyśmy jej wydarli owoc zainwestowanych w Laurę pieniędzy i wysiłków. A może nawet zainwestowaną w nią miłość.

Ángel był małoletni i nie chciałam go mieszać do czegoś tak niecnego. Już i tak wiedział za dużo, już nie miał takiej młodości jak inni chłopcy w jego wieku. Nie mogłam działać pochopnie. Jeśli moja matka tego nie zrobiła, musiała mieć jakiś powód. Moja matka była w mieszkaniu nad sklepem obuwniczym i prawdopodobnie także w domu w El Olivar. Musiała być w jej życiu taka chwila, w której elementy układanki dość dobrze do siebie pasowały, z wyjątkiem tego oznaczającego Anę.

38. VERÓNICA ROZUMIE

Byłam tak zaabsorbowana dziwną sytuacją, w której mogła się znaleźć Laura, a także mój ojciec z powodu swego żalu i mój brat z powodu swojego młodego wieku, iż zapomniałam, wszyscy zapomnieliśmy, że Ángel musi oddać Dona właścicielowi. A może nie musiał go oddawać? Nikt o tym nie wspomniał. Mój ojciec nie miał nic przeciwko wzięciu na siebie wizyty u weterynarza i po załatwieniu odpowiednich papierków przyprowadził Dona w ślicznej obroży. Zamontował w taksówce przegrodę, która oddzielała go od pasażerów, i dzięki temu mógł wozić psa na siedzeniu obok kierowcy. Don nie był wybredny, przyzwyczajał się do wszystkiego, wszystko jadł i dobrze znosił jazdę samochodem. Kiedy przycinaliśmy mu kudły, pozwalał na to bez protestów, a mój ojciec znacznie zmniejszył spożycie piwa, jakby Don go do tego przekonał. Miałam ochotę powiedzieć Ángelowi, że miał rację i że problem z tatą sam się rozwiązał, ale powstrzymałam się, żeby go nie rozpuszczać. Wszyscy byli tacy inteligentni, wszyscy coś wiedzieli. María, asystentka detektywa Martunisa, powiedziała mi, że elementy układanki będą się stopniowo dopasowywać do siebie, i miała rację. Teraz już nie miałam takich trudności ze zorientowaniem się, jaki ma być mój następny krok. Nie musiałam o nim myśleć, po prostu przychodził mi do głowy, jakby te elementy same się poruszały i teraz na pierwszy plan wysuwała się moja babcia Marita. Był to zasadniczy element, który wcześniej przeoczyłam. Marita była matką mojej matki i nadszedł czas, żeby mi wyjaśniła, co takiego między nimi zaszło, że córka nie kochała jej tak, jak ja kochałam swoją mamę. Poza tym musiałam się pozbyć z głowy dusznej atmosfery panującej w domu Laury, żeby czuć się zdolną jej pomóc.

Przekonałam ojca, żebyśmy pojechali na weekend do Alicante do dziadków. Nie dałam mu wyboru. Powiedziałam, że dobrze mu zrobi spacer nad brzegiem morza. Powiedziałam, że Don oszaleje z radości, widząc wodę i taką przestrzeń do biegania, teraz, kiedy nie ma plażowiczów. Powiedziałam, że Ángelowi dobrze zrobi, jak zobaczy się ze swoimi przyjaciółmi z minionych wakacji. Powiedziałam, że ja tego potrzebuję, i zabrałam się do pakowania walizek. Mojemu ojcu widok Marity nie

kojarzył się z dobrymi wspomnieniami. zaproponował, żebyśmy pojechali w jakiegokolwiek inne miejsce, ale nie ustąpiłam.

Podczas podróży pestka brzoskwini utknęła mi w gardle w taki sposób, że zaczęłam kaszleć i kaszleć, więc musieliśmy się zatrzymać w jakiejś przydrożnej restauracji z glinianymi dachówkami. Życie tak nieubłagane toczyło się naprzód, że nie mogłam tego znieść. Nawet my, chociaż tak bardzo kochaliśmy moją matkę i tak nam było trudno radzić sobie bez niej, jechaliśmy do Alicante wbrew jej pragnieniom i z nowym członkiem rodziny, Donem, którego ona nigdy nie poznała. Czy zdążyła się zorientować, że jej syn Ángel jest mądrym młodzieńcem? Poszłam do toalety i kiedy sikałam, pozwoliłam, żeby twarz maksymalnie mi się skurczyła, żeby się ścisnęła i żeby wyszło z niej trochę bólu.

Chociaż ją umyłam, można było poznać, że płakałam, tyle ile da się wypłakać w ciągu pięciu minut. Ani ojciec, ani Ángel, oparci łokciami o ladę, nie przyglądali mi się uważniej niż zwykle. Mogli sobie wyobrazić, co mi jest, bo im również się to zdarzało.

Dziadkowie czekali na nas z ryżem w piekarniku. Marita też płakała. Dla niej to, co się stało z jej córką, musiało być straszne. Nie zważając na nas wszystkich, życie biegło dalej i nie sposób go było zatrzymać, pędziło wciąż naprzód i naprzód, jak wszystkie te galaktyki wirujące z wielką prędkością w kierunku jakiegoś miejsca, które być może nawet nie istnieje.

Nie spodziewali się, że będziemy mieli ze sobą psa. Oni mieli kotkę. Ucieszyłam się, że stwarzamy Maricie problem i ta chwila nie jest tak idylliczna, jak sobie wyobrażała. Uważałam, że to minimum tego, czego pragnęłaby mama.

Całej naszej trójce ciążyła świadomość, że tak się zajadamy tym obiadem, a ja chciałam, żeby wreszcie się skończył, bo chciałam zostać sama z Maritą. Dziadek zrobił sobie sjestę. Był wykończony. To on chodził na zakupy, on gotował, on zbierał ze stołu, on przygotował nam miejsca do spania, bo Marita, ponieważ była tak niziutka, sprawiała wrażenie bardzo kruchej, jakby najmniejszy wysiłek mógł jej zaszkodzić. W tych nielicznych razach, gdy u nich byłam, zawsze tak to wyglądało. Ona nie robiła absolutnie nic. Przynajmniej zdecydowała się mieć córkę, chociaż

oznaczało to, że musiała ją urodzić. Mój dziadek żył, żeby spełniać jej pragnienia. Był bardzo poważny i niewiele mówił. Wydawało się, że ma ogromny świat wewnętrzny i przeżył takie rzeczy, że jego obecne życie było świętem.

Powiedziałam Maricie, żeby odpoczęła, a ja pozbiiram ze stołu.

– Dziękuję, dziecko – odparła.

Nie chciałam się rozczulać, jako że oni nigdy nie rozczulali się nad moją matką.

Marita przynosiła mi talerze do zlewu, a kiedy w końcu strzepnęła obrus, została koło mnie i przyglądała się, jak zmywam.

– Twój ojciec poszedł pospacerować z psem po plaży, a Ángel szuka swoich przyjaciół.

Była u fryzjera i nastroszyli jej włosy, przez co wydawała się niemal jeszcze niższa. Zobaczyła, że wbijam wzrok w jej głowę.

– To jest modny kolor dla pań w moim wieku.

Nic nie powiedziałam, tak jak zrobiłaby mama.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteście. Gdyby tylko...

– Dlaczego nie zdołałyście się pogodzić, mama i ty?

– Chodź tu – powiedziała, biorąc mnie pod rękę – twój dziadek potem to skończy.

Wytarłam ręce i poszłam za nią. Posadziła mnie przy stole z piecykiem, na jednym z foteli z uszami, z których zapewne co wieczór oglądali zachód słońca. Wyszła i po chwili wróciła ze szkatułką na biżuterię.

Wyjęła naszyjnik z pereł, pierścionki, kolczyki, bransoletki, kolejne naszyjniki w aksamitnych etui. Wytarła sobie okulary skrajem obrusa.

– Trzymałam to dla twojej matki, chciałam dać jej coś cennego, ale życie nie pozwoliło mi wynagrodzić jej krzywdy. Ty będziesz spadkobierczynią.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Mama nie przyjęłaby tej szkatułki wyglądającej jak skrzynia skarbów, ale ja pomyślałam, że skoro zło i tak już się stało, bardzo by nam się przydała. Gdy naprawdę zacznę studiować, nie będę mogła tyle pracować, a poza tym był jeszcze Ángel, a może i Laura. Należało również pomyśleć o tym, że gdyby mój ojciec miał wypadek, zostalibyśmy bez środków do życia. Dlatego zamierzałam przyjąć biżuterię i wyciągnęłam ręce, żeby wziąć szkatułkę, ale

Marita mnie uprzedziła, zamknęła ją i wyniosła.

– Wiesz już, że jak umrę, będzie twoja – stwierdziła po powrocie i usiadła.

To było urojenie, przestroga przed tysiącami pokus, które mogły sprowadzić mnie z obranej drogi.

– Wybacz, że będę taka bezpośrednia – powiedziałam – ale nie mamy przed sobą całej wieczności. Co się wydarzyło, kiedy mama rodziła po raz pierwszy?

– Nie wiem, nie było mnie przy tym i nigdy sobie tego nie wybaczę.

Nic nie powiedziałam, tylko nadal na nią patrzyłam.

– Pogniewaliśmy się na nią za to, że zaszła w ciążę, nie będąc mężatką. Była naszą córką i wiązaliśmy z nią wielkie nadzieje. Teraz zareagowalibyśmy w inny sposób, ale wtedy było właśnie tak.

– I co? Odeszła, i tyle?

– Tamtej nocy, gdy zaczęła rodzić, zadzwoniła do mnie. Ona była w Madrycie, a ja tutaj, w odległości czterystu kilometrów, więc choćbym wyruszyła natychmiast, nie zdążyłabym na czas.

– I wyruszyłaś natychmiast?

– Nie było szans, żeby dojechać na czas. Powiedziałam jej, że wyjedziemy rano i będziemy w południe. Powiedziałam, że jej wybaczyliśmy. Twój dziadek zgodził się ze mną, że moglibyśmy się zabić, jadąc samochodem w nocy.

Przyglądałam się jak urzeczona jej małym oczkom, przypominającym niemal oczy Chinki, za okularami w oprawkach w kolorze podobnym do koloru włosów. Cieszyłam się, wiedząc, że moja matka była wobec niej sprawiedliwa.

– Mój ojciec również nie mógł być przy niej. Została zupełnie sama – powiedziałam.

Słyszając ten komentarz, zareagowała z ożywieniem.

– Nie, dzięki Bogu nie była sama.

– Jak to?

– Jej przyjaciółka Ana była z nią przez cały czas, od początku do końca. Dlatego Betty tak bardzo ją kochała. Pośpieszyła jej z pomocą i dzieliła z nią tamte straszne chwile.

– Rozmawiałaś z Aną po przyjeździe?

– Gdy przyjechaliśmy, Ana już poszła. Nie mogliśmy dotrzeć następnego dnia, bo zepsuł nam się samochód, przyjechaliśmy jeszcze następnego, kiedy Betty była już w domu. Twój ojciec też tam był i wszystkim się zajął.

– A więc Ana.

– Tak, to ona zawiozła ją do kliniki i zajęła się formalnościami związanymi ze zgonem dziecka. Biedaczka.

– Czy mój ojciec o tym wie?

– Myślę, że tak. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie jest to miły temat. Takie rzeczy się zdarzają, ale twoja matka sobie z tym nie poradziła i wszystkich nas obwiniała.

– Mama zawsze uważała, że dziewczynka żyje, że ktoś jej ją odebrał po urodzeniu.

Zrobiła gest, jakby chciała wziąć mnie za rękę, na co ja wykonałam taki, jakbym chciała wziąć szklankę stojącą na stole.

– To normalne, że trudno jej się było z tym pogodzić. Nie jest łatwo zaakceptować, że takie rzeczy nam się zdarzają. A mnie od tamtej pory zaczęła traktować zupełnie inaczej. Nigdy już nie była tą samą córką. Wciąż o tym myślę i sędzę, że nawet gdybyśmy wyjechali natychmiast, niczego by to nie zmieniło.

– A gdybyście się jej nie wyrzekli, kiedy była w ciąży?

Marita otarła sobie małe łzy pod okularami.

– Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie wiem, czy ona mi wybaczyła.

Już miałam jej powiedzieć, że nie, chociaż kto wie, może jednak jej wybaczyła. Mama miała wielkie serce.

– Przez całe życie szukała swojej córki, a teraz ja jej szukam.

Zdjęła okulary, żeby sobie lepiej wytrzeć oczy.

– A co na to Daniel?

– Nie ma nic do powiedzenia. Niech robi, co chce.

– Posłuchaj mnie – powiedziała. – Od tamtej pory upłynęło dużo czasu.

Poczułam, że oczy zmieniają mi się w twarde kamienie, kamienie sprzed stu

milionów lat, których ona nie zdoła przeniknąć swoimi maleńkimi łezkami.

Pobiegłam na plażę poszukać ojca. Dzielił mnie kilometr od rzędów starych domków letniskowych stojących parami, szeregowo lub pojedynczo, od apartamentów i jakiegoś hotelu. Willa moich dziadków pochodziła z lat czterdziestych, miała żółtawe ściany i zielone okiennice. Ogród był mały, miniaturowy w porównaniu z innymi, ale miał wszystko, czego potrzeba: dwie palmy, jedno drzewko cytrynowe i dwa pomarańczowe, bugenwillę obok fasady, oleandry okalające murek, a z tyłu patio z czerwoną posadzką, z grillem i piecem. Niemożliwe, żeby moja matka nie była tam szczęśliwa, pomimo Marity. Pachniało morzem, a maleńkie kropelki wody niesionej bryzą osiadały mi na twarzy i włosach. Płuca pracowały pełną parą, więc mogłam nadal biec po ubitym piasku aż do odległych sylwetek ojca i Dona, który chyba rzeczywiście oszalał, bo zbliżał się do wody i oddalał, biegał wokół swojego pana, co chwilę podskakując. Nie byłam zmęczona, czułam się tak, jakbym wpadła w środek samego życia. Minęłam kilku wędkarzy w wysokich gumowych butach, z wędkami i plastikowymi wiaderkami. Szkoda, że w dzieciństwie nie mogliśmy częściej cieszyć się tym rajem, ale po rozmowie z Maritą zrozumiałam swoją matkę, nie mogła się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Najstraszniejsze było to, że jej ofiara poszła na marne, bo są osoby, które odkąd mają pięć lat, aż do śmierci prawie się nie zmieniają. Jedne zmieniają się bardzo, a inne wcale, chociaż naprawdę trudno pojąć, dlaczego czasami jedyne, co się zmienia, to okoliczności, życie, tak jak w wypadku mojego ojca, który, jak sądzę, wcale nie był inny, zanim się urodziłam.

Chciałam go nastraszyć, ale Don mi nie pozwolił. Zaszczekał, przeturlał się po piasku i oparł się o mnie swoimi wielkimi łapami. Ojciec się odwrócił.

– Już ci się tu znudziło? – Spojrzał na morze i odetchnął głęboko. – Betty nie znosiła tego miejsca. Przypominało jej więzienie.

– Tato, musisz uważać na Anę. Marita powiedziała mi, że ona była przy narodzinach Laury i to ona zawiozła mamę do tamtej kliniki.

– Właśnie dlatego twoja matka tak ją lubiła. Jako jedyna jej nie zawiodła. My, pozostali, zachowaliśmy się podle.

– Tato, posłuchaj mnie, przestań się zamartwiać. Ana jest przyjaciółką rodziny Laury.

Popatrzył na mnie ze smutkiem, jak zawsze, kiedy poruszało się ten temat.

– Ja wiem, ty nie wierzysz, że Laura żyje, ale istnieje pewna Laura i przypadkiem Ana jest bliską przyjaciółką rodziny tej Laury. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Po to tu przyjechaliśmy, prawda? Nie po to, żeby pogodzić się z życiem Betty ani żeby cieszyć się tą chwilą, tylko żeby wyciągnąć informacje od Marity.

Splotłam dłonie i popatrzyłam na niego błagalnie.

– Możemy tu wrócić, kiedy zechcemy, morze nie ucieknie, ale Marita jest beznadziejnym przypadkiem. Jej sposób kochania jest bardzo rozczarowujący. Mama o tym wiedziała i dlatego wyjechała.

– A co ja mam zrobić?

– Uważaj na Anę, na to, co jej mówisz. nie wiem... Nie chcesz zobaczyć Laury?

– Czy nie możemy zostawić tych spraw w takim stanie, w jakim są? Kim my jesteśmy, żeby to wszystko naprawiać? Wyobraź sobie, że zamiast zrobić coś dobrego, wyrządzimy krzywdę tym osobom. – Zdjął okulary, żeby je wyczyścić. Jego oczy bardzo mi przypominały oczy Laury. – Nasze życie zostało odmienione dawno temu i nie sądzę, żeby na lepsze. Jesteś pewna, że powinniśmy zmieniać życie innych?

Jednak mój ojciec nie wiedział, że już zostało częściowo odmienione i że taka sytuacja jest znacznie gorsza niż dotarcie do sedna sprawy. Nie wiedział, że Laura jest prawdopodobnie przetrzymywana przez swoją rodzinę i że być może nadejdzie taka chwila, kiedy nie będzie miał innego wyjścia i będzie musiał działać. Moja matka nie odważyła się odmienić życia swojej córki Laury, nie zdając sobie sprawy z tego, że odmieniła moje.

– Chyba wrócę do Madrytu, mam dużo do zrobienia. Nie ma potrzeby, żebyś jechał, wezwę taksówkę, żeby się dostać na dworzec.

Wziął mnie pod rękę.

– Zaczekaj. Wolę się jutro zbudzić w domu. Możemy wyjechać za trzy czy cztery godziny, jak Don zmęczy się bieganiem.

Ja także skorzystałam z okazji, żeby pobiegać, i wróciłam przed ojcem. Dziadek już wstał po poobiedniej drzemce i przygotował Maricie podwieczorek. Powiedział, że ma wyjątkową rybę na kolację.

– Za chwilę wyjeżdżamy. Mam egzamin i nie przygotowałam się do niego za dobrze. Poza tym pies i kotka mogłyby ze sobą walczyć. Przykro mi. Wkrótce znów przyjedziemy.

Wydało mi się, że widzę na twarzy dziadka szczery żal. Co ciekawe, zawsze nosił kamizelkę, jak klasyczni dziadkowie. Była z bardzo cienkiego pluszu. Ubierał się gustowniej niż Marita i mimo podeszłego wieku miał bujną czuprynę, tylko trochę przystrzyżoną. Był tęgi i miał wydatny nos jak mama i jak ja. Byłam bardziej podobna do tego człowieka niż do swojego ojca, z którym mieszkałam przez całe życie.

Wstał i powiedział łamiącym się głosem:

– Idę zamrozić rybę.

Wyjechaliśmy stamtąd o ósmej, po zjedzeniu niewielkiego podwieczorku, bo dziadek bardzo nalegał. Ale wcześniej Marita powiedziała mi, żebym poszła z nią do jej pokoju. Otworzyła szufladę i wyjęła dwa banknoty po tysiąc peset.

– Jeden dla ciebie, drugi dla Ángela – oświadczyła.

– Zaczekaj – powiedziałam. – Jeśli szkatułka z biżuterią jest dla mnie, daj mi ją teraz.

Zmarszczyła lekko brwi; nie potrafiła ukryć niesmaku.

– Nie jest dobrze dziedziczyć przed czasem, później będziesz jej bardziej potrzebować.

– Teraz albo nigdy – powiedziałam.

Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Wybrała nigdy. Zostawiłam dwa banknoty na szafce przy wejściu. Nie spojrzałam dziadkowi w twarz, nie chciałam wiedzieć, jakim mógłby być dobrym dziadkiem, gdyby nie był tchórzem.

Ángel nie znalazł żadnego przyjaciela i też bardzo mu odpowiadało, że wracamy do domu.

Nigdy nie będę się mogła dość nacieszyć tym, że wybrałam się w tę podróż.

Znacznie lepiej rozumiałam swoją matkę. Nie wystarczało mieć kogoś: nawet miłość nie jest wystarczająca.

39. LAURO, PRZYKRO MI

Chciało mi się spać, nie miałam ochoty wstawać z łóżka. Gdy chodziłam, kręciło mi się w głowie. Wszyscy mi mówili – Lilí, mama, lekarz – że potrzebuję odpoczynku. Wychodziłam tylko do łazienki. Wszystko, co piękne, było tu, w środku, pośród błękitnego nieba. Mama zwykle przynosiła mi coś do zjedzenia. Mówiła, że muszę odzyskać siły. Najlepiej robiła mi zupa, miałam trudności z przełykaniem stałych posiłków, nie byłam głodna. Wiedziałam, że nadejdzie taki moment, kiedy w końcu wyjdę z błękitnego pokoju, ale też za bardzo za tym nie tęskniłam, bo nie umiałabym się poruszać w świecie zewnętrznym. W takich chwilach wejście lub zejście po schodach, żeby wyjść na ulicę, było jak zdobycie Mount Everestu. Rano babcia była w domu. Cesała mnie i zmuszała do zmiany piżamy. Strasznie śmierdzisz, mówiła, i miała rację, bo nie byłam w stanie wziąć prysznic. Pewnego razu, kiedy drzemałam, wydawało mi się, że Lilí wstaje z wózka, podchodzi do mnie i przygląda się, jak leżę na łóżku. Tyle poświęceń na marne, powiedziała i wyszła, sama popychając wózek.

Zawsze gdy otwierały się drzwi, czułam coś pomiędzy radością a niepokojem i czasami wolałam udawać, że śpię, żeby osoba, która weszła, opuściła pokój. Nie otwierając oczu, rozpoznawałam mamę po zapachu, który roztaczała wokół siebie wraz z każdym ruchem, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynęły perfumy. Lilí poznawałam po odgłosach wózka inwalidzkiego i po tym, że powietrze robiło się gęstsze, jakby w błękitnym pokoju grawitacja była silniejsza niż w pozostałej części planety. Zauważyłam również, że któregoś razu wszedł Petre. Poznałam to po jego oddechu, głębokim oddechu, który wchłaniał całe powietrze i zwracał je ciepłe, zbyt ciepłe.

Jednak tym razem miałam oczy otwarte. Bardzo się ucieszyłam, widząc, jak drzwi pokoju się otwierają i wchodzi Carol ze swoim maleńkim Leem, jak zawsze przyklejonym na wysokości jej piersi i wydającym z siebie nieprzyjemne szczeknięcia. Gdyby umiał mówić, miałby bardzo irytujący głos.

Od wesela nie widziałam jej ani razu, nawet w serialu. Oglądając telewizję,

zasypiałam.

– No, dalej, wstawaj – powiedziała, podając mi szlafrok. – Usiądziemy sobie.

Usiadłyśmy na fotelach przy stole z piecykiem, a Leo położył się na łóżku, obwąchując prześcieradła i poduszkę. Mama podsunęła nam tacę z herbatą i filiżankami, a potem obydwoma rękami pogłaskała nas równocześnie po głowie.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, jestem w swoim gabinecie.

Na pewno wyciągnie się na poduszkach, żeby czytać czasopisma, aż przyjdzie Lilí, i wtedy ona sama będzie mogła się gdzieś wybrać z Larrym, na którego rzuciła urok. Widziałam kiedyś, jak to robiła.

Carol naląła herbatę. Wyglądała przepięknie, a jednak nie miała szczęścia do chłopaków. Ja przynajmniej miałam Pascuala, chociaż był w Paryżu i widywaliśmy się co najwyżej w lecie, na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Dzisiaj Carol nie włożyła soczewek kontaktowych i miała oczy w swoim naturalnym kolorze. Nie pomalowała sobie także rzęs ani nie nałożyła makijażu i sprawiała wrażenie młodszej. Zdjęła płaszcz i buty i odetchnęła z ulgą. Nie posłodziła swojej herbaty, ja natomiast wsypałam kilka łyżeczek. Herbata bardzo dobrze mi robiła.

– Nie wiem, co mi jest, Carol. Nie boli mnie gardło, nic mnie nie boli, nie mam gorączki, ale jestem bardzo zmęczona.

– Pewnie musisz odpocząć.

– Boję się, że coś ze mną nie w porządku.

– Nie sądzę. Jestem pewna, że nie. Nie w porządku masz tylko w głowie.

– Nie powinnaś być na planie?

– Zdjęcia zostały zawieszono, więc skorzystałam z okazji, żeby cię odwiedzić. Przyszłam powiedzieć ci coś bardzo ważnego i chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała i żebyś mnie posłuchała.

Nalałam sobie drugą filiżankę zielonej herbaty mamy i wsypałam więcej cukru. Stopniowo się ożywiałam.

– Nie pytaj więcej o swojego ojca: czy ktoś go znał albo przestał znać. Zrobiłaś się strasznie nieznośna w związku z tą sprawą. Na weselu Alberta pytałaś o to wszystkich. Rozumiesz chyba, że twoja matka i twoja babcia nie były zachwycone.

– Carol, to nie wszystko. Poznałam dziewczynę, która twierdzi, że jest moją siostrą.

Carol odchyliła się do tyłu i odsunęła trochę fotel od stołu.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Ja też myślałam, że to są głupstwa, ale możliwe, że to prawda. Nikt nie zna mojego ojca, nie jestem podobna ani do nich, ani do ciebie i mam wrażenie, że tu jest pies pogrzebany. Lilí bardzo się nie spodobało, że zabrałam z albumu zdjęcia z moją matką w ciąży i ze mną samą zaraz po urodzeniu i że nosiłam je w torebce. Przeszukała moją torebkę. Uważasz, że to normalne?

Oczekiwałam, że spadnie z fotela, że się zakrztusi, że popatrzy na mnie z przerażeniem, ale tylko pokręciła głową, a wraz z nią całą swoją jedwabistą fryzurą. Nie zatrzęsała się z oburzenia.

– Muszę się pozbyć wątpliwości – powiedziałam – nie niepokojąc matki i babci. Potrzebuję twojej pomocy.

– Co zamierzasz zrobić?

– Dowiedzieć się czegoś więcej. Na pewno będę musiała sobie zrobić jakieś testy. Teraz jej oczy bez soczewek naprawdę wydawały się wystraszone.

– Ani się waż mieszać mnie od tego. Jestem osobą publiczną. Kiedy występuję w serialu, rośnie oglądalność. Jestem u szczytu kariery. Nie życzę sobie, żeby moje nazwisko pojawiło się w kontekście skandalu takiego jak ten w telewizji w związku z kupowanymi dziećmi.

Byłam otumaniona, ale nie na tyle, żeby nie wiedzieć, że ja nic nie wspomniałam o kupowanych dzieciach.

– Czy ja mogłabym być kupionym dzieckiem?

Dała mi znak, żebym ściszyła głos. Mówiła teraz szeptem.

– Zapomnij o tym wszystkim, dla własnego dobra. Jesteś jedynaczką, to wszystko jest twoje. Poza tym nie wydaje mi się, żeby aż tak źle cię traktowały. Żaden ojciec nie jest doskonały, wszyscy są beznadziejni, a twoja babcia jest gotowa dla ciebie zabić. Przestań mówić o nieistniejących rodzicach, wyzdrowiej, zachowuj się tak jak wcześniej, postaraj się, żeby zapomniały o twoich podejrzeniach. Zrób mi tę

przysługę.

– Kiedy musiałam ci pomóc, nie myślałam o konsekwencjach – powiedziałam.

– No widzisz? Jakich ja mam rodziców, że musiałam się uciekać do pomocy nastolatki w takiej chwili? Nie warto przewracać wszystkiego do góry nogami. Żaden ojciec na to nie zasługuje.

– Ty znasz prawdę – powiedziałam, patrząc na nią najbardziej stanowczo, jak umiałam.

W odpowiedzi wzięła tacę i wyszła. Zadzwoił dzwonek do drzwi i Leo pomknął jak kudłata kula, szczerząc w typowy dla siebie piskliwy sposób. Najwidoczniej otworzyła Carol, bo usłyszałam, jak rozmawia z kimś, kogo nie było słyhać. Kiedy wróciła, zdążyła już sobie przemyśleć, co mi powie.

– Powiedziałam ci na weselu, żebyś zamknęła dziób, a teraz ci mówię, żebyś zrobiła, co tylko się da, aby je przekonać, że nabrałaś rozumu. Ja też nie chcę, żebyś się przy tym upierała, nie jestem po twojej stronie. Przykro mi.

Włożyła płaszcz, buty i wzięła pod pachę Lea, jakby był małą torebką. Umieściła sobie okulary przeciwsłoneczne na głowie, a prawdziwą torebkę zawiesiła na prawym ramieniu. Była niezależna, wolna, miała własne pieniądze i kiedy występowała w telewizji, rosła oglądalność. Gdybym ja odniosła sukces w balecie, nie musiałabym przez cały dzień myśleć o Lilí, o mamie ani o tym, jak idą interesy w sklepie obuwniczym. Żyłam wygodnie i miałam zapewnioną przyszłość, ale nie zrobiłam niczego dla siebie samej. Miałam wrażenie, że na nic nie zasługuję. Położyłam się do łóżka przybita. Herbata mnie pobudziła, ale przez to było prawie gorzej, bo przynajmniej przed przyjściem Carol byłam ospała, leżałam na łodzi wśród fal. Carol mnie nie kochała, była do mnie mniej przywiązana niż ja do niej. Wcale jej nie obchodziło, co może się ze mną stać. Moje cierpienia to nie była jej sprawa. Teraz zdałam sobie sprawę z tego, że ona zawsze była tą prawdziwą, tą ważną, tą najukochańszą, nawet dla Lilí. Nie potrafiłam uniknąć ogromnego smutku, smutku, który teraz, i owszem, zasługiwał na poradę doktora Montalvo. Chętnie wzięłabym jedną z tych pastylek, dzięki którym tak bardzo odpoczywałam, żeby nie płakać.

40. VERÓNICA NIE DAJE ZA WYGRANĄ

Wyjazd do Alicante umocnił moją więź z Laurą i pamięć o matce. Pozwolił mi jasno zobaczyć, że robię dokładnie to, co muszę zrobić. Moja matka znosiła to znacznie gorzej, bo zamiast o sobie musiała myśleć o tym, żeby nie skrzywdzić Laury. Widziała, jak dorasta, jak zmienia się w kobietę, a nie mogła jej przytulić choćby jeden raz.

Plan polegał na obserwowaniu domu Laury. Zmarnowałam cały dzień, snując się w pobliżu w nadziei, że trafię na odpowiedni moment, żeby wśliznąć się do bramy, wejść na górę i postarać się, żeby Laura mi otworzyła. Z pewnością było wiele innych inteligentniejszych rzeczy, które można by zrobić, ale żadna nie przychodziła mi do głowy. Nie widziałam dalej niż czubek własnego nosa, tamta brama i sklep obuwniczy. Obok sklepu był antykwariat z meblami takimi jak u doñi Lilí, a koło niego restauracja, która wyglądała jak dom dla lalek. Dalej klasyczny i drogi sklep jubilerski w tym samym stylu co szkatułka mojej babci Marity. Po drugiej stronie, trochę dalej, znajdowała się kawiarnia, w której Greta obłapiała się ze swoim chłopakiem. Ja odzyskiwałam siły i korzystałam z toalety w knajpie dwie ulice dalej, licząc, że tam raczej nie wpadnę na nikogo znajomego. Jako pierwsza codziennie rano przychodziła ekspedientka, która naśladowała styl Laury i z pewnością musiała widzieć, słyszeć i milczeć, ale zapewne brała za dobrą monetę historyjkę o złamanej stopie. Czasami zostawała sama przez kwadrans czy pół godziny, ale nie odważyłam się wejść do sklepu, obawiając się, że mogłaby mnie tam przyłapać Greta albo Lilí.

Mój plan polegał na wejściu na górę, pod drzwi mieszkania, gdy Lilí będzie w sklepie obuwniczym, po którym przechadzała się, nie zadając sobie trudu ukrywaniem, że nie jest ułomna. Z Gretą było łatwiej, bo mogłam odwrócić jej uwagę kremami i masażami, chyba że dotrzymywaliby jej towarzystwa Larry albo Petre, osiłek, który czasami pchał wózek Lilí. Jasne, że mogłabym wejść na górę z Donem i wtedy nie odważyliby się nic mi zrobić, ale nie wzięłam ze sobą psa, tylko walizeczkę z kosmetykami, na wypadek gdybym zdecydowała się ponownie zaczepić Gretę.

Ustaliłam, że się zmieniają. Przed południem interesu pilnowała Greta, choć w rzeczywistości wszystko robiła ekspedientka, a ona zajmowała się powiewaniem swoimi długimi spódnicami między walizkami i butami oraz odbiciami w szybach wystawowych i lustrach. Gawędziła z klientami, zwłaszcza jeśli byli mężczyznami, i czasami zapominała, że musi zainkasować należność. Wtedy krzywiła się, dając do zrozumienia, że jest przeciążona pracą, i pod byle pretekstem wychodziła, żeby napić się zielonej herbaty we wspomnianej kawiarni, świątyni będącej świadkiem wymiany tyłu głębokich spojrzeń z Larrym. Po południu, kiedy klientów było więcej, do sklepu schodziła Lilí. Osilek popychał jej wózek, chociaż po chwili wstawiała i chowała tę ogromną zawalidrogę w pomieszczeniu na zapleczu. Była to jedyna okazja, jaka mi pozostała, żeby wejść na górę i spróbować zobaczyć się z Laurą.

O szóstej po południu Lilí była dość zajęta obsługiwaniem japońskich przedsiębiorców, którzy brali torebki od Prady jak świeże bułeczki. Osilek odszedł w kierunku metra, a nie zauważyłam, żeby Larry wchodził do bramy. To był idealny moment, żeby pójść do mieszkania.

Dozorca mnie poznał i skinął głową, kiedy pokazałam mu na migi, że idę na górę. Rozumiało się, że idę do dentysty. Zadzwoiłam do drzwi Laury równie zdenerwowana jak podczas egzaminów wstępnych. Usłyszałam szczekanie. Zamarłam, nic z tego nie rozumiejąc. Było to piskliwe ujadanie, bardzo nieprzyjemne dla uszu. Wydobywało się spod drzwi i można było niemal zobaczyć oddech muskający mi buty. Zareagowałam i szybko weszłam na półpiętro. Wybierając się tu, zapomniałam, że botki ze skóry pytona stukają przy chodzeniu, bo miały bardzo porządną skórzaną podeszwę robioną ręcznie, ale nie wiem, dlaczego, odkąd je kupiłam, zdejmowałam je tylko do spania i chodzenia po domu. Może dlatego, że dodawały mi siłę i łączyły mnie z Laurą i z jej życiem.

Gdy drzwi się otworzyły, wyszedł maleńki piesek z kokardką na szyi. Warknął, na tyle, na ile pozwalały mu małe struny głosowe, patrząc ku górze, gdzie stałam. Wzięły go ręce księżniczki i uniosły do ust. Pozwoliła, żeby różowy języczek polizał jej wargi.

– Co się z tobą dzieje, maleństwo? – powiedziała, patrząc na klatkę schodową. – Nie widzisz, że ktoś się pomylił?

Twarz tej dziewczyny wydała mi się znajoma. Musiała być w wieku Laury, chociaż, podobnie jak sama Laura, prawie wyglądała na osobę w moim wieku. Miała śliczne kasztanowe włosy o niemal nierzeczywistym połysku, który również wydał mi się znajomy. Spodnie leżały na niej idealnie, nigdzie się nie marszcząc ani nie naciągając, tyłek miała w sam raz i chodziła całkowicie wyprostowana. Weszła do środka, głaszcząc pudła, a ja usiadłam na pierwszym schodku, ryzykując, że jakiś sąsiad zapyta mnie, co tu robię, na co odpowiedziałabym, że czekam na windę, ale musiałam się skoncentrować na dziewczynie, którą właśnie zobaczyłam. Znałam ją. Ścisnęłam sobie czoło opuszkami palców, usiłując poruszyć obrazy, które miałam wewnątrz. To, co tam było, stanowiło tajemnicę. Tyle rzeczy, które mi się przydarzyły, a o których nie pamiętałam... Nie sposób przypomnieć sobie coś, czego się nie pamięta. Nie da się zmusić umysłu do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty. No wreszcie: dziewczyna, którą przed chwilą widziałam, była aktorką z serialu telewizyjnego i występowała również w reklamie szamponu. Jej kwadratowa fryzura opadająca na plecy była nie do pomylenia. Rzecz w tym, że ja zawsze myślałam, że ona ma zielone oczy, a tymczasem teraz miała brązowe. Pewnie była przyjaciółką Laury, a może Grety. Pamiętałam jak przez mgłę, że widziałam ją kiedyś, jak wchodziła do bramy, ale nie zwróciłam na to uwagi, nie łączyłam jej z Laurą.

Już miałam sobie pójść, kiedy znowu dało się słyszeć piski minipsa i stukanie obcasów. Drzwi otworzyła aktorka, która w butach urosła o dziesięć centymetrów. Niosła pieska w ramionach, a ten strzygł uszami i kierował w moją stronę oczy błyszczące jak paciorki. Jego właścicielka przywołała windę, ale potem się rozmyśliła i zeszła po schodach, stawiając ostrożnie stopy, żeby nie skreślić sobie kostki. Jako aktorka nie powinna w żadnym momencie opuszczać gardy i zaniedbywać swojego wyglądu, bo zawsze mogła zostać rozpoznana i narazić się na komentarze.

Teraz faktycznie nadszedł moment, żeby zadzwonić ponownie.

Otworzyła Greta, z miną świadcząca o tym, że ma wszystkiego dosyć. Ja miałam w pogotowiu szeroki uśmiech.

– Witam – powiedziałam. – Pamięta mnie pani? Z tamtego dnia, masaż...

– Cześć – odpowiedziała. – Teraz nie mogę cię przyjąć.

– To zajmie tylko chwilkę. Przechodziłam tędy i powiedziałam sobie: na pewno

zechce pani wypróbować krem z diamentami.

Odwróciła głowę do środka mieszkania. Słysząc było szlochanie, stłumione przez kilkoro drzwi. Płakała pewnie Laura i prawdopodobnie nie była w swoim pokoju, który znajdował się za drugimi drzwiami po prawej, po przejściu przez salon.

– Jeśli wrócisz za kwadrans, być może będziemy mogli...

Nie miałam ochoty odejść.

– Chodzi o to, że mam kilka wizyt...

Szlochanie ustało. Zapanowała teraz cisza, bardziej wymowna niż jakikolwiek krzyk. Greta nie wiedziała, co ma zrobić. Ja się uśmiechałam.

W tym momencie zadzwonił telefon i Greta poszła odebrać, zostawiając otwarte drzwi.

– Doktorze Montalvo, zobaczmy, co pan na to poradzi. Nie da się z nią wytrzymać. Tak, kilka dni za miastem dobrze by jej zrobiło.

Wróciła do drzwi, gotowa zatrzaskać mi je przed nosem.

– Dzisiaj nie da rady, kochana.

Kochana. Cóż za staroświeckie słowo. Ciekawe, czy do Larry'ego mówi „kochany”?

Chociaż bardzo wyraźnie czułam, że Laura próbuje usłyszeć, o czym rozmawiamy, nie miałam innego wyjścia, jak odejść. Odejść albo zdzielić pięścią tę młodą staruchę, zostawić ją na ziemi i pójść po Laurę. Jednak to było zbyt kłopotliwe i niekoniecznie wykonalne, bo nie wiedziałam, czy Laura byłaby w stanie ze mną pójść. Poza tym zobaczyłby nas dozorca. Zanim zdołamy zatrzymać taksówkę, już by nas dopadli.

Zamierzali gdzieś ją wywieźć, żeby się jej pozbyć, i wtedy rzeczywiście byłoby trudno ją uratować. Schodziłam po schodach zamyślona, mając przed oczami obraz Laury sprzed kilku dni, w piżamie i rozpiętym szlafroku, zdezorientowanej i rozczochranej, snującej się w kapciach między ciemnymi meblami.

Już nie mogłam się cofnąć. Laura znalazła się w tej sytuacji z mojej winy i teraz docierało do mnie, że tego właśnie chciała uniknąć mama i dlatego nie wtargnęła tam jak furia, żądając uznania swoich praw. Nigdy nie podejrzewała natomiast, że Ana ją

zdradza. Działała bardziej po omacku niż ja.

41. LAURO, MIŁOŚĆ JEST STRACHEM, STRACH JEST MIŁOŚCIĄ

Wydawało mi się, że słyszę głos Veróniki. Któregoś dnia, gdy wyszłam z błękitnego pokoju, żeby pójść do łazienki, i mijałam włości mamy, wzięłam tę dziewczynę za zjawę, za jedną z tych wizji, które mają wariatki. Wystraszyłam się i ponownie zamknęłam się w pokoju, bo tam byłam bezpieczna i czułam się jak ptak. Fruwałam i odpoczywałam, fruwałam i odpoczywałam. A teraz jej głos. Wydawał się całkiem realny. Rozmawiała z moją mamą w przedpokoju. Przestałam płakać. Poczułam, jakby głos Veróniki mówił mi: nie użalaj się tak nad sobą. Bądź odważna i pomóż sobie, ja nie mogę zrobić więcej niż to, co robię. Wstałam i przyłożyłam ucho do drzwi. To nie był sen i postanowiłam to sprawdzić, zasypiając i budząc się, więc jeszcze raz położyłam się do łóżka. Już nie chciało mi się płakać, coś dodało mi siły, może ten tak ochryply, brudny głos Veróniki.

Potem rozległy się szybkie kroki mamy idącej w swoich kowbojskich butach haftowanych srebrem. Była rozzłoszczona. Nie znaczy to, że często się złościła, tylko wtedy, gdy nie mogła zrobić tego, na co miała ochotę w danym momencie, a w tym pewnie nie mogła czegoś zrobić przeze mnie.

Otworzyła drzwi z rozmachem.

– Co ci jest? Nie możesz przestać skomleć jak pies?

– Mamo – powiedziałam i mówiąc to, zauważyłam, że to słowo zabrzmiało fałszywie.

Czy wszystkie matki zachowywały się tak jak moja wobec mnie? Teraz na mnie spadły wszystkie obowiązki w sklepie i dzięki temu ona mogła spędzać dużo czasu ze swoim Larrym, ale w dzieciństwie zawsze byłam dla niej ciężarem, więc nieraz moja babcia i ona spierały się przy mnie w taki sposób, że czułam się bardzo nieszczęśliwa, bo spierały się z mojej winy.

– Przepraszam – dodałam. – Jestem zmęczona.

– Zmęczona to jestem ja, bo tkwię tu przez cały dzień. Po południu tutaj, a rano w sklepie. A kiedy mam żyć?

– To nie moja wina.

– A właśnie że twoja. Wszystko popsulaś. To bardzo nieładnie, że chodzisz i wypytujesz, kto był twoim ojcem, i wyrywasz zdjęcia z albumu. Komu je pokazałaś? Jeśli masz jakieś pytania, zapytaj mnie. – Usiadła na łóżku, poruszając rękami w taki sposób, jakby chciała złapać mnie za szyję i udusić. – Wiesz, kim był twój ojciec? Nikim! Szybkim numerkiem pewnej letniej nocy. Mogłam się ciebie pozbyć, ale tego nie zrobiłam. No i co mi z tego przyszło? Przykrości i jeszcze więcej przykrości.

Znów się rozplakałam, a ona mnie objęła. Pogłaskała mnie dwa razy, ale tylko dwa, po włosach, tak jak to zawsze robiła.

– Kiedy przyjdzie twoja babcia, nie chcę, żeby zobaczyła cię w takim stanie. Bądź co bądź jestem twoją matką.

Nie wiedziałam, co chciała przez to powiedzieć. Zatrzymałam ją przy sobie, chociaż doskonale wiedziałam, że pragnie się wynieść, żeby czytać te swoje czasopisma.

– Chcę wrócić do sklepu – powiedziałam, mając świadomość, że moczę jej ulubiony fioletowy sweter. – Chcę wyzdrowieć i chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

W końcu udało jej się ode mnie uwolnić.

– To nie będzie takie proste. Przecież znasz swoją babcie. Gdy traci do kogoś zaufanie...

– Zachowałam się głupio. Nie chcę, żebyś była uwięziona w sklepie.

Popatrzyła na mnie bardzo poważnie, nie wierząc w to, co mówię.

– Żyłyśmy sobie spokojnie, a teraz... no nie wiem... wszystko skomplikowałaś.

– Pomóż mi być taką jak dawniej.

– Teraz, kochanie, ostatnie słowo należy do doktora Montalvo. Musiałby cię zbadać, żeby się przekonać, czy możesz wyjść na ulicę.

Położyłam się na prawym boku, plecami do drzwi. Gdyby był tu Pascual, mógłby mi pomóc. Opowiedziałabym mu o Verónice, a on, jako naukowiec, umiałby odróżnić prawdę od kłamstwa. Ale Pascual i ja mieliśmy sobie coraz mniej do powiedzenia. Jak miałam mu zakomunikować, że moja rodzina nie jest moją rodziną, że gdy się urodziłam, odebrano mnie mojej prawdziwej matce i teraz zostałam znaleziona? Co

on miałby w związku z tym zrobić, będąc w Paryżu, w swoim laboratorium, w swoim białym fartuchu?

Wieczorem do pokoju wjechała Lilí. Mama pchała wózek. Babcia trzymała na kolanach tacę z zupą, chlebem, wodą, mlekiem, jednym jabłkiem i tabletkami, które nakładała na łyżeczkę.

– Greta mówi, że ci lepiej.

Usiadłam na łóżku, a mama złożyła poduszkę, żebym mogła się wygodniej oprzeć.

– Uczesz ją – poleciła jej Lilí. – Popatrz, jakie ma kudły. Tylko nie mów, że przyjąłś Carol w takim stanie.

– Nie wiem – odpowiedziałam – nic mi nie mówiła.

– A ty bez przerwy tylko o Carol – oburzyła się mama. – Carol to, Carol tamto. Co ona ma takiego, poza tym, że występuje w telewizji? Nie jest ani trochę lepsza ode mnie ani... od Laury.

Lilí nie odpowiedziała. Nie było potrzeby. My, jej córka i jej wnuczka, nie dorastałyśmy Carol do pięć. Mama wyszła, wywołując wicher spódnicy, i wróciła ze szczotką. Czesła mnie z furją, nie zważając na to, że włosy mogły wpaść do zupy. Oczywiście nie była taka jak Carol, która nalewała herbatę niczym Japonka. Gdy już zjadłam pół talerza, Lilí włożyła mi do ust tabletkę. Wpychała mi je własnymi palcami, krótkimi i grubymi. Zostawiała sobie trochę dłuższe paznokcie, żeby lepiej wyglądały. Gdyby mogła, wsadzałaby mi głowę do ust, żeby zobaczyć, czy je połykam, ale ponieważ nie mogła, a język, zęby, podniebienie i wszystkie fałdy oraz zagłębienia po obu stronach języka należały do mnie i nikt nie mógł poznać ani opanować tego terenu, odważyłam się nie posłuchać Lilí i ukryć tabletkę w jakimś zakamarku. Choć było nieuniknione, że trochę się rozpuści, wiedziałam, że nie będzie miała takiego efektu, jakbym połknęła całą.

– Dokończ zupę – powiedziała Lilí.

Nie chciałam dużo mówić, żeby tabletkę się nie ruszała i nie rozpuściła się za szybko.

– Już nie chcę, jestem bardzo zmęczona.

– Cały dzień leżysz w łóżku, nie możesz być zmęczona.

Lilí popatrzyła na mnie w taki sposób jak wtedy, gdy coś jej się wydawało podejrzone, odpychające, gdy mózg zalecał jej, żeby była nieufna. Dlatego zawsze bałam się ją okłamywać albo denerwować, przez to nadludzkie spojrzenie jej oczu. Kiedy chodziłam do podstawówki, zazdrościłam kolegom, którzy potrafili okłamywać rodziców, nie przejmując się konsekwencjami, nie bojąc się żadnego prawdziwego odwetu. Mówili: „Ukarali mnie”, bez strachu, nie przywiązując do tego większej wagi. Mnie nie karano, jednak gdybym coś ukryła przed Lilí, gdybym zechciała coś zrobić na własną rękę, zatajając to przed nią, skutek byłby taki, że odsunęłaby mnie od tego tak niewiarygodnie miłego świata, który umiała stworzyć. Pozbawiała mnie swojego śpiewnego głosu, swoich uścisków, swoich czarnych oczu pełnych maleńkich gwiazdek, którymi obsypywała osoby zasługujące na jej sympatię, okrywając je blaskiem. Nie być lubianym przez moją babcie oznaczało pograć się w absolutnym mroku i w absolutnej samotności. Właśnie dlatego zawsze czułam się inna od pozostałych dzieci, które nie miały takiej babci jak Lilí. Na ogół miały dwie i mogły je porównywać, miały także jakiegoś dziadka i ojca. Ja za nimi nie tęskniłam i nie wyobrażałam sobie, jak wyglądałoby życie z tyloma mężczyznami w rodzinie. Wydawało mi się, że istnienie Alberta I i Alberta II całkiem wystarczy, i niemal byłam wdzięczna Lilí, że nie pozwoliła mamie umieścić w domu żadnego Larry’ego. Co najwyżej przyjmowała ich w swoich włościach i stamtąd szli na miasto.

Zamknęłam oczy i oparłam głowę na wezgłowie. Nie mogłam się ruszyć, nie zrzucając tacy.

– Musisz zjeść gruszkę – powiedziała Lilí w taki sposób, jakby oznajmiała: wiem, że trzymasz tabletkę w buzi i gdy otworzysz usta, żeby ugryźć gruszkę, i zaczniesz ją przeżuwać, tak czy siak, połkniesz tabletkę; mnie nie uda ci się oszukać, bo ja jestem Lilí, a nie żadna z tych głupich babć, z którymi sprytnie wnuczki robią, co zechcą. Nie chcesz więcej zupy, bo ukryłaś tabletkę w jakimś zakamarku.

– W porządku, już wystarczy, daj jej spać – powiedziała mama. – Nie sądzę, żeby nagle uciekła.

– Teraz to się o nią troszczysz – powiedziała Lilí swoim charakterystycznym

zagniewanym głosem, patrząc jej prosto w twarz, wyzywająco.

Mama skrzyżowała ramiona, przyglądając się lampie na suficie. Lilí już nie robiła na niej wrażenia.

– A gdzie byłaś, kiedy miała czterdzieści stopni gorączki? – zapytała Lilí, tracąc panowanie nad sobą i opierając się na poręczach wózka, gotowa się podnieść. – I kiedy trzeba było rozmawiać z nauczycielami, kiedy się przewracała, kiedy trzeba było jej zmieniać pieluszki, kiedy wyrzynały jej się zęby. No i gdzie byłaś, kiedy stało się to, co się stało? Byłaś zajęta własnymi sprawami, ze swoimi przyjaciółmi, w Tajlandii, malując wszystkie te obrazy – powiedziała, mając na myśli obrazy ozdabiające niemal każdą ścianę domu, które mama malowała zawsze po powrocie z Tajlandii, mając głowę pełną pomysłów.

Ja nadal miałam przymknięte albo zamknięte oczy i zsunęłam się trochę niżej w łóżku, uważając, żeby niczego nie stracić.

– Ten wspaniały pomysł był twój, nie mój, ja niczego nie potrzebowałam.

– Zrobiłam to dla ciebie, żebyś nie została sama. Zawsze byłaś nieświadoma niczego. Uciekasz od starości, ale pewnego dnia starość cię dopadnie i wtedy przypomnisz sobie o swojej matce i o tym, co dla ciebie zrobiłam.

– Nie udawaj idealnej matki. Zrobiłaś to dla siebie, i tylko dla siebie. Ja byłam dla ciebie wyłącznie pretekstem.

– Wystarczy! – powiedziała Lilí. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Zauważyłam, że przysunęła się bliżej mnie, i otworzyłam oczy, czując coś zimnego na wargach.

– Napijesz się wody – powiedziała.

Jej grube, spłaszczone palce odbijały się we wszystkich ściankach szklanki.

Próbowałam powstrzymać wytwarzanie śliny, żeby tabletką się nie rozpuściła. To było moje największe zmartwienie. Słyszałam głosy Lilí i mamy, ale koncentrowałam się na tym, żeby tabletką pozostała nienaruszona. Moim zdaniem babcia wiedziała, że coś przed nią ukrywam.

Nie miałam innego wyjścia i musiałam się napić. Spróbowałam przycisnąć tabletkę lewą stroną języka, żeby nie miała kontaktu z wodą, ale w taki sposób,

żebym nie była zmuszona się skrzywić ani zrobić żadnej dziwnej miny.

Łyk wody załatwił sprawę, chociaż sądząc po wyrazie twarzy Lilí, nie był wystarczający. Miała szósty zmysł, który ostrzegał ją, jeśli nie kontrolowała absolutnie wszystkiego.

Uśmiechnęłam się do niej słabo, bo gdybym coś powiedziała, tabletki by się przesunęły. Potem znów zamknęłam oczy. Mama zabrała tacę.

– No dobrze, już w porządku – powiedziała.

Położyła ją na kolanach Lilí, nachyliła się nade mną i pocałowała mnie w czoło. Zsunęła mnie całkiem do pozycji leżącej i przykryła kołdrą.

Odebrałam jej pocałunek jako coś dziwnego, ponieważ nieczęsto mnie całowała. Nie była typową matką. Istniało coś takiego, co miały w sobie matki moich przyjaciółek, a czego nie miała moja, chociaż niełatwo to wyjaśnić, ale też nie była dla mnie zła. Pamiętam, że kiedy byłam mała, czasami włączała muzykę i tańczyłyśmy, pozwalała, żebym jej malowała paznokcie, chodziłyśmy na zakupy i do kina, jeśli byłam grzeczna. Bardzo szybko zrozumiałam, że opłaca mi się zachowywać tak, jak chce mama. Kupowała mi ładne ubrania, żebym pięknie wyglądała, kiedy wychodziłyśmy razem, chociaż czasami nie mogłam nic poradzić na to, że się przewracałam albo chorowałam, albo wracałam ze szkoły zapłakana, a wtedy się złościła i dlatego za nic na świecie nie chciałam być dla niej problemem. Teraz właśnie byłam problemem, więc musiała być bardzo urażona, ale chyba było jej także przykro, kiedy widziała mnie w takim stanie.

Wreszcie usłyszałam, jak koła wózka toczą się w stronę drzwi. Zanim Lilí je zamknęła, przyszło jej do głowy, żeby zgasić światło.

– Niech ci się przyśnią aniołki – powiedziała, jak wtedy, gdy byłam mała, z tą różnicą, że teraz ja byłam dorosła, a ona stara i nie ufała mi ani ja jej.

Wyciągnęłam palcem tabletkę i zamierzałam ją przykleić do prześcieradła, ale się rozmyśliłam i wsunęłam rękę pod materac. Tam biała masa, która zostanie po roztarciu pastylki, będzie mniej widoczna. Starłam się dokładnie przejechać palcem po zagłębieniu, w którym praktycznie się rozpuściła. Powinnam ją była umieścić między dziąsłami a policzkiem, a nie między dziąsłami a językiem, gdzie zbiera się

więcej śliny. Powinnam wypłukać sobie usta i płuć, ale to i tak niewiele by dało, bo połknęłam część środka uspokajającego i czułam trochę tej błogości, którą ostatnio znienawidziłam. Nie było normalne, że nie chciałam czuć, jak unoszę się w powietrzu, w chmurach. Nie było normalne, że najbardziej pragnęłam wyjść na ulicę, poczuć się zmarznięta i samotna. Co zrobiłaby Verónica na moim miejscu? Ona nigdy nie znalazłaby się w takim położeniu jak ja, nie bała się, że mogłaby się nie podobać. Nie przerażałoby ją, że nie zdobędzie aprobaty Lilí. Na pewno nieraz kłóciła się ze swoją matką. Wydawało się, że nikt nigdy jej nie mówił, ani rodzice, ani nauczyciele, co ma robić.

Może to, co właśnie zrobiłam z tabletką, dowodziło, że jestem obłąkana. Żaden wariat nie wie, że jest wariatem, a ja bądź co bądź byłam w tym pokoju i leżałam w łóżku dlatego, że zalecił to doktor Montalvo, psychiatra. Nie znalazłam się tu na skutek kaprysu babci ani matki i nie miałam powodu podejrzewać doktora ani nie powinnam podejrzewać Lilí i mamy, bo z powodu tej sytuacji były przeciążone pracą. Z pewnością wyzdrowieję, gdy przestanę się czuć nieustannie zagrożona i kiedy przestanę myśleć, że osoby, które najbardziej mnie kochają, są moimi wrogami. Najrozsądniej byłoby poddać się ich woli, ale wiedziałam, że nie pozwoli mi na to mój obłąd.

Nagle się obudziłam. Zanim otworzyłam oczy, już byłam rozbudzona. Zauważyłam, że w pokoju jest jasno, bo powieki nie są na tyle grube, żeby przesłonić całe światło albo cały mrok. Dostrzegłam nad nimi różowy blask, a nad tym blaskiem czyjs cień, i poczułam powiew wywołany ruchem ręki. Leżałam na lewym boku, zwrócona twarzą do drzwi, do lampki nocnej i do jakiejś osoby, która się poruszała. Wtedy zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić pod żadnym pozorem. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Lilí, która stała, obserwując mnie. Wystraszyłam się, omal nie krzyknęłam. Już dawno nie widziałam jej bez wózka. Nie pamiętałam, że jest tak ogromna, w tej swojej białej piżamie i z białymi włosami. Patrzyła na mnie bez mrugnięcia okiem, przyglądając mi się badawczo.

– Chce mi się pić – powiedziałam.

– To ci się śni, tak naprawdę nie chce ci się pić. Zamknij oczy.

Posłuchałam jej. Odwróciłam się na drugi bok i zamknęłam oczy. Zgasiła lampkę i wyszła, a ja nie odważyłam się poruszyć ani otworzyć oczu w ciemności. Naciągnęłam kołdrę na głowę, tak jak w dzieciństwie, gdy zrobiłam coś, co, jak wiedziałam, nie spodoba się Lilí. Teraz rzeczywiście chciałam zasnąć i pragnęłam, żeby przerażająca wizja stojącej nade mną babci okazała się snem. Nie udało mi się to, bo zasypiałam na chwilę, a po przebudzeniu wysoka, wielka i wyprostowana Lilí nadal była rzeczywista. A kiedy o siódmej rano zrobiło się jasno, wciąż była rzeczywista.

Wstałam, otworzyłam okno, odetchnęłam chłodnym powietrzem i przeciągnęłam się. Nie miałam takiej ciężkiej głowy jak zawsze. Owszem, byłam otępiała, ale mogłam się poruszać, chodzić i miałam ogromną ochotę wyjść na zewnątrz i stać się jeszcze jedną z tych osób, które szły ulicą do pracy, na uczelnię czy gdziekolwiek indziej. Tęskniłam za sklepem obuwniczym i rozmową z ludźmi. Odwróciłam się do drzwi, bo w każdej chwili mogła wejść Lilí. Bardzo mało spała i często się budziła. Ciekawe, czy przyjedzie na wózku, czy będzie normalnie chodzić. Właśnie do mnie dotarło, że zawsze się jej bałam i że jestem bliska wyzbycia się tego strachu. Zawsze myślałam, że to był szacunek i wielka miłość, ale przed momentem odkryłam w swojej otępiełej głowie, że przede wszystkim chodziło o strach. Jakże często miłość jest strachem, a strach jest miłością.

Nie był to odpowiedni moment na ucieczkę, nie miałam dość siły, nie byłam przygotowana. Nie mogłam spisać całego dotychczasowego życia na straty, jeszcze nie byłam zdolna do tego, żeby pojawić się na ulicy w piżamie i z rozczochranymi włosami, zawsze pragnęłam być idealna. A poza tym, jeśli nie byłam wariatką, byłyby dwie na jedną. Zamknęłam okno i wróciłam do łóżka. Nie wiedziałam, jak zdołam znieść kolejne przedpołudnie, tkwiąc tutaj pilnowana przez Lilí. Do tej pory nie zastanawiałam się, jak sobie radziła beze mnie z ubieraniem się i czesaniem przez te dni. Zazwyczaj robiłam to ja przed zejściem do sklepu i zakładałam, że Petre pomaga jej wziąć prysznic wieczorem, zanim wracałam z lekcji. Teraz wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że sama bierze prysznic.

Oczywiście, gdyby Verónica nie weszła w moje życie, nic z tego by się nie wydarzyło, byłabym nadal taka sama, nie odczuwałabym ciekawości, nie miałabym

żadnej obsesji i nie dostałabym rozstroju nerwowego, a mój świat by się nie zawalił, bo niezależnie od tego, co się jeszcze stanie, moje stosunki z rodziną już nigdy nie będą takie same, nawet z Albertem I i Albertem II, którzy natychmiast poszli do Lilí i wypapłali, że wypytuję o ojca. Nie mogłam również liczyć na żadną pomoc ze strony Carol.

Wierciłam się w łóżku do ósmej. Wtedy usłyszałam, jak Lilí nazywa mamę leniem. Sklep był otwierany o dziesiątej, ale jeśli nie mogła jej dobudzić, już było wiadomo, że mama nie zejdzie na dół przed jedenastą.

Wjechała na wózku, który ledwie mieścił się między łóżkiem a szafą. Kierowała nim sama, kręcąc kołami. Podjechała do okna i rozsunęła zasłonki, szarpiąc z całej siły. Jak dobrze wczuła się w rolę inwalidki. Czy robiła to, żeby wzbudzić we mnie litość? Może kiedy przestała mieć problemy z kolanami, spodobało jej się, że koło niej skacze, i polubiła podwójną grę polegającą na udawaniu słabszej niż w rzeczywistości. Przedstawiała zdumiewający widok, gdy wyciągała rękę najwyżej, jak umiała, tak bardzo się męcząc bez potrzeby.

– Jak ci minęła noc?

Udałam, że czuję się tak jak po tabletkach, otumaniona i ospała, i że nie mam ochoty wstać.

– Dobrze. Śniło mi się, że widziałam, jak stoisz obok mojego łóżka.

– Ach tak?

– Wystraszyłam się, bo wydawałaś się wyższa niż wtedy, kiedy chodziłaś.

– Ciekawe, czy teraz będziesz miała halucynacje.

Nie odpowiedziałam. Wstałam, żeby pójść do łazienki, i zrobiłam to tak powoli jak wtedy, gdy brałam tabletki, często opierając się na łóżku, a idąc, przytrzymywałam się ręką ściany. Gdy wróciłam, szafa była otwarta, a Lilí po kolei oglądała ubrania wiszące na wieszakach. Bardzo mnie to zaniepokoiło, ale o nic nie pytałam. Usiadłam na łóżku.

– Czemu nie spróbujesz zjeść tutaj śniadania? – spytała mama, wchodząc jak burza i stawiając tacę na okrągłym stoliku, który stał pod oknem razem z krzesłami obitymi różowym aksamitem. Gawędziłam przy nim z Carol tysiąc lat temu.

Wstałam z łóżka i opadłam na krzesło. Miałam przed sobą szklankę mleka, dwie kromki z masłem i pomarańczę.

– Ile jedzenia! – zawołałam, chociaż prawdę mówiąc, byłam głodna.

– Tyle co zawsze – powiedziała mama, która miała na sobie długą aksamitną sukienkę z szerokim paskiem na biodrach, a na wierzchu rozpinany sweter. Włożyła zamszowe botki z naszego sklepu, jedne z najdroższych. Nic jej nie powiedziałam, bo należało się spodziewać, że nie jestem w stanie dostrzec tego rodzaju drobiazgów. Gdy czułam się normalnie, czasami musiałam jej pokazywać, ile kosztują różne rzeczy, które zabierała ze sklepu. Złościła się wtedy na mnie, ale ja wolałam się podlizywać Lilí niż jej.

Lilí wyjechała z ogromnym wysiłkiem, a ja skorzystałam z okazji, żeby zjeść wszystko z prawdziwą przyjemnością. Miałam wrażenie, że tankuję w sobie benzynę z węża, bo czułam coraz większy przypływ energii i siły. Mama dla rozrywki zaczęła zaglądać do szafy i przymierzać moje rzeczy, chociaż mój styl jej nie odpowiadał, wydawał jej się zbyt elegancki. Ja natomiast nie potrafiłabym chodzić ubrana tak jak ona, jakby mieszkała na Ibizie w przyczepie kempingowej. Gdy Lilí zjawiała się ponownie, spojrzała na tacę, na której nie został ani jeden okruszek, i poprosiła, żebym podeszła do niej. Przykucnęłam obok jej nóg, a jej palce i jej paznokcie pomalowane na różowo nie położyły mi tabletki na czubku języka jak poprzednio, lecz wepchnęły ją do środka. Poczułam je na języku. Zawróciłam w stronę tacy, żeby popić i pokonując tę odległość dwóch kroków, zrobiłam co w mojej mocy, żeby ukryć tabletkę tam, gdzie wcześniej zaplanowałam. Nie udało mi się aż tak bardzo przesunąć jej na bok, ale zdołałam przynajmniej zablokować językiem ten kanał, żeby woda nie popchnęła jej do gardła. Byłam zdecydowana nadal być wariatką, ale dowiedzieć się, co się dzieje.

Odwróciłam się w stronę babci ze szklanką w ręku.

– Wypij więcej – powiedziała. – Lekarstwo trzeba popijać całą szklanką wody.

Wypiłam, żeby jej nie drażnić i rozwiązać jej wątpliwości, a wracając do stolika, żeby odstawić szklankę, przepchnęłam tabletkę językiem w zagłębienie między górnym dziąsłem a policzkiem. Było to pewniejsze miejsce niż na dole, bo docierało tam mniej śliny. I nagle mój wzrok napotkał oczy mamy, która siłą rzeczy musiała

zobaczyć ten ruch ust. Czy skojarzy go z tabletką? Czy powie o tym Lili? Już chciałam posłać jej błagalne spojrzenie, żeby nic nie mówiła, że to będzie tajemnica między matką a córką, ale się powstrzymałam i zamiast tego zapytałam ją, czy zamierza włożyć coś z tych rzeczy, które zdejmowała z wieszaków. Mówiłam powoli, zmęczonym głosem, chociaż byłam już w stanie mówić prawie normalnie, pomimo tabletki.

Nie odpowiedziała.

– Jeśli będziesz się dobrze sprawować, być może pojedziemy w podróż – powiedziała Lili za moimi plecami.

Mama przewiesiła sobie przez ramię kilka bluzek i biały sweter z angory, który trzymałam na specjalne okazje. Nie można go było nosić z niczym czarnym, bo zostawiał włoski. Nie można też go było prać w pralce, boby się zniszczył. Wymagał specjalnych zabiegów, które teraz nie miały żadnego znaczenia. Do dupy ze swetrem z angory.

– Jeszcze nie czuję się dobrze – powiedziałam, patrząc na babcię i próbując jak najmniej poruszać ustami.

– Właśnie dlatego musisz odzyskać siły gdzie indziej, na świeżym powietrzu i na słońcu.

Opadłam ciężko na krzesło.

– Prawie nie mogę chodzić.

– My i doktor Montalvo ci pomożemy – powiedziała mama, biorąc na chybił trafił ubrania, z których nie dałoby się zrobić żadnego sensownego zestawu.

To też było bez znaczenia. Nie chciałam, żeby gdziekolwiek mnie zabrano.

– Kiedy jedziemy?

– Kiedy powie doktor – odpowiedziała mama, zostawiając stos ubrań na łóżku. – Przekonasz się, że to bardzo miłe miejsce. Będziesz miała wakacje.

– Na Boga, Greto! – krzyknęła Lili tym swoim głosem pełnym śpiewnych tonów.

– Nie ma potrzeby wywracania domu do góry nogami.

Wstałam i położyłam się do łóżka, zrzucając część ubrań na podłogę. Spodziewano się po mnie, że zawsze jestem na wpół otumaniona.

– Trzeba by przewietrzyć pokój – powiedziała Lili. – Połóż się na sofie. Potem cię przeniesiemy.

Mama nie chciała się na to zgodzić, bo na śpiąco ważyłam tyle co martwa, a przecież jeszcze zdążą wywietrzyć, kiedy pokój będzie pusty.

Słuchałam jej słów, leżąc na plecach, z zamkniętymi oczami, właśnie tak, jakbym była martwa, i nie mogąc się doczekać, kiedy będę mogła wyjąć z ust resztki tabletki.

– Zasłoń okno – powiedziała Lili.

– To przecież bez znaczenia – odparła mama. – Kiedy zasypia, to zasypia.

Westchnęłam i mało brakowało, żebym naprawdę zasnęła w ciągu tych kilku minut, które zajęło im zabranie ubrań oraz kilku par butów i wyjście. Nie otworzyłam oczu, gdy tylko usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, bo wydawało mi się, że wyczuwam obecność Lili, tę energię, która emanowała z jej osoby i która tak bardzo przyciągała ludzi, jakby miała w środku magmę czy magnes. Poza tym nie usłyszałam wyraźnie odgłosu kół toczących się w stronę wyjścia. Odległość była niewielka, ale wystarczająca, żeby narobiły hałasu. Położyłam się na lewym boku, odwracając się do niej plecami i tak spędziłyśmy jakieś pięć minut. Starłam się oddychać coraz głośniej, a tymczasem moje serce niemal trzęsło łóżkiem. W końcu usłyszałam odgłos kół i ponowne trzaśnięcie drzwiami, a energia znacznie opadła. Jednak nie zamierzałam zrobić głupstwa, więc najpierw odwróciłam się na drugi bok i tylko troszkę otworzyłam oczy. Nie było nikogo. Włożyłam palec do ust, wyciągnęłam tabletkę, wtarłam ją w materac i oczyściłam usta najlepiej, jak umiałam. Wypłułam resztki na rękę i też wytarłam ją w materac, który był chyba ostatnim miejscem, gdzie by patrzyły. Wypłukałam usta łykiem wody i jeszcze raz zrobiłam to samo. Chociaż byłam trochę śpiąca, czułam się coraz bardziej pewna siebie. Zastanawiałam się, co mogłabym włożyć, gdybym chciała uciec, bo mama niemal ogołociła szafę. Nie zamknęła drzwi i zobaczyłam w środku spodnie z czarnej krepy. Były bardzo długie, dlatego musiałam do nich wkładać buty na wysokim obcasie, żeby nie ciągnęły się po ziemi, więc się nie nadawały. Na szczęście mama nie zauważyła adidasów, w których chodziłam na balet. Wstałam, nie robiąc hałasu, i schowałam je pod łóżkiem. Dzień był cudowny, z bardzo błękitnym niebem w niektórych miejscach i lekko szarym w innych z powodu zanieczyszczeń. Okna domów naprzeciwko wydawały się

gigantycznymi diamentami. Miałam już bluzkę oraz sweter i rozpaczliwie szukałam dzinsów. Nie mogłabym biegać w tych spodniach z krepy, bobym się przewróciła. Potrzebowałam też czegoś cieplejszego na wierzch, skafandra albo kurtki marynarskiej, ale zniknęły. Wyjęłam z szuflady grube skarpety i majtki. Zmieniłam bieliznę, a używaną wcisnęłam w róg na górnej półce. Skarpety włożyłam do adidasów. Chociaż to, co robiłam, mogłoby się wydawać zachowaniem wariatki, nie miałam wrażenia, że jestem obłąkana albo zdezorientowana. Patrząc w niebo, czułam tę samą radość co zawsze i chęć powrotu do normalnego życia. Moim zdaniem nie byłam inna, inne były natomiast moja babcia i moja matka. Niby były takie same, a równocześnie nie takie same. Ostatecznie będę musiała wyjść w spodniach od pizamy. Ze swetrem na wierzchu nie powinny się aż tak rzucać w oczy. Były flanelowe, z wzorem w laleczki, prezent od Lilí. No i potrzebowałam pieniędzy. Popielniczka w salonie, ta, której używała Ana, kiedy nas odwiedzała, była pełna monet. Zaraz po przyjściu Ana zsuwała je na jedną stronę i zostawiała tam papierosa, żeby się wypalił. Dokąd mogłam pójść? Nawet nie wiedziałam, gdzie szukać Veróniki. Mogłabym zadzwonić do którejś przyjaciółki, chociaż byłam pewna, że postawiłabym ją w niezręcznej sytuacji. Mogłabym pójść do konserwatorium, ale tam znano i uwielbiano Lilí, więc przekonałyby ich, że mam nie po kolei w głowie. Lilí miała nade mną znaczną przewagę. Nie powinnam zwracać się do nikogo, kto znał również Lilí. Coś wymyślę, o ile zdołam stąd wyjść, bo gdy przyjdzie doktor i zbada mi źrenice tą swoją maleńką latareczką, będzie wiedział, że nie zażywałam lekarstwa.

Dobrze sprawdziłam, gdzie wszystko zostawiłam, i położyłam się pełna zapału, bo miałam już ubranie, żeby stąd wyjść. Teraz trzeba było tylko zaplanować, w jaki sposób to zrobić. Kiedy pokój będzie pusty, powiedziały. Tutaj było wszystko, co miałam, ubrania, książki, biurko. Wszystkie moje rzeczy mieściły się na powierzchni piętnastu metrów kwadratowych. Gdybym odeszła, już nie odziedziczyłabym sklepu obuwniczego i cała moja praca poszłaby na marne. Prawda wyglądała tak, że pracowałam dużo, a babcia ledwie mi za to płaciła, pod pretekstem, że wszystko jest moje. Teraz zdałam sobie sprawę, że w rzeczywistości nic nie było moje i że odchodząc, będę musiała zaczynać od zera. Biurko kupiłam sama. Było bardzo ładne, z rzeźbionego drewna. Żałowałam, że już nie będę na nie patrzyła, że już przy nim nie

usiądę, żeby prowadzić rachunki sklepu albo oceniać swoje uczennice i planować lekcje. Czasami, gdy już ślęczałam godzinami przy biurku, babcia przynosiła mi szklanek mleka i przyglądała się, co robię. Przysuwała sobie nawet jedno z tych wyściełanych krzeseł i dzieliła się ze mną swoim zdaniem, albo tylko patrzyła i mówiła: „Ależ masz piękne palce”. A ja myślałam teraz, jak od niej uciec – czego nigdy bym sobie nie potrafiła wyobrazić.

Usłyszałam, że wózek zbliża się do drzwi, chociaż byłam pewna, że po mieszkaniu Lili chodzi normalnie. Wózek wyprowadzał mnie z równowagi. Było chyba wpół do pierwszej i znów pozorowałam sen, a kiedy podjechała do łóżka, udałam, że się budzę. Dla niepoznaki zsunęłam sobie włosy na twarz, bo nie chciałam, żeby mi się przyglądała.

– Która godzina?

– Południe. Chcesz wody?

Pokręciłam przecząco głową. Nie ufałam jej. Trzymała na kolanach bardzo długie druty i motek białej wełny.

– Robię ci sweter – powiedziała.

– Nie wiem, czy dożyję, żeby go włożyć – powiedziałam, oddzielając bardzo sylaby.

– Nie opowiadaj głupstw. Wrócisz jak nowa, a ja będę miała sweter gotowy.

Nie wiedziałam, że umie robić na drutach, nigdy nie miała czasu, żeby być domatorką, musiała zapewnić nam utrzymanie, swojej córce, mnie i sobie samej, co nie zawsze było łatwe, tak jak w tamtym okresie, kiedy nie sprzedawało się absolutnie nic i musiała obniżyć ceny o pięćdziesiąt procent, tracąc mnóstwo pieniędzy, aż przyszło jej do głowy, żeby zareklamować się w kilku przewodnikach turystycznych i los się odwrócił. A także wtedy, gdy mama zniknęła na cztery miesiące, nie dając znaków życia i musiała się cały czas mną zajmować. Miałam wówczas osiem lat i pewnego razu przyłapałam ją na tym, jak płacze i głośno pyta, co zrobiła, że zasłużyła na tak niewdzięczną córkę. Ja natychmiast zaczęłam się starać, żeby nie było jej jeszcze trudniej i żeby nie musiała się na mnie skarżyć, bo chciałam jej wynagrodzić wszystkie zmartwienia, których przysparzała jej mama. Wróciła po

czterech miesiącach jakby nigdy nic, z kolekcją namalowanych przez siebie obrazów i wszami, którymi nas zaraziła. Powiedziała, że nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jaka jest Tajlandia, że żałuje, iż się tam nie urodziła, że zamieszkałaby tam na stałe, gdyby nie my, i że wróci tam, kiedy tylko będzie mogła. Lilí porozwieszała obrazy na ścianach i nie robiła jej żadnych wyrzutów, jakby to się wcale nie wydarzyło. Kiedy będziesz starsza, powiedziała do mnie, będziesz się musiała nią opiekować. Jest do niczego, ale to moja jedyna córka i jestem gotowa zrobić dla niej wszystko, absolutnie wszystko.

Teraz wszystko to zostało w innym życiu i nie miało nic wspólnego z teraźniejszością.

Lilí wyjęła druty, założyła okulary do czytania i zaczęła liczyć oczka.

– Jak wtedy, gdy byłaś mała, pamiętasz? Ty odrabiałaś lekcje, a ja robiłam swetry, szaliki.

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami, bo nigdy nie widziałam, żeby robiła swetry czy szaliki i nawet nie wiedziałam, że ma te druty. Domagała się, żebyśmy przypomnieli sobie fałszywą scenę, równie fałszywą jak ta teraz. W tamtych czasach Lilí przyjeżdżała po mnie do szkoły i zawoziła mnie do sklepu obuwniczego. W pokoiku na zapleczu czekała na mnie kanapka owinięta w folię aluminiową. Jedząc, zabierałam się do odrabiania lekcji. Zza drzwi dobiegał szmer rozmów klientów i górujący nad nim śpiewny głos Lilí. Na zapleczu pachniało skórą i kartonowymi pudełkami. Czasami, zamiast się uczyć, pozwalałam się zauroczyć złożonym zamkom torebek i ozdobom eleganckich butów. Po godzinie Lilí albo mama, jeśli nie była w podróży, zawoziły mnie samochodem na balet. Ćwiczyłam codziennie aż do dziewiątej wieczorem pod okiem madame Nicoletty, która mówiła, że mam przed sobą wielką przyszłość jako baletnica, i w ten sposób pomagała Lilí ludzić się, że będzie babcią jednej z najlepszych tancerek Baletu Narodowego.

Madame Nicolettę zawsze widywałam okutaną w turbany i jedwabne chusty noszone na czarnym trykocie, tak że niemal nie było jej widać ciała ani włosów. Zawsze widywałam ją odbijającą się w ogromnych lustrach sali tanecznej, jakby płynęła w powietrzu, jakby unosiła się pod sufit. Rzecz w tym, że ja w głębi duszy wiedziałam, iż nie jestem wybitnie uzdolniona i mam spore ograniczenia, więc kiedy

zaczęto mnie raz po raz odrzucać na testach, zapytałam ją, dlaczego nie była szczerą z moją babcią i ze mną, a wtedy ona przytuliła mnie do tych swoich chust. Tak było znacznie lepiej dla ciebie, wierz mi, powiedziała. Z czasem odeszła na emeryturę i ja zajęłam jej miejsce w konserwatorium. Teraz wydawało mi się, że rozumiem, co mi chciała powiedzieć. Lilí traktowała mnie lepiej przez ten długi okres, kiedy wierzyła, że uczynię ją sławną jako babcię wielkiej gwiazdy baletu. Kiedy sen się skończył, byłam już na tyle duża, że umiałam się przed nią bronić.

Lilí nigdy nie traktowała mnie źle, madame Nicoletta przesadzała, chociaż coś musiała widzieć w niej, albo we mnie, co mi umykało.

– Kiedy wyjeżdżamy?

– Kiedy doktor znajdzie czas, przyjdzie cię zbadać i jeśli będziesz się nadawała, pojedziemy. W południe albo wieczorem. Wszystko nam jedno, bo bagaże są już spakowane. Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi.

Położyłam głowę na poduszce i zamknęłam oczy, zastanawiając się, przy kim łatwiej mi będzie uciec. O piątej Greta pewnie zastąpi Lilí. Greta była zwinniejsza, dlatego niełatwo byłoby mi dotrzeć do drzwi, a w dodatku mogła przyjść z Larrym, więc miałabym przeciwko sobie ich dwoje. Lilí kilka sekund zajęłoby wstanie z wózka. Poza tym ze względu na swoją tuszę nie dawała rady biegać. Nie należało również zwlekać i pozwolić, żeby przyjechał doktor, bo wtedy już nic nie dałoby się zrobić. Problem mógł stanowić Petre i chociaż nie słychać było żadnych odgłosów, musiałam się upewnić.

– Petre mógłby mi pomóc wziąć prysznic przed wyjazdem – powiedziałam.

– Nie ma go. Greta ci pomoże.

Mogłabym wyskoczyć z łóżka i chwycić adidas, które stały w nogach łóżka oraz sweter złożony na środkowej półce szafy. Albo wstać, ziewając, włożyć sweter, złapać buty i wybiec w podskokach. Lilí nie od razu zrozumiałaby, że uciekam, i zareagowałaby dopiero po kilku minutach. Miałam ochotę skakać, fruwać. Zanim zdołałaby zawiadomić dozorcę, ja byłabym już na ulicy. Buty włożyłabym, schodząc po schodach. Chyba nie zdążyłabym zabrać drobniaków z popielniczki w salonie, ale w tej sytuacji to nie miało większego znaczenia. Czy się odważę? Czy wstanę

z łóżka? Wózek Lilí był przystawiony do łóżka, więc nawet gdyby się natychmiast zerwała, musiałaby go przesunąć, co dałoby mi czas na dobiegnięcie do drzwi. Jednak lepiej byłoby nie zaalarmować jej już na początku.

Prześliznęłam się na brzeg materaca i zmęczonym ruchem, z trudem, odsunęłam kołdrę. Kości zostały rzucone. Lilí patrzyła, co robię. Usiadłam na łóżku, jakbym była wyczerpana wysiłkiem, i stopą przyciągnęłam buty. Zmieniałam plan, zamierzałam je włożyć od razu. Schyliłam się i spokojnie wyjęłam ze środka skarpety. Włożyłam stopy. Lilí, będąc po drugiej stronie, nie mogła widzieć, co robię. Przytrzymałam skarpety między udami.

– Można wiedzieć, co robisz? – zapytała, z pewnością biorąc pod uwagę możliwość wstania z wózka.

Odwróciłam głowę w jej stronę. Miałam ochotę się rozpłakać. Czemu tak bardzo się jej bałam?

– Nic. Chcę trochę posiedzieć.

Ponownie usłyszałam stukanie drutów, a wtedy zerwałam się jak błyskawica i chwyciłam sweter z szafy. Lilí krzyknęła, wyciągnęła w moją stronę jeden z drutów, wyprostowując ramię i, tak jak przewidziałam, spróbowała się podnieść.

Nie zatrzymałam się przy popielniczce. Otworzyłam zasuwę, zamknęłam drzwi i popędziłam w dół, wkładając sweter przez głowę. W końcu zostawiłam skarpety na podłodze w pokoju. Wyszłam, przechodząc normalnym krokiem przed dozorcą, który popatrzył na mnie ze zdumieniem. Zawołał za mną, bo na pewno chciał zapytać, czy już się lepiej czuję. Pomachałam mu ręką na pożegnanie, przyśpieszając kroku. Pobiegłam najszybciej, jak umiałam, ale brakowało mi sił. Biegłam w dół ulicy Goi, jakbym uprawiała jogging. Byłam spocona i bałam się, że zemdleję: zażyłam tyle tabletek i przestałam je brać tak nagle... Nie, nie powinnam o tym myśleć. Popychała mnie czyjaś ręka, welony madame Nicoletty sprawiały, że byłam lekka jak piórko. Im dalej dotrę, tym lepiej. Jaka szkoda, że nie wiedziałam, gdzie mieszka Verónica, ale nigdy nie zdołałam poznać bliżej jej życia. Chciało mi się pić. A gdybym poszukała jej ojca? Miał na imię Daniel i, jak mi powiedziała Verónica, na ogół zatrzymywał się na postoju na placu Kolumba. Obejrzałam się. Byłam pewna, że Lilí i Greta wsiadły już do mercedesa i nie będą miały żadnych trudności, żeby mnie dogonić. Mogłyby

powiedzieć pierwszemu lepszemu policjantowi, że się lecę i że uciekłam. Nawet nie miałam przy sobie dowodu osobistego, więc wystarczyłoby, żeby policjant zobaczył, jak wyglądam. Od razu wydałabym mu się podejrzana i uwierzyłby im.

Musiałam się oprzeć o ścianę Muzeum Figur Woskowych, żeby złapać oddech i uzmysłwić sobie, gdzie jest postój. Nie miałam czasu do stracenia. Zdecydowałam się na najbliższy i praktycznie rzuciłam się na dwóch taksówkarzy, którzy rozmawiali przy otwartych drzwiach swoich samochodów.

– Przepraszam, czy znacie taksówkarza, który ma na imię Daniel? To bardzo pilne.

– Daniel? Daniel? A na nazwisko?

To było niesamowite. Verónica wiedziała o mnie wszystko, a ja nawet nie wiedziałam, jak się nazywa. Wzruszyłam ramionami.

– Jest wysoki, przystojny i nosi okulary. Jego córka ma na imię Verónica.

– Ach! Daniel – powiedział jeden z nich.

– To sprawa życia i śmierci. Czy może go pan zlokalizować?

Zmierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem spojrzeli po sobie. Mieli dość dziwnych rzeczy, a ja byłam dziwna. Przeciągnęłam rękami po włosach, żeby je trochę przygładzić.

– Muszę wykonać kurs – powiedział drugi.

– Proszę – zwróciłam się do tego, który zostawał. – Chcę tylko, żeby mu pan powiedział, że Laura, ta przyjaciółka, której szuka Verónica, jest w niebezpieczeństwie i go potrzebuje. On to zrozumie.

– Musiałbym zadzwonić na centralę, ale nie wiem, czy zechcą przekazać mu tak osobistą wiadomość.

– To bardzo proste, jeśli nie będzie chciał mnie posłuchać, nie posłucha – powiedziałam, rozglądając się na wszystkie strony i przypatrując się uważnie przejeżdżającym obok nas samochodom.

Zrobił to. Zadzwonił do centrali. Do taksówki wsiadł pasażer, a on wychylił się przez okno i życzył mi szczęścia.

Nie wiedziałam, co robić: czy się schować, żeby Lilí i Greta mnie nie odkryły, czy

stać na widoku, na wypadek gdyby przyjechał ojciec Veróniki. Postanowiłam schronić się w drzwiach banku, wystarczająco szerokich, żeby mogło się w nich przespać pod dachem kilku żebraków. Trudno się było zorientować, czy mercedes już przejechał i czy mnie zobaczyły, ale musiałam czekać, musiałam ufać, że Daniel zechce mi pomóc. Jego także pewnie dręczyły wątpliwości, czy jest, czy nie jest moim ojcem, a jeśli go nie dręczyły, to przynajmniej zżerała go ciekawość. A jeśli nie przyjedzie? Musiałabym stąd odejść, zastanawiając się, gdzie spędzić noc. Mogłabym pójść do rodziców Pascuala i wyjaśnić im, w jakiej jestem sytuacji, ale taka możliwość prędzej czy później przyszyłaby do głowy także Lilí i musiałabym odejść, bo Lilí miała dar przekonywania i była bardzo sprytna, no i była moją babcią, a trudno się spodziewać, żeby ktoś uwierzył, że babcia chce skrzywdzić swoją wnuczkę.

Po dwudziestu minutach, kiedy już praktycznie byłam zdecydowana poprosić kogoś o pieniądze na metro, zobaczyłam, że wzdłuż szeregu taksówek, z jednego końca na drugi, idzie ktoś wyglądający na Daniela i rzuciłam się w jego stronę. Miał na sobie dzinsy i niezapięty skafander, a pod spodem białą koszulę.

– Daniel? – powiedziałam, gdy znalazłam się na jego wysokości.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, tak samo jak wcześniej jego koledzy. Był bardzo poważny i trochę wystraszony.

– Laura?

Podalam mu rękę, lodowatą z powodu zimna i złego krążenia krwi. Jednak już mnie nie przerażała myśl, że zobaczę mercedesa jadącego w moim kierunku.

Daniel zdjął skafander i zarzucił mi go na ramiona.

– Moja taksówka stoi na końcu. Chodźmy.

Szliśmy szybko w milczeniu. Gdy dotarliśmy na miejsce, zdjął mi skafander i włożył go do bagażnika. Powiedział, żebym usiadła z przodu, bo nie może przerwać pracy. Zamknął drzwi i odwrócił się w moją stronę.

– Ty jesteś...?

– Tak, jestem Laura, Verónica mówi, że ona może być moją siostrą, a pan moim ojcem.

– Nie wiem, czy ci powiedziała, że nie zgadzam się z tą teorią. Moimi dziećmi są Verónica i Ángel. Chciałbym, żeby to było jasne, zanim zrobimy następny krok.

Pokiwałam twierdząco głową.

– To jasne, że potrzebujesz pomocy. Co ci się stało?

Poprosiłam go, żebyśmy stamtąd odjechali, bo moja babcia może nas zlokalizować w każdej chwili. Uruchomił silnik.

– Jeszcze nie jadłem obiadu i jestem pewien, że ty też nie.

42. VERÓNICA W OBLICZU NIEBEZPIECZEŃSTWA

Za tamte trzysta tysięcy peset kupiłam kolejne produkty kosmetyczne. Mojej matce nie byłoby do śmiechu, gdybym straciła tak dobrą pracę, której utrzymanie kosztowało ją tyle wysiłku. W południe byłam już wolna i mogłam pójść w okolice sklepu obuwniczego, żeby sprawdzić, czy zaszła jakaś zmiana w sytuacji Laury. Tym razem zamierzałam wejść na górę z kosmetykami dla Grety. Jak tylko zobaczy te czarne i połączane pudełeczka, perfumowane kremy do ciała, nie będzie się mogła oprzeć i zaprowadzi mnie do swoich włości, a gdy się tam znajdę, już coś wykombinuję, żeby wydostać Laurę z jej pokoju i z mieszkania.

Tym razem, jadąc do parku przemysłowego, wzięłam plecak, żeby nie musieć taszczyć pudła w rękach. Kierowniczka powiedziała mi, że zadzwoniła do niej pewna klientka, pytając o akwizytorkę wyglądającą jak ja, która dała jej próbki z linii kosmetyków wchodzącej właśnie na rynek. Chciała wiedzieć, gdzie może znaleźć tę osobę. Na podstawie opisu, który podała klientka, kierowniczka powiedziała jej, że to mogłam być ja, ale że nie jest upoważniona do podawania moich danych osobowych. Podziękowałam jej, że była tak dyskretna, a równocześnie błagałam moce wszechświata, żeby Greta nie wyskoczyła z moim imieniem przy Anie, bo wtedy także im elementy układanki zaczęłyby do siebie pasować.

Dzięki plecakowi wszystko poszło jak z płatka. Tym zamówieniem mogłam obsłużyć trzech czy czterech dobrych klientów i zarobić prawie milion peset, chociaż oczywiście pierwsza musiała być Wampirzyca. Nie chciałam, żeby sobie pomyślała, że wyjęłam ze skrytki pocztowej więcej pieniędzy, niż było uzgodnione, chciałam, żeby wiedziała, iż może mi zaufać. Siedząc za kratkami, bez żadnej kontroli nad swoim życiem i swoimi pieniędzmi, mogła mieć czarne myśli.

Tak czy inaczej park przemysłowy był dalej od przystanku metra, niż mi się wydawało. Myślałam, że poprzednim razem odniosłam błędne wrażenie z powodu ciężaru i nieporęczności pudła, w którym taszczyłam puszki, słoiczki, buteleczki... a jednak straciłam pół godziny na dojsście i trochę więcej na powrót. W każdym razie, jeśli dodać do tego czas spędzony w biurze, od ponad dwóch godzin nie byłam

w toalecie ani nie piłam wody, a na śniadanie prawie nic nie zjadłam. Weszłam do jakiegoś baru w pobliżu zejścia do metra i zamówiłam kawę z mlekiem, której pierwszy łyk poparzył mi język, oraz szklankę wody. Kelner powiedział mi, że mają świeżo zrobioną tortillę. Pomyślałam, że nie wiadomo, kiedy będę mogła coś zjeść, gdy już znajdę się na terytorium Laury, więc dałam się skusić i od lady przeniosłam się do stolika. Zdjęłam plecak i poprosiłam kelnera, żeby rzucił na niego okiem, kiedy będę w toalecie. Wróciłam lekka jak piórko. Bar był bezosobowy, z takimi samymi przekąskami w takich samych witrynach jak we wszystkich barach, kelner był taki jak wszyscy kelnerzy, a ja taka jak wszyscy klienci, ale tortilla była pyszna, a promienie słońca przełamywały chłód i ogrzewały mi część ręki, kolano, połowę twarzy. Cudowne życie, gdyby nie to że...

Zerwałam się przestraszona. Co się ze mną działo? Jak mogłam się tak odprężyć. Wyglądało, jakbym wpadała w wir zwyczajnych rzeczy i miała trudności z wyjściem na brzeg. Kelner zdziwił się, że najpierw bujałam w obłokach, a teraz nagle tak mi się śpieszy. W gruncie rzeczy była to próba zostawienia wszystkiego w spokoju, żeby świat Laury i świat w ogóle podążał dalej swoim kursem, nie czekając, aż ja wetknę wszędzie swój nos.

Zbiegłam po schodach metra. Dojechanie do ulicy Goi zajęło mi trzy kwadranse, a postoje dłużyły się bardziej niż kiedykolwiek, bo zawsze trafiał się jakiś dowcipniś, który nie pozwalał, żeby drzwi zamknęły się na czas. Nie miałam żadnej wymówki i nie dziwiłam się, że przegapiłam termin zapisów na uniwersytet. Nie potrafiłam sobie trafić palcem do nosa. Nie wiem, jak zamierzałam uratować Laurę przed jej rodziną, skoro nie umiałam uratować siebie samej. Najgorsze były przesiadki, z kilometrami schodów prowadzących do piekieł i tłumami ludzi, którzy bez przerwy wchodzili, nie dopuszczając, żeby drzwi się zamknęły. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Na miejsce dotarłam około wpół do trzeciej, oszołomiona i spocona. Greta pewnie była jeszcze w sklepie, a Lilí na górze. Praktycznie przykleiłam twarz do szyby wystawowej, licząc, że zobaczę powiewającą spódnicę Grety, ale jedyną osobą obsługującą klientów była ekspedientka. Może Greta poszła coś zjeść do tej kawiarni co zawsze, pomyślałam i ruszyłam w tamtą stronę. Musiałam się upewnić, że tylko

jedna osoba jest z Laurą w mieszkaniu.

W kawiarni nie było śladu Greta ani Larry'ego. Zawróciłam i jeszcze raz skierowałam się pod sklep obuwniczy. Nic. Przeszłam przez ulicę naprzeciw bramy domu, osłaniana przez podcienia Zary. Znałam na pamięć fasadę kamienicy. Była kremowa, z białymi dekoracjami, oszklonymi wykuszami i dość małymi oknami, pochodzącymi z czasów, gdy nikt nie chciał, żeby było widać, co się dzieje w środku. Należała do tych domów, które zbudowano w taki sposób, żeby nie przenikały do nich chłód, upał ani żadne ciekawskie spojrzenia. Wahałam się właśnie, czy wejść na górę, czy zostać – co mi mogli zrobić, zabić mnie? – gdy zobaczyłam samochód parkujący w drugim szeregu. Popatrzyłam na niego bez zainteresowania, po prostu dlatego, że poruszał się w moim polu widzenia obejmującym bramę i drogę, która prowadziła od sklepu obuwniczego do rogu, toteż dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę z doniosłości tej chwili. Z samochodu wysiadł doktor Montalvo, psychiatra mojej matki i najwyraźniej także Laury, i szybkim krokiem wszedł do bramy. Miał na sobie płaszcz, który sięgał mu do kostek i był zbyt dopasowany – lekarz wydawał się w nim szczuplejszy niż w rzeczywistości i chyba również wyższy – a wąsy groźnie sterczały mu pod nosem. Jeśli doktor Montalvo przyjechał tu, żeby zabrać ze sobą Laurę, nie było czasu do stracenia. Zamierzałam zaczekać w bramie, zastąpić mu drogę i poprosić Laurę, żeby ze mną poszła. Doktora mogłabym odepchnąć plecakiem, Greta, która mimo młodzieńczego wyglądu była przecież stara, pozbyłabym się kopniakiem w goleń, a Lilí nie była kimś, kto by za nami pobiegł. A jeśli Laura nie byłaby w stanie biec? Jednak cały ten plan legł w gruzach, gdy pojawił się Bośniak, który czasami pchał wózek rzekomej inwalidki, wsiadł do samochodu doktora Montalvo, zaparkował go prawidłowo i wrócił do domu. Z nim już bym sobie nie poradziła. Trzeba by się postarać, żeby Laura poszła ze mną po dobroci.

Poprawiłam paski plecaka i właśnie miałam przejść przez ulicę, żeby zaczekać na całą grupę w samej bramie, gdy zobaczyłam taksówkę i wysuwającą się z niej długą, znajomą nogę. Nogę Any, a potem całe ciało Any, z którą też bym sobie nie poradziła, bo była równie silna jak ja. Miała na sobie beżowy, rozpięty płaszcz i buty na płaskim obcasie. Przeciągnęła dłonią po włosach i rozejrzała się na boki. Była tak

strasznie poważna, że wydawała się brzydka.

43. LAURA ZE SWOIM OJCEM

Weszliśmy do małej restauracji, która miała na fasadzie zieloną niszę na kartę i daszek nad wejściem. Czułam się naga, bez pieniędzy, bez niczego, i wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, dlatego poprosiłam go, żebyśmy usiedli w jakimś kącie.

Ludzie obecni w lokalu znali go i przyglądali mi się z zaciekawieniem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Miałam wrażenie, że cała ludzkość, słońce i planety wpatrują się tylko we mnie, bo byłam bez skarpetek, miałam spodnie od pizamy w laleczki, rozczochrane włosy i twarz chorej.

Poszłam do toalety, gdy Daniel prosił o menu. Umyłam ręce i twarz, spróbowałam się uczesać palcami i wypłukałam dokładnie usta, żeby pozbyć się wszelkich resztek lekarstwa.

Daniel usiadł twarzą do toalety, a ja twarzą do wejścia. Na stole stał koszyczek z apetycznie wyglądającymi bagietkami i talerzyk z oliwkami. Daniel nalał mi wody. Była zimna i smaczna. Po chwili podano nam parującą zupę jarzynową.

– Porozmawiamy, jak skończymy zupę. Dobrze ci robi.

Delektowałam się każdą łyżką. W gruncie rzeczy tak łatwo było być wolną...

– Przypuszczam, że to Verónica wpakowała cię w te kłopoty.

– Kłopoty to za mało powiedziane. Całe moje życie zostało wywrócone do góry nogami.

Daniel nie mógł mieć pojęcia, jak wyglądam normalnie. Nigdy, przenigdy nie potrafiłabym sobie wyobrazić siebie w restauracji w takim stanie. Przypominało to jeden z tych koszmarów, kiedy śniło mi się, że stoję na peronie metra naga od pasa w dół.

– Wydaje się panu, że mam nie po kolei w głowie?

– Nie wiem. A tobie wydaje się logiczne to, co robisz?

– Nic nie jest logiczne. Nie jest logiczne, że pewnego dnia zjawia się Verónica, mówiąc mi, że mam inną rodzinę i że oszukiwano mnie do dziewiętnastego roku życia.

– Nigdy dotąd nie wychodziłaś w pizamie na ulicę?

Uśmiechnąłem się po tych słowach i ja też się roześmiałem.

– Myślę, że do tej pory nie odważyłam się być kobietą.

Po drugim daniu poczułam się znacznie lepiej. Zjadłam całą rybę oraz sałatkę i nie zostawiłam na talerzu najmniejszego okruszka. Już nie umiałam odróżnić, czy zrobiłam to z głodu, czy kierowałam się instynktem przetrwania: nie wiedziałam, co się będzie ze mną działo przez resztę dnia i nie mogłam niczego marnować.

– Uciekłam z domu – powiedziałam, delektując się kawałkiem ciasta malinowego
– ale nie bardzo wiem, czy uciekłam od nich, czy od siebie samej.

– Pewnie cię szukają.

– Dzisiaj zamierzały mnie wywieźć z Madrytu, gdzieś na wieś, myślę, że do domu wariatów. Postanowiłam wcześniej uciec.

– Nie przesadzasz trochę?

– Jeśli o to chodzi, nie. Miały już spakowane bagaże i brakowało tylko, żeby przyjechał doktor Montalvo.

Na kilometr widać było, że się zdziwił. Musiałam mu powtórzyć nazwisko lekarza.

– Doktor Montalvo jest psychiatrą i właśnie jemu przyszło do głowy, żeby mnie zamknąć w sanatorium. Moja matka i moja babcia uważają, że to dobry pomysł. Jedyną osobą, której się to nie podoba, jestem ja.

Zamyślił się. Czasami poprawiał okulary, przesuwając je wyżej lub niżej i przeciągał sobie ręką po twarzy.

– Macie przyjaciółkę, która ma na imię Ana?

Przytaknęłam.

– I ma psa, który wabi się Gus?

Przytaknęłam.

– Co robiłaś, zanim zostałam włóczęgą?

Znów zaśmialiśmy się dyskretnie.

– Zajmuję się interesem rodzinnym. Sklepem obuwniczym przy ulicy Goi, nazywa się...

Potakiwał głową, jakby już wcześniej przeżył wszystko to, co mu opowiadałam.

– Jestem też nauczycielką tańca – powiedziałam, zastanawiając się, czy kiedyś będę mogła wrócić do konserwatorium. Przynajmniej o tych pieniądzach nie decydowała Lili.

Przyłapałam go na tym, że przygląda się moim włosom i uszom. Spuścił wzrok, wpatrując się w filiżankę kawy. Ja wypiałam dwie, bo musiałam się całkiem rozbudzić.

Gdy wyszliśmy na ulicę, już nie było mi tak zimno i miałam wrażenie, że dopiero zaczęłam poznawać świat. Właśnie dotarł do mnie pierwszy powiew powietrza i pierwszy promień słońca nieocieniony białymi szalami Lili. Byłam teraz taka jak każda dziewczyna w moim wieku. Jak ktokolwiek.

– Zawiozę cię do domu. Muszę wracać do pracy. Przy odrobinie szczęścia będzie Ángel, bo o tej porze teoretycznie powinien się uczyć.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

Ángel przyszedł równocześnie z nami, ciągnąc za sobą Dona, który chciał się jeszcze bawić i który rzucił się na mnie, jak tylko mnie zobaczył. Ángel stanął jak wryty. Niczego nie rozumiał. Nic nie powiedział. Popatrzył na ojca.

– Niech weźmie prysznic i się rozgości. Przygotuj jej pokój gościnny.

– W pokoju gościnnym śpię ja.

– Wobec tego sofę. Chyba znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby, co?

W każdych innych okolicznościach poczułabym się jak intruz, byłabym skrępowana, ale dzisiaj martwiłam się tylko o to, żeby mieć ciepłe, bezpieczne miejsce do spania i nie musieć ukrywać w ustach żadnej tabletki.

44. VERÓNICA MUSI DZIAŁAĆ

Nie minął kwadrans, gdy podniosła się brama parkingu kamienicy i wypłuła mercedesa prowadzonego przez Bośniaka. Obok niego siedziała Lilí, a z tyłu Greta, doktor Montalvo i Ana. On jechał w środku, one przy oknach. Przez moment miałam wrażenie, że spojrzenie Any krzyżuje się z moim, zanim odwróciła wzrok w stronę ulicy. Wrażenie było fałszywe. Nie liczyłam się z możliwością, że wyjadą bezpośrednio z parkingu i że nie będzie z nimi Laury. Co się z nią stało? Nie było logiczne, że zostawili ją samą. Wszyscy mieli takie miny, jakby działo się coś bardzo poważnego. Nawet gdyby była bardzo chora, mogli ją przecież znieść na parking i wsadzić do samochodu. Trzęsły mi się nogi. Trzęsły mi się cztery razy w życiu: po zniknięciu Ángela, jak był mały, gdy moja matka poszła do szpitala, gdy zmarła i teraz. Podczas egzaminów wstępnych pojawiła się pestka brzoskwini, ale nie doszło do tego, żeby trzęsły mi się nogi. Pierwszym miejscem, do którego mózg powinien wysyłać paskudne wiadomości, powinny być nogi.

Tak więc odebrałam wiadomość. Laura była w niebezpieczeństwie, o ile już się jej nie pozbyli. Nie mogłam zadzwonić na policję, bo na nic nie miałam dowodów. Podniosłam z ziemi plecak, założyłam go na plecy i weszłam do bramy. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol jak w pałacu, posadzki były z białego marmuru w czarne cętki, a balustrada z lśniącego dwustuletniego drewna połączonego z delikatnymi żelaznymi okuciami przypominającymi okratowanie windy.

Tym razem dozorca wyskoczył jak z procy zza kontuaru, również wykonanego z lśniącego dwustuletniego drewna.

– Idę do dentysty – powiedziałam, nie zatrzymując się ani nie patrząc na niego.

Zastąpił mi drogę.

– Dość tego! Nigdzie nie pójdziesz.

Już mnie zidentyfikowali i podnieśli alarm wśród swoich. Pomyślałam o tym bez słów, niemal nie formułując myśli, i równocześnie odepchnęłam dozorcę w taki sposób, w jaki wyobrażałam sobie, że odepchnę doktora. Widocznie było mi pisane, że w końcu zaatakuję tego mężczyznę w granatowym ubraniu, potrafiącego przez

osiem godzin siedzieć i wpatrywać się w bramę.

– Niech mnie pan zostawi w spokoju! – krzyknęłam.

Był silniejszy ode mnie, ale ja byłam bardziej wściekła i miałam już dość tych bzdur.

Wbiegłam na górę najszybciej, jak umiałam. Słoiczki obijały się o siebie w plecaku. Gdy znalazłam się pod drzwiami, nacisnęłam dzwonek, nie odrywając palca i krzycząc: „Laura!”.

Laura! Laura! Dozorca też wszedł po schodach, wściekły i czerwony na twarzy. Chwycił mnie za ramię.

– Ręce przy sobie! – krzyknęłam.

– Zadzwoń na policję.

– Bardzo dobrze. Dzięki temu przekonamy się, co się stało z Laurą. Jest pan ich współnikiem!

Jakiś sąsiad wyjrzał przez drzwi.

– Co tu się dzieje, Braulio? Czy coś się stało doñi Lilí?

Dozorca popatrzył na mnie z odrazą.

– Co mówisz o Laurze? Laura wybiegła jak szalona mniej więcej... cztery godziny temu.

– Biedna Lilí – powiedział sąsiad.

Zbiegłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz z irytującym brzękiem słoiczków na plecach i stukaniem botków o marmur. Na ulicy zawahałam się, w którą stronę skręcić. Dokąd mogła pójść Laura? Na pewno w dół, w kierunku placu Kolumba. Byłby to naturalny odruch kogoś, kto ucieka, tym bardziej kogoś tak osłabionego jak Laura. Musiała się dowiedzieć, że chcą ją gdzieś zabrać, i postanowiła uciec, a teraz pewnie jej szukają. Przynajmniej raz nie pozwoliła sobą sterować, przejęła inicjatywę, więc w nieprawdopodobnym wypadku, że to wszystko było pomyłką, a ja rozbijałam rodzinę, przynajmniej Laura nauczyła się być nieposłuszna, buntować się. W gruncie rzeczy ona była bardziej zbuntowana niż ja, bo ja robiłam to, czego życzyłyby sobie moja matka, nie musząc nawet mnie o to prosić. Nie wiem, dlaczego myślałam, że jestem lepsza od Laury. Każdy ma takie

życie, jakie ma.

Ależ przydałby mi się teraz motor Matea. Moglibyśmy szukać Laury wszędzie.

45. LAURO, TO MY

Wzięłam prysznic, korzystając z żelu i szamponu Veróniki. Był przeznaczony do kręconych włosów, takich jak jej. Gdy wycierałam swoje, dotarło do mnie, że nikt nie mówił o matce, nikt o niej nie wspominał. Verónica ledwie robiła aluzje na jej temat, ale w powietrzu było coś takiego, co mówiło mi, że nie powinnam pytać. Wydawało się, jakby prześladowały mnie tajemnice, jakby wokół mnie zawsze było coś, czego nie dało się nazwać po imieniu. Zastanawiałam się również, jaką minę zrobi Verónica, gdy zobaczy mnie w jednej ze swoich piżam.

Ángel zapytał, czy chcę, aby przygotował sofę, żebym mogła chwilę odpocząć, ale sama myśl o spaniu przyprawiała mnie o mdłości. Powiedziałam mu, że wolałabym zabrać Dona na spacer i że mogłabym włożyć jakiś jego stary dres. Wybraliśmy taki sprzed trzech lat, kiedy Ángel był pół metra niższy, i skafander. Poszedł z Donem i ze mną i zapytał, co chciałabym zjeść na kolację, ale nie o to, co mi się przydarzyło ani jak spotkałam jego ojca, ani nic z tych rzeczy. Nie dlatego, że nie był ciekawy ani że mu byłam obojętna, ale dlatego, że już wiedział, mniej więcej to sobie wyobrażał.

– Cieszę się, że się odważyłaś – powiedział i rzucił Donowi patyk.

Park był rozległy, z dużym trawnikiem i wysokimi drzewami. Musiał być bardzo wesoły w lecie i bardzo melancholijny w zimie, jak teraz. Czułam się niczym zjawa w tym parku ze swojego drugiego życia. Ze swoim bratem z drugiego życia.

Do samego powrotu rozmawialiśmy o koszykówce, bo to go najbardziej interesowało.

Dom stał w zabudowie szeregowej i miał mały, nieco zaniedbany ogród. Widać było, że nie spędzają wiele czasu u siebie. Kuchnia była duża. Podobał mi się stół z litego drewna, bardzo wysłużony. Pewnie jadłabym przy nim śniadanie przed wyjściem do szkoły, gdybym z nimi mieszkała, i nie miałoby znaczenia, gdyby rozlało mi się mleko, bo cały był w wielkie plamy. Salon był klasyczny i stał w nim mahoniowy stół w stylu mebli Lili. Donowi rozłożyli koc przy szklanych drzwiach wychodzących na ogród, z gumową kością i piłką. Na ścianie wisiała duża,

powiększona fotografia w ramach przedstawiająca pewnie matkę, która była bardzo podobna do Veróniki. Byłam prawdziwą zjawą wśród tylu rodzinnych szczegółów. W tym drugim domu nie było nic mojego, ani jednego wspomnienia. Nawet gdybym przywiozła tu swoje biurko z rzeźbionego drewna i krzesła obite różowym aksamitem, i kapcie z psimi mordkami, i wszystkie swoje buty, torebki i ubrania, nie byłoby tu mojej przeszłości. Jednak nie chciałam, żeby Ángel pomyślał, że jestem niewdzięcznicą, więc starałam się być jak najbardziej ożywiona. Poprosiłam, żeby się mną nie martwił i wrócił do nauki.

Już się nie przejmowałam, że Lili mnie szuka, już nie musiała udawać inwalidki. Położyłam się na sofie i dla zabicia czasu wypisywałam w zeszycie numery telefonów, które pamiętałam, nazwiska, adresy. Zrobiłam listę swoich uczennic, bo kiedy sytuacja się unormuje, chciałabym wrócić do prowadzenia lekcji.

Oczywiście sytuacja nie mogła się unormować, najwyżej się wyjaśnić. Gdy tylko wszystko się wyjaśni, odzyskam lekcje i zaproponuję, że będę prowadziła więcej zajęć. Za te pieniądze mogłabym wynająć z kimś do spółki mieszkanie. Z pomocą Veróniki raz-dwa zgromadzę niewielką garderobę i zapomnę o markowych butach. Będę taka jak ludzie w moim wieku i wszystko, co będę miała, będzie autentycznie moje, nie Lili. Cieszyłam się, że odeszłam, jak to się mówi, tak jak stałam. Ángel włączył muzykę w swoim pokoju, a Don podnosił od czasu do czasu głowę i zerkał na mnie. Ściemniło się. Wszystko to było najdziwniejsze na świecie.

46. VERÓNICA CIĘ SZUKA

Nie mogłam sobie pozwolić na błądzenie po omacku. Gdybym ja była na jej miejscu, poprosiłabym o pomoc jakąś przyjaciółkę. Zabrakło nam czasu, żeby porozmawiać o swoim życiu, rozmawiałyśmy tylko o naszych rodzinach. Rodzina była dla mnie wszystkim w okresie, gdy dla ludzi w moim wieku znacznie ważniejsi byli przyjaciele i ulica. Osobą trzymającą się najdalej od jej matki i babci, o której wiedziałam, była jej kuzynka Carol, aktorka. Laura najwyraźniej bardzo ją podziwiała. Być może, kiedy przyszła ją odwiedzić, razem obmyśliły plan jej uwolnienia. Mogła czekać na nią w samochodzie i zawieźć ją do jakiegoś przyjaciela albo do hotelu. Carol musiała zarabiać dużo pieniędzy.

Żeby nie jechać na darmo, zadzwoniłam wcześniej z baru z hamburgerami do stacji telewizyjnej, która nadawała serial. Powiedziałam, że jestem dziennikarką i że potrzebuję ją zlokalizować, żeby przeprowadzić wywiad. Musiałam poczekać, aż podadzą mi numer jej agenta. Nazywał się Nacho i ten Nacho, po jeszcze kilku moich kłamstwach, powiedział, że za godzinę będzie przerwa w kręceniu i wtedy będzie mnie mogła przyjąć.

Przyjechałam przed czasem pod adres, który mi podał, i czekałam na nią w zapuszczonej sali, gdzie wyłożono bardzo mało apetyczne zakąski i kanapki, których Carol, chcąc zachować szczupłą figurę, z pewnością nawet nie tykała. Były tam również duże dzbanki z kawą. Nalałam sobie trochę do plastikowego kubeczka, który nie wyglądał na używany. Nie wiedziałam, jak bardzo będzie się dłużył ten dzień. Źle się czułam i nie zdjęłam futra. U moich stóp leżał plecak, co mogło sugerować, że noszę w nim magnetofon lub aparat fotograficzny. Dlatego gdy ktoś mnie pytał, co tu robię, a ja odpowiadałam, że jestem dziennikarką, zerkał na plecak i uśmiechał się do mnie. Tak samo zareagowała Carol, gdy w końcu się pojawiła, ubrana normalnie, nie tak jak w serialu, którego akcja toczyła się w jakimś bliżej niesprecyzowanym okresie między XVIII wiekiem a początkiem XX.

Przyszła uśmiechnięta, czarująca. Powiedziała, że właśnie nakręcili imponująco dobrą scenę.

– To było niesamowite, emocjonujące – powiedziała, patrząc na plecak. – Nie zmyłam makijażu, na wypadek gdybyście chcieli mi zrobić zdjęcia.

Z pewnością sądziła, że przyjdzie ktoś jeszcze, albo mówiła w liczbie mnogiej, mając na myśli czasopismo, dla którego rzekomo pracowałam.

– Zanim zaczniemy – powiedziała – chcę, żebyście wiedzieli, że ten serial nie jest jakimś pierwszym lepszym serialem. Jest skierowany do publiczności prezentującej poziom wyższy od przeciętnego...

Musiałam ją powstrzymać. Wydawało mi się, że to nie w porządku, iż wysiła się nadmiernie bez powodu. Po jej oczach widać było, że jest trochę zmęczona, chociaż bez przerwy starała się je ożywiać.

– Wiesz, gdzie jest twoja kuzynka Laura? – zapytałam, wysuwając dłoń w jej kierunku, żeby przestała mówić.

Nagle w jej oczach pojawiło się całe zmęczenie tego świata. Zniknął uśmiech, który wygładzał jej twarz, i od razu postarzała się o pięć lat. Niewątpliwie była starsza od Laury, starsza pod każdym względem. Musiała zjeść niejedną żabę, żeby zajść tak wysoko, podczas gdy jej kuzynka dostawała wszystko na talerzu. Popatrzyła na mnie tak, jakby miała ochotę mnie zabić.

– Jestem przyjaciółką Laury – dodałam.

Nic nie powiedziała, tylko zacisnęła szczęki. Była głęboko rozczarowana. Urwała z jednego z pojemników wilgotny ręczniczek, żeby zetrzeć sobie makijaż. Nie chciałabym się znaleźć w jej skórze i znosić tej frustracji, żeby taka miernota jak ja sobie ze mnie kpiła.

– Zniknęła, wyszła z domu dziś rano, więc pomyślałam, że może jest u ciebie. Nie przyszedł mi do głowy inny pomysł, żeby się z tobą spotkać. Bardzo mi przykro, nie jestem dziennikarką.

Jej spojrzenie stwardniało, odprężenie sprzed kilku chwil odeszło w niepamięć, serdeczność zniknęła. Wstała, a jej długie nogi podeszły do stołu z cateringiem. Nalała sobie szklankę wody, nadal wycierając twarz, napiła się i odwróciła się w moją stronę. Wyrzuciła ręczniczek do kosza. Miała czas, żeby się opanować i pomyśleć.

– O co chodzi z tym zniknięciem?

Opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam, nie pomijając żadnego szczegółu. Piła wodę i słuchała. Nigdy nie widziałam tak błyszczących włosów jak jej. Spływały z jej głowy niczym satyna.

– To są sprawy rodzinne, nie powinnaś się do nich wtrącać.

– Czuję się winna z powodu tego, co się z nią dzieje – powiedziałam.

Nagle zrozumiała.

– Nie jesteś przypadkiem tą dziewczyną, która podaje się za jej siostrę?

– Mówiła ci o mnie?

Skrzywiła się z niesmakiem.

– To, co zrobiłaś, jest bardzo groźne. Zamieszałaś jej w głowie i wytrąciłaś ją z równowagi. Nie wie, co robi. Dla twojego dobra mam nadzieję, że nic złego jej się nie stanie.

Miała rację, bo rzeczywiście, zanim weszłam w życie Laury, jej świat był normalny i nie był niebezpieczny, ale teraz już tak. Nie bez powodu moja matka nie posunęła się dalej, ponieważ przede wszystkim liczyło się dla niej bezpieczeństwo Laury. Ja postępowałam nierozważnie, z wściekłością wywołaną tym, że musiałam przez całe życie znosić jej zjawę.

Podniosłam z ziemi plecak. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że jest potwornie ciężki. To niesamowite, że byłam w stanie wbiegać i zbiegać po schodach w kamienicy Laury. Zamierzałam jeszcze raz powiedzieć, że jest mi przykro, ale co by to dało? Co się stało, to się nie odstanie. Gdybym teraz mogła się cofnąć w czasie, być może zostawiłabym wszystko tak, jak było.

Niespodziewanie Carol zrobiła gest, który wyrwał mnie z mroku, w którym się pogrążyłam. Nalała kawy do kubka i podała mi. Wzięłam go, chociaż nie miałam zamiaru jej wypić. Już jedną wypiliśmy.

– Cukru?

Nie, nie chciałam cukru, ale ucieszyłam się, że mogę mieć sojuszniczkę po drugiej stronie.

– Jak tylko się czegoś dowiesz, zadzwoń do mnie. Tu jest numer – powiedziała, pisząc na skrawku papieru. – Bardzo się o nią martwię.

Odprowadziła mnie do wyjścia, pozdrawiana co chwilę przez przechodzących tamtędy ludzi. Była bardzo znana i podziwiana. Odpowiadała im ze spokojną, zadziwiającą radością, którą musiała ukrywać gdzieś w sobie na takie okazje. Nigdy nie przebywałam równie długo obok kogoś sławnego, takiego jak Carol. Tylko raz, kiedy do naszego liceum przyszedł pewien pisarz i podpisał mi książkę.

Jeśli Laura nie była z Carol, nie przychodziło mi do głowy, kogo z ludzi, których znałam, mogłaby prosić o pomoc. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, a ona potrzebowała pomocy. Wampirzyca już mnie ostrzegła, że Laurze nieustannie grozi utajone niebezpieczeństwo. Brakowało tylko, żeby ktoś je odsłonił i tym kimś byłam ja. Elementy układanki przestały do siebie pasować... Która była godzina? Może udałoby mi się zdążyć przed zamknięciem biura detektywa Martunisa. Nie miałam wyjścia i wsiadłam do taksówki, która właśnie się zwolniła. Powiedziałam kierowcy, że jestem córką taksówkarza i że chodzi o sprawę życia i śmierci. Znał mojego ojca i nie policzył mi za trzaśnięcie drzwiami. Po kwadransie wchodziłam do biura Martunis Detectives i patrzyłam na Marię. Siedziała na zwykłym miejscu i rozmawiała przez telefon, nie pozwalając, żeby choć jedno słowo wymknęło jej się dalej niż na centymetr od ust.

Wskazała mi ręką szare foteliki.

Znalazłam się w miejscu, gdzie panował niezmacony spokój. Rzadko spotykałam tam innych klientów, jakby istniało kilka sekretnych drzwi, przez które można było wejść i wyjść. Również nigdy nie było Martunisa przy jego biurku za ścianką działową. Światło u Marii było zaświecone, światło w części z fotelikami też, a u Martunisa nie. Otworzyłam jedno z czasopism leżących na ławie i przekartkowałam je, nie wiedząc, na co patrzeć. Tym razem Maria nie obmacywała sobie włosów. Były artystycznie zaczesane, a na czubku głowy wznosiła się złota ozdoba. Ona cała natomiast wznosiła się na srebrnych szpilkach.

– No, no! – powiedziałam, gdy do mnie podeszła.

Nie przeszłaby niezauważona w żadnym miejscu na ziemi. Usiadła na sąsiednim foteliku i pochyliła się do przodu, żeby ze mną porozmawiać. Widać jej było stanik z największymi wypełniaczami dostępnymi na rynku. Miała szerokie plecy, mały

biust, ogromne dłonie, stanowcze spojrzenie. Przy niej czułam się bardzo pewnie.

– Znalazłam Laurę, swoją siostrę widmo, ale uciekła z domu. Myślę, że jest w niebezpieczeństwie. Powiedziałaś mi, że bym nie przeoczyła żadnego szczegółu, że elementy układanki będą się stopniowo dopasowywały do siebie, a teraz wszystko się zawaliło.

Popatrzyła przez kilka sekund w sufit, żeby skojarzyć fakty.

– Ledwie wróciłam z wesela i nie działałam jeszcze na pełnych obrotach.

Już miałam jej odświeżyć pamięć, lecz jedna z jej rąk nakreśliła w powietrzu „nie”.

– Jeśli elementy układanki nie pasują do siebie, to dlatego, że coś ci umknęło, zagapiłaś się, poszłaś złą drogą. – Przesunęła mi dłonią po twarzy, żeby zamknęła oczy. Pachniała bardzo ładnie. – Odpręż się, nie myśl o niczym, uwolnij umysł. Na pewno już od pewnego czasu usiłujesz przyspieszyć bieg spraw. Pozwól działać swojej intuicji.

Pozwól działać swojej intuicji. Czy mogłam to brać na poważnie? Otworzyłam oczy, kiedy cofnęła rękę. Oparła swoje szerokie plecy o fotelik.

– Pewnego razu, gdy zaczęłam pilotować awionetkę, zgubiłam się w prądzie powietrznym i miałam kompletnie przesrane. Gdyby intuicja nie podpowiedziała mi, że bym się dała ponieść, gdybym stawiała opór, starając się polecieć w kierunku, który obrałam, prawdopodobnie nie opowiadałabym ci teraz o tym.

– To ja ponoszę winę za to, co się z nią teraz dzieje. Mam nadzieję, że ktoś jej udzieli pomocy i że jej matka, babcia, doktor Montalvo, ten Bośniak i Ana jej nie znaleźli.

Nie potrzebowałam jej podawać szczegółów, żeby wyrobiła sobie ogólny pogląd na sytuację. Jeśli wkraczała w cudze życie, to dlatego, że to życie było skrzywione, złamane, niezwykle. Nic jej nie dziwiło.

– Laura ucieka, a oni jej szukają, żeby jej zamknąć usta. Ty szukasz jej, żeby ją chronić. Nie jest to nic nie z tego świata.

Otworzyłam plecak i wyjęłam flakonik z serum różanym.

– To ci bardzo dobrze robi – powiedziałam, przyglądając się jej skórze, szorstkiej

i z głębokimi śladami po młodzieńczym trądziku. – Kiedy nie szukam Laury, sprzedaję kremy.

– Nie martw się, z doświadczenia wiem, że jesteś o krok od natrafienia na coś ważnego.

Nie zasługiwała na prezent, nie pomogła mi. Nie dziwiło mnie, że moja matka postanowiła prowadzić dochodzenie na własną rękę. Co za gówniana agencja. Martunisa nigdy nie było, nigdy nie było klientów, a María udzielała mi buddyjskich porad. Postanowiłam pójść do domu, zostawić plecak ze słoiczkami, wziąć prysznic, zjeść coś i prawdopodobnie opowiedzieć o wszystkim ojcu, żebyśmy pojechali taksówką na poszukiwanie Laury, chociaż nie wiedziałam dokąd. Kim mogli być jej przyjaciele? Czy miała przy sobie pieniądze? Do domu miałam niedaleko, więc poszłam na piechotę, uwalniając umysł, jak mi poradziła María. W gruncie rzeczy posłuchałam jej, nie wiem dlaczego.

W domu się świeciło. Teraz, za każdym razem kiedy zbliżałam się do rzędu domków szeregowych na swojej ulicy, kiedy dochodziłam do naszego numeru, naszego ogrodzenia, i widziałam przygasłe światła na werandzie, czułam w gardle pestkę brzoskwini. Czasami wydawało mi się, że jakiś cień przesuwają się z jednej strony okna kuchennego na drugą i zawracałam biegiem do parku, żeby zrobić kilka okrążeń. Całe szczęście, że Don stale przywracał mnie do rzeczywistości swoim szczeniem. Gdy tylko podeszłam bliżej, zaczął rozrabiać. On nie musiał mnie widzieć, żeby wiedzieć, że wracam do domu.

Otworzyłam kluczem i prawie mnie przewrócił swoimi wielkimi łapami.

– Ángel! – krzyknęłam.

W salonie świeciła się tylko lampka z żółtym abażurem, która dawała bardzo przyjemne światło. W ogrodzie też się świeciło i widać było rośliny. Nie wiem dlaczego miałam wrażenie, że patrzę na dom innymi oczami. Z pokoju Ángela, z pokoju gościnnego, dochodziła muzyka. Zostawiłam w szafie przy wejściu plecak ze słoiczkami oraz futro i nie miałam innego wyjścia jak załomotać do drzwi brata.

– Co? – zapytał, zdejmując jedną ze słuchawek.

– Pomóż mi zdjąć buty.

Weszłam i usiadłam na łóżku. Pociągnął je.

– Co ci powiedziała? – spytał.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– No, ona. Co ci powiedziała?

Był zdumiony, ja też. Nic nie rozumiał. Zdjął całkiem słuchawki i wyszedł do salonu. Poszłam za nim. Zapalił światła i wtedy zobaczyłam, że leży na sofie. Wstała. Miała na sobie ubranie Ángela i moje. Zgłupiałam.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie przyszło mi do głowy, gdzie indziej mogłabym pójść.

Usiadłam na jednym z krzeseł stojących przy mahoniowym stole.

Elementy układanki właśnie się dopasowały. Zapomniałam o takim szczególe, że Laura może się zwrócić do nas. Nie chciałam myśleć, co moja matka dałaby za tę chwilę, dlatego że to dzięki niej znalazłam Laurę, to ona urządziła ten dom i to ona była jej matką, i moją, i Ángela, a jej misja z pewnością polegała na połączeniu nas wszystkich.

– Nie wiem, czy jestem waszą siostrą – powiedziała. – Szczerze mówiąc, nie czuję w tym domu niczego szczególnego, ale wydaje mi się niemożliwe, żeby Lilí i Greta kochały mnie tak, jak powinno się kochać dzieci.

Ángel popatrzył na mnie pytająco, chcąc się dowiedzieć, kim są Lilí i Greta.

– Tutaj jesteś bezpieczna – powiedziałam, wiedząc, że w pewnym momencie będzie mi musiała opowiedzieć, jak się tu dostała.

Laura była meteorytem, który spadł z innego świata i z innego życia. Na ten wieczór przygody się skończyły, bo już nie musiałam iść i szukać jej po Bóg wie jakich ulicach. Zapytałam, czy chce mi pomóc przy kolacji. Weszłyśmy do kuchni, a ona, przesuwając dłonią po stole z litego dębowego drewna, powiedziała, że bardzo jej się podoba. Musiałam jeszcze tylko dotrzymać słowa danego Carol. Wyjęłam kartkę i wykreciłam numer z dodatkowego aparatu wiszącego na ścianie. Jednak nie zdążyłam nic powiedzieć, bo ręka Laury przerwała połączenie. Dziewczyna kręciła głową na boki. Mało brakowało, żeby zemdląła, i nie bez powodu.

– Nie martw się – powiedziałam. – Nie wie, że tu jesteś.

- Być może to ja przesadzam – odparła.
- Cóż, teraz zrobimy kolację, a jutro zobaczysz wszystko w nowym świetle.

47. LAURO, WYJDŹ ZE SWOJEGO ŻYCIA

Podczas gdy przygotowywałyśmy spaghetti z sosem przeładowanym kaloriami i sałatkę, bardzo się niepokoiliłam na myśl o przyjeździe mojego domniemanego ojca. Wydawało mi się, że nie będę umiała znieść tego napięcia. Mogłam sobie poradzić z Verónicą i Ángelem, ale taksówkarz robił na mnie wielkie wrażenie. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Jedną z moich poważnych wad polegała na tym, że nie byłam naturalna ani spontaniczna, musiałam się zawsze zastanawiać nad tym, co zamierzam powiedzieć, i paraliżowały mnie wszelkie nowe sytuacje. Gdy byłam mała, Lilí wciąż musiała mnie nakłaniać do pozdrawiania ludzi i opowiadania, jak mi idzie w szkole, ale także wciąż mnie upominała, żebym nie podawała żadnych informacji i szczegółów dotyczących naszego życia. Była to gorzka myśl, bo w gruncie rzeczy zawsze wiedziałam, że moje życie może się okazać dość gorzkie, jeśli nie zrobię tego, co chce Lilí.

Verónica o nic mnie nie pytała. Włączyła muzykę i nuciła, a mnie poprosiła o przygotowanie sałatki tak, jak lubię. Potem włożyła do lodówki kilka puszek piwa i porwała chleb na kawałki. Widząc, jak patrzę na chleb i piwo, powiedziała, że nie ma powodu, żebym zrezygnowała ze swoich przyzwyczajień.

– Jedz to, co ci smakuje – powiedziała. – My jesteśmy trochę prymitywni.

Dzieliły ich ode mnie miliony kilometrów życia. Choćbyśmy mieli takie same geny, nie mieliśmy takich samych upodobań ani takiej samej przeszłości.

– Niedługo po twoim wyjściu z domu wszyscy pojechali cię szukać, to znaczy wszyscy, których znam – powiedziała Verónica.

Zastanawiałam się, czy już wrócili do domu i co teraz robi Lilí. Łatwiej było sobie wyobrazić mamę, chciałam powiedzieć Gretę, zapalającą świece w swoich włościach, żeby się odprężyć, albo może odprężała się z Larrym. Greta nie myślała z dużym wyprzedzeniem, chyba że planowała jakiś wyjazd do Tajlandii.

– Nie wiem, czy mam dobrze w głowie.

Verónica przestała ścierać stół i popatrzyła na mnie.

– Jeśli ty jesteś wariatką, to ja też i moja matka też pewnie była wariatką. Ale

przynajmniej nie jesteśmy niebezpieczni. Nie zatrzymujemy nikogo wbrew jego woli ani nie podajemy mu narkotyków.

– Nie jestem pewna, czy mnie przetrzymywały – powiedziałam. – To były zalecenia psychiatry.

– Ha! – odparła. – Ładny mi psychiatra. Doktor Montalvo, znam go. Powiedział mi, że nie wyjdę z muszli ślimaka, jeśli będę cię szukała.

Mnie też powiedział coś o ślimaku, ale przemilczałam to. Bardziej mnie intrygowało, że Verónica mówiła o swojej matce w czasie przeszłym. Wszystko wskazywało na to, że nie żyje i najwyraźniej to ona zaczęła mnie szukać. Jej też o to nie zapytałam. Musieli przeżywać bardzo smutne chwile.

– Zjemy kolację – powiedziała Verónica. – Dzisiaj tato wróci późno. Proszę, zawołaj Ángela. Jest na końcu korytarza.

To była ulga nie musieć tak szybko oglądać ponownie swojego rzekomego ojca, nie musieć rozmawiać o tym, że być może jestem jego córką. Wolałabym, żeby to wszystko okazało się pomyłką, żebyśmy zostały z Verónicą najlepszymi przyjaciółkami na świecie i żeby Lilí nie próbowała mnie faszzerować środkami uspokajającymi, a Greta nadal była moją matką. Nie chodzi o to, że były idealne jako babcia i matka, ale to właśnie je miałam i kochałam. Na tej samej zasadzie nie umiałam mieć ojca, bo go nigdy nie miałam.

Miałam nawet problemy z chodzeniem, nigdy nie byłam tak wyczerpana. Co ciekawe, wszędzie były kwiaty i nie wszystkie prawdziwe. W łazience z półeczki opadał bluszcz, a w rogu zwisał powój z plastiku. W kuchni też było dużo doniczek z kwiatami, a w salonie fikus, draceny i inne rośliny, których nie znałam. W korytarzu stał bardzo kolorowy bukiet. Zobaczyłam uchylone drzwi do pokoju należącego zapewne do Veróniki, pomalowanego na liliowo, z ubraniami porzucanymi na łóżku i na podłodze, oraz drugie zamknięte. Otworzyłam je z ciekawości i miałam wrażenie, że otwieram lodówkę. Stało tam idealnie zaścielone łóżko małżeńskie. Najwyraźniej od dawna nikt nie wchodził do tego pokoju. Przestałam myszkować i zawołałam Ángela, ale musiałam otworzyć drzwi, żeby mnie zobaczył. Myślę, że w pierwszej chwili się zdziwił: na pewno zapomniał na moment, że tu jestem.

Jedliśmy kolację, rozmawiając o filmach. Oni woleli spaghetti, ja sałatkę. Verónica piła piwo, Ángel coca-colę, a ja wodę. Mieli bardzo niewielkie pojęcie o muzyce poważnej i o tańcu, więc dostosowałam się do ich zainteresowań. Verónica zamierzała studiować medycynę, a Ángel astronomię, chociaż równie chętnie zostałby taksówkarzem jak jego ojciec.

Verónica powiedziała, że teraz kolej na Ángela, żeby obrał pomarańcze, bo nie kiwnął palcem przy kolacji. Nie zaprotestował, widocznie tak to między sobą ustalili. Miał bardzo długie palce i pomarańcza na ich końcu wyglądała jak kula ziemiska. Jego włosy były takie jak moje i jasna skóra też. Byliśmy do siebie podobni i to mnie onieśmiało. Myślę, że jego również. Gdy już obrał pomarańcze, Verónica spytała go, czy umył ręce. Trochę za późno, nie? – odpowiedział, wycierając się w papierową serwetkę. Starali się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, jakbyśmy codziennie wieczorem jedli razem kolację. Jakbym rozumiała ich żarty. Nie miałam rodzeństwa i prawdziwej rodziny pewnie też nie. Kiedy patrzyłam na nich, wydawało mi się, że wszystko to straciłam.

Resztek nie należało wyrzucać, zostawiało się je dla Dona. Woleli dawać mu resztki niż te kulki z supermarketów. Verónica zobowiązała Ángela także do pozbierania ze stołu, a my pozmywałyśmy talerze. Dzięki temu nie trzeba ich było wkładać do zmywarki i wyjmować. Właśnie kończyłyśmy, gdy rozległ się odgłos otwieranego zamka. Serce podeszło mi do gardła. W końcu wracał ojciec. Verónica udała, że nic nie słyszy, a ja wytarłam ręce, chociaż jeszcze nie skończyłyśmy, bo myślałam, że będę musiała mu podać rękę na powitanie.

– Cześć – powiedział, zaglądając do kuchni.

– Cześć – powiedziała Verónica.

Ja się nie odezwałam.

– Widzę, że już działacie – powiedział ojciec i położył na stole pudełko przewiązane cienką bawełnianą wstążką, taką jakich używa się w cukierniach. – Przyniosłem deser.

Miał miły, spokojny głos. Był bardzo dobrze zbudowany, nosił okulary i miał jasne włosy jak Ángel i ja i niebieskie oczy jak ja.

– Co my tu mamy? – powiedziała Verónica, przecinając wstążkę. – Ciastka z kremem. Zjemy je, oglądając telewizję. Zostawiliśmy ci spaghetti.

Powiedział, że nie jest głodny i że napije się piwa. Wyjął je z lodówki i zaczął pić prosto z puszki.

Nie chciałam oglądać z nimi telewizji i nie mogłam jeść słodczy, jeśli chciałam wrócić do konserwatorium. Nie byłam przyzwyczajona do takich rzeczy.

– Jestem zmęczona – powiedziałam.

– Jasne – odparła Verónica. – Jutro będzie nowy dzień.

Ojciec usiadł na sofie z piwem i patrzył, jak znikamy w korytarzu. Verónica otworzyła liliowy pokój, do którego zaglądałam chwilę wcześniej i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że ja powinnam spać na sofie w salonie i że w takiej sytuacji oni nie mogliby trochę zostać, żeby pooglądać wspólnie telewizję.

– Chyba palnęłam gafę – powiedziałam.

– Będiesz spała tutaj. Najwyższy czas, żebyśmy zaczęli używać wszystkich pokojów.

Pozbierała ubrania leżące na kołdrze i wyjęła z szafy czystą pościel, ale nie przebrałam łóżka. Nie chciało mi się. Wreszcie uwolniłam się od pomagania Lilí przy rozbieraniu się, wkładaniu koszuli nocnej, od szczotkowania jej włosów i od zostawiania z nią dłuższy czas, gdy leżała w łóżku, czekając, aż zmorzy ją sen. Uważałam, że to przyjemne, zanim zobaczyłam, jak wstaje z wózka inwalidzkiego i chodzi, a wtedy słodczy zmieniła się w gorycz. Nie musiała mnie oszukiwać, żebym to wszystko dla niej robiła.

Dzień wstał szary, z niewielkimi przebłyskami słońca. Zbudziło mnie poszczekiwanie Dona. Usłyszałam, jak Verónica go strofuje. Pachniało kawą. Okno wychodziło na ogródek i naprzeciw rosły bodziszki z pomarszczonymi liśćmi i krzewy róż, które pewnie zakwitną na wiosnę. Na biurku leżały książki i notatki oraz duży notes w skórzanej okładce. Był bardzo wysłużony. Zawierał adresy, kwoty i mnóstwo adnotacji. Gdyby trochę posprzątać, pokój okazałby się bardzo miły. W drodze do łazienki minęłam sypialnię małżeńską. Łóżko było rozebrane, na wierzchu leżały spodnie ojca i już nie wiało chłodem. Znalazłam wolną łazienkę

i postarałam się jak najszybciej wziąć prysznic, na wypadek gdyby ktoś chciał wejść, zwłaszcza że nie wiedziałam, która godzina. Było pewnie między ósmą a dziewiątą. Użyłam szamponu Veróniki i jej żelu, ale nie odważyłam się nakremować całego ciała, tylko trochę twarz. Wytarłam się najbardziej suchym ręcznikiem i częściowo nim owinięta pobiegłam korytarzem, żeby się na nikogo nie natknąć. W oczach miałam swoją łazienkę z rzędem perfum na szklanym regale i różnymi zestawami końcówek do układania włosów. Verónica używała bardzo pospolitej suszarki, z którą niewiele dało się zrobić.

Włożyłam ubranie z poprzedniego dnia. Uznałam, iż będę musiała powiedzieć Verónice, że nie udało mi się zabrać ani grosza. Było mi wstyd, że przysparzam im kłopotów.

Prysznic dodał mi otuchy. To nie do wiary, że choć miałam na głowie tak ogromny problem, tej nocy smacznie spałam. Całe życie martwiłam się o swoją przyszłość, wypruwałam sobie żyły w sklepie, który był moją przyszłością, a teraz, gdy właśnie utraciłam przyszłość, czułam się dobrze.

Poszłam do kuchni, ostrożnie, bo obawiałam się, że spotkam ojca. Na szczęście była tylko Verónica. Powitała mnie wesoło i powiedziała, że tu są filizanki, tu churros, ciastka, które zostały z wczorajszego wieczoru, kawa i mleko. Spytała, czy dobrze spałam. Powiedziałam jej, że czuję się bardzo dobrze, bez grosza i bez przyszłości, ale dobrze.

– Nadal myślisz, że jesteś wariatką? – zapytała.

48. VERÓNICA I TAK WIELKIE SERCE

Już nie było odwrotu. Teraz wszyscy wpadliśmy w to po uszy. A jeśli się pomyliłam? A jeśli moja matka wycofała się, bo to był fałszywy trop? Przynajmniej Laura była pełnoletnia i odpowiadała za swoje czyny. Ja tylko pomogłam jej dostrzec pewne sprawy w jej życiu, które nie pasowały do siebie. Poza tym jak tylko zrobimy sobie testy, pozbedziemy się wątpliwości.

Mój ojciec mnie wzruszył. Mama na pewno byłaby z niego dumna. Przywiózł Laurę do domu, wyrwał ją ze szponów Lilí i Greta, a wieczorem pracował do tak późnej godziny, żeby nie czuła się skrępowana. Potem przywiózł ciastka i rano wyszedł wcześniej z tego samego powodu. A gdy wieczorem zostaliśmy sami, oglądając telewizję, objął Ángela i mnie i powiedział, że nie rozumie, dlaczego taki pospolity człowiek bez wyobraźni jak on ma tyle szczęścia i życie dało mu dzieci z tak wielkim sercem. Powiedział, że zawsze pragnął wracać do domu, żeby nas zobaczyć, i musiał zdjąć okulary, żeby je sobie wytrzeć rożkiem koszuli, bo mu zaparowały. Powiedział też, że zawsze sprawiał zawód Betty i że tego nie rozumie, bo dla niego nie było i nie będzie innej kobiety niż ona. Powiedział, że jest bardzo tępy. Ani Ángel, ani ja nie chcieliśmy dłużej słuchać tych tak intymnych zwierzeń, ale zatrzymał nas, żeby dodać, że nie pozwoli, aby ktokolwiek okazywał Laurze brak szacunku.

Poczuliśmy ulgę, gdy zadzwonił telefon. Popatrzyliśmy na siebie, wahając się, czy odebrać. Była jedenasta i nie chcieliśmy dalszych kłopotów. Słuchawkę podniósł nasz ojciec.

– Cześć, Ano. Tak, wszystko w porządku. Jasne, czas szybko płynie... Jest bardzo późno, jutro muszę wcześniej wstać. Bardzo ci dziękuję, ale lepiej innego dnia.

Bezczelności Any nie dało się z niczym porównać. Zaczekałam, żeby się przekonać, jak zareaguje ojciec.

– To była Ana. Jest gdzieś w pobliżu i proponowała mi, żebyśmy wyprowadzili psy na spacer po parku.

– Nie może wiedzieć, że Laura tu jest, ale chce się upewnić. Są zdesperowane –

powiedziałam.

– Nie popadajmy w paranoję – powiedział ojciec.

– Verónica ma rację – wtrącił się Ángel. – Tato, zrób coś. Ana tkwi w tym po uszy, a szacunek dla Laury i dla nas straciła lata temu.

Zaniemówiliśmy, patrząc na Ángela. Nigdy tak otwarcie nie opowiedział się po stronie nikogo ani niczego.

– Dwa i dwa to cztery, tato. Ci ludzie mają coś do ukrycia, jakąś grubą aferę – dodał Ángel, który od tej chwili zasługiwał, żeby być dorosłym.

Czy elementy układanki zaczynały do siebie pasować także w głowie mojego ojca? Musiał się bardzo źle czuć z myślą, że upierał się, iż ten problem nie istnieje. María znowu miała rację: nie da się iść pod prąd.

Wstał, żeby pójść do łóżka, i wtedy powiedziałam mu, że Laura jest w moim pokoju, Ángel w gościnnym, on w sypialni Ángela, a jego pokój jest pusty. Ja musiałabym spać na sofie.

– W porządku – odparł. – Ángel może wrócić do swojego pokoju. Są łóżka dla wszystkich.

Gdyby Laura nie uciekła i nie przyszła do naszego domu, mój ojciec nigdy nie zdobyłby się na to, żeby wrócić do sypialni małżeńskiej. Moja matka już nie istniała i nie mogła pociągać za sznurki, żeby do tego doszło, ja jednak wierzyłam, że pociągała za nie za życia i nie wiedząc o tym, przygotowała wszystko na nadejście tej chwili. Poczulałam się szczęśliwa, chociaż po jej śmierci nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś będę mogła się tak czuć.

Powiedziałam Laurze, gdy zobaczyłam ją w kuchni, żeby wybrała sobie z mojej szafy to, co najlepiej będzie na nią pasowało, bo pewnie nosiła rozmiar dwa numery mniejszy niż ja, i że pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie kupienie jej bielizny i jakichś dzinsów, i wszystkiego, czego potrzebuje. Podziękowała mi i poszła się trochę porozciągać do ogrodu oraz zrobić coś, co nazwała powitaniem słońca. Zauważyłam, że przechodząc przez salon, patrzy na portret mamy. Zjadła tylko gruszkę i wypła kawę z mlekiem.

Widząc ją w moich legginsach i kurtce puchowej, wyobraziłam sobie, że bardzo

jej będzie brakowało markowych ubrań i fantastycznych butów, które nosiła w sklepie. Wzięłam jeden banknot z miliona peset, które mama zostawiła na urządzenie mojej hipotetycznej kliniki.

To pech, że Laura nie zdążyła zabrać swojej torebki z domu Lili, bo miała prawo jazdy i mogłybyśmy pojechać samochodem mamy. Mama byłaby zachwycona, widząc obie swoje córki we własnym samochodzie, jadące na zakupy. Potrząsnęłam głową, żeby pomyśleć o czymś innym, na przykład o złapaniu autobusu do centrum handlowego. Spędziłyśmy trzy godziny na przymierzaniu ubrań. Laura bardzo dobrze знаła się na tkaninach i markach. Powiedziała, że dobrze mi w czerwonym, zielonym i brązowym, i spytała, czy próbowałam kiedyś obciąć włosy.

– Ana dzwoniła wczoraj wieczorem – powiedziałam, gdy szukałyśmy superokazji w H&M. – Może powinnaś do nich zadzwonić, powiedzieć im, że dobrze się czujesz i żeby zostawiły cię w spokoju.

– Muszę to przemyśleć – odpowiedziała.

– Na wypadek gdybyś była wariatką, a one miały rację?

– Bardzo ci zaufałam, nie sądzisz? – odparła.

– I dlatego im szybciej poznamy prawdę, tym lepiej. Myślę, że powinniśmy sobie zrobić testy.

Nie zależało jej na testach. Chciała wiedzieć, co się wydarzyło. Musiała to zrozumieć, nie mogła nas nagle pokochać ani my jej, nawet gdyby testy były całkiem jednoznaczne. Nie zamierzała z nami zamieszkać. Nie mogła w ciągu pięciu minut zostać córką i siostrą. Po prostu pragnęła się dowiedzieć, czy postąpiła właściwie i czy jej rodzina była oszustwem. Czy rzeczywiście istniał spisek przeciwko niej, żeby nie dowiedziała się prawdy? Właśnie to skłaniało ją do myślenia, że dostaje pomieszania zmysłów.

Laura odrzucała najkrótszą drogę, a my: mój ojciec, mój brat i ja, nie mogliśmy uznać sprawy za zakończoną po tym wszystkim, co się wydarzyło. Byłam przygnębiona.

– Nie powinnaś być na zajęciach? – spytała nagle.

– Przegapiłam termin zapisów. Moja matka umarła, wierząc, że codziennie

chodzę na uczelnię.

– Przykro mi.

– Przestań ciągle mówić, że ci przykro. To w niczym nie pomaga.

Obładowane tymi wszystkimi ubraniami usiadłyśmy na fałszywym placu w fałszywym miasteczku w centrum handlowym. Czasami Laurze wyrywało się „Lili mówi...” albo „mamie podoba się...”. Będzie musiało upłynąć dużo czasu, zanim poczuje do nich żal z powodu tego, co jej zrobiły. Była przygnębiona, ale jeszcze nie rozumiała, nie potrafiła się wyzbyć uczuć. Siedziałyśmy pod daszkiem, który udawał domek ze skrzynkami na kwiaty i całą resztą.

– Z czasem będziesz się cieszyć, jestem pewna. Ja się cieszę, że cię odnalazłam i przekonałam się, że moja matka miała rację i że nie zmarnowała najlepszych lat swojego życia, szukając cię.

Było dla mnie niezrozumiałe, że prawie nie interesuje się moją matką, która mogła być również jej matką. Nie zapytała mnie, co jej się stało ani jaka była. Trudno jej było zastąpić Gretę kimś, kogo nawet nie mogła zobaczyć.

Ja piłam cappuccino, ona zieloną herbatę.

– Pójdziemy teraz spotkać się z kimś, kto nam poradzi, co powinniśmy zrobić – powiedziałam.

Na szczęście Maria właśnie wróciła do biura i kiedy rzuciła na nas okiem, chyba zrozumiała. Zdjęła futro z lisów, powiesiła je w szafie ukrytej w ścianie i wygładziła elastyczny sweter dopasowany jak bandaż do jej szerokich pleców i szerokiej klatki piersiowej. Zaplotła sobie włosy, przyglądając nam się badawczo.

– Wcale nie jesteście do siebie podobne – stwierdziła.

Uśmiechnęłam się mimowolnie, bo było to uznanie triumfu.

– Bardziej przypomina mojego ojca i mojego brata – odpowiedziałam.

Poprosiła, żebyśmy usiadły na fotelikach. Sama usiadła na ławie, na czasopiśmie. Oparła się na dłoniach i odrzuciła głowę do tyłu, jakby się opalała. Laura patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Nigdy nie widziała detektywa.

– Przedstawiam ci Laurę. Uciekła i teraz jej szukają. Nie wiemy, do czego będą

zdolni.

Laura odwróciła twarz w moją stronę, wystraszona. W miarę upływu godzin w jej umyśle zacierał się strach, który wcześniej czuła, i prawdopodobnie przypominała jej się dawna Lili i dawna Greta.

– Zrobiliście już testy...?

– Laure bardziej interesuje, w jaki sposób jej matka i jej babcia sobie ją przywłaszczyły, niż to, czy jest moją siostrą. Myśli, że ma nierówno pod sufitem.

María, jak to miała w zwyczaju, nie zdziwiła się. Uznała, że to logiczne.

– Wydaje mi się, że to najrozsądniejsze. Lepiej jest rozwiązać wątpliwości co do rodziny adopcyjnej, a potem móc swobodnie decydować, czy posunąć się dalej, czy nie. Możecie zacząć od poproszenia o akt urodzenia w Urzędzie Stanu Cywilnego. Będzie w nim figurowała nazwa szpitala, w którym się urodziła. Idźcie tam i poproście o pokazanie rejestru. Jedno doprowadzi was do drugiego. Nikomu nie ufajcie.

Laura patrzyła na Marię, jakby miała ochotę powiedzieć: wycofuję się, wracam do swojego urzędzonego już życia, jest jedyną rzeczywistością, jaką znam, wy jesteście dla mnie obcymi ludźmi. Dlatego musiałam jej zamieszać w głowie i nie dać czasu na zastanowienie. Może ona nie chciała wiedzieć, ale ja tak.

Spojrzałam na zegarek.

– Jeśli się pośpieszymy, zdążymy – powiedziałam, wstając i idąc w stronę drzwi.

Laura szła za mną obciążona torbami. Głos Marii sprawił, że stanęłam jak wryta.

– Dziękuję za serum. To, co zrobiła Betty, jest dobrze zrobione.

49. LAURO, NIE OGLĄDAJ SIĘ ZA SIEBIE

Matka Veróniki i Ángela, żona taksówkarza, miała na imię Betty i dostała obsesji na punkcie odnalezienia córki uznanej za martwą przy narodzinach. Uważała, że tą córką jestem ja. Gdy zachorowała, Verónica przejęła pałeczkę, ojciec z rezygnacją znosił tę obsesję, a Ángel trzymał się z boku. Teraz wszyscy byliśmy w to zamieszani, nikt z nas nie mógł powiedzieć, że o niczym nie wie. Ja nie wiedziałam, co myśleć, co czuć. Zakładało się, że na pewno chcę poznać prawdę, ale brnięcie dalej przyprawiało mnie o zawrót głowy. Gdybym tylko mogła być normalną osobą, za jaką zawsze się uważałam. W gruncie rzeczy nawet nie zazdrościłam Carol. Verónice bardzo łatwo było dociekać prawdy na mój temat, podczas gdy prawda o niej pozostawała bezpieczna i nienaruszona. Prawda była trucizną, którą stopniowo zażywałam.

Nie potrzebowałam żadnego aktu urodzenia, żeby przeczytać, gdzie się urodziłam. Zawsze wiedziałam, że urodziłam się w klinice Los Milagros. Mama została przyjęta o czwartej nad ranem i o jedenastej następnego dnia przyszłam na świat. Mama nie lubiła wspominać porodu i natychmiast zmieniała temat rozmowy. Więcej wyjaśnień słyszałam zawsze od Lilí, która była z nią od początku do końca. Uwielbiała o tym opowiadać, chociaż za każdym razem szczegóły nieco się różniły. Kwestia wieku. Nigdy nie przywiązywałam do tego wagi.

I rzeczywiście Los Milagros była kliniką położniczą, która figurowała w metryce. Widzisz? – powiedziałam do Veróniki, a ona na to, że dopóki dane nie będą się zgadzały, nie będziemy skakać z radości.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby tam pójść. Nieraz miałam ochotę zobaczyć miejsce, w którym po raz pierwszy otworzyłam oczy. Na niektórych drzwiach wisiły wiązanki kwiatów, a zakonnice przechodziły z niemowlętami na łóżeczkach. To nie do pomyślenia, że można być aż tak małym i bezbronnym i dotrzeć tu bez pomocy, prawie bez pomocy. Gdy poprosiliśmy w recepcji o rejestr urodzeń z 12 lipca 1975 roku, zakonnica zapytała, po co nam on. Już miałam powiedzieć prawdę, ale Verónica mnie ubiegła i powiedziała, że w Urzędzie Stanu Cywilnego trwa remont archiwum

i gdzieś się zapodziała moja metryka urodzenia, dlatego potrzebują zaświadczenia ze szpitala. Zakonnica, która się tym zajmowała, powiedziała, że musimy się o to zwrócić na piśmie. Już się odwracałam na pięcie, gdy usłyszałam, jak Verónica mówi, że chce rozmawiać z dyrektorem placówki. Zakonnica odparła, że dyrektor nie może jej przyjąć ot tak sobie, że mają mnóstwo pracy i nie mogą tracić czasu na biurokrację. Verónica uparła się, że nie odejdzie, jeśli ktoś nie zajmie się jej sprawą.

– Macie obowiązek pokazać mi rejestr, wiem o tym.

W mojej szkole nigdy by nam nie przyszło do głowy zwracać się w taki sposób do siostry zakonnej. Większość z nich była miła, jeśli wiedziało się, w jakim świecie żyją, i nie zmuszało się ich, żeby go opuściły. Niektóre koleżanki upierały się, że w tym świecie musi być tak jak na zewnątrz, a jednak nie było. Verónica popełniała dokładnie ten sam błąd, nie umiała wyjść z muszli ślimaka, jakby powiedział doktor Montalvo. Musiałam pociągnąć ją, żebyśmy stamtąd wyszły.

– Proszę jej wybaczyć, siostro – powiedziałam. – Jest bardzo uparta.

Skierowałyśmy się do wyjścia, a potem weszłyśmy ponownie, oddaliłyśmy się jakimś korytarzem i poszłyśmy na pierwsze piętro. Torby z zakupami musiały sprawiać wrażenie, jakbyśmy były obładowane prezentami.

– Nikt nam nie pokaże rejestrów – powiedziała Verónica.

– Jeszcze zobaczymy.

Szukałam swojej zdobyczy. Verónica była zrozpaczona, bo wszystkie zakonnice wydawały jej się takie same, i chciała się rzucić na pierwszą lepszą, żeby zapytać. Spokojnie, mówiłam jej, jeśli będziemy działać pochopnie, zniechęcimy ją. I nagle, gdzieś w oddali, dostrzegłam ją. To była moja zakonnica. Młoda, poczciwa, zrezygnowana, z tych, które w szkole były na zesłaniu, do czasu aż się zahartują albo zostaną, żeby otwierać i zamykać drzwi. Ta tutaj pchała wózek z posiłkami. Gdy wchodziła do pokoi, robiła radosną minę. Powiedziałam Verónice, żeby na mnie zaczekała.

Podeszłam do zakonnicy i powiedziałam jej, że uczyłam się w szkole prowadzonej przez to samo zgromadzenie, do którego należy, co było prawdą, i że dyrektorką szkoły jest siostra Esperanza – też prawda – nie wiem, czy ją zna, i ona

wysłała mnie, żebym przekazała wiadomość kierownicze archiwum urodzeń, ale nie mogę znaleźć archiwum, a bardzo mi się śpieszy. Martwię się, że nie mogę przekazać jej wiadomości, a to ważna sprawa. Próbowała wyjaśnić mi, jak dojść do recepcji, żeby tam mnie poinformowano, ale ja nie miałam czasu, bo zaraz musiałam iść do pracy, a gdybym się spóźniła, wylaliby mnie.

Nazywała się siostra Justina i musiała skończyć rozwozić posiłki. Zrobiłam strasznie smutną minę, a wtedy powiedziała, żebym zaczekała na nią kilka minut. Verónica, oparta o ścianę, przyglądała się, co robię. Czekałam na stojąco w korytarzu i skorzystałam z okazji, żeby w tym czasie napisać na skrawku papieru swoje nazwisko i datę urodzenia. Siostra Justina uśmiechała się do mnie za każdym razem, gdy wchodziła do pokoi i wychodziła. Ogromnie się ucieszyła, kiedy pozbyła się ostatniej tacy, i powiedziała mi, żebym poszła za nią korytarzem. Verónica posuwała się za nami w pewnej odległości, niosąc torby z zakupami.

Zeszliśmy na poziom minus jeden. Zapukała do drzwi archiwum. Nikt nie otwierał, ale siostra podjęła się odszukać kierowniczkę. Tamta była skrytką, czyli zakonnica bez habitu.

– No dobrze, zostawiam was, mam dużo pracy – powiedziała siostra Justina.

– Przepraszam, że panią niepokoję. Przysyła mnie dyrektorka szkoły Santa Marta, siostra Esperanza, żebym panią pozdrowiła i poprosiła o pewną przysługę.

– A to dopiero. Jak się czuje siostra przełożona? Już od dawna tu nie przychodzi.

Minęła co najmniej minuta, zanim na to zareagowałam. Znała siostrę Esperanzę! Chociaż to nie powinno być takie dziwne, skoro obie należały do tego samego zgromadzenia. Dzięki temu wszystko było łatwiejsze, chyba że przyszłoby jej do głowy zadzwonić do niej.

– Jest w podróży i zleciła mi sprawdzenie pewnych danych w archiwum. Wydaje mi się, że bardzo ją to interesuje.

Zaczekałam, aż wykona jakiś gest, oznaczający, że się zgadza, i wyjęłam kartkę, na której wcześniej napisałam swoje dane. Omal nie zemdlałam, gdy wstała z zamiarem odszukania odpowiedniego tomu. Była naturalną blondynką. Miała gęste włosy obcięte od garnka i niebieskie wylupiaste oczy, wyglądające jak dwa akwaria.

Do tego przednie zęby ze szparą i grube łydki. Nosiła buty prawie bez obcasa, pończochy z lycry, żółty wełniany sweter, który sama sobie zrobiła, i białą bluzkę z haftowanym kołnierzykiem, pewnie też przez nią samą, wystającym spod swetra. Nie mogłam przestać się na nią gapić, odciskała mi się w mózgu. Za mną, kilka metrów dalej, Verónica czekała na jakiś sygnał z mojej strony.

Siostra otworzyła księgę i zaczęła wodzić palcem. Gdy doszła do podanej daty, zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Miałam zaniepokojoną twarz, już nie mogłam dłużej udawać.

– O co chodzi? – zapytałam.

Zamknęła księgę.

– Jakiś błąd. Nie mogę podać tych danych siostrze przełożonej.

Wykonałam gest, tylko gest, jakbym chciała wziąć tom.

– Proszę pokazać, ja to znajdę. Nie mogę tak odejść.

– Ja z nią porozmawiam, nie martw się.

– Verónica! – krzyknęłam.

Przybiegła raz-dwa, potwornie hałasując botkami ze skóry pytona i papierowymi torbami.

– Tu jest rejestr – powiedziałam, wskazując na księgę w kartonowych okładkach imitujących marmur, którą kierowniczką ścisnęła w dłoniach.

Zaskoczenie działało na naszą korzyść. Próbowwała zrozumieć, co tu robi ta dziewczyna w futrze z norek, kiedy Verónica upuściła torby, przeszła na drugą stronę stołu i wyrwała jej księgę.

– Szukaj – powiedziała do mnie, stając między mną a kierowniczką.

Tamta podniosła słuchawkę, ale Verónica rozłączyła połączenie.

– Nie próbuj krzyczeć, bo rozwalę ci głowę – powiedziała tym swoim niesamowicie nosowym głosem.

Palce mi się trzęsły i miałam szklisty wzrok. Odszukanie swojej daty urodzenia i imienia zajmowało mi dłużej, niż można było przypuszczać. Nie potrafiłam ich znaleźć w rozsądnym czasie. Kierowniczką próbowała wyjść, ale Verónica ją odepchnęła.

– Zadzwonimy na policję – powiedziała kobieta, ni to z wściekłością, ni to ze strachem.

– Jasne, gliniarzom pewnie spodoba się ten rejestr. Dobra, już nie szukaj. Zabieramy go ze sobą.

Potem Verónica zrobiła coś, co widziałam tysiące razy w kinie: wyrwała kabel telefonu, żeby kierownicze dłużej zajęło wszczęcie alarmu.

Włożyłam tom rejestru do torby i wybiegłyśmy. Pewnie gdybyśmy dotarły do drzwi wyjściowych, już by na nas czekali, ale nie było czasu do namysłu, nie miałyśmy wyboru. Minęłyśmy się z siostrą Justyną i zapytałam ją, jak stąd najszybciej wyjść. Bardzo się spóźnię do pracy.

– Tędy, przez ostry dyżur – odpowiedziała.

Na ulicy nadal biegłyśmy, a potem wsiadłyśmy do taksówki. Nie mogłyśmy ryzykować. Sprawdziłyśmy, czy nie zostawiłyśmy jakiejś torby. Były wszystkie. Podałyśmy taksówkarzowi adres domu Veróniki i otworzyłyśmy księgę. Nigdy nie szukałam swojego nazwiska na żadnej liście z takim niepokojem. Sprawdzaliśmy kilka razy, bo zdawałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy zdenerwowane. Tamtego dnia, o tamtej godzinie i przy moim imieniu był odnotowany jedynie zgon. Verónica objęła mnie ramieniem.

– Co za różnica, że nie ma tu twojego imienia? Ty jesteś tutaj i to się liczy.

Już dotykałam prawdy ręką.

– Co za fuszerka! – dodała Verónica.

– To już jest dowód, prawda? – powiedziałam.

– Włóżysz swoje nowe ubranie, zjemy coś na podwieczorek, żeby się uspokoić, a potem wyruszymy na łowy.

Wyglądało na to, że Verónica uparła się, żeby zburzyć mój świat. Irytowały mnie jej kręcone włosy, które niemal muskały mi twarz, zapach skóry jej botków, sygnet z kobrą, norki po matce i ten głos zdolny zatrzymać w miejscu lwa. Chciała sięgnąć w głąb mojego życia, ale ja zaczynałam mieć jej dość. Jej i tego jej domu pełnego kwiatów z plastiku. Spojrzałam na nią z ukosa. Nie znosiłam jej.

– Kiedy z tym skończymy? – zapytałam.

Nie odpowiedziała mi, zastanawiała się, jak jeszcze trochę mnie pognać.

50. VERÓNICA WALCZY Z WIATRAKAMI

Nie mogłam otworzyć drzwi kluczem, co oznaczało, że drugi klucz tkwił w zamku od wewnątrz, przekręcony dwa razy. Spróbowałam ponownie i nacisnęłam dzwonek.

Zauważyłam oko w judaszu, a potem usłyszałam odgłos klucza i drugiej, dodatkowej zasuwki, którą zamykali moi rodzice, kiedy w dzieciństwie czasem zostawialiśmy sami.

– Co się stało? – zapytałam Ángela, wycierając nogi na wycieraczce.

– Nie wiem. Przyszedł jakiś mężczyzna, bardzo przypakowany, mówiący z dziwnym akcentem, i zapytał mnie o Laurę.

Ángel z powrotem zamknął zasuwę. Nie podobało mi się, że może się zrobić strachliwy, bo coś takiego w przyszłości ujęłoby mu sporo uroku.

Rzuciłyśmy torby na łóżko.

– Kupiłyście mi coś?

Odpowiedziałam mu pytaniem.

– Był ostrzyżony na zapałkę?

– Tak.

– Miał okrągłą twarz?

– Tak.

– Był lekko ubrany?

– Tak.

– Był trochę wyższy ode mnie i niższy od ciebie?

– Tak.

– Wobec tego to był Petre – wtrąciła się Laura. – Nie wiem, do czego Lilí go potrzebuje, skoro może chodzić bez problemu.

W końcu zaczynała do niej docierać rzeczywistość. Ángel patrzył to na jedną, to na drugą z nas, nic nie rozumiejąc.

– Ja też widziałam, jak chodziła po sklepie, kiedy cię przetrzymywały.

– Była chora – podkreśliła Laura.

Lepiej było nie próbować jej przekonywać, to byłaby walka z wiatrakami. Sama powinna zaakceptować własne życie.

– Zapytałem, kim jest – mówił dalej Ángel – ale nie odpowiedział, tylko znów spytał o Laurę. Powiedział, że musi jej przekazać bardzo ważną wiadomość. Powiedziałem mu, że tu nie mieszka żadna Laura, bo uznałem, że tak będzie najlepiej. Potem położył mi łapsko na piersi i pchnął mnie do środka. Miał złoty sygnet na palcu serdecznym. Wszedł i zamknął drzwi. Byłem pewien, że zaraz wyciągnie pistolet. Biedny Don czekał rozpaczliwie na werandzie, za szklanymi drzwiami. Szkoda, że nie mógł przez nie przejść, nieźle by nastraszył tego zbira.

– Wyjął pistolet? – zapytała Laura z wielkim przejęciem.

Ángel pokręcił przecząco głową.

– Rozejrzał się po domu, zajrzał do pokoi. Całe szczęście, że zostawiłem swoje łóżko idealnie zaścielone. Całe szczęście, że ktoś w tym domu dba o porządek. Zobaczył trzy używane i jedno nieużywane. Poszedł sobie, nie do końca przekonany. W drzwiach powiedział, żebym przekazał Laurze, że jej babcia jest bardzo chora i musi się z nią zobaczyć.

Laura zmieniła się na twarzy. Czy to była prawda? Może przykrość spowodowana jej ucieczką sprawiła, że znów zachorowała. Nie miałam wyjścia i musiałam na nią krzyknąć, żeby wyszła z transu.

– Kiedy uciekałaś, byłaś przerażona!

– Zasugerowałam się – powiedziała z zagubionym spojrzeniem.

– Nie widzisz, że działają w zмовie? Tylko Ana zna ten dom i tylko ona mogła im dać adres. Uważasz, że to normalne wchodzić na siłę do czyjś domu i grozić?

– Lilí musi być zrozpaczona – powiedziała jak opętana.

– A twoja matka? Twojej matce jest wszystko jedno?

– Ona jest silniejsza, młodsza.

– Nie bardzo – powiedziałam, myśląc o różnicy wieku między jej matką a moją.

– Nie wiem, co robić – pożaliła się. – Nie wiem, czy zadzwonić, żeby się przekonać, czy rzeczywiście jest chora.

– Rób, jak chcesz – powiedziałam, uzbrajając się w cierpliwość, chociaż wyprowadzała mnie z równowagi – ale najpierw jeszcze raz rzucimy okiem na rejestr z Los Milagros, nomen omen^u.

Nie zaprotestowała. Usiadła na sofie i otworzyła go, opierając go sobie na udach; w moich dżinsach jej nogi wydawały się jeszcze smuklejsze. Zaświeciłam kinkiety. Ogród pograżał się w mrocznej szarości, która likwidowała czas i przestrzeń, prawdę i kłamstwo.

Ángel usiadł obok niej, przyglądając się księdze z ciekawością. Światło kinkietów padało na ich głowy, czoła, uszy, nosy, dłonie. Ależ byli do siebie podobni. To nie mógł być przypadek. Mamo, miałaś rację, twoja córka żyje i ma na imię Laura.

– Mogło naprawdę dojść do jakiejś pomyłki, jesteś za bardzo przekonana – powiedziała Laura.

– A ty upierasz się, żeby wierzyć w to, w co chcesz wierzyć.

Pożałowałam, ledwie to powiedziałam. Nie mogłam od niej wymagać, żeby była taka jak ja. Do moich drzwi nikt nie zapukał, mówiąc: posłuchaj, my jesteśmy twoją nową rodziną, ta tutaj jest przyszywana. Moja matka nigdy nie zdobyła się na taki krok, z pewnością ze względu na szacunek do Laury.

– Nie chciałam tego powiedzieć – usprawiedliwiłam się.

Ángel delikatnie zabrał jej księgę i zaczął ją studiować.

– Ile zgonów noworodków. To wygląda na jakąś epidemię – powiedział.

Zanieśliśmy księgę na mahoniowy stół, usiedliśmy na trzech krzesłach i zaczęliśmy intensywnie przeglądać kartki, chociaż z większym spokojem niż wcześniej.

– Ty nie byłaś jedyna. To śmierdzi gównem na kilometr – zauważyłam.

Laura nie odpowiedziała. Nie chciała dalszych utarczek ze mną.

– To nienormalne, że w tym samym szpitalu zmarło tak wiele dzieci – dodałam.

– To wygląda na bardzo grubą sprawę, jedną z tych, od których zaczyna się dziennik telewizyjny – dodał Ángel.

– No dobrze. Idź się uczyć – powiedziałam – a kiedy będziesz sam w domu, nie otwieraj, jeśli ktoś zadzwoni,

– Tato nosi klucze. Zostawimy Dona w środku.

– I mam o wszystkim zapomnieć? – spytał, nie wykazując najmniejszej ochoty do nauki.

– Tak. Od rana do wieczora zapominasz o wielu rzeczach, o których nie powinieneś zapominać, na przykład o wyprowadzeniu Dona do parku. Więc zapomnij także o tym, do czasu... aż ja ci powiem.

– Uwielbiam słuchać, jak się kłóćcie – powiedziała Laura melancholijnie, podczas gdy Ángel przemierzał korytarz wielkimi krokami. – Ja nigdy nie miałam w domu nikogo równego sobie, z kim mogłabym się pokłócić.

– Jak chcesz, możesz zadrzeć z Ángelem, jemu w to graj. Dostaje szału, kiedy się go strofuje i każe mu się zrobić to czy tamto. W ogóle nie słucha, jakby był głuchy.

Uśmiechnęła się trochę z goryczą. Teraz każdy wyraz twarzy Laury miał dodatkowy odcień. Także jej życie miało dodatkową historię.

Coraz bardziej podziwiałam swoją matkę: to, w jaki sposób wyhamowała nad przepaścią, jaką była Laura, jak powstrzymała się od wywrócenia wszystkiego do góry nogami. Wiedziała, że jeśli przekroczy granicę oznaczającą szacunek, którą właśnie wszyscy przekroczyliśmy, wszystko może się zdarzyć. Petre przeszedł przez próg tego domu bez pozwolenia i poszturchiwał mojego brata, wchodził do naszych pokoi. Strach było pomyśleć, jak daleko mogą się posunąć. Laura nadal przeglądała strony księgi rejestrowej. Wzięła kartkę i długopis i zaczęła robić notatki. Była ofiarą, nie wiedząc o tym. My też byliśmy ofiarami. Ángel właśnie przeszedł trudne chwile. Nie był to odpowiedni moment na rozpamiętywanie.

– Laura! – krzyknęłam, wyrywając ją z bolesnego zamyślenia. – Idziemy złożyć wizytę aktorce.

[1] Los Milagros – po hiszpańsku cuda (przyp. tłum.).

51. LAURO, ODWIEDŹ JĄ

Wszyscy wiedzą, co to jest koszmar, wszyscy jakiś przeżyli, nawet najszcześliwsi i najweselsi śnią o rzeczach dziwnych i przerażających. Tak więc to, co mi się przytrafiało, nie było niczym szczególnym.

Verónica podeszła od tyłu, zamknęła mi księgę rejestrową i zabrała ją, prawdopodobnie, żeby gdzieś schować, bo w tym momencie pewnie było tajemnicą poliszynela, że ją ukradłyśmy. Powiedziała mi, że idziemy się zobaczyć z Carol. Puls mi przyśpieszył, potrzebowałam odpocząć, pozwolić, żeby nowiny do mnie dotarły. Musiałam się przyzwyczaić do myśli, że mam się zjawić u Carol. Carol była moją uwielbianą, podziwianą kuzynką, która nie zachowała się porządnie wobec mnie, gdy byłam chora, ale to już nie miało znaczenia. Bałam się, że z mojej winy świat się zawali.

Zapytałam Verónicę, czy mamy jakiś plan, na co odpowiedziała, że nie mamy czasu, żeby cokolwiek zaplanować, że damy się porwać wiatrowi. Wydawało mi się to niepoważne – gdybym ja improwizowała na swoich lekcjach, okazałyby się katastrofą.

Siedziałam jak sparaliżowana, gdy chowała księgę, aż usłyszałam jej głos:

– Przebierz się, na Boga! Przecież po to poszłyśmy na zakupy.

Ostatnio zwracała się do mnie krzykiem, wyprowadzałam ją z równowagi. Mnie wszystko w niej wkurzało. Tak czy inaczej nie umiałam zaoferować żadnej alternatywy. Z promocyjnego opakowania z pięcioma parami majtek wyjęłam jedną. Włożyłam też stanik, nowe džinsy i czarny sweter z golfem. Verónica uparła się, żebym włożyła na to futro z norek. Powiedziała, że do mnie lepiej pasuje niż do niej. Uczesałam się jej szczotką i odkrzyknęłam, że jestem gotowa do wyjścia.

Czekałam na nią, przyglądając się portretowi Betty. Uśmiechała się, ale miała smutne spojrzenie. Greta prawie wcale się nie uśmiechała, przechodziła od powagi do śmiechu, ale nigdy nie była smutna ani melancholijna. Betty promieniowała wielką siłą, ludzką energią i chociaż już jej nie było, wyczuwało się jej obecność. Z pewnością była osobą o szczerych uczuciach, pełną pasji, mającą dobre serce i dość

kiepski gust do dekoracji wnętrz. Szkoda, że nie zjawiłam się na czas, żeby ją poznać.

– Była ładna, prawda? – powiedziała Verónica za moimi plecami.

Nie odpowiedziałam. Przerastały mnie uczucia, które powinnam była mieć, a nie miałam. Zaczynałam się martwić, że nic nie czuję do swojej prawdziwej matki.

– Zanim pojedziemy, musimy coś zjeść. Moja matka zawsze mówiła, że nie należy wychodzić z domu z pustym żołądkiem. Zrobię kawę.

Wypiła kawę z mlekiem i zjadła magdalenkę. Musiałam ją przekonywać, że mnie wystarczy herbata. Już dostatecznie zmieniała życie wokół mnie, nie było potrzeby, żebym także ja zmieniła się w inną osobę.

Poszliśmy zaczekać na Carol w jej mieszkaniu. Za pieniądze zarobione na serialu kupiła sobie takie z widokiem na aleję Paseo de la Castellana. Białe meble, szara wykładzina, ogromne okno, długi rękaw w lecie, krótki rękaw w zimie. Przy wejściu trzeba było zdejmować buty i nie miała szaf, tylko garderobę wyłożoną drewnianą boazerią, również białą. Nie brała prysznic, kąpała się w solach przy zapalonych świecach. W kuchni nigdy nie gotowała, najwyżej robiła sobie herbatę.

Dozorca mnie poznał i powiedział, że jeszcze nie wróciła, ale pojawi się lada chwila.

– Dzisiaj po zdjęciach miała próbę – powiedział, dumny z Carol jak my wszyscy, którzy ją znaliśmy.

Usiadliśmy na sofach w holu i zaczęliśmy przeglądać czasopisma. Jeśli wziąć pod uwagę porę, o której Verónica się z nią rozstała, kiedy poszła do niej do telewizji, nie powinna pozwolić na siebie długo czekać, jak przyznał dozorca. Z pewnością dawała mu hojne napiwki, żeby był wobec niej lojalny. Pod tym względem przypominała Lili, która także podrzucała naszemu dozorczy cenne podarki na święta i od czasu do czasu kopertę.

Carol zawsze chciała być sławna i ważna. Bardzo źle znosiła niepowodzenia i afronty. Nigdy nie czuła się doceniana tak, jak na to zasługiwała, i pewnego razu próbowała popełnić samobójstwo, coś połykając; nigdy się nie dowiedziałam, co to było, ale zanim nadszedł koniec, zadzwoniła do mnie, a ja czym prędzej przybiegłam. Nie była nawet w stanie dojść do drzwi, więc otworzył mi dozorca. Powiedziałam mu,

że kuzynka ma gorączkę, i odprawiłam go. Zastałam Carol w tak kiepskim stanie, że miałam ochotę wezwać pogotowie, ale najpierw włożyłam jej palce do gardła i zaczęła wszystko zwracać. Powtórzyłam to kilka razy, aż nic jej nie zostało w żołądku, a potem dałam jej wody i jeszcze więcej wody. Czasami nią wymiotowała, a czasami nie i w końcu zasnęła. Spała przez wiele godzin. Co pół godziny podnosiłam jej głowę i zmuszałam do picia, żeby się nie odwodniła. Nie miałam pojęcia, czy dobrze robię, ale wydawało się pewne, że już nie umrze i że uniknęliśmy skandalu, którym najbardziej by się zmartwiła po dojściu do siebie. Kiedy spała, zebrałam z szarej wykładziny w jej pokoju wymiociny, które zasadniczo były strumieniami zielonej piany. Zużyłam kilometry papierowych ręczniczków kuchennych, ale nie znalazłam rękawiczek, więc starałam się nie patrzeć na to, co ścieram. Śmierdziało tak, że sama omal nie puściłam pawia. Przynajmniej kiedy w końcu się zbudziła i powiedziała, że dobrze się czuje, nie musiała oglądać śladów katastrofy. Zrobiłam jej herbatę, bo to była jedyna rzecz, jaką znalazłam w kuchni. Spytała mnie, czy dozorca coś podejrzewa. Nikt się o niczym nie dowiedział. Ale jesteś dobra, powiedziała i poprosiła, żebym została z nią na noc. Sama zadzwoniła do Lilí, żeby dać jej znać, że jestem u niej. Lilí bardzo się podobało wszystko, co robiła Carol, i pragnęła, żeby coś mi się przykleiło z jej talentu, bo mogłaby się mną chwalić.

Mieszkanie nie budziło we mnie miłych wspomnień. Ilekroć do niego wchodziłam, trochę mi śmierdziało wymiocinami, nawet w garderobie.

Wiedząc, jak bardzo dozorca jest oddany Carol, podeszłam do niego i poprosiłam, żeby nie zawiadamiał jej telefonicznie o naszej wizycie, bo chcemy jej zrobić niespodziankę, która bardzo ją ucieszy. Zorganizowałyśmy dla niej przyjęcie w restauracji, powiedziałam.

Siedziałyśmy tak, żeby nie zobaczyła nas, wchodząc. Zjawiała się po trzech kwadransach. Z pewnością udoskonalała graną przez siebie postać, była niestrudzona i nigdy nie ośmieliłabym się pomyśleć, że nie odniesie sukcesu na wielką skalę.

Gdy już nie mogła się wymknąć, chyba żeby uciekła, przebiegając przed dozorcą, wstałyśmy, zamierzając się z nią przywitać.

– A to niespodzianka, co? – powiedziała Verónica.

Carol rzuciła okiem na dozorcę, nie rozumiejąc, dlaczego jej nie uprzedził, a ja poszłam w stronę windy.

– Nie zajmijemy ci dużo czasu – dodała Verónica.

– Możemy się czegoś napić tu obok – zaproponowała Carol.

– Byłabym zachwycona, mogąc zobaczyć, jak mieszka aktorka – powiedziała Verónica. – Jediną sławną osobą, jaką poznałam, był pewien pisarz, który podpisał mi książkę w liceum.

Ja czekałam, przytrzymując otwarte drzwi windy. Nie miała innego wyjścia, jak zgodzić się nas zaprosić.

– Nie mam was czym poczęstować – powiedziała. – Poproszę Germána, żeby nam przywiózł coś na górę.

Germán był dozorcą, który w niczym się nie połapał i patrzył na nas z uśmiechem.

Otworzyła drzwi do mieszkania i już wiedziałam, że to ogromne okno, przez które widać było dużą część Madrytu, zrobiła na Verónice wielkie wrażenie. Szokowało, że ktoś tak młody już prowadzi taki tryb życia.

Verónica zwała się na jedną z sof z białej cielejącej skóry, nie zdejmując kurtki. Ja zdjęłam futro z nerek i zostawiłam je na poręczy, bo wiedziałam, że po pięciu minutach będę się pocić.

Carol miała taką twarz, jakby płakała na próbach zgodnie z wymogami scenariusza, i przyglądała nam się na stojąco.

– Jestem zmęczona – powiedziała.

– Powinnaś zobaczyć garderobę – odezwałam się głupio do Veróniki, żeby rozładować napięcie.

– Chcemy wyjaśnić kilka spraw. Powiedz Laurze, że Greta nie jest jej biologiczną matką ani Lilí jej babcią.

– Nie bądź śmieszna. Za kogo się uważasz, żeby czegoś ode mnie żądać?

Verónica nie wiedziała, że Carol musi codziennie użerać się z prawdziwym motłochem i że w porównaniu z nią ona jest niewinną duszyczką.

– Laura cię podziwia, zasługuje, żeby poznać prawdę – powiedziała Verónica.

Verónica nie wiedziała również, że ktoś z tak jasno wytyczonym celem w życiu

jak Carol nie może popadać w sentymentalizm, a ona nie chciała sobie brudzić rąk moim dramatem.

– Ja też ją kocham i właśnie dlatego proszę cię, żebyś się nie wtrącała w nasze życie. Zjeżdżaj!

Popatrzyłam na nie. Znałam Carol przez całe życie. Bawiłyśmy się w dzieciństwie, pomogłam jej przy aborcji oraz po próbie samobójczej i martwiłam się, gdy nie potrafiła znieść któregoś z niepowodzeń, jakie bez przerwy ją dotykały. Była dla mnie kimś najbardziej przypominającym siostrę. Verónicę znałam od niedawna, wcale mi na niej nie zależało i nie udawało mi się sprawić, żeby przestała mi się wydawać obca i niekiedy uciążliwa. Mówiła, że jest moją siostrą, ale nie mogłam jej odnaleźć w swoich wspomnieniach.

– Carol, dlaczego mi nie pomożesz? W gruncie rzeczy nie podoba mi się, że zaszłam tak daleko, ale to już się stało, a ty jesteś dla mnie jak siostra – powiedziałam.

– Już ci mówiłam, że nie chcę skandali. Jeszcze tego mi brakowało.

Wstałam i włożyłam futro. Nie wiem dlaczego, ale futro dodawało mi siłę, jakby nic i nikt nie mógł przeniknąć jego pancerza.

– Jeśli nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli o tym, o czym wiemy ty i ja, a nie wiedzą nawet twoi rodzice, ani oczywiście Lili, możesz już zacząć mówić.

– I ty mówisz, że mnie kochasz?

Verónica wstała.

– Gdzie, mówisz, jest ta garderoba?

Carol i ja pokazałyśmy jej pokój w głębi.

– Nie gorąco ci? – spytała Carol, używając jednego ze swych tonów głosu w miłym rejestrze.

– Nieważne – odpowiedziałam, siadając.

Ona w dalszym ciągu stała. To pozwalało jej nie patrzeć mi z bliska w twarz.

– Jesteś adoptowana. Nigdy ci o tym nie powiedziały, żebyś nie czuła się inna. Ja dowiedziałam się jakieś dziesięć lat temu. Dla mnie niczego to nie zmieniało, jak się pewnie domyślasz. Co za różnica? Adoptowaną czy nie, wszyscy cię kochaliśmy,

twoja matka była twoją matką i twoja babcia twoją babcią. W trudnych chwilach zawsze zwracałam się do ciebie.

Nogi mi zwiotczały i ucieszyłam się, że siedzę. Po raz pierwszy powiedziano mi prawdę prosto w twarz. Ktoś z rodziny to potwierdzał. Byłam adoptowana. Verónica miała rację.

– Kiedy zamierzały mi o tym powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– To nie jest takie ważne i pewnie niepokoiło je, jak byś zareagowała.

– Nie jest ważne, żebym wiedziała, kim jestem?

– Na Boga! Nie odgrywaj tragedii. Masz matkę, która cię kocha, zamiast tej drugiej, która, biedaczka, nie mogłaby cię wychować.

Verónica najwyraźniej nie zachwyciła się garderobą, bo pojawiła się w taki sposób, że chociaż botków nie było słychać na wykładzinie, wydawało się, że jednak stukają. Stała przed Carol. Ja w tamtym momencie nie dałabym rady wstać. Wyglądało na to, że poluzowały mi się wszystkie zawiasy.

– Ale to nie wszystko, prawda, Carol? W jaki sposób ją adoptowały? Gdzie? Są jakieś papiery potwierdzające adopcję?

– Nic więcej nie wiem i mam nadzieję, że przez to wyznanie nie będziesz cierpieła.

Oczywiście, że przez nie cierpiałam, ale nigdy nie będę cierpieć tak bardzo jak ona.

Dałam Verónice znak, że idziemy.

– Uważaj na siebie – powiedziałam do Carol – i nie rób głupstw, a jeśli już ich narobisz, nie dzwoń do mnie.

Gdy zjeżdżałyśmy windą, czułam się bardzo nieszczęśliwa. Nie powinnam czuć miłości do Carol. Powinna mi zobojętnieć, nie odpowiadała mi.

Verónica nie patrzyła mi w twarz, nie odzywała się, szanowała moją prywatność. Gdy przechodziłyśmy obok lady dozorczy, zapytał nas o niespodziankę dla Carol.

52. VERÓNICA WRACA

Laura była już dorosła, ale przez to cierpiała bardziej niż gdyby była małą dziewczynką. Po tej scenie u Carol zaniemówiła. Zachowywała się jak w transie. W dodatku nie mogłam przeciwstawić jej cierpieniu swojego bólu, przypominając jej i żaląc się, że niedawno osierociła mnie matka, bo ona była również jej matką. Ja najchętniej przycisnęłabym aktorkę tak, że wszystko by wyśpiewała, ale Laura jej odpuściła, bo chwilowo nie była w stanie przyjąć do wiadomości niczego więcej. Gdy tylko potwierdziło się to, co najważniejsze: że nie jest biologiczną córką Grety, wszystko inne stało się możliwe. Oszukano ją, odgrywano przed nią komedię, a cała jej rodzina wiedziała o niej więcej niż ona sama. Nie sposób było sobie wyobrazić tego wszystkiego, co musiało się dzieć w jej głowie.

Nie chciałam sprowadzać tego smutku do domu, jeśli mogłam coś na to poradzić. Musiałam spróbować odwrócić uwagę Laury, pozwolić jej odetchnąć, dlatego, nic jej nie mówiąc, skierowałam się z nią do parku przemysłowego, na którego terenie znajdował się lokal wykorzystywany przez Matea do prób. Laura, pogrążona we własnym świecie, pozwalała się prowadzić, niemal wlec, po stacjach metra i ulicach.

Wracałam do Matea ze swoją urojoną siostrą i bez matki, jakby koło się zamknęło, chociaż to były brednie, bo koło nigdy się nie zamyka.

Ze środka było słychać muzykę. Do tej pory Laura nie zorientowała się, dokąd idziemy. Patrzyła na latarnie i domy tak, jakby nigdy nie widziała żadnej latarni czy domu ani chodzących istot ludzkich.

– Gdzie jesteśmy?

Nie odpowiedziałam. Zobaczyłam motor Matea obok innych, co oznaczało, że jeszcze nie zaczął nowego życia w domu na wsi. Laura weszła za mną do środka. Poprosiłam o dwie puszki piwa. Jedną dałam Laurze i popatrzyłam na nią z obawą. Nie piła alkoholu, nie jadła słodczy ani niczego tłustego. Zasłużyła na to, żeby odnieść sukces w tańcu. Zaczęli grać piosenkę skomponowaną przez Matea, której brakowało tylko ciut, ciut, żeby była melancholijna i piękna. Laura zaczęła kiwać do rytmu głową, nie wychodząc jednak z otchłani. Światła były ciemniejsze niż zwykle,

albo tylko tak mi się zdawało. Tyczka podszedł do nas i podał mi jointa z całą śliną ze swoich czerwonych ust na bibułce. Sztachnęłam się z odrazą i przekazałam go Laurze. No dalej, nie bądź gorsza od Grety, powiedziałam. Zaciągnęła się z obawą.

– Kto to? – zapytał Tyczka.

– Przyjaciółka. Ma na imię Laura.

– Podoba ci się? – spytał Laure, wskazując ruchem głowy zespół.

Zostawiłam ich zajętych rozmową. To byłaby ulga, gdyby zaczęli ze sobą chodzić. Przydałby jej się ktoś taki jak Tyczka, kto wyrwałby ją z otępienia. Księżniczka przyglądała mi się oparta o bar. Podeszłam do niej.

– Ty znowu tutaj? – zapytała.

– Przyszłam złożyć wam życzenia. Nie będę mogła przyjść na wesele.

– Zaprosiliśmy cię?

– Już ci powiedziałam, że nie przyjdę.

Jej skóra, jej oczy, jej włosy nie były tak lśniące jak dawniej. Nie błyszcząły w półmroku panującym w lokalu.

– Co to za jedna w tym futrze?

Odpowiedziałam innym pytaniem.

– Jak tam ranczo? Już je przygotowaliście do cudownego życia?

Zdenerwowała się. Pomyślała, że się z niej śmieję, chociaż powinno jej być wszystko jedno, skoro dostała to, czego chciała: życie Matea, jego teraźniejszość i jego przyszłość.

Chlusnęła mi w twarz resztką coca-coli, która została w szklance. Na szczęście nie była pełna, ale niestety pochlapała mi kurtkę. Laura przybiegła skądś i podawała mi jedną papierową serwetkę za drugą.

Księżniczka stała przede mną, czekając na moją odpowiedź. Nie miałam ochoty na nią patrzeć. Tyczka zapytał, dlaczego to zrobiła. Po dwóch minutach muzyka ucichła i podszedł do nas Mateo oraz wszyscy ci, którzy oczekiwali, że ja i Księżniczka zaczniemy się szarpać za włosy.

Przywitał się ze mną, ale nie odważył się mnie pocałować. Miał wystraszone oczy. Stopniowo, odkąd go poznałam, w jego oczach pojawiała się to spojrzenie

człowieka, który widzi, że ktoś zamierza go zabić. Może przerażało go, że narzeczona dowie się, iż spotkaliśmy się parę razy.

– Wpadłam tylko, żeby wam złożyć życzenia. Nie będę mogła przyjść na wesele – powiedziałam. – Już idę.

Laura zauważyła kobrę na sygnecie Matea i przyjrzała mu się uważniej.

Księżniczka uwiesiła się na nim.

– Nie gniewaj się na nią – powiedział Mateo. – Bardzo się denerwuje przygotowaniami.

Zrobiło się trochę jaśniej i odniosłam wrażenie, że Księżniczka ma pomarszczone powieki i twarz.

Poszłam do toalety, którą należałoby raczej nazwać kibelem, żeby umyć sobie twarz. Wielkie plamy na kurtce po wyschnięciu nie powinny być widoczne. Gdy wyszłam, czekali na mnie Laura i Tyczka z następnym skreconym jointem. Sztachnęliśmy się parę razy i powiedziałyśmy mu, że musimy już iść. Odprowadził nas do metra.

– Mateo przez całe życie będzie żałował tego, co wkrótce zrobi – powiedział Tyczka, żeby przypodobać się Laurze.

Podczas długiej jazdy do domu Laura i ja wymieniliśmy ze sobą tylko po jednym zdaniu.

– On ma taki sam – powiedziała, patrząc na mój sygnet. – Podarował ci go?

– Tak, dawno temu.

Księżniczka nie potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo jej byłam wdzięczna, jak dobrze nam zrobił ten wieczór. Była aniołem, nie wiedząc o tym.

Teraz Laura miała już znacznie więcej rzeczy do przemyślenia i z jej twarzy zniknął niepokój. Na grzbiecie dłoni miała zapisane jakieś cyfry, zapewne numer telefonu Tyczki. Po wyjściu z metra nastąpiła jeszcze jedna wymiana zdań:

– Przykro mi, że tamta ci to zrobiła.

– Całe szczęście, że tam była. Pilnie potrzebowałam trochę coca-coli na twarzy.

Zaśmiałyśmy się powściągliwie, nie zdradzając naszej tragedii.

Po wyjściu z metra Laura otuliła się futrem. Dobrze się w nim czuła. Powinno

należć do niej, ja miałam już swoją matkę.

Z zewnątrz widać było, że w domu pali się światło. Jeszcze się nie położyli.

53. LAURA WŚRÓD KWIATÓW

Gdy wróciłyśmy do domu kwiatów, jak go nazywałam w myślach, ojciec czekał na nas, oglądając telewizję. Don wyszedł, żeby nas przywitać, bo widocznie postanowili ostatecznie przenieść go do salonu. Choć aż do teraz unikałam zwracania się do ojca w jakikolwiek sposób, krąg się zacieśniał i uznałam, że jeśli nie będzie już wyjścia, najodpowiedniej będzie nazywać go po imieniu: Daniel. Verónica i on unikali całowania się na powitanie, żeby mnie nie krępować. W każdym razie wstał i podszedł do nas. Czuć było od niego piwo.

Ángel zdążył mu już opowiedzieć o wizycie Petre'a, a ja byłam wdzięczna Verónice, że nie opowiedziała mu w mojej obecności epizodu z Carol, bo skoro byłam adoptowana, on mógłby być moim ojcem. A mieć przed sobą swojego ojca, który był w dodatku ojcem Veróniki, przypominało odbycie w ciągu kilku godzin podróży na Marsa tunelem czasoprzestrzennym. Powiedziałam, że jeśli nie mają nic przeciwko temu, pójdę do łóżka.

Zdjęłam norki, które tak wiele razy miała na sobie Betty z portretu, i po cichu poprosiłam Verónicę o coś na sen. Musiałam odpocząć, zapomnieć, wrócić na ziemię i zapanować nad własnym życiem, bo po tylu latach uzależnienia od Lilí i Grety, kiedy nie robiłam nawet kroku bez ich aprobaty, teraz byłam wolna i samotna. Wszystko, co robiła Verónica i jej rodzina, nie było dla mnie, lecz dla nich, wszyscy potrzebowaliśmy uspokoić swoje sumienie i swój umysł. Jednak Lilí i Greta chciały pewnie tylko jednego – nie czuć się zagrożone. Miałam wątpliwości, czy Carol powie im, że wyznała mi prawdę o adopcji. Nie wierzyłam w to, bo skompromitowałyby się w ich oczach. Co teraz robiły? Czy nadal mnie szukały? Może najlepiej byłoby pójść się z nimi zobaczyć i powiedzieć, żeby zostawiły mnie w spokoju. Zabrałabym swoje rzeczy i pożegnałybyśmy się. Przynajmniej wiedziałam, do czego się zabrać po wstaniu. Zażądałabym od nich, żeby zostawiły tę rodzinę w spokoju i żeby nie przyszło im do głowy wysłać Bośniaka i straszyć chłopca, który nigdy nikogo nie skrzywdził. Potem zamknęłam oczy, rozmyślając o zaproszeniu od tego wysokiego przyjaciela Veróniki, Valentína, który chciał, żebym z nim poszła na wesele Matea,

i dziewczyny, która oblała Verónicę coca-colą. Miałam wątpliwości, czy pójście na to wesele nie oznaczałoby zdradzenia Veróniki.

Gdy się zbudziłam, pachniało kawą. Wzięłam szybki prysznic i nawet nie wysuszyłam włosów suszarką. Nie chciałam, żeby Verónica musiała na mnie czekać. Włożyłam to samo ubranie co poprzedniego dnia i weszłam do kuchni.

Ojciec i Ángel już wyszli.

– Muszę zarobić trochę pieniędzy – powiedziałam Verónice, która kończyła jeść śniadanie.

Zrobiłam sobie herbatę i zjadłam jabłko, małymi kęsami, bez apetytu.

– Wczoraj wieczorem myślałam o tym, żeby pójść zobaczyć się ze swoją... z Lilí i Gretą. Muszę zabrać swoje ubrania, książki, dokumenty, muszę podjąć pieniądze z banku, nie mam dużo, ale nie mogę być dla was ciężarem.

– Wybij to sobie z głowy. Jeszcze się nie zorientowałaś, w co jesteś wplątana? Tym lepiej dla ciebie. I nie martw się o pieniądze. Mama pomyślała o tym.

Verónica też miała o czym myśleć w nocy i powiedziała, że musimy porozmawiać z Aną. Ana towarzyszyła jej matce w klinice położniczej Los Milagros, kiedy podobno się urodziłam. Verónica zakładała, że wiem, gdzie ona mieszka, ale to Ana zawsze przychodziła do naszego domu. Greta, z tego, co wiedziałam, nie chodziła do niej. Wydawało się, że stanowi część przyrody, jest taka, jaką ją widzimy, jak chmura, drzewo, ptak. Wtedy Verónica pokazała mi paragony z supermarketu, które pewnego dnia znalazła w kieszeni zakietu Any.

– Musi mieszkać w pobliżu. Na pewno robi w nim codzienne zakupy – powiedziała. – Wystarczy tam pójść i spróbować ją namierzyć. Poza tym ma psa, a ludzie bardzo zwracają uwagę na psy.

W obecnej sytuacji Ana na pewno podejrzewała, że już zdołaliśmy ją powiązać z obydwoma rodzinami. Verónica uważała za mało prawdopodobne, żeby tu przyszła, chociaż na pewno miała ochotę zobaczyć się z Danielem – dziewczyna była przekonana, że gdyby Ana potrafiła, odbiłaby go Betty.

Supermarket był mały i stał naprzeciw parku Retiro, do którego Ana pewnie zabierała psa, żeby sobie pobiegał. Musiałyśmy zapytać o psa, ale kogo? Trzeba było

uważać, żeby nie palnąć gafy, bo gdybyśmy zapytały niewłaściwą osobę, która ostrzegłaby Anę, mogłybyśmy stracić ją z oczu na zawsze. Wyczuwałyśmy jej obecność, wyobrażałyśmy sobie, jak idzie do supermarketu, wyobrażałyśmy sobie, jak wyprowadza Gusa na spacer. Wyobrażałyśmy sobie, jak gawędzi z jakimś sąsiadem. Zupełnie tak, jakbyśmy ją widziały, ale nie przyszło nam do głowy nic, co pomogłoby ją znaleźć. Co za rozpacz. Wymykała nam się spod palców. Wtedy przypomniało mi się, jak analizowałam klientów sklepu obuwniczego. Lili nauczyła mnie nie kierować się pozorami, wykrywać pieniądze kryjące się za twarzami i za wyglądem, chociaż najwyraźniej nie była zbyt dobrą nauczycielką, bo nie udało mi się zdemaskować jej samej.

Wykluczyłyśmy pracowników supermarketu, którzy przekazywaliby nasze pytanie jedni drugim, aż dowiedziałyby się o tym sama Ana, oraz dozorców pobliskich domów, starych wyjadaczy przyzwyczajonych do nieudzielania ważnych informacji. Wykluczyłyśmy również młodych ludzi, tak pochłoniętych własnymi sprawami, którzy nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje. Także menedżerów, którzy spędzają cały dzień poza domem. Powinnyśmy zagadnąć małżeństwo emerytów sprawiających wrażenie, jakby całe życie mieszkali w tej dzielnicy.

Wyszli z supermarketu i ruszyli przed siebie ulicą. Szli powoli, rozmawiając. On bawił się trzymanymi w rękę kluczami, widocznie dom był blisko. Ona również nosiła norki, więc ucieszyłam się, że je włożyłam, ponieważ spotkanie z kimś tak samo ubranym wzbudziłoby w niej zaufanie. Powiedziałam Verónice, żeby została z tyłu, oglądając jakąś wystawę, cokolwiek, bo jej skórzana kurtka nie spodoba się tej kobiecie.

Gdy już mieli otworzyć bramę, podeszłam do nich z uśmiechem. Moja nieco zaokrąglona twarz, włosy wpadające w blond, oczy koloru nieba i norki gwarantowały ponad wszelką wątpliwość, że mnie wysłuchają i spróbują mi pomóc.

Powiedziałam im nieśmiało, że jestem siostrzenicą pewnej pani, która ma na imię Ana, jest wysoka, dystyngowana i ma kudłatego psa wabiącego się Gus. Zgubiłam dokładny adres i teraz strasznie mi wstyd. Nie chcę, żeby się dowiedziała. Przyleciałam rano z Nowego Jorku i od razu po zostawieniu bagaży w hotelu przybiegłam, żeby się z nią przywitać.

– Ta pani mieszka dwa domy dalej – powiedziała kobieta. – Zawsze ją widzę, jak wyprowadza psa do parku.

Była zadowolona, że mi pomogła, że potrafiła odpowiedzieć na moje pytanie. W sklepie obuwniczym nauczyłam się także, że nie jest ważne, co się mówi. Równie dobrze mogłam powiedzieć, że przyleciałam z Księżyca i na jedno by wyszło, bo nikt nie słucha wszystkiego. Liczy się tylko ton głosu i ogólny wygląd.

– Dziękuję, uratowała mi pani życie – powiedziałam, gdy wchodzili do bramy.

Dwa domy dalej nie wiedziałyśmy, co robić. Był to jeden z niewielu niskich domów w tej okolicy, rzadkość, która musiała kosztować krocie.

Zadzwończyłyśmy do drzwi. Postawiłam kołnierz futra i odwróciłam się plecami do wideodomofonu. Dzięki temu zobaczyłaby kogoś, ale nie rozpoznałaby mnie.

Ostrożność okazała się niepotrzebna, bo otworzyła nam gosposia w różowym uniformie. Za nią, w głębi, widać było wieczną zielenią ogrodu.

– Proszę powiedzieć pani, że przyszły jej bratanice – powiedziałyśmy i wśliznęłyśmy się do środka, zanim zdążyła zareagować.

– Proszę, zaczekajcie tutaj – powiedziała, uprzedzając nas, żebyśmy za nią nie szły.

Ale poszłyśmy. Gosposia zaczęła się niepokoić.

– Powiedziałam, żebyście poczekały.

– Nam można zaufać – powiedziała Verónica. – Znamy ją całe życie i chcemy jej zrobić niespodziankę.

– Nieważne, kim jesteście, nie możecie wejść bez pozwolenia.

– Proszę zrzucić winę na nas – powiedziałam z uśmiechem, który jeszcze bardziej ją zaniepokoił.

Stanęła jak wryta. Nie zamierzała iść dalej.

– Niech pani nie będzie głupia, myśli pani, że panią za to wyrzuci? – zapytałam.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Kiedy się dowie, jak nas potraktowałaś, dopiero się wkurzy – odezwała się Verónica tym swoim głosem jak spod ziemi – więc zasuway naprzód.

– Myślisz, że się ciebie boję? – odcięła się gosposia.

– Ona nie chciała tego powiedzieć – wtrąciłam się. – Chodzi o to, że nasz samolot odlatuje za trzy godziny, a musimy przekazać Anie bardzo ważną wiadomość.

– Trzeba było od tego zacząć.

Miała na sobie buty pielęgniarki, które nie hałasowały na podeście. Szliśmy jakieś trzysta metrów wzdłuż tropikalnych roślin, tajlandzkich mebli, łóżek z moskitierami, kanap i ogromnych klatek z ptakami. Aż wreszcie wylądowałyśmy obok przeszklonego basenu, gdzie musiałyśmy zdjąć futro i kurtkę. Ana wyszła z wody, a gosposia owinęła ją kilometrowej długości ręcznikiem z metrowym włosiem.

Wpadła w popłoch na nasz widok.

– Cześć – powiedziała Verónica.

Ja nie mogłam z siebie wydusić słowa. Ona też nie, tylko wycierała sobie włosy rogiem ogromnego ręcznika.

– Przepraszam – usprawiedliwiła się gosposia. – Mówiłam im, że nie wolno wchodzić. Zna je pani?

– Dziękuję, Asun. Podaj nam herbatę.

Owinęła sobie ręcznik wokół klatki piersiowej i usiadła na leżaku.

– Gdzie Gus? – spytała Verónica.

Ana nie odpowiedziała, kombinowała, jak wyjść z tego ślepego zaułka.

– No dobrze, 12 lipca 1975 roku zawiozłaś moją matkę do kliniki Los Milagros na porodówkę. Co się stało z dziewczynką, która się urodziła? – spytała Verónica agresywnym tonem.

Ja próbowałam się uspokoić, kontrolując oddech.

– Przecież wiesz, zmarła przy narodzinach.

– Skoro urodziła się martwa, jak to się stało, że jest teraz tutaj? – zapytała Verónica, wskazując na mnie.

– Nie opowiadaj głupstw – powiedziała Ana. – Betty dostała obsesji, a ty idziesz w jej ślady.

– Testy, które mi zrobiono, dowiodły, że jestem jej siostrą – powiedziałam, wbijając sobie paznokcie w rękę, żeby zapanować nad sobą, jak wtedy, gdy zdawałam

egzamin z baletu.

Verónica słuchała mnie przez sekundę z takim samym zdziwieniem na twarzy jak Ana.

– I, jak już pewnie wiesz – dodała Verónica – zabrałyśmy księgę rejestracji urodzeń i zgonów z kliniki, a w niej pod dniem i dokładną godziną urodzenia Laury figuruje jedynie zgon pewnej dziewczynki, która nie może być nikim innym, jak tylko córką twojej przyjaciółki Betty.

– Oszalałyście.

– Nie, to są dowody – powiedziała Verónica.

Ana zamierzała się odezwać, ale Verónica nie dopuściła jej do głosu.

– Ktoś nam powiedział, że jesteś zamieszana, mocno zamieszana, w nielegalną adopcję Laury. Ile ci zapłacili?

– Wynoście się z mojego domu!

– Wiesz, kto nam o tym powiedział?

Popatrzyła na nas ni to z przerażeniem, ni to z zuchwałością.

– Carol – wyjaśniła jej Verónica. – Carol mówi, że ty przeprowadziłaś operację zabrania dziewczynki mojej matce i przekazania jej Grecie. I to samo, co powiedziała nam, może powiedzieć policji, sędziemu.

Nagle gosposia, której kroków nie było słychać, znalazła się wśród nas, stawiając marokański serwis do herbaty na tekowym stoliku.

– Asun, proszę, wyjdź – poleciła jej Ana, gdy zobaczyła, że podnosi czajniczek, żeby nalać herbatę.

Gdy tylko odeszła, Ana zwróciła się do nas:

– Nie możecie niczego udowodnić. Słowo Carol przeciwko mojemu.

– Rejestr z kliniki sprzeczny z aktami stanu cywilnego, na cmentarzu brak pochówku dziewczynki, która figuruje w rejestrze zgonów, fakt, że byłaś jedyną osobą, która towarzyszyła mojej matce podczas porodu, zeznanie Carol. Gdyby moja matka żyła, nigdy byśmy tego nie odkryły, bo nigdy by cię nie podejrzewała.

Ana kręciła przecząco głową. Wzięła papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się tak głęboko, że dym musiał jej dotrzeć do stóp. Ja czułam się bardziej odprężona, jakby

ten dym przeszedł także przeze mnie. To towarzystwo Veróniki, jej wsparcie i pogarda, z jaką patrzyła na Anę, dodawały mi sił.

– Nie ma już odwrotu – powiedziałam. – Krzywda została już wyrządzona, zadowolę się informacją, co się wydarzyło, jak przeszłam z rąk do rąk.

– Ja nic nie wiem. Zostawiłam tam twoją matkę i poszłam.

– Tak, poszłaś dotrzymać towarzystwa Grecie, nowej matce Laury.

Verónica też zapaliła papierosa i przykucnęła obok niej.

– Znałaś każdy krok, jaki robiła moja matka, szukając Laury. Ostrzegałaś Gretę i Lilí. Nigdy mi się do końca nie podobałaś. I wiesz, co? Nie podobasz się mojemu ojcu i nigdy w życiu nie zdołasz mu się spodobać. Nigdy nie powiedział o tobie niczego dobrego.

– Nie denerwuj się tak, Verónico, może to nie ona, może to była położna, która opiekowała się nią tamtej nocy – powiedziałam, patrząc na Anę. – Jak się nazywała? Koniec końców możemy o tobie zapomnieć, jeśli istnieje ktoś odpowiedzialny z kliniki, kto przekazał mnie komuś innemu niż moja matka i sfałszował rejestr.

– Pewnie – powiedziała Verónica – ale jak jest winna, to jest winna. Jutro pójdziemy z tym wszystkim na komisariat.

Dało się słyszeć szczekanie Gusa. Wyczuł nas już przy wejściu i zjawił się, ni to idąc, ni to biegnąc. Rzucił się na nas całym ciężarem swoich lat. Pamiętał mnie z czasów, kiedy byłam mała i na Boże Narodzenie przychodzili na kolację Alberto I i Alberto II, rodzina Carol i biedna Sagrario, której sposób patrzenia na mnie i mówienia do mnie teraz rozumiałam. Przypominałam sobie, jaka byłam szczęśliwa, widząc dom pełen ludzi, czując ich ciepło. Gus poznał nas, Verónicę i mnie, w różnych domach i w różnych rodzinach, ale dla niego to się nie liczyło. W głowie Gusa co innego było ważnymi szczegółami.

Ana poprawiła sobie ręcznik pod ramieniem i poszła w kierunku wejścia do tej świątyni dobrobytu. Ależ wspaniale sobie żyła. Wszystko było w kolorze kremowym. Jednak nie zdążyła na czas, bo zanim zdołała temu zapobiec, weszła dziewczyna mniej więcej w wieku Veróniki, o skośnych, bardzo czarnych oczach, tak samo jak włosy, śniadej skórze, lekko fioletowych wargach... Brakowało jej tylko kropki na

czole, żeby była Hinduską. Niosła pod pachą kilka książek, a w drugiej ręce trzymała kotka. Przeszła boso po kremowym kolorze, który zdawał się ją obejmować. Nie można było sobie wyobrazić kogoś piękniejszego. Osłupialiśmy na moment, patrząc na nią. Ana była spięta.

– Cześć, mamó – powiedziała z uśmiechem, upuszczając kilka książek na tekowy stolik. Pocałowała ją. – Zobacz, jakie cudo znalazłam na ulicy.

Potem odwróciła się w naszą stronę, niewinna, czysta, prostoduszna, urocza.

– Cześć – powiedziała. – Jestem Sara.

Przedstawiłyśmy się: Laura i Verónica.

– Są córkami moich przyjaciółek.

Sara zdjęła spodnie, bluzkę, stanik, rozebrała się do naga i rzuciła się do wody. Prześlizgiwała się w niej.

– Nie wiedziałam, że masz córkę. Ty wiedziałas, Lauro?

Pokręciłam przecząco głową.

– Jej ojcem jest twój tajlandzki kochanek, ten, o którym opowiadałaś mojej matce, żeby ją zabawić? – zapytała Verónica.

– Nie mieszajcie do tego Sary. Ona nie jest niczemu winna.

– Za to ty tak! – odparła Verónica, podnosząc głos.

Sara miała idealne ciało, tak jak idealny był dom i świat Any.

– Zaczekajcie na mnie w restauracji na rogu. Zaraz tam przyjdę, tylko się przebiorę.

Chyba śniła na jawie: zważywszy, ile trudu kosztowało nas odnalezienie jej, nie zamierzałyśmy wyjść z jej świątyni po dobroci.

– Zaczekamy na ciebie tutaj – powiedziałam, naśladując zły humor Veróniki.

Ana popatrzyła na córkę, wahając się, czy pójść, czy zostać. Trzeciej możliwości nie miała. Verónica podeszła do niej, wbijając w nią wzrok, jakby chciała ją przeszyć na wylot.

– I powiedz tej Lilí, żeby więcej nie wysyłała Bośniaka do mojego domu. Mój dom jest nietykalny, znacznie bardziej nietykalny niż twoja córka, zrozumiałaś?

54. VERÓNICA I NIENAWIŚĆ

Gdy do niej mówiłam, zgrzytały mi zęby, jakbym miała ziemię w ustach. Bardzo się wysilałam, żeby nad sobą zapanować i jej nie uderzyć. Z całego serca pragnęłam zostawić odcisk buta na jej białym ręczniku. Zabiłabym ją bez wyrzutów sumienia. Zabiłabym ją, pozbyłabym się ciała i nie miałabym żadnego poczucia winy, bo nadal bym jej nienawidziła. Aż do teraz nigdy nie czułam tak czystej nienawiści, tak wyraźnej pogardy do innej istoty ludzkiej. Ana zdołała obudzić we mnie prawdziwego potwora i od teraz wiedziałam, że będzie mógł się budzić, pragnąc robić przerażające rzeczy. Zauważyłam jakąś nieznaną siłę, która schodziła od głowy do palców u nóg i pozbawiała mnie strachu, sprawiała, że byłam niepokonana. Od tego momentu, ilekroć zechciałam pokonać wszystkie przeszkody, zwyciężyć samą siebie i czuć przewagę nad innymi, musiałam nienawidzić. To była najkrótsza droga. Rozumiałam teraz, dlaczego w czasie wojen niektóre osoby potrafiły się wykazywać tak wielką odwagą. Z nienawiści. Nienawiść w jednej chwili eliminuje wszelkie słabości. A skąd brali się ludzie, którzy mordowali i dobrze to znosili? Z nienawiści. Teraz Ana nie mogła mi nic zrobić, bo jej nienawidziłam. Nienawidziłam również jej ulubionych kolorów: beżowego i kremowego. Nienawidziłam łamanych kształtów tego domu, jasnych przestrzeni, etnicznych mebli, skrajnej czystości. Ana znajdowała się naprzeciw mnie, ze swoim idealnym ciałem owiniętym w ręcznik, na tyle zachowując zimną krew, że nalała sobie herbaty i wypła ją. Ani Laura, ani ja nie tknęłyśmy naszych filiżanek. Córka Any, niespodzianka dnia, była szczęśliwa, znacznie szczęśliwsza niż my. Nie nienawidziłam jej, ani nie było mi jej żal; była mi obojętna. Na stole zostawiła kilka podręczników do pierwszego roku turystyki.

Zobaczyłyśmy, jak się wyciera i ubiera. Poprosiła nas, żebyśmy zostały na obiedzie z nią i jej matką. Uwielbiały przyjmować gości. Ana pojawiła się w rekordowym tempie, ubrana w swoje tradycyjne piaskowe odcienie, i poprosiła córkę, żeby nie nalegała. Innym razem, powiedziała, bo dzisiaj musimy rozwiązać pewne problemy zawodowe. To słowo było kluczem. Laura i ja byłyśmy dla Any sprawą zawodową, nie chodziło o nic osobistego.

W miarę jak upływały minuty, czytałam w Anie jak w otwartej księdze. Udało jej się mieć wygodne życie kosztem takich ludzi jak my. Lilí i Greta kupiły od niej Laure. Zrobiła dobry interes, jeśli sędzić po trybie życia, jaki prowadziła.

Powiedziałam jej to, gdy siedzieliśmy w tamtej kawiarni, w której kelnerzy traktowali ją z szacunkiem.

– Oddaj mi zdjęcie Laury, które zabrałaś z teczki z krokodylej skóry tamtego popołudnia, gdy byłaś sama w domu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ty wiesz i ja wiem. Oszukiwałaś nas na wszystkie możliwe sposoby. Pójdiesz do więzienia – powiedziałam.

– A to dlaczego? Jedyne, co macie, to podejrzenia. Podejrzenia, domysły, wątpliwości pomieszane z waszą osobistą tragedią.

– Pójdiesz, dlatego że wbiłam to sobie do głowy.

– Zwariowałaś. To są wymysły.

– Nie mów tak do niej! – powiedziała Laura, czerwona na twarzy ze złości i wstydu. – Nie zwariowała ani Betty, ani ona, ani ja. Możesz pójść do doktora Montalvo i powiedzieć, że złożymy mu wizytę. Chętnie bym się dowiedziała, co za gównno mi dawał w domu Lilí.

– Nie mamy czasu do końca świata, droga Ano. Dlatego, jeśli nie powiesz nam czegoś, co nas przekona, wrócimy z tobą do domu i utniemy sobie pogawędkę z Sarą.

– Nie uwierzy wam.

– Wszystko jedno. Rozpowszechnimy tę historię. Wszyscy się o niej dowiedzą. Jedni uwierzą, inni nie. Ale możesz już sobie wyobrazić, co cię czeka.

Popatrzyła na prawo i lewo, jakby szukając natchnienia, i splotła swoje eleganckie dłonie pod brodą.

– Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Towarzyszyłam Betty i tyle, ale później dowiedziałam się, że położna, niejaka siostra Rebeca, nie jest zbyt uczciwa.

– Nie być zbyt uczciwą to powiedzieć matce, że jej córka urodziła się martwa i sprzedać ją? – zapytała Laura, której już nie wyobrażałam sobie w roli osoby tak chętnie prowadzącej interes doñi Lilí.

– Powiedziane w taki sposób, brzmi...

– Brzmi źle, prawda? – przerwałam jej. – Rób, co chcesz, chociaż wydaje mi się, że nie wyjdzie ci na zdrowie, jeśli będziesz za dużo rozmawiała ze swoimi przyjaciółmi, bo obciążą cię tak samo, jak zrobiła to Carol.

55. LAURO, ZWARIOWAŁAŚ?

Gdy wróciliśmy do domu po pełnym napięcia spotkaniu z Aną, które było kolejnym dowodem świadczącym o tym, że nie zwariowałyśmy, na automatycznej sekretarce czekała na mnie wiadomość od chłopaka z lokalu prób, którego Verónica nazywała Tyczką, a który naprawdę miał na imię Valentín, co przypominało mi, że już od ponad miesiąca nie rozmawiałam z Pascuałem i z każdym mijającym dniem miałam mniejszą ochotę opowiadać mu, co mi się przytrafia, głównie dlatego, że początkowo by w to nie uwierzył. Wydawało mu się, że skoro pracuje w laboratorium z próbkami, musi wątpić we wszystko, co brzmi dziwnie. Zawsze podziwiałam jego życie w Paryżu, jego stypendium, jego świetlaną przyszłość i byłam bardzo dumna, że zwrócił na mnie uwagę. Jednak prawda wyglądała tak, że ostatnio mijały dni i tygodnie, podczas których nie pamiętałam o jego istnieniu, zwłaszcza odkąd byłam tak głęboko pochłonięta własnym życiem. Nigdy wcześniej nie byłam taka ważna dla siebie samej, ważniejsza od Pascuala, od Lilí, od Grety i od całego świata. Matka, która wydała mnie na świat, nie wydała mnie na świat. Moja babcia nie była moją babcią, sklep, który miałam odziedziczyć, już nie będzie mój. Wszystko, co wydawało mi się moje, nie należało do mnie. Moja kuzynka Carol nie była moją kuzynką, a Alberto I i Alberto II nie byli dla mnie rodziną. Ana nie była kimś, za kogo ją uważałam. Mogłam być pewna tylko siebie i tego, co umiem robić: tańczyć, udzielać lekcji, sprzedawać. Prawda niszczyła mój świat, ale nie mnie. Już nie musiałam dogadzać Lilí, a jedyną rzeczą, którą musiałam wiedzieć, było to, co ja sama chcę robić.

Valentín, ta nowa istota, która pojawiła się w moim nowym życiu, poprosił mnie, żebym poszła z nim na wesele Matea, co oznaczałoby zdradzenie Veróniki, osoby, którą los wybrał, żeby poprowadziła mnie przez mroczną jaskinię, do której nigdy bym nie weszła z własnej woli. Verónice przypadła w udziale brudna robota polegająca na wyciągnięciu mnie z mojego własnego życia, nieskończenie bardziej uciążliwa niż wyciągnięcie kogoś z ciemnej studni albo z płonącego domu. Zaryzykowała, że się pomyli i że ją znienawidzę za pozbawienie mnie

bezpieczeństwa, miłości, pieniędzy, dachu nad głową i przeszłości, w którą tylko ja wierzyłam. Nie zrobiła tego dla mnie, zrobiła to, żeby wynagrodzić swojej matce przykre chwile, które przeżyła przez tę sprawę. W każdym razie była jedyną osobą, którą mogłam szanować, więc postanowiłam powiedzieć Valentínowi, żeby na mnie nie liczył, ale Verónica zachęciła mnie do pójścia, powiedziała mi, że Mateo może robić, co mu się żywnie podoba i że ona wykorzysta okazję, aby odwiedzić kilku klientów. Powiedziała mi też, że jestem zbyt afektowana i przezorna, że powinnam być bardziej szorstka i częściej się wkurzać, bo inaczej inni będą mnie mieli w dupie. Byłam pewna, że mówi w ten sposób, żeby mnie do siebie zrazić i żebym się nad nią nie użalała. Dodała, że nie muszę się starać podobać się wszystkim, bo nie wszyscy na to zasługują.

Miałam dwa lata więcej od niej, choć ona wydawała się starsza, ale w gruncie rzeczy to ja cierpiałam, to ja zostałam porwana, sprzedana po urodzeniu i oszukiwana aż do dzisiaj.

Włożyłam sukienkę Betty z zielonego aksamitu, którą Verónica zachowała razem z resztą ubrań. Ponieważ była na mnie sporo za szeroka, przewiązałam ją w pasie wstążką. Strój uzupełniały czarne pończochy Veróniki i najbardziej reprezentacyjne buty, jakie miała. Zrobiłam sobie makijaż. Usta pomalowałam na czerwono połówką szminki Yves Saint Laurent, która przypomniała mi o tych, które dostawałam w prezencie od Any.

Uroczystość odbyła się w pustelni w pobliżu wiejskiej posiadłości, w której mieli zamieszkać, pięćdziesiąt kilometrów od Madrytu. Ona wyglądała cudownie, ale postanowiłam, że nigdy tego nie powiem Verónice. Powiem jej, że Valentín zagadywał mnie przez całą uroczystość i dobrze się nie przyjrzałam. Chociaż początkowo nie będzie mnie pytała, przekonana, że Mateo już ją nie obchodzi, potem na pewno ciekawość nie da jej spokoju i w końcu poruszy ten temat.

Przyjęcie odbyło się w samej posiadłości. Były tam traktory, kury, ogród warzywny i śliczny koń w zagrodzie. Ich dzieci z pewnością będą tam niesamowicie szczęśliwe. Potem zespół grał przez całą noc, a Valentín i ja poszliśmy się przejść po polach, patrząc w niebo. Żadne z nas nic nie wiedziało o gwiazdach, rozpoznaliśmy tylko Wielką Niedźwiedzicę i Wielki Wóz. Powietrze było tak czyste, że serce

zaczęło mi szybciej bić. Ależ miałam szczęście, mogąc tam być w tę bezksiężycową noc. Pocałowaliśmy się. Pocałunek był długi i wszystko zmienił. Od tej chwili Valentín wchodził w moje życie.

Wróciłam około dwunastej następnego dnia. Mój poprzedni dom, w którym były wszystkie moje rzeczy, stawał się coraz odleglejszy, a ten nowy, w którym wszystko było pożyczone, coraz bliższy. Don skoczył na mnie, żeby się przywitać. W domu był tylko Ángel i robił sobie kanapkę. Nie wiedział, gdzie się podziewa Verónica. Pewnie odwiedza klientów, powiedział.

Przyjrzał mi się uważnie. Nie potrafiłam ukryć, jak bardzo jestem zadowolona, do tego stopnia, że od czasu do czasu wysilałam się, żeby przypomnieć sobie o swoim dramacie, i koncentrowałam się na teraźniejszości. Wiedziałam, że powinnam coś zjeść, ale nie byłam głodna. Myślę, że po raz pierwszy spojrzałam na Ángela z uśmiechem.

– Cieszę się, że jesteś weselsza.

Rano Daniel uparł się, że zawiezie go do liceum taksówką, ale teraz pracował – nie miał wyjścia. Dlatego uparłam się, że ja go odprowadzę, idąc na spacer z Donem, a potem przyjdę po niego, jeśli nie ma nic przeciwko temu. Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Chyba zapowiadało się kilka dziwnych dni.

Czułam się odpowiedzialna za Ángela. Nie było powodu, żeby był kozłem ofiarnym, płacąc za tak wielki egoizm. Nie ponosił winy za to, co mi się przydarzyło, chociaż to samo można było powiedzieć o mnie.

Ángel szedł koło mnie, dostosowując się do mojego kroku i pozwalając, żeby ręce i nogi tańczyły do woli w ubraniu, które zawsze wydawało się trzy czy cztery numery na niego za duże, jakby miał nadzieję, że pewnego dnia je wypełni.

Po powrocie otworzyłam drzwi i poczułam się bardzo dziwnie. Po raz pierwszy znalazłam się sama w tym pożyczonym domu, domu, który mógł być mój. Don wzbraniał się przed wejściem, chciał jeszcze trochę pobiegać, ale w końcu ustąpił, położył się na swoim kocu z głową na jednej łapie i zaczął mi się przyglądać z obrażoną miną. Był jak dziecko. Jego celem była zabawa, cieszenie się swoją zwinnością, dogadzanie sobie i bycie szczęśliwym. Z pewnością ja także byłam

kiedyś taka jak Don. Nawet pod czujnym spojrzeniem Lilí biegałam, bawiłam się i wyobrażałam sobie, że jestem gdzieś indziej.

Czułam pewną obawę przed zapuszczeniem się w głąb tego domu i starałam się nie wchodzić do pokoi. Betty obserwowała mnie z portretu, a Don z koca. Dlatego zabrałam się do sprzątnięcia kuchni i ścierania kurzu w salonie. Spróbowałam usunąć z mahoniowego stołu kółko pozostawione przez szklanę. To wszystko spodobałoby się Betty. Chociaż nie powinnam była tego robić, otworzyłam lodówkę i nałożyłam do miski Dona wyschnięte spaghetti, które zostało z poprzedniego wieczoru. W tym domu królowało spaghetti z sosem pomidorowym – czysta trucizna dla baletnicy.

Zaczęłam robić ćwiczenia rozciągające, gdy zadzwonił telefon. To była Verónica. Miała mi coś do powiedzenia i czekała na mnie na dworcu Atocha.

Don zastrzygł uszami, widząc, że wkładam futro. Już nie mogłam pójść po Ángela.

56. VERÓNICA I SIOSTRA REBECA

Siostra Rebeca odeszła na emeryturę i zamieszkała w domu starców w Guadalajarze prowadzonym przez jej zgromadzenie, więc wsiadłam do kolejki podmiejskiej i zdrzemnąłam się, rozmyślając o swojej matce i o tym, jak paskudnie obeszło się z nią życie, jak niewiele możliwości jej dało. Dlatego ja zamierzałam pójść na rozsądne ustępstwa wobec życia.

Był to klasztor zmodernizowany w środku, z kaloryferami do centralnego ogrzewania i podjazdami dla wózków inwalidzkich. Pośrodku znajdował się dziedziniec z fontanną, gęsto obsadzony roślinami. Musiało się tam całkiem nieźle mieszkać. Wykorzystałam imię dyrektorki dawnej szkoły Laury, siostry Esperanzy, żeby się z nią spotkać. Powiedziałam jej, że wysłała mnie, żebym ją pozdrowiła, bo sama ma bardzo dużo pracy w szkole.

– Więc nadal jest aktywna zawodowo? Co za kobieta! Zawsze w służbie bliźnim.

Siostra Rebeca miała surowe spojrzenie, surowy głos, zaciśnięte szczęki i twarz osoby, która cierpiała lub przysparzała cierpień innym. Chytre oczy patrzyły na mnie spomiędzy fałdów skóry. Musiała wiedzieć wszystko o oszukiwaniu i chociaż cieszyłaby się na myśl, że za tymi murami są ludzie, którzy o niej pamiętają, nie do końca w to wierzyła. Siedziała na wózku na nasłonecznionym krużganku z kwiatami w ogromnych donicach, razem z innymi staruszkami również na wózkach. Młoda siostrzyczka, która mnie do niej zaprowadziła, powiedziała, że siostra Rebeca ma kłopoty z nogami, ale z jej głową jest wszystko w porządku.

Siostra Rebeca zapytała mnie, jak mam na imię. Przykucnęłam obok niej, przyjmując pozę wyrażającą szacunek i uległość.

– Verónica.

Zapytała, ile mam lat.

– Siedemnaście.

Zapytała, czy siostrze Esperanzy bardzo dokucza wątroba.

Odpowiedziałam, że jeśli się źle czuje, dobrze to ukrywa, bo pracuje bez wytchnienia przez cały dzień, i pomyślałam, że trzeba było zabrać Laurę na ten

wywiad, bo ona znalazłaby wszystkie odpowiedzi, ale z drugiej strony obecność dwóch osób być może wystraszyłaby siostrę Rebecę.

Popatrzyła na mnie, jeszcze bardziej mrużąc oczy, jakby zmniejszone w ten sposób mogły przeniknąć do mojego mózgu.

– Mówi się, że szkoła ma problemy finansowe.

– Placówki religijne mają coraz większe trudności z utrzymaniem się na powierzchni – odparłam, próbując nie palnąć gafy.

Westchnęła z niezadowoleniem.

– Nie wiemy, jak to się dla nas skończy. Powiedz siostrze Esperanzy, że ja też często ją wspominam i że prawie całe dni spędzam sama. Nie skarżę się, bo Pan Bóg wie, co robi.

Znów przyjrzała mi się uważnie. Trzymała ręce skrzyżowane na habicie, a jedna lekko jej drżała.

– Przynieś sobie stamtąd krzesło.

Przyglądała się, jak odchodzę i wracam. Zdjęłam wcześniej kurtkę i wyciągnęłam spodnie na botki, żeby wzbudzić w niej większe zaufanie.

– Czemu wysłała akurat ciebie? – zapytała, gdy siadałam.

– Od czasu do czasu załatwiam dla niej różne sprawy, zwłaszcza odkąd zaczęłam studiować.

– Potrzebujesz pieniędzy.

Skinęłam potakująco głową.

– Siostra Esperanza bardziej niż o wątrobę martwi się o swojego bratanka – powiedziałam.

Jej oczy poruszyły się niespokojnie, próbując powiązać siostrę Esperanzę z jakimś bratankiem. Chwilowo wyczekiwały. Już nie miałam wrażenia, że rozmawiam ze staruszką wygrzewającą się na słońcu. Musiałam bardzo uważać, żeby nie wejść na minę.

– Chodzi o to, że ożenił się ze wspaniałą dziewczyną, ale nie mogą mieć dzieci.

– Aha – powiedziała, jakby nagle zrozumiała, po co do niej przyszłam. – I powiedziała ci, żebyś mi o tym opowiedziała?

- Nie wie, co robić. Biedacy musieliby czekać latami na adopcję.
- Wielka szkoda. Dzieci są błogosławieństwem. Masz chłopaka?
- Miałam – odpowiedziałam. – Właśnie ożenił się z inną. Była w ciąży.

Ponieważ to była prawda, zadrżał mi głos, gdy to mówiłam, a ostatnie słowo zamarło mi na wargach. Siostra Rebeca uniosła rękę i położyła ją na moich dłoniach. Dłoń była dość zimna, ale wolałam to, niż gdyby była ciepła.

- Będą inni, nie martw się. Chętnie bym wstała i przespacerowała się po atrium.

Pomogłam jej wstać i zaczęłyśmy iść powolutku. Była niższa ode mnie i dość chuda. Oceniłam, że gdyby zemdląca, dałabym radę ją podtrzymać. Chodzenie w tym tempie doprowadzało mnie do rozpaczy, ale było warto. Ona wykorzystywała mnie, a ja ją.

Powiedziała po cichu:

- Siostra Adelina jest bardzo dobra, ale leniwa. Spaceruje ze mną przez pięć minut i już ma coś innego do zrobienia.

Uznałam, że rozsądniej będzie nie komentować tego w żaden sposób.

Chodziłyśmy przez niekończący się kwadrans. Siostra Rebeca opowiadała o osobach z klasztoru, których ja nie znałam, o czasach, gdy nikt nie wymigiwał się od pracy.

- A w szpitalu? Siostra Esperanza mówi, że była siostra położną.

– Odebrałam mnóstwo porodów. Miałam bardzo dobrą rękę. Przy mnie żadne dziecko nie urodziło się sine, żadne nie udusiło się pępowiną.

- Tak właśnie mówi siostra Esperanza.

Wracając w stronę wózka, pograżyłyśmy się na kilka minut w milczeniu. W tym czasie siostra Rebeca najwyraźniej się zastanawiała.

- Jak ma na imię ten bratanek?

- Wydaje mi się, że Gabriel. Ona mówi na niego Gabi.

- A jego żona?

- Sofia, Sofi.

- Gdzie pracują? Jakie życie prowadzą? – zapytała, opadając na wózek.

Trzymałam ją mocno za rękę, żeby się nie zsunęła.

– Siostra Esperanza opowiadała mi, że to chłopak z wielką przyszłością. Jest chyba z niego bardzo dumna. Ma bardzo dobrą posadę w międzynarodowej korporacji. Jego żona daje prywatne lekcje języków obcych. Mają bardzo ładny dom. U nich dziecko byłoby bardzo szczęśliwe.

– Gdzie mają ten dom?

– Nie wiem, nie powiedziała mi.

– Siostra Esperanza powinna porozmawiać ze mną osobiście. Nie widziałyśmy się od bardzo dawna.

– Ona woli, żeby porozmawiała siostra najpierw ze mną, a później ona siostrę odwiedzi. Jak siostra uważa?

– Okoliczności się zmieniły, ja jestem już na emeryturze, ale znam kogoś, kto być może mógłby wam pomóc. Chodź ze mną do mojego pokoju.

Znowu przejście trzydziestu metrów zabrało nam pół godziny. Siostra Adelina, młoda zakonnica, pomachała do nas, zachwycona, że dzięki mnie ma z głowy siostrę Rebecę.

W pokoju dawna położna usiadła na łóżku. Było zwrócone w stronę okna wychodzącego na nasłoneczniony krużganek, który ona nazywała atrium. Właśnie stamtąd przyszłyśmy. Przy drzwiach stało drugie łóżko, bez takiego widoku.

– Otwórz tamtą szufladę – powiedziała, wskazując na komodę – i podaj mi notes i długopis.

Podalam jej.

Wyrwała kartkę i zanotowała lekko drżącą ręką jakieś nazwisko i numer telefonu. Ta operacja zajęła jej całe wieki. Starość jest naprawdę straszna, ale także dzieciństwo, gdy jest się w stu procentach uzależnionym od cudzej miłości.

– Musi tylko zadzwonić, powołując się na mnie, i powiedzieć im, że ucieszyłabym się, gdyby ta para była szczęśliwa.

Powiedziałam jej, że ja zajmę się dzwonieniem, bo siostra Esperanza wolałaby się do tego nie mieszać.

– Ale przyjdzie się ze mną zobaczyć?

– Z całą pewnością.

– Poproś o przedstawienie warunków. Jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości, przyjdź do mnie.

– Ale jak oni to zrobią? – zapytałam.

– Krok po kroku. Jedna osoba zaprowadzi was do następnej i do następnej, aż w końcu wszystko dobrze się ułoży. Nie martw się.

– Wkrótce znów przyjdę siostrę odwiedzić. Muszę się dużo od siostry nauczyć. Odłożę to na miejsce – powiedziałam, biorąc notes i długopis.

Zostawiłam długopis, ale notes włożyłam sobie za pasek spodni. Pozbierałam swoje rzeczy i ruszyłam do drzwi. Stamtąd popatrzyłam na nią przez chwilę. Stopy nie sięgały jej do podłogi. Założyła jedną rękę na drugą.

– Jeśli zobaczysz siostrę Adelinę, powiedz jej, że muszę pójść do toalety.

Do widzenia, do widzenia, powiedziałam do siostry Adeliny i innych zakonnicy, które mijalam w drodze do wyjścia. Włożyłam kurtkę, wsunęłam spodnie do butów, wyjęłam zza paska spodni notes siostry Rebeki i popatrzyłam na nazwisko zapisane przez nią na kartce. Omal nie zakreśliło mi się w głowie, gdy je zobaczyłam. Ana Cavadas i numer telefonu. Ana, ta od psa. Ana, ta od hinduskiej córki, Ana, ta od basenu, Ana ta od tajlandzkiego kochanka, Ana, przyjaciółka wszystkich. Miałam wielką ochotę przejrzeć notes zakonnicy; na pewno okazałby się interesujący. Nie mogłam się doczekać, aż opowiem o tym Laurze, więc jak tylko nadarzyła się okazja, zadzwoniłam do domu i poprosiłam ją, żeby przyszła się ze mną spotkać na dworcu Atocha.

57. LAURO, NAPIJ SIĘ ZE MNA

Nie musiałam kłamać ani udawać przed Verónicą, żeby nie powiedzieć jej o swoim związku z Valentínem albo uniknąć podawania szczegółów na temat fantastycznego wesela Matea, pięknego wyglądu panny młodej czy gospodarstwa z końmi. Przyszła podekscytowana. Spotkałyśmy się przy wyjściu z dworca. Zapytała mnie mimochodem, jak leci, i powiedziała, że właśnie ucięła sobie pogawędkę z siostrą Rebecą, położną, która prawdopodobnie asystowała przy moich narodzinach i przekazała mnie Grecie i Lilí. Jeśli zakonnica nie była bardziej zramolała, niż się wydawało, interes nadal się kręcił, bo Verónica wymyśliła parę, która nie może mieć dzieci, a ona połknęła haczyk i podała jej nazwisko osoby kontaktowej: nazwisko Any. Przyjaciółka Greta i przyjaciółka jej matki była pośredniczką między Gretą a siostrą Rebecą.

– Jesteśmy na właściwym tropie – powiedziała. – To jest interes z nabywcami i sprzedawcami, pośrednikami, doradcami i kto wie, kim jeszcze. Przykro mi, że wypadło na ciebie.

Nie rozumiała, że to, co ona uważa za sukces, dla mnie jest potwierdzeniem życiowej klęski.

– Chciałabym prowadzić normalne życie. Valentín poprosił mnie, żebym z nim chodziła.

Zamknęła oczy, próbując zrozumieć. W końcu dotarło do niej, że spędziłam noc z Valentínem, czyli Tyczką, na weselu Matea i że nie doceniam należycie jej wysiłków.

– To jest bardzo gruba sprawa, która dotyka nie tylko ciebie, wiesz?

– Tak, ale ja chcę wreszcie być taka jak wszyscy, a nie tą nieszczęsną dziewczynką otoczoną kłamstwami.

Verónica zacisnęła szczęki i to nie w przenośni, tylko naprawdę. W oczach narastał jej przesadny blask. W każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem albo zacząć krzyczeć czy kłócić się z ludźmi. Potrzebowała coś zrobić, więc wyciągnęła z kieszeni kurtki zgniecioną paczkę papierosów. Musiała wyprostować papierosa,

żeby go zapalić. Zrobiła to zapalniczką Zippo i powietrze wypełnił łagodny zapach benzyny. Otworzyła ją i zamknęła kilka razy. Dym zasnuł jej twarz niczym welon, a jej oczy za tym welonem zrobiły się większe i zamglone.

– Im wcześniej z tym skończymy, tym wcześniej będziesz mogła kontynuować swoje życie, a ja swoje – powiedziała.

– Chciałaś powiedzieć: zacząć swoje życie.

Przystanęliśmy, żeby mogła wyjąć z plecaka bardzo zniszczony notes.

– Masz przed sobą klejnot koronny.

Chciałam go wziąć, ale przytrzymała mi rękę.

– Jeszcze do niego nie zaglądałam. Zwędziłam go siostrze Rebecce.

Przypatrywałyśmy mu się, jakby naprawdę nim był, to znaczy klejnotem.

Weszliśmy do jakiegoś baru ze szkła i aluminium. Verónica zamówiła u kelnera dwa kieliszki riojy.

– Nie chcę pić sama – powiedziała.

Stuknęliśmy się kieliszkami, nie wznosząc za nic toastu, i otworzyliśmy notes. Pismo było niesamowicie zaokrąglone i drobne. Trudno je było dostrzec, ale jak już się zobaczyło, czytało się bardzo dobrze. Spośród wszystkich tych nazwisk ściśniętych jedno obok drugich, ze znaczkami i symbolami, których nie sposób było zrozumieć, znałyśmy nazwisko Any, doktora Montalvo, Lilí i Grety, ze strzałką prowadzącą od Betty. Były też nazwiska lekarzy ze strzałką prowadzącą do kliniki Los Milagros. Wiele nazwisk, tak jak nazwisko Betty, miało z boku mikroskopijny numerki. Co oznaczały? Złączyłyśmy krzesła i przekazywałyśmy sobie notes, żeby jedna zobaczyła coś, czego nie widziała druga. Verónica od razu wychyliła kieliszek i była w euforii. Wszystko pasuje, powtarzała, wszystko pasuje – jakby notes był kryształową kulą, w której oglądałyśmy historię mojego życia. W końcu sprowadziłam ją na ziemię. W notesie figurowało imię jej matki, co oznaczało, że jej matce odebrano córkę, ale nie figurowało moje, co oznaczało, że tą córką wcale nie musiałam być ja. Wtedy ona, zamawiając następne dwa kieliszki, chociaż ja jeszcze nie skończyłam swojego, podsunęła mi pod nos imiona Lilí i Grety. Na poparcie jej tezy była tam klinika Los Milagros, w której się urodziłam.

Drugi kieliszek dopiliśmy w tym samym tempie.

– Nie wydaje ci się, że to są wystarczające dane, żebyś sobie zrobiła testy?

Prawda była taka, że za nic na świecie nie zamierzałam zrobić tych badań. Jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment, żeby mieć inną rodzinę. Chociaż raz chciałam sama wybrać. Chciałam decydować, czy będę miała rodzeństwo, czy nie, czy będę miała ojca, czy nie. Jeśli Betty była moją matką, kiedyś będę o tym wiedziała z absolutną pewnością, a jeśli Verónica była moją siostrą, też będę o tym wiedziała. Chwilowo było dobrze tak, jak było.

Nagle Verónica wstała i zamknęła notes.

– Pójdziemy zobaczyć się z Marią, asystentką detektywa Martunisa.

Wino uderzyło mi trochę do głowy i zrobiłam się gadatliwa. Nie jadłam obiadu i Verónica z pewnością też nie, ale jej o tym nie przypomniałam.

– Mateo nie zdjął sygnetu z kobrą. Miał go na palcu w dniu swojego ślubu – powiedziałam.

Tym razem Marią, ledwie nas zobaczyła, odłożyła telefon i zaprowadziła nas do gabinetu swojego szefa, Martunisa. Nie wiem, jak mogła się poruszać w tak obcisłych spodniach, i sądząc po tym, jak Verónica na nią patrzyła, ona też zadawała sobie to pytanie. Marią usiadła za biurkiem na fotelu typu tron i zapytała nas, cóż tak ważnego udało nam się zdobyć. Jak zgadła, że miałyśmy coś ważnego?

– Lata doświadczenia.

Verónica wszystko jej opowiedziała i pokazała notes siostry Rebeki. Marią westchnęła i przeciągnęła sobie grzbietem obu dłoni pod włosami, które zawirowały wokół niej.

– Nie mówiłam ci, że elementy układanki się dopasują? Teraz będziecie musiały zanieść te dowody do jakiegoś adwokata. Albo lepiej: powinnyście spróbować zlokalizować inne ofiary. W tym notesie musi być ich pełno. Ja mogłabym to zrobić, ale obciążylabym was kosztami. Wyszłoby wam drogo, więc na waszym miejscu zabrałabym się do roboty. Najpierw starannie przestudiujcie notes, żeby odkryć, które rodziny zostały poszkodowane, a potem zacznijcie do nich dzwonić. Idealnie byłoby, gdybyście połączyli siły. To będzie długi i męczący proces, niejednokrotnie

niesprawiedliwy i rozczarowujący, ale napiszecie historię. Być może, gdy będzie was dużo, będziecie mogli mnie wynająć. A ty – powiedziała, zwracając się do mnie – nie śpiesz się i nie bój się, bo jesteś bardzo młoda, a życie jest cudowne.

58. VERÓNICA W RODZINIE

Cudowne życie. Wyglądało na to, że María zabrała mi te słowa, tak moje, żeby podarować je Laurze. Nie miałam nic przeciwko temu, najważniejsze, żeby oddano sprawiedliwość Laurze. María odprowadziła nas do drzwi i życzyła nam szczęścia. Zamierzałam ją zapytać, czy istnieje jakiś detektyw Martunis, czy też wymyśliła go, żeby się chronić, traktując jego nazwisko jako osobistą tarczę w świecie mężczyzn, ale się nie odważyłam; nie miałam prawa ingerować w prywatność Marii. Wszystko, co robiła, na pewno robiła dobrze, i miałam ochotę powiedzieć, że dla mnie jest więcej warta niż wszyscy Martunisowie tego świata razem wzięci. Wydawało się, że jest nadludzką istotą, bo prowadziła agencję samodzielnie, bo potrafiła prowadzić śledztwo i równocześnie siedzieć w biurze, i w dodatku zawsze była taka elegancka.

Gdy jej słuchałam w gabinecie, coś mi przyszło do głowy, dlatego po wyjściu zaciągnęłam Laurę do urzędu pocztowego, w którym miała skrytkę Wampirzyca. Wstukałam szyfr do jej sejfu i schowałam do środka notes. Przy okazji sprawdziłam, czy, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nikt nie dotykał pieniędzy. Laura asystowała przy tej operacji kompletnie zaskoczona.

– Tutaj notes będzie bezpieczny, nikt nie będzie mógł go ukraść. Możliwe, że do tej pory siostra Rebeca już sobie zdała sprawę ze swojej straty i skojarzy ją ze mną, chociaż to nie jest takie pewne, bo nie może sama chodzić, a musiałyby mnie podejrzewać, żeby zajrzeć do szuflady komody.

– Zakonnicom nic nie umknie – powiedziała Laura. – W końcu połączy fakty. I wiesz co? Ja już wiem wszystko, co muszę wiedzieć. Byłam wykorzystywana od urodzenia, nie twierdzę, że mnie maltretowano ani że uprzykrzano mi życie, ale można powiedzieć, że miłość, którą darzę Lilí i Gretę, jest miłością, którą one pewnego dnia kupiły od siostry Rebeki i od Any. Teraz jedyną rzeczą, której chcę, jest odzyskanie moich dokumentów i rzeczy osobistych, moich książek, ubrań. Bardzo ciężko pracowałam w sklepie i nie ma powodu, żeby zostawiły sobie wszystko, co do mnie należy. Zapłaciłam im zawiązką za to, co mi dały. Nie zamierzam czekać, aż dojdzie do jakiegoś śledztwa, do oskarżenia i procesu. Nie będę

czekała tysiąc lat, żeby zacząć żyć.

Powiedziałam Laurze, że dałam słowo, iż nikomu nie zdradzę szyfru do skrytki pocztowej, ale jeśli coś mi się stanie, może pojechać do więzienia Alcalá Meco, zapytać o aresztantkę, którą ja nazywam Wampirzycą, i opowiedzieć jej, co się wydarzyło.

Wieczorem, po powrocie do domu, Laura odebrała telefon od Tyczki. Jej oczy, do tej pory po prostu niebieskie i czasami ładne, zrobiły się piękne, jak oczy taty.

Do mnie nikt teraz nie dzwonił. Wszyscy mieli pilne sprawy do załatwienia, tak samo jak ja. Słysząc było muzykę dochodzącą z pokoju Ángela i mojego ojca jedzącego w kuchni kolację. Przez okna widać było samochody zaparkowane naprzeciwko, obok wysokich drzwi ze sklejki po sąsiedzku. Przedstawiłam ojcu sytuację, podczas gdy Laura była nadal pochłonięta swoją miłosną rozmową. Powiedziałam mu, że notes jest pod kluczem w bezpiecznym miejscu. Jednak dopiero relacja z naszego spotkania z Aną naprawdę nim wstrząsnęła. Musiał przerzucić się z piwa na wino.

Nie miał wyjścia i musiał wysłuchać, że Ana korzysta z życia. Przy niej my jesteśmy żebrakami. Ma córkę o imieniu Sara, która jest szczytem doskonałości. Zawsze stanowiliśmy część jej pracy, dzięki której Ana fundowała sobie luksusowe życie. Wyglądało na to, że jej zadanie w ramach organizacji polega na kontrolowaniu skaptowanych przez siebie rodzin, zwłaszcza rodzin urażonych, wściekłych i uparcie podejrzewających szpital, który uznał ich córkę czy syna za martwych. Co kilka minut ojciec kręcił głową z niedowierzaniem, a wtedy mówiłam mu, żeby zapytał Laurę, która była przy tym obecna tak samo jak ja i tak samo jak na mnie zrobiło to na niej wielkie wrażenie.

– Betty miała rację – powiedział, pociągając ostatni łyk z kieliszka i zatapiając spojrzenie w samochodach naprzeciwko, w cieniach, w tamtych chwilach spędzonych sam na sam z Aną, podczas których z całym prawdopodobieństwem usiłowała zaciągnąć go do łóżka.

Zatopił spojrzenie w tak wielu latach bezradności, za którą główną winę ponosiła Ana, ta Ana, która pomagała mojej matce w najbardziej krytycznych chwilach jej życia.

Ojciec mógłby powiedzieć, że żałuje, że nigdy sobie nie wybaczy, iż nie wspierał Betty w stu procentach, że jest mu wstyd, bo wołał wierzyć, że Laura nie żyje, że czuje się winny. Ja też czułam się winna, że nie byłam bez przerwy u boku matki, gdy leżała w szpitalu, i poświęciłam się szukaniu Laury, traktując to jako wymówkę. Wszyscy mogliśmy się czuć winni, podczas gdy Lilí, Greta, siostra Rebeca, siostra Esperanza, doktor Montalvo, lekarz, który odbierał poród – doktor Domínguez – klinika i pozostali, którzy nie traktowali tego jak czegoś osobistego, nie czuli się niczemu winni, bo to był interes.

Mój ojciec był zwolennikiem skończenia z tym raz na zawsze. Jeśli nawet Laura nie potrzebowała wiedzieć, czy jest członkiem naszej rodziny, potrzebowała jednak wiedzieć, że nie należy do swojej poprzedniej rodziny. Nie była nikomu nic winna, nie była winna żadnego rodzaju miłości swojej fałszywej matce i babci.

Nie przyszło mu nic innego do głowy, jak zjawić się w domu Lilí i Greta z dowodami, które mieliśmy, i dla dobra Laury porozmawiać w cywilizowany sposób.

Ją samą zaskoczyła ta propozycja. Zamyśliła się na dłużej, zostawiając swoje myśli na tym samym skrawku ulicy, na którym chwilę wcześniej zostawił swoje mój ojciec. Ona też potrzebowała z tym skończyć, ale tak, niespodziewanie, o dziesiątej wieczorem...

– Niezależnie od tego, kiedy pojedziemy, i tak dotrzemy za późno, dziewiętnaście lat za późno – powiedział ojciec.

Zablokowałam mu ręką ruch od butelki do kieliszka.

– Tato, nie potrzebujesz więcej siły, niż masz – powiedziałam.

Wyjaśniliśmy Ángelowi, że zabieramy Dona na spacer.

– Wszyscy!?! – wykrzyknął.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy otworzyć komukolwiek drzwi. My mamy klucz.

Zrozumiał nasze zamiary i wahał się przez kilka sekund, czy się do nas przyłączyć. Ucieszyłam się, że ponownie włożył słuchawki, że postanowił zostać ze swoją muzyką i swoim życiem. Zostawiliśmy mu Dona. Uznaliśmy, że jemu przyda się bardziej niż nam.

– Więc to tu mieszkałaś – powiedział ojciec, patrząc na fasadę domu Lilí, Greta

i Laury.

– Za rogiem jest sklep, mieszkanie znajduje się nad nim – wyjaśniła Laura.

Nadal patrzył z ciekawością, prawdopodobnie próbując sobie wyobrazić, jak wyglądało życie tej, bardziej niż na pewno, nowej córki. Mój ojciec, podobnie jak my wszyscy, był zakłopotany z powodu uczuć, które miał, i tych, które powinien mieć. Zdołał się poczuć odpowiedzialny za Laurę, ale nie mógł pokochać jej z dnia na dzień; było niemożliwe, żeby mógł ją kochać tak jak Ángela i mnie. Trzeba było ufać, że z czasem ją polubi. Jednak, niezależnie od tych niuansów, wszystkich nas łączyły więzy krwi i potrzeba wspierania się. Łączyła nas także mama, jedyna zdolna do kochania Laury i martwienia się o nią, chociaż nie zdołała jej zobaczyć.

Podczas gdy mój ojciec obserwował z zewnątrz świat Laury, ja nie mogłam oderwać oczu od niego. Sądziłam, że go znam, bo widywałam go przez całe życie, i zawsze myślałam, że jego jedynym dążeniem jest być taksówkarzem i żebyśmy byli szczęśliwi. Wcześniej uważałam, że jedyną przeszkodą, która nie pozwala nam wieść cudownego życia, jest udręka mojej matki i urojona córka. Gdyby mamie się to nie przytrafiło, być może by nie zachorowała. Gdyby nie zachorowała, a ja nie uparłabym się przy szukaniu Laury, studiowałabym na pierwszym roku i byłabym taka jak Rosana. Gdyby moja matka nie umarła i gdybym nie znalazła Laury, nie byłibyśmy tutaj.

Ojciec skończył parkować i wysiedliśmy. Niczego nie zaplanowaliśmy ani nie przewidywaliśmy. Życia nie dało się kontrolować, wyciekało jak woda przez mikroskopijne dziurki.

Uspokajało mnie, że mój ojciec się nie denerwuje, wydawało się nawet, że myśli o czymś innym. Nie odzywając się do siebie ani słowem, przeszliśmy przez ulicę i ustawiliśmy Laurę naprzeciw wideodomofonu, żeby Greta i Lilí widziały tylko jej twarz. Dyżur dozorca już się skończył, co mogło mieć dobrą stronę, bo nie trzeba było się z nim szamotać, lub złą, bo Lilí albo Greta mogły nam nie otworzyć. Ledwie dała im się zobaczyć, rozległ się odgłos otwieranego zamka bramy. Nie chciały od niej żadnych wyjaśnień, niczego. Zakładały, że przyszła sama.

Na górze ukryliśmy się na sekundę, żeby zobaczyć przez wizjer tylko Laurę. Otworzyła Greta i na moment z Laurą stało się coś niezrozumiałego (albo bardzo

zrozumiałego – zależy, jak na to patrzeć): o wszystkim zapomniała, ucieszyła się na widok Greta i wykonała gest, jakby chciała ją pocałować, ale tato zareagował niemal instynktownie i jej w tym przeszkodził. Wziął Laurę za ramiona, co całkowicie zbiło ją z tropu, i weszli razem, bez dalszej zwłoki. Greta ze względu na jego obecność musiała się odsunąć, a ja weszłam za nimi. Lilí była w korytarzu, na wózku inwalidzkim, i patrzyła na nas z przerażeniem.

– Petre! – krzyknęła.

Nic nie mówiąc, wciąż przytrzymywana za ramiona ręką mojego ojca, Laura zaprowadziła nas do salonu, który już znałam. Wyminęliśmy kilka stołów, krzeseł z bardzo ładnie rzeźbionego drewna, gablotek, klasycznych obrazów oraz foteli i zatrzymaliśmy się przy funkcjonalnej sofie o nowoczesnych kształtach.

– Usiądźcie – powiedziała Laura.

Posłuchaliśmy jej, a wtedy zjawił się Bośniak, w krótkim rękawie i z obojętnym wyrazem twarzy, jakby był częściowo organiczny, a częściowo gumowy. Przystanął naprzeciw nas z rękami na plecach. Mój ojciec oparł łokcie na kolanach, a twarz na dłoniach i popatrzył na Gretę, na Lilí i na Bośniaka, jakby byli jeszcze jedną sprawą, którą musiał załatwić tego wieczoru.

– Przedstaw nas – powiedział mój ojciec Laurze prawie na ucho.

– Moja... – zamierzała powiedzieć: „matka”, ale nie powiedziała – Greta. I Lilí. A to jest Petre.

– Wygodnie wam? – spytała z ironią Greta, zupełnie stara mimo swych modnych spodni z szarej flaneli z mankietem, trzymających się na kościstych biodrach.

Nie włożyła czegoś bardziej znoszonego, co miała w domu, żeby czuć się wygodniej, tak jak robiliśmy to my, nie opuszczała gardy. Chciała być odstrzelona od rana do wieczora. Jeszcze nie zmyła makijażu, a czarna linia wokół oczu chyba jej się trochę skrzywiła. Rudawe włosy upięła szpilką po jednej stronie, tak że opadały jej na drugie ramię i pierś. Przyglądała nam się na stojąco, z rękami w kieszeniach spodni i skrzyżowanymi nogami, czekając, aż błysnie flesz jakiegoś niewidzialnego aparatu fotograficznego.

– Chętnie bym się dowiedziała, kto wszedł do mojego domu bez pozwolenia –

powiedziała Lilí, ściskając z całej siły poręczę wózka.

Lilí, i owszem, była bez makijażu, przez co wyraźnie było widać, że brak jej brwi, ma rzadkie rzęsy i twarz jak księżyc w pełni. Nosiła dość elegancki biały kostium złożony ze spodni i żakietu, co sugerowało, że właśnie wróciły do domu i nie zdążyły się przebrać.

– Ja im pozwoliłam – powiedziała Laura, wstając i ustawiając się przy mahoniowej szafie ściennej.

– Wszędzie cię szukaliśmy – powiedziała Lilí – a ty zjawiasz się teraz, nagle, jakby nigdy nic. Czy musimy rozmawiać przy tych obcych ludziach?

Greta wbiła we mnie swoje skrzywione spojrzenie.

– Czy ty nie jesteś tą od kremów? Tą, która oczyszczała mi twarz?

Lilí skinęła twierdząco głową w stronę Greta.

– Mówiłam ci, że mi się nie podoba.

Laura odsunęła się od szafy ściennej i odezwała się głośniej, niż to miała w zwyczaju:

– Carol powiedziała mi, że jestem adoptowana.

Podziałało to jak sztylet wbity w biały kostium Lilí, sztylet, który wyszedł jej przez oczy i rozdzielił je między mojego ojca i mnie.

– Co powiedziałaś?

– Carol wszystko mi opowiedziała – wyjaśniła Laura.

– A co ci mówiłam!? – krzyknęła Greta do swojej matki. – Twoja uwielbiana Carol.

– Nie zgadzam się – powiedziała Lilí – na kontynuowanie tej rozmowy w obecności tych ludzi.

– Otóż nie będziesz miała innego wyjścia – powiedziała Laura – jak mówić w obecności mojego ojca i mojej siostry.

– Już coś czułam, gdy zjawiła się ta tutaj – powiedziała, mając na myśli mnie. – W nic nie wierz. Oszukano cię. Chodź tutaj, kochanie.

Laura zrobiła krok naprzód, ale natychmiast się powstrzymała. My nie zmieniliśmy pozycji, nie otworzyliśmy ust, jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment.

Petre nas obserwował. Greta wyjęła ręce z kieszeni i podeszła do Laury.

– Kochanie – powtórzyła, przekładając jej włosy za uszy. – Dla mnie zawsze byłaś moją jedyną, prawdziwą córką. Wszystko, co robiłam w tym życiu, robiłam dla ciebie.

– Dla mnie? – spytała Laura, całkowicie przestając się mieć na baczności.

Greta ją objęła. Laura pozwoliła się wziąć w ramiona. W tym momencie wstałam, żeby interweniować, ale ojciec pociągnął mnie za rękę i zmusił, żebym usiadła z powrotem. Patrzeć, słuchać, milczeć.

– Oczywiście, mój skarbie. Żyłysmy dla ciebie, żeby niczego ci nie brakowało.

– A to czemu? – spytała Laura. – Przecież miałam rodzinę, matkę, która również starałaby się, żeby niczego mi nie brakowało. Dlaczego wyrwaliście mnie stamtąd, żeby się dla mnie poświęcać? Ja o nic was nie prosiłam. Nikt was o nic nie prosił.

– Kochamy cię – powiedziała Lilí – i to się liczy.

– Ukradłyście mnie, żeby mnie kochać?

– Nie ukradłyśmy cię, nie mów tak – powiedziała Lilí żalnym, miłym, śpiewnym głosem. – To przewrotność myśleć w ten sposób. Greta cię adoptowała. Pewna osoba powiedziała nam, że samotna matka, biedaczka, nie może zaopiekować się dzieckiem, które ma wydać na świat, więc my cię adoptowałyśmy.

– A dlaczego nic mi nie powiedziałyście? Po co te zdjęcia twojej udawanej ciąży?

– Mijał dzień za dniem i nie znajdowałyśmy odpowiedniego momentu. Chciałyśmy cię chronić.

– Ruszaj! – powiedział mój ojciec, nie mogąc się już pohamować.

Wstałam. Próbowałam się uspokoić, być taka chłodna jak Greta i zagadkowa jak Lilí. Nie chciałam, żeby nas przechytrzyły z powodu naszych zszarganych nerwów. Dlatego nie patrzyłam im w oczy, gdy mówiłam, odwróciłam wzrok, żeby nie widzieć wyrazu ich twarzy.

– Carol powiedziała nam, że Laura jest adoptowana. Rzecz w tym, że nie chodziło o normalną adopcję. Ana wyznała nam, że Laura została kupiona. Sprzedała ją wam siostra Rebeca za pośrednictwem Any. Ana dowiedziała się, że moja matka, która była również matką Laury, szuka córki i jest o krok od jej odnalezienia, i właśnie

dlatego wyprowadziłyście się z osiedla El Olivar. Doktor Montalvo, pośrednio czy bezpośrednio, również jest w to zamieszany. Starał się, żeby mama zapomniała o swojej córce, a potem starał się, żebym ja zapomniała o tej sprawie, i usiłował zmienić Laurę w roślinę, która nie będzie czuła żadnego zainteresowania własnym życiem.

– Dziecko, masz bujną wyobraźnię – powiedziała Lilí.

– I dowody. Mamy zeznania Carol i Any, bez których nie moglibyśmy dotrzeć do siostry Rebeki. A bez siostry Rebeki nie mielibyśmy wyjątkowego notesu, w którym pojawiają się wszystkie wasze nazwiska i powiązania między nimi. Notes jest w bezpiecznym miejscu. Udało nam się również, i jestem pewna, że o tym wiecie, zdobyć księgę rejestrową z kliniki Los Milagros, gdzie urodziła się Laura. W tym rejestrze jest coś niewiarygodnego, istna magia: zamiast urodzin Laury figuruje jej zgon. Te dowody znajdują się w bezpiecznym miejscu i wkrótce trafią na policję. Są w to zamieszani lekarze i z pewnością pielęgniarki... Nie możecie nic zrobić. Wszystko potwierdza, że podejrzenia mojej matki były słuszne, jej córka żyła i żyje.

Spojrzały po sobie. Petre nie spuszczał z nas wzroku.

– Kupiłyście moją córkę – powiedział ojciec, wstając. – Usunęłyście ją z naszego życia.

Właśnie wtedy je zobaczył. Tato patrzył uważnie na półkę, na której spomiędzy dwóch książek wystawało stare zdjęcie Laury. Zdawało się prosić, żeby je uratowano. Oczy ojca napotkały moje. Zderzyły się ze sobą jak dwa pociągi.

– Jej matka jej nie kochała, a my ją przygarnęłyśmy – powiedziała Lilí piskliwym głosem, obojętna na wszystko.

– To kłamstwo! Nie waż się więcej mówić o jej matce – powiedział ojciec, robiąc kilka kroków między meblami, biorąc zdjęcie i podsuwając je Lilí pod nos.

Zdawało się, że czas stanął w miejscu. W końcu spuściła wzrok. Nigdy nie widziałam ojca w takim stanie. Zawód zmuszał go, żeby zachowywał zimną krew i nie dawał się ponieść nerwom, ale dzisiaj nie był w taksówce. Wydawał się kimś innym. Dziś miał w sobie całą siłę ducha Betty.

– Nie zapominaj, że mamy rejestr urodzeń i zgonów z kliniki – powiedziałam,

wyjmując delikatnie zdjęcie z rąk ojca, który ścisnął moją rękę tak mocno, że prawie się zaniepokoiłam.

Wiedzieliśmy, że tego rejestru nie możemy nawet przedstawić w charakterze dowodu, z uwagi na to, że zabrałyśmy go z kliniki położniczej podstępem, ale przynajmniej potwierdzał, że mamy rację.

– Ile za mnie zapłaciłyście? Odzyskałyście to już dzięki mojej pracy w sklepie? – spytała Laura z wściekłością i bólem, nie panując nad sobą. – Idę do swojego pokoju po rzeczy.

Słuchaliśmy jej w milczeniu, śledziliśmy ją wzrokiem, patrząc, jak kieruje się w stronę korytarza, do momentu gdy Lilí, opierając się na poręczach wózka, wstała niczym ośnieżona góra i zastąpiła jej drogę.

– Stąd nic nie wyjdzie – powiedziała. Jej głos, choć nadal miał ten serdeczny ton, równocześnie brzmiał groźnie.

Laura odwróciła się, żeby popatrzeć na nas z desperacją. Greta zawczasu przysunęła się do mnie, a Petre do mojego ojca, nie wiedząc, czy go zaatakować, czy nie, i wzrokiem prosił Lilí o pomoc, ale ona też nie wiedziała, co robić.

– Pomogę ci wszystko pozbierać – powiedziałam do Laury, ruszając w jej stronę.

Greta złapała mnie za rękę z zadziwiającą siłą. Laura nie odważyła się dotknąć kobiety, która do tej pory była jej babcią.

Wtedy mój ojciec odwrócił się niespodziewanie do Petre'a i zdzielił go pięścią w twarz. Nos Bośniaka zaczął krwawić. Zanim zdążył zareagować, ojciec uderzył go jeszcze raz, również w twarz, i Petre przewrócił się na stolik z telefonem, rozbijając go. Dońę Lilí wystraszył hałas i gwałtowność tego zdarzenia. Chyba nie lubiła skandali.

Laura i ja zaniemówiłyśmy i bałyśmy się, że Petre wstanie. Jednak mój ojciec się nie bał, bo, chociaż Bośniak był bardzo silny, to jemu nie pozwolono być szczęśliwym.

– Lauro, weź swoje rzeczy – powiedział spokojnie, wycierając sobie pięść o spodnie.

Doña Lilí się odsunęła. Greta mnie puściła. Usiadły na sofie, żeby poczekać, aż to

wszystko się skończy. Petre poszedł do kuchni, zostawiając za sobą pasmo czerwonych kropli.

Laura wyjęła z pawlacza dużą walizkę i zaczęła ją pakować, płacząc, a w miarę jak ją pakowała, płakała coraz bardziej.

– Bagażnik samochodu jest duży, z niczego nie rezygnuj – powiedziałam, pragnąc, żebyśmy się już stamtąd wyniosły. Tak długo tłumiałam w sobie złość i teraz przestało mi się to podobać.

– Muszę zrezygnować z biurka. Nie możemy go zabrać – powiedziała.

– Jak to nie? Tato je rozmontuje i zniesie na dół.

Ponieważ nie miała dość miejsca, poszła po jeszcze jedną walizkę. W tym czasie ja zaczęłam opróżniać szufladę biurka.

– Wzięłaś dokumenty?

– Tak – odpowiedziała – i książeczkę bankową, na której mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy.

W salonie panowała absolutna cisza. W końcu rozległ się głos mojego ojca:

– Powinnyście go zabrać do szpitala, żeby założyli mu szwy. Przykro mi – powiedział.

– Nie było potrzebne takie bestialstwo – powiedziała Greta. – Oszaaleliście.

– Gdyby nie było potrzebne, nie zrobilibyśmy tego – odparł ojciec i wszedł do pokoju Laury.

Gdy rozmontowywał biurko, wystawiłyśmy walizki na podest, a Laura podniosła połamany stolik i położyła go w rogu salonu. Przyglądała mu się ukradkiem, lecz intensywnie, bo być może miał być ostatnim wspomnieniem, które stamtąd zabierała i którego mimo wszystko nie chciała stracić.

Lilí i Greta patrzyły z sofy, co robi. Wydawało się, że starzeją się z sekundy na sekundę i że już tak zostaną, siedząc, w ubraniach, które miały na sobie, na wieczność.

– Jestem już dorosła – powiedziała do nich Laura szeptem, wzruszonym głosem.

Nie odpowiedziały. Patrzyły na nią z żalem, litując się nad nią albo nad sobą. Ja

nie chciałam, żeby było mi ich żal, bo żal nie pozwala myśleć ani czuć.

Petre wyszedł z ręcznikiem przyciśniętym do nosa, ale na nasz widok znów schował się w kuchni.

Znieśliśmy wszystko do samochodu. Dwie walizki, plecak, dwa płaszcze i duże pudło, blat, nogi i szufladę biurka oraz pudełko z papier mâché, które dano mi dla niej w El Olivar. Mimo to Laura powiedziała, że zostawia dużo rzeczy, których będzie jej brakowało, ale z nas wyparowała już wściekłość i siły, a poza tym człowiek nie może zabrać wszystkiego, absolutnie wszystkiego, z jednego życia do drugiego.

Jechaliśmy stłoczeni w samochodzie. Prowadziła Laura, bo już miała przy sobie prawo jazdy. Mój ojciec usiadł obok niej, a ja z tyłu, przytrzymując, jak mogłam, blat biurka.

– Zostawiłam wszystkie książki i notatki ze szkoły.

Wiedzieliśmy, że Laurze będzie bardzo trudno wrócić do tego domu po tym, co się wydarzyło, i że jeśli czegoś nie zabrała dzisiaj, nie zabierze już nigdy. Z czasem o tym zapomni, jakby nigdy tego nie miała.

Zdaniem Marii, asystentki Martunisa, elementy układanki już się dopasowały, a te, które się nie dopasowały, jeszcze zdążą się dopasować. Powinnam się cieszyć, bo skoro puszka Pandory została otworzona, bardzo trudno będzie ją ponownie zamknąć. Powinnam czuć się dumna, że uwolniłam Laurę, bo tego chciała moja matka, a Laura musiała być wolna. Teraz także ja musiałam się uwolnić od odpowiedzialności, którą wzięłam na siebie, spłacając dług swojej matki. Przyniosłam Marii w prezencie krem z drobinkami złota. Wielka szkoda, że miała dziobate policzki. Z pewnością jako nastolatka cierpiała na bardzo mocny trądzik. Czasami makijaż dość dobrze zakrywał te ślady, ale kiedy indziej okropnie je podkreślał.

Dzisiaj je podkreślał. Powiedziałam jej, że powinna sobie zrobić głęboki peeling, zanim zastosuje krem.

Tym razem też zaprowadziła mnie do tak zwanego gabinetu Martunisa. Położyłam przed nią na biurku rejestr ze szpitala, notes siostry Rebeki i milion peset – uszczuplony o to, co wzięłam na ubranie dla Laury – który moja matka zaoszczędziła, według kierowniczkii firmy kosmetycznej, na moją przyszłą klinikę.

– Co się da z tym zrobić? – spytałam ją.

– Pozwól mi się zastanowić. Martunisowi i mnie przydałaby się sprawa z prawdziwego zdarzenia: sprawa sprzedawanych i kupowanych dzieci.

Zrobiła kserokopie rejestru i notesu, wzięła z koperty trzysta tysięcy peset, włożyła to wszystko do teczki, na której napisała Betty, z pewnością na cześć mojej matki, i poprosiła mnie, żebyśmy: Laura i ja, każda z osobna, opowiedziały jej wszystko, co wiemy o tej smutnej sprawie, przekazały jej nasze własne wersje, a ona dołączy je do dokumentacji. Później poszłam na pocztę, żeby schować wszystko do skrytki Wampirzycy. Któregoś dnia będę musiała pójść ją odwiedzić razem z Laurą w Alcalá Meco, żeby się poznały. Potem natychmiast skierowałam się do gabinetu doktora Montalvo. Już od kilku dni miałam ochotę popatrzeć psychiatrze w twarz.

Jak zwykle Judit była w recepcji. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, nie wiem, czy ze zdziwienia, czy dlatego, że próbowała mnie sobie przypomnieć. Tak? – powiedziała do mnie. Nie odpowiedziałam i poszłam wprost do gabinetu wąsacza. Pchnęłam drzwi. Rozmawiał z jakąś panią o tapirowanych blond włosach.

Na mój widok skoczył na równe nogi.

– Mam teraz wizytę – powiedział.

– Jakie środki uspokajające kazał pan podawać Laurze? Gdzie zamierzał ją pan zabrać?

Blondynka patrzyła na mnie wystraszona. Zwróciłam się do niej:

– Poradził pani wyjść z muszli ślimaka?

Judit stała w drzwiach i doktor dał jej znak oczami.

– Niech pan dzwoni, do kogo pan chce. Ana pana zadenuncjowała. Już wiemy, że jest pan zamieszany w kradzież Laury. Figuruje pan w notesie siostry Rebeki, położnej, która odbierała poród.

Judit wzięła blondynkę pod ramię i wyprowadziła ją z gabinetu. Po sekundzie wróciła po płaszcz i torebkę, a doktor dał jej przeczący znak ręką.

– Ana wszystko nam opowiedziała – dodałam.

Usiadł na skórzanym fotelu.

– Moja matka musiała się zorientować, że coś jest nie tak, i dlatego przerwała

leczenie.

Nie odezwał się, oczekując, że jeszcze coś się wydarzy, że ktoś przyjdzie, że podam mu więcej informacji.

– Greta i Lilí nie opowiedziały panu o awanturze, jaką wywołaliśmy w ich domu?

Pokręcił przecząco głową, a ja zdjęłam słuchawkę i podałam mu telefon.

– Proszę do nich zadzwonić i zapytać je, żeby wyrobił pan sobie zdanie, o czym rozmawiamy.

– Nie znam ich.

– Za to one pana znają. Laura może to potwierdzić, ach, i także dozorca z kamienicy. Co za zbieg okoliczności, że leczył pan moją matkę i Laureę, moją siostrę. Moja matka przysłała przez Anę. Niech pan nie będzie głupi, niech pan z nimi porozmawia, w ten sposób będziecie mogli uzgodnić, co powiedzieć policji, kiedy zwali wam się na głowę.

– Jestem psychiatrą, leczę ludzi, przynoszę im ulgę. Nic nie wiem o tej ponurej i absurdalnej historii.

– Zna pan doktora Domíngueza?

Pokręcił przecząco głową.

– Za to on zna pana – skłamałam.

Widać było, że jest zdenerwowany. Dało się zauważyć, że jedna noga porusza mu się w niekontrolowany sposób pod biurkiem.

– Dlaczego figuruje pan w notesie siostry Rebeki? Będzie pan musiał wymyślić jakąś odpowiedź – powiedziałam, wstając.

On nadal siedział, patrząc na mnie swoimi niebieskimi oczami, które kiedyś mogły być ładne. Jego obrzękła twarz mogła być kiedyś ujmująca. Za dużo ucztowania, za dużo skórzanego fotela, za dużo wszystkiego.

59. LAURA ŚNI

Wróciłam do konserwatorium. Powiedziałam, że z moją stopą już wszystko w porządku i że chcę wznowić lekcje. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Zwykle jechałam samochodem Betty i zabierałam ze sobą Dona. Czekał na mnie przywiązany przy drzwiach. Daniel i Verónica uparli się, że potrzebuję choćby minimalnej ochrony. Czasami przychodził po mnie Valentín i szliśmy z Donem na spacer po parku w pobliżu konserwatorium, a potem podrzucałam go do domu. Czasami dotrzymywałam mu towarzystwa i zostawałam na noc. Rozkładaliśmy Donowi koc na podłodze, a sami szliśmy do łóżka. Pewnego dnia Valentín zaproponował mi, żebym się do niego przeprowadziła. Pod oknem w saloniku było puste miejsce, gdzie umieścilibyśmy moje biurko, i pomalowałibyśmy ściany na biało, żeby zrobiło się jaśniej. Niektóre weekendy spędzilibyśmy w gospodarstwie Matea, a Valentín poszukałby sobie lepszej pracy. Teraz wykonywał zlecenia informatyczne, pracując w domu. Dobrze mi było z Valentínem, czułam się spokojna. Możliwe, że nie był mężczyzną mojego życia, ale z całą pewnością był mężczyzną tego życia, na tę chwilę.

Zarabiałam dość pieniędzy na życie dzięki lekcjom i sprzedawaniu kosmetyków po domach dla firmy, którą reprezentowała Verónica. Zważywszy na wszystkie te sprawy, nie miałam czasu myśleć o przeszłości.

Verónica i ja żyłyśmy ze sobą w zgodzie. Jej bardzo się podobała moja sumienność w pracy i podejście klientów. Natychmiast załapałam, o co w tym chodzi, i poszerzyłyśmy bazę klientów. Na początku swojego nowego życia, kiedy zamieszkałam w domu Veróniki, urządziłam się w pokoju gościnnym, który pozwolili mi pomalować na pomarańczowo. Gdy tylko mogłam, razem z Donem odprowadzałam Ángela do liceum i rozmawialiśmy o koszykówce. Był skrytym chłopcem, na swój sposób miłym i sympatycznym. Lubiłam jego towarzystwo. Daniel raz za razem zapraszał nas wszystkich na kolację do Foster's Hollywood w centrum handlowym i w końcu zapragnęłam, żeby ta rodzina była moja. Było jednak coś, o czym nikomu nie mówiłam. Nie mogłam nic na to poradzić, że po dwóch

miesiącach zaczęły mi się śnić Greta i Lilí, zwłaszcza Lilí. Były to mgliste sny, po których budziłam się wykończona i w bardzo melancholijnym nastroju, jakbym wróciła z jakiejś podróży lub ze smutnego życia. Czasami, kiedy nie spałam, straszyl mnie dźwięk wózka inwalidzkiego, jakby Lilí stała się niewidzialna i wciąż była blisko mnie. Nie wiedziałam, czy pragnę je spotkać, skręcając za róg jakiejś ulicy, czy wręcz przeciwnie. Bałam się Lilí, a równocześnie za nią tęskniłam. Nie mogłam nic na to poradzić. Były częścią mojej duszy. Verónica gardziła nimi i nienawidziła ich. Razem z Marią, asystentką detektywa Martunisa, kombinowała, jak je zadenuncjować i wywołać potężną awanturę, dlatego było wskazane, żebyśmy sobie zrobiły testy na pokrewieństwo, ale we mnie zrobienie tego kroku budziło lęk. Teraz myślałam przede wszystkim o wyprowadzeniu się do mieszkania Valentína. Zamierzaliśmy dzielić się wydatkami i zacząć od zera.

Daniel powiedział mi, żebym dzwoniła do niego od czasu do czasu i odwiedzała ich, bo będą bardzo za mną tęsknili.

Verónica i Ángel pomogli mi przewieźć moje rzeczy samochodem Betty, a kiedy już miałam go zwrócić, powiedzieli, że to prezent. Podarowali mi także norki. Verónica nalegała, że musi tak być. Była bardzo uparta. W końcu zapragnęłam, żeby była moją siostrą. Czas pokaże.

60. VERÓNICA

Przez całe niedzielne przedpołudnie, gdy przygotowywaliśmy przeprowadzkę Laury, mój ojciec spędzał czas na przeglądaniu gazety. To niesamowite, ile gratów może się nagromadzić w ciągu kilku miesięcy. Zerkał kątem oka, co robimy: Ángel, Laura i ja. Don merdał ogonem na wszystkie strony. Największą uwagę przyciągało ubranie, stosy ubrań na łóżku Laury, które trzeba było poskładać i zapakować do walizek czy kartonowych pudeł. Ona uparła się, żeby mi podarować markowe ciuchy, które najbardziej mi się podobały, i gdy je wybierała, w drzwiach pokoju pojawił się mój ojciec.

Przyglądał się nam w jakiś niezwykły sposób. Przeciągnął rękami po głowie, po czym podszedł do Laury i ją objął.

– To jest twój dom – powiedział mój ojciec. – Betty nigdy nie chciała o tobie zapomnieć.

Laura nie chciała poznać siostry Rebeki, tej zakonnicy i położnej, która sprzedała ją Grecie i Lilí i która znała dyrektorkę jej szkoły, siostrę Esperanzę, jakby wszystkie osoby z jej życia były połączone jakąś pajęczyną, w której jedne sprzedawały, a inne kupowały. Powiedziała, że nie chce gromadzić więcej strasznych obrazów, że nie chce wiedzieć, jak wygląda ta kobieta, że ma dość bycia w centrum tak okrutnej historii. Dodała, że ja mogę robić, co mi się podoba, bo my też jesteśmy ofiarami tych ludzi, ale ona chwilowo rzuca ręcznik.

Poszłam z Marią odwiedzić siostrę Rebecę. María była bardzo ciekawa i miała ochotę pociągnąć za wszystkie sznurki. Umówiliśmy się w biurze. Na czarny obcisły kombinezon ze spodniami wpuszczonymi w buty włożyła kozuch z podszewką obszyty baranim futrem. Zeszliśmy na parking budynku i wsiadliśmy do ogromnego ciemnozielonego staroświeckiego niemieckiego samochodu. Wydawało się, że nie poruszamy się na kołach, prześlizgiwałyśmy się po autostradzie i po szosie obsadzonej po obu stronach sosnami aż do drzwi domu starców. Przechodząc, szukałam wzrokiem siostry Adeliny. Było przed południem. O tej porze, zdaje się, wystawiano staruszki do solarium, żeby wchłaniały witaminę D. Nikt nie zabronił

nam wejść. Siostrę Adelinę widać było w głębi. Rozmawiała z kilkoma zakonnkami, a siostra Rebeca była sama jak palec. Miała rację, siostra Adelina nie zwracała na nią uwagi.

Podeszłyśmy do niej przy akompaniamencie postukiwania cienkich obcasów butów Marii i moich grubych.

– Siostrzeczko Rebeco, jestem Verónica, pamięta mnie siostra? Przyszłam siostrę odwiedzić kilka dni temu w związku z tamtą parą, bratankiem siostry Esperanzy.

Jej maleńkie suche oczka doskonale to pamiętały. Czaiło się w nich pytanie.

– To jest moja przyjaciółka María, przywiozła mnie samochodem. To ona wszystkim się zajmie. Już porozumiałam się z Aną.

– Zmęczyło mnie siedzenie – poskarżyła się.

– Aha – powiedziałam. – Zdaje się, że siostra Adelina bardzo dobrze się bawi.

Posłała jej zawzięte spojrzenie.

– Nas, starych, nikt nie kocha. Chodzi do młodych – powiedziała.

Młode musiały mieć od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu lat.

– Ja przyszłam siostrę odwiedzić – zauważyłam, podając jej ramię, żeby się oparła.

Skierowałyśmy się w stronę pokoi.

María cierpliwie szła za nami.

– Nie chcę jeszcze wracać do pokoju. Nie mam ochoty odpoczywać.

– Proszę się nie martwić – uspokoiliam ją. – Pójdziemy i wrócimy na wózek.

Czyżby się nie zorientowała, że brakuje notesu, czy może zapomniała, że go brakuje?

– Zadzwoiłam do siostry Esperanzy. Mówi, że cię nie zna i że ona nikogo nie wysłała, żeby się ze mną zobaczył.

Weszłyśmy do budynku. Skierowałam się w stronę korytarza, w którym był jej pokój. Odwróciła się, żeby na mnie popatrzeć.

– Nie chcę iść do pokoju.

Ścisnęłam jej rękę, chudą, lecz naprężoną, nerwową. María ustawiła się po drugiej stronie.

– Chcę, żeby María go zobaczyła.

– Chcecie mi zrobić krzywdę.

– Niech siostrze nie przyjdzie do głowy, żeby krzyżować, bo mogę siostrze złamać rękę, a wtedy bardzo długo nie będzie siostra wychodzić z pokoju. Siostra Adelina, mając wymówkę, że jest siostra w gipsie, skorzysta z okazji, żeby zamknąć tutaj siostrę przynajmniej na miesiąc.

Po wejściu do pokoju usiadła na łóżku, ze zwisającymi stopami. María przykucnęła i obserwowała ją przez chwilę. Pomarszczona twarz, bezlitosne, doświadczony oczy, szorstkie usta. W końcu upodobniła się do swoich postępków.

– Więc to jest siostra Rebeca – powiedziała María. – Jak siostra mogła zabierać noworodki, żeby dawać je innym, i mówić matkom, że ich dzieci umarły?

– To jest pułapka – powiedziała, rozglądając się dokoła. Miała w sobie coś ze starej samotnej wilczycy. – To kłamstwo, ta historia o parze, która nie może mieć dzieci, prawda? Siostra Esperanza nawet mnie nie pamiętała. Zawsze uważała się za lepszą ode mnie, zawsze grzeszyła pychą, niech jej Bóg wybaczy.

– Moja matka miała na imię Betty, a siostra w klinice Los Milagros sfingowała śmierć mojej siostry i przekazała ją niejakiej Grecie.

Spróbowała wstać, ale chwyciłam ją za ramiona i trochę bardziej wcisnęłam w materac.

– To kłamstwo. Jedyne, co zrobiłam, to oddałam do adopcji kilkoro dzieci matek, które ich nie chciały. Zdarzają się dziewczęta mające bardzo źle w głowie. Wypełniłam wolę bożą. Są cudowni rodzice oczekujący błogosławieństwa, jakim jest dziecko.

Widać było, że trudniej się z nią porozumieć niż z Donem i że za nic nie przyzna, iż handlowała ludzkim życiem. Jej Bóg był dla niej tarczą chroniącą ją przed własnym sumieniem.

– Co robiliście z pieniędzmi? – zapytała María. – Jak je dzieliliście? Chyba nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, co robiłaś. Nie chcesz, żeby przyszła policja i założyła ci kajdanki.

Poparzyła na nas z niedowierzaniem. Starość chroniła ją przed wszystkim, przed

kajdankami i przed jej grzechami.

– Nic nie wiem o pieniądzach.

– A więc nic nie wiesz – powiedziała María, podnosząc ją delikatnie z łóżka i prowadząc w stronę szafy.

Ja w tamtym momencie się odprężyłam i nie byłam w stanie odgadnąć, co zamierza. Siostra Rebeca pozwoliła się prowadzić, szczęśliwa, że wstała z łóżka. Wydawało się, że jedyną rzeczą, która ją przeraża, było tkwienie w tym pokoju.

María otworzyła jedno z trojga drzwi szafy. Wzięła wysuszoną rączkę siostry Rebeki i umieściła ją między krawędzią a skrzydłem drzwi. Siostra Rebeca chciała wyjąć rękę, ale María powiedziała jej, żeby zachowywała się spokojnie, bo mogłaby sobie połamać kości i musieliby ją zabrać do szpitala, gdzie spędziłaby sporo czasu. Spojrzenie Maríi mogło doskonale konkurować ze spojrzeniem siostry Rebeki. Był taki moment, gdy jedna sięgnęła w głąb oczu drugiej bez mrugnięcia, i cokolwiek tam zobaczyły, skłoniło je to do namysłu, ponieważ María wyjęła rękę zakonnicy z tego tak niebezpiecznego miejsca, a siostra Rebeca wyznała, że nie pamięta mojej siostry, ale że dziewczynka o takich cechach mogła kosztować dwa lub trzy miliony peset. Te pieniądze nie były dla niej, trzeba było pokryć koszty. Zapłacić lekarzowi, pielęgniarkom, dać prowizję Anie... Musiałyśmy jej uwierzyć, nie chodziło o pieniądze.

Odprowadziłyśmy ją z powrotem na wózek i zostawiłyśmy tam twarzą do słońca i do grupy siostry Adeliny oraz innych młodszych sióstr. Śmiały się radośnie, podczas gdy słońce lśniło na ich welonach jakby dla umartwienia siostry Rebeki.

Prowadząc swój czołg w drodze powrotnej do Madrytu, María obiecała mi, że zajmie się tym, co zostało do zrobienia.

– A Martunis? – zapytałam.

– Jest w podróży. Zanim wróci, Martunisem będę ja.

W porządku. Poprosiłam, żeby mnie wysadziła w pobliżu nowego domu Laury. Musiała pojechać ze mną samochodem do parku przemysłowego po odbiór towaru. Wkrótce mieli ją zatrudnić w charakterze sprzedawczyni. Chwilowo pracowała jako moja pomocnica.

Teraz zawsze nazywałam Tyczkę Valentínem, nawet w myślach. Zasłużył sobie na to, bo bardzo się starał, żeby Laura była szczęśliwa, i znalazł dodatkową pracę. Mieszkanie przeszło gruntowną przemianę od tamtej nocy, którą spędziłam w nim z Mateem. Było czyste i pomalowane na biało. Pod oknem salonu stało kilka fikusów, dracena i palma. Książki były równo ustawione na sosnowym regale, na którym stała również ramka z postarzanego srebra ze zdjęciem małej Laury. Popatrzyła na mnie, a ja popatrzyłam na nią. Z sufitu zwisała duża lampa z papieru ryżowego nad starym drewnianym stołem, który wyczyścili papierem ściernym i pomalowali na czerwono. Ładnie pachniało. Laura otworzyła mi drzwi w jednej z tych swoich odzyskanych kreacji. Miała długie, gładkie włosy, lśniące niczym sztabka złota. Powiedziała z zachwytem, że musi mi pokazać prześcieradła, które kupiła za grosze, a ja, idąc za nią przez mieszkanie, przypominałam sobie swoją matkę i omal nie zemdlałam, gdy dotarło do mnie, jak niezrozumiałe, niezgłębione, bolesne i wesołe jest życie.

Tytuł oryginału
Entra en mi vida

Copyright © Clara Sánchez 2012
Copyright © Ediciones Destino, S.A. 2012

Copyright © for the translation by Łukasz Müller

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Fotografia na pierwszej stronie okładki
Copyright © Aleshyn_Andrei/Shutterstock.com

Opieka redakcyjna
Julita Cisowska
Bogna Rosińska
Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-2615-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2014

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com